



# ZAPACH CYTRUSÓW



KATARZYNA KIELECKA

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

# ZAPACH CYTRUSÓW

KATARZYNA KIELECKA

SZARA GŁODZINA



Wszystkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej książki nie może być reprodukowana w jakiegokolwiek formie i w jakikolwiek sposób bez pisemnej zgody wydawcy.

Projekt okładki i stron tytułowych  
*Ilona Gostyńska-Rymkiewicz*

Zdjęcia na okładce  
© candy1812 | stock.adobe.com  
© denira | stock.adobe.com

Redakcja  
*Marta Jakubowska (Słowa na warsztat)*

Redakcja techniczna, skład, łamanie oraz opracowanie wersji elektronicznej  
*Grzegorz Bociak*

Korekta  
*Elwira Zapalowska (Słowa na warsztat)*  
*Wioleta Żyłowska (Słowa na warsztat)*

Niniejsza powieść to fikcja literacka. Wszelkie podobieństwo do osób i zdarzeń rzeczywistych jest w tej książce niezamierzone i przypadkowe.

Wydanie I, Katowice 2021

Wydawnictwo Szara Godzina s.c.

[biuro@szaragodzina.pl](mailto:biuro@szaragodzina.pl)

[www.szaragodzina.pl](http://www.szaragodzina.pl)

Dystrybucja wersji drukowanej: LIBER S.A.

ul. Kabaretowa 21, 01-942 Warszawa

tel. 22-663-98-13, fax 22-663-98-12

[dystrybucja@dictum.pl](mailto:dystrybucja@dictum.pl)

[www.dictum.pl](http://www.dictum.pl)

© Copyright by Wydawnictwo Szara Godzina s.c., 2021

ISBN 978-83-67102-07-0

*Dla Ewy S.  
z nadzieją na to, że wkrótce napiszemy wspólną książkę.*

*Mam tyle szczęścia, ile zbiorę sam  
i ilu uniknę ciosów.  
Chcę coś dopisać swoją ręką, sam  
do kart mojego losu.  
Andrzej Poniedziałki, Żyłam tylko snem*

# Prolog

– Jeszcze chwilę, niech się pani nie rusza – poprosił lekarz i uśmiechnął się ciepło bez odrywania wzroku od ekranu.

– Po... postaram się – wymamrotała Ada Walicka.

Czarno-biały obraz wyglądał jak dziwny lej pełen ruchomych mazaj i trudno było uwierzyć, że da się z niego wyczytać jakieś konkretne informacje. Drgnęła niespokojnie, gdy poczuła, że bluzka przykleiła jej się do spoconych pleców. Przeklęty upał! Czekala na zwięzły komunikat, że wszystko jest w porządku, a dolegliwości, które uporczywie się utrzymują od paru tygodni, wynikają z niedawnych przejść ze wstrząśnieniem mózgu na czele.

Miała za sobą toksyczne narzeczeństwo obfitujące w epizody przemocy wraz z dramatycznym finałem, za który – musiała to szczerze przyznać – jej narzeczony Jacek Zawadowicz, doktor chemii organicznej, odpowiadał jedynie połowicznie. Powinna się czuć szczęściarą, bo koszmar należał już do przeszłości, a ponadto otaczali ją ludzie, którzy wprawdzie nie byli jej rodziną, ale za to stali za nią murem. Zwłaszcza Bartek.

Leżąc na wąskiej kozetce w gabinecie lekarskim, odnosiła wrażenie, że jej świat po raz kolejny rozpada się na kawałki. Usiłowała niemal nie oddychać, jakby to miało oddalić katastrofę.

– Dziecko, ręce ci się trzęsą. Jesteś bardzo spięta. Tak nie można. – Medyk, który na uparte go mógłby być jej ojcem, niepodziewanie przeszedł na ty. Emanował przy tym spokojem i wyrozumiałością.

Jezu, pomyślała, więc to jednak prawda.

– Więc to jednak prawda? – wymamrotała, świadoma, że nie ucieknie od konfrontacji z rzeczywistością. – Pana podejrzenia się potwierdziły?

– Źle mnie zrozumiałaś. To nie były podejrzenia, tylko pewność.

– Powiedział pan: „Wygląda na to, że ma pani lokatora. Musimy to sprawdzić”. To co pan sprawdza?

Lekarz uniósł kąciki ust i zajrzał jej głęboko w oczy.

– Czy się zadomowił, rozpakował oraz jak się miewa na nowej kwaterze.

– I?

– Całkiem mu dobrze. Nie martw się. Szczęśliwy tatuś czeka na korytarzu? Zawołać go?

– Nie! – zaprzeczyła z odrobiną paniki w głosie, po czym już spokojniej dodała: – Nie trzeba.

Ginekolog dostrzegając zagubienie pacjentki. Kładł je na karb niepokoju o dziecko. Przypuszczał, że dziewczyna ma za sobą jakieś nieprzyjemne zdarzenie, po którym jeszcze nie doszła do siebie. Ślady po szwach na skroni i gips na lewej ręce mówiły same za siebie.

– Trafnie zgaduję, że to nie jest radosna nowina? – spytał, poklepując po przyjacielsku jej zdrową dłoń.

– Powinna być, prawda? Dzieci to esencja życia.

– Owszem – przytaknął skwapliwie. – Choć lubią zaskakiwać pojawieniem się na świecie. Ma pani czas, zdąży to pani sobie poukładać – dodał, wracając do oficjalnej formy: – Czy w ostatnich tygodniach brała pani jakieś leki? Kiedy złamała pani rękę?

– Sześć tygodni temu. Składali mnie pod narkozą, dostałam kroplówki. Spędziłam w szpitalu jedną noc, potem przez kilka dni łykałam w domu ketonal. Wczoraj ortopeda zdjął gips, prześwietlił nadgarstek i zdecydował, że potrzebuję jeszcze dwóch tygodni usztywnienia.

Lekarz się skrzywił.

– Przy kolejnym rentgenie proszę wspomnieć, że jest pani brzemienna. Radiolog zastosuje specjalne procedury, by nie narazić płodu. Narkozą proszę się nie przejmować. Miała miejsce zbyt dawno, by zaszkodzić dziecku.

– Ale to się musiało stać wcześniej! Przed wypisem robiono mi badanie krwi i nie wykazało ciąży.

– Kiedy ostatnio pani współżyła?

Walicka zbladła, nie chciała wracać do bolesnych wspomnień.

– Mniej więcej dobę przed... urazem – wyznała ze skrzepowaniem.

– Bez zabezpieczenia?

Zawahała się. Tamtego dnia wróciła do domu po zmierzchu. Wcześniej spędziła wiele godzin z Bartkiem i choć nie robili nic niestosownego – skupiali się na sprawie ich podopiecznego z hospicjum, nastoletniego Maćka – ten czas przesycony był ogromem emocji i coraz głębszych uczuć, które zdawały się ich oplatać. Bartłomiej Pilch, rysownik komiksów o lotnikach, a przez ostatnie pół roku także jej współpracownik w przyszpitalnej szkole, nie krył już wówczas, że się w niej zakochał, ona zaś zaczynała poważnie podejrzewać, że to uczucie odwzajemnia.

Zaborczy narzeczony, który od dłuższego czasu zachowywał się niepokojąco agresywnie, czekał na Adę w drzwiach. Urządził jej awanturę,



oskarżył o zdradę, a potem po prostu ją zgwałcił, czym ostatecznie przelał czarę goryczy w związku staczającym się w otchłań przemocy.

Tymczasem nazajutrz, w ostatnim epizodzie ich wspólnego życia, gdy zamierzała spakować się i wyprowadzić, oboje padli ofiarą błędnych decyzji Zawadowicza. Firma farmaceutyczna Lami Solutions, w której dorabiał do politechnicznej doktorskiej pensji, okazała się prężnie działającą fabryką dopalaczy szeroko powiązaną ze światem przestępczym. Szantażowany chemik nie potrafił sprostać postawionym mu zadaniom i mimowolnie wplątał narzeczoną we własne porachunki z bandytami, którzy ich skatowali, między innymi złamali Adzie rękę. Następnie bez skrupułów sypał podczas przesłuchań, w wyniku czego szef Lami Solutions, Filip Kornecki, wpadł w ręce policji, a jego podwładnych – nie wyłączając Jacka – postawiono w stan oskarżenia za współudział w przestępstwie. Szczegóły tej sprawy pozostawały jednak poza sferą zainteresowań Walickiej. Miała je gdzieś.

Ciało wracało do zdrowia, lecz psychika radziła sobie wolniej i Ada czuła, że pamiątka po nieudanym związku jej nie pomoże. Nie zmieniała tego nawet przeszłość, w której ogromnie pragnęła dziecka i planowała mieć je właśnie z tym mężczyzną. To już jednak historia.

Aktualnie szukała w sobie równowagi, by ze spokojem wmaszerować w bezpieczną przeszłość z Bartkiem. I tylko z nim!

– Chyba bez – odpowiedziała, bo lekarz łypał na nią wyczekująco. – Tak. Bez zabezpieczenia.

– Potrzeba kilku dni, aby ciąża dała o sobie znać w badaniu krwi, dlatego nie wykryto jej w szpitalu. W mojej ocenie mniej więcej wtedy doszło do zapłodnienia. Tygodnie ciąży liczymy od daty ostatniej miesiączki. Obecnie trwa ósmy. Ma pani siedem miesięcy, by się oswoić z niespodzianką. Teraz posłuchamy serduszka.

Po gabinecie niósł się odgłos rytmicznego pukania. Pacjentka poczuła, że pod powiekami robi jej się mokro, a wokół serca zaciskają się dwa silne kręgi: wzruszenia i strachu. Ono nie jest niczemu winne, pomyślała, na pewno je pokocham.

– Ma serce jak dzwon – zapewnił lekarz. – Rozwija się prawidłowo. Wydrukuję zdjęcie, chce pani?

– Poproszę – wymamrotała, z trudem hamując łzy.

– Proponuję pokazać partnerowi, a na następną wizytę zapraszam państwa razem. Mężczyznom to pomaga zaangażować się w sprawy dziecka

i przygotować do nowej roli.

Tylko któremu pokazać ten świstek, spytała w duchu. Dawcy genów i niedawnemu narzeczonemu czy człowiekowi, który ją kocha i którego ona też pokochała całym sercem, choć dotąd miała niewiele okazji, by dać mu to odczuć?

Nie chciała zranić ani rozczarować Bartka, lecz już wiedziała, że to się nieuchronnie zdarzy. Mógł być ogromnie wyrozumiały, akceptować ją całą wraz z jej przeszłością, nie miała jednak wątpliwości, że dotkliwie zaboli go wiadomość, iż ona nosi pod sercem dziecko znienawidzonego człowieka – jedyne, z którym dotąd łączył ją seks.

Wyszła na korytarz i rozejrzała się z wahaniem. Kartkę z opisem badania oraz zdjęciem złożyła na pół i pospiesznie upchnęła w kieszeni. Musi powiedzieć Bartkowi. Nie może tego ukrywać, ale przecież nie oznajmi mu tego w przychodni czy na chybیکا w drodze na parking lub w samochodzie. To wpłynie na ich wspólne plany, zburzy idylliczne wizje, jakie snuł przez ostatnie tygodnie, kiedy stawał na głowie, by wywołać na jej twarzy uśmiech, stopniowo zacierać wspomnienia koszmaru oraz zapewniać, że zadba, by miała wszystko, co najpiękniejsze. Choćby nawet cytrusowy gaj.

Na jednym z krzeseł w najdalszym kącie poczekalni dostrzegła znajomą postać. Mężczyzna siedział z pochyloną głową, obracając komórkę w dłoniach. Ada podeszła z lekkim ociąganiem, niepewna tego, jak wiele da się wyczytać z jej twarzy, zanim padną jakiegokolwiek słowa. Pilch uniósł głowę i objął ją zaskakująco smutnym spojrzeniem piwnych oczu.

– To koniec, Ada – powiedział łamiącym się głosem i wyciągnął do niej dłoń z telefonem.

# ROZDZIAŁ 1

# 1.

Po gorącym czerwcu nastał suchy, duszny lipiec. Pekaes gnał po rozgrzanym asfalcie, który zdawał się falować, jakby zmienił konsystencję na półpłynną. Pola i łąki obumierały, niemal krzyczały o odrobinę wilgoci. Przykurzone drzewa pochylały swe rosochate gałęzie ku szosie w geście żebraka błagającego o datek. Od miesiąca nie spadła ani kropla deszczu.

Klimatyzacja nie działała i większość pasażerów z wysiłkiem wciągała w płuca gęste, ciężkie powietrze. Kilka osób wachlowało się, czym popadło. Szczęśliwcy, którym przypadły miejsca przy oknach, wyciągali głowy i wystawiali nosy na zewnątrz, by choć minimalnie poprawić komfort podróży i swoje samopoczucie.

Stefan Walicki tkwił w ostatnim rzędzie bez ruchu, jak zaklęty w kamień. Długo brakowało mu krajobrazów Podhala, zatem teraz sycił nimi oczy i starał się jak najmniej mrugać, by niczego nie przegapić. Pierwszy raz od niepamiętnych czasów oddychał pełną piersią. Miał wrażenie, jakby mimo zaduchu nagle jego żyły wypełniła gigantyczna ilość tlenu, co spowodowało zawroty głowy. Plątały mu się myśli i z trudem utrzymywał spokój. Mógłby wyskoczyć na pierwszym lepszym przystanku i pobiec przed siebie, przez tę przygaszoną słońcem zielen, położyć się w ostrej, podeschniętej trawie, by poczuć na policzkach jej fakturę, w nozdrzach – zapach, a pod palcami – kształt. Mógłby nawet krzyczeć z radości, zachłystując się wolnością.

Tymczasem siedział w śmierzącym wnętrzu pekaesu i milczał.

Był szczęśliwy, a jednocześnie niepewny, czy to, co robi, jest właściwe, czy jego decyzja okaże się słuszna. Podsunęły mu ją strach, brak niezbędnych informacji i coś, o czym zdążył już niemal zapomnieć, co jednak musiało tlić się w nim przez długie lata, bo okazało się jedną z pierwszych, palących, niedających się okiełznać myśli po wyjściu z krat.

W zakładzie karnym spędził dwadzieścia lat, osiem miesięcy, czternaście dni i na oko jakieś trzy, cztery godziny. Nie uświadamiał sobie, jak długi to czas, dopóki nie minął więziennej bramy. Świat na zewnątrz wydawał się zupełnie inny i on także nie mógł być już tym samym człowiekiem. Trzydziestolatek, który wciąż ma wszystko przed sobą, to przeszłość. Jego krótkie i sztywne jak szczotka włosy zdążyły zsiwieć, a pociągłą, nieco kanciastą twarz złobiły głębokie bruzdy. Szczególnie rzucały się w oczy dwie pionowe zmarszczki biegnące po obu stronach ust i nosa. Skończył pięćdziesiąt jeden lat. Niby to nie starość, bo wciąż czuł się sprawny i silny. Wyglądał niczego sobie, umięśniony, nieco żyłasty, z nutą melancholii

w zielonych oczach, lecz rozumiał, że nawet jeśli zdoła skutecznie wkręcić się w życie i urządzić w nowej rzeczywistości, nie wróci do tego samego punktu, z którego dwie dekady temu wyrwała go cudza śmierć.

To nie był pech, głupota czy nieostrożność, lecz fala uniesień podszytych bezradnością. Za nią przyszło nieszczęście. Tragedia. I wreszcie rozpacz.

Walicki przyczynił się do zła, choć nie tego, za które go osądzono. To nie on zabił, a jednak przyznał się do winy i pozwolił, by wyrok go obciążył. Głęboko wierzył, że dzięki takiemu działaniu najlepiej przysłuży się tym, których kochał. Przede wszystkim małej Adzie, kwiatuskowi, który od zawsze był oczkiem w głowie taty.

Zdradziły go własne emocje. Gdy opadły, wielokrotnie żałował tej decyzji. Mimo to nie zdecydował się na żaden ruch, wolał pogрузić się w marazmie i myślach o córce. Brakowało mu odwagi i wiary w powodzenie. Poza tym nie chciał rujnować spokojnej, choć ubogiej egzystencji, jaką zdołała zapewnić jej matka. Tymczasem Ada dorosła i od dobrych czterech lat nie mogła liczyć na żadne z rodziców.

Autobus zwolnił na rozwidleniu i odbił z Zakopianki w krętą drogę na wschód. Południe minęło dość dawno i słońce chyliło się ku zachodowi. Zostało za plecami, przestało oslepiać i kierowca wyraźnie odetchnął.

Z każdym pokonanym kilometrem Stefan czuł rosnące w nim napięcie. Zaciskał spocone dłonie, splótłszy je jak do modlitwy, mimo że dawno stracił wiarę w Boga. Ułuda, że czegoś się trzyma, pozwalała mu okiełznać niecierpliwość i przekonywać samego siebie, że kierunek, w jakim podąża wąską szosą, jest słuszny. Niewiele zapamiętał z tej podróży. Gdyby ktoś go zapytał kolejnego dnia, czy potrafi opisać choć jednego ze współpasażerów lub wskazać kolor tapicerki na siedzeniach, wzruszyłyby ramionami. Prężył kręgosłup, napinał mięśnie, co jakiś czas pocierał nerwowo brodą o bark, przy czym wyczuwał przyjemną woń wody po goleniu i sztywny, szorstki od nowości kołnierzyk koszulki polo, którą kupił zaledwie przed kilkoma godzinami.

Wydawało mu się, że wygląda jak z żurnala, i nawet wyszczerzył się do lustra w sklepowej przymierzalni, bo go to rozbawiło. Nie dysponował tłustym portfelem, ale w ostatnich latach, jeśli tylko dawano mu możliwość pracy, podejmował się jej z zachłannym oddaniem. Zarobek wydawał się nędzny, lecz Stefan nie kupował nic poza tym, co było mu niezbędne do znośnej więziennej egzystencji. Nie palił, książki wypożyczał z biblioteki, gazet nie czytał, a wszelkie potrzeby zredukował do tak absolutnego

minimum, że wśród osadzonych uchodził za ascetycznego dziwaka. Poza lekturą wytrwale ćwiczył, dzięki czemu dbał o tężyznę fizyczną. Przez lata wypracował sobie modelową wręcz muskulaturę i chyba tylko dlatego zostawiano go w spokoju i darzono jako takim szacunkiem.

Po opuszczeniu zakładu karnego udał się najpierw do banku, gdzie wypłacił nieco gotówki i zamówił kartę bankomatową, a następnie powędrował do najbliższego centrum handlowego. Kupił kilka ubrań i niezbędnych kosmetyków, granatowy plecak oraz używaną komórkę z numerem na kartę. Nie potrafił jej obsługiwać, bo pierwszy raz w życiu miał w rękach takie urządzenie. Całą wiedzę w tym zakresie wyniósł z telewizji i opowieści współwięźniów, którzy trafili za kraty parę lat po nim. Potrafił logicznie myśleć i wyciągać trafne wnioski, uznał zatem, że to gadżet współczesnego świata, bez którego nie da się żyć. Dokładną analizę urządzenia zostawił na później. Wystarczyło mu, że sprzedawca zaprezentował podstawowe funkcje i wprowadził do pamięci telefonu numer kuratora opieki postpenitencjarnej, który Stefan mu podyktował. Innych kontaktów nie posiadał.

Powtarzał sobie nieustannie, by się nie spieszyć. Do życia trzeba wracać stopniowo, a zacząć należy od tego, co bliskie, znane, oswojone, czego się nie zapomina i co nie mogło zmienić się aż tak przez te okrutne dwie dekady.

Wysiadł na wąskiej drodze w środku Łapszanki i wolnym krokiem ruszył pod górę, a mijając zabudowania, przyglądał się im ze zdziwieniem. Pamięć płatała mu figle albo wieś się znacznie zmieniła, bo nie odnajdował w sobie nostalgicznej przyjemności z powrotu na stare śmieci. Wręcz przeciwnie – czuł obcość i skrępowanie, jakby znalazł się w okolicy, która przestała być już jego i nie miała ochoty wracać do dawnej zażyłości. Narastały w nim podniecenie, wewnętrzny niepokój duszy i zewnętrzny ciała, zwarte z sobą tak ściśle, że nie potrafiłby ich rozdzielić, by dokładnie przeanalizować, co oznaczają. Zszedł z asfaltu na ubitą drogę. Ostatnie kilkadziesiąt metrów niemal biegł, bo nie mógł już pohamować zniecierpliwienia. Wreszcie dopadł do pordzewiałej bramy, pchnął furtkę, pokonał wąskie podwórko i stanął naprzeciw drzwi z nieco łuszczącą się farbą, w które przed laty pukał setki razy, zawsze z niemal euforycznym drżeniem serca i nieznośnie kłującymi wyrzutami sumienia.

Bardzo chciał wejść już do środka, a jeszcze bardziej obawiał się tego, co się wówczas wydarzy. Trzymał uniesioną dłoń tuż przy drewnie dobrą

minutę, gdy nagle klamka opadła i stare zawiasy nieprzyjemnie zgrzytnęły. W wąskiej szparze pojawiła się nieduża postać z upiętymi w kok jasnymi włosami, z pewnością miękkimi i aksamitnymi, bo takimi zapisały się w pamięci jego palców, policzków oraz ust. Wspomnienia o niej były tak żywe, jakby doświadczał miłości nie przed dwudziestu laty, a najwyżej kilka dni temu.

– Jesteś – powiedziała cichym głosem, który także nic się nie zmienił, i uchyliła szerzej drzwi, by wpuścić przybysza do środka.

– Jestem – potwierdził, zasunął rygiel, a potem długo stał w niewielkiej sieni, tocząc w milczeniu walkę z paraliżującym strachem przed jakimkolwiek ruchem.

Sylwetka Heleny wydawała się tak samo drobna jak dawniej, ale też lekko przygarbiona za sprawą kuli, z której korzystała od czasu, gdy się ostatnio widzieli. Miała na sobie prostą zieloną sukienkę w kolorowe kwiaty, z krótkimi rękawami, sięgającą do kostek i zakrywającą dekolt niemal po szyję. W piersi mężczyzny coś się boleśnie zacisnęło, gdy dostrzegł, że trzęsą jej się ręce i tym samym wprawiają w drżenie całą sylwetkę. Mimo to nie przerywał ciszy, bo zwyczajnie brakowało mu słów. W końcu to ona zdecydowała się odezwać.

– Chodź, naleję ci żurku. Pewnie głodnyś.

Zaskoczyła go tak banalnym zaproszeniem i mimowolnie poczuł rozczarowanie, choć nie spodziewał się niczego, nie planował, nie kreował w wyobraźni żadnych scenariuszy ich spotkania.

Przez dwie dekady niewidzenia wysłała do niego sześćdziesiąt dwa listy. Czytał je setki razy, wahał, całował i przytulał w ciemności do policzka, mimo że na żaden nie odpisał. Z początku wyrażała w nich rozpacz, miłość, tęsknotę i żal za choćby tym wybrakowanym szczęściem, które im odebrano. Potem wyczytywał z nieco zbyt kształtnych, jakby kreślonych staranną ręką uczennicy liter szacunek dla jego decyzji, własne wyrzuty sumienia oraz kanciaste, nieskładne zdania świadczące o tym, że powierzyła ich wspólny grzech i cierpienie Bogu. Modliła się, by zesłał im spokój i wybaczenie, skoro karę wymierzyło życie. Stefana drażniła jej ufność w moc Stwórcy, lecz mimo to czytał zachłannie każde słowo i obiecywał sobie, że jeśli kiedyś znów ją zobaczy, powie to wszystko, czego nie napisał, a co podczas bezsennych nocy szeptał bezgłośnie, ledwo ruszając wargami.

Teraz, choć myśli galopowały w głowie, coś bezlitośnie paraliżowało mu krtań, Helena zaś uśmiechała się lekko i jakby nigdy nic po prostu

zapropowała mu zupę. Kobiety są nieobliczalne. Pamiętał, że to jedna z życiowych prawd. Za to pachną oszałamiająco.

Podreptał za nią i posłusznie usiadł przy pokrytym kwiecistą ceratą stole. Zauważył, że czas się tu zatrzymał. Każdy mebel i bibelot tkwił tam, gdzie dawniej: stare szafki z cienkiej sklejki, wytarty, podniszczony bufet, sosnowy stół i trzy stołki. Nawet w oknie wisiała ta sama firanka ze wzorem w drobne różyczki. A co z nimi i z ich miłością?

Helena oparła kulę o bok lodówki, naszykowała talerz, łyżkę, a następnie sięgnęła chochlą do garnka. Powolnym, lecz pewnym ruchem postawiła jedzenie przed gościem. Widać było, że mimo trudności z poruszaniem doskonale radzi sobie w codziennych czynnościach, do perfekcji opracowała taktykę, by niedowład nogi nie ograniczał jej bardziej, niż to konieczne.

– Jedz, póki ciepłe. Z kielbasą, sycąca. Nibyś się barczysty zrobił, a na gębie mizerny i szary. Musisz się dobrze odżywiać. Nie na to Pan Bóg ci pobłogosławił wolnością, byś się zaniedbał.

– Dziękuję – wybąkał. Z trudem dławił wzruszenie, gdy uchwycił w nozdrza woń domowego obiadu. Była kusząca i sielska. Była kwintesencją tęsknoty za rodziną.

Kobieta kręciła się wokół stołu, podsuwając mężczyźnie chleb, herbatę w cienkiej szklance ze staromodnym metalowym koszyczkiem, a na koniec talerzyk z szarlotką. Obserwował ją, nie przerywając posiłku, jakby próbował wdrukować w pamięć jej obraz na nowo i zastąpić tym, co widzi, przyblakłe wspomnienia.

Miał przed oczami miłość swojego życia. Przez niepohamowanie, gwałtowność uczucia, które niegdyś ich połączyło, zyskał, a potem stracił wszystko. Jej mąż już dwie dekady spoczywał na cmentarzu. Jego żona, zdolawszy doprowadzić córkę do dorosłości, nagle poddała się chorobie i od czterech lat przebywała w zakładzie psychiatrycznym, bez kontaktu z rzeczywistością i specjalnych rokowań na wyzdrowienie. A oni mieli stać się rodziną.

Z listów od Heleny wiedział, że jej syn planuje się żenić z jego córką. Wciąż pytał sam siebie, czy Ada jest szczęśliwa. Marzył, by się o tym przekonać, by zobaczyć, dotknąć i poczuć, że ona naprawdę istnieje. Najbardziej ciekawił go jej głos. Pewnie by go nie poznała, zmienił się od czasu, gdy miała osiem lat i ostatni raz szła z ojcem na spacer. Pamiętał, że wędrowali przez kwiecistą łąkę z widokiem na odległą, znaczoną głębokimi żlebami stromizną Tatr, spokojną i cierpliwą jak twarz starca, który widział



tak wiele, że nic go nie zdoła zaskoczyć. Czy te bliskie sercu góry pozostały nieczułe na dramat dziecka, któremu bez ostrzeżenia odebrano ojca? Czy zauważyły odmianę jego losu? Walicki wciąż myślał o córce, lecz to nie do niej udał się po gwizdka, a do jej przyszłej teściowej.

Gdy skończył jeść ciasto i pić herbatę, uniósł się powoli z dłońmi opartymi o stół i podszedł do Heleny. Stała plecami do niego i myślała naczynia. Cały dom lśnił idealną czystością. Stefan nie potrafił zrozumieć, jak ona to robi, skoro jedna z nóg jest dla niej bardziej ciężarem niż oparciem. Kolejny babski sekret niedostępny dla wszystkich męskich umysłów, nie tylko dla straceńców z wyrokiem ćwiary i przywilejem warunkowego zwolnienia.

Serce waliło w nim jak oszalałe, gdy zatrzymał się tuż za nią. Jednym płynnym ruchem rozpuścił jej włosy, luzując zacisk szerokiej miodowej klamry. Ciężkie fale spłynęły w dół i rozhustały się, uderzając w plecy poniżej łopatek. Otoczył go zapach ziołowego szamponu oraz czegoś nieuchwytnego, co zawsze kojarzyło mu się wyłącznie z tą kobietą. Blond włosy miała tak jasne, że niemal oślepiły. Siwe pasma błyskały w nich, lecz nie wyróżniały się natarczywie. Pochylił się, przesunął czubkiem nosa po zagłębieniu tuż przy jej szyi, a dłoniom pozwolił przemknąć po wypukłości bioder i spleść się na płaskim brzuchu w okolicach pępka.

Cichy pomruk zadowolenia wyrwał się niezamierzenie Walickiemu, przechodząc w urwany, niedokończony szloch. Jakby ogrom doświadczanej przyjemności sprawiał mu dotkliwy ból. Sam nie wiedział, czy w ten sposób przelewa się w nim skarga na zbyt długą i okrutną samotność, czy obawa przed tym, co przyniesie przyszłość. Zdławił jednak pokusę wyciągania wniosków. To nie był czas na liczenie strat, lecz na to, by wreszcie o nich zapomnieć i chociaż przez moment nie myśleć o niczym.

– To grzech – powiedziała Helena łamiącym się głosem, ale przerwała zmywanie i wytarła dłonie w wiszącą na haczyku ściereczkę.

– Jesteś wdową.

– Ale twoja żona żyje. Poza tym popatrz na mnie. Mam pięćdziesiąt lat. Postarzałam się. Nie jest dobrze na ślepo gonić za wspomnieniami.

Zacisnął szczęki, by zachować spokój i nie powiedzieć czegoś, czego potem mógłby żałować. Wyświetlił w głowie panoramę Tatr z Przełęczą nad Łapszanką i płynął wzdłuż szczytów, wymieniając je w duchu: Szalony Wierch, Płaczliwa Skala, Hawrań, Nowy Wierch, Cyrhla, Murań... Zadziało, jak zawsze, znacznie lepiej niż liczenie do dziesięciu. Serce

złapało równy rytm, a rodzący się gniew uleciał gdzieś hen, w doliny i wąwozy.

– Nie dotykałem cię, Helcia, od wieków, a mam wrażenie, jakby nic się nie zmieniło. Ale może ty czujesz już inaczej? Może kogoś masz? – Zawiesił głos, a gdy stanowczo zaprzeczyła, pocałował ją w szyję i dodał: – Widzę cię nadal tak piękną, tak moją jak kiedyś.

Nie poluzował uścisku, gdy odwracała się niezgrabnie, walcząc z bezwładną nogą. Sięgała mu ledwo do brody, uniosła więc głowę, by zajrzeć prosto w oczy Stefana, tak zielone i szczere, jak zapamiętała, te same, w których się lekkomyślnie i wbrew sobie zadurzyła. Kochała go mocniej niż zmarłego męża, któremu ślubowała w kościele w obliczu Najwyższego i ludzi.

Miłość kpi sobie z planów i przyrzeczeń. Wszelkim ludzkim zamiarom zdaje się grać na nosie. Miłość po prostu się dzieje i nawet gdy niszczy, prowadzi do zguby, wydaje się tym, co najcenniejsze. Jakże można z niej zrezygnować, jak się jej oprzeć, gdy się jest tylko człowiekiem? I czy godzi się w ogóle to robić – odrzucić ten rzadki i największy dar? Przecież nie mogła zjawić się bez woli Chrystusa, bo to właśnie On jest kwintesencją miłości, to On okrucy jej piękna śle ludziom na Ziemię, przez co nakazuje kochać się wzajemnie, zaglądać sobie w oczy, a potem splatać ze sobą spragnione siebie ciała oraz dusze.

– Nie wiedziałam, że tęsknota może tak boleć – wyznała. – Bardziej niż złamane kości, sińce i rany, bardziej niż zaropiałe ząb albo gwóźdź wbity w stopę.

– Tęsknota to mała śmierć, ale dziś świętujemy zmartwychwstanie.

– Nie mów tak. Błędnie przeciw Bogu – zachnęła się i próbowała nieco odsunąć, lecz nie dał jej na to szans, bo zaciskał wokół niej ramiona.

– To nie Boga mi brakowało w celi, nie rozumiesz?

– To czego? Grzechu? Bo nie miałeś jak ani z kim się go dopuścić?

Znów targnęła nim złość, więc ze wszystkich sił zacisnęła powieki. Gdy je otworzył, zatańczyły mu przed oczami czarne i czerwone plamy.

– Nie, Helcia – oznajmił stanowczo. – Przede wszystkim czułości.

Dławiło go w gardle coraz bardziej, nie chciał dłużej zwlekać. Pochylił głowę. Jej wargi były suche i chłodne, lecz nie protestowały. Pozwoliła, by usta odnalazły znajome ścieżki i oderwały ich od rozważań o grzechu oraz straconym czasie.

Wziął ją na ręce, zaniósł do sypialni i położył na równo zaścielonym łóżku. Zamiast słów wymieniali już tylko pocałunki, ściśnięte gardła rozpychały coraz szybsze oddechy, a niezgrabne skrępowanie zastąpiły śmiałe westchnienia z każdą kolejną pieśczętą gnające ich w stronę narastającego krzyku spełnienia, a potem dalej do wspólnych łez. Stefan był niemal pewien, że w tym jednym płaczu nie zdołają zatopić przymusowego rozstania, lecz rozumiał, że to część drogi, którą trzeba przejść, by obmyć się z przeszłości. Nie zamierzał niczego przyspieszać ani z niczym walczyć. Pragnął celebrować wszystkie chwile, których nie naznaczałoby pustka.

Zanim wrócił mu równy puls, a w głowie przestało huczeć od tętniącej krwi, jego kochanka usiadła, po czym zsunęła bose stopy na podłogę. Jeszcze przed chwilą bezwstydnie, wręcz zachłannie spontaniczna i śmiała, teraz naprędce ukrywała swą nagość, owijając się cienkim szlafrokiem.

– Przyniesiesz mi kulę? Została w kuchni – spytała zwyczajnym tonem, tym samym, którym proponowała mu zupę.

– Helcia, nie wstawaj. Jeszcze nie, proszę.

Zlekceważyła jego słowa. Pospiesznie podniosła się i – wspierając na meblach – dotarła w kąt pokoju. Dosięgnęła z niego balkonika używanego głównie podczas wypraw na zakupy i do kościoła.

– Odpocznij – poleciła twardo. – Zdrzemnij się. Pewnieś zmęczony po podróży.

– Dlaczego jesteś taka?

– Jaka? Naszykuję ci w łazience ręcznik. Gdy się wyśpisz, umyj się i przyjdź na kolację. Porozmawiamy o dzieciach.

– To znaczy? – Zaniepokojony uniósł się na łokciu.

Wzruszyła ramionami.

– To znaczy, to znaczy... – przedrzeźniała go i ze zdziwieniem usłyszał w tym ślad pretensji. – Twoja Ada się całkiem pogubiła. Złe ją posiadło, już całkiem Boga w sercu nie ma. Odeszła do innego. I to kiedy? Dwa miesiące przed ślubem! Wybrała najgorszy moment, jak raz, kiedy Jacek trafił po wypadku do szpitala. To podłość, Stefan. Zwykła podłość i wstyd.

– Po jakim wypadku?

– Rozmawiałam z nim. Z Jacusiem znaczy. O wszystkim mi opowiedział. Zdradzała go od dawna, a on tylko dawał jej kolejne szanse, bo liczył, że się opamięta. I faktycznie się poprawiło, na zapowiedzi dali, zaczęli załatwiać formalności, aż tu nagle pod koniec maja trach! Ten człowiek, do którego się wyprowadziła, chyba ją opętał, bo czemu akurat wtedy... Nie spodziewałam

się, że twoja córka może okazać się taka nielojalna, bez krzty przyzwoitości i sumienia.

– Może się zakochała? Wiesz, jak bywa, sama tego doświadczyłaś. Powinnaś ją zrozumieć. Na to nie ma silnych.

– Nawet się nie waż nas porównywać! – krzyknęła, marszcząc gniewnie czoło i wykrzywiając twarz w taki sposób, że wydała mu się nagle obcą osobą. – Jacek to porządny człowiek. Doktor chemii, naukowiec! A o nią dbał jak o jakąś księżniczkę. Edek był zwykłym chlejusem, prostakiem, przepijał wszystko i zawsze wolał koleżków od rodziny. Nie musiałeś się specjalnie wysilać, żeby mnie omotać i w sobie rozkochać. Wystarczyło pokazać, że jesteś lepszy. Nie potrzebowałeś żadnych cudów.

– Czyli to ja?! To moja wina, że przyprawiłaś ślubnemu rogi? – Oburzył się i nie zważając na brak odzienia, wyskoczył z pościeli, by stanąć naprzeciwko Heleny.

Omiotła go spojrzeniem, które natychmiast zmiękło, złagodniało i wypełniło się zaskakującą mieszanką pokory i wstydu.

– Boże mój, aleś ty zmęźniał! Chyba nic innego nie robiłeś w zakładzie, tylko trenowałeś. Odpocznij, a potem się wykąp. Nic nas nie goni. Porozmawiamy przy kolacji. I nie myśl o mnie źle. Ja o tobie nigdy źle nie myślałam, ani przez moment. Nie potrafiłabym.

Zniknęła za drzwiami. Stefan odebrał jej nieobecność jak uderzenie w policzek, jakby doznał od niej fizycznej krzywdy. Poczul się dramatycznie samotnie i nie pomagała myśl, że Helena znajduje się wciąż pod tym samym dachem. Gwałtowną falą napłynęło zmęczenie. Propozycja drzemki przestała się wydawać taka całkiem bez sensu. To niezły pomysł, by pogawędzić przy posiłku. Od tak dawna nie jadł domowej kolacji, że już sama jej perspektywa napełniała otuchą i zdawała się dla okaleczonej duszy Stefana bez mała świętem.

Gdzie mieszka jego kwiatuszek? Czy czuje się szczęśliwa? Jeśli kocha i jest kochana, to nikt nie powinien się w to wtrącać, bo nie ma nic gorszego, niż nie uszanować cudzej miłości, myślał. Gdy zapadał w sen, pod powiekami jaśniał mu obraz młodej kobiety z długimi blond włosami, o różnych, przenikających się nawzajem i doskonale zgranych kolorystycznie odcieniach, dokładnie takich samych jak niegdyś u jej matki. Twarz miała drobną, trójkątną, o łagodnym wyrazie, a oczy zielone, bliźniaczo podobne do tych, które Stefan widywał w lustrze.

Znał ją tylko ze zdjęć, lecz tkwiła mu głęboko w sercu, tak samo droga i utęskniona jak mała dziewczynka z czasów, gdy wpadała ojcu w ramiona, kazała nosić się na barana i wyciągała go na spacer po łąkach. Zawsze ją kochał, choć chyba nie dość mocno, skoro przed laty wpuścił do serca Helenę i pozwolił, by połączyła ich namiętność zdolna zniszczyć aż dwie rodziny. Mimo tłukącego mu się po głowie głośnego echa dawnych uczuć oraz euforii, w jaką wprawiło go nagłe przypomnienie tego, jak przyjemnie obcuje się z kobietą, Stefan powtarzał w kółko jak mantrę, że to nie Helena, a Ada liczy się dla niego najbardziej.

## 2.

Lipcowe słońce toczyło się leniwie po idealnie czystym niebie, korzystając z długich godzin wczesnego popołudnia. Grzało nieznośnie, przypiekając żywym ogniem odkryte głowy oraz plecy zgromadzonych na cmentarzu ludzi przyobleczonych w żałobne stroje. Stali w zbitej grupce z zaciśniętymi ustami, jakby tylko dzięki milczeniu potrafili przetrwać trudną ceremonię i zatrzymać w sobie wewnętrzny sprzeciw wobec tego, co się stało. Nie włączali się do wygłaszanej przez księdza modlitwy, zatopieni we własnych dialogach z Bogiem, wspomnieniach i rozważaniach nad sensem życia. Świat wydawał się nierealny, a kierunek, w jakim zmierzał, absurdalnie pozbawiony celu. Po cóż tysiącletnie dokonania ludzkości, oszałamiające tempo rozwoju medycyny i techniki, skoro wciąż dzieją się tragedie, które ani nie wydają się zgodne z naturą, ani nie stanowią ubocznego skutku postępu cywilizacji?

Dzieci umierały od zarania dziejów, niezależnie od wykształcenia, majątku czy przymiotów charakteru osieroconych rodziców. Bartek Pilch, zazwyczaj zbrojny w optymizm i siłę ducha, chwilowo nie potrafił znaleźć w tym fakcie pocieszenia, gdy wbijał wzrok w rozświetloną słonecznym blaskiem ciemną trumnę z wolna opadającą w otchłań brudnego, ziemistego dołu, z którego nie było już ucieczki. Wciąż nie oswoił się z myślą, że jego podopieczny, z którym zdążył się nie tylko polubić, ale też szczerze zaprzyjaźnić, odszedł samotnie w pustym żółtym pokoju, gdy tuż za drzwiami kłębiło się mnóstwo lekarzy z oddziału onkologicznego sąsiadującego z hospicjum dziecięcym. W pobliżu nie brakowało też wolontariuszy fundacji Szkiełko i Onko, która prowadziła przyszpitalną szkołę, dbała o samopoczucie psychiczne i dobrą kondycję intelektualną małych pacjentów. Bartek nie mógł sobie darować, że w tamto popołudnie zwyczajnie wyszedł, bo chciał skorzystać z tego, że udręczony chorobą czternastolatek zasnął. Pilch przez zwykły pośpiech i zmęczenie nie zadbał o to, by zapewnić Maćkowi inne towarzystwo.

Nie potrafił się sklonować, zastosować czegoś na kształt mitozy na całym swoim organizmie, rozczłonkować na dwoje, na troje ani nawet na czworo, choć i taki podział nie stanowiłby nadmiaru. Stawiał na nogi brata załamanego rozsypującym mu się małżeństwem, troszczył się o dziesięcioletniego bratanka oraz sąsiadkę staruszkę i jej pyską papugę. Od paru tygodni miał wrażenie, że głowa mu pęka od ścierania się w niej dramatów Ady i Maćka oraz wiecznego rozważania, czy spędzać popołudnia

z umierającym na białaczkę nastolatkiem z biduła, czy z ukochaną kobietą, która przeżyła piekło i powoli wylizuje się z ran, z trudem próbując łapać równowagę. Gdy przebywał z jednym z nich, myślał o drugim. Łatwiej było się w tym pogubić, niż służyć komukolwiek realnym wsparciem mimo szczerych chęci i pozytywnego nastawienia.

Do tego wspólnie z bratem intensywnie pracował nad kolejną częścią komiksu z serii *Skrzydła* i miał na głowie zajęcia z dziećmi w przyszpitalnej szkole, gdzie w pojedynkę zastępował Majkę Lipską przebywającą na urlopie macierzyńskim oraz wracającą do zdrowia Adę. Sam nie wiedział, czemu jeszcze się nie zbuntował. Zapewne nie znalazł na to czasu. Zaczęły się wakacje i owa praca przyjęła bardziej charakter rozrywkowy niż dydaktyczny, co nie zmieniało faktu, że zajmowała całe przedpołudnia. Pilch nie potrafił rozerwać się na kilka części, by jednocześnie doglądać wszystkiego, co wziął na swoje barki. A trzeba było w młodości ćwiczyć bilokację, zamiast hulać po klubach, podrywać co ładniejsze panny i bić rekordy głupoty na wszelkich jednośladach.

Bartek zmądrzał, wydorósł, zmieniły mu się priorytety, ale jego doba nadal składała się z dwudziestu czterech godzin. Dlatego gdy Maciek umierał, jego opiekun wiozł Adę do przychodni specjalistycznej, a potem siedział pod kolejnymi gabinetami lekarskimi, włącznie z ginekologicznym. Wiedział, że narzeczony zmuszał ją do współżycia i bardziej wskazane wydawało mu się wsparcie psychologa niż ginekologa. Uznał jednak, że chciała przy okazji poddać się rutynowej kontroli, zatem specjalnie się nie zamartwiał. Wszystko wracało do normy. Należało tylko popracować nad bladą cerą, zawrotami głowy i kiepskim apetytem dziewczyny. Pilch dopatrywał się przyczyny tych detali w fakcie, że w ostatnim czasie niemal nie wychodziła z domu, oraz w tym, że jeszcze nie zdążyła przetrwać swoich traum. Nie zamierzał jej poganiać, tylko wspierać na tyle, na ile pozwalał mu czas. A tego miał niewiele.

W ostatnich dniach życia nastolatka należało się skupić przede wszystkim na nim. Raczująca miłość wymagała czułości i troski, lecz musiała zaczekać. Bartek każdego wieczora, gdy wykończony padał na puste łóżko, zaklinał ją w duchu, by okazała się cierpliwa i łaskawa, a wówczas on z pewnością zadba o to, by w odpowiednim momencie rozkwitła.

Maciek chorował od lat i na tyle oswoił myślenie o śmierci, by godnie wyjść jej naprzeciw. Krótco przed swoim odejściem oznajmił Bartkowi:

– Gdy mnie już nie będzie, zamiast się mazać, skup się na pani Adzie. Będę sprawdzał, więc nie schrzań tego.

– Tylko nam nie zagłądaj do sypialni – odpowiedział i chłopiec uśmiechnął się blado, łapiąc ostatnie promyki ziemskiej radości.

Myśl, że nastolatek już nie cierpi, krzepiła. Trzeba go zapamiętać na zawsze i ponieść dalej w sercu. To ostatnie, co da się dla niego zrobić. Chaotyczne myśli Pilcha pływały swobodnie między Maćkiem a Adą, między szpitalem a domem, między komiksami a fundacją – próbowały wszelkimi sposobami uciec znad powstającej mogiły. Chrząst łopaty wbijającej się w stwardniałą ziemię wydawał się niezwykle głośny, szczególnie że nawet duchowny zamilkł i dołożył własną zadumę do ogólnej ciszy. Rozumiał, że śmierci dziecka nie złagodzi żadnymi słowami. Zdarzają się chwile, w których cierpienie najgłośniej wyraża się w milczeniu.

Pracownicy zakładu pogrzebowego usypali z ziemi równy kopczyk, wbili drewniany zaostrzony kijek z umocowaną na nim tabliczką i zabrali się za układanie ogromnego wieńca. W ich ciężkie posapywanie wdarł się wyraźny, głośny i szybki trel zakończony wolniejszym, jakby zawieszonym w powietrzu „fii-fijut”. Po chwili śpiewak powtórzył strofę kolejny raz i następny... Pilch od dziecka skupiał się raczej na metalowych ptakach, nie próbował zatem zgadywać, co za stworzenie zadbało o oprawę muzyczną pogrzebu.

Ada stała obok podejrzanie opanowana, nieruchoma, z suchymi oczami, jakby przebywała na terenie nekropolii wyłącznie ciałem i nie przyjmowała do wiadomości, czego jest świadkiem. Gdy usłyszała trel, nadstawiła uszu i drgnęła. Wsunęła palce w dłoń Bartka, po czym mocno ją uścisnęła. Odwzajemnił gest i zerknął na nią pytająco.

– Zięba czci bohatera – wyszeptała, a gdy uniósł brwi, dodała: – Potem ci wytłumaczę.

Opuszczali cmentarz, wciąż trzymając się za ręce. Wsiedli do samochodu i w milczeniu dotarli pod blok przy ulicy Florecistów. Pasażerka nie kwapiła się do wysiadania, Pilch odpiął więc swoje i jej pasy, odwrócił się do niej i przypomniał dziwnie zachrypniętym głosem:

– On chciał, byśmy go pożegnali jak przyjaciela, a potem dali spokój i nie nurzali się w smutku. Wolał, by go wspominać z uśmiechem.

– Przecież nie zalewam się łzami.

– No właśnie. Straciłaś szansę na cmentarzu. Teraz trzymaj fason, mała.

– Nie jestem mała. – Zbuntowała się jak zwykle, gdy tak ją nazywał.



– Tia. Już to słyszałem. Posiedzimy trochę u mnie w domu czy od razu wbijamy do pani Ludmiły?

Zerknęła z zaskoczeniem, jakby propozycja wydała jej się niestosowna.

– Do pani Ludmiły – odpowiedziała z przekonaniem. – Na pewno czeka i się niepokoi. Wiesz, jaka ona jest. Rano nawet próbowała przeforsować pomysł, że też pójdzie na pogrzeb, ale udało mi się jej to wyperswadować.

– O! Jak tego dokonałaś? – zainteresował się, bo staruszka mimo słusznego wieku oraz słabego wzroku niełatwo dawała za wygraną.

– Powiedziałam, że wystarczy ci użerania się z moimi zawrotami głowy. Gdybyś musiał holować nas dwie, wszyscy troje wylądowalibyśmy zadkami na cmentarnej trylinie.

– Cwane – pochwalił. – Ani razu nie spotkała Maćka, ale nigdy nie zapominała zapytać o jego samopoczucie.

– Wciąż kazała sobie opowiadać o tym, jak go poznałam. Najchętniej babciowałaby jemu i wszystkim dzieciom z hospicjum.

– Nawet ciasta mu piekła, kiedy jeszcze dopisywał mu apetyt. Ta kobieta ma serce na dłoni.

– Mhm. Mnie też przygarnęła w zasadzie bez powodu. Wpuściła pod swój dach obcą osobę w kiepskiej kondycji psychicznej i fizycznej. Karmiła mnie, pomagała się myć, a wszystko dlatego, że ją poprosiłeś.

Bartek uniósł kąciki ust, bo pierwszy raz tego dnia poczuł wokół serca coś ciepłego, dobrego, co może nie było czystą radością, ale mogło ją zwiastować, a na pewno dawało na nią nadzieję. Poglaskał dłoń Ady.

– Po prawdzie to mi cię ukradła. Wykorzystała, że byłem nieźle skołowany i wystraszony tym, co ci się przydarzyło. Użyła różnych babskich argumentów, przewróciła kilka razy oczami i przekonała mnie, że należy ulokować cię w jej mieszkaniu.

Walicka zmarszczyła czoło, jakby to, co usłyszała, nie do końca zgadzało się z jej wyobrażeniami. Jakoś dotąd ten temat nie pojawił się w ich rozmowach, postanowiła zatem dotrzeć do sedna decyzji, która zapadła bez jej udziału, a determinowała jej obecne życie.

– Myślałam, że to była twoja inicjatywa, żeby zachować trochę swobody i nie użerać się z nieruchawą kłódą od rana do nocy. Prawie nie wstawałam z łóżka.

Pozwoliła sobie na uszczypliwość, lecz jej rozmówca bez trudu odparował:

– No jasne, bo mnie generalnie odrzuca od kobiet leżących w łóżku. A im ładniejsza, tym większy budzi wstręt.

– Okej, nie jestem sprawiedliwa. Przepraszam. Na pewno kierowało wami mnóstwo ważnych i paskudnie racjonalnych powodów.

Zrobiła niewinną minę i zatrzepotała rzęsami. Pilch nie wiedział, jak to traktować. Momentami sprawiała wrażenie oderwanej od rzeczywistości, zatopionej we własnych myślach, odrętwiałej, do czego niewątpliwie przyczyniały się leki, które dostała przy wypisie ze szpitala. Miały stać na straży jej spokojnego snu i wyciszać stany lękowe – czyli w zasadzie robić wszystko to, o co zakochany mężczyzna wolałby zadbać osobiście. Jednocześnie potrafiła zachowywać się niezwykle otwarcie i beztrosko. Szukała z Bartkiem kontaktu, chętnie spędzała z nim czas, wydawała się zadowolona, gdy ją przytulał, otaczał troską, a nawet gdy zdarzało mu się zagalopować, bo nie potrafił pohamować pocałunków i czułych słów, które mnożyły mu się w głowie, puchły, a potem samoistnie wylewały wprost na nią. Nie dało się nad nimi zapanować. Najchętniej spakowałby jej walizkę i przeniósł ją z obecnego lokum do własnego znajdującego się tuż obok, na tym samym piętrze, lecz sąsiadka uparcie powtarzała, że to nie czas. I trudno było odmówić tej szelmie racji.

– Dobrze wiesz, że tak. – Postanowił się wytłumaczyć. – Zastępuję cię i Majkę w fundacji, a gdy wracam, zjawia się Borys i ślęczymy nad *Skrzydłami*. On nie jest szczególnie dyplomatyczny, ostatnio rzadko miewa dobry humor i nie dałby ci spokoju nietaktownymi pytaniami. Potrzebowałaś opieki. Pani Ludmiła pomagała ci nawet pod prysznicem w obawie, że zemdlejesz. Powinienem cię krępować moją asystą?

Już miała rzucić z wyższością, że pełen luz i o co te mecyje, lecz przypomniała sobie, jak wyglądało jej ciało po opuszczeniu szpitala, nabrzmiałe od sińców, ledwo zasklepionych ran i zadrapań po napadzie goryli Korneckiego. Wśród nich goiły się też ślady, które zostawił na niej narzeczony w ostatnim akcie brutalnej namiętności, i to one najgłębiej wyryły się na okaleczonej duszy. Nie. Lepiej, że Bartek nie oglądał jej wtedy nagiej. Poczulby wstręt – taki sam, jaki ona czuła, gdy przypadkiem zerkała w lustro. Zdeptana szmaciana lalka.

– Poddaję się – mruknęła.

– Nasza staruszka ogromnie cieszy się z towarzystwa, przyjdzie jednak dzień, w którym odbiję cię z jej rąk i nawet papuga mnie nie powstrzyma.

W oczach Ady na moment zagrały figlarne błyski i rysownik śmiało pochylił się do jej ust. Natychmiast spoważniała i położyła palce na jego wargach.

– Chciałabym z tobą porozmawiać.

– Rozmawiamy – wymamrotał, schował jej dłoń w swojej i uparcie dążył do pocałunku.

Uległa pokusie, ale po chwili stanowczo się odsunęła.

– Muszę ci coś powiedzieć...

– Mmm – zamruczał wprowadzony w romantyczny klimat. – Mów. Najlepiej jakieś czułości... Na przykład że fenomenalnie całuję, że mnie kochasz... albo chociaż że bardzo mnie lubisz.

Chętnie wyznałaby to i jeszcze więcej. Tymczasem od trzech dni gnębił ją temat, którego panicznie się bała, ale jednocześnie wiedziała, że dla dobra ich obojga nie powinna go dłużej odwlekać. Po powrocie z przychodni schowała zdjęcie i opis USG w ciasnej przegródce torebki, by mieć je zawsze przy sobie, wyrzuciła do kosza psychotropy, o których zapomniała wspomnieć ginekologowi, i próbowała skupić się na przygotowaniach do pogrzebu. Jej uwaga przeskakiwała między śmiercią Maćka a rosnącym w jej wnętrzu życiem, dopadały ją na zmianę rozpacz i euforia, strach i odwaga, nadzieja i zwątpienie. Czy to nagłe odstawienie leków tak ją rozchwiało, że nie panowała nad kierunkiem myśli ani zmiennością nastroju? Podobno nie powinno się tego robić w taki sposób... Cóż, po herbacie. Nie łyknie niczego, co mogłoby zaszkodzić dziecku. Nie ma mowy!

– Lubię cię bardziej niż bardzo. – Uśmiechnęła się lekko. – Posłuchaj, powinnam ci to wyjaśnić wcześniej...

– Powinnaś.

– Proszę cię, nie utrudniaj...

Do Bartka wreszcie dotarło, że dziewczyna nie uległa czarowi chwili i nie uda się jej naciągnąć na komplementy. Przypomniawszy sobie, skąd wracają, i także spoważniał. Jeszcze zdążą się nagadać o uczuciach. Byle powoli, w tempie, na jakie Ada potrafi się zdobyć. Trudno wymagać, by z dnia na dzień bez wahania przeskoczyła z łóżka do łóżka. Dopiero sześć tygodni temu zerwała zaręczyny. To ciągle niewiele. Cierpliwość stoi po stronie wspólnej przyszłości, więc dobrze byłoby powierzyć jej wszystkie nadzieje i oczekiwania. Trwałe szczęście trzeba z wysiłkiem wypracować, a nie liczyć na to, że samo przyjdzie i zaserwuje się nam jak na tacy.

– O tej ziębie? – zapytał, sięgając po pierwszy z brzegu niewyjaśniony temat.

– Co?

– Myślisz o tym ptaku, który śpiewał na cmentarzu? Obiecałaś, że opowiesz. Skąd wiesz, że to była zięba?

Przez chwilę wyglądała na zbitą z tropu. Zlustrowała wnikliwie gips na złamanej ręce, jakby pierwszy raz widziała go na oczy, i wróciła spojrzeniem do rozmówcy.

– No. – W jej głosie dało się słyszeć ulgę. – Wychowałam się na wsi, pamiętasz? Znam nazwy drzew oraz krzewów, wiem, kiedy kwitną jakie kwiaty na łące, i potrafię rozpoznać głosy wielu zwierząt. Zięby też.

– Mama cię tak wyćwiczyła?

Potrząsnęła głową.

– Mama zawsze skupiała się na pracy i rzadko miewała czas na głupstwa. Przez te osiem lat, gdy tata mieszkał z nami, zdążył mnie nauczyć mnóstwa rzeczy. Opowiedział mi taką legendę... A może to się zdarzyło naprawdę? –

Zamyśliła się. – Nigdy nie trafiłam na tę wzmiankę w żadnych zapiskach, wspomnieniach czy książkach, ale z drugiej strony... Tata raczej nie bajdurzył. To historia Antka, dzielnego górala, sieroty, który po swojemu grał hitlerowcom na nosie. Nie przemówiła do niego idea Goralenvolk, piastował w sobie szczery patriotyzm i podczas wojny zajmował się przynoszeniem meldunków i przeprowadzaniem przez Tatry na słowacką stronę ludzi, którzy z jakichś przyczyn musieli wydostać się z kraju.

– Uciekinierów?

– Niekoniecznie. Zwykle żołnierzy lub szpiegów. Nie pytaj, bo nie znam się na tym. Czasem pojawiała się potrzeba, by dotrzeć do rządu polskiego w Londynie i przekazać ważne informacje czy dokumenty. Oczywiście Antek nie był jedynym kurierem. Dziś wielu z nich ma na Pęksowym Brzyzku w Zakopanem pamiątkową tablicę. Góry stanowiły jedną z najbardziej niebezpiecznych, ale najpewniejszych dróg. Jeśli same nie pokonały wędrowca, miał szansę opuścić cały i zdrowy okupowaną Polskę.

– Co ma do tego ptak?

– Ano ma, bo w czterdziestym czwartym roku szczęście tego chłopaka się skończyło.

– Dorwali go Niemcy?

– Właśnie nie. Tatry bywają srogie nawet dla górali, jeśli człowiek przeceni swoje możliwości. On był trochę za odważny, nieco zbyt ufny we

własne siły. I to go zgubiło.

– Jak się nazywał?

– No Antek, mówiłam.

– A dalej?

– Nie wiem. Na tej pamiątkowej tablicy go nie uwzględniono. To sierota przybłąda, od małego pałętał się w okolicach Zakopanego, pomagał przy wypasie owiec za kawałek chleba i dach nad głową. Skończył zaledwie osiemnaście lat.

– I co się z nim stało?

– Zginął wtedy, w zimie. Przeprowadził ludzi, nie chciał zostać na noc po słowackiej stronie i gdy wracał, dopadła go zadymka. Zasłabł, musiał być niezłe wymarznięty, zszedł ze szlaku i... spadł w przepaść. Mój tata opowiadał o tej tragedii barwnie i ze szczegółami, ale z pewnością fabularyzował, bo niby skąd znałby ją tak dokładnie. Antka znaleźli dopiero wiosną w okolicach Bobrowieckiego Żlebu. Wiesz, gdzie to?

– Nie.

– A Grzesia kojarzysz?

– Kogo?

Ada przewróciła oczami.

– Nie kogo, a co. To szczyt. Może znasz chociaż Dolinę Chochołowską? Nie łąziłeś nigdy po Tatrach?

– Dolina mi świta, chociaż tam nie byłem. Zawsze jeździłem w Bieszczady. Nic na to nie poradzę. – Rozłożył ręce w przepraszającym geście.

– To wszystko znajduje się w jednej okolicy. Generalnie nie po mojej stronie. Tatry Zachodnie.

– Co to znaczy, że nie po twojej stronie?

– Dalej od mojego domu. Łapszanka leży nieopodal Tatr Bielskich i Wysokich. Na wschód od całego pasma, w kierunku Pienin.

– Okej, ale i tak nie łąpię, co to ma wspólnego z ziębą.

– No właśnie. Podobno wiosną, gdy znaleźli ciało Antka, rozćwierkała się nad nim zięba. Stara góralka, z takich, co to ze wszystkiego potrafią wyczytać ukryte znaczenie, mówiła, że z tego chłopaka był cichy bohater, zwyczajnie dobry, choć nie obnosił się ze swoją odwagą ani nie zrobił w życiu nic na tyle spektakularnego, by wspomniano o nim potem latami. Nikt nie postawił mu pomnika, nikt nie opisał go w książkach. Dlatego śpiewała nad nim zięba. Nie słowik czy któryś inny z najwytrawniejszych

śpiewaków, ale zwykły, niewielki ptak, nawet dość pospolity, uczcił pamięć szarego, niemal anonimowego dzieciaka, który nie zdążył nacieszyć się życiem.

– Pasuje do Maćka. Podobałaby mu się ta historia.

– Też tak myślę. Dlatego cieszę się, że ją sobie skojarzyłam.

– Usłyszałaś o Antku, gdy miałaś osiem lat, i tak głęboko zapadł ci w pamięć?

– To jedno z moich ostatnich wspomnień z tatą, dlatego jest takie wyrazne. – Ada oświadczyła poważnie.

– Może powinnaś do niego napisać albo go odwiedzić? W zakładach karnych takie spotkania są przecież możliwe... – Bartek podsunął rozwiązanie, lecz ona milczała, otworzył więc drzwi samochodu, czym zachęcił, by wysiadła.

Mechanicznie się temu poddała. Tęsknota za ojcem była tak wrośnięta w jej życie, że na co dzień nie szarpała za serce. Dopiero ostatniej wiosny poznała prawdę o wydarzeniach, które zamknęły go w celi, wciąż jednak nie znalazła w sobie sił ani odwagi, by chociaż we własnej głowie stawić temu czoła. Odkładała tę kwestię na później, tak jak przed kwadransiem odłożyła rozmowę o ciąży. Chwyciła się trelu zięby jak najprostszej drogi ucieczki. Dopadły ją żal, wstyd i rozczarowanie samą sobą. Gdy wchodzili do windy, szepnęła półgłosem:

– Kiedyś byłam Don Kichotem, a teraz tchórzę jak zwykły ciuśmok.

Pilch wcisnął guzik z właściwą cyfrą, przyciągnął dziewczynę do siebie i pocałował w czoło.

– Nawet jeśli to prawda, nadal będę twoim Sancho Pansą.

Rozbroiła ją ta prosta deklaracja. Pod powiekami piekł ból po Maćku. Bała się, kogo jeszcze przyjdzie jej stracić.

### 3.

W niedużym dziecięcym pokoju z jasnymi meblami oraz mnóstwem składanych i sklepanych modeli wszelkich maszyn latających siedział przy biurku dziesięcioletni Tymek Pilch. Oszukiwał samego siebie, że ogromnie mu zależy na dokładnym przerysowaniu Messerschmitta Me 262 Schwalbe zwanego Jaskółką z ekranu smartfona na kartkę. Nie szło ni w ząb, bo trzęsły mu się ręce i ołówek raz za razem wyczyniał nie to, czego chłopiec by oczekiwał. Sztywne wargi poruszały się niemal bezgłośnie, szukały ukojenia w słowach piosenki, która grzmiała w wetkniętych w uszy słuchawkach i powinna zagłuszyć krzyki z drugiego pokoju. Tata często ją nucił, gdy dopisywał mu dobry humor, i Tymek celowo wyszukał właśnie ten utwór na Spotify. Nie interesował go sam tekst, którego nie rozumiał. Muzyka też nieszczególnie przypadła mu do gustu, ale nie miało to znaczenia, bo w ten sposób chłopiec próbował wyrażać choćby szczątkową solidarność z ojcem i swój protest przeciwko temu, co działo się za ścianą.

– „Byłaś dla mnie wszystkim, co się w życiu liczy. Teraz, gdy po wszystkim, wszystko jest już niczym” – szeptał, wtórując w refrenie zespołowi Poparzeni Kawą Trzy.

Coś huknęło, jakby któreś z rodziców rzuciło ciężkim przedmiotem o ścianę. Chyba nie zaczęli się bić? A jeśli? Takie rzeczy się zdarzają. Ojciec Marcela miał twardą rękę i gdy wracał z pracy wkurzony, często obrywało się temu, kto akurat mu się nawinął. Dawniej, bo teraz Marcel już z nim nie mieszka. Takiego rodzica ani takiego domu mały Pilch nie chciałby mieć za nic w świecie, lecz akurat w tym momencie los kumpla był mu obojętny, bo sam czuł się zrozpaczony i zagubiony. W życiu by się do tego nie przyznał, ale zwyczajnie się bał.

„Jaskółka – pierwszy użyty bojowo samolot myśliwski o napędzie odrzutowym”. Oczy dziecka prześlizgnęły się po literach, które dziwnie straciły ostrość. Grafitowy rysik zbyt mocno wbił się w papier, nie wytrzymał nacisku i złamał się, powodując, że skrzydło Messerschmitta paskudnie się wykrzywiło. Coś takiego nie miałoby prawa latać, pomyślał chłopiec. Ze złością rzucił ołówkiem o ścianę. W tym samym czasie w sąsiednim pokoju znów coś łupnęło, a krzyki się wzmogły. Może zadzwonię po stryjka, pomyślał. Przyjedzie i jakoś uratuje sytuację. On zawsze wie, co zrobić...

Chwycił w dłonie telefon, lecz naszły go wątpliwości. Nie, to zły pomysł. Mama za stryjkiem nie przepada. Nigdy nie rozmawiają normalnie.

Zachowują się jakoś sztywniacko, całkiem jak Tymek na zakończeniu roku szkolnego. Nauczycielka go namówiła, by powiedział wiersz na akademii przed całą szkołą, kolegami i ich rodzicami. Okropność. Chłopiec stał wyprostowany, jakby go ktoś spetryfikował, i siłą woli wydusił przez zęby wyuczony tekst. W dodatku pomylił się przy ostatniej zwrotce i miał wrażenie, że wszyscy się śmieją. Mama ze stryjkiem zawsze wymieniali wyłącznie zwykłe uprzejmości, właśnie tak, jakby się obawiali, że wylądowali na scenie i za chwilę zapomną swojej kwestii. Zdecydowanie telefon nie rozwiąże aktualnych kłopotów.

– Bo co? – wrzeszczała mama dziwnie niskim głosem, jakiego jej syn jeszcze nie słyszał, choć w dziedzinie kłótni rodziców nabierał coraz bogatszych doświadczeń. – Zabronisz mi?! A może się rozplaczesz albo zaczniesz błagać, żebym zmieniła zdanie?

– Przestań, do cholery! Naprawdę musisz na każdym kroku mnie upokarzać? Taką ci to sprawia frajdę?!

– Sam się upokarzasz tym, jak się łasisz, jak skamlesz o wszystko, jak gapisz się jak zbity pies. Rzygać mi się od tego chce! Gdybyś raz zachował się jak prawdziwy facet...

– Czyli jak? Przełożył cię przez kolano i wpierdolił czy zawłókł za włosy do sypialni? I co? Wtedy nagle byś mnie zaczęła szanować?! – wydierał się ojciec i Tymek był pewien, że podczas krzyku kropelki śliny tryskają mu z ust, a mama odsuwa się jak najdalej, krzywiąc z obrzydzeniem twarz, bo nie chce, by cokolwiek do niej doleciało. Słowa też nie do końca do niej trafiały. Zwykle sprawiała wrażenie, jakby odbijała je niewidzialną tarczą. Spadały więc z łoskotem na panele, roztrzaskując się na sylaby lub nawet głoski i tracąc przy tym znaczenie. – A może przestałabyś rozmyślać na okrągło o tym, jak rozjechać rodzinę?

Teraz już na pewno mama zmarszczyła groźnie czoło, bo nie znosi, gdy tata używa brzydkich słów, pomyślał chłopiec, kiedy podnosił z dywanu złamany ołówek, a następnie temperował go z zaciętą miną, jakby ten nędzny kawałek drewna odpowiadał za przetaczającą się nad mieszkaniem nawałnicę.

– Panuj chociaż nad słownictwem, skoro nad niczym innym nie potrafisz. Jaką rodzinę? To dawno zgłiszcza.

– Bo wszystko rozpieprzałaś – odparł ojciec, nagle zniżając głos. – Zaczęłaś jedenaście lat temu, kiedy przeleciał cię mój brat, a potem w kółko szukałaś okazji, by przed kimś innym niż ja wyskoczyć z majtek.



– Jesteś żenujący. – Mama także spuściła z tonu, jakby właśnie skończyła jej się para. – Zostałam z tobą, urodziłam ci dziecko, a ty przez cały czas nie potrafiłeś mi wybaczyć tamtego jednego wyskoku i nieustannie spodziewałeś się kolejnych. Tak działa samospełniająca się przepowiednia. Tym razem moje plany nie łączą się z żadnym facetem. Jadę do pracy! Dociera?! – Znowu dodała decybeli i Tymek nie musiał specjalnie się wysilać, by każde słowo wybrzmiało mu w uszach mimo wciąż dudniącej muzyki. Nie chciał słuchać, a jednocześnie nie mógł dopuścić, by umknęło mu coś ważnego. – I proszę tylko o to, żebyś zajął się dzieckiem.

– Czym?! – ryknął ojciec tak głośno, jakby resztki samokontroli właśnie go opuściły. – Czym, do kurwy nędzy, dzieckiem?!

– Masz wątpliwości?

– Zawsze miałem.

– To dlaczego nigdy nie sprawdziłeś? Wystarczy proste badanie.

– A ty?

Tymek odłożył ołówek oraz temperówkę, nie zważając na to, że strużynki spadają na dywan, wysunął słuchawki z uszu, wstał i na palcach podszedł do drzwi. Przyłożył ucho do drewna tuż przy klamce i starał się nie oddychać, by nie uronić ani słowa. O co chodzi? Wyobraźnia nie potrafiła przełożyć zasłyszanej dyskusji na fakty. Jakie znowu badanie? Po co? Mówią o dziecku. Chyba o nim, bo o kim innym?

– Mnie to niepotrzebne. Nie mam wątpliwości, że to mój syn. Sama go urodziłam. Żadnego z was przy tym nie było.

– Przecież byłem gotów...

– Nie potrzebowałam widowni, by opróżnić własną macicę. Wystarczyła położna.

– Ale Bartka byś nie odprawiła z kwitkiem, prawda?

– To nie twoja sprawa, Borys. Jeśli poczujesz się bardziej komfortowo, mając w ręce wyniki testów, nie widzę przeszkód – mówiła teraz spokojnym, niemal przyjaznym głosem. – Bylebym mogła zawalczyć o karierę. Poświęcę jeden rok wyłącznie na pracę, a ustawię się na lata. Nie mogę w tym czasie szarpać się z dzieckiem, bo wtedy mi się nie uda. Nie widzę też sensu, by go odrywać od szkoły, kolegów, otoczenia. Jakie by nie były fakty, w dokumentach widniejesz jako ojciec Tymona, do ciebie mówi „tato”. Uważa za naturalne i bezpieczne, że z nim mieszkasz. Dlatego powinieneś się nim zająć, gdy wyjadę. Twój brat może ci służyć, jak do tej pory, jako *backup*. Raczej nie odmówi.

– Dziwisz się? Nie jest idiotą. – Tata mówił tak cicho, że Tymek zaryzykował i uchylił drzwi. Przez cienką szparę wpadło jasne światło i kolejne słowa, które kompletnie go skołowały. – Liczy się z możliwością ojcostwa i stąd jego poczucie obowiązku. A może łudzisz się, że nieustannie cię kocha i próbuje to wyznać przez troskę o dziecko? Dlaczego do niego nie odeszłaś, tylko męczyłaś się pod jednym dachem z tym gorszym Pilchem?

– Mam dość, Borys. Skończyliśmy rozmowę – oznajmiła stanowczo mama.

Wypadła do przedpokoju. Chłopiec na szczęście zdążył docisnąć skrzydło drzwiowe do framugi i tym samym uniknąć zdemaskowania. Stał z ręką na klamce i ani drgnął do momentu, gdy głośne trzaśnięcie oznajmiło, że matka wybiegła z mieszkania. Wówczas dopadł do biurka, runął na krzesło i wcisnął słuchawki w uszy. Chwycił pierwszą z brzegu kredkę i energicznie kolorował koślawe skrzydło Messerschmitta. Z trudem tłumił pchający mu się na usta krzyk. Nie chciał rozumieć ani przyjmować do wiadomości zasłyszanej sceny, a jednak w kółko obracał w głowie jej treść. Czy to znaczy, że nikomu na nim nie zależy? Ani mamie, bo planuje go zostawić, ani ojcu, bo uważa, że Tymek nie jest jego synem, ani nawet stryjkowi, który jest przecież najfajniejszy na świecie? Czy to możliwe, że bawił się z bratankiem, kupował mu modele samolotów i zabierał go na lotnisko tylko z obowiązku, a nie dlatego, że lubił spędzać z nim czas? Czy da się udawać, że się kogoś kocha? Po co?

Drzwi się uchyliły i do pokoju wszedł tata. O ile to jest jego tata. Nieważne, teraz nie da się przecież tego rozstrzygnąć. Pewnie za chwilę się odezwie. Nie może zobaczyć, że Tymkowi zaszklily się oczy. Nie jest mazgajem, niedawno skończył dziesięć lat i dużo już w życiu przeszedł. Kiedyś w przedszkolu rozbił kolano i zakładali mu szwy. Potem, już w trzeciej klasie, starsi chłopcy próbowali spuścić mu manto i wcale się nie bał. No, prawie wcale. Poza tym dwa razy skakał ze spadochronem. W tandemie, raz z tatą, a raz ze stryjkiem. Jest odważny, potrafi sobie radzić ze strachem i nerwami.

– Co rysujesz? – zagadnął Borys, starając się, by jego głos zabrzmiał bez troski.

Przystanął za dzieckiem i położył mu lewą dłoń na ramieniu. W prawej ścisnął szklanekę z bursztynowym płynem, w którym tuliły się do siebie dwie kostki lodu.

Whisky, ocenił dzieciak ze znanstwem i odparł bezbarwnym tonem:

– Jaskółkę.

– Kolor trochę nietrafiony – ocenił ojciec, zerkając na kartkę. – Za bardzo trawiasty ten zielony. Nie masz takiej jak myśliwiec na zdjęciu?

Chłopiec wzruszył ramionami i pociągnął nosem.

– Nie. Stryjek obiecał mi kupić duży zestaw kredek, pięćdziesiąt kolorów, ale chyba zapomniał. Ostatnio brakuje mu czasu. Nawet jak się ze mną widzi, to ma głowę gdzie indziej. Mama Adriana tak mówi, gdy Adrian dostaje uwagę, bo nie uważa na lekcjach.

– Ta. Trochę przeholował z obowiązkami i trudno złapać z nim kontakt. Dlaczego nie poprosiłeś o kredki mnie albo mamę? – Pilch przysiadł ciężko na niskim tapczanie, upił łyk ze szklanki, odstawił ją na biurko, zdjął okulary i zaczął bez celu bawić się nimi, przekładając z jednej dłoni do drugiej.

– Ty ciągle nie masz humoru, a mama to już w ogóle... Wyjedzie, prawda? I nas zostawi?

Chłopiec obrócił się na krześle, by złowić spojrzenie rodzica.

– Raczej nie uda nam się jej zatrzymać.

– Australia jest strasznie daleko. Sprawdziłeś, ile godzin się tam leci?

– Po co?

– Sprawdź – poprosił Tymek z naciskiem.

Pilch stęknął teatralnie, by pokazać, że ustępuje tylko dla świętego spokoju, wepchnął okulary na nos i przez kilka minut grzebał w wyciągniętym z kieszeni smartfonie.

– Z Polski do Melbourne... około dwudziestu godzin – odparł wreszcie, nie unosząc głowy znad ekranu.

– Okropnie długo. Co to jest Melbourne?

Ojciec poczuł kielkującą złość. Nie miał ochoty rozmawiać na ten temat z nikim, a już szczególnie z dzieckiem. Zatopił usta w alkoholu. Trochę pomogło.

– Miasto.

– To, w którym mama będzie pracować?

– Tak. Do czego ci potrzebne te informacje?

Dzieciak prychnął, jakby pytanie nie trzymało poziomu.

– Żeby wiedział, jak szybko da radę wrócić, gdyby coś się stało.

– Niby co?

– Nie wiem. W życiu różnie się zdarza. Może mi się przytrafi wypadek na rowerze, po którym zawieziesz mnie do szpitala, albo pobiję się z kolegami

na przerwie i będę miał ranę z krwotokiem. W zeszłym roku tak się stało Adrianowi i przyjechało po niego prawdziwe pogotowie. Cała szkoła mu zazdrościła.

– Czego?

– Że jechał na sygnale – odparł chłopiec, machnąwszy ręką, jakby to była oczywista rzecz. – Jeszcze może być tak, że zapomnisz tych swoich tabletek i będziesz miał ciśnienie.

Borys uśmiechnął się krzywo.

– Zawsze mam ciśnienie. Ty też. To warunek życia.

– No to co ci jest, jak mówisz, że masz ciśnienie? – Dzieciak poczuł się zbity z tropu.

– Za wysokie ciśnienie.

– No właśnie. Będziesz miał za wysokie ciśnienie i jak sobie poradzimy? Albo jak obaj dostaniemy gorączki i kichawki? He?

– Nie martw się na zapas. W razie kichawki przyjedzie twój stryjek i ugotuje nam jakieś wstrętne mikstury z czosnkiem, imbirem i co mu tam jeszcze w ręce wpadnie. Nie zostawi nas na lodzie.

– Czemu na lodzie? Jest lato.

Pilch westchnął i przewrócił oczami. Nie umiał rozmawiać z dziećmi. Kolegów Tymka unikał jak morowej zarazy. Z nim samym też opornie szło, choć niewątpliwie był mu bardzo bliski. Kochać kogoś a mieć z nim wspólny język to dwie różne sprawy. Przecież Magdalенę też kochał...

– Zostawić na lodzie to znaczy zostawić bez pomocy w potrzebie.

– Tak po chamsku?

– Ta. Pasuje ci to do stryjka?

– Pasuje mi do mamy – oznajmił chłopiec ponuro, odwrócił się do biurka i skoncentrował na głębokim ryciu zielonym rysikiem po grubym papierze. Faktycznie, do kitu ten kolor. Samolot jaskrawy jak zagon sałaty zmniejszałyby szanse przetrwania podczas prawdziwej bitwy powietrznej. Ale z drugiej strony dlaczego ma to Tymka obchodzić? To był niemiecki myśliwiec, latał we wrogiej armii.

– Nie przesadzaj – mruknął Borys, żeby uciąć temat, i nieco zbyt energicznie wychylił szklankę do dna. Cienka strużka spłynęła mu z kącika ust wprost za kołnierz koszuli. Wzdrygnął się. – Skoczmy do sklepu po te kredki. Dokończ Jaskółkę, a ja się przebiorę.

– Nie możesz prowadzić auta, bo piłeś whisky.

– Słusznie. Przejdziemy się piechotą. Przy okazji zahaczymy pizzerię.

Wstał, stękając lekko, i ruszył do drzwi. W progu dogonił go głos chłopca.

– Tato... Zamiast pizzy zróbmy to badanie. Nie będę się bał, obiecuję.

– Słyszałeś...

– Nie chcę, żebyś się denerwował. Lepiej wiedzieć na pewno. Jak czuję, że skiepsiłem klasówkę z matmy, to wolę, żeby pani szybko ją sprawdziła i oddała, niż tak czekać i rozmyślać.

– Naprawdę?

– No. Też chciałbym mieć pewność, jak to ze mną jest...

Borys nabrał powietrza, jakby chciał zaprotestować, ale w ostatniej chwili zrezygnował. Starał się ze wszystkich sił nie pokazać po sobie, jak bardzo Tymek go zaskoczył. Jest śmiały, bezpośredni i nie waha się wychodzić kłopotom naprzeciw. To, i nie tylko to, łączy go z Bartkiem. Zawsze nadawali na tych samych falach. Jaka jest zatem szansa, że wynik testu wypadnie na korzyść człowieka, który w akcie urodzenia widnieje jako ojciec? Taka jak na to, że Magdalena po rocznym pobycie w Australii wróci i zechce nadal bawić się w dom. Ale może faktycznie lepiej wiedzieć?

– Najpierw zorientuję się, co i jak, bo może tam trzeba się umówić. Potem to załatwimy. Teraz idziemy po kredki.

#### 4.

Z ogromnych głośników ustawionych w dwóch narożnikach salonu grzmiał koncert skrzypcowy D-dur Czajkowskiego, wypełniając pomieszczenie finałowym *allegro vivacissimo*.

Amazonka żółtogardła wędrowała dziarsko po kuchennym bufecie, zaczepiając na zmianę dziobem oraz pazurkami rozsypane na nim kolorowe guziki w rozmaitych rozmiarach i kształtach. Pani Ludmiła Gołębiwska raz po raz strofowała ptaka zdecydowanym: „zaniechaj, gadzino!”. Papuga niespecjalnie się tym przejmowała, co potwierdzały strącane na ziemię pstrokate krążki. Starsza pani straciła wreszcie cierpliwość, wyciągnęła rękę i odsunęła psotnika na bok w nadziei, że bez niego zdoła naprawić uszkodzoną poszewkę na podłużny niewymiarowy jasiek, pamiątkę sielskich chwil u boku męża rusycysty.

Nabyła ów kawałek materiału z orientalnym kwiatowym wzorem na targu w Iżewsku podczas wyprawy do Kazania i Permu. Poprzedniego dnia owego wojażu zwiedzali muzeum w Wotkińsku – niewielkim miasteczku, w którym urodził się Piotr Iljicz Czajkowski – a potem kochali się przy dźwiękach *Dziadka do orzechów*. Rano Zygmunt przyniósł jej filiżankę czaju i oznajmił, że tym razem na pewno urodzi się dziecko, powinni więc pomyśleć o beciku. Ludmiła dała się namówić na tę przepiękną poszewkę i parę razy przeszło jej przez myśl, że na tak dużym jaśku można by wygodnie ułożyć niemowlę, a nawet nosić je opatulone niczym w królewskich piernatach.

Zygmunt miał rację i w ciążę – owszem – zaszła, z tym nie miewali problemu. Niestety na barwnej szmatce z Iżewska nigdy nie zasypiało żadne dziecko. Na pociechę wciąż snuła wspomnienia tamtej gorącej nocy, kiedy to miłość splotła się z przepijaniem toastów na wieczną chwałę mistrza Czajkowskiego. Radziecka stolicznaja jako wódka z tradycjami sprawdzała się znakomicie. Idealnie wchodziła z ogórkiem kiszonym i lepioskami.

Zoja chwyciła w dziób największy z guzików w intensywnie czerwonym kolorze i związała ze zdobyczą do ustawionej za kanapą wysokiej metalowej klatki, która stanowiła jej azyl.

– Rabuś! – krzyknęła za nią Gołębiwska. – Powiadam ci, jesteś zwyczajną sroką złodziejką, a do tego pstrokaciarą i tandeciarą. Oddawaj!

Nie chciało jej się wstawać i szamotać z ptaszyskiem, w ramach zemsty chwyciła więc w rękę pilota i wyłączyła muzykę. Amazonka, oburzona jawnym gwałtem na jej ulubionych dźwiękach, zatrzepotała skrzydłami, nie

zdecydowała się jednak na oddanie łupu. Miała swój ptasi honor i dumę, a ponad wszystko upór godny stada dorodnych osłów. Zdążyła umieścić guzik na wąskiej deszczulce stanowiącej podstawę jej ulubionej huśtawki, po czym beztrąsko go porzuciła, gdy usłyszała dzwonek do drzwi. Poleciała do przedpokoju, przysiadła na starym fotelu z wypłowiałym obiciem i cierpliwie czekała. Pani Ludmiła nie wstawiała z kuchennego stołka. Krzyknęła tylko zachęcające „włącz!”, w wyniku czego klucz w zamku się przekręcił i w pomieszczeniu zjawili się dwoje ludzi.

Kobieta była dość nowa, ale już w miarę oswojona. Papuga traktowała ją na granicy przychyłnej obojętności i umiarkowanej sympatii. Mężczyznę znała od lat, wielbiła ponad wszystko i starała się przykuwać jego uwagę skrzekliwą oracją w języku swego ukochanego kompozytora, czyli po rosyjsku. Bez wahania sięgała przy tym po niewybredne, plugawe słownictwo, które przyswoiła w czasach, gdy mieszkała w gabinecie profesora Gołębińskiego na Wydziale Filologii Słowiańskiej.

– *Tupica, tupica, tupica!* – zaskrzeczała, kiedy krążyła nad głową Bartka i waliła go skrzydłami w głowę.

– Cześć, Zoja. Tego jeszcze nie znałem. Co to znaczy?

– Tępak – odpowiedziała spokojnie pani Ludmiła ze swojego miejsca przy bufecie.

– Znów padam ofiarą jej niewyparzonej gęby – poskarżył się.

– Chyba dzioba – poprawiła go Ada z rozbawieniem.

– *Zatknis tupoj! Davaj orrreh!*

– Zoja! – krzyknęła starsza pani, próbując zapanować nad pierzastym uosobieniem nietaktu. – Zwariuję z nią dzisiaj. Najpierw mi kradła guziki, a teraz zachowuje się jak wróbel z rysztoła, a nie amazonka. Wstydy!

– Uważaj, bo znowu dostaniesz szlaban na Czajkowskiego. – Bartek ostrzegł ptaszysko. Wyciągnął z kieszeni orzech włoski i położył go sobie na otwartej dłoni. – Proszę bardzo, poczęstuj się, tylko nalegam, zachowuj się przy tym jak dama.

Papuga chwyciła zdobycz, zaniósła na huśtawkę, a po chwili w ramach podziękowania wypuściła z dzioba zrabowany guzik wprost na głowę mężczyzny. Czerwony krążek odbił się od krótkich ciemnych włosów z nieco zbyt dużymi zakolami stanowiącymi forpocztę łysiny, po czym stuknął o podłogę u stóp Walickiej. Zoja specjalnie się tym nie przejęła. Przysiadła na oparciu fotela, przekrzywiła łebek i wyskrzeczwała:

– *U mienia k tiebie chustwa.*

– Że co?

– Uczucia ma dla ciebie – odpowiedziała staruszka stojąca w progu salonu. – Kocha cię po prostu.

– Aaa... I bardzo dobrze, bo ja ją też. Czegoś zimnego byśmy się napili. Zrobię lemoniadę, pani Ludmiło, dobrze?

– Zrób, tylko z prądem. Znaczą drineczka. I zjedzcie coś. Pogmeraj w lodówce – zachęciła Gołębiewska, po czym objęła Adę ramieniem, choć była od niej o ponad głowę niższa. – Jak się czujesz? Błada jesteś okropnie, chodź, usiądziemy. Igłę nawleciesz, co? Bo mi nie idzie, paluchy stare to takie już, powiem ci, kostropate i nie słuchają. A guzik się urwał od poszewki. Zgubiłam gdzieś albo mi ta sroka ukradła. Szukałam innego w zamian, gdy przyszliście.

– Ten? – spytała dziewczyna, po czym podniosła z podłogi czerwony krążek i podsunęła staruszce pod nos.

– Nie. Ten porwała przed chwilą. Mówię ci, utrapienie z tym ptakiem.

– Lemoniada gotowa – ogłosił Bartek i przywołał kobiety do kuchni.

– Dla mnie bez wkładki – zastrzegła stanowczo Ada.

– Dlaczego? – Gołębiewska nie rozumiała, jak bez poważnego powodu można zrezygnować z paru kropel czegoś mocniejszego, choćby w lemoniadzie. Nie upijała się, co to, to nie. Przepadała za lekkim rauszykiem osiąganym z pomocą czystej wódki, po kusztyczku na jedną oraz na drugą nóżkę, ostatnio jednak coraz częściej ulegała presji młodego sąsiada, by przynajmniej podczas kanikuły odrobinę rozcieńczać alkohol, i pozwalała serwować sobie drinki. Głowa i serce już nie takie. Starość to zdradziecka menda. Poczłapała do bufetu i przycupnęła na swoim stołku. – Toż idealne na rozluźnienie. Nie można bez końca poddawać się smutkom.

– Nawalona nie nawlekę igły – wyjaśniła sprytnie dziewczyna i ulokowała się na sąsiednim taborecie. – Przyszyję ten guzik. Wezmę czerwony, którym rzucała Zoja. Rozmiarem jest zbliżony do pozostałych, więc będzie pasował do dziurki.

– Nikt ci się nie każe ubzdryngolić – mruknęła staruszka, aby tylko mieć ostatnie słowo, ale już nie naciskała.

Ada w mgnieniu oka uporała się z wyzwaniem i uśmiechnięta podała gospodyni naprawioną poszewkę.

– Brawo, zasłużyłaś na posiłek – oświadczył Bartek i postawił przed dziewczyną talerzyk z sałatką oraz jej ulubiony sok z pomarańczy.



Spojrzała na kolorową breję, zakręciło ją w nosie od przypraw, aż poczuła szarpnięcie w żołądku. Zakryła usta dłońmi, zbladła do barwy fety i pognąła do łazienki.

– Słabe, chluśnij jeszcze tej soplicy. Nie wiem, czemu mi tak żałujesz – fuknęła Ludmiła.

– Wyłącznie z miłości. – Gość teatralnie złapał się za serce i ukłonił w pas.

– Czy ja ci już przytaczałam stare rosyjskie przysłowie?

– Niejedno.

– Ale o wódce.

– Też niejedno.

Gołębiewska pogroziła mu palcem.

– Sto wiorst – nie droga – wygłosiła patetycznym głosem – sto rubli – nie pieniądz...

– Sto grrram – nie wódka – dokończyła Zoja i trzepnęła ulubieńca skrzydłem w ucho. – *Daj mne orrreh!*

– A umiesz grzeczniej? – Bartek uśmiechnął się, udając, że się od niej ogania.

– *Pożalujsta moj liubimyj!*

Skapitulował i sięgnął do kieszeni po przysmak.

– Jak ja powiem *pożalujsta*, to chluśniesz? – Staruszka nie dawała za wygraną.

– Wlałem kieliszek.

– Ledwo naparstek, i to niepełny.

– No, sokoli wzrok. Powinszować.

Oberwał za to zdrowego kuksańca i zamierzał dalej brnąć w przyjazne złośliwości, lecz pani Ludmiła nagle spoważniała.

– Martwię się o Adulkę – oznajmiła, po czym ostrożnie upiła łyk lemoniady.

– Czemu? Lekarze niczego się nie doszukali – tłumaczył. Nabrał sałatkę na widelec i wepchnął sobie do ust. – Tak twierdziła. Osłabienie rekonwalescencją, stresy i tyle. Na pogrzebie się jakoś trzymała, to teraz nerwy wlażyły jej na żołądek.

– Ostatnio notorycznie jej tak wlażą. Każdego ranka, a bywa i w środku dnia. Czy to możliwe, że zmalowałaś Bartusiątko? – Figlarnie zawiesiła głos.

Jej rozmówca przysiadł na taborecie i zacisnął palce na szklance.

– Pani raczy żartować. Jak i kiedy? Niech sobie pani przypomni, w jakim stanie ona była jeszcze miesiąc temu. Poobijana, posiniaczona, obolała. Za kogo mnie pani ma?

– Wybacz, chłopaku. Plotę bzdury. – Gołębiewska się zawstydziała i pogłaskała wychudzoną kościstą dłonią jego ramię. – Ale to nie jest niemożliwe, prawda? To, że ona ma w sobie dziecko. Przeniosła się do mnie prosto od tego pozał się Boże narzeczonego. Tfu, niech mu diabli klejnoty w piekielnym ogniu usmażą! To wcale nie było dawno. Takie mdłości byłyby zasadne, nie sądzisz?

– Nie – mruknął, uderzył otwartą dłonią w blat i naraz wychylił resztę swojego drinka. Zerwał się i nerwowo okrążył pokój, po czym stanął naprzeciwko kuchennej wysepki i oparł zwinięte pięści na bufecie. – Nie pomyślałem o tym... Nie chcę, cholera jasna!

– To się klei, Bartuś. Na początku nie miewała takich torsji mimo wstrząśnienia mózgu. Jestem stara, ale swój rozum mam. Dolej. Myśli się rozjaśnia.

Skapitulował. Napełnił jeden kieliszek czystą wódką i po krótkim wahaniu podał go staruszce. Czuł, jakby budowany gdzieś wewnątrz niego z wysiłkiem zamek nagle runął, zamieniając się w nieforemną kupę piasku oraz błota. I co teraz? Jak powinien postąpić? Zapytać wprost? A potem? Udawać, że nic się nie zmieniło? Liczyć na to, że samo się jakoś ułoży? Niby jak? A może poczekać, aż ona się przyzna? Cholera, przecież dopiero co w samochodzie mówiła, że powinni porozmawiać, a także wczoraj wieczorem i jeszcze poprzedniego dnia, ale Bartek był pochłonięty organizacją pogrzebu, więc zbywał ją lub zwyczajnie nie zwracał na nią uwagi. Takie są jego miłość i wsparcie? Do diabła!

– Idę do niej. – Zdecydował i wyprostował się sztywno. – A soplęcę na dziś zwalniam z posterunku. Pani Ludmiło, żadnej samowolki! – oznajmił i schował wódkę do lodówki.

Zerknął na ekran smartfona. Dostrzegł, że kilka razy dzwonił brat, postanowił jednak go zlekceważyć i wetknął komórkę z powrotem do kieszeni. Zapewne znowu dał w gaz i chciałby się nad sobą poużalać. W ostatnich tygodniach sięgał po dawne pretensje z niezwykłym upodobaniem. Bartka to niezmiernie irytowało. Temat dawno przepracowali, nic nowego się nie zdarzyło i nie zdarzy, więc po kiego grzyba się truć?

Staruszka obserwowała go, delektując się każdą kroplą alkoholu i gładząc opuszkami palców materiał kolorowej poszewki. Potrafiła wytrąbić te swoje

obowiązkowe dwa kielonki i nie tracić rozsądku ani klasy. Tymczasem Borys po szklance whisky wydawał się nie do zniesienia. Okropność.

Drzwi łazienki zastał uchylone i przez szum lejącej się z kranu wody usłyszał fragment rozmowy.

– Nie chcę. Mówiłam ci kilka razy. Nie potrafię wymyśleć niczego, co mógłbyś mieć mi do powiedzenia.

Głos Ady brzmiał pewnie, choć musiała być wzburzona. Pilch momentalnie się zdenerwował, bo odgadł, że dzwoni Jacek i chce wymusić na byłej narzeczonej spotkanie. Podejmował już takie próby. Jakiś czas temu o tym wspominała. Bartek namówił ją na zmianę numeru telefonu i myślał, że sprawa została załatwiona. A tu takie buty.

– Niech to szlag – mruknął i wszedł do środka.

Dziewczyna siedziała na brzegu wanny potargana, z zachłapaną bluzką i dłonią wetkniętą w strumień wody. Jej policzki drgały, gdy rytmicznie zaciskała szczęki.

– O, tu mi przepadaś – rzucił na tyle głośno, by na pewno dotarło do jej rozmówcy.

Pokiwała głową, jakby czekała z rozwiązaniem problemu na jego obecność i wsparcie. Przetarła mokrą dłonią twarz, po czym warknęła zaskakująco stanowczo:

– Nie życzę sobie więcej takich bzdur! Nie dzwoń do mnie!

Następnie rozłączyła się i odłożyła komórkę na pralkę. Rysownik odetchnął z ulgą.

– Wymiotowałaś?

Zaprzeczyła.

– Myślałam, że się nie obejdzie, ale to był tylko straszak.

– Boli cię coś? Zjesz kolację?

– Nie. Najchętniej już się położę. Poleżysz ze mną, aż zasnę?

Uśmiechnął się. Głupie pytanie.

– Zawsze i wszędzie – zapewnił.

Przytrzymał jej włosy, gdy myła twarz, przeczekał szorowanie zębów i zaprowadził ją do dawnego gabinetu profesora Gołębiewskiego, który od ponad sześciu tygodni stanowił jej sypialnię. Opuściła w oknach grube ciemne rolety, otworzyła drzwi szafy i skryła się za nimi. W półmroku zsunęła z siebie spodnie, a czarną bluzkę zamieniła na długi, luźny T-shirt. Bartek starał się zachować obojętność i nie wgapiać w jej ciało jak Zoja

w orzechy włoskie, lecz przegrywał z kretesem. Dziewczyna zdawała się nie dostrzegać tych wysiłków. Weszła pod kołdrę i położyła się na boku.

– No chodź – poprosiła i poklepała dłonią poduszkę.

– Wodzis na pokuszenie.

– Taka karma.

Najchętniej zrzuciłby z siebie żalobny strój, lecz do takiego poziomu zażyłości jeszcze nie doszli, by mógł epatować przy niej golizną. Kilka razy kładł się z nią na łóżku, przytulał ją, całował jej skronie i usta, jeszcze zanim zeszły z nich ślady przemocy, a potem czekał, aż ona spokojnie zaśnie. Jakie to było niewyobrażalnie trudne – odłożyć na bok wszystkie emocje, które nim targały i podjudzały go do coraz śmielszego eksponowania miłości. Nie chodziło tylko o to, że marzył, by rozebrać ją do naga, dotykać, całować i kochać z taką czułością, takim żarem, jakich ten bandyta Zawadowicz w życiu by z siebie nie wykrzesał. Chciał snuć plany na przyszłość, zachwycać się nią samą oraz nimi razem, tym, jaki tworzą niepowtarzalny duet. Pchał mu się do głowy groteskowy wręcz natłok sentymentów, tkliwości, a nawet podniosłego romantyzmu. Wszystkiego, co do niedawna wydawało mu się marnowaniem czasu i bzdurą. Choć nigdy nie stronił od kobiet, dopiero skończywszy trzydzieści lat, pierwszy raz zakochał się na zabój. Tymczasem życie uparcie nie chciało układać się bajkowo...

Wsunął się w ubraniu pod przykrycie i wyciągnął ramię, by Ada mogła się na nim wygodnie położyć.

– Nie musisz odbierać takich telefonów – oznajmił.

– Zamierzałam na niego nawrzeszczyć, żeby mu w pięty poszło, ale trochę słabo się czuję i zabrakło mi pary. Skądś skołował mój nowy numer i w ostatnich dniach wysłał kilkadziesiąt esemesów.

– To śmierdzi stalkingiem.

– Myślisz? Uznałam, że może faktycznie ma coś ważnego...

– I o co chodziło?

Walicka wzruszyła ramionami.

– Zamiast przejść do konkretów, wymieniał listę moich rzeczy, które u niego zostały, i namawiał, bym wybrała się z nim do jego matki.

– W jakim celu?

– Podejrzewam, że nie wie, jak jej wyjaśnić, czemu nie będzie ślubu. Nie przyzna przecież, że raczył koncertowo spieprzyć wszystko na całej linii.

Pilch nie miał ochoty nad tym deliberować. Pozostawała druga sprawa, delikatniejsza i jeszcze bardziej niewygodna.

– W samochodzie nie chodziło ci o tego Antka od zięby – zagaił.  
Natychmiast się spięła.

– Masz czas? *Skrzydła* cię nie wzywają do roboty?

– Przyznały mi urlop okolicznościowy. Poza tym nie mogę zawieść Maćka. Wymógł na mnie przysięgę, że gdy odejdzie, skupię się przede wszystkim na tobie.

Pochylił się nad nią i musnął jej wargi. Pierwszy raz, potem drugi i kolejny. Całował ją niespiesznie, by nie dać się opętać zmysłom, za to przeciągał tę przyjemność w nieskończoność, uciekając od obawy, czy Ada mu się za moment nie wymknie, nie postawi między nimi muru z przykrych wspomnień, z jej nienazwanych uczuć, które nie muszą oznaczać kochania, bo mogą okazać się tylko wdzięcznością, oraz z tego, co być może już w niej kiełkuje i z czym będzie musiała sobie poradzić, mimo że wydawało się to niemożliwe.

W końcu to ona przerwała i – ledwie oderwawszy się od jego ust – wyszeptała słowa burzące splecione oddechy:

– Nie zasługuję na ciebie.

Odwróciła się plecami, objęła ramionami brzuch i zadygotała, jakby dostała dreszczy, chociaż widział, że nie płakała i z pewnością nie zrobiło jej się zimno.

– Pleciesz androny. – Spróbował przywołać ją do porządku. – Pani Ludmiła podejrzewa, że jesteś w ciąży. Po to poszłaś do ginekologa? – spytał wprost, by jak najszybciej zyskać pewność, choć w głębi serca modlił się o zaprzeczenie.

Zamarła i przez chwilę zdawało mu się, że nawet przestała oddychać. Wreszcie skuliła się, podciągając kolana pod brodę, i powiedziała, starając się brzmieć szczerze i stanowczo:

– Nie planowałam tego ani się na to nie godziłam. To się stało w koszmarny sposób. Najgorszy. Tylko co to zmienia? Nie odeszłam od Jacka na czas, chociaż mnie ostrzegałeś i sama czułam, że powinnam. Mam za swoje, nie? Zimą urodzę dziecko.

Coś mu zawirowało w okolicy gardła i z ciężkim tąpnięciem runęło na dno brzucha. To się naprawdę stało, pomyślał. Do stu piorunów, co robić!?! Zmusił się, by powiedzieć coś krzepiącego:

– Nie oskarżam cię ani nie próbuję namawiać do pozbycia się kłopotu...

Odwróciła się do niego i zajrzała mu w oczy.

– Tylko niczego w tym momencie nie deklaruj ani nie szukaj dla mnie na siłę pocieszenia.

– To czego oczekujesz? – Poczul się lekko zdeprimowany, jakby zepchnęła go na bocznicę, choć dotąd w jej rozkładzie jazdy nie zdążył porządnie się umościć na zasadniczym i wiodącym torze. – Robię, co mogę. Nieustannie twierdzę, że jesteś silna. Zdołasz pogodzić się z tym, co się zdarzyło, i zacząć żyć od początku.

– Nic nie rozumiesz.

– Nic? – Oburzył się i usiadł, podpierając dłonią o materac.

– Jak mogłabym zacząć nowe życie, skoro noszę w sobie kawałek starego?

– Chcesz wrócić do Jacka?! – Wpadł w popłoch i mimowolnie podniósł głos. – Ada! To nie jest wyjście.

W przelocie pogratulował sobie, że nie uległ pokusie i się nie rozebrał. W czarnej koszuli i dżinsach łatwiej było mu zachować godność w tej konwersacji.

Walicka westchnęła i przeczesła palcami włosy.

– Uspokój się. Niczego takiego nie powiedziałam. Obiecywałeś mi cytrusowy gaj i skok ze spadochronem, pamiętasz? Dzięki tobie w ogóle jako tako się trzymam.

– Nie wycofuję się.

Usiadła skrzyżnię naprzeciwko niego i złapała go za rękę. Starła się panować nad głosem, choć każde słowo z trudem przechodziło jej przez gardło.

– Prosiłam: bez deklaracji. Poukladałeś to już sobie w głowie? Jesteś w stanie jasno powiedzieć, że pokochasz cudze dziecko i zdołasz traktować jak własne? Będziemy razem we troje albo wcale. Wiem, brzmi okrutnie, może nawet cynicznie, ale ja nie mam wyboru, a ty tak.

Delikatnie uwolnił swoją dłoń z jej ręki i potarł nią czoło.

– Mała, ja nie miałem jeszcze okazji, żeby oswoić się z tą nowiną, a co dopiero wyrobić sobie zdanie i opakować je jakoś zgrabnie we własne emocje. Póki co przede wszystkim się boję.

– Powiedziałabym ci od razu, gdyby nie Maciek. Dzieje się za dużo, za szybko i to wszystko jest bardzo trudne.

– Musimy zwolnić – zaordynował i wstał.

– Zostawiasz mnie?

– Po prostu wychodzę. Śpij – zaproponował i pochylił się, by ją pocałować. – Będziemy jeszcze o tym rozmawiać, ale pozwólmy trochę opaść emocjom.

– Naprawdę chciałam z tobą skoczyć ze spadochronem – zapewniła, jakby ten drobiazg miał moc zachowania ich relacji w równowadze.

– Obawiam się, że to jedno z tych marzeń, o których chwilowo musimy zapomnieć.

Wyszedł, delikatnie zamykając za sobą drzwi. Natychmiast poczuła się zawiedziona i porzucona. Pogłaskała się po brzuchu i zmusiła do zamknięcia oczu.

## 5.

Dusznna noc z wolna przechodziła w poranek. Słońce ledwo zdążyło wyskoczyć nad przepych pienińskiej zieleni i strzelało promieniami w bezbronną skalistą nagość tatrzańskich szczytów. Niebo było bezchmurne, monotonne w swym intensywnym błękicie, jedynie gdzieś hen na południu jasna rysa na gładkiej tafli bezkresu nienachalnie donosiła, że człowiek jest zdolny do wszystkiego, skoro zdołał uwolnić się od twardej powierzchni ziemi i nauczył latać.

– Grunt to mieć cel i wierzyć w sukces – mruknął Stefan, pocierając knykciami zaspane powieki.

Uhlik otarł mu się o nogi, wskoczył na murek, przysiadł, zmrużył oczy i raz po raz poruszał niezwykle długimi wąsami. Był doskonale czarnym, niewielkim kotem o wydłużonym pyszczku i godnej podziwu gracji w ruchach. Imię zawdzięczał słowackiej sąsiadce Heleny – Terezce, która pod koniec zeszłego wieku wyszła za łapszańskiego Piotra Taterniuka. Gdy trzy lata temu okociła jej się ruda Milka, Helcia postanowiła przygarnąć najmniejsze kociątko wyróżniające się spośród braci i sióstr ciemną maścią.

– Pewnie to ojcowe geny, żeś taki niepodobny do matki – zawyrokowała, głaszcząc mięciutkie futerko. – Będę cię wołać Węgielek.

Zwierzątko przewróciło się na plecki i z lubością poddawało pieśszczocie.

– Lepiej Uhlik – zasugerowała sąsiadka, z uciechą obserwując tę komitywę. – To węgiel po naszymu, a krótsze i łatwiej zapamiętać. Widzisz, już cię polubił.

Kot stał się powiernikiem sekretów Heli oraz wiernym towarzyszem jej cichego życia wypełnionego pracą wokół domu, modlitwami oraz od czasu do czasu wylewaniem łez. Wskakiwał jej wówczas na kolana i lizał ją po dłoniach, jakby rozumiał jej potrzebę uwierzenia w to, że nie jest skazana na samotność, bo kogoś obchodzi jej los.

Tymczasem od kilku dni po domu kręcił się facet i Uhlikowi było to nie w smak. Intruz podrapał go za uchem. Kot łypnął na niego z wyższością i zeskoczył w trawę, co pozwoliło mu odsunąć się od natręta. W cieniu drewnianej ławki jął czyścić futerko, jakby dłoń człowieka co najmniej go splugawiła. Nie zwykł bratać się z byle kim. Tolerował tylko Helenę, Terezkę i jeszcze Adę, choć ta zjawiała się rzadko. Obcych, bez wyjątku, obdarowywał wzniosłą pogardą. Taki miał kaprys i już.

Stefan rozejrzał się po podwórku. Wyglądało schludnie i czysto tak samo jak wewnątrz domu. Helcia dbała o dobytek na miarę skromnej renty



i z pewnością ponad swoje siły. Dziwne, że syn jej tu w niczym nie pomagał. Młody jest i nieźle zarabia. Przyjeżdżał co najmniej trzy razy w roku. I nic? Nawet ręką nie ruszył? Drzwi stanowczo wymagały wymiany, a co najmniej solidnego odnowienia, rynny pordzewiały, dach także prosił się o uwagę, bo nawet jeśli nie przecieka, to wkrótce z pewnością zacznie.

Walicki obszedł budynek dookoła, wnikliwie przyglądając się murom. Uhlik, nie spuszczać z mężczyzny oka, dreptał za nim w bezpiecznej odległości, przyczajony w trawie. Ściany zdrowe. Okna też ujdą, wystarczyłoby odmalować ramy i framugi. Są stare, ale z mocnego drewna. To porządny dom, nie ma co, i za duży dla samej Heleny, zwłaszcza że nie będzie coraz młodsza. Jacek nie wróci tu na stałe. Co najwyżej zajrzy, jak dotąd, na wakacje czy święta, choćby i bez Ady.

Dlaczego ona od niego odeszła? Naprawdę zakochała się w innym? Czy to możliwe? No pewnie, odpowiedział mu cichy głos w głowie. Stefan też zapragnął odejść od żony. I odszedłby, gdyby zdążył. Wahał się przez dwa lata, nieudolnie ukrywał coraz liczniejsze zdrady, bo hamowała go myśl o córce. Nie chciał jej skrzywdzić, a jednak skazał na dorastanie bez ojca, pod opieką kobiety, którą zawiódł, popchnął do zbrodni oraz do utraty zmysłów.

Gabriela Walicka zadała czternaście ciosów nożem. Zadziałała instynktownie, gdy Edward Zawadowicz, dowiedziawszy się o zdradzie żony, wpadł rozwścieczony do domu, zepchnął Helenę ze schodów, powodując otwarte złamanie kości udowej, po czym rzucił się z pięściami na ośmioletniego syna. Jacek stał się świadkiem śmierci ojca, a gdy już po fakcie w miejscu dramatu zjawił się kochanek matki i odebrał zabójczyni nóż, mały powtarzał na okrągło: „Przez niego nie mam już tatusia”. To samo zeznał policji i nieświadomie ułatwił Walickiemu drogę za kratki.

Gabriela nie czuła się winna, lecz wyłącznie oszukana oraz przyparta do muru koniecznością obrony bitego chłopca. O tym, że to ona sama doniosła Edwardowi o relacji kochanków, nie pamiętała lub nie chciała pamiętać. Cieszyło ją, że uniknęła więzienia i mogła zostać przy córce.

Helcia, opętana bólem, zeznała wszystko, co Walicki zalecił, po czym zabrano ją do szpitala. Stefan pod wpływem szoku zagubił granicę swoich i cudzych win, biorąc na siebie odpowiedzialność za niepopelnioną zbrodnię. Modlił się do wszystkich świętych o wstawiennictwo i naprawdę sądził, że postępuje słusznie. Każdy kolejny rok w celi wypłukiwał z niego wiarę w Boga i w sens tej odsiadki. Pozostało w nim jedynie przekonanie, że

miłość to najpotężniejsza siła. Nie odrywa człowieka od ziemi, a jednak prowadzi zarówno do nieba, jak i w czeluści piekieł, jak kto sobie zapracuje lub – co wydawało mu się bardziej prawdopodobne – jak się komu przytrafi.

Na szczęście to przeszłość. Spędził kolejną noc w łóżku Helci, z którą kochał się niemal tak jak przed laty, obudziwszy się zaś, poczuł, że zażył już dość absolutnego zapomnienia wypełnionego seksem, relaksem i prostym domowym jedzeniem. Był gotów ruszyć dalej i rozważał, dokąd skierować kroki.

Ogrodzenie za domem nie wytrzymało próby czasu. Dwa metalowe słupki przechyliły się tak, jakby się sobie kłaniały. Poszarpana siatka najeżona końcówkami spękanego drutu zwisała w formie czegoś na kształt kulawego hamaka i z pewnością nie chroniła obejścia.

Ukryty w trawie Uhlík zjeżył się i prychnął ostrzegawczo. Zabrzmiało to niezwykle głośno w porannej ciszy i Stefan zerknął na niego zaskoczony, po czym omiół wzrokiem okolicę. Przez pole nadbiegł wychudzony kundel. Kształt pyska sugerował, że któryś z jego antenatów otarł się o owczarka niemieckiego. Pachniało mezaliansem ze znacznie mniejszym psem, bo zwierzę sięgało człowiekowi ledwo do kolan. Uszy zwisały niesymetrycznie, podskakiwały przy każdym ruchu, a podpalana sierść lepła się od brudu. Mieszaniec dał susa na uszkodzone ogrodzenie. Przednia lewa łapa zaplątała mu się w oczka siatki, a ostro zakończony drut ją skaleczył. Pies zaskomlał, wyrywał się desperacko i zakleszczał coraz bardziej. Kot, kierując się sobie tylko znaną logiką, podskoczył bliżej i zjeżywszy się w wielką czarną kulę, wymachiwał pazurami tuż przed oczami biedaka, nieustannie prychnając. Walicki odruchowo ruszył na pomoc. Gdy odgonił Uhlíka, tuż za nim uchyliło się okno.

– Ostry sukinsyn, dziabnie cię – ostrzegła Helena. – To Dżoczi od Mrocza.

Mężczyzna podrapał się z konsternacją po świeżo ogolonej brodzie.

– To może iść po niego? Zwierzak się sam nie uwolni.

– Toć już przed Bożym Ciałem go pochowali. Stary był, obie wojny pamiętał.

– A co z psem?

– Nic. Samopas lata. Na co ludziom taki obszarpaniec? – Kobieta wzruszyła ramionami, oparła łokcie na parapecie i cierpliwie odsunęła dłonią pchającą się przed twarz firankę.

– To pewnie głodny?

– On zawsze głodny. Przepadzity jest. Czasem ktoś jakiś ochłap rzuci, ale jemu wiecznie mało.

Stefanowi coś zacisnęło się w piersi z żalu, zerknął w czyste niebo, jakby szukał na nim nieistniejących podpowiedzi, po czym wrócił spojrzeniem na zwierzę. Zapadnięte boki niemo obwieszczały rozpaczliwe położenie nieszczęśnika. Smutek w oczach dopełniał obrazu tragedii. W człowieku zagotowała się złość na ludzką obojętność, opanował ją jednak i podszedł do okna.

– Daj mi coś do jedzenia.

– Na śniadanie zapraszam do kuchni. – Wyprostowała się sztywno i zacisnęła mocniej poły podomki.

– Nie dla mnie.

– Dla niego?

– Tak. Nie spieraj się, Helcia. On cierpi, za chwilę sobie gorzej tę łapę uszkodzi. Muszę go czymś przekupić.

– Chleba przyniosę. Kiełbasy dla kundla nie dam. To nie restauracja.

Stefan westchnął ciężko.

– Może być. Naszykuj też wodę utlenioną i bandaż. Trzeba go opatrzyć, bo krwawi. Oddam ci pieniądze.

– Po co takie wygibasy dla wyliniałej łajzy? On sobie poradzi. Nie masz się kim zająć? – mruknęła ni to ze zdziwieniem, ni to z pretensją, ale już nie oponowała i zniknęła w głębi domu.

Walicki energicznie przepędził Uhlika, który szykował się do kolejnego natarcia.

– Wynocha! Zdurniałeś jak twoja pani? – warknął. – Leżącego będziesz kopał?

Oburzony kocur umknął za załom muru i z dala czuwał nad rozwojem sytuacji, co jakiś czas miaucząc i prychając. Nie podobał mu się zamęt, który dwaj intruzi siali na jego prywatnej posesji.

Pies nie tknął chleba z wyciągniętej dłoni, chociaż obwąchał go i nawet się oblizał. Stefan uznał, że kwestia łapy jest zatem bardziej paląca. Wkroczył na zniszczoną siatkę i przykucnął bez gwałtownych ruchów.

– Jak mówiłaś, że się wabi? – spytał.

– Dżoczi – odparła Helena.

– Od czego to?

– Skąd mam wiedzieć? Idź na cmentarz i Mrocza pytaj.

Walicki nie skomentował jej złośliwości.

– Cicho, Dżoczi, cicho – przemawiał wolno, łagodnym głosem, by uspokoić skomlącego zwierzaka. – Musisz mi zaufać. Nic nie ryzykujesz, bo gorzej już nie będzie. Dobry Dżoczi, dobry...

Delikatnie położył dłoń na psim łbie i pozwolił sobie na krótką pieszczotę. Wsunął palce w zmatowiałą z brudu sierść i powoli głaskał. Skomlenie zmieniło się w przeciągłe westchnienie. Dwie pary oczu na chwilę się spotkały. Ogon drgnął, wachlując niemrawo, po czym pies szarpnął się i zapiszczał żałośnie.

– Boli. Zaraz na to zaradzimy. Bądź cierpliwy i pozwól mi działać.

Mężczyzna ponownie położył suchą pajdkę na otwartej dłoni, ale zwierzak nie rwał się do jedzenia, zatem Stefan wepchnął ją w kieszeń bluzy, delikatnie odplątał luźny drut i stanowczym ruchem odgiął zaciśnięte na psiej łapie oczko siatki. Kłębowisko potarganej sierści zaskomlało, wyrwało się gwałtownie, po czym odskoczyło na kilka metrów przygarbione i niepewne tego, co będzie dalej. Nie uciekło jednak w pole. Bystre koraliki obserwowały człowieka z czymś na kształt niedowierzania i dawno już zarzuconej nadziei.

– Nie uciekaj. Nakarmię cię i obejrzę ranę.

Stefan nie spuszczał wzroku z psa, ostrożnymi krokami pokonywał zniszczone ogrodzenie. Wreszcie przykucnął obok i powolnymi ruchami ułożył na trawie cztery kromki chleba. Dżoczi rzucił się na nie zachłannie, coraz pewniej merdał przy tym ogonem.

– Wsuwaj – mrucał mężczyzna, choć psiak nie potrzebował zachęty. – Nie pozwolę, żebyś głodował i cierpiał.

– Za próg go nie wpuszczę! – zastrzegła głośno Helena ze stanowiska przy oknie. – Zapchlony jak nieszczęście!

– To nie wpuszczaj – odparł Walicki. – Mam swój dom. Wystarczy, że zwrócisz mi klucze.

Poczuł, że to słuszny krok. Zyska ciszę, spokój, własne cztery kąty i psa łaknącego bliskości. Reszta spraw może poczekać. Obszedł dookoła posesję wzdłuż siatki i dotarł do frontu. Kundel, posiliwszy się nieco, szedł za nim na przygiętych łapach, walcząc ze strachem. Od czasu, gdy został całkiem sam, zdążył się nauczyć, że ludzie to krzyki, kamienie, niekiedy razy, ale też szansa, by choć na chwilę oszukać uporczywy głód. Tęsknił za Mroczkiem i jego ciepłymi dłońmi. Nie rozumiał, dlaczego nagle go opuścił, czym skazał psa na tułaczkę. Stefan cmokał i pogwizdywał zachęcająco. Zwierzak poddawał się temu instynktownie i podążał za nim, ale odmówił wejścia

furtką na podwórko, gdy pojawił się Uhlik, który groźnie wymachiwał łapami i prychał.

– Serio, boisz się kota? To poczekaj tutaj. Siad – powiedział Walicki i ze zdziwieniem skonstatował, że polecenie zostało wykonane. W nagrodę podrapał psa za uchem. – Dobry Dżoczi. Mądry – pochwalił. Celowo przywoływał bez ustanku jego imię, by przez znajome brzmienie wzbudzać zaufanie. – A z ciebie zwykły burak. Serca nie masz? – zbeształ Uhlika i ruszył do drzwi.

W progu wpadł na Helenę.

– Co zamierzasz? – spytała z niepokojem.

– Działać. Nie mogę w kółko wylegiwać się w betach pod twoimi skrzydłami. Zajmę się nim u siebie w domu. To nie jest stary pies, tylko zabiedzony, do tego mądry, widać, że Mroczek o niego dbał i nauczył go posłuszeństwa.

– Nie będziesz miał wygod. Po tym, jak cztery lata temu Gabriela trafiła do szpitala, Ada nawet nie chodziła do tego domu.

– Dlaczego?

– Bo ja wiem? Może bała się wspomnień.

– Mówiłaś, że matka była dla niej dobra!

– Bo to prawda. Kochała córkę, ale rzadko się uśmiechała. W kółko pracowała i dziecku nie dawała próżnować. Nie wiodły wesołego życia.

– Ale Ada nie wyrosła na ponurą? – upewniał się, zerkając przez okno na siedzące po dwu stronach furtki zwierzęta. Nie spuszczały się z oczu, w każdej chwili gotowe do walki.

– Nie. Pogodna jest. W ostatnich latach nocowała zawsze u mnie. Skoro w Łodzi mieszkali razem bez ślubu, to co się mieli krygować? Zagubili się w grzechu i pewnie stąd te nieszczęścia.

– Jakie nieszczęścia? – spytał. Słuchał piąte przez dziesiąte i pakował w pośpiechu skromny dobytek do plecaka.

– No, że zerwała zaręczyny.

– Bzdury. My przez ostatnie dni też żyliśmy bez ślubu i raczej ci się podobało. Niby z ciebie rozsądna kobieta, a czasem jak coś palniesz...

– Czyli to koniec? – rzuciła znienacka piskliwym głosem.

Zaszklily jej się oczy, ręka zatrzęsła na kuli i Stefana ogarnął wstyd.

– To nie tak, Helcia, nie tak. – Dopadł do niej, gładził jej jasne włosy, całował skronie, policzki i usta, wycierał opuszkami łzy. – Przecież ty wiesz,

że żadnej kobiety nie kochałem tak jak ciebie. Tęskniłem tyle lat – szeptał. Oboje wiedzieli, że to prawda.

– Ale mieszkać tu nie chcesz? Wystarczył pretekst, byle kundel, żeby uciec?

– Będę przychodzić w odwiedziny. Nie powinniśmy się spieszyć. Potrzeba czasu, żeby się poznać na nowo.

– Przecież się znamy od dawna...

– Nie rozumiesz. Muszę poznać przede wszystkim siebie i poukładać sobie życie. Jestem na warunkowym zwolnieniu, mam obowiązek spowiadać się kuratorowi z tego, co, jak i po co, szczerzej niż ty proboszczowi. I co mu powiem? Co zrobiłem pożytecznego? Nie mogę oddawać się wyłącznie miłości, chociaż to bardzo kuszące.

Skapitulowała, bo dotarło do niej, że żadna siła go nie przekona. Uparty jak dawniej. Nic się nie zmienił.

– Zajrzysz na obiad? – spytała, dążąc do konkretnych ustaleń.

– Bardziej na kolację. Pewnie zjedzie mi do wieczora z doprowadzeniem domu i psa do ładu – przyznał szczerze.

– Zapakuję ci trochę jedzenia, żebyś po sklepach nie latał. Zresztą, czy ty masz jakieś pieniądze?

Wzruszyła go. Chwilami bywała zimna, wręcz okrutna, a mimo wszystko troskliwa i niezwykle czuła, a nawet namiętna, gdy zapominała o woni kadzidła dzielącej ludzkie czyny na dobre i złe, gdy pozwalała sobie na to, by być po prostu jego kobietą.

– Coś tam mam na początek. Lada dzień rozejrzę się za robotą. Dziękuję.

Pocałował ją tak, że ugięły się pod nią nogi. Niczego nie potrafiłaby mu w tej chwili odmówić. Grzeszyła, znowu z nim grzeszyła, lecz czuła, że to jedyna słabość, jakiej nie potrafi i nie chce się opierać.

Załoczył plecak i wziął w garść reklamówkę z prowiantem. W sieni wsunęła mu w kieszeń spodni klucze od jego domu. Komplet należący do niego, przechowywany przez lata. Ta intymna czynność wywołała na jej twarzy rumieńce.

– Tylko nie zgub – mruknęła, by ukryć zmieszanie.

– Zawstydzona wyglądasz, jakbyś znów miała nie więcej niż trzydzieści lat.

Nie podjęła tematu.

– Nie wiem, czy będzie woda i prąd. Mogła odłączyć. Znaczą córka twoja.

- Nie szkodzi. Dasz mi jej numer telefonu?
  - Chyba zmieniła, bo ciągle wyłączony. Nowego adresu też nie znam.
  - Pamiętasz, gdzie pracuje?
  - W jakiejś szkole dla chorych dzieci w Łodzi.
  - To zapisz mi namiar na Jacka.
  - Esemesem ci wyślę. Tak się teraz robi. Wiesz, on ją kocha. Liczy na to, że ona się opamięta. Zadzwoń do niego, ale bądź delikatny.
  - Nie mam wyjścia.
  - Niech cię Bóg prowadzi – wyszeptała.
- W drzwiach musnął ustami skroń Helci i odszedł, nie oglądając się za siebie. Dżoczi czekał przy furtce. Przywitał go, merdając ogonem. Powędrowali ubitą drogą wzdłuż pól, odprowadzani czujnym kocim spojrzeniem. Uhlik, pozbywszy się intruzów, popędził do kuchni. Jego instynkt jak zawsze nie zawiódł. Helena siedziała przy stole i płakała. Wskoczył jej na kolana, oparł łapki o blat i zaczął ocierać się łebkiem o mokłą twarz. Zamruczał, czym zachęcał do odwzajemnienia pieczyoty.
- I znów zostaliśmy we dwoje – wyszeptała, gdy głaskała go po grzbiecie.
  - Ale wystarczy lamentu. Czas porozmawiać z Jacusiem.

## 6.

– No jasne, znowu nie masz czasu. – Głos Borysa w telefonie zawierał mieszaninę pretensji i żalu w tak skoncentrowanej dawce, że Bartkowi w pierwszej chwili umknęła nieco zachwiana artykulacja rozmówcy. Nie widział jego twarzy, dlatego nie dostrzegł niezdrowych wypieków ani ściskanej w garści szklaneczki z resztką whisky.

– Zaiwaniam es ósemką między Kępem a Wieruszowem. Dojadę do Odry i zawrócę – tłumaczył.

– Po kiego grzyba się pchasz w niedzielę do Wrocławia?

– Po grzybka halucynka. Łysiczkę lancetowatą. Zgra mi się z rosnącym czołem.

– Odwaliło ci?

– O rany, żartuję. Potrzebuję podumać. Pęd aktywizuje mi komórki mózgowo, więc gnam czerwoną rozdeptaną żabą.

Tymek ochrzcił tak niegdyś wiśniowego Nissana 280 ZX. Stryjek zaakceptował nazwę i sam jej ochoczo używał.

– Nieekologiczne wariactwo. Lecisz w kulki. Już nie pamiętam, kiedy gawędziliśmy o sprawach innych niż praca. Niby siadamy nad komiksem w twojej chałupie, ale każdy z nosem w swoim komputerze, a po fajrancie wyganasz mnie, jakby ci się paliło pod nogami.

– Dobrze wiesz, co się ostatnio działo. Gdy udawało mi się wyrwać trochę luzu, wołałem wpaść do was na kawę i przy okazji zobaczyć się z małym.

– Jasne. Jedyne i niezastąpione stryjki.

Młodszy Pilch westchnął i skupił się na wyprzedzaniu ukraińskiego tira. Uznał, że plany mu się nie rozsypią, jeśli na chwilę zarzuci swoje rozmyślenia, by uspokoić i udobruchać brata. Nie chciał spiętrzania animozji. Lepiej sprzątać na bieżąco w rodzinnym chlewiku, niż potem ślizgać się na gnojówce.

– Azaliż innego nie ma.

– Inny by mu nie schrzanił wakacji.

– Do czego pijesz?

– Ostatnio do lustra. Kto mu zimą obiecał letnią wyprawę w Bieszczady? „Tylko my trzej, namiot i plecaki”. Tak gadałeś.

– Dobrze wiesz, że musiałem się wymiksować z pomysłu. Powinniście pojechać we dwóch. Zrób to albo chociaż przemyśl.

– Przemyśl, Przemyśl... – przedrzeźniał go brat. – Wolałbym Rzeszów.



– Tylko przejazdem. Na twoim miejscu celowałbym w Polańczyk albo Zawóz. Można się kąpać w zalewie i łązić po górach. Będzie zachwycony.

– Nie przypuszczam.

Bartek zignorował czarnowidztwo Borysa, bo było tak wszechobecne, że przestało robić na nim wrażenie. Czym prędzej przestawił rozmowę na inny tor.

– Jutro spotykamy się z wydawcą. Potem możemy napić się na szybko kawy.

– Na wolno nie dasz rady?

– Nie. Wieczorem chcę rozmówić się z Adą. W poniedziałek po pogrzebie Maćka dała mi niezłą zagwozdkę do rozkminy i czeka, aż się ustosunkuję. Jeśli zawrócę do Łodzi za mostem Rędzińskim, mam na rozważania jeszcze trzysta kilometrów.

– Czyli ze mną można zwlekać do oporu, a dla niej tydzień to maks?

– Mhm, tobie świat nie rozsypał się z dnia na dzień.

– Skąd wiesz?

– Bo rozsypuje ci się powoli od lat. A u niej rewolucja za rewolucją. W dodatku wykańcza ją ambiwalentny stosunek do całej sytuacji.

– O czym ty mówisz? – Borys się zainteresował. Odkorkował butelkę i do niemal pustej szklanki dolał whisky. Zdążył wziąć spory łyk, zanim brat odpowiedział.

– Poczekaj, zjadę na stację po kawę, bo w gębie mi zaschło.

– A zjeżdżaj.

Długo milczeli. Starszy Pilch wzdychał wymownie i grzechotał szkłem, dzięki czemu Bartek wreszcie odkrył, że jego rozmówca jest może jeszcze nie nawalony, ale z pewnością lekko zawiany. Zatankowawszy nissana, zaopatrzonego w gorącą lurę, wrócił na trasę oraz do zwierzeń.

– Ada jest w ciąży – oznajmił zaskoczony, że po sześciu dniach osvajania się z nowiną zdołał informować o niej z takim spokojem.

– Ło, bracie. – Z głośnika parsknął rubaszny śmiech. – Nawarzyłeś, to pij. Kup pierścionelek i daj na zapowiedzi, przecież darzysz ją epickim uczuciem. Powinieneś być cały w skowronkach.

– Przestań, do diaska! – ryknął młodszy Pilch i ścisnął papierowy kubek. Plastikowa pokrywka odskoczyła i brązowa ciecz ochlapała dżinsy i siedzenie pasażera. – Noż w mordę!

– Bo?

– Bo się polałem kawą! I bo to nie moje dziecko! – Wetknął pojemnik z napojem w uchwyt i usiłował na nowo go zabezpieczyć. Udało się po kilku próbach. – Naprawdę uważasz, że prosto ze szpitala zaholowałem ją do łóżka? Znaczący, owszem, zaholowałem, ale przecież nie w celach orgiastycznych!

– Różne rzeczy masz na sumieniu...

– Owszem. Ale nie widzę korelacji.

– Między damą twojego serca a tym, że swego czasu z premedytacją upiłeś i uwiodłeś mi żonę?

– Sześć lat temu postanowiliśmy dać spokój przeszłości i wspólnie tworzyć komiksy. Wszystko nam ładnie grało. Po co wyciągasz trupa z szafy?

– Bo zaczął śmierdzieć. To wtedy moje małżeństwo weszło na równię pochyłą, przez którą Magdalena leci na Antypody.

– Cholera. Załapała się na ten staż, o którym opowiadałeś w Wielkanoc?

– No. Na rok. A na pociechę zostawia mi Tymka. Taka z niej święta matka Polka od kangurów.

Borys uzupełnił whisky w szklance. Mógłby w tej chwili pić cokolwiek, bo i tak nie czuł smaku. Nic nie miało sensu. Bał się, że nie da rady, nie tyle z opieką nad dzieckiem, co z samym sobą. Kochał Magdaleny. Mimo jej zdrad i tego, jak go traktowała. A teraz ona zniknie. Gdyby nie syn, pewnie już dawno by to zrobiła.

Na dniach się dowie, czy Tymek jest faktycznie jego synem. Przegrzebał internet i okazało się, że to dziecinnie proste. Nie trzeba nawet utaczać krwi. Całą sprawę załatwił dyskretnie i szybko. Wykonał przelew, kurierem przesłał próbkę śliny swojej i dziecka, po czym odbył rozmowę telefoniczną z miłą panią, która go oświeciła, że skoro drugim możliwym dawcą nasienia jest jego brat, należy pogłębić analizę DNA. Był już gotów się poddać i tym samym uciec od potencjalnego rozczarowania, gdy kobieta napomknęła, że problem rozwiąże dostanie materiału genetycznego Bartka i Magdaleny. Borys nieźle się nakombinował, by zdobyć odpowiednie próbki. Skorzystał dla pewności z dwu źródeł: resztek jedzenia i ukradzionych szczoteczek do zębów. Nadał kolejną przesyłkę i w oparach alkoholu oczekiwał na kopertę zwrotną z wynikami.

– Pomogę ci z małym – zapewnił młodszy Pilch. – Jemu będzie najtrudniej. Jak to przyjął?

– Tak se. A ona mu mydli oczy rozmowami przez internet. Banialuki i pic na wodę, mówię ci.

– Przesadzasz. Na pewno będzie z nim w kontakcie.

– Przypuszczam, że wątpię. Ale wiem, czym go pocieszyć. Marzy mu się lotnisko w Piotrkowie. Chyba zabiorę go na skok.

– Lepiej pokopcie piłkę. Na spadochrony umówimy się we trzech. Tylko daj spokój szklance, bo nie znasz umiaru. Jutro o piętnastej widzimy się u wydawcy i masz być trzeźwy.

– Nie rżnij generała – mruknął i jako że miał serdecznie dość połajanek młodszego brata, bez ostrzeżenia się rozłączył.

Po lekkim wahaniu odstawił butelkę do barku. Poczłapał w stronę kuchni i wstawił szklankę do zmywarki. Rzucił okiem na zegar ścienny i skrzywił się, gdy uzmysłowił sobie, że znów przegapił porę obiadu. Wyjął z lodówki paczkę pierogów z serem, wyłożył osiem na talerz i wstawił do mikrofalówki. Gdy się zagrzały, polał je śmietaną i posypał obficie cukrem. Do kubka nalał sok jabłkowy z kartonu i wszystko razem zaniósł do pokoju syna.

Tymek siedział na dywanie oparty plecami o łóżko i czytał *Skrzydła*.

– Obiad – mruknął Pilch i postawił jedzenie na biurku, zsuwając łokciem w kąt kredki, blok rysunkowy i kilka egzemplarzy komiksu, do którego tworzył fabułę oraz dialogi, oddając bratu graficzną oprawę dzieła.

Chłopiec oderwał wzrok od kolejnej przygody dziarskich lotników przeniesionych wraz ze swoim defiantem przez tajemnicze zagięcie czasoprzestrzeni z piekła drugiej wojny światowej do dwudziestego pierwszego wieku. Odwiedzali kolejne zakątki współczesnego świata, co stanowiło pretekst do przybliżenia ich młodym czytelnikom i zapoznawania ich z historią lotnictwa. Całość, przy zachowaniu komiksowej formy, niosła sporo wartości dydaktyczno-wychowawczych i biła rekordy czytelniczej popularności.

– Całkiem niezły ten *Madagaskar* – pochwalił Tymek, podnosząc się z podłogi. – Łe, pierogi? To samo co wczoraj i przedwczoraj...

– Nie marudź. Mama nie ma teraz głowy do gotowania, a ja nie umiem pichcić.

– Stryjek robi najlepszy rosół na świecie. Moglibyśmy do niego zadzwonić i poprosić, żeby nam ugotował.

– Nie dziś.

– Bo już piłeś i nie dasz rady do niego pojechać – zawyrokował dzieciak z ponurą rezygnacją i wyszedł z pokoju. Po chwili wrócił, wymachując ścisłanym w garści widelcem, i oznajmił z przyganą: – Zapomniałeś.

– Stryjek nie ma czasu. Może trochę piłem, ale pijany nie jestem.

– Aha.

W sumie lubił pierogi, ale nie na okrągło, na zmianę z pizzą i smażoną kiełbasą z frytkami. Od zakończenia roku szkolnego jadał w kółko to samo i zaczynał tęsknić za zapachem stołówki w podstawówce.

– Tak sobie pomyślałem... Pogoda jak dzwon. Nie masz ochoty na wycieczkę?

– Na serio czy to takie śliwki na wierzbie jak z wyjazdem w góry?

– Gruszki. – Ojciec uśmiechnął się krzywo, zmierzwił synowi włosy, po czym przysiadł na łóżku. Chłopiec odsunął się i wykrzywił usta, gdy poczuł duszący zapach alkoholu. – Na serio. W góry się też wybierzemy, tyle że sami, we dwóch.

– Nawet jeśli te badania wyjdą... no wiesz...

– To bez znaczenia – skłamał, bo nagły strach w oczach dziecka sprawił, że żadna inna odpowiedź nie wchodziła w grę. – Będę cię kochał tak samo.

Tymek odetchnął i zastrzegł:

– Ale pojedziemy dopiero wtedy, gdy mama poleci do Melbourne.

– Jasne. A na razie proponuję wypad do Piotrkowa. Jutro z rana, bo dzisiaj faktycznie piłem. Powtórzymy wiosenny wyczyn.

Niedojedzona połówka pieroga ześlizgnęła się z widelca i pacnęła w breję ze słodkiej śmietany. Mały nie zwrócił na to uwagi.

– Skok ze spadochronem?! Naprawdę? Super! Stryjek też?

– Nie. Tylko my. Ojciec i syn. Pasuje ci?

– Jasne! – potwierdził z zapałem dzieciak, w biegu sobie tłumacząc, że nie można mieć przecież wszystkiego. Z samym tatą też będzie frajda, chociaż nie taka jak ze stryjkiem. Tata nie umie się tak wygłupiać i zwykle wszystko traktuje okropnie poważnie.

Borys wyszedł, mamrocząc coś o whisky, więc Tymek z zapałem skupił się na jedzeniu. Nie martwił się. Tata często pił, ostatnio coraz częściej, ale zwykle wtedy był spokojniejszy. Nie krzyczał, nie denerwował się o byle co, wobec syna zachowywał się przyjaźniej. Sprawiał wrażenie, jakby mu bardziej zależało, jakby szklaneczka bursztynowego napoju pozwalała się otworzyć na Tymka i wreszcie go zauważyć.

Jutro nic nie wypije, za to pojedą na lotnisko i Tymek znowu doświadczy tej niesamowitej przyjemności, gdy pędzi się coraz szybciej w dół, tnąc powietrze jak pocisk. Serce zaciska się z emocji i kurczy, jak gdyby na krótką chwilę zmieniało się w twardy kamyczek, ale nie trzeba się bać, bo przecież z tatą jest bezpiecznie. Skakał setki razy, razem ze stryjkiem znali się na wszystkich podniebnych tajemnicach. Chłopcu ogromnie to imponowało i marzył, by tak jak oni uczyć się kiedyś w liceum lotniczym. Byłby szczęśliwy, gdyby nie Australia... Bo te testy są bez znaczenia, skoro tata tak mówi. Wylizując z talerza słodką maź, rozmyślał, czy jest coś, co mogłoby zatrzymać przy nim mamę.

## 7.

Zoja przechadzała się po kuchennym blacie, jakby zamierzała komenderować przygotowaniami do obiadu. Stroszyła piórka, przekreślała łebek i wymownie pukała pazurkami w pudełko ptasich biszkoptów.

Ada zamieszała w garnku pełnym zupy z jarmużu i zielonego groszku. Jej ruchy zgrywały się z rytmem głośno dudniącego walca z *Jezióra łabędziego*. Zmikсовana na krem potrawa kusiała konsystencją i zapachem. Wydawała się idealna.

– Nie tykaj! – ofuknęła papugę, która natychmiast poderwała się do lotu i przeniosła ze swym marszem na parapet.

– *Kammennoje serrrdtse* – skomentowała. Wyglądała na obrażoną.

Do salonu weszła Ludmiła, poprawiając na nosie okulary w czerwonych oprawkach.

– Zaraz szyby popękają! Ta menda znów sobie przypomniała, że umie pogłasniać muzykę dziobem?

Obniżyła natężenie dźwięków do znośnej dawki decybeli.

– *Starrraja vedma! Starrraja vedma!* – Usłyszała w odpowiedzi, bo Zoja uwielbiała, gdy Czajkowski grzmiał pełną parą.

– W takim huku nie da się rozmawiać – wyjaśniła Gołębowska i poczłapała do części kuchennej pomieszczenia. – Jak zupa?

– Fajnie pachnie – pochwaliła dziewczyna szczerze zachwycona tym, że woń nie wywołuje u niej mdłości. – Nalewać?

– Nie. Najpierw zrobimy grzanki. Raz-dwa pokroję chleb. Ty z gipsem nie dasz rady. Rozgrzej patelnię, będziesz smażyć. Na wierzch sypniemy tę resztkę startego żółtego sera po wczorajszych paprykach faszerowanych.

– To były najlepsze papryki, jakie jadłam w życiu. Szkoda, że żołądek mi się zbuntował i nie zostały ze mną na dłużej.

– Zupa ci lepiej posłuży. Nie poddam się, jakem Gołębowska. Oddasz jedno, to dostaniesz drugie. Drobną się zrobiłaś jak pięciogroszówka – perorowała Ludmiła, nie odrywając się od krojenia.

Ada nie mogła wyjść z podziwu, jak ona to robi, że mimo osłabionego jaskrą wzroku nie ucina sobie przy tym palców.

– Dobrze, że są jeszcze mniejsze nominały.

– Tia. Szkieletory. Bartek nas dzisiaj nawiedzi?

– Nie mam pojęcia. Od kiedy wie o ciąży, prawie ze mną nie rozmawia.

– Może jeszcze nie oswoił się z sytuacją.

– Na pewno. Sama nie jestem oswojona. Rano jak zawsze przyniósł dzbanek soku z pomarańczy i natychmiast poleciał do fundacji. Pani jeszcze spała. Że też mu się chce go dla nas tak o świcie wyciskać... Wyglądał, jakby nie spał całą noc.

Pierwsza porcja chleba zaskwierczała wesoło i w kilka chwil zamieniła się w chrupiące apetycznie grzanecki. Zoja znów przyfrunęła na bufet i podszczypywała dziobem opakowanie biszkoptów w nadziei, że zwróci na siebie uwagę.

– Dla ciebie wyciska. Ja korzystam przy okazji. Nie poganiaj go. Niech się dobrze nagada sam ze sobą.

– Rozumiem, ale mnie to czekanie wykańcza. W kółko zerkam na telefon, czy aby nie dzwonił, nie pisał. Jakbym była świrnięta.

– Albo zakochana. – Starsza pani uśmiechnęła się z rozmarzeniem. – Wiesz, co Lew Tołstoj mówił o takim czekaniu? Już starczy chleba, więcej nie siekam.

– Co mówił? – spytała uprzejmie Ada, bo choć raczej nie mogło to rozwiązać jej problemów, odwracało od nich uwagę. Zsunęła ostatnie kostki pieczywa na patelnię, a deskę i nóż umieściła w zmywarce.

– Ano, że „często, aby stało się to, czego pragniemy, trzeba tylko przestać robić to, co robimy”.

– Łebski gość. Powinam przestać zbijać bąki i wziąć się do jakiegoś działania. Pojutrze zdejmą mi gips. Może wrócę do pracy?

– Jeśli czujesz się na siłach... Zajęcia z dziećmi sensownie wypełnią ci czas. Grzankom już wystarczy. Wyłącz, bo się przypalą, i łap za talerze, a ja jeszcze sięgnę po czarnuszkę.

– Co to jest czarnuszka?

– Gdzieś ty się wychowała, dziecko?

– *U chorrta na kuliczkah* – odpowiedziała amazonka, nie tracąc z oczu upragnionych łakoci.

– Co ona gada? – Walicką coraz bardziej kusilo, by zacząć się uczyć rosyjskiego, bo uwagi Zoi bywały zarazem zabawne i trafne.

– Po naszymu to coś jak: gdzie diabeł mówi dobranoc. Pewnie jej chodzi o totalne zadupie. Znalazła się mieszcza, co tylko stroi piórka i się za ciastkami rozgląda. Daj jej jedno, bo się nie odczepi i do cna nam życie zatruje, a ja już jestem fest głodna i ślinka mi cieknie na tę zupę.

Dziewczyzna uśmiechnęła się, wyjęła z pudełka jeden ptasi biszkopt i położyła przed ptakiem. Amazonka, nim chwyciła zdobycz i odleciała do

swojej klatki, szturchnęła ją po przyjacielsku dziobem i wyskrzeczwała:

– *Spasiba korrroleva.*

– O, widzisz? Wystarczy odrobina słodyczy i od razu cię namaściła na królową. Cwaniara.

– Z tym zadupiem przesadziła, chociaż wychowałam się na wsi. Za to chyba dość nietypowo, bo gdy tata zniknął, mama szukała zapomnienia w pracy. Do kuchennych zadań raczej mnie nie zapraszała. Zresztą, rzadko cokolwiek robiłyśmy wspólnie. Rozmawiałyśmy w zasadzie tylko tuż przed spaniem, gdy siadałam naprzeciwko lustra, a ona rozczesywała mi włosy. Żyłyśmy obowiązkami, monotonie i bez zbytków. *Ora et labora* – mruknęła, pozwalając sobie na cynizm.

– Przepraszam. Zapomniałam, demencja. Nalewaj.

Walicka uśmiechnęła się do niej z czułością. Staruszce zdrowie szwankowało na każdym niemal froncie, ale akurat pamięć miała na wzór wszystkich porządnych słoni z wyjątkiem Trąbalskiego – doskonałą.

– Tyle sera? – spytała, pokrywając wiórkami ułożone na gęstej zupie grzanki.

– Mhm. Odrobina dla smaku. Czarnuszka to takie ziarenka podobne do kminku, przyjrzyj się. – Gołębiwska wysypała na dłoń nieco przyprawy ze słoika i strząsnęła czarne drobinki na ser. – Niektórzy nazywają ją czarnym kminkiem, ale jest bardziej pikantna. Dodaje potrawie pazura. Idealnie pasuje do pieczywa.

– Wyszkoli mnie pani w gotowaniu tak jak Bartka.

– Jest taka szansa.

Papuga, skupiona na własnym przysmaku, nie omieszkała się wtrącić i wrzasnąć na całe gardło:

– *Prrrijatnogo appetita!*

– Nawzajem, moja droga – odpowiedziała kurtuazyjnie Ludmiła i zanurzyła łyżkę w zupie.

Pałaszowały w ciszy, jeśli nie liczyć skrobania dziobem i pazurami w drewno, na którym amazonka dzieliła smakołyk na mniejsze kawałki.

– Pycha – przyznała Walicka, gdy w jej talerzu ukazało się dno. – Nigdy takiej nie jadłam. Dwadzieścia dziewięć lat zmarnowane.

Starsza pani zachichotała.

– Weź dokładkę.

– O nie, wolę nie ryzykować. Niech się to dobro we mnie uleży, skoro chwilowo nie apeluje o ewakuację. Zostawmy resztę dla Bartka.



– To wyślij mu esemesa, że zupa za nim tęskni.

Rysownik odpisał, że zjawi się, owszem, ale dopiero wieczorem. Nie podał przyczyny, lecz Ada doskonale wiedziała, że jego kalendarz pęka w szwach. Odpadło mu przesiadywanie u Maćka, za to nadrabiał zaległości związane z komiksami. Poza samą pracą twórczą popularność wymuszała na nim kontakty z wydawnictwem, mediami i oczywiście czytelnikami. Postanowiła spokojnie poczekać i nie histeryzować jak podejrzliwa narzeczona.

Narzeczona?! Naprawdę tak o sobie pomyślała? Nie dość jej było jednego koszmarnego narzeczeństwa?! Zdecydowanie dość, szczególnie że Jacek znów od rana do niej wydzwaniał i przekonywał, że muszą się spotkać. Z domu zabrała tylko rzeczy osobiste. Czas porozmawiać o podziale wspólnych dóbr i przy okazji o paru innych kwestiach. Wątpiła, czy jej to potrzebne, chociaż z dnia na dzień powoli zaczynała się łamać, a przy okazji rozważać, czy jest mu winna informację o dziecku.

Dochodziła dwudziesta, gdy Pilch się pojawił. Energicznie zapukał do drzwi. Ada poszła otworzyć, a jej śladem natychmiast podążyła Zoja.

– *Ubljudok! Ubljudok!* – zwyzywała go na powitanie. Nie miał sił na przepychanki, więc przyjął na klatę pogład, że jest draniem, i obdarował papugę włoskim orzechem.

– Czy jest suchy chleb dla konia? – zapytał, przywołując klasykę rodzimej filmografii. – Umieram z głodu.

– Zapraszam na ucztę, bucefale.

– Skoczę pod prysznic, a potem zjem, co dacie, ale może przyniosłabyś obrok do mnie? Zrewanżuję się sernikiem na zimno. Robiłem przed świtem, na pewno już się ściał. Z pomarańczową galaretką, tak jak lubisz – oznajmił i nim zdążyła zareagować, dodał: – Wykonałem ogromny wysiłek umysłowy. Rozłożyłem na atomy i poskładałem na nowo do kupy wszystko, co dotyczy nas dwojga. Chciałbym zaprezentować ci konkluzje i wolałbym w ciszy, bez świadków.

Co ty chcesz mi powiedzieć, pomyślała, gdy zniknął za drzwiami i wracał do swojego mieszkania. Rozsupłasz moje dylematy czy dołożysz tobolek nowych? Odprowadziła go wzrokiem, po czym pełna obaw skupiła się na tym, by jako tako wyglądać podczas tej zasadniczej rozmowy. Podgrzewanie zupy zostawiła starszej pani.

– Na egzamin idziesz czy na randkę? – spytała Ludmiła, gdy Walicka zmaterializowała się przy niej w białej bluzce i czarnej spódnicy do kolan.

– Te łaszki pewnie trzymasz od matury i ciągle żal ci wyrzucić!

– Od obrony magisterki. Nic innego nie wydało mi się odpowiednie. Sama nie wiem, czy to będzie randka. Być może właśnie egzamin i to taki, który się z góry oblewa. Niech pani już da tę zupę.

– Nie spieszcie się ani nie róbcie niczego pochopnie. Ludzie poganiają czas, a potem sami nie potrafią za nim nadażyć. Aż żal, że nie możesz chlapnąć dla kurażu, choćby z naparstka.

Walicka ucałowała dwa pomarszczone policzki, zgarnęła pojemniki z jedzeniem i z duszą na ramieniu opuściła mieszkanie.

## 8.

– Prawie idealna – pochwalił Pilch, opróżniwszy drugi talerz zupy. – Dorzuciłbym tylko jajko, a na wierzch kapkę śmietany. Nie byłoby tak wege, za to jeszcze smaczniej.

– Przemądrzalec – prychnęła Ada, unosząc głowę znad talerzyka z resztką sernika na zimno. Nieprzyjemności żołądkowe, o dziwo, nadal się nie zjawiały. Cud albo dziecko zlitowało się nad matką i postanowiło odpuścić.

– Ejże, mała!

– Nie jestem mała.

– Może i nie jesteś, ale to ja nauczyłem panią Ludmiłę gotować tę zupę.

– Doprawdy?

– A co? Wmawiała ci, że zanim ją poznałem, przypalałem nawet wodę na herbatę?

– Tak jakby.

– Szelma! To jej stały numer. Zawsze lubiłem pichcenie. Jako dzieciak wiecznie kręciłem się babci przy garach.

– Czyli co? Ty szkolisz naszą staruszkę, a nie odwrotnie?

Bartek zaśmiał się, nałożył sobie ciasto i – zerknąwszy na drugi talerz – bez pytania zaserwował gościowi dokładkę.

– Świadczyliśmy sobie usługi wzajemne. Apetyt ci wraca. Kamień z serca. Nie zaszkodziłoby cię upaść.

– W sensie utuczyć czy podstawić mi nogę?

– Zgrubnąć. Tak nazywałem to zjawisko u zarania życia.

– W punkt. Czemu wyglądasz jak zombie? – zmieniła temat, po czym wsunęła do ust kawałek galaretki z zatopionymi w niej jagodami. – Mmm... pycha, chociaż nie cytrusy.

– Galaretkę dostałaś pomarańczową, a owoce trzeba jeść sezonowe, póki są świeże – pouczył ją i sam zjadł nieco sernika. – Nie za słodkie. Nie powinno cię po nim mdlić. Lecę na operach. Przez ostatnie noce, zamiast spać, dumałem i pracowałem. Symultanicznie.

– Zaprezentujesz efekty?

– Dumania czy pracy?

Przez chwilę udawała, że nie może się zdecydować.

– A dałoby radę jednego i drugiego?

– Się zobaczy. – Puścił do niej oko. – Sprzątanie zostawmy na później, a teraz chodź.

Zaprosił ją do gabinetu. Za każdym razem, gdy tam wchodziła, rozglądała się z zaciekawieniem po kątach. Wszędzie rzucały się w oczy książki, na regałach i w stosach na podłodze. Na ścianach wisiały zdjęcia i dyplomy. Pod oknem stały dwa biurka. Na jednym z nich leżały laptop i komplet *Skrzydła*.

Podeszła bliżej, wylosowała przypadkowy egzemplarz ze stosu i pogładziła palcami okładkę.

– *Sachalin*. Tego nie znam. Pożyczysz?

– Zastanowię się. Teraz spocznij i podziwiaj. – Podsunął jej drugie krzesło wywleczone zza biurka, przy którym zwykle pracował jego brat. Włączył komputer, wszedł w jeden z folderów i otworzył pierwszy plik. – Pamiętasz, wiosną ci opowiadałem, że Borys wymyślił nową bohaterkę. Widziałaś szkice, nawet twierdziłaś, że wygląda tak jak ty. Te fragmenty są już gotowe. – Kliknął między stronami nowego komiksu. Kobięca postać, występująca w towarzystwie dwóch znajomych lotników, nadal wydawała się znajoma, choć nabrała wyraźnych indywidualnych cech. Całość zrobiła na Adzie spore wrażenie, mimo że znała *Skrzydła* nie od dziś i zdążyła już przeczytać kilka części. – Tym razem akcja toczy się na południowych krańcach Chile.

– Jesteś nieprzyzwoicie zdolny, wiesz? – oświadczyła z podziwem, nie mogąc oderwać wzroku od ekranu.

– Wiem. I to w wielu dziedzinach – przyznał śmiało i pieszczotliwie potarł nosem jej ramię.

Zaśmiała się.

– Przemądrzalec bis.

– Siada ci kreatywność. Gdy się poznaliśmy, wyzywałaś mnie różnorodniej. Pamiętam łysiejącego błązna, gbura i patałacha...

– Dałbyś już spokój.

Jak wspaniale było się z nim droczyć. Nic lepiej nie odprężało, nie wyglądało szorstkiego jak zgrzebny worek płaszczu codziennych trosk. Ich oczy na dłuższą chwilę się spotkały i Ada poczuła, jakby ściany gabinetu powoli zbliżały się do siebie, co skutecznie podnosiło wewnątrz temperaturę i ciśnienie. Wpatrywała się w jego usta przekonana, że za chwilę poczuje je na swoich, lecz Bartek niespodziewanie odwrócił głowę i otworzył kolejny plik, wyłącznie czarno-biały, pozbawiony detali oraz tekstów w dymkach.

– Z tym walczyłem ostatniej nocy – mruknął, po czym odchrząknął, marszcząc brwi. – Jedną ze scen finałowych. Planuję zamknąć temat na początku sierpnia, a potem zrobię sobie labę.

– Jak to przenosisz z kartki na komputer? Skanujesz?

– Nie. – Zaśmiała się. – Co ty? Od pierwszej kreski pracuję na tablecie graficznym.

– Przecież widziałam kilka razy, jak ryłeś ołówkiem w brulionie. – Wydawała się zaskoczona.

– Wstępne szkice mogę rysować choćby palcem po wodzie. To tylko próbki. Zresztą, o czym my rozmawiamy? – Zamknął komputer i obrócił oba krzesła tak, by siedzieli naprzeciwko siebie. – Jesteś gotowa na wynik moich analiz?

Raczej nie, przyznała w duchu, a serce jej zadudniło niczym werbel przed bitwą, lecz stłumiła w sobie obawy i zdobyła się na blade uśmiech.

– Jak nigdy.

Przez dobrą minutę milczał, wnikliwie lustrując jej twarz.

– Chciałbym poprosić cię o rękę – powiedział wreszcie i nie wyglądał przy tym na przemądrzalca, błazna ani gbura. Poczula gwałtowne uderzenie gorąca i z konsternacją zacisnęła palce na podłokietnikach. Widząc to, nie czekał na odpowiedź, tylko skupił się na argumentacji: – Wiem, że to się wydaje za szybko i tak trochę... na wyrost, ale znalazłem najbardziej rozsądne rozwiązanie. Ty ani maleństwo, które w tobie rośnie, w niczym nie zawiniłyście. Sytuacja jest trudna, ale zaręczyny ją wyprostują.

– Dlaczego? – spytała, bo chciała, naprawdę chciała, by udało mu się ją przekonać.

– Bo stworzymy oficjalny związek. Jeśli ze mną zamieszkaż i zaplanujemy ślub, choćby nawet w odległym terminie, nikt nie zapyta, czyje to dziecko. Z automatu stanie się moje. Bez bałaganu w dokumentach, podejrzeń czy roszczeń tamtego drania. Nam też będzie łatwiej tak myśleć.

Był wyraźnie zadowolony i wpatrywał się w nią z błyskiem w oku. Z kieszeni wyjął pierścionek i położył na otwartej dłoni. Delikatny i oryginalny, ze splecionych z sobą cienkich żyłek białego i żółtego złota, między którymi lśniły drobne diamentowe oczka.

– Piękny – wydusiła przez ściśnięte gardło.

– Przepraszam, że bez opakowania. Napadła mnie kawa. Dali mi u jubilera pudełeczko w kształcie serca, wybitnie romantyczne. W niedzielę wybrałem się z pierścionkiem na wycieczkę do Wrocławia, żeby w drodze nabrać pewności, że naprawdę tego chcę. Kupiłem kawę na stacji, a to caczusko leżało na siedzeniu obok mnie. Rozmawiałem przez telefon z Borysem, jak zwykle mnie wkurzył, ścisnąłem kubek i zalałem kawą

siebie, a przy okazji serduszko. Wyglądało do kitu, więc wywaliłem je pod blokiem do kosza, a dziś zapomniałem czymś je zastąpić.

Dziewczyna uniosła kąciki ust rozbawiona przygodą.

– Uśmiechasz się. Czyli mogę założyć ci go na palec i nazywać moją narzeczoną?

W głowie huknął jej alarm. Wzdrygnęła się, bo poczuła, że tymi słowami stracił ją z chmur na ziemię.

– Bartek... dziękuję ci, ale nie.

Wypuścił głośno powietrze i kilka razy zamrugał, jakby zdzieliła go w twarz. Dłoń z pierścionkiem zacisnęła się w pięść. Ada była pewna, że zacznie na nią krzyczeć, zaleje ją wyrzutami, że bez sensu pozwoliła mu się zaangażować, a potem wyrzuci ją za drzwi i w jednej chwili wszystko się skończy. Jednak gdy się odezwał, nie wyczuła gniewu.

– Czy to nieodwracalna decyzja? Dostałem harbuza i szlus?

Spłoszyło ją to pytanie i zmobilizowało do konkretnych decyzji. Brakowało jej pewności w wielu kwestiach, lecz nie wątpiła, że Bartka chce mieć przy sobie. Nie w pobliżu, za ścianą, a tuż obok, by w każdej chwili móc go dotknąć, poczuć zapach jego skóry i zatopić się w jego spojrzeniu, które stało się dla niej opoką.

– Harbuz dotyczy zaręczyn, nie ciebie! Przepraszam, tak się postarałem... Mogę szczerze?

– Koniecznie – zgodził się i nieco odprężył.

– Na myśl o narzeczeństwie i przygotowaniach do ślubu robi mi się słabo. Ja to wszystko niedawno przerabiałam i ciągle mi siedzi w pamięci. Wyraz „narzeczony” paskudnie kojarzy mi się z Jackiem. Jeśli zacznę walczyć z tym na siłę, oboje oberwiemy rykoszetem.

– To istotny argument – przyznał. – Ale zdajesz sobie sprawę z tego, że dasz mu broń do ręki? Zdobył twój telefon, dowie się i o dziecku, zacznie podejrzewać, że jest ojcem, i może zechcieć pełnić tę funkcję. A wtedy przez wiele lat nie zniknie z twojego życia.

– Liczę się z tym. Pytanie, co z tobą? Jesteś gotów się z tym barować?

– Jestem gotów barować się z tobą – odparł i natychmiast doprecyzował.  
– Twoja ciąża namiesza nam w planach, ale nie zmienia moich zamiarów ani uczuć. Nie trawię Zawadowicza. W tym widzę najslabszy punkt. Co do reszty – jestem optymistą. Lubię dzieciaki w fundacji, kocham Tymka, jeśli ten mały ktoś z twojego brzucha będzie choć trochę podobny do ciebie, z marszu zawróci mi w głowie.

– Brzmi nie najgorzej.  
– Jeśli wycofam ofertę z pierścionkiem, wszystko zostanie bez zmian?  
– Zmiany są konieczne – oznajmiła z determinacją, czując, że najcięższy kamień właśnie spadł jej z serca. Wstała i złapała go za rękę, ciągnąc za sobą do wyjścia. Opierał się, dodała więc niecierpliwie: – Chodź, przecież cię nie pogryzę.

Przeszła przez wąski przedpokój, w którego kątach już zdążył zadomowić się mrok. Słońce zaszło, lecz Ada, skupiona na czymś ważniejszym niż ulotna ciemność, po której zawsze wstaje dzień, nie zwróciła na to uwagi. Pchnęła drzwi sypialni. Dominowały w niej szerokie łóżko i obszerna komoda. Opuszczone do połowy rolety ograniczały dostęp światła blaknącego wieczoru. Zatrzymała się tuż za progiem i czekała na pytania. Bartek jednak nie kwapił się, by je zadać, tylko świdrował ją wzrokiem, w końcu więc poddała się i sama zaczęła mówić:

– Część twojego planu bardzo mi odpowiada. Chętnie przeniosę się do ciebie, choćby dziś.

– Chcesz uciec od starszej pani i Zoi?

– Skąd?! Są cudne. Ale nie znoszę zasypiać sama w pokoju po profesorze. Przewracam się z boku na bok godzinami, a przy tobie odpływam jak niemowlę. Mam już serdecznie dość.

– Dość tego, że sama, czy tego, że przy mnie?

– Tego, że wychodzisz, gdy zasnę. Wolałabym, żebyś zostawał. U pani Ludmiły to byłoby krępujące, zwłaszcza że nie będziemy się tylko całować.

– Bardzo lubię się z tobą całować...

– A nie masz ochoty się kochać?

– Daj spokój, to oczywiste. Jednak ze względu na charakter twoich przejść... Poza tym nadal ogranicza cię gips, nie najlepiej znosisz początek ciąży... Nie powinniśmy się z tym spieszyć.

– Rany, ty naprawdę jesteś bucem i patałachem! – Westchnęła i usiadła na skraju materaca. Zapatrzyła się w kąt pokoju i wyznała: – Masz dużo racji. Ciągłe widzę na skórze tamte ślady, mimo że prawie się zagoiły. Nie lubię na siebie patrzeć. Wariactwo, nie? Jeśli zaaplikujesz mi nowe, dobre wspomnienia, to może tamte po prostu znikną? Tabletki musiałam wyrzucić, więc nie odmawiaj mi jedynej dostępnej terapii.

– Nieźle to wykombinowałaś. Postawić mnie pod ścianą i rozbroić. – Przycupnął przy niej i przejechał kciukiem wzdłuż jej policzka, podbródka,

szy, aż na dekolt, gdzie zatrzymały go drobne guziczki białej bluzki. – A te naturalne szmatki miały zamydlić mi oczy?

– Nie gadaj tyle – wyszeptała i odsunawszy jego rękę, sama zaczęła się rozbierać.

Chwilę później leżała na łóżku otulona szarością zapadającego zmroku. Nie zważając na krępujący jej ruchy gips, pozbawiała siebie i Bartka kolejnych elementów odzieży. Tymczasem dłonie rysownika nie omijały żadnego odkrytego fragmentu jej ciała. Jego język wędrował w ślad za nimi, co jakiś czas błędząc po swojemu i znacząc odrębne szlaki, z których każdy kolejny wywoływał w Adzie przyjemne dreszcze. Starła się nadażyć za odczuciami, które zaskakująco wyprzedzały jej oczekiwania. Nie miała pojęcia, co o tym myśleć. Nie wiedziała, czy w ogóle powinna teraz zajmować głowę czymkolwiek. Miała wrażenie, jakby jej skóra z radością, wręcz ulgą poddawała się pieszczotom, choć reszta ciała gdzieś w głębi wciąż pozostawała spięta i gotowa do ucieczki. Mijały kolejne minuty, które rozciągały się w niemal idylliczne kwadranse, a wszystko, co zaszło, nie dość, że nie miało końca, to tak naprawdę nie zdążyło rozkręcić się na dobre. I niechby trwało jak najdłużej, bo było nadzwyczajne. Jak Bartek.

Pamięć mimowolnie podsunęła jej obrazy pospiesznych i pobieżnych pieszczot, jakimi obdarzali się z narzeczonym, zanim przechodzili do rzeczy. Potem kilka minut stękania i z głowy. Prysznic i można było wrócić do pracy lub zasnąć. Bo w zasadzie seks jest niehigieniczny, tak zawsze twierdził Jacek. Te wszystkie wydzieliny, smród lateksu i pot... ohyda. Zawsze „po” szedł pod prysznic. Natychmiast, jeszcze zanim zdążył uspokoić oddech. Jakby chciał jak najszybciej zmyć z siebie ją i ich miłość. Miłość, dobre sobie...

Bartek czegoś od niej chciał. Pochylił się nad jej twarzą i mówił spokojnym głosem, od którego wszystko w niej miękło i traciło ochotę do walki. Gładził ją po brzuchu, jeszcze płaskim, choć to, co w nim powoli pęczniało, niosło wielką niewiadomą. Budziło jednocześnie tkliwość oraz lęk i powoli stawało się coraz ważniejsze.

Uniosła powieki i spojrzała na mężczyznę zagubionym wzrokiem, ledwo dostrzegając w ciemności kształt jego podbródka, bo noc niemal całkowicie zawładnęła sypialnią.

– Hej, jesteś tu? – spytał i położył jej dłoń na policzku. – Gdzieś mi się nagle zagubiłaś?

– Przepraszam.



– Co się dzieje?

– Nic, po prostu coś sobie przypomniałam.

Nie chciała rozmawiać teraz o Jacku. Nie mogłaby tego zrobić sobie ani Bartkowi. Zamierzała być w łóżku tylko z jednym z nich. Z tym właściwym.

– Chcesz, żebyśmy przerwali? – Wyciągnął rękę do lampki nocnej, ale go powstrzymała, łapiąc za nadgarstek.

– Nie, proszę! – zaprzeczyła zaskoczona swoją stanowczością. – Nie zapalaj. I nie zostawiaj mnie teraz. To jest takie... dobre. Chyba nigdy się tak nie czułam.

– Mów mi tak dalej, to zaraz zwariuję – jęknął i znów badał wargami jej szyję i dekolt, a potem chwycił nimi znacznie wrażliwsze niż przed ciążą sutki. Pocałunki przybrały na sile i Ada zrozumiała, że za moment opanuje go namiętność, którą trudno będzie pohamować. Zachwyciła się tym i zapragnęła, by i ją porwał ten sam ogień. Była gotowa dać z siebie wszystko, by dotknąć szczęścia i żeby ten facet, który od miesiący stał przy niej murem, też je poczuł. Zasłużył na nie, choć nigdy sam nie upominał się o nic więcej niż to, na co i ona miała ochotę. Podniosła się i przyłgnęła do niego całym ciałem. Objęła go mocno ramionami, nie zważając na gips ani nie dając szans temu, aby Bartek się odsunął. Całowała go z zapamiętaniem, o jakie nigdy wcześniej by się nie posądzała. W dole brzucha intensywnie pulsowało znajomym, niemal bolesnym gorącem. Cieszyła się, że reaguje właściwie, tak jak kiedyś, zanim Jacek wydarł z niej przemocą to, co powinno być zarezerwowane tylko dla miłości. Ale nie będzie przecież myśleć o Jacku. Nie ma go, nie ma go, nie ma... Jest Bartek, jego usta, ręce, jego klatka piersiowa gęsto pokryta krótkimi włoskami, po których z zaskakującą przyjemnością błędzą jej palce. Jacek miał gładki tors. Ada czasem zastanawiała się nawet, czy w tajemnicy go sobie nie goli... Nie ma Jacka... Jest Bartek... Gładzi jej talię, całuje skórę brzucha tuż nad linią fig, wędruje palcami pod gumkę i delikatnie zsuwa z jej bioder wąski pasek materiału. A ona mu na to pozwala, bo pragnie, by to, co za chwilę nastąpi, zatarło w jej głowie wspomnienia niedawnego koszmaru, oczyściło ją i wyzwoliło, otwierając na lepsze życie. Niech ta nieziemska terapia zdoła uczynić cud!

Czas płynął wolno, miała wrażenie, że dostaje go dokładnie tyle, by się nie bać, zaakceptować każdy kolejny krok w tym zbliżeniu, a potem móc na dobre się nim nacieszyć. Nie wiedziała, czy to świadome działanie Bartka, by z wolna zmierzyć się z jej traumami, czy po prostu jest tak wytrawnym

i cierpliwym kochankiem, że instynktownie potrafi dostosować się do partnerki. Z pewnością miał wiele kobiet. Czy dla każdej był tak wyrozumiały i czuły? Nigdy go o to nie pytała. Niewiele rozmawiali o przeszłości.

Jej myśli rwały się coraz bardziej i nie była już w stanie nad nimi zapanować. Wreszcie dotarła do punktu, w którym napięcie z podbrzusza rozrosło się tak, że zdawało się wypełniać ją całą. Każda komórka alarmowała o potrzebie koncentracji wyłącznie na tym właśnie miejscu. Dotąd nie przypuszczała, że można pragnąć kogoś aż tak bardzo, by świat zawęził się do małej bańki mieszczącej tylko dwa ciała. Tonęli w mroku; wzrok był wobec niego bezradny, lecz pozostałe zmysły stały się nienaturalnie wyostrzone, by niczego nie przegapić, nie stracić i doprowadzić ich oboje do spełnienia.

Bartek zdawał się płynąć na tej samej fali. Wszystkie tamy, które trzymały go dotąd na wodzy, wreszcie puściły. Wędrując po jej skórze, dotarł do ust i całował ją tak zaborczo, jakby wcale nie potrzebował oddechu, jakby ona była ważniejsza niż tlen. Przesunął rękę między jej udami. Powoli dotarł do ich zwińczenia i zatrzymał się, jakby pytał o zgodę. Ada jęknęła i rozsunała nogi szerzej. Dotykał ją zatem już znacznie śmieiej, nie przerywając pocałunku. Trwało to kilkanaście, może kilkadziesiąt sekund. Za krótko, by oderwała się od ziemi i dręczących wspomnień. I to one zdążyły ją dogonić w miękkiej, pachnącej pościeli obok mężczyzny, któremu bezgranicznie ufała. Gdy wsunął w nią palec, w jej głowie wystrzeliły kadry z niedawno przeżytych scen: łóżko w sypialni, podłoga w salonie, ściana w przedpokoju. Posiniaczone ręce, poobcierane uda i spływająca z nich krew. Brutalne palce o zbyt długich paznokciach, które zdawały się rozrywać jej wnętrze, a zaraz po nich jeszcze większy ból i poczucie absolutnej przegranej. Upokorzenie, wstyd i poczucie winy, że do tego dopuściła. Strach i pustka po strachu, od którego nie uciekła na czas.

Zesztywniała, instynktownie chwyciła Bartka dłoń, usiłując wyrwać ją spomiędzy swoich ud. Nie sprzeciwiał się, słysząc, że z jej oddechu znika podniecenie i zastępuje je coś zbliżonego do paniki. Zaczęła się wyszarpywać z jego objęć, więc natychmiast ją puścił. Wyskoczyła z łóżka. Poderwał się za nią. Odruchowo włączył lampkę nocną. Ciepłe, nastrojowe światło nie pozwoliło jej się ukryć przed jego wzrokiem, choć w tym momencie marzyła tylko o tym, by przestać istnieć. Stała naga w rogu pokoju, dygocząc, łapiąc spazmatyczne oddechy i cicho zawodząc.

– Ada – zaczął Bartek, rozglądając się bezradnie po ścianach. – Ada... – powtórzył, podchodząc do niej.

Cofnęła się, jeszcze bardziej wciskając się w kąt.

– Nie patrz tak! – krzyknęła rozpaczliwie i przycisnęła rękę w gipsie do brzucha.

Nie liczyła na to, że ją zrozumie. Sama nie pojmowała, co się stało.

– Nie bój się – poprosił. Powtarzał to kilka razy, zanim usłyszała: – Pomogę ci się ubrać.

Zgarnął z podłogi swój T-shirt i założył jej przez głowę. Ciuch sięgał do połowy ud, poczuła się więc nieco lepiej. Po chwili Bartek podał jej bieliznę. Gdy ją zakładała, sam zdążył już zapiąć spodnie. Poza tym, że miała na sobie jego koszulkę, można byłoby uznać, że wszystko wracało do normy. Tylko dlaczego czuła się tak podle i tak beznadziejnie? Dlaczego czuła się winna?

– Przepraszam... – zaczęła w obawie, że za chwilę spadnie na nią fala pretensji.

W końcu sama go sprowokowała, a potem przerwała w takim momencie... Każdy normalny mężczyzna miałby do niej żal. Jacek na pewno. Jacek po prostu by się wściekł.

– To nie twoja wina. Dlatego dotąd unikałem takich sytuacji. To za szybko, za wcześnie. Pomijając wszystko, jesteś rozstrojona przez hormony i odstawienie leków – powiedział i dodał, idąc w stronę drzwi: – Za dużo od siebie wymagasz.

– Zostań, proszę – zawołała w panice, przekonana, że jeśli teraz wyjdzie, stracą tę niezwykłą bliskość, o którą przed chwilą zdążyła się tylko otrzeć, a którą już uznała za bezcenną.

– Przyniosę coś do picia. – Usłyszała i z ulgą usiadła na łóżku, bo miała wrażenie, że dłużej nie utrzyma się na nogach.

Po chwili trzymała wodę z cytryną, a Bartek stał obok, bacznie się jej przyglądając.

– No co? – Spróbowała zgrywać chojraka, ale niemal natychmiast się poddała. Z trudem przełknęła odrobinę napoju.

– Zaraz zemdlejesz – zatroskał się i uchylił okno. – Przewietrzmy tu.

– Przejdzie mi i spróbujemy jeszcze raz, dobrze?

– Na dziś wystarczy nam obojgu. Wypij i się połóż. Chyba że wolisz spać u pani Ludmiły?

– Wolę tutaj. – Skapitulowała, bo w duchu przyznała mu rację. – Mogę zostać w twojej koszulce?

– Pod warunkiem że mi jej nie rozciągniesz – zażartował.

Opróżniła szklankę i odstawiła na stolik. Wsunęła się pod kołdrę i wciągnęła w płuca świeże, nocne powietrze. Poczowała, że wraca spokój, a tamta panika ulatnia się, jakby dotyczyła nie jej, tylko zupełnie innej kobiety.

– Bartek... – zaczęła nieśmiało, widząc, że mężczyzna zbiera się do opuszczenia pokoju. – Czy to by było jakieś wielkie przegięcie, gdybym cię poprosiła, żebyś się tu położył i poczekał, aż zasnę?

Przez moment nie była pewna, co zamierza zrobić. Wreszcie oderwał się od framugi i podszedł do łóżka. Zdążył zaledwie usiąść na materacu, gdy rozdzwoniła się jego komórka. Wysupłał ją z kieszeni spodni i bez zainteresowania zerknął na wyświetlacz. Uniósł brwi i stuknąwszy w zieloną słuchawkę, odezwał się sztywno i twardo jak nie on:

– Słucham?

Przez chwilę milczał. Wreszcie wyrzucił z siebie serię pytań przerywanych krótkimi odpowiedziami, z których do Ady docierało jedynie niezrozumiałe szemranie. Głos rysownika zdradzał napięcie.

– Koło południa? Czemu nie zadzwoniłaś wcześniej?! Dokąd? Już jadę! –

Po chwili rozłączył się i ze zwieszoną głową bezradnie obracał komórkę w dłoniach. Walicka pogłaskała go po ramieniu, aby zwrócić jego uwagę.

– Co się stało? – spytała.

– Nie wiem, czy dobrze zrozumiałem. Obawiam się, że teraz dla odmiany rozsypał się mój świat – oznajmił, nie patrząc jej w oczy. Wstał i wyciągnął z komody pierwszą z brzegu koszulkę, mówiąc: – Zamknij za mną drzwi, a potem śpij. Przepraszam, muszę spadać. Klucze wiszą obok lustra. Gdybyś rano chciała iść do pani Ludmiły, to z nich skorzystaj. Nie wiem, kiedy wrócę.

W przedpokoju poświęcił chwilę na to, by ją przytulić i pocałować. Nie powiedział nic więcej i po prostu zniknął za drzwiami, a ona została sama z bałaganem w głowie i mnóstwem pytań, których nie zdążyła zadać.

## 9.

Stefan od dnia powrotu do Łapszanki nie wychylał nosa poza furtkę Heleny i unikał sąsiadów. Nie spodziewał się ciepłego powitania. W końcu mieli go tu za zbrodniarza i z pewnością po wielokroć wyklinali. Tego ranka, gdy postanowił przenieść się do własnego domu, wędrował przez wieś z nowo poznanym psem, ciesząc się z wczesnej godziny. Liczył na to, że nie spotka nikogo, kto by go rozpoznał. Przyglądał się okolicy. Wywnioskował, że odwiedza ją więcej turystów niż przed laty. Nic dziwnego. Niemal każdy jest zmotoryzowany i ta niewielka odległość od górskich szlaków nie przeraża, za to pozwala się uchronić od zgiełku oraz smogu w Zakopanem. Część gospodarstw przedzierzgnęła się z rolnych w agroturystyczne, wyrosło sporo nowych budynków, a większość ruder wyburzono lub wyremontowano. Czuł treść przed powrotem do miejsca, w którym spędził młodość, dał sobie więc czas, by się w nim uleżała, i pierwsze kroki skierował ku lichej drewnianej chacie starego Mrocza.

Obejście ziało pustką, za to okno było otwarte na oścież i tą drogą pies w dwóch susach po zdezelowanej ławce dostał się do środka. Walicki, zanim ruszył jego śladem, odruchowo chwycił za klamkę i odkrył, że nie zamknięto drzwi na klucz. Widocznie nikt na to nie wpadł po śmierci staruszka, a spadkobiercy nie przybyli jeszcze na ojcowiznę, by dzielić schedę. Zresztą, dziedziczyć nie było czego, chyba że niewielki pas ziemi i samą działkę położoną dość malowniczo przy drodze na Jurgów. Stefan mgliście pamiętał, że Mroczek miał dwóch synów od lat na emigracji, zdaje się, że w Toronto. Szansa, że wrócą na stare śmieci, wydawała się znikoma.

Walickiego dopadło rozczulenie, gdy odkrył, że osierocony pies tu nocował. Podścielił sobie na dywaniku przy łóżku skotłowaną i wysłużoną flanelową koszulę w kratę, zapewne należącą do zmarłego, przywłókł do niej od dawna puste, doskonale wylizane miski i zgromadził na podłodze wokół legowiska blaszany kubek, podarty but, długopis oraz kilka pisemek z krzyżówkami. Z ochotą prezentował owe trofea, pozwalając człowiekowi szarogęsić się w izbach. Wyglądał na przygaszonego, wręcz ponurego i co jakiś czas żałośnie popiskiwał.

– Tęsknisz, sieroto – wysnuł tezę Stefan i raz po raz poklepywał Dżoziego po zapadniętych bokach.

Mroczek nie należał do bogaczy, na emeryturze ledwo wiązał koniec z końcem i w domu nie trzymał nic wartościowego. Walicki spakował w dużą, spraną poszewkę kraciastą koszulę, w której pies bez wątpienia

odnajdywał resztki zapachu swego pana, miski, długopis z krzyżówkami oraz kilka podniszczonych książek z kulawego regału przy łożku. Mężczyzna ocenił je na tak wysłużone, że nikt nie powinien uznać tego za kradzież. Zresztą, chętnie je odda po przeczytaniu. Przywykł przez lata odsiadki do obcowania ze słowem pisanim i nie potrafił wyrzec się tej przyjemności.

W łazience obmył i obejrzał ukrytą w psiej sierści ranę, z zadowoleniem stwierdzając, że nie jest głęboka, a następnie obwiązał ją wycyganionym od Heleny bandażem. Na koniec pozamykał okna i drzwi, zagwizdał na ociągającego się Dżocziego i ruszył do swojego domu. Zwierzak po krótkim zastanowieniu pobiegł za nim. Wywijał i śmiesznie kłapał chorą łapą, próbując strząsnąć z niej opatrunek. Nie odstępował nowego opiekuna na krok, jakby rozumiał, że ta przeprowadzka jest konieczna i oznacza zmianę na lepsze.

Gdy dotarli pod furtkę, Walicki poczuł, że wilgotnieją mu oczy. Potarł je kciukami, pospiesznie odliczając w myślach nazwy tatrzańskich szczytów, by nie ulec emocjom. Pomogło, lecz mimo to przez dobrych kilka minut stał, gapiąc się przed siebie i pozwalając, by przepłynęło mu przez głowę pierwsze trzydzieści lat życia. Budynek był niski, parterowy, ceglany, choć bez podmurówki, z pokrytym papą spadzistym dachem, dokładnie taki, jakie dzieci zwykle malują na przedszkolnych rysunkach. Pośrodku prostokątnej ściany miał drzwi z niskim gankiem, na prawo i lewo zaś dwa gołe okna, które niegdyś ozdabiały firanki i doniczki z kwiatami. Dom stał na uboczu, niemal na końcu wsi. Ledwo kilkaset metrów dzieliło go od Przełęczy nad Łapszanką, a jeszcze mniej od granicy ze Słowacją. Wąska droga ze splekanym asfaltem nie robiła najlepszego wrażenia, ale traciła na znaczeniu w obliczu dostępnych krajobrazów. Ogromną przestrzeń pofalowanych wzgórzami łąk i pól zamykał z trzech stron horyzont ze skupiskami drzew, a na zachodzie – linia Tatr. Zabudowa, w samej wsi dosyć gęsta, za kapliczką przy przełęczy zmieniała się w luźną. Nie brakowało spokoju i na uparte go dałoby się tu uciec przed światem.

Obejście zarosło wysoką trawą i chwastami. Wzdłuż ścieżki wiodącej od furtki na próg rozpanoszyły się pokrzywy. Stefanowi to nie przeszkadzało. Klucz bez problemu otworzył drzwi, za którymi ukazała się ciemna sień. Ze środka buchnęły zapachy kurzu i zatechłej wilgoci dawno niewietrzonego pomieszczenia. Dżoczi otrzepał się i kichnął. Walicki łypnął na niego z krzywym uśmiechem:

– Nie przesadzaj. Twój pałac też dupy nie urywał.

W ślepej sieni znajdowało się troje drzwi: na podwórko, do łazienki i do kuchni. Stefan, nie zwlekając, pchnął te ostatnie i wszedł do jasnego pomieszczenia z dwoma niczym nieosłoniętymi oknami naprzeciwko siebie. Niewiele się tu zmieniło. Stary kredens z oszklonymi szafkami, jeszcze po matce, stół z czterema krzesłami i węglowa kuchnia zakryta fajerkami, na której stały dwupalnikowa maszynka turystyczna oraz czajnik elektryczny. Jedno i drugie odłączone od gniazdka. W kącie wisiał duży zlew. Po krótkiej próbie oporu kurek dał się przekręcić i popłynęła z niego żółtawa strużka zimnej cieczy.

– Klawo. Zleci ta brudna z rdzą i będzie wypas – z ulgą poinformował psa, który z zaciekawieniem obwąchiwał wszystkie kąty i kichał raz po raz.

Pstryknął włącznikiem światła, lecz nic się nie wydarzyło. Wywnioskował, że Ada nie chciała niepotrzebnie płacić rachunków, skoro tu nie bywała. O wodzie zapewne zapomniała albo zakład wodociągowy z jakiegoś powodu nie wstrzymał świadczenia usługi.

Walicki otworzył okna na przestrzał, zajrzał do szafek, znalazł w nich garnki, talerze, szklanki, a nawet stary mikser, który dostali z Gabriellą z okazji ślubu. Zadowolony z oględzin wyjął z poszewki psie miski i ustawił pod zlewem. Zawahał się przed nalaniem do jednej z nich brudnej wody. Na szczęście niósł w plecaku butelkę z herbatą. Wlał połowę psu, a resztę wypił sam. Do drugiej miski włożył część naszykowanych przez Helcię kanapek z serem i pomidorem. Gdy pies pochłaniał ten dar, Stefan pomyślał, że zakupy go nie ominą, bo Dżociemu należy się coś lepszego niż ochłapy z ludzkiego stołu. Potrzebował zbilansowanej diety, by dojść do siebie po tygodniach przymierania głodem.

Gdy pies się posilił i skapującymi z pyska kroplami zachlapał deski kuchennej podłogi, Walicki pchnął kolejne drzwi, przez które wchodziło się do pokoju. W świetle dwóch okien, identycznych jak te w sąsiednim pomieszczeniu, zatańczyły drobinki kurzu. Pod jednym stała rozkładana kanapa z ławą i fotelem, w którym niegdyś Stefan siadywał wieczorami z córką na kolanach, by czytać jej książeczki. Pod drugim parapetem królowało małe biurczko, a obok stał tapczan. Nad nim wisiało kilka plakatów oraz zdjęć przypiętych szpilkami do bambusowej maty. To musiało być królestwo Ady z czasów jej dorastania. Podszedł bliżej i niemal zachłannie oglądał fotografie. Na większości widniała para nastolatków, w których rozpoznał syna Heleny i własne dziecko. W jednym z narożników

dominowała trzydrzwiowa szafa z nadstawką sięgającą do sufitu, w drugim stara maszyna do szycia Singera, a w trzecim komoda z kineskopowym telewizorem, na którym stała antena. W czwartym kącie prężył się na baczność zrolowany dywan. Wszystkie meble przykrywała folia malarska, co tylko zwiększało wrażenie klaustrofobicznej graciarni. Niegdyś kremowe, teraz pokryte ciemnym nalotem wilgoci ściany i brudne szyby w oknach wyzwoliły przelotną chęć ucieczki pod ciepłe i wygodne skrzydła Heleny, w jej idealnie wysprzątanym domu.

Stefan nie dał się skusić na to proste rozwiązanie, gdy zestawił je z faktem, że tu jest u siebie i może liczyć na święty spokój. W celi często marzył o ciszy, o tym, by współosadzeni i strażnicy wyparowali, by przez chwilę nie słyszeć niczego i nikogo poza własnymi myślami. Teraz ziszczenie tych wizji znalazło się na wyciągnięcie ręki, choć oczywiście miło będzie odwiedzać Helenę i pozwolić na nowo rozkwitać miłości.

Dżoczi, zajrzawszy we wszystkie zakamarki, wywlókł zza kanapy pluszową fokę z oderwanym okiem. Przyniósł ją w darze człowiekowi, którego nieśmiało zaczynał uważać za swojego, ułożył mu u stóp, a sam przysiadł, by wpatrywać się w niego jak w wyrocznię.

– Roboty nam tu nie braknie. – Usłyszał. Ucieszył się, że Stefan do niego przemawia, i zaczął z zapalem zamiatać ogonem brudną drewnianą podłogę.

Walicki podniósł pluszaka, w którym rozpoznał pamiątkę z jedyne go wspólnego wyjazdu nad morze z córką, i targnął nim obezwładniający żal za straconym czasem. Pewnie nie zdołałby powstrzymać łez, lecz Dżoczi rozbił tę chwilę słabości jak dziecięcy palec bańkę mydlaną. Poderwał się, otworzył pysk, wywiesił język i już nie tylko wachlował ogonem, lecz kręcił całym zadem, byle zwrócić na siebie uwagę. Szczeknął zaczepnie raz i drugi, przyjaźnie, niemal szczenięco.

– Chcesz się bawić? – odgadł mężczyzna i nie zdołał powstrzymać uśmiechu. – Kwiatuskowi ta foczka niepotrzebna. Nie miałyby żalu, że ją sobie przywłaszczysz. – Rzucił zabawkę aż pod kuchenny piec. Zwierzak pobiegł po nią, nie zważając na zranioną łapę, i wielce z siebie zadowolony przyniósł z powrotem, wpychając człowiekowi do ręki. W nagrodę został podrapany za uchem i usłyszał optymistyczną obietnicę: – Od dziś jesteś moim najlepszym kumplem.

Nie zrozumiał słów, lecz doskonale wiedział, że przytrafiło mu się coś niebotycznie dobrego. Lepszego niż chleb, kasza czy nawet przekąski z suszonych wątróbek, jakie przyrządzał mu czasem jego poprzedni pan.



Życie znowu nabrało smaku. Pachniało człowiekiem, pełną miską i błogim, ciepłym przywiązaniem, które w ciągu zaledwie paru godzin umościło się na dobre w obolałym z tęsknoty psim sercu.

Walicki spędził przedpołudnie na sprzątanii. Zwinął folie malarskie i schował je w drewnianej szopie za domem obok starego pudła, w którym rozpoznał własną skrzynkę z narzędziami. Przyda się, pomyślał. Ten dom wymaga więcej czasu i nakładu pracy niż pieniędzy. Znał się na tym. Lubił majsterkować, naprawiać, remontować. Umył okna i podłogi, korzystając z resztek detergentów znalezionych w łazienkowej szafce, rozwinął dywan, wywietrzył pościel i poszewki, przygotował sobie miejsce do spania na tapczanie. W szufladzie kredensu trafił na stos faktur. Odczytał z nich odpowiedni numer telefonu i zadzwonił na infolinię zakładu energetycznego. Dowiedział się, że zaległości w rachunkach nie ma, usługa działa nieprzerwanie, tylko w ostatnich latach odnotowano niemal zerowy pobór mocy. Pracownik infolinii zasugerował sprawdzenie korków. Faktycznie były wykręcone. Z tym Stefan poradził sobie bez trudu, dziękując w duchu córce, że nie czeka go wieczór przy świecach. Bojler nad wanną działał, pralka też, co dawało namiastkę luksusu. Zachwycony tym faktem Walicki postanowił wykapać psa.

Do starej blaszanej miednicy nalał letniej wody i wyniósł ją na trawnik. Naszykował wystrzępiony ręcznik i znalezione wraz z zapasem papieru toaletowego szare mydło, po czym uznał, że jest gotowy. Zagwizdał i z zaskoczeniem stwierdził, że zwierzak, który dotychczas kręcił się nieustannie w zasięgu wzroku, gdzieś przepadł. Rozejrzał się po zarośniętym podwórku, nigdzie jednak nie dostrzegł sterczących zabawnie i niesymetrycznie wygiętych uszu ani ciemnego, podpalanego grzbietu mieszańca.

– Dżoczi! – zawołał. Nie przeczuwał jeszcze kłopotów. – Dżoooczi!

Odpowiedziała mu cisza, jeśli nie liczyć natarczywego bzyczenia kilku much. Ruszył na obchód swoich włości, lecz na podwórku psa nie było. Nie mógł umknąć nigdzie dalej, bo co jak co, ale drewniany płot przetrwał próbę czasu, trzymał się świetnie i jeśli czegokolwiek wymagał, to odmalowania, a furtkę Stefan osobiście zamknął. Wpadł do domu, zerknął we wszystkie kąty kolejnych izb i wreszcie znalazł zgubę. Zwierzak wlaź pod biurko i usiłował nakryć się kraciastą koszulą starego Mroczka. Nie udało mu się ta sztuka, bo spod materiału wystawał psi zad. Ogon nie zważał na zamiary

Dzociego i natychmiast zareagował na przyjazne cmokania i pogwizdywania, kręcąc radosne młynki.

– No, kolego, skoro twój organ manifestowania radości jest po mojej stronie, nie wywiniesz się od ablucji. – Zaśmiał się Walicki.

Przekonany kawałkiem kiełbasy Dzoczi dał się wywabić spod biurka. Pożarł dar, wyszedł nawet na zewnątrz i ostrożnie zajrzał do miednicy z wodą, ale ledwo człowiek zdążył ochlapać mu pysk, pies włączył wsteczny bieg i rzucił się do ucieczki w gąszcz pokrzyw. Stefan, nie bacząc na rozsądek, pognał za nim. Okrążył dom trzeci raz i złapał już lekką zadyszkę, więc uznał, że nie wybrną z impasu i będą tak biegać aż do wieczora, jeśli nie zapędzi tego brudnego panikarza w kozi róg. Kilka minut później dopadł go za narożnikiem szopy. Unieruchomił, chwytając ciasno w kleszcze dwu umięśnionych łydek. Pies nie poddawał się i powarkiwał z oburzeniem, gdy tymczasem człowiek pospiesznie wyciągnął pasek ze szlufek spodni i zamocował go w formie niezbyt komfortowej obroży, której luźną końcówkę traktował jako smycz.

– Nie pyskuj. Nie boję się ciebie, zbójcu – oznajmił ciepłym głosem i podsunął zwierzakowi pod nos plasterek podwawelskiej. Język sam wysunął się spomiędzy groźnie wyszczerzonych zębów, ślinianki oszalały z rozkoszy i nim kiełbasa została przełknięta, zdradziecki ogon kiwał się zawzięcie, donosząc, że agresywna postawa to tylko poza i Dzoczi w niczym nie przypomina rozwścieczonego dzikusa. On tylko absolutnie nie ma chęci na kąpiel!

Obezwładniony mieszaniną gładkich słówek i stanowczego ciągnięcia na pasku Dzoczi ponownie znalazł się obok miejsca higienicznej kaźni i nie uratował go fakt, że jego oprawca nieustannie musiał poprawiać zsuwające się spodnie. Zamierzał zapierać się wszystkimi czterema łapami, włącznie z tą zranioną, i nawet liczył na sukces, Walicki jednak go przechytrzył. Znudziła mu się ta wojna podjazdowa, objął więc psa ramionami, uniósł i po prostu wstawił do miednicy.

Dzoczi momentalnie skapitulował. Woda była nawet przyjemna, wcale nie zimna, a człowiek, nie przestając ani na moment wychwalać psiej odwagi i niezwyklej grzeczności, drapał go i czochrał po wszystkich częściach ciała. Nie da się ukryć, że było to miłe mimo drażniącej woni mydła, szczególnie że po suszeniu ręcznikiem, otrzepaniu się z wody i założeniu nowego opatrunku okazało się, iż podwawelskiej jest więcej, a Dzoczi zapracował bohaterstwem na nagrodę. No jasne, że mu się należała! Najedzony po korek

i syty wrażeń poczuł się zmęczony. Z westchnieniem ulgi runął pod biurkiem na kraciatą koszulę, by oddać się zasłużonej drzemce.

Walicki także się umył, zjadł chleb z resztką kiełbasy, która umknęła psim kłom, i usadowił się na kanapie, postanowił skorzystać z telefonu. Coś tam niby już o nim wiedział, choć nie czuł się ekspertem. Najprostsze było zwyczajne dzwonienie. Czuł wewnętrzny opór i liczne obawy przed wybraniem numeru Jacka, więc ten punkt programu odłożył na później, tłumacząc się przed sobą, że wykładowca chemii na Politechnice Łódzkiej mógł nie skończyć jeszcze pracy. Przerwywanie mu jej wydawało się nieco nietaktowne, szczególnie że Stefan nie spodziewał się owacyjnego powitania.

Ustalił sam ze sobą, że poczeka do dwudziestej, i bez oporów wybrał numer kuratora. Zdążyli się już spotkać i nieco poznać. Marcin Oliczko był niezwykle sympatycznym niskim czterdziestolatkiem o nieco obłej budowie, okrągłym rumianym obliczu i kompletnie łysej czaszce. Do podopiecznego podchodził z szacunkiem, sympatią i wiarą, że ten zaadaptuje się do życia na wolności. Rodziło się pytanie, czy takie podejście dotyczy tylko Stefana, czy może to stała postawa zawodowa mężczyzny. Ta druga opcja wydawała się Walickiemu ryzykowna, o ile nie naiwna, ale nie zamierzał mówić tego głośno. Opowiedział Oliczce o powrocie do domu i o psie, przedstawił plany na najbliższe dni, zaprosił na kawę, notując w pamięci konieczność zrobienia zakupów, i zapewnił, że zamierza rozejrzeć się za pracą.

Skończywszy rozmowę, podjął próbę zaprzyjaźnienia się z internetem. Przed wyrokiem zetknął się z tematem zaledwie kilka razy, a w celi poznawał go wyłącznie „na sucho”: z telewizji i książek. Świat wirtualny był mu równie obcy co wciąż nieodkryte formy życia w kosmosie, teoretycznie jednak wiedział, z czym to się je, i postanowił wypróbować. Włączył przekaz danych w komórce, otworzył przeglądarkę i zamarł, bo nie miał pomysłu na dalsze kroki. Do czego mógłby użyć sieci? Potoczył wzrokiem po mieszkaniu, obrzucając się wymyślnymi wyzwiskami, z których „dureń” i „zacofany kmiot” należały do najłagodniejszych, aż trafił spojrzeniem na psa. Leżał na plecach, z łapami w górze, oparty o bok biurka. Pysk miał uchylony, a pomiędzy zębów wystawał mu czubek języka. Pochrapywał i głośno sapał.

– Eureka – mruknął Walicki, doznawszy olśnienia.

Z ogromnym wysiłkiem, myląc się i niezdarnie błędząc palcami po klawiaturze dotykowej, wpisał w wyszukiwarkę interesujące go hasło i po

chwili nie posiadał się ze zdumienia, że znalazł to, czego szukał. Pochwalił w duchu intuicyjność internetu i zachłannie przystąpił do czytania: Dżoczi to imię mongolskiego wojownika żyjącego na przełomie dwunastego i trzynastego wieku. Od niego pochodzą władcy Złotej Ordy, Kazachów i Uzbeków, więc niezła z niego szych a i sroce spod ogona nie wypadł. Oficjalnie mówi się o nim jako o synu Czyngis-chana, lecz istnieje sporo wątpliwości co do łączącej ich więzi krwi. To jednak detal, uznał Stefan, a może nawet lepiej, bo imię bękart a doskonale pasowało do kundla przybłądy.

Zdziwił go bogaty wynik wyszukiwania i przez dłuższy czas przeglądał kolejne strony mniej lub bardziej powiązane z Dżoczim. Dowiedział się, że Mongołowie byli mistrzami w milczeniu i potrafili przejechać licznym oddziałem nawet tysiąc mil w absolutnej ciszy. Zaciekawilo go to i wydało się mu kuszące. Mógłby zostać jednym z nich, gdyby nie wymagano od niego bestialstwa i mordów.

Przeglądarka podsunęła kilka propozycji wydawniczych o imperium mongolskim i Walicki zapragnął je przeczytać. Przypomniał sobie o zabranych z domu Mrocza książkach i rzucił się na nie zachłannie w nadziei, że dotyczą właśnie tego tematu. Niestety cały przywłaszczony stos okazał się zbiorkiem skandynawskich kryminałów. Nieco go to rozczarowało, po chwili jednak się rozchmurzył, gdy uświadomił sobie, że to, czy zgłębi temat Mongołów, zależy wyłącznie od niego. Wszedł z ciupy i mimo kurateli Oliczki może swobodnie korzystać z dobrodziejstw wolności także w tym zakresie.

Odkrył w telefonie aplikację Google Maps, zaintrygowała go, zmitrężył nieco czasu na szukanie najbliższej biblioteki i znalazł adres w Jurgowie. Ucieszył się, że to blisko, i postanowił jak najszybciej ją odwiedzić. Czy przed dwudziestu laty już tam była? Zapewne, ale on dopiero po wyroku stał się aż tak zapalonym czytelnikiem. Jeśli nie liczyć wytrenowanego ciała, literackie podróże uważał za jedyny pozytywny bagaż, jaki wyniósł z za krat.

Sięgnął po pierwszą książkę ze stosu, przeczytał kilkadziesiąt stron powieści o duńskim Departamencie Q, po czym uznał, że zbliża się pora na to, co konieczne, choć niezbyt przyjemne. Pies nadal drzemał. Leniwie uchylił jedno oko, gdy człowiek wstał i wszedł do kuchni, ale nie chciało mu się za nim iść. Stefan wstawił wodę. Wygrzebał z kredensu zbrylony cukier i zafoliowane opakowanie mięty, konstatując, że zioła to nie kiełbasa i przeterminowanymi się nie zatruje. Zalał wrzątkiem torebkę. Po krótkim

wahaniu zrezygnował ze śłodzenia, gdyż na białych kryształkach dostrzegł dziwny brązowy nalot. Usiadł ze szklanką przy stole i przypomniał sobie, że obiecał zjawić się wieczorem u Helci. Nie miał ochoty na towarzystwo, zatem zadzwonił do niej z informacją, że wycieńczyło go sprzątanie i nijak nie da rady. Zapewnił solennie o wizycie nazajutrz, lecz nie miał złudzeń, że ją rozczarował. Skończywszy mętne tłumaczenia, nie zwlekał już dłużej i wybrał numer Jacka.

– Tu Stefan – przywitał się niezgrabnie i odchrząknął. – Walicki. Ojciec Ady.

– Słyszę, niestety. – W głośniku zabrzmiał dość wysoki, zimny męski głos. – Dodaj do tego, że zdrajca, uwodziciel cudzych żon i złamas na warunkowym po wyroku za morderstwo.

– Nie popełniłem go.

– Dla mnie to bez różnicy. Rozpieprzyłeś moje dzieciństwo.

– Przepraszam.

– Daruj sobie – uciał twardo Zawadowicz.

– Nie jesteś zaskoczony, że dzwonię. – Stefan nie zwracał uwagi na ton ani złośliwości rozmówcy, bo był na nie przygotowany. Sam starał się mówić rzeczowo i bez zbędnych emocji.

– Matka mnie ostrzegła, żebym przypadkiem nie dostał zawału. Czego chcesz?

– Potrzebny mi numer telefonu Ady. Helena twierdzi, że musiał się zmienić.

– I?

– Podpowiesz mi, do kogo mógłbym się w tej sprawie zwrócić? Może do jakiejś przyjaciółki albo kogoś z pracy?

– Teoretycznie do mnie.

– Podała ci nowy po tym, jak się rozstaliście? Kontaktujesz się z nią? Rozmawiacie?

– Oczywiście, że tak. Nie pokłóciliśmy się. Omotał ją ten przydupas, zrobił jej wodę z mózgu i to ona mnie porzuciła, a nie ja ją. W dodatku w najgorszym momencie. Jestem cały w bliznach, chodzę na rehabilitację...

– Podobno miałeś wypadek.

– Szantażowali mnie bandyci, napadli i próbowali wykończyć. Pobili, skopali, lali na mnie wrzątek. Masz pojęcie, jaki to ból? Ledwie uszedłem z życiem, a ona ani razu nie odwiedziła mnie w szpitalu.

Głos Jacka zadrżał. Przebijały w nim resztki tamtego strachu i cierpienia. Walicki nie wątpił, że słyszy prawdę, choć dziwiło go, że rozmówca tak otwarcie o tym opowiada.

– Jej nic nie zrobili? – spytał, bo Helcia wspomniała o wypadku, a nie o napadzie.

– Jest cała i zdrowa. Ja ledwo trzymam się kupy, a ona po prostu gzi się z kochankiem. Bez żadnych skrupułów, tak jak ty i matka. Ale to chwilowe, wróci do mnie, zobaczysz. Niech tylko pozna się na tym łysiejącym zwyrodnialcu.

Stefan poczuł, że na nowo wszystko się w nim napina.

– Dlaczego „zwyrodnialcu”? Co to za człowiek?

– Kompletny palant. Skrzywdzi ją, nie ma bata. To kwestia czasu. A ona wtedy przybiegnie z płaczem i podkulonym ogonem.

– I co zrobisz?

– Pozwolę się przeprosić, przebaczę i znowu się jej oświadczę. Wystarczy cierpliwie poczekać.

W tonie Zawadowicza brzmiała niezachwiana pewność i niemal nieuchwytna nutka satysfakcji. Walicki nie wiedział, co o tym myśleć. Powinno go to pocieszyć czy zaniepokoić? Gwałtownie wzrosła w nim potrzeba bezpośredniego kontaktu z córką i osobistego wybadania sytuacji. Niech to diabli, pomyślał, przecież ta dziewczyna nie ma nikogo, kto by stał bezwarunkowo po jej stronie. Dziadkowie nie żyją, rodzeństwa brak, rodzice – wiadomo...

– Podyktuj mi do niej numer. Adres też, o ile znasz.

– Nie słyszałeś o RODO?

– Słyszałem. Przecież nie zrobię jej krzywdy. Jeśli to, co mówicie ty i Helena, jest prawdą, obiecuję, że pomogę ci ją odzyskać.

Jacek zaśmiał się sztucznie.

– Obejdzie się. Powiem ci jedno, Walicki, spierdalaj. Spierdalaj i radź sobie sam!

## 10.

Tymek Pilch siedział skrzyżnie w obcej, wykrochmalonej pościeli i zaciskał zęby, żeby się nie rozpląkać. Chciał udawać twardziela, nie było to jednak łatwe, bo tego dnia rzeczywistość go przerosła. Już kilka godzin temu jego siły ducha ostatecznie się wyczerpały, a nic nie zapowiadało końca dramatów. Marzył, by wrócić do swojego pokoju w mieszkaniu na trzecim piętrze i żeby było tak jak dawniej, jak wczoraj albo jeszcze lepiej, jak przed wakacjami – zanim mama powiedziała, że poleci do Melbourne. Niechby rodzice się w kółko kłócili, mama brała nocne dyżury, a tata pił whisky. Wszystko jedno. I tak byłoby lepiej niż teraz.

Przed chwilą przyszła jakaś pani, dziwnie kanciasta, jakby żywcem wyjęta z Minecrafta, ostrzyżona po męsku, inna niż te, które dotąd się nim zajmowały. Pachniała krupnikiem i czymś cytrynowym, ale sztucznym, jakby mydłem lub płynem do mycia podłogi. Przyniosła talerz z kanapkami, uśmiechnęła się i życzyła smacznego. Odmówił jedzenia, na wszelki wypadek dodając ciche „dziękuję”, by nie pomyślała, że jest niewychowany albo chamski. Przetyk miał tak ściśnięty, że nie wyobrażał sobie przepchnięcia przez niego kolacji. Zresztą obiadu też nie zjadł. Pani pokiwała głową ze zrozumieniem. Była naprawdę całkiem miła, starsza od rodziców, za to cała w okropnych piegach. Pokrywały nawet jej dłonie i Tymek wzdrygnął się na myśl, że mogłaby go dotknąć. Na szczęście tego nie zrobiła. Wetknęła mu tylko w ręce kubek i powiedziała:

– Spróbuj chociaż kompotu.

Nie chciał jej całkiem rozczarować, wypił więc duszkiem i znów podziękował. Nie potrafił odgadnąć, co za owoce stanowiły bazę tego napoju. Z pewnością został obficie posłodzony. Niby nie smakował najgorzej, ale w brzuchu małego Pilcha zawirowało nagle niczym w pralce i nim zdążył pobiec do łazienki, zawartość żołądka przez jego usta chlusnęła wprost na koldrę.

– Blee – jęknął chłopiec z sąsiedniego łóżka i otrząsnął się z obrzydzeniem.

– Rzygacz – zawołał drugi dzieciak, krzywiąc się i zatykając nos.

– Jasna cholera! – wrzasnęła pani i odskoczyła w obawie o swoje ubranie i buty.

Cuchnąca rzadka breja ściekała na podłogę cichymi pacnięciami. W sali zjawiała się kolejna kobieta, wysoka i tęga, jedna z tych, które Tymek zdążył już poznać. W myślach nazywał ją Fioną, bo z wyglądu kojarzyła mu się

z wybranką Shreka. Wypisz wymaluj ona, tylko nie miała zielonej skóry, lecz zwykłą, nawet dość opaloną w porównaniu z tą drugą panią.

– Co się dzieje? – spytała.

– Dostał torsji – doniosła piegowata.

Nie sprawiały wrażenia zagniewanych, a raczej takich, które się niepokoją i chciałyby się o niego zatroszczyć.

– Zawołam lekarza, a ty tu ogarnij – zarządziła Fiona, otworzyła okno na oścież, a potem zwróciła się do chłopca:

– Nie przejmuj się. Pani Paulina pomoże ci się przebrać i posprząta. Nie wstawaj sam.

Bezwietrzny upał nie dawał szans na przewiew, choć dzień zmierzał ku końcowi. Powietrze stało w miejscu i wydawało się, że duszący zapach wymiocin po wsze czasy będzie unosił się nad łóżkiem. Na szczęście zmiana piżamy i pościeli trochę pomogła. Umycie twarzy i przepłukanie ust wodą także, chociaż Tymek czuł się upokorzony, bo wszystkie te czynności musiał wykonać przy kolegach. Gapili się na niego i marszczyli nosy, gdy pluł do blaszanej nerki.

Po kilku minutach zjawił się człowiek w kitlu. Gładko ogolony, jak tata, ale znacznie szczuplejszy. Fartuch lekarski śmiesznie się na nim wydymał przy każdym ruchu. Ów strój pewnie lepiej pasowałby na Fionę niż na chudzielca. Może się pomylił i założył nie swój lub czymś poplamiał i musiał szybko pożyczyć od grubszego kolegi, zastanawiał się mały Pilch. Twarz człowieka nie wydawała się zupełnie obca, na pewno już się spotkali, choć dzieciak niezbyt kojarzył szczegóły. Poukładanie w głowie ostatnich zdarzeń nadal sprawiało mu trudności. Dziwne dziury w pamięci drażniły go i napełniały lękiem. Wolałby wszystko rozumieć, niż w kółko o coś pytać, bo to przecież totalna siara. Jeszcze chłopcy z sąsiednich łóżek pomyślą, że z niego zwykły smarkacz, a nie poważny facet, który we wrześnie zacznie czwartą klasę.

– Jak się miewasz? – zagał rozmowę lekarz.

– Dobrze – bąknął, bo co niby miał powiedzieć? Piekło go w przetyku i pod oczami, a kołnierz ortopedyczny przeszkadzał i grzał jak szalik z polaru. Czuł się, jakby go wrzucono do worka z ziemniakami i w ich towarzystwie pozwolono stoczyć się z górką. Poza tym pierwszy raz w życiu łupało go w skroniach i przestawał się dziwić tacie, że gdy go bolała głowa, stawał się drażliwy i ponury.



– Dobrze, powiadasz? – powtórzył po nim medyk i zaświecił mu latareczką podobną do długopisu prosto w jedno i drugie oko. Okropnie raziło, ale Tymek zacisnął zęby i nie protestował. – Gniecie cię w brzuchu? Mdzi?

– Nie.

– Połóż się. – Podciągnął mu bluzę od pizamy i przez chwilę uciskał palcami dookoła pępka. Na szczęście krótko. Kiedy skończył, znów się odezwał: – Coś ci szczególnie dokucza? Bardziej niż wtedy, gdy tu przyjechałeś?

– Nie.

– Jesteś w stanie wykrzesać z siebie więcej niż jedno słowo? – zachęcał doktor, badając mu puls.

Chłopiec zawstydził się małomówności i w obawie, że taką postawą sobie zaszkodzi, postarał się skonstruować najrozsądniejszą wypowiedź, na jaką było go stać:

– Czy może pan się dowiedzieć, gdzie są moi rodzice? Nie mam tu komórki.

Lekarz ze zrozumieniem pokiwał głową i poklepał dziecięcą dłoń. Obrócił ją i odkrył, że jest spocona.

– Denerwujesz się?

– Tak.

– To może stąd ta reakcja. Puls masz nadal przyspieszony, chociaż przebadaliśmy cię na wszystkie strony i innych podstaw medycznych nie widzę. Tylko nerwy. Wciąż jesteś w szoku.

– Co to znaczy?

Doktor wepchnął ręce do kieszeni kitla i przysiadł na łóżku.

– To... Jakby ci powiedzieć... Silna reakcja na stres. Ludzie czują się przy tym chorzy, czasem tracą przytomność. Również dorośli, więc nie musisz się wstydzic – zastrzegł, bo wieloletnie doświadczenie w pracy z dziećmi nauczyło go, że wystarczy pewne kwestie wyraźnie podkreślić, by podbudować pacjenta na duchu. – To przejściowe i naturalne. Pielęgniarka zrobi ci zastrzyk, po którym zaśniesz, a ja postaram się zdobyć dla ciebie informacje.

– Obudzi mnie pan, gdybym spał?

– Obudzę – obiecał doktor, choć wiedział, że tego nie robi. Nadchodzi noc. Do rana pacjent odrobinę się zregeneruje i łatwiej będzie mu zmierzyć się z faktami. Z tego, co mówiono na izbie przyjęć, wynika, że przed nim

trudne chwile. Niby nigdy nie ma właściwego czasu na złe wieści, ale im później przychodzą, tym lepiej.

Tego właśnie nie lubił w swoim zawodzie: gdy dzieciaki cierpiały, a on wiedział, że nie może im pomóc, bo ich ból wymyka się mocy farmaceutyków i sile medycyny. Przeczesał palcami siwiejące włosy i wstał. Ktoś powinien przyjechać do tego małego. Byłoby mu lżej, a i pracownikom szpitala kamień spadłby z serca.

– Proszę pana – wymamrotał Tymek, widząc, że medyk zamierza odejść.

– Bo mama mnie tu odwiedziła, prawda?

– Mhm. Rozmawiała ze mną i trochę przy tobie posiedziała. O, jest pielęgniarka. Zostawiam cię w dobrych rękach.

– Nic się nie bój. – Fiona uśmiechnęła się ciepło, jakby chciała dodać mu otuchy. – Nawet nie poczujesz. Wzięłam najcieńszą igłę.

Uwierzył i bez wahania pozwolił sobie przetrzeć skórę mokrym wacikiem. Zaraz potem pożałował, bo jednak zapiekło. Zacisnął zęby, oczy straciły ostrość, a po policzku spłynęła zdradziecka łza. Tylko jedna, przekonywał się w myślach, więc się nie liczy. Nie będzie beczał jak przedszkolak. Zamknął oczy. Ból powoli się rozmywał, jakby wstrzyknięta substancja wypłukiwała go z ciała. Znikało zagubienie, a z nim strach i rwane strzępy wspomnień. W to miejsce niepostrzeżenie wkradł się sen, opuszczając ciężkie powieki. Tymek odpłynął i już nie słyszał, że koledzy z sąsiednich łóżek chichoczą. Pielęgniarka, głaszcząc go po włosach, wyszeptała:

– Nie pękaj, mały.

## 11.

Bartek Pilch wpadł do szpitalnego holu i zaklął pod nosem, widząc kotłujący się tłumek przy rejestracji. Co tu robią ci wszyscy ludzie o takiej późnej porze, zdziwił się w przelocie. Rozejrzał się bezradnie, po czym olśniła go myśl, by skorzystać z ogromnej tablicy z opisem lokacji oddziałów oraz orientacyjnym rzutem poszczególnych kondygnacji budynku. Po chwili wiedział, na które piętro musi się dostać i gdzie znajdzie klatkę schodową. Windy ominął, bo rozsadał go niepokój i nie zdołałby ustać w miejscu. Nim dotarł do pierwszego stopnia, zatrzymała go zasuszona, wiekowa dama z fioletowymi włosami w różowym gieźle.

– Ochraniacze! – napomniała, marszcząc brwi.

– Słucham? – Nie załapał, o co jej chodzi.

– Ochraniacze na buty niech kupi. Bez tego nie wpuszczą. Leżę tu od tygodnia, to wiem. Odeślą z pięterka, jak bum-cyk-cyk. Szkoda nóg.

Krótki paznokieć pociągnięty lakierem w kolorze odzienia wskazał wiszący na ścianie automat. Bartka olśniło.

– Na bilon?

– Po dwójeczce. Rozmienię, jakby co.

Pogrzebał w kieszeni i wydobył piątaka. Podsunął kobiecie na otwartej dłoni. Zgarnęła monetę zachłannie i rzuciła w jej miejsce dwie dwuzłotówki.

– To cztery – podsumował.

Staruszka wzruszyła ramionami.

– Inaczej nie mam, ale jak mu nie jest pilno, niech idzie pytać w rejestracji, tylko tam ogonek jak za komuny po salceson.

Pilch, lekko ogłuszony nonszalancką, niemal cwaniacką postawą rozmówczyni, przypomniał sobie, że faktycznie mu się spieszy. Machnął ręką na bandycki, iście lichwiarski kurs wymiany i dopadł do urządzenia. Gdy plastikowa kula z foliowymi ochraniaczami na obuwiu w środku wytoczyła się prosto w jego ręce, zahaczył wzrokiem o napis, który głosił jak wół, że automat wydaje resztę.

Przechera w różowym gieźle zniknęła za rogiem i Bartek nie mógł pozbyć się przekonania, że czyha na kolejnego naiwniaka. Niech jej idzie na zdrowie, pomyślał, uznawszy, że mistrzyni wymiany bilonu nie jest wyrachowanym cwaniakiem, lecz zwyczajną zgrywuską, która dla beki lubi zażyć kogoś z mańki. Niebagatelne, bo koszt niewielki, a uchroniła go od biegania po schodach w tę i we w tę, a przy okazji nieco rozbawiła, rozładowując stres.

Po chwili u szczytu schodów dostrzegł na ścianie urządzenie bliźniacze z tym z parteru i uświadomił sobie, że nabito go w butelkę bardziej spektakularnie, niż sądził. Machnął ręką i postanowił zapisać w pamięci tę przygodę jako piękną ilustrację do baśni o własnej naiwności. Minął drzwi oddziału, szukając znajomej postaci. Na końcu rozświetlonego, długiego korytarza stała Magdalena. Dawno jej nie widział, bo z zasady ograniczał ich kontakty do minimum. Musiał przyznać, że przyciągała wzrok. Mimo trudnego zawodu, któremu poświęcała się bez reszty, zawsze wyglądała na świeżą i wypoczętą. Długie ciemne włosy nosiła rozpuszczone. Wąskimi sukienkami podkreślała kobiece kształty, którym nie zaszkodziła ciąża ani nieregularne posiłki spożywane byle jak podczas niekończących się dyżurów na oddziale ginekologiczno-położniczym. Rzadko wkładała spodnie i buty na płaskim obcasie. Nawet po domu chodziła w śmiesznych futerkowych papuciach na wysokim koturnie. Świetnie razem wyglądali z Borysem, który był znacznie przystojniejszy od brata. Nie dorobił się zaczątków łysiny, miał wyraźniejsze, męskie rysy, zawsze ogoloną twarz, prosty nos i głęboko osadzone oczy, piwne – jak wszyscy Pilchowie. Gdy zerkały zza rogowych okularów, nadawały mężczyźnie melancholijny, romantyczny wyraz. Kobietom się to podobało i ochoczo wodziły za nim wzrokiem, o ile akurat nie zalewał robaka.

Tymczasem jego interesowała wyłącznie własna żona. Może dlatego od lat go lekceważyła? Za bardzo mu zależało i nie musiała o niego zabiegać. A może nigdy go nie kochała? Zatem po co za niego wyszła? Bartek dotąd się nad tym nie zastanawiał, bo sprawy nierozstrzygalne zwykł od siebie odsuwać. Teraz jednak wybrzmiały w nim liczne pytania, gdy zobaczył ją elegancką, doskonale umalowaną i nawet lekko uśmiechniętą w miejscu, które kojarzyło się raczej z niepokojem. Piła kawę z papierowego kubka i rozmawiała z dwojgiem lekarzy. Pasowali do niej niczym klocki tej samej układanki – ładni, pewni siebie, młodzi i jacyś tacy nieskazitelni, jakby ich żywcem wydarto z serialu o szpitalu w Leśnej Górze. Pilch podszedł do nich bez wahania.

– Dobry wieczór, co z nim? – spytał.

– Zaczekaj chwilę – rzuciła Magdalena, prostując się i dziwnie sztywniejąc, po czym podjęła przerwana pogawędkę. – Rewelacyjny jest już sam sprzęt, na jakim będę pracować. Moja klinika ma całkiem niezłe wyposażenie, ale nie umywa się do tej australijskiej. Tam liczy się zarówno komfort pacjentki, jak i lekarza. Rozumiecie? *Mental wellbeing*.

– A od strony naukowej? – spytała kobieta.

– To jest najlepsze. Poza kasą, *of course*. Oni prowadzą zaawansowane badania w zakresie leczenia niepłodności. Mnie to ciekawi i zamierzam zaangażować się na tyle, na ile mi pozwolą.

– Wrócisz do kraju?

– Kontrakt mam na rok. – Łypnęła na szwagra, jakby jego obecność przy tej wymianie zdań uznała za szalenie niewygodną. – Pożyjemy, zobaczymy.

Para medyków pożegnała się z nią wylewnie, życząc dobrej podróży, lekko skinęli Bartkowi i opuścili oddział, by skierować się do wind. Pilch wbił w bratową zniecierpliwiony wzrok i mruknął z nieopanowaną ironią:

– Prosiłaś, żebym przyjechał jak najszybciej.

– O co ci chodzi? Minuta niczego nie zmieni. To znajomi ze studiów. Pracują tu na położniczym – poinformowała i wyćwiczonym ruchem dłoni odrzuciła włosy do tyłu. – Rano zeszałam z dyżuru, musiałam załatwić kilka spraw i nie zdążyłam się nawet położyć. Muszę odpocząć, więc chciałabym, żebyś mnie zmienił na warcie. Nie mogę spędzić kolejnej nocy w szpitalu, tym razem nawet nie moim, a ktoś z nas powinien tu siedzieć, na wszelki wypadek. Cud, że znam lekarza prowadzącego – dzięki temu szybciej uzyskałam konkrety. Czeka na ciebie pod siódemką, wszystko ci opowie, ja lecę.

– Kto?

– No, Sławek. Lekarz prowadzący. Szwankuje ci aktywne słuchanie?

– Hola. – Zatrzymał ją, łapiąc za łokieć, po czym natychmiast cofnął rękę, jakby go oparzyła. – Gdzie Tymek?

– Przecież nie tu. W Koperniku nie mają oddziałów dla dzieci. Zatrzymali go w Korczaku na obserwacji. W zasadzie nic mu nie dolega.

– Leży tam sam?!

– Jakie sam? Pod opieką personelu. Poradzi sobie.

– Nie powinnaś była go zostawiać...

– Jestem jego matką i wiem, co powinnam. Zajrzę do niego na moment w drodze do domu i sprawdzę, czy wszystko okej. Noc i tak prześpi. Ja też muszę się zdrzemnąć. Towarzystwo przyda mu się jutro i wolę nie być wtedy padnięta.

Bartkowi na usta pchał się komentarz, że nie wygląda na taką wycieńczoną, ale ugryzł się w język. Ona i tak zrobi to, co zechce. Może nawet ma trochę racji?

– Czyli widzimy się rano?

– Tak. Na wszelki wypadek nie wyciszaj komórki.

Papierowy kubek po kawie wylądował w koszu. Magdalena odeszła, stukając obcasami. Pilch bezmyślnie odprowadził ją wzrokiem, po czym rzucił się w stronę pokoju lekarskiego. Znalazł w nim faceta około czterdziestki, ze szpakowatymi włosami, budową atlety i delikatnymi dłońmi o niezwykle długich palcach. To on powinien być ginekologiem, pomyślał Bartek, albo pianistą. W przeciwieństwie do Magdaleny wyglądał na porządnie wymiętego. Podpuchnięte, zaczerwienione powieki zdradzały deficyt snu i przepracowanie. Wyciągnął rękę na przywitanie, zaskoczył Pilcha silnym uściskiem.

– Sławomir Żytko. Kardiolog. Pan jest tym młodszym bratem, tak? Grafikiem? – zagadnął przyjaźnie. – Mój syn zaczytuje się w waszych komiksach. Czasami mu podbieram.

– Tak, to ja. Miło mi.

– Niech pan siada. Może kawy? Ja już nie powinienem, ale w przeciwnym razie nie przetrwam do porannego obchodu.

– Nie, dziękuję. Proszę mnie nie trzymać w niepewności. Borys tu leży, tak? Znow miał problemy z ciśnieniem? – Bartek przycupnął na skraju krzesła i postanowił, że dłużej nie pozwoli się zwodzić.

– Magdalena nie wprowadziła pana w temat?

– Jest specyficzna, a nasze relacje... Cóż... W każdym razie odesłała mnie do pana.

– Rozumiem – odparł Żytko. – Fakt, nie należy do zbyt wylewnych osób. Kilka razy mieliśmy przyjemność współpracować. – Pstryknął czajnikiem elektrycznym i usiadł za biurkiem. – Pana brat od dziecka ma kłopoty z sercem. Podejrzewam, że leki przyjmował nieregularnie, za to nie stronił od kieliszka. Od jego żony wiem, że wiosną spędził kilka dni w szpitalu Barlickiego z ostrym zatruciem alkoholowym.

– *Ad rem*, panie doktorze. Znow przeholował z whisky?

– Tym razem był trzeźwy. Ani promila. W okolicy lotniska doszło do wypadku.

– Jezu... – Rysownik złapał się za głowę. – Wspominał, że chce się wybrać z synem na skoki. Odradzałem. Coś poszło nie tak? – Wyrzucał z siebie słowa i czuł, jak po plecach przebiega mu zimny dreszcz, a głowa zaczyna pulsować. – Podobno mały został tylko na obserwacji w Korczaku.

– Nie znam szczegółów, bo nie ja przyjmowałem pacjenta na izbie przyjęć. Z tego, co widnieje w karcie, wynika, że uczestniczył w kolizji

drogowej. Obrażenia również na to wskazują.

– W jakim jest stanie?

– Po pierwsze ma urazy związane z samym zdarzeniem. Złamana kość udowa, pęknięta miednica, mocno nadwyrężone kręgi szyjne. To najważniejsze konkrety. Do tego sporo detali, ale jakoś by się wylizał. Najgorszy jest udar.

– Jaki znowu udar?! – Bartek poderwał się, obszedł dookoła krzesło i zacisnął palce na jego oparciu. – W wyniku kolizji dostał wylewu?

– Niewykluczone. – Lekarz pokiwał głową. – To jedna z możliwości. Ale mogło też być odwrotnie.

– Jakie są rokowania?

– Udar okazał się bardzo rozległy, do tego ogólny stan po wypadku... Oczywiście niczego nie przesądzam, ale w najbliższym czasie raczej nie uda się z nim porozmawiać.

– Czyli mam się uzbroić w cierpliwość?

– Dopóki się nie wybudzi, ciężko o ocenę skutków i rokowania.

Bartek oddychał głęboko, aż zakręciło mu się w głowie. Potarł palcami czoło i z powrotem usiadł, bo zmiękły mu nogi. Dopadła go złość na parszywy los, a do tego nieprzemóżna potrzeba, by jak najszybciej pojechać do Tymka.

Żytko zalał sobie herbatę wrzątkiem, a jemu podał szklanekę z zimną wodą i gdy Pilch odrobinę wrócił do równowagi, zaprowadził go na salę intensywnej terapii. Borys wyglądał obco bez okularów. Twarz miał obrzmiałą, zasinioną, z licznymi skaleczeniami. Z ust wystawała mu rurka intubacyjna. W klatce piersiowej młodszego brata coś się zacisnęło, jakby jego serce zamierzało zaprotestować przeciw temu obrazowi. Położył dłoń na ręce pacjenta.

– Nie rób sobie jaj, chłopie. Nie teraz! Nie możesz zawieść Tymka! – wyszeptał lekko łamiącym się głosem, jakby próbował wyrzucić z siebie wszystko, nim układane w myślach słowa poplączą się i zagubią: – Myślałem, że się urznąłeś i mnie olałeś. Byłem wpieniony, że nie pojawiłeś się w wydawnictwie. Musisz się z tego wykaraskać! Słyszysz? Przepraszam. Za to, że wiecznie nie miałem czasu, że w kółko cię opieprzałem, i za Magdalenę też. Nigdy cię za nią nie przeprosiłem. Żałuję, naprawdę. Wiem, że ty też żałujesz tego, jak mi dokopałeś. To było takie niepotrzebne, Borys. Ale zmądrzeliśmy. Wszystko przed nami. Tymkowi podobno nic się nie

stało. Pojadę do niego, a potem wrócę i zdam ci relację. A ty tu czekaj i walcz.

– Chodźmy już – poprosił Żytko, kładąc dłoń na ramieniu Bartka. – Zaopiekujemy się nim. Zrobimy wszystko, co się da, by mu pomóc.



## 12.

– Pogoda jest wyśmienita, to wiesz, bo od czerwca w całej Europie niemożliwy gorąc, ale jeszcze trochę i dostanę hyzja. – Majka Lipska paplała do telefonu tak głośno, że bez trudu przebijała się przez nuty Czajkowskiego, czym odciągała Adę od rozmyślań o Bartku. – Ona mnie zwyczajnie wykończy.

– Ostrzegałam cię, że tak będzie. Wakacje z teściową już na poziomie semantycznym brzmią słabo, a co dopiero w praktyce. – Walicka starała się wczuć w dramat przyjaciółki, choć wydawał się błahy w porównaniu z tym, z czym zmagala się ona sama czy chociażby rodzina Pilchów.

Zapewne nie mieli lekko, skoro Bartek nie znalazł dotąd czasu, by przekazać jej jakieś konkrety poza tym, że siedzi u brata w szpitalu i nie potrzebuje wsparcia. Nie miała pretensji, gdyby mógł, to by powiedział więcej, a mimo to... ech... przykro.

– Niby tak, ale Tomasz z nią rozmawiał i tłumaczył, że nie chcemy, by się wtrącała w wychowywanie Stasia. Niech sobie będzie najlepszą babcią, ale nas nie krytykuje, a przede wszystkim nie podważa moich kompetencji jako matki. Wyłożył jej to tak jasno, że można by oślepnąć.

– I co?

– Założyła okulary przeciwsłoneczne i spłynęło to po niej jak woda po kacze. A może nawet jak po ptaku w drzwiach.

– Po czym?

– *In door*, czyli indor, czaisz?

– Aaa...

– Spłynęło jak po indorze, bo ona, jak się nabzdyczy, to robi się czerwona jak indor. Zwłaszcza teraz, przypieczona chorwackim słońcem. Jak na patelni tu jest, mówię ci, kochana, i jeszcze plaże kamieniste, więc wózkiem nie przejedziesz.

– Czyli ci się nie podoba?

– Bardzo mi się podoba. Gdy się ten lazur wody zderza z chabrowym odcieniem nieba, to aż w oczy szczypie, serce mięknie i każdy z marszu odkrywa w sobie artystyczną duszę. W życiu nad Bałtykiem nie zobaczysz takich kolorów.

– Nasze morze ma inne zalety – zdążyła wtrącić Ada.

– W tej chwili ma jedną podstawową – perorowała Majka. – Nie uświadczysz nad nim Jadwigi Lipskiej.

Weszła do kuchni, przytrzymała komórkę ramieniem i wyjęła z lodówki dzbanek soku z pomarańczy. Napełniła szklankę i gestem spytała Ludmiłę, czy także reflektuje na napój. Starsza pani przytaknęła bez odrywania się od zagniatania ciasta, zatem dziewczyna naląła i jej, po czym dołożyła z zamrażalnika po kilka kostek lodu. Zoja przysiadła obok na bufecie i zastukała dziobem w gips.

– *Skupets! Skupets!* – wrzasnęła. – *Nu dawajże biskvit!*

– Sama jesteś skąpcem, gadzino – zbeształa ją Gołębowska. – I żebrakiem do tego.

Dziewczyna sięgnęła do pudełka po podłużny ptasi biszkopcik i położyła go przed amazonką na blacie.

– *Da! Da! Blagodarrju!*

– Odwała jej? – dociekał głos w telefonie.

– Dostała ciastko i grzecznie dziękuje. Będzie mnie wielbiła, dopóki nie zje – wyjaśniała Walicka i obserwowała, jak papuga próbuje podważyć pazurkami ciastko, by podnieść je ze śliskiej powierzchni bufetu. Po chwili zagadnęła: – Pani Ludmiło, zaraz pani pomogę.

– Nie spiesz się, dziecko – odparła staruszka i puściła do niej oko.

Ada przeniosła się zatem na kanapę i kontynuowała rozmowę, popijając zimny sok.

– Po co ty się godziłaś na tę wspólną eskapadę?

– A, bo tak jakoś... – Majka się nieco stropiła. – Ona zadeklarowała się pokryć koszty za nas wszystkich, jeśli ją zabierzemy, a że pieniądze nie śmierdzą, to sama wiesz... Obiecywała nam wolne wieczory, spacerunki we dwoje po plaży, bo chętnie zostanie z wnukiem. Dałam się skusić jak zachłanna mucha perspektywą nieziemskiego gówna.

– Malownicze porównanie. Faktycznie obudziłaś w sobie poetkę. I co teraz? Nie ma zachodów słońca z małżonkiem?

– Nie ma, bo przecież Stasiowi dobrze robią wieczorne przechadzki, a spać może choćby w wózku, zaś jego babcia przywykła kłaść się razem z kurami i nie znajduje powodu, by na starość wyprowadzać się z kurnika. Poza tym lepiej ode mnie wie, w co moje dziecko należy ubierać, jak je kąpać i czym karmić. Ba, ona nawet lepiej wie, co my chcemy zjeść, i w knajpach zamawia dla wszystkich to samo co dla siebie, zanim zajrzemy w kartę.

– Tomasz na to co?

– Gó... Głupawo się szczerzy. Nawykł służyć ślepo matki i nawet nie mruknął, dopóki go zdrowo nie opierniczył. A opierniczam po fakcie, bo nie chcę się awanturować przy kelnerach. Mam teściową despotkę, męża debila, a sama zmieniam się w znerwicowaną frustratkę. Ciekawe, co z dziecka wyrośnie. Pewnie narkoman, hipochondryk albo co gorsza jakiś naukowiec.

Walicka zaśmiała się, parszkając pomarańczowymi kroplami.

– Nie kracz.

– No dobra, muszę już kończyć, bo małżonek na migi donosi, że wychodzimy. Teściowa gotowa na plażing. Pindrzyła się chyba z godzinę, może planuje bałkański podryw. Zdradź mi jeszcze tylko, czy pozbyłaś się gipsu?

– Pozbędę się jutro.

– Oj, to cudownie. Naciągnij szybko komiksowca na małego Pilcha, bo Stasiowi przydałby się kumpel do zabawy. Albo kumpelka. Bez różnicy. Pa!

– Nie powiedziałaś jej o ciąży? – spytała Ludmiła znad wielkiej kuli ciasta, gdy Ada odłożyła komórkę. – Przepraszam, ona ma taki głos, że niesie się po całym domu.

Walicka podeszła do kuchennej wyspy i odstawiła pustą szklankę. Mimowolnie dotknęła brzucha. Coraz częściej przyłapywała się na tym odruchowym matczynym geście.

– Nie. Dzwoni raz na kilka dni i cały czas pytluje. Ledwo udaje mi się wtrącić pojedyncze słowa. Wróci na ojczyzny łono, to się dowie.

– Ona nie jest odrobinę egocentryczna i taka jakby... nie gniewaj się... pusta?

– Aż tak to nie. Beztroska i tyle. Dotąd jej największym wyzwaniem jest macierzyństwo, a największym dramatem teściowa. Każdy mierzy problemy swoją miarą. Co będziemy jeść?

– Knedle – oznajmiła z ukontentowaniem Gołębiowska i otrzepała ręce z mąki. – Z truskawkami i śmietaną. I z cukrem też. A co! Zasłodzę cię, skoro przestałaś haftować. Szybko ci odpuściło. Myślisz, że twoje dziecko zechce mówić do mnie „babciu”?

– Na pewno. O lepszej nie mogłoby marzyć.

Powieki z wyblakłymi rzęsami szybko zamrugwały za grubymi szklami okularów.

– Tak nie mów, bo mi puszczą śluzy. Umyj truskawki i spróbuj odszypułkować. Nie mogę się doczekać, jak zaczniesz cię kopać.

– Internet donosi, że pierwsze ruchy poczuję najwcześniej za miesiąc. Podobno to takie smyranie, jakby w brzuchu latały motylki.

– Motylki powinien ci fundować Bartek. Chyba nie zwałił tej roboty na dziecko?

– Nie zwałił – odparła, nieco się rumieniąc na wspomnienie poprzedniego wieczoru. – Za to piersi mam jakby większe, a dziś rano, gdy wyjrzałam przez okno, odkryłam pod pępkiem coś wyraźnie obcego. Taką bańkę. Przycisnęłam się do parapetu, wychyliłam i zdawało mi się, jakby między mną a nim był nadmuchany balonik. Malutki, jak piłeczka do ping-ponga. Dziwne, nie?

– Pamiętam. Raz jeden to czułam. Dokładnie jak opisałaś. Rozbeczałam się wtedy ze szczęścia.

Walicka ociągała się i obserwowała, jak pod naciskiem wprawnych rąk powleczonych cienką, wysłużoną skórą wyrobione ciasto zmienia się w długi wałek. Wreszcie podeszła do zlewu i starannie wypłukała owoce w durszlaku. Przysiadła na stołku i zabrała się za odrywanie zielonych ogonków. Nie szło szybko, ale nigdzie jej się nie spieszyło. Po kilku próbach znalazła najwygodniejszy sposób, by poradzić sobie z tym zadaniem jedną ręką. Dopiero wtedy zapytała:

– Opowie mi pani? – Gołębowska, nagle wyrwana z zamyślenia, drgnęła i jęła energicznie kroić wałek na okrągłe placki. – Jeśli to za trudne, to zrozumiem.

– Nie, Adulka. Spokojnie. Ja w latach jestem. Na jesieni skończę osiemdziesiąt i prawie zapomniałam. To się tak uleżało w czasie, że jest bardziej oswojone niż starość. Powiem ci po obiedzie, jak się napchamy knedlami po kokardy. Nalejesz sobie soku, a mnie soplicy. Zostało jeszcze trochę, bo Bartuś ostatnio nie bardzo był chętny i ta wódeczka się marnuje w lodówce. Nie lubię bez towarzystwa, ale możemy przecież udawać, że też masz wkładkę w szklaneczce.

– Możemy.

– A ty mi powiesz, co się wczoraj porobiło. Bo ja już przestaję za wami nadążać. Nie wróciłaś na noc i bardzo to popieram, ale Bartka z tobą nie było.

– No... owszem. Porozmawialiśmy trochę. Kupił mi pierścionek. Tłumaczył, że tak będzie rozsądnie i naturalnie: zaręczyny, wspólne mieszkanie i dziecko.

Staruszka uniosła głowę znad ciastowej kulki wypełnionej ocukrowaną truskawką.

– To w jego stylu. I co ty na to?

– Boję się.

– Nie jesteś pewna jego intencji?

– Nie. To całkiem nie tak. On wierzy w to, co mówi, ale widzi tylko słoneczną stronę ulicy. Tak przedstawia sprawę, jakby nie miał rozterek, nie żywił obaw, czy zdoła to dziecko pokochać.

– Myślę, że zaparkował ten temat gdzieś głęboko w sobie i nie chce w nim grzebać.

– Przecież zawsze powtarza, że jest szczery do bólu!

– Bo to fakt, ale z drugiej strony jest po prostu mężczyzną. Oni kierują się inną logiką niż my. Co ma być, to będzie. Chwilowo nie zyska gwarancji, co poczuje, gdy urodzisz, więc zawiesza problem do czasu, gdy da się go rozstrzygnąć, a dzieli się z tobą tylko pewnikami. Jeśli chcesz wiedzieć więcej, musisz zapytać wprost i konkretnie. Z moim Zbysiem ta metoda się sprawdzała – zakończyła wykład, pozwalając sobie na figlarną nutę, i przystąpiła do formowania kolejnej kulki.

Ada w skupieniu analizowała jej słowa. Gdy odszypułkowała ostatni owoc, zdecydowała się przyjąć tezę staruszki za fakt, a stosowne badania empiryczne przeprowadzić w najbliższej przyszłości.

– Jeśli podążać tym tokiem myślenia, może dobrze, że zgodziłam się spotkać z Jackiem. Jak pani sądzi?

– A zgodziłaś się?

– Wciąż do mnie wydzwania i lawiruje wokół błahych spraw. O coś mu chodzi. Kiedy usiądziemy twarzą w twarz, spytam wprost i konkretnie, tak jak pani radzi. Poza tym zastanawiam się, czy nie powinnam powiedzieć mu o dziecku.

– Nie boisz się?

– Wybiorę miejsce publiczne i wynajmę Bartka jako ochronę. Poproszę, by zaczekał w pobliżu, choćby w samochodzie. Wystarczy, bym czuła się bezpieczna.

Gołębiewska poprawiła okulary i zmniejszyła ogień pod garnkiem z gotującą się wodą.

– Nie do końca rozumiem, do czego ci kontakt z tym... człowiekiem, ale nie będę cię odwozić od tej decyzji. Masz swój rozum.

– Pani Ludmiło, kiedy ludzie Korneckiego nas skatowali, a potem przetrzymywali, w pewnej chwili zostaliśmy pod okiem jednego z nich. Jacek go sprowokował. Bydlak skupił się na nim, torturował go. Dzięki temu zdołałam uciec i wezwać pomoc. Gdyby się nie podłożył, pewnie oboje byśmy nie przeżyli.

– Czyli ratował też swoją skórę.

– Jasne, jednak gnębi mnie myśl, że jestem mu winna tę rozmowę. To mój najlepszy przyjaciel z dzieciństwa, moja pierwsza miłość. Nie zawsze działa się źle, choć nigdy nie był idealny.

– Próbujesz go bronić.

– Absolutnie nie! W jakimś stopniu mnie zniszczył i nie wiem, ile czasu zajmie mi naprawa – wyznała, myśląc o natarczywych wspomnieniach, które ją osaczyły, gdy chciała kochać się z Bartkiem. Uważała to za dowód własnej słabości. – Ale chcę zrozumieć. Może wtedy będzie łatwiej wybaczyć? Nienawiść siebie destrukcję po obu stronach barykady. Wolałabym jej nie czuć. To mnie zbyt wiele kosztuje.

Starsza pani ostrożnie umieściła pierwsze kulki we wrzącej wodzie i delikatnie zamieszała.

– Czyli co? Jaka decyzja? Rychtować się na imprezę zaręczynową? – spytała, porzucając temat Zawadowicza.

– Jeszcze nie. Za to już teraz pozbędzie się pani dzikiego lokatora.

– Na szczęście nie wyniesiesz się za góry i lasy.

Knedle gotowały się szybko i wkrótce Adę zalała rozkoszna fala truskawkowej słodyczy. Z zadowoleniem wbijała zęby w miękki kluskowy pancerz, nie bacząc na to, że gorący sok tryska ze środka i spływa jej po brodzie. Cudownie było po czterech tygodniach nieustannych mdłości wreszcie bez obaw cieszyć się jedzeniem. Po posiłku naląła sobie wodę z odrobiną mięty i cytryny. Staruszce przyrządziła drinka. Zrezygnowały z deseru, bo czuły się wystarczająco napasione cukrem. W głośnikach wybrzmiały ostatnie dźwięki *Dziadka do orzechów*. Papuga zaczęła natarczywie domagać się powtórki. Starsza pani łaskawie puściła płytę od nowa z surowym zastrzeżeniem:

– Na dziś ostatni raz. Mam chętkę na Rachmaninowa i zaplanowałam na wieczór *Aleko*. Znasz, Adulka? – spytała, a zobaczywszy, że zaprzecza, wyjaśniła: – To opera o cygańskiej miłości, bardzo wzruszająca. Libretto oparto na sztuce Puszkina, a w nim zaczytywaliśmy się ze Zbysiem prawie jak w Tołstoj.

Ptak usadowił się na drewnianej huśtawce w otwartej klatce i przestępował z nogi na nogę, jakby trenował figury baletowe, licząc na angaż w moskiewskim Teatrze Bolszoj. Tylko co jakiś czas z zielonej piersi wydobywał się okrzyk:

– *Voskhititelno!*

– Pani Ludmiło, to co z tą pani historią? – zagadnęła Walicka bez odrywania wzroku od Zoi.

Staruszka obwąchała swoją szklankę i upiła odrobinę.

– Okropność. Bułhakow by tego nie tknął.

– Nie lubił alkoholu?

– Nie mógł nie lubić. Urodził się w Kijowie, pisał po rosyjsku, musiał pić.

Czytałaś *Mistrza i Małgorzatę*?

– Chyba w szkole.

– To koniecznie zrób to jeszcze raz. Potem ci poszukam egzemplarza w polskiej wersji. W jednej scenie kot mówi do Małgorzaty... Czeka, niech sobie przypomnę, żebym nic nie pokićkała... – Skupiła się i wygłosiła chrapliwym i wielce natchnionym głosem: – „Na litość boską, królowo. Czy ośmieliłbym się nalać damie wódki? To czysty spirytus”. Rozumiesz, Ada? To co by Bułhakow powiedział na tego nędznego drineczka z cytryną? Sromota i tyle.

– Sprytnie ucieka pani od tematu.

– Prawda? Nie ma się nad czym rozwodzić. Dość powiedzieć, że osiem razy byłam w ciąży. Zjawiały się te kruszynki we mnie, dawały o sobie znać haftowaniem i wypływały z krwią, zanim zdążyłam się choć trochę zaokrąglić.

Walicka zbladła i otoczyła się ramionami, jakby podświadomie chciała ochronić własny brzuch przed takim losem.

– Dlaczego?

– Nie mam pojęcia. Lekarze nigdy nie doszli przyczyny. Dziś pewnie byłoby inaczej. Nawet jeśli medycyna nie mogłaby mi pomóc, to znalazłoby się wyjaśnienie.

– Bardzo mi przykro, naprawdę.

– Nie żałuj mnie, bo ja już nie ubolewam. – Staruszka poklepała dziewczynę po dłoni. – Miałam ciekawe życie. Sporo zabawy, podróże, ponad pół wieku małżeństwa z cudownym człowiekiem, a na koniec dostałam Bartka i ciebie.

– Jest pani bardzo silna.

– Kobiety muszą być silne. Większość dlatego, że doświadcza trudów macierzyństwa, a pozostałe, bo los je tego pozbawił. Wiem, że twoje dzieciątko zjawiało się nie tak, jak powinno, i zrozumiałabym, gdybyś nie potrafiła pogodzić się z ciążą. Ale widzę, że ty już myślisz i czujesz jak matka.

– Odkąd skończyłam studia, marzyłam o ciąży. Mimo to sędzę, że nasze życie zapowiadałoby się piękniej, gdyby to Bartek był ojcem.

– Josif Brodski twierdził, że „człowiek ma w życiu dwa wyjścia – kształtować rzeczywistość lub poddawać się jej”. DNA to tylko jedna strona medalu. Druga zależy od was.

– *Rrrespekt i uvažuha!* – skomentowała Zoja.

– A jakże, moja droga – poparła ją pani Ludmiła, osuszając do końca szklanę. – Pełen szacun.



## 13.

Bartek spędził noc na krążeniu między placówkami medycznymi, co jakiś czas przeganiany przez pielęgniarki. Po porannym obchodzie, gdy akurat namawiał Tymka, by opowiedział, co się właściwie stało, zadzwoniła bratowa z informacją, że z Borysem gorzej. Zapewniła, że przebija się przez miasto i wkrótce dotrze do dziecka, zasugerowała też, by szwagier udał się do szpitala Kopernika. Pogłaskał zatem wystraszonego bratanka po ciemnej czuprynie i pognął na OIOM.

Trzy godziny później stał jak słup soli przy oszklonej ścianie i gapił się na lekarzy i pielęgniarki, którzy w absolutnej ciszy odłączali pacjenta od aparatury. Nie była potrzebna, bo jego życie definitywnie się skończyło. Trzydzieści dwa lata i do piachu. Niby lepiej niż w przypadku Maćka, ale i tak za wcześnie. O dobre pół wieku za wcześnie!

Bratu zmarłego nie chciało się to pomieścić w głowie. Snuli tyle planów, tyle projektów czekało na realizację. Wydawnictwo zapowiedziało premierę komiksu na drugą połowę sierpnia. Laptopy obu Pilchów skrywały szczegółowe konspekty kolejnych czterech części. Nieustannie omawiali dalszą fabułę. Wiedzieli, że nie zabraknie im pomysłów na co najmniej pięć lat. Borys miał szansę wyjść na prostą, nawet jeśli małżeństwo mu się rozpadało. Miał syna, mógł się zakochać na nowo i wreszcie poczuć na właściwym miejscu. Podobał się kobietom. To wcale nie wydawało się niemożliwe. Bartek bardzo liczył na to, że wreszcie im obu się ułoży, zaczną spędzać wspólne weekendy oraz święta bez drętwej atmosfery, kwasów i niezręczności.

Już od dłuższego czasu niepokoił go stan psychiczny brata, jego coraz bliższa relacja z whisky, zaniedbywanie siebie i wieczna melancholia przeplatana rozdrażnieniem, nie przyszło mu jednak do głowy, że mógłby go stracić. Starszy Pilch nie pasował do obrazu samobójcy, z jego zdrowiem zaś nie było przecież aż tak źle. Stabilizowały go leki i wszystko wydawało się pod kontrolą. Zaczęło się od drobnej niedyspozycji serca wykrytej pod koniec liceum. Borysowi zamknęła ona szansę na karierę lotniczą. Nie potrafił się z tym pogodzić, szczególnie że Bartek twardo planował iść drogą wyznaczoną przez ich dziadka i studiować w Lotniczej Akademii Wojskowej w Dęblinie. Zanim młodszy brat dojrzał do matury, starszy dosypał mu ukradkiem nieco amfetaminy do piwa i na oczach kolegów wymyślił idiotyczny challenge. Otumaniony narkotykiem chłopak zgodził się zwędzić treningową awionetkę i przelecieć nią nad budynkiem szkoły.

Na szczęście rozbił ją, nim zdołał oderwać się od ziemi. Wyniósł z tej przygody wstyd, kilka siniaków oraz – ku uciesze Borysa – wilczy bilet na dalszą podniebną edukację.

Jakiś czas później, na początku studiów, wrobiony nieszczęśnik w odwecie uwiódł świeżo upieczoną małżonkę brata i obwieścił ów fakt podczas rodzinnego obiadu, co skończyło się zwyczajnym mordobiciem. Pod koniec gimnazjum Magdalena przeżyła z młodszym Pilchem pierwszy szczeniący epizod i jakiś sentyment musiał w niej pozostać, skoro po latach bez trudu ją skusił. W wyniku tych kompromitujących wyczynów dziadek urządził wnukom piekielną awanturę, po której zerwali z nim kontakt i dotąd nie zdołali go odbudować.

Tymczasem Borys po prostu umarł dwudziestego trzeciego lipca w samym środku upalnego dnia. Nieba nad szpitalem Kopernika nie zaszczycił nawet strzęp chmurki, tramwaje na pobliskim rondzie Lotników Lwowskich dudniły jak zwykle, park Słowackiego wypełniał gwar dzieci i tylko jedno ludzkie życie obróciło się w pył ciężki jak gorące powietrze pośród nieprzebranych mas łódzkiego betonu oraz asfaltu. Jakby złośliwy huragan przemknął niezauważalnie przez miasto i odleciał gdzieś dalej, nie zważając na to, że w jednym przydomowym ogródku okaleczył wszystkie dmuchawce i pozostawił po sobie osierocony las nagich łądyżek.

Bartek przesiedział dłuższy czas na szpitalnym korytarzu ze spuszczoną głową i totalną pustką w środku. Kiedy zdołał wreszcie opanować odrętwienie, zawiadomił żonę brata, że została wdową, dokonał niezbędnych formalności i pognął do bratanka. Na parkingu pod szpitalem Korczaka natknął się na Magdalenę.

– Prosiłem, żebyś zaczekała u Tymka. – Targnęła nim złość, lecz bardzo starał się to ukryć ze względu na okoliczności.

– No i czekam. Słuchaj, jego za chwilę wypiszą. Nie ma żadnych niepokojących objawów poza tym, że jest ogólnie obolały i zestresowany. W domowych warunkach szybciej się pozbiera. Musimy go tylko pooszczędzać przez kilka dni.

– My? – Pozwolił sobie wyrazić zdziwienie.

– Wolałabym nie zostawać z nim teraz sama. Chyba mogę liczyć na twoją pomoc?

Wbiła w niego wzrok i zauważyła, że ma podpuchnięte oczy. Musiała płakać, choć ogólnie nie przypominała wdowy na dnie rozpacz. Nie kochała męża, to jasne, chyba jednak nie był jej całkiem obojętny, skoro

jego śmierć zburzyła jej spokój. Borys powinien to zobaczyć, pomyślał Pilch, a głośno powiedział:

– Oczywiście. Chodźmy razem. Odbierzemy go, podrzucę was do domu, a potem pojedę do zakładu pogrzebowego i na cmentarz.

Bratowa stanowczo potrząsnęła głową.

– Ty zabierz małego, najlepiej do siebie. U nas jest pusta lodówka, planowali wczoraj zrobić zakupy... – Głos jej się załamał i lekko pociągnęła nosem. – Ja pozalátwiam wszystko. Wpadnę do mieszkania po potrzebne dokumenty i... tak sobie myślę... powinnam wieczorem iść na dyżur. To miał być ostatni przed wyjazdem... Sama nie wiem. Głupio tak, ale chyba go sobie daruję. Nie powinni się na mnie obrazić. Na pewno szykują niespodziankę, u nas zawsze żegna się pracowników uroczyście i... Do diabła, to się nie dzieje naprawdę!

Złość wyzwoliła w niej emocje i przez chwilę Bartek miał wrażenie, że widzi nieznaną odsłone tę kobiety – miękką, bezbronną, szukającą oparcia. Stała w kontrze do tamtej twardej, powściągliwej i stuprocentowo profesjonalnej, jaką widywał przez lata. Nie rozważał, która z nich jest prawdziwsza. Na chwilę przyciągnął ją do siebie. Objęła go w pasie i mocno do niego przylgnęła, była mu niemal równa wzrostem na swoich nieodłącznych szpilkach. Pogładził ją po włosach i poczekał, aż jej oddech się uspokoi. Gdy zdołała się opanować, wydmuchała nos w chusteczkę i bez skomentowania tego, co się zdarzyło, powiedziała w miarę zwyczajnym głosem:

– Idę. Zostawiłam u lekarzy upoważnienie. Wypuszczą Tymka z tobą.

– Przyjedź, gdy się obrobisz. Będziemy czekać z obiadem. – Zerknął na zegarek. – Hm, chyba raczej z kolacją. I nie martw się. Zajmę się nim, jak należy.

– Nie wątpię. Co jak co, ale w kwestii wspólnego języka z dzieckiem zawsze nad nami górowałeś. Wolę, żebyś to ty teraz przy nim był, a nie ja. Na pewno lepiej mu pomożesz.

Jesteś jego matką i to ciebie najbardziej potrzebuje, pomyślał Pilch, ale nie zdecydował się wypowiedzieć tego na głos. Szczególnie że nie czekała na odpowiedź. Wsiadła w błękitne punto i odjechała. Odetchnął. Od niemal jedenastu lat unikał Magdaleny jak ognia. Śmierć Borysa wydawała się wciąż nierealna, lecz nagle popchnęła ich ku sobie. Fakt, że przed chwilą ją przytulał, napełniał Bartka dziwnym niepokojem. Stanowczo wolałby trzymać w ramionach kogoś innego!

Podczas długiej nocy spędzonej na szpitalnych korytarzach Bartek wielokrotnie uciekał myślami do Ady. Nie zadzwonił do niej, choć czasu miał na to sporo. Sądził, że usnęła, i nie zamierzał jej przeszkadzać, dopóki krótko po północy nie odebrał esemesa:

*Martwię się. Co się stało?*

Zaskoczyło go, że odezwała się o tej porze. Odpowiedział zdawkowo:

*Mój brat leży na OIOM-ie. Posiedzę tu co najmniej do rana.*

Chyba zaniepokoił ją tym jeszcze bardziej, bo po chwili telefon wyświetlił wiadomość:

*Znów coś z jego sercem? Nie potrzebujesz wsparcia?*

A jak niby mogła mu pomóc? Nie przywykł do opierania się na kimkolwiek. To raczej on od lat bywał opoką w trudnych chwilach: dla pani Ludmiły, dla Borysa i Tymka, Maćka, nawet dla Ady, nie wspominając o podopiecznych fundacji. Gdy sytuacja się ustabilizuje, wróci do domu i wtedy chętnie ją przytuli, pocałuje, opowie o całej tej przeklętej nocy. Na odległość nie ma sensu jej tym truć. Nie zastanawiając się nad tym, że brzmi to oschle i może być odebrane jak odtrącenie, odpisał:

*Dam radę. Śpij spokojnie.*

W kółko obracał w pamięci ostatni wieczór, który wydawał mu się zachwycający niemal w każdym calu mimo kiepskiego zakończenia. Nie było łatwo, nieco się nawet wystraszył, ale na logikę kalkulował i przekonywał sam siebie, że może im się udać. Kochał Adę i ona też musiała go kochać. Nie pomylił wdzięczności z miłością, bo tę drobną, a zasadniczą różnicę da się wyczuć w pocałunkach, dotyku, oddechu. Chciał wrócić do ukochanej jak najszybciej, uspokoić ją i zapewnić, że się nie zniechęcił. Wątpliwości spychał w najgłębsze zakamarki głowy. Nie chciał rozważać, co się stanie, gdy to poczęte z przemocy pisklę spojrzy na niego oczami Zawadowicza. Zaklinał własne serce, w kółko powtarzając, że nic się nie stanie. Na pewno je pokocha. To wyzwanie, któremu musi sprostać, by nie stracić Ady. A dla niej był gotów na wszystko.

Gdy punto bratowej zniknęło za szlabanem parkingu, Pilch wysłał Walickiej esemesa, informując, że wkrótce zjawi się z Tymkiem w domu. W zasadzie tych dwoje się nie znało. Spotkali się tylko raz – wiosną, na lotnisku, podczas skoków tandemowych ze spadochronem. Borys skakał z synem, Bartek z Maćkiem, jeszcze dość silnym, by zrealizować swoje marzenie, ona zaś odgrywała nieodzowną rolę obserwatora. Od dziś oba te światy musiały się zazębić, a oni – zacząć ze sobą współpracować, choć

każde z nich lizało rany, przez co tamten dawny przyjazny obrazek prezentował się teraz jak karykatura. Nadzwyczaj trudne wyzwanie.

Rysownik wszedł do szpitalnej sali, oparł się o ścianę tuż obok drzwi i spojrzął na bratanka. Dzieciak był blady i oddychał zbyt szybko, jakby siłą woli próbował nad sobą zapanować i zachować spokój. Miał parę zadrapań, na lewym udzie rozlał się spory siniec, profilaktycznie założono mu kołnierz ortopedyczny, ogólnie jednak nic poważnego mu nie dolegało poza lękiem, który uczepił się go jak niewidzialny demon dopadający człowieka od tyłu i zmuszający wbrew woli do zgięcia karku. Tymek garbił się, jakby dźwigał na plecach zbyt duży ciężar, jakby jakimś cudem zmienił się w ciągu doby z dziesięciolatka w starca. Ruszał się wolno, ospale. Aktualnie od dobrych dwóch minut zakładał spodnie. Obok niego na podłodze leżał plecak ze wzorem moro, po którym latały czarne myśliwce.

– Czołem, młody.

Tymek nawet nie uniósł głowy, tylko odburknął:

– Cześć, wujek.

– Stryjek – poprawił go Pilch, jak czynił od lat, bo zawsze witali się według utartego schematu.

– Wujek, masz na imię Stryjek? – spytał odruchowo chłopiec, sięgając po wyrytą w pamięci formułkę. W jego głosie brakowało jednak zwykłej zadziornej nuty.

– Mam na imię Bartek. Od naszego ostatniego spotkania nic się w tym zakresie nie zmieniło. – Rysownik zakończył rytualną wymianę zdań i od razu dodał przyciszonym głosem: – Może ci pomóc?

– W czym? – Dzieciak wzruszył ramionami i z wysiłkiem wepchnął stopę w nogawkę džinsów.

– W ubieraniu. Wolno ci idzie.

– Nie spiesz mi się. Muszę nauczyć się radzić sobie ze wszystkim sam.

– Dlaczego?

– Bo tata umarł, a mama ma ważniejsze sprawy niż ja.

Koledzy z sąsiednich łóżek odkleili wzrok od komórek i zaczęli podsłuchiwać. Pilch zaklął pod nosem. Zatem Magdalena zdążyła przekazać wieść o tragedii. Jak ją znał, zrobiła to niezbyt delikatnie. Sekundy mijały, a on – nie wiedząc, co powiedzieć ani jak się zachować – milczał i gapił się na bratanka, który z zaciętą miną wpychał stopy w skarpetki. Wreszcie włożył na siebie koszulkę, a potem przeciągnął przez głowę nieco za dużą kangurkę. Wydawało się to niedorzeczne w panującym od tygodni upale.

– Zostaw to – poprosił stryjek. – Jest za gorąco.

– Zimno mi – odparł twardo chłopiec i opuścił rękawy tak, że schowały się w nich całe dłonie.

– Pan nie naciska. To od nerwów. Okutany czuje się bezpieczniej – szepnęła pielęgniarka, która wydała się Bartkowi niezwykle podobna do postaci z jakiejś kreskówki. – Przyniosę wypis i możecie iść. A wy obaj, nie gapić się jak sroki w gnat! – rzuciła ostrzej do pozostałych chłopców. – Jazda klepać dalej w ekrany.

O dziwo posłuchali.

– To Fiona, no wiesz, ogrzyca – wyjaśnił Tymek, gdy zniknęła za drzwiami i na moment błysnęła między nim a stryjkiem znajoma nić porozumienia. – Jest bardzo miła – dodał i znów zamknął się w sobie, zaciskając zęby.

Do domu jechali w absolutnej ciszy. W progu salonu wpadli na Walicką.

– Przyniosłam knedle – powiedziała, jakby uznała, że powinna się wytłumaczyć ze swojej obecności. – Pani Ludmiła zrobiła. Pomyślałam, że wróćcie głodni. Nałożę wam.

– Może później. – Pilch uśmiechnął się zadowolony z obecności dziewczyny, objął ją i musnął wargami jej skroń. – Nie bardzo mam siłę na jedzenie, chyba że Tymek. Chcesz? – zwrócił się do dziecka.

Chłopiec wyszedł zza jego pleców, stanął obok i chwycił stryjka za dłoń. Z zaciśniętymi ustami stanowczo zaprzeczył ruchem głowy.

– Jestem Ada. Pamiętasz mnie? Poznaliśmy się kiedyś na lotnisku. –

Wyciągnęła rękę na powitanie. Po krótkiej i niezręcznej pauzie niechętnie ją uścisnęła. Wtedy odezwała się ponownie, wskazując usztywnienie na szyi dziecka: – Co ci się stało? Myślałam, że to twój tata się pochorował, a nie ty.

– Nic pani nie wie! – niespodziewany krzyk przesycony złością wypełnił pomieszczenie.

– To prawda. Opowiedzcie mi?

– Ja też niewiele wiem. Marzę o kawie – wtrącił rysownik, nie besztając bratanka za niegrzeczny ton.

– Usiądźcie. Zaparzę. Znaczy tobie. Tymkowi mogę nalać soku.

Weszli za nią do kuchni. Chłopiec szybko zajął miejsce przy stole.

– Chcę kakao z dupą – rzucił sucho.

– Z czym?

– Z dupą – potwierdził stryjek i puścił do dziecka oko. – Nie ma problemu. Zrobię.

– I kawę taką samą – uzupełnił mały. – Dla siebie. Dla niej nie musisz.

Tym razem Bartek zareagował. Podeszedł do Tymka, przykucnął, położył mu dłoń na kolanie i oznajmił:

– Wszystko rozumiem, ale proszę cię, zachowuj się grzecznie wobec Ady.

– Bo?

– Po pierwsze: bo w niczym nie zawiniła. Po drugie: bo ją kocham.

Chłopiec musiał to przemyśleć. Zapatrzył się w czarno-białe grafiki na ścianie, nie reagował nawet na hałas młynka. Wreszcie gdy buczenie ucichło, spytał:

– Zostanie moją stryjką?

– Stryjenką. Niewykluczone – tłumaczył cierpliwie Pilch, nasypując świeżo zmielone ziarna do french pressu.

– Ale jeszcze nie należy do rodziny. – Dzieciak nie składał broni.

– Dostaniesz kakao z dupą, jeśli skończymy tę dyskusję.

Pod czujnym okiem zaintrygowanej Walickiej przygotował dwie kawy i kakao. Ze spienionego mleka wykreował na nich kształt jędrnych pośladków, choć ostatni – przeznaczony dla Ady – bardziej przypominał koślawe serduszko. Całość posypał wanilią i startą skórką z pomarańczy. Zaniósł kubki na stół, zaprosił dziewczynę, by usiadła, i wyjaśnił:

– Zawsze pijemy z dupą. Taka tradycja.

– Czaderska. – Szczerze doceniła dekorację, lecz nie doczekała się odzewu.

Zakopali się, każde w swoim milczeniu, i było to dość niezręczne, gdy bładzili spojrzeniami po meblach i uciekali za okno w bezkresny błękit, byle tylko nie patrzeć sobie w oczy. Gdy z kubków wyjrzało dno, Bartek wreszcie się odezwał:

– Tymek, pamiętasz coś z wypadku? Jak to się stało?

– Mama ci nie mówiła?

– To ona wie?

Chłopiec wzruszył ramionami.

– Rano przyszła do mnie z policjantem. Prawdziwym, w mundurze. Pokazał mi legitymację. Na początku myśleli, że śpię, ale ja słyszałem, co do niej mówił, i wtedy sobie przypomniałem... Bo wczoraj nie byłem pewien, płać mi się... – zawiesił głos i wlepił w stryjka przeraźliwie smutne spojrzenie. – Potem mnie niby obudzili i rozmawialiśmy przez chwilę. Oddał mi plecak.

– Jak to oddał? – dociekał Pilch.

– Zostawiłem w aucie, jak mnie zabrali do szpitala. No... – Pociągnął nosem. – I wiesz, ten policjant strasznie wypytywał. Chyba myślał, że to stało się przez tatę, i był na niego zły, ale nie zdradziłem mu wszystkiego.

– Przede mną nie musisz nic ukrywać.

– Nawet jeśli to jest okropne? Najgorsze? – upewniał się, nerwowo obracając w dłoniach pusty kubek.

– Nawet.

– Okej, ale ona niech stąd pójdzie. To sprawy rodzinne. – Chłopiec zmarszczył brwi, schował dłonie w rękawach i splótł ręce na piersi. Wydawało się, że tym razem nie zgodzi się na żadne ustępstwa.

Rysownik spojrział na dziewczynę z wyraźną prośbą w oczach. Bez słowa się podniosła, wstawiła kubki do zmywarki, potem na moment stanęła za nim i pogładziła go zdrową ręką po ramieniu. Gdy wyszła, Bartek poczuł się absurdalnie osamotniony i od razu zaczął żałować, że jej nie zatrzymał lub chociaż nie odprowadził do drzwi i się z nią nie pożegnał, jak należy.

– Zrobiłeś Adzie przykrość. – Starał się ukryć pretensje i mówić ze spokojem.

– Dlaczego? Ja tylko nie chciałem, żeby słyszała. Mam do tego prawo.

– Masz, ale nie ukryjemy przed nią wypadku. Dowie się o tacie.

– O tacie tak.

– A o czym nie?

– O tym, czego nie powiedziałem mamie ani tamtemu policjantowi – wyszeptał Tymek i przygryzł wargę.

Bartek poczuł niemiłą falę strachu. W nagrzanym upałem pokoju nagle zrobiło się zimno.

– Ale mnie powiesz?

– Mhm. To moja wina. On umarł przeze mnie.



## 14.

Ciemny, podpalany kundel biegł zakurzoną drogą z wywieszonym językiem. Co chwilę przystawał, by unieść łapę i zaznaczyć swą obecność niezawodną metodą. Przy każdej takiej okazji odwracał łeb, sprawdzał, czy jego człowiek nie zniknął mu z oczu, i z ukontentowaniem machał ogonem. Wciąż był potwornie chudy, lecz jego ruchy nabrały sprężystości, a ze spojrzenia zniknął wyraz zrezygnowania i lęku. Z każdego snu budził się z coraz większym przekonaniem, że za chwilę spotka go coś dobrego: miska jedzenia oraz ciepła ręka drapiąca za uchem, klepiąca po boku i rzucająca patyk do zabawy. A do tego głos – coraz bliższy, który zawsze przyjaźnie i z pobłażliwością wymawia imię Dżoczi.

Spacerowali godzinami. Walicki unikał wąskiego paska asfaltu wijącego się przez Łapszankę między domami niczym byle jak rzucona tasiemka, wybierał odludne polne ścieżki i miedze. Maszerował w ślad za psem, a jego myśli zajmowały powidoki z dawnych lat, gdy rodzinna okolica wydawała się surowsza i nietknięta nowoczesnością. Przyszedł na świat w sześćdziesiątym ósmym roku, bogatym nie tylko w znamienne wydarzenia polityczne w kraju, ale też w rewolucję lokalną, bowiem ledwo kilka tygodni po jego narodzinach zelektryfikowano Łapszankę. Odtąd życie stało się tu łatwiejsze i ciekawsze. Skrawek ziemi liczący czternaście wsi z przyległymi polami, tworzący polską część Zamagurza od wieków przechodził z rąk do rąk. Nawet po ostatniej wojnie przynależność tych pogranicznych terenów do którejś ze stron nie okazała się oczywista. Dość rzec, że jeszcze do pięćdziesiątego trzeciego roku lokalna szkoła nauczała w języku słowackim. Matka Stefana, Marianna Walicka, pamiętała te czasy i za życia z nostalgią je wspominała. Były ciężkie i naznaczone biedą, a jednak sielskie, bo wypełnione młodzieńczą energią i zapałem.

Odwiedzał Helcię niemal każdego popołudnia, z apetytem zjadał późny obiad, a potem brał ją w ramiona, choć nigdy u niej nie nocował. Wymykał się z pościeli późnym wieczorem, zostawiając na poduszce swój zapach i pulsującą w ciemności pustkę. Nie pytała, czemu znika. Może rozumiała konieczność powrotów do psa albo w głębi serca to rozwiązanie było jej na rękę? Mógłby przysiąc, że po przebudzeniu owijała szczelnie nagie ciało szlafrokiem, padała na kolana i z rumieńcami wstydu wyznawała Matce Boskiej na olejnym obrazie splątane w jedno zachwyty i sromotę, że bez sakramentu oddaje się miłości. Nie wątpił, że bała się powierzyć tę sprzeczność spowiednikowi, bo nie żałowała chwil zapomnienia ani nie

planowała się ich wyrzec. Stefan rozumiał jej dylematy, mimo że ich nie podzielał. Rozmijali się w aspekcie wiary tak bardzo, że nie liczył w tym względzie na porozumienie.

Jego matkę także przepełniała naturalna ludowa pobożność, choć wówczas nigdy nie wydawała mu się drażniąca ani nachalna. Czyżby przejawiała ją inaczej? A może to kwestia zmian, które zaszły w nim samym? Wiosną i latem każdej niedzieli ruszali o świcie na nabożeństwo, ciągle do innej parafii, dzięki czemu zmieniali trzecie przykazanie w spacer bądź przejażdżkę autobusową, jeśli wybrana destynacja przekraczała możliwości dziecięcych nóg. Marianna, chociaż niewykształcona, sporo czytała i była zaskakująco wrażliwa na sztukę oraz urokliwe krajobrazy. Z zachwytem odkrywała przed jedynakiem kolejne bryły świątyń, ołtarze, obrazy i rzeźby, a za nimi zielone wzgórza, nagie skały, kaskady rwących strumieni i rzek. Kochała pospołu ludzkie i boskie dzieło tworzenia. W drodze snuła legendy spiskie, zamagurskie baśnie i mroczne historie Podhala, sięgając po śpiewną góralską gwarę, chociaż na co dzień rozmawiała z synem niemal podręcznikową polszczyzną. Bywało też, że recytowała lokalną poezję, której nosiła w sobie całe krocie, jakby jej pamięć dysponowała nieskończoną pojemnością. Stefan kochał matkę ogromnie i starał się zapamiętać jak najwięcej, choćby po to, by sprawić jej przyjemność. Mieli tylko siebie. Ojciec zmarł na gwałtowny w przebiegu i obfitujący w powikłania neurologiczne dyfteryt, w konsekwencji czego pozostawił żonę w czwartym miesiącu ciąży. Wola Boża wystawia naszą rodzinę na próbę, mawiała ze smutnym spokojem Walicka. Stefan nie bał się piętna pogrobowca. Od małego matka zapewniała go, że to nie ujma ani nie wyrok, bo niejeden człowiek, którego spotkał taki los, zaszedł daleko. Choćby polski król – Przemysław II. Wówczas w to wierzył, lecz teraz, po latach, przestał wypatrywać sukcesów.

Wędrując z Dżoczim na zakupy, przywoływał w pamięci ulubione strofy i cieszył się jak dziecko, że wciąż tam są i przemawiają do niego głosem matki:

*Przez biydne a przecies bogate pola  
Wiejsko dróżyyna sie wije.  
Śpisu mój! Chwolić cie nie przestany,  
Tu moje scynście sie kryje.\**

*\* Z wiersza Heleny Budz Śpisu mój.*

Może to prawda, myślał. Może jego największe szczęście tkwi właśnie w urodzie tej krainy, w tej swojskiej błogości opromienionych słońcem, miękkich, zielonych łuków zniecka targanych porywem srogich wichrów i śnieżyc, które gnają z tatrzańskich wierchów? Jakby celowo stały tuż obok i czuwały nad łagodnymi szczytami spiskich wzniesień niczym srogi, lecz kochający ojciec, by w razie potrzeby pokarać je halnym powiewem.

Do sklepu dotarł koło południa, bo ta pora zapewniała względną pustkę przy kasie i brak śledzących go spojrzeń. Zaopatrzywszy koszyk w chleb, mleko, kiełbasę, paprykę i karmę dla psa, stanął przy ladzie, kładąc na niej dwa dwudziestozłotowe banknoty.

– Pan tak przychodzi co drugi dzień i to samo byle co kupuje. Bez piwka nawet – zagadnęła ekspedientka głosem przepelnionym zachłanną ciekawością. – Na turystę pan nie wygląda i pomroczkowa łajza się przy panu kręci. To jak? Pan już tutejszy czy letnik?

Tuż za nim ustawiła się krótka kolejka złożona z trzech kobiet. Nie chciał jednak wyjść na gbura i postanowił odpowiedzieć na zaczepkę. Poznała go czy nie? To prowokacja czy wścibstwo? Powędrował wzrokiem z jej pulchnych dłoni z krótkimi i byle jak pomalowanymi na zielono paznokciami na krągłe biodra przechodzące bez żadnego zwięzienia w talię i nienaturalnie duże piersi z trudem upchnięte za gładką białą koszulką na ramiączkach, ciasną jak po młodszej siostrze. W końcu dotarł do głowy i odkrył, że rozmawia z bardzo młodą osobą o niebrzydkiej twarzy otulonej mrowiem drobnych tlenionych loczków. Na oko ocenił, że przyszła na świat tuż przed jego wyrokiem. Nie ma prawa go pamiętać, pomyślał, głośno zaś oświadczył:

– Tutejszy. Niczego więcej mi nie trzeba.

– Kukajta, ludziska! Ascetę z za krat wypuścili. Moze i do zakonu wstąpi, ho? – Zaśmiała się starsza zgarbiona kobiecina z twarzą pooraną znojem dziesiątek lat. – A do kościoła w niedzielę nie przyłoz, choć nawet dobrodziej o nim godał.

– Do zakonu niekoniecznie. – Stefan bezmyślnie zgarnął paragon oraz kilka monet reszty, wepchnął je do kieszeni i zmarszczył brwi, bo w progu dostrzegł mężczyznę mniej więcej w swoim wieku, w brudnych roboczych ogrodniczkach i wysokich gumowcach. – Paweł Kulebiak? – spytał odruchowo, niepewien, czy pamięć go nie myli.

– Dla ciebie „pan Paweł”, garowniku – fuknął ostro mężczyzna i na chwilę zmienił głos na niemal słodki, odstawiając pustą butelkę na ladę. –

Tu ci, Wiola, zwracam flaszkę od warki. Nie zabocylem. Pedziołem, że nie ceba za kazdym razem kaucji kasować.

Ekspedientka westchnęła i starannie odliczyła czterdzieści pięć groszy, wciskając je w wyciągniętą rękę Kulebiaka.

– Zawryć gębę, Pawełku! – wtrąciła druga kobieta, krzepka pięćdziesięciolatka z zachwycającym czarnym warkoczem. Walicki z trudem rozpoznał w niej Słowaczkę z przygranicznej Osturnii. Kojarzył, że krótko przed jego aresztowaniem wyszła za sąsiada Zawadowiczów, Taterniuka. –

Ciotka Zawilcowa ma rację. Ksiądz mówił, że od wydawania wyroków Bóg jest i sędzie, a nam przystoi miłosierdzie okazać. Każdy wie, że ta zbrodnia nie była bez powodu, tylko nie każdy chce pamiętać. Starczy na Helkę popatrzeć. Zaciukałby ją ten jej, świeć mu Panie – pospiesznie się przeżegnała – mąż i tyle by było z kobity. I dziecko by zmarnował.

– A dyć tak było – poparła ją staruszka, energicznie kiwając głową. Wyraźnie wahała się, po czyjej stronie stanąć. Były więzień fascynował ją, a jednocześnie gorszył i trochę się go bała.

W Stefanie zaś, kiedy usłyszał, z kim ma do czynienia, odżyły wspomnienia. Znacznie młodsza ciotka Zawilcowa ganiała dzieciarnię przez wieś z łopatą, gdy przyłapywała któreś na szabrowaniu w jej sadzie. Wyzywała od czortów i głuptoków, ale nigdy żadnemu manta nie spuściła, więc przepędzone znów lazły śmiało w szkodę. Sielskie czasy.

– Łoczadziały baby. Edek dobry chłop był i robotny. Pijący, a juści, jak syćkie, ale baby by nie proł, jakby mu się z tym bujokiem nie rypała.

– Swoje odpokutował – przekonywała Taterniukowa.

– Ino ja ani inkse chłopcy mu nie łodpuścimy. Niech się w swojej chałupie kutwasi i w drogę nam nie lezie. Tfu! – Splunął pod nogi i w mig się stropił, że kulawo wyszło, potarł więc podłogę gumiakiem, ukłonił się ekspedientce w pas i rzucił na odchodnym: – Nie boc się, moja pikno.

Wiola spłoniła się i w pośpiechu jęła obsługiwać jedyną klientkę, która dotąd nie wtrąciła się do rozmowy, choć śledziła dyskusję z ogromnym zainteresowaniem. Podliczywszy zawartość koszyka, dodała z zawodową rutyną:

– Coś do tego?

– Niebieskie L&M-y i wino. Czerwone i koniecznie wytrawne. Dwie butelki.

Wybierała dość długo. Stefan zdążył jej się przyjrzeć. Mówiła w nietutejszy sposób. Z pewnością nie pochodziła z okolicy. Wprawdzie

większość osób z jego pokolenia używała jedynie szczątków gwary spiskiej wymieszanej z klasyczną podhalańską, lecz dawało się wyczuć różnicę między nimi a typowymi ceprami, choćby w melodyce czy rozkładzie akcentów. Ta kobieta, drobna, ładna, zadbana i elegancka, widziała mu się prędzej na mieszkankę Mazowsza. Miała kasztanowe włosy do ramion, związane w pozornie niedbały, luźny węzeł. Miejscami odbijały się w nich lekko rudawe błyski. Oczy w ciemnej oprawie lśniły błękitem, jakoś tak żywo, radośnie. Z jej twarzy wyczytał, że musiała dawno przekroczyć czterdziestkę, ale zachowała młodzieńczą figurę. Zauważyła, że Stefan ją lustruje, i bez wahania uśmiechnęła się przyjaźnie. Speszyło go to, więc odchrząknął i wyszedł, rzuciwszy krótkie:

– Do widzenia.

Powinien podziękować Tatarniukowej za to, że wzięła go w obronę, ale czuł się niezręcznie i nieswojo. Wolał zwać. Za progiem Dżoczi przywitał go z takim entuzjazmem, jakby się nie widzieli co najmniej trzy dni. Wpychał nos w płócienną torbę z zakupami i kręcił młynki ogonem.

– Wracamy do domu – zarządził Stefan, poczochrawszy go za uszami, i zgodnie ruszyli na południe.

Nim dotarli do miejsca, w którym mogli smyrgnąć na polne ścieżki, na środku asfaltu zatrzymała się pistacjowa škoda kamią na krakowskich blachach. Zza opuszczonej szyby wyjrzała osłonięta okularami przeciwsłonecznymi twarz nieznanym ze sklepu.

– Podrzucę pana – zaproponowała.

– Nie trzeba.

– No niech się pan nie da prosić. Mieszkamy nie więcej niż dwieście metrów od siebie.

– Skąd pani wie?

Wzruszyła ramionami i zabawnie zmarszczyła nos.

– Widuję pana ze swoich okien. Wiem, jak się pan nazywa. Jeśli i ja się przedstawię, możemy uznać, że jesteśmy znajomymi, prawda?

– Chyba tak – bąknął i poczuł się jak idiota.

– Julia Stanik – oznajmiła, wyciągając dłoń przez otwarte okno.

Uściskała ją, lecz nie zdołał powstrzymać krzywego uśmiechu.

– Tak, wiem. Dosyć paradne. W szkole miałam przez to wiecznie pod górkę, rozumiesz? – Zaśmiała się, płynnie przechodząc na ty. – Na okrągło: „Stanik, pokaż stanik”. Teraz nawet się cieszę. Takie nazwisko łatwiej zapamiętać. Zapraszam. – Poklepała zachęcająco siedzenie pasażera. – Pies

też się zmieści. No, raz-raz, bo tarasujemy drogę. Opowiem ci, co o tobie we wsi gadają.

Tym go skusiła. Wsiadł do auta pachnącego damskimi kwiatowymi perfumami z lekką nutką tytoniu, upchnął Dżoziego między kolanami i pozwolił się powieźć przez Łapszankę.

Dwie kobiety stanęły z tobołkami przed sklepem i obserwowały znikający w tumanie kurzu samochód.

– I widzisz, Terezka? Syćkie chłopcy takie same. Do każdego babiego wyrka ich niesie. Tyle się Hela naradowała, a tu znowu sromota będzie i płacki.

– Może nie...

– Ano zobaczymy, co jej Pan Bucek nastroił. Łobytom się modli, może co wymodli. Ma serce dla tego zbója jak janioł.

Skinęły ponuro głowami i rozeszły się, każda w swoją stronę.

## 15.

Tuż po wypadku Tymek nie potrafił przypomnieć sobie niczego, co doprowadziło go do jasnej szpitalnej sali z trzema łózkami i wysoko zawieszonym sufitem, lecz już kolejnego dnia bez trudu odtwarzał w głowie niemal kadr po kadrze ostatnie godziny spędzone z ojcem. Emocje domagały się ekspresji, uzewnętrznienia, więc poddał się im, bo pragnął zrzucić na kogoś brzemień odpowiedzialności za cały ten koszmar. Stryjek wydawał się właściwszym adresatem zwierzeń niż mama. Jeśli dowiedziałyby się, co obaj z tatą zrobili, na pewno by się gniewała. A on nie chciał się kłócić. Był gotów na wszystko, byle darowała sobie tę wstrętną Australię. Może fakt, że taty już nie ma, skłoni ją do rezygnacji z wyjazdu? Chłopiec bardzo nie chciał myśleć w ten sposób, nie potrafił jednak powstrzymać toczących się w nim rozważań. Z dziecięcą logiką szukał sensu, przekonywał się w myślach, że strata ojca przyniosła mu szansę na to, że nie straci matki. Lekceważył fakt, że to, co się stało, jest ostateczne, a to, co się miało zdarzyć, zapowiadało się na jedynie przejściowe. Dla niego rok brzmiał porównywalnie z perspektywą wieczności. Nic dziwnego. Czas w oczach dziecka to rozciągliwe, plastyczne pojęcie i nie poddaje się żadnym schematom.

W tamten feralny poniedziałek obaj Pilchowie obudzili się pełni zapału. Przygotowali tak ogromne omlety, że ledwo zdołali je w siebie wcisnąć. Borys jak zwykle sięgnął z półki nad bufetem po koszyczek z lekami i wysypał na blat cztery tabletki w różnych kolorach i kształtach. Łykał je od zawsze i syn nie zwróciłby uwagi, gdyby nie to, że tata na moment zabawnie zamarł, a potem po lekkim wahaniu dołożył jeszcze dwie kolejne. Wrzucił do ust i popił kawą, a na koniec z westchnieniem pomasaował się po skroniach.

– Rozboliła cię głowa? – spytał Tymek w obawie, czy to nie przeszkodzi w zaplanowanej eskapadzie.

– Zaraz przejdzie. Zbieraj się. Zagęszczamy ruchy, bo muszę zdążyć na piętnastą do wydawnictwa.

Na klatce schodowej zderzyli się z kurierem. Tata odebrał od niego płaską kopertę, zacisnął zęby, zbladł na chwilę, a potem dostał dziwnych rumieńców, lecz nie powiedział nic i rzucił ją niedbale na siedzenie obok siebie. Tymek ze swojego miejsca z tyłu nie dostrzegł, kto jest nadawcą. Godzinę później w hangarze na znajomym piotrkowskim lotnisku Borys

znów poczerwieniał, tym razem ze złości, i przydzwonił pięścią w regał z dokumentami.

– Popierdoliło cię?! – wrzeszczał, a chłopiec odruchowo uniósł ręce, by zakryć uszy. – Robiłem to dziesiątki razy.

Małego nie gorszyły wulgarne słowa. Niektórzy chłopcy ze szkoły rzucali mięsem znacznie obficie. Za to nie lubił podniesionych głosów i atmosfery pretensji. Tego miał w domu aż nadto.

– Owszem, ale chwilowo sytuacja się zmieniła, bo pijesz.

– Noż kurwa, nie wyrobię... – Pilch okręcił się na pięcie, jakby szukał świadków niesprawiedliwości, która go właśnie dopadła. – Sprawdź mnie alkomatem. Jeśli nic nie wykaże, pozwolisz mi skoczyć. Obiecałem synowi.

– Z nim tym bardziej nie skoczysz. – Oponent, ubrany w luźne bermudy i sprany T-shirt, nosił na przedramieniu tatuaż węża oplatającego się wokół dwupłątowca. Dzieciakowi się bardzo podobał. – Borys, nie zamierzam się z tobą przepychać. Widziałeś się w lustrze? Masz gębę jak menel, opuchniętą, z czerwonymi plamami. A pod oczami czarne wory. Gdybyś w drodze trafił na miśki z suszarką, na bank byś dmuchał.

– To nie znaczy, że jestem na bani! Nie widziałeś przepracowanego człowieka? Każdego skreślasz za zmęczenie na twarzy?

– Nie zamierzam ryzykować, że ci refleks nawali i się pozabijacie. Odpowiadam za każdego, kogo wpuszczam do samolotu. To skoki z czterech tysięcy metrów. Tu nie ma miejsca na błędy. Idźcie na kręgle.

– Wsadź sobie w dupę kręgle.

– Jakiś czas temu wylądowałeś po pijaku w szpitalu. Też byliśmy umówieni i nawet nie raczyłeś odwołać. Dopiero Bartek doniósł, że cię erka zgarnęła spod zoo. Z małpami tankowałeś czy jak?

– Porąbany zdrajca – wysyczał Pilch pod adresem brata i ruszył do wyjścia.

Chłopiec się skrzywił na myśl o kolejnej awanturze, jaka tym razem spadnie na stryjka, i bez słowa powędrował za ojcem.

– Odstaw alkohol na kilka tygodni i wtedy porozmawiamy. – Dotarło do nich, gdy przekraczali próg hangaru. Na zewnątrz Borys ze złością uderzył pięścią w otwartą dłoń i pomaszerował do samochodu.

– Dokąd teraz jedziemy? – spytał dzieciak, kiedy wtoczyli się na autostradę.

– Wybierz sam.

– Na Lublinek. Pooglądamy startujące samoloty.



O ile będzie coś startowało, pomyślał Pilch i wzruszył ramionami. Nie wracali do sceny w hangarze. Obaj wiedzieli, że nie ma o czym gadać. Na łódzkim lotnisku nie działo się nic poza lądowaniem boeinga z Dublina. Pokręcili się bez celu dobrą godzinę, zjedli lody i zgodnie uznali, że czas wracać do domu. Wsiadając do auta, Tymek przypomniał sobie o leżącej na siedzeniu kopercie.

– Co w niej jest? – spytał, bo milczenie już mu ciążyło. Nie tak wyobrażał sobie ten dzień. Totalna lipa.

– Odpowiedź w sprawie zagadki – odparł Borys z roztargnieniem, bo manewrował po zatłoczonym parkingu. Co tu robi tyle aut, skoro prawie nic nie lata, irytował się, przez co tylko ułamek uwagi koncentrował na dziecku.

– Jakiej zagadki?

– Genetycznej. Ewentualnie wyjaśnienie, że próbki były do kitu i niczego nie dało się ustalić.

– Czyli to mój list, bo dotyczy mnie?

Chłopiec koniecznie chciał zajrzeć do środka, mimo że się tego bał. W jego ojcu lęk przeważał nad ciekawością, lecz obaj rozumieli, że informacja z przesyłki może zmienić ich życie.

– Powiedzmy, że nasz – mruknął od niechcienia, po czym zatrąbił i ustąpił miejsca pędzącemu na łeb na szyję BMW. – Jedź, kurwa, bo nie zdążysz – warknął.

– Otworzę. – Mały wychylił się między siedzeniami i chwycił kopertę w dwa palce.

– Zapnij pasy!

– Dobra, już... Odpiąłem tylko na chwilę.

Pilch dotarł do skrzyżowania i włączył się do ruchu, a następnie skręcił w wąską uliczkę między działkami i nieużytkami, którą mógł przebić się na Retkinię. Jednocześnie zerkał na syna, który podważał paznokciem niedoklejony róg.

– Nie otwieraj. Schowaj do plecaka. Przeczytamy razem w domu.

– Czekaliśmy tyle dni...

– Odłóż to, do cholery!

Mierzyli się wzrokiem w odbiciu lusterka. Tymka korciło, by zwyczajnie nie posłuchać. Tata miał stanowczy wyraz twarzy, ale co z tego. Siedział z przodu, trzymał ręce na kierownicy i nie mógł nic zdziałać. W pomruk silnika wplótł się odgłos rozdieranego papieru, a oni wciąż zaglądali sobie w oczy, identycznie marszcząc brwi. Trwało to o ułamek sekundy za długo.

Borys syknął nagle i chwycił się ręką za skroń, dziwnie wykrzywając twarz. W tym czasie samochód bez zwalniania minął zlekceważone przez kierowcę znaki drogowe i wtoczył się na pozbawiony szlabanu nasyp z przejazdem kolejowym. Chłopiec dostrzegł kątem oka rosnący w oczach pociąg. Szarpnął nim zwierzęcy strach i z płuc wyrwało mu się głośne:

– Tato!

Kilka rzeczy zdarzyło się niemal jednocześnie. Dziecięcy krzyk zagłuszyło ostrzegawcze trąbienie. Pilch, owładnięty potwornym bólem głowy, zdał sobie sprawę z tego, że jest za późno, by zatrzymać się przed torami, zatem przyspieszył, by uciec z szyn. Corolla wyrwała do przodu, złapała lekki poślizg i zjechała na lewą stronę jezdni. O włos za jej zderzakiem załomotały koła przetaczającego się składu kolei regionalnych. Kierowca nie zdążył pomyśleć, że się udało, gdy tuż przed toyotą wyrosła ściana hamującej wywrotki pełnej gruzu z pobliskiej budowy...

W takich chwilach myśli człowieka biegną w zawrotnym tempie, a umysł zawęża aktywność do uruchamiania podstawowych instynktów zapewniających przetrwanie. Chyba że ma się dziecko. Wówczas ochrona jego życia wysuwa się na pierwszy plan i nie potrzeba do tego rozważań ani nawet znajomości wyniku testu na ojcostwo. Rozsadzający ból czaszki i narastające uczucie odrętwienia także przestają się liczyć. Miłość jest najsilniejszym z bodźców. Potrafi pchnąć człowieka do czynów przekraczających granice pojmowania.

Borys zdecydowanym ruchem kierownicy odbił w prawo, nie spuszczać nogi z gazu. Klaksony obu samochodów zatoneły w nieustannym wyciu pociągu i stukocie szyn. Głuche łupnięcie osobówki w maskę wywrotki wbiło się w świadomość chłopca przeraźliwym hukiem wzmocnionym przez paniczny lęk. Corolla, wytraciwszy prędkość, przetoczyła się jeszcze przez krawężnik, wjechała w krzaki i ostatecznie zamarła, gdy wbiła się w słup wysokiego napięcia.

Skład regionalny pomknął w kierunku Pabianic, trąbienie umilkło i wokół zapadła głucha cisza. Czas jakby zwolnił, a potem zamarł. Tymkowi dzwoniło w uszach echo przebrzmiałego hałasu. Wokół rozsypały się drobiazgi, które pospadały z półki za tylnym siedzeniem i zbombardowały nogi dziecka. Nie czuł bólu, lecz dziwną ociążałość w całym ciele i narastający chłód. Jego skóra była mokra od potu. Spojrzał na ojca siedzącego z bezwładnie zwieszoną głową, zamkniętymi oczyma i skapującą z kącika ust zaróżowioną śliną. Uciekł wzrokiem na własne dłonie.

Z zaskoczeniem odkrył, że wciąż ściska w nich naddartą przesyłkę, którą rano dostarczył kurier. Z trudem zmusił się do ruchu, wysunął rękę do przodu i pomachał nią obok twarzy Borysa, bo bał się go dotknąć.

– Tato, obudź się – zawołał, a jego głos brzmiał obco, piskliwie, gdy z trudem przeciskał się przez krtań. – Nie śpij, słyszysz? Już chowam ten list. Przeczytamy w domu, tylko otwórz oczy!

Wepchnął kopertę do plecaka i zapiął suwak. Zmęczył się tym tak bardzo, że nie utrzymał śliskiego materiału i ciężar spadł mu pod nogi. Po chwili przeciął ciszę pulsujący sygnał zwiastujący przybycie służb ruchu i pogotowia. Chłopiec trząsnął się z zimna i strachu, gdy dwaj panowie w mundurach dopadli do drzwi corolli. Zadawali pytania, których nie rozumiał, i nie pozwolili mu tak po prostu wysiąść. Nie pamiętał, jak to się stało, że znalazł się w karetce. Chyba ktoś go zaniósł, a zaraz potem lekarz poddał go pospiesznym oględzinom.

– Nie mogli otworzyć, żeby wyjąć tatę – wydukał Tymek, szczękając zębami.

– Poradzą sobie. Czy tu cię boli? – pytał doktor, obmacując mu kolejne części ciała.

– Nie wiem. Chyba nie.

W otwartych drzwiach samochodu zjawił się łysy policjant, a za nim jak cień drugi człowiek w czapce z daszkiem, znacznie starszy, niższy i beczkowaty, za to zwyczajnie ubrany, w dżinsach i koszulce, zdenerwowany, z rozcięciem na policzku, z którego powoli spływała krew.

– Co z tym smykiem? – spytał łysy.

– Na oko nie wygląda źle – zeznał medyk. – Zabieramy go do Korczaka.

– Miał szczęście, że siedział z prawej strony. Cały lewy bok rozbity.

– Zostawiłem w aucie plecak. Mam tam wszystko! – poskarżył się dzieciak, po czym usiłował zerwać się z leżanki. Chłopcu chodziło nie tyle o bidon z wodą, komiks, bluzę i smartfona, co o przesyłkę, za którą czuł się odpowiedzialny, mimo że nadal nie znał jej treści. Nim skończył mówić, zawstydził się, że upomina się o bzdury, a nie o ojca, więc szybko dodał: – Gdzie tata?

– Zabezpieczymy twoje rzeczy i ci oddamy. Tatę druga karetka zabierze do szpitala dla dorosłych, gdy tylko wydobędziemy go z auta. – Policjant odwrócił się i wpadł na beczkowatego. – Pana też powinien obejrzeć lekarz – oznajmił z troską.

– Nic mi nie jest. – Głos mężczyzny trząsł się, ale grzmiał donośnie, jakby wraz z decybelami wyrzucał z siebie stres. Tymek doskonale słyszał każde słowo. – Panie, ja nie miałem szans. Całe szczęście, że wytraciłem pęd, bo widziałem pociąg z daleka i zbierałem się do hamowania. Gdybym jechał szybciej, nic by z niego nie zostało. Wyskoczył jak czort z pudełka. Zdawało mi się, że zwalnia przed torami, a on znienacka rura. Ledwo smyrgnął przed lokomotywą. Chrystusie, Królu Nazareński, a potem prosto na mnie. Widziałem jego twarz jak na dłoni. Był jakby zamulony, a potem nagle zebrał się w sobie i bez wahania odbił w prawo. Nielogiczne. Po lewej miał więcej miejsca na ucieczkę, ja to mogę panu rozrysować. Oberwałby mniej.

– Ale stworzyłyby większe zagrożenie dla dzieciaka.

– Otóż to. Mam troje swoich. Gdybym znalazł się na jego miejscu, wybrałbym identycznie. Jeśli był wypity, może sąd weźmie pod uwagę, że się podłożył, by chronić pasażera.

Tymek poczuł, że narasta w nim monstrualny gniew. Odepchnął lekarza, zerwał się na nogi i stanął w drzwiach karetki:

– Tata nie był wypity! Nie jeździ po whisky!

Wykrzyczawszy komunikat, który wydawał mu się mieć zasadnicze znaczenie, opadł z sił, pozwolił zawlec się na leżankę i zrobić sobie zastrzyk. Musiał odpłynąć w sen, bo ocknął się dopiero w drodze do szpitala, ale tę część historii stryjek już znał.

– To wszystko, co zapamiętałeś? – spytał Bartek, zerkając na bratanka znad kolejnego kubka kawy z dupą. Napój wystygł, a niebanalna dekoracja rozplynęła się, tworząc niewyraźne mazaje.

– Tak mi się wydaje – odparł chłopiec i pociągnął nosem. Obok nietkniętego kakao urósł kopczyk zasmarkanych chusteczek.

– Dlaczego sądzisz, że to twoja wina?

– Po pierwsze: to ja go zdenerwowałem w samochodzie. Po drugie: to przeze mnie skreślił w prawo, tak jak mówił beczkowaty. To był kierowca wywrotki.

– Tymek, nie znam dzieciaka, który nie wkurzałby rodziców, także w czasie jazdy. A co do samego wypadku... Rolą dorosłych jest chronić dzieci i nie możesz się o to obwiniać.

– Mam jeszcze po trzecie... Ta koperta. Dotyczyła nas trzech, chociaż teraz już jest chyba nieważna.

Bartek nie zdążył spytać, co w niej było ani czy chłopiec ją ma, bo mieszkanie wypełnił uporczywy dźwięk domofonu. Wstał i poszedł

otworzyć.

- To mama – poinformował chłopca.
- Ona nie może się dowiedzieć.
- O naszej rozmowie?
- O liście. Nie chcę, by się gniewała na tatę, nawet gdy on nie żyje.

# ROZDZIAŁ 2

## 16.

– Hej, mała. – Bartek stał w progu, opierając się o futrynę. Na przegubie dłoni umieścił papierową torbę, a pod pachą trzymał wyciskarkę do cytrusów, której przewód zwisał swobodnie, płacząc się mężczyźnie wokół nóg. Miał na sobie czarny T-shirt z logo zespołu Hey i džinsy. Gołe stopy wsunął w kolorowe conversy w zabawny komiksowy wzór. Wilgotne włosy sugerowały, że niedawno wyszedł spod prysznic. Pachniał mydłem, świeżymi pomarańczami i samym sobą, nieco zmęczonym po zbyt krótkim śnie. Dla Ady stanowiło to wyjątkowo kuszącą mieszankę, od której serce jej przyspieszało, a w głowie zaczynało szumieć. Nabrała ochoty, by go pocałować, i niemal zapomniała, że jest obrażona. Pohamowała spontaniczność w ostatniej chwili.

– Nie jestem mała – mruknęła, obciągając górę cienkiej letniej piżamy.

– Pewnie, że nie, ale bezczelny facet, który śmie odwiedzać piękną kobietę o szóstej rano, może zatuszować rozmiar nietaktu tylko takimi słowami. Szczególnie, że o kwiatkach nie pomyślał.

– Za to o soku tak.

– Na cytrusy jesteś bardziej pazerna niż na chabazie, a czymś muszę cię przekupić. Mam wobec ciebie poważne zamiary.

Niby żartował, ale w jego oczach nie dostrzegła błazeńskiej krotchwili. Mimo wszystko nie potrafiła tak po prostu odpuścić i dać się zbyć niczym.

– Czekałam wczoraj jak słowikowa w gniazdku na akacji. Myślałam, że zajrzysz wieczorem razem z tymi swoimi zamiarami.

– Nie mogłem zostawić Magdaleny. Przesiedzieliśmy przy kawie pół nocy. Dopiero nad ranem udało mi się ją namówić, żeby się położyła.

– Spała u ciebie w domu? – Walicka poczuła uwierający niepokój.

– Tak, razem z Tymkiem. Nadal nie wstali, dlatego wolę hałasować wyciskarką tutaj. Mam chwilę, zanim pognam do fundacji. Wpuść mnie, bo obudzimy gadaniem całą klatkę schodową.

Odsunęła się, robiąc mu przejście. Zagryzła dolną wargę i unikając jego spojrzenia, ruszyła do kuchni. Rysownik postawił na bufecie urządzenie i wypakował z torby pomarańcze.

– Przykro mi, Bartek – wyrzuciła wreszcie, bo wyglądało na to, że sam nie zauważy. – Odsunąłeś mnie na boczny tor, jakbym nagle przestała się dla ciebie liczyć.

Od kiedy nie sprawdziłam się jako kochanka, dopowiedziała sobie w myślach, bo tamta sprawa wciąż ją uwierała i zawstydziała.

Ze zdziwieniem uniósł brwi i przysunął się do niej, kładąc dłonie na jej biodrach.

– To co ja tu robię o takiej bandyckiej porze?

– Nie wiem – odparła, wzruszając ramionami. – Mam nadzieję, że przyszedłeś porozmawiać, a nie tylko zrobić dla mnie sok. Chcesz, żebym powierzała ci troski, a sam wolisz dzielić swoje z Magdaleną? Po tym, jak twój bratanek mnie wyprosił, naiwnie liczyłam, że się odezwiesz i cokolwiek wyjaśnisz, ale widocznie tobie to niepotrzebne.

– To nie tak. Nie przyszło mi do głowy, że... – Podrapał się po karku i odchrząknął. – No nie, nie mam argumentów. W ogóle nie myślałem o tobie.

– Aha... – mruknęła i załapał, jak słabo zabrzmiały te wyjaśnienia.

– W kontekście tej sprawy, Ada... – Objął dłońmi jej policzki i schylił się, by ich czoła się zetknęły. – Zasadniczo mam cię w głowie non stop. Nie wyrabiam ze skupianiem się jednocześnie na wszystkim, na czym bym chciał. Najpierw Maciek, a teraz...

Odsunął się i przysiadł na stołku. Zwiesił głowę. Ręce opadły mu bezwładnie na kolana.

– No? Co teraz? Jak Borys?

– Przedwczoraj dostał wylewu i spowodował kolizję. Wczoraj zmarł. Tymeek jechał z nim. Jest tylko poobijany, za to nadal w szoku. Muszę pomóc Magdalenie i zająć się kolejnym pogrzebem. Cholera, co to za kumulacja dramatów?

Walicka momentalnie zmiękła. Podeszła do Bartka, bez słowa przytuliła go zdrową ręką i pocałowała w czubek głowy. Skrzyżował ręce za jej plecami, przywarł do jej piersi i brzucha. Przez cienki materiał czuł jej ciepło i bicie serca, lecz to, zamiast go wyciszyć, wywołało gwałtowną falę smutku. Własna krzywda zlewała mu się z żalem nad chłopcem, który stracił ojca, nad jego niepewną przyszłością i nad samym Borysem, któremu wszystko w życiu szło na opak z wyjątkiem *Skrzydeł*. Po policzkach popłynęły łzy. Dotąd był twardy, opanowany, szukał rozwiązań i pozwalał innym na chwilę bezradności. Nie zastanawiał się nad niczym, po prostu działał, nie tracąc animuszu, lecz teraz, w kuchni pani Ludmiły, coś w nim zwyczajnie pękło. Przez kilka minut nie był w stanie odsunąć się od dziewczyny. W końcu jednak sięgnął po rolkę ręczników papierowych i wytarłszy twarz, oznajmił z werwą:



– Dobra, koniec. Uśmiechnij się. Przyszła mama nie powinna załamywać rąk. Wpadłem, by nacieszyć się twoim towarzystwem, a przy okazji poprosić o wyrozumiałość...

– Bo w najbliższych tygodniach nie będziesz miał dla mnie czasu – dopowiedziała, czując niepokój. Od tego zaczął się sypać jej związek z Jackiem. Od nadmiaru zajęć i miliona istotniejszych od Ady spraw, które przerodziły się w brak zrozumienia, irytację, groźne tajemnice i niedającą się zatrzymać agresję.

Po jej twarzy przemknął cień. Pilch pewnie by go dostrzegł, a może nawet rozumiał, gdyby nie zielona papuga, jeszcze nieco zaspana. Przemaszerowała przez bufet, wyjątkowo spokojnie potrząsnęła skrzydłami, po czym popukała dziobem w ramię Pilcha i zaskrzeczała:

– *Pogoniszja za dvumja zajtsami, ni odnogo ne pojmajesz.*

– Nie kracz, boś nie wrona. Nie zamierzam ganiać dwóch zajęcy.

– Cicho, Zoja – wtrąciła Walicka. – Bo panią Ludmiłę obudzisz.

– *Zoja tihaja. Daj mne oreh!* – negocjowała amazonka. – *Daj mne biskvit!*

– Nie zabrałem z domu – mruknął skonsternowany Bartek, ale dziewczyna bez wahania sięgnęła do pojemnika z ciastkami i podała papudze ptasi biszkopt.

– *Idiot! Idiot!* – wrzasnął ptak pod adresem ulubieńca i pofrunął z łupem na najwyższą półkę regału.

– Udana bestia! Myśli, że tam jej nie dopadniesz – rozbrzmiał w progu perlisty śmiech starszej pani. – Cześć, chłopaku. Jak tam? Ugasiłeś wszystkie pożary? O tej porze soplicy ci nie proponuję, ale kawy możemy się napić. Należą ci się wciroy za to, że się martwiłyśmy po próżnicy.

– Dzień dobry, pani Ludmiło. Na przeprosiny zaserwuję wam sok. – Zerwał się ze stołka i dopadł do owoców. – Ada pani wszystko powie. Teraz chciałbym przez najbliższe... – rzucił okiem na zegarek na przegubie dłoni – czterdzieści pięć minut czuć tylko zapach cytrusów i to, jak was obie kocham.

– *Ignorrrant! Ignorrrant!* – zrugęła go papuga.

– O, przepraszam. Trzy.

Niecałą godzinę później Walicka odprowadziła gościa do drzwi i pozwoliła się zamknąć w mocnym uścisku. Starsza pani nie pchała się za nimi – symulowała dyskrecję. Podkraśla się jednak do progu, filowała zza okularów i zacierała ręce na widok całującej się pary. Zielone uosobienie nietaktu natychmiast poderwało się do lotu i zaskrzeczało nad jej głową:

– *Ona smotrrrit! Ona smotrrrit!*

Zakochani wybuchnęli śmiechem i drzwi za rysownikiem się zatrzasnęły. Jako wspomnienie po nim zostały zarumienione policzki Ady i kręcąca w nosie woń pomarańczy.

– Serio nas pani podglądała?

– Wielkie mecyje. – Gołębiewska machnęła ręką. – W podróż już nie pojedę, wódeczkę Bartek wydziela w homeopatycznych dawkach i nawet na miłość nie wolno popatrzeć? Samym Czajkowskim mam żyć jak papuga? No dajże spokój, dziewczyno – oznajmiła, po czym z udawaną krzywdą zniknęła za drzwiami łazienki.

## 17.

Bartek wrzucił do kosza na pranie dwie białe koszule i ziewnął. Przeszedł z łazienki do przedpokoju, rozprostował na wieszaku ciemny męski garnitur i umieścił go w szafie. Następnie ulokował obok niemal identyczny w kroju chłopięcy model. Tymek obserwował stryjka ze skrzywioną miną. Wreszcie podszedł, chwycił w dwa palce rękaw mniejszej marynarki, wysunął język z wyraźnym obrzydzeniem i oznajmił:

– To wredne, że mnie zmusiłeś do założenia tego okropieństwa, wujek.

Bartek westchnął i pomasaował sobie kark. Niezbyt to pomogło zmęczonym mięśniom.

– Jestem stryjek – poprawił odruchowo. – Sam wystroiłem się identycznie. Czy ten argument wystarczy?

– No nie wiem.

– Nie wiesz, czy ja to stryjek? Zapewniam cię, że tak. Nieustająco od dziesięciu lat.

– Nie wiem, czy uznam, że ten argument wystarczy. Co do stryjka, to tylko się droczę.

– Wielka mi nowina. – Pilch sprzedał bratankowi przyjacielskiego kuksańca, lecz od razu spoważniał. – Czasem po prostu wypada wyglądać elegancko, by uszanować jakąś osobę lub dane miejsce. Mama poprosiła, byśmy poszli na mszę w intencji taty, więc dostosowaliśmy strój do okoliczności. Na pogrzebie było tak samo.

– W tych ciuchach wyglądam jak kawałek fortepianu. Samo czarne i trochę białego. Będę teraz codziennie nosić ponure ubrania?

Czuł się już o niebo lepiej niż po wypadku. Fizycznie nie dolegało mu nic, a pozbycie się kołnierza ortopedycznego przyniosło znaczną ulgę i poprawiło nastrój.

– Ja nie widzę takiej konieczności. Mama też nie. Decyzja należy do ciebie.

Pilch przeszedł do salonu i omiół wzrokiem komodę przy kanapie. Poprzedniego dnia porozkładał na niej dokumenty, by je przejrzeć i uporządkować. Ciągłe jednak coś go od nich odrywało. Teraz też machnął ręką na robotę i usiadł przy stole. Chłopiec zajął krzesło naprzeciwko. Między nimi leżał rozgrzebany zestaw Lego z rozbitkami morskimi i ratowniczym hydroplanem.

– Wolę niebieski. Zielony też się nadaje. Czarny jest ponury i robi się od niego jeszcze smutniej. Ale chyba o to chodzi w tej całej żałobie, żeby

w kółko płakać i czuć się źle.

– Ależ skąd! Żałoba nie służy temu, żebyś był nieszczęśliwy. To taki czas, w którym budujesz życie od nowa po stracie bliskiej osoby. Uczysz się cieszyć, planować, bawić, mimo że odszedł ktoś, kogo kochasz, rozumiesz?

– I ile to trwa?

– Nie ma reguły. Jedni od początku świetnie sobie radzą, a inni potrzebują lat.

– Bo są mazgajami?

– Niekoniecznie. Ludzie po prostu mają różną psychikę. To tak jak z odpornością na jesienną pogodę. Będę zdrowy, a tobie zaczniesz kapać z nosa. I co? Uznamy, że ja to mocarz, a ty słabeusz?

– Bez sensu – oburzył się chłopiec.

Chwycił garść klocków i pozwolił, by przesypały mu się przez rozcapierzone palce. Ludzik w kapoku spadł na podłogę, więc Tymek schylił się po niego z lekkim stęknieniem.

– Bez sensu jest oceniać ludzi po tym, jak cierpią. Każdy sposób przejścia przez żałobę jest dobry, byle nie trwała w nieskończoność. Tacie nie jest potrzebny twój smutek, wystarczy, byś o nim pamiętał.

Dzieciak zamyślił się na chwilę, wygrzebał z barwnego bałaganu na stole dwie zielone płytki i doczepił do wodolotu zgodnie z rysunkiem w instrukcji. Przełożył stronę, napił się wody z cytryną i popatrzył na stryjka.

– Wiesz, przez chwilę, ale naprawdę bardzo krótką, ucieszyłem się, że on umarł. Powiem ci dlaczego, tylko nie mów nikomu. Nawet tej twojej Adzie – zaznaczył z przekąsem.

– Słowo rysownika – zapewnił Bartek bez wdawania się w zbędne dyskusje.

– Pomyślałem sobie... – Chłopiec ściszył głos. – Że jeśli taty już nie ma, to mama nie poleci do Melbourne. Głupio, nie?

Bartek poczuł zdwojoną irytację i chęć, by porządnie potrząsnąć Magdaleną.

– Wcale ci się nie dziwię. Też sądziłem, że twoja mama zrezygnuje z Australii albo chociaż przeorganizuje plany tak, byś z nią poleciał.

– Ale mnie nie zabierze. Tak powiedziała.

– Skąd wiesz?

– Rozmawialiście w nocy, a ja się obudziłem. Kazała ci podjąć decyzję, czy się mną zaopiekujesz. Powiedziała: „Skoro w fundacji niańczysz obce

dzieci, możesz poświęcić się także temu, dla którego jesteś najbliższą rodziną”. Wiesz, co to może oznaczać?

Psiakrew, pomyślał Bartek i poczuł, jak po plecach spływa mu strużka potu.

– No co? – Postarał się, by w jego tonie zabrzmiała autentyczna ciekawość.

– Że wszystko zależy od ciebie. – Dziesięciolatek obejrzał dokładnie swoje ręce, które całkiem straciły zainteresowanie zabawką i leżały bezwładnie obok szkieletu hydroplanu. – Gdybyś jej odmówił, nie miałyby wyboru i musiałyby zostać.

Pilch wstał. Okrążył salon i dotarł do komody, zatrzymując się przy porzuconych na niej papierach związanych ze *Skrzydłami*. Musiał zdecydować, czy ciągnąć dalej projekt solo, czy całkowicie go porzucić i szukać dla siebie nowej drogi. Czekają go zmiany w umowach i spotkanie w wydawnictwie, na którym powinien nakreślić swój plan. Był zmęczony i z trudem panował nad sobą, by nie podnosić głosu. Miał ochotę huknąć drzwiami, wsiaść w rozdeptaną żabę i pognać w siną dal. Tym razem Wrocław by go raczej nie zatrzymał. Pewnie dopiero niemieckie autostrady zdołałyby wyhamować ten pęd. Głowa pękała mu z braku snu, bo ranki spędzał w fundacji, popołudniami skupiał się na bratanku, u którego chwile bez troski przeplatały się z atakami paniki i szloch, a nocami kończył pracę nad komiksem. Jedynie od czasu do czasu wpadał na kawę do sąsiadek za ścianą. Chłopiec zwykle upierał się, by iść z nim. W przeciwnym razie zaczynał się bocyć lub płakać, choć wydawało się to bez sensu, bo wobec Ady zachowywał się opryskliwie, na pytania pani Ludmiły odpowiadał nabydycznym milczeniem, a niegdyś bardzo lubiana papuga zdawała się go zwyczajnie drażnić. Stryjek nie potrafił rozgryźć, czy Tymek objawia tym sposobem swoją zaborczość wobec niego, czy po prostu boi się zostawać sam w domu. Magdalena, z rana uwiązana przy synu, zniknęła na całe popołudnia i wieczory. Biegała po mieście, twierdząc, że załatwia tysiące pilnych spraw związanych ze śmiercią męża. Wracała po zmroku, zwożąc do domu szwagra kolejne torby wypchane chłopięcymi rzeczami.

Otumaniony nadmiarem zajęć Bartek sam nie wiedział, jak do tego doszło, że zamiast ukochanej kobiety w jego sypialni rozgościła się wdowa z dzieckiem. Dopiero ostatniej nocy, po tygodniu od śmierci brata, olśniło go, że coś jest wybitnie nie halo. Bratowa podczas nalewania sobie prosecco bez troski oznajmiła, że na szczęście zdąży z pakowaniem i formalnościami,

bo udało jej się przebukować bilet. Trafił go jasny szlag. Nie wytrzymał i zmusił kobietę do konfrontacji. Powiedział wprost, że ma swoje życie, i zapytał, kiedy ona zamierza zniknąć z jego domu.

– Za niecałe dwa tygodnie. Dziesiątego sierpnia zamiast pierwszego. Sorry, ale przez to zamieszanie z Borysem zmarnowałam dobrych kilka dni. Do tego czasu musisz ze mną wytrzymać.

Zamieszanie z Borysem?! Nie mógł uwierzyć w to, co słyszy.

– Z jakiej racji? – wycedził coraz bardziej rozwścieczony.

– Żeby Tymek się przyzwyczaił do tego, że mieszka z tobą – rzuciła lekko, po czym upiła łyk prosecco.

– *Clava curva pie vinco* – wysyczał przez zęby, by nie zacząć krzyczeć ze złości.

– To komplement czy obelga?

– To łacina. Język starożytnych Rzymian doskonale koi nerwy.

– I co to niby znaczy?

– „Zakrzywioną maczugą pobożnie zwyciężam”. Znam jeszcze drugie fajne. *Clava curva in spelunca*, czyli „krzywa maczuga w jaskini”.

– Żarty sobie stroisz?

– Jakoś mnie nie ciągnie, ale tobie się chyba zebrało na siupy.

– Jestem absolutnie poważna. Podpisałam umowę, wybieram się na staż i zostawiam syna pod twoją opieką.

Pilch uniósł obie ręce, ale po chwili bezradnie je opuścił.

– Serio? Zero wątpliwości? Zamierzasz wyjechać w chwili, gdy zabrakło jego ojca?

– Borysa zabrakło, a czy ojca, to rzecz dyskusyjna.

Do stu tysięcy kartaczy!

– Masz totalnie posrane we łbie! – wysyczał. – Bez mrugnięcia okiem rozpieprzasz innym życie. Nawet egoizm ma swoje granice. To jest jakaś destrukcyjna paranoja!

– Nie dramatyzuj, poradziś sobie.

– Nic chodzi tylko o mnie. Zachowujesz się jak bezduszna, zaślepią idiotka. Przede wszystkim on na tym straci, ale tobie też sporo przepadnie.

Stali w kuchni, opierając się o blat z identycznie skrzyżowanymi nogami. Kobieta zatrzepotała rękami, opróżniła kieliszek i odstawiła go do zlewu. Odkleiła plecy od bufetu, obróciła się i zajrzała szwagrowi w oczy.

– Spróbuj mnie przekonać – zamruczała zalotnie, stanęła na palcach, przesunęła koniuszkiem języka po zaciśniętych wargach mężczyzny, a jej

dłoń powędrowała w okolice jego paska od spodni.

– Odbiło ci? – zapytał, odchylając głowę.

– Dlaczego? Sam zacząłeś gadanie o stratach. Kiedyś coś nam się razem udało. Możemy to powtórzyć. Zaserwujesz mi namacalne argumenty przemawiające za twoimi racjami.

Odsunął ją, odskoczył jak oparzony aż pod drzwi balkonu i wrzasnął:

– Jesteś nienormalna!

– Podobno każdy jest wariatem, tylko nie wszystkich zdiagnozowano. Idę pod prysznic, a tobie zostawiam do rozwiązania zagadkę z gwiazdką: moja oferta była na serio czy to tylko żarcik. – Zaśmiała się i zniknęła w przedpokoju. Zabrała ze sobą intensywny zapach perfum i prosecco, którego smak nadal palił usta rysownika.

A niech to piorun kulisty! Co to za propozycja?! Ada, Ada i tylko Ada. Jej oczy, usta, piersi. Jej nogi, cudownie smukłe, gładkie. I brzuch. A w brzuchu miniaturka Zawadowicza... Walicka zdawała się rozumieć i akceptować fakt, że Pilch chwilowo wycofał się z oferty wspólnego mieszkania. Tłumaczył, że to na moment, niech tylko on i jego bratanek wrócą do równowagi. Los wystawiał budujący się na gruzach dawnego życia związek na coraz osobliwsze próby. Byle silniejszy podmuch wiatru mógł go do cna rozsypać. Żadne przeszkody ani pokusy nie były Bartkowi potrzebne, a już najmniej takie, jakie przed chwilą zafundowała mu świeżo upieczona wdowa. Nic, tylko oszaleć.

Chłopiec czekał, skupił się na klockach, by dać szansę stryjkowi pomyśleć. W końcu jednak należało mu coś odpowiedzieć. Rysownik wrócił do stołu i ponownie usiadł naprzeciwko dziecka.

– Nie podsłuchałeś dokładnie. Jeśli ja odmówię, mama odtransportuje cię do Dębina i zajmie się tobą dziadek.

– Twój?

– Twój. Ojciec twojej mamy. Rozmawiała z nim po pogrzebie i się zgodził.

– Przecież ja go prawie nie znam! Jeździliśmy tam raz w roku. Śmierdzi papierosami, czosnkiem i smarami z tego swojego warsztatu.

– My większość dzieciństwa przemieszkaliśmy u naszych dziadków, ale wcale cię nie namawiam.

– Dlaczego?

– Nasz ojciec też umarł, gdy byliśmy mali.

– Na wylew?

Z przepicia, przypomniał sobie Pilch. O czym tu opowiadać? Było, minęło.

– Tak – przytaknął. – A mama w kółko jeździła na saksy.

– Czyli?

– Do pracy za granicę. Głównie do Holandii. Od kilku lat mieszka tam na stałe. – I pije nie gorzej niż jej mąż, tyle że na malowniczych bulwarach przyportowych Amsterdamu, a nie w krzakach nad Wisłą, uzupełnił w duchu, a głośno wyjaśnił, by nie pozbawiać chłopca złudzeń: – Nie dotarła na pogrzeb, bo nie udało jej się zdobyć biletu na samolot tak na ostatnią chwilę.

– Można powiedzieć, że mieliście prawie jak ja. Bez taty, bo umarł, i bez mamy, bo pracowała strasznie daleko. Za to było was dwóch, a wasz dziadek, znaczy mój pradziadek, wygląda na całkiem spoko gościa, co nie? Tylko mu takie okropne włosy z nosa wystają. Ohyda...

Bartek nie miał dotąd okazji, by zastanowić się nad pierwszym od dekady spotkaniem z seniorem rodu – największym autorytetem jego dzieciństwa. Matki mu nie brakowało, bo nigdy nie mógł na nią liczyć, babcia zmarła, zanim skończył liceum, tymczasem brak kontaktu ze staruszką nieustannie doskwierał, wywołując podszytą wstydem tęsknotę.

Starszy wnuk już nigdy nie pojedna się z dziadkiem. Młodszy w ogromnym skrępowaniu zmusił się do kilku sztywnych słów na cmentarzu. Wówczas niespodziewanie Cezary Pilch poklepał go po plecach i szepnął mu do ucha:

– Wpadnij z nim kiedyś. – Wskazał na Tymka. – Pójdziemy na ryby. Nadal trzymam w szopie trzy wędkę.

– Dziadku, przepraszam...

– Sza, huncwocie! Było, minęło i basta.

Bartkowi ciepło rozlało się po sercu i przysiągł sobie, że jeszcze w tym roku powędkuje z seniorem. Póki jest na to szansa. Póki obaj chodzą po ziemi.

Chłopiec zniecierpliwiony pomachał stryjkowi ręką przed twarzą, a gdy to nie pomogło, rzucił w niego okienkiem hydroplanu.

– Hej – zawołał. – Pytałem o coś.

– O co? – Bartek wyrwał się z głębokiego zamyślenia, w które wplotło mu się wrzeczono senne.

– Czy twój dziadek jest spoko?

– Bardzo spoko.



- I serio uczy w szkole lotniczej?
- Już nie. Jest na emeryturze. Ale na pewno chętnie poopowiada ci o lataniu. Wybierzemy się do niego.
- Czyli się zdecydowałeś? Zostanę u ciebie na ten rok?
- A chcesz?
- Jeśli nie mogę być z mamą, to tylko z tobą – zapewnił chłopiec z zapalem. – Ale ciągniesz za dużo srok za ogon. To słowa taty. Tak powiedział na początku wakacji.
- I co jeszcze mówił?
- Że w końcu któreś powyrywasz piórka i skończy się płaczem.
- Bez obaw. Ciebie nie pozwolę skrzywdzić – obiecał uroczyście Pilch. Wstał, obszedł stół i wyciągnął ramiona do chłopca. Dzieciak zerwał się z krzesła i objął go mocno w pasie. Wyglądał tak, jakby spadł mu kamień z serca. – Jedną z tych srok wypuszczę na wolność i jakoś sobie poradzimy. Nie ma innego wyboru.

## 18.

Od kiedy ustąpiły torsje i Ada zaczęła wychodzić z domu, poczuła, że nabiera wiatru w żagle. Wracła do niej dawna energia, jakby wcześniej tylko czyhała na moment, gdy wokół zrobi się luźniej i zniknie pokusa permanentnego polegania na innych. Pierwsze samotne opuszczenie bezpiecznego schronienia w bloku przy ulicy Florecistów okupiła ogromnym stresem. Opływała potem, wędrując na przystanek, co chwilę oglądała się za siebie i sprawdzała, czy ma w torebce telefon, by w razie czego szybko wezwać pomoc. Nie mogła pozbyć się przekonania, że ludzie dziwnie na nią patrzą, a wszystkie przeżycia ma wymalowane na twarzy. Truchlała na dźwięk kroków za plecami, a jej udręczony mózg wyświetlał obrazy dwóch osiłków Korneckiego kopiących ją, okładających pięściami, wyrywających włosy z głowy i nacinających jej ciało nożem. Za nimi zjawiało się zakrwawione i wykrzywione złością oblicze byłego narzeczonego, który wrzeszczał tuż przy jej twarzy:

– Do kurwy nędzy! Zdradzasz mnie! Zdradzasz...

Tymczasem dni mijały, zdołała pozbyć się gipsu, odbyć rundkę po gabinetach lekarskich i diagnostycznych, odwiedzić kilka sklepów, a nawet pospacerować po parku i nic złego się nie zdarzyło. Nie chciała czuć się od nikogo zależna ani wyczekiwać jak pies czyjejs uwagi. Przerabiała to latami z zapracowaną matką oraz z Jackiem, który nigdy nie miał dla niej czasu, w zamian zaś oczekiwał stałej dyspozycyjności. Zamierzała przeflancować swoje życie na lepiej zbilansowane tory, być silna dla siebie i dla dziecka, a w relacjach z innymi wprowadzać zasadę równorzędnego partnerstwa.

Na logikę śmierć Borysa uzasadniała zachowanie jego brata, lecz Ada mimowolnie ulegała emocjom, które nabrały przykrego zwyczaju dźgania niechcianą zazdrością i rozczarowaniem, te zaś jej bojowy rozum przekuwały w pragnienie buntu.

Tymek wyraźnie za nią nie przepadał i stawiał wrogi mur przeciw zacieśnianiu relacji. Nie umiała go pokonać, choć zwykle jako wychowawca najmłodszych klas świetnie dogadywała się z dziećmi. Może był zazdrosny? Wiedziała, jak trudno jest się odnaleźć w świecie bez ojca, zatem krzesła z siebie maksimum pobłażliwości. Trzymała się myśli, że aktualny stan ma charakter przejściowy, i z uporem programowała się na optymizm.

Stryjek z bratankiem przyjęli zaproszenie na kolację, pani Ludmiła zaś obiecała zająć czymś chłopca, by Ada mogła spędzić parę minut sam na sam

z Bartkiem. Łaknęła takich chwil, bo karmiły ją endorfinami i otulały codzienność przyjemną wiarą w lepsze jutro.

Pod wpływem licznych przemyśleń Walicka postanowiła nie zawracać Pilchowi głowy zagadnieniami, które go nie dotyczą. Wbiła się na wyższy poziom odwagi i udała bez wparcia na wojnę z własnymi demonami. Stoisko z kawą pośrodku Galerii Łódzkiej nie było wymarzone miejsce na niewygodne spotkanie i trudną rozmowę, miało jednak swoje niezaprzeczone zalety. Przede wszystkim oznaczało mnóstwo świadków i absolutny brak intymności. Ada bez wahania weszła między okrągłe stoliki i już z daleka rozpoznała znajomą postać.

Jacek siedział do niej tyłem i na pierwszy rzut oka wyglądał, jakby nic się nie zmieniło. Bardzo jasne blond włosy uczesał tak starannie, że nie odstawały ani na milimetr. Pamiętała, że zwykł poświęcać rankami na tę czynność więcej czasu, niż jej zajmowało upięcie wygodnego koka. Często obrzucała go w związku z tym drobnymi uszczypliwościami. Oczywiście dopóki jeszcze układało się między nimi przyzwoicie. Potem zrobił się z niego zwyczajny buc bez poczucia humoru i stres związany z szantażami ze strony Korneckiego niczego nie tłumaczył. Kto normalny ubiera się w drogi sztywny garnitur do galerii handlowej, pomyślała. W dodatku w samym środku fali rekordowych upałów? Ktoś, kto pretenduje do roli ważnej szychy lub jest zdrowo gwizdnięty, odpowiedziała złośliwa część jej natury.

Obok niego stała już filiżanka z espresso, zatem Walicka podeszła do kontuaru i zamówiła dla siebie latte. Podbudowana promiennym uśmiechem sympatycznej baristki, uzbrojona w wysoką szklankę z aromatyczną zawartością zapadła się w miękkie, wygodny fotel w barwie maków, ustawiony naprzeciwko byłego narzeczonego, założyła nogę na nogę i bez słowa zamieszała słomką w kawie. Po minucie milczenia Zawadowicz nie wytrzymał:

– Dzień dobry, kochanie – zagaił rozmowę i pozytywne nastawienie momentalnie z niej wyparowało. Nabrała ochoty, by chlusnąć w niego świeżo zakupionym napojem. Zrezygnowała tylko dlatego, że po przeprawie tramwajem przez miasto czuła się mocno spragniona.

– Chyba mnie z kimś pomyliłeś – burknęła i zdecydowała się na niego spojrzeć.

Wyglądał, delikatnie mówiąc, paskudnie. Jedną z dłoni i lewą połowę twarzy znaczyły jasne ślady po oparzeniach pokryte nierówną, pozbawioną

zarostu skórą. Przekrwione oczy sugerowały, że słabo sypia, a niegdyś idealnie prosty nos sprawiał wrażenie, jakby się nieco przesunął w prawo.

– Przeszedłem piekło – wyznał z miną cierpiętnika, macając się po policzku. – Rany, szwy, uszkodzona przegroda nosa, ocean bólu. Ale nie żałuję. Musiałem się poświęcić. W przeciwnym razie nie siedziałabyś tu taka piękna z ledwo maleńką blizną przy skroni.

Ada z trudem powstrzymała ironiczne parsknięcie. Co za szlachetny zbawca! Tylko mu pomnik postawić, w tyłek wepchnąć bukiet goździków i urządzić akademię na cześć bohatera.

– Może moich śladów nie widać na pierwszy rzut oka?

– W sensie masz je pod ubraniem?

– W sensie mam je na psychice. Zostawmy to. Po co chciałeś mnie widzieć?

– Żeby upewnić się, że sobie radzisz i nie dzieje ci się krzywda.

– Działa się przy tobie, ale to już historia.

– Nie dramatyzuj. Skarbie, dobrze wiesz, w jakim żyłem napięciu. Chciałem cię chronić, a ty mi wiecznie gdzieś umykałaś. W dodatku ten łysejący paż coraz skuteczniej cię urabiał...

– Przestań albo wychodzę!

– Okej. Zostań, proszę. Nie przyszedłem się kłócić.

Przewróciła oczami i zanurzyła usta w słodkiej piance. Przyjemny smak nieco złagodził jej furję. Niech gada, byle szybko, pomyślała. Była gotowa go wysłuchać, lecz nie zamierzała spędzać z nim całego popołudnia.

– To o co chodzi?

– Chcę ci powiedzieć, że nie mam do ciebie żalu. Podzieliłem nasze oszczędności. Zarobiłem większość tej sumy, ale prowadziliśmy wspólne gospodarstwo domowe. Jutro spodziewaj się przelewu.

– To niepotrzebne.

– Za to uczciwe. Chcę, byś wiedziała, że moje zamiary są przejrzyste.

– Nie kołuj jak sęp nad padliną – warknęła. – Do rzeczy.

– Ach, te twoje prostackie porównania... Możesz liczyć na to, że przyjmę cię z powrotem, gdy dojrzejesz do tego, by wrócić – oznajmił i przybrał pozę pobłażliwego belfra, który uświadamia ucznia, że wie, iż tamten narozrabiał, ale jest gotów puścić mu to płazem.

Walicka nie wierzyła w to, co słyszy. „Gdy”, a nie „jeśli”?! Co za absurdalna błazenada!

– Kpisz?

– Dlaczego? Jeśli chodzi o ciebie, potrafię wybaczyć nawet zdradę, o ile zerwiesz wszelki kontakt z tym... rysownikiem. Oświadczyłem ci się, a dojrzały człowiek nie zmienia decyzji ot tak.

– Nie jestem zainteresowana – przerwała, bo nie dała rady dłużej słuchać tych łzawych bredni.

– Nie dziś, to jutro. Oferta pozostaje, że tak powiem, otwarta. – Zaśmiał się sztucznie. – Moja matka zawzięła się na ciebie. Uważa, że mnie skrzywdziłaś, poniekąd słusznie. Tłumaczyłem, że skoro ja okazuję dobre serce, ona także powinna, ale jej jest trudniej. Dostrzega analogię między swoim życiem a twoim. Wybrała kochanka kosztem męża i syna. I jak to się skończyło?

– Ja nie mam męża.

– Narzeczony to chyba też nie byle kto. Daliśmy na zapowiedzi. Ksiądz ze stulą już czekał w świątyni – zagalopował się i chyba jemu samemu zabrzmiało to zbyt melodramatycznie, bo raczył doprecyzować: – W przenośni oczywiście. Już byśmy byli po ślubie, gdyby nie...

– Do czego dążysz? – rzuciła, po czym dopiła przez słomkę resztkę latte.

Zastanowiła się, czy nie zamówić drugiej, by mieć czym zająć ręce, ale zrezygnowała. Niech on jak najszybciej skończy pieprzyć frazesy i spada na bambus.

– Powinnaś dobrze żyć z moją matką, bo to leży w twoim interesie.

Zęby same jej zazgrzytały. Cudem zdołała zatrzymać w ustach ociekający sarkazmem komentarz.

– Możesz jaśniej? – poprosiła grzecznie.

Rozsiadł się wygodnej, założył nogę na nogę i przerzucił jedno ramię przez oparcie fotela.

– Ona ma kontakt z twoim starym i od niej zależy, co mu o tobie naopowiada. Chyba nie chcesz, żeby uważał cię za pozbawioną uczuć, zdračliwą sukę?

Tym razem skutecznie przykuł uwagę niedoszłej żony.

– Mówisz serio?

– Owszem. Przecież łączy ich wspólna zdrada i zbrodnia, czyli miłość po grób. Oczywiście mam na myśli grób mojego ojca. Ona jest sentymentalna. Słała do niego listy przez te wszystkie lata.

– Jak to słała? A teraz co?

Jacek się zmytygował. Zależało mu, by nie zdradzić zbyt wiele.

– Nic. Dalej śle. I z pewnością przestanie przedstawiać cię w samych superlatywach, o ile nie będziesz dla nas miła. Teraz powinnaś przede wszystkim skupić się na sprawie.

Walicka się zamyśliła. Próbowwała przeczesać pamięć i odtworzyć z niej nazwę i adres właściwego zakładu karnego. W dzieciństwie kilka razy widziała te dane na kopertach. Przychodziły przez pierwszy rok czy dwa. Gabriela Walicka, nie otwierając żadnej z nich, odsuwała fajerki z pieca, wrzucała papier i pozwalała, by na oczach dziecka strawił go ogień. „Nie masz już tatusia, ale nie płacz. Mamusia cię nigdy nie zostawi”, mawiała. Dotrzymywała słowa, dopóki choroba psychiczna nie pogrążyła jej w nieistniejącym świecie omamów i urojeń.

– Na jakiej znowu sprawie? – spytała z rozpędu, myśląc, że Jacek nawiązuje do utopijnego pomysłu o ich wspólnym życiu.

– Sądowej. Nie dostałaś wezwania na rozprawę?

– Dostałam. Na wrzesień. I co?

– Rany, jaka ty jesteś nieuświadomiona. Od tego, jak przebiegnie rozprawa, zależy moja przyszłość. Postawili mi zarzuty. Nie takie jak Korneckiemu, ale jednak.

– I słusznie. Brałeś udział w testowaniu dopalaczy na chorych z oddziałów onkologicznych! Na dzieciach!

– Ada! – ryknął, uderzając otwartą dłoń w szklany blat stolika. Puste naczynia po kawie podskoczyły. – Przecież z początku o tym nie wiedziałem. A potem wystarczająco oberwałem za udział w tej aferze.

Nie chciała się kłócić, zwłaszcza że ludzie zaczęli na nich zerkać z niepokojem. Postanowiła wysłuchać go do końca, a potem w spokoju się zastanowić. Byle mu nic nie obiecywać. Był beznadziejnym człowiekiem i jeszcze gorszym narzeczonym, lecz śladową rację należało mu przyznać. Tamci bandyci faktycznie w jakimś stopniu go wrobili.

– Czego chcesz?

– Nie wymagam, żebyś kłamała pod przysięgą. Pamiętaj, że prawda to elastyczna materia. Od ciebie zależy, jak ją podasz i co ewentualnie przemilczysz. Potwierdzisz, że *de facto* nie byłem katem, a ofiarą nieświadomą tego, w czym uczestniczy.

– To nie do końca fakt.

– Ale prawdopodobna wersja. Podczas śledztwa zdradziłem policji wszystko, co wiedziałem. To też zadziała na moją korzyść.

– Co ci grozi?

– Adwokat obiecuje, że wywalczy zawiasy. Tylko że mnie to nie rajcuje.

– Wolisz celę?

– Wolę uniewinnienie. Obawiam się, że jakkolwiek wyrok skazujący zniszczy mi karierę naukową. Na polibudzie już krzywo patrzą na sam akt oskarżenia. Jeszcze mnie nie wywalili, ale mogą zablokować mi dalszy rozwój, jeśli nie udowodnię, że jestem czysty. A ja myślę o habilitacji. Chciałbym się skupić na badaniach, podjąc współpracę z zagranicznymi uczelniami. Sama wiesz, że mam ogromny talent. Nie wolno marnować takiego potencjału z powodu byle potknięcia...

Walicka z trudem powstrzymała śmiech. Ten człowiek rzeczywiście był nieprzeciętnie łebski i w Łodzi niewielu chemików z ich pokolenia mogło się z nim równać. Zrozumiała, skąd to opływanie słodyczą od pierwszych słów rozmowy. Obawiał się o swoją nieskalaną opinię naukowca. Biedactwo.

– Powodzenia – powiedziała, starając się, by zabrzmiało to szczerze. Obciągnęła turkusową bluzkę i chwyciła w ręce szmacianą torebkę, uznawszy, że powiedzieli sobie wszystko.

– Jak będzie z tym sądem? – Wyciągnął rękę, jakby zamierzał chwycić ją za ramię i zatrzymać. Na szczęście tego nie zrobił.

– Jacek, muszę to przemyśleć.

Pokiwał głową, zapinając marynarkę, i odszedł bez słowa, zostawiając ją samą. Odprowadziła go zdeglustowanym spojrzeniem.

Obawiała się, że to spotkanie zaboli ją bardziej, że jakoś głębiej zahaczy o jej duszę, może nawet pokaleczy. Tymczasem zmęczyło ją, zirykowało, odrobinę zaskoczyło, a jednak nie przysporzyło cierpienia. Były narzeczony obudził w niej przykre uczucia, lecz nie kryła się wśród nich nienawiść. Przyjęła to z ulgą. W trakcie rozmowy zarzuciła plan poinformowania go o ciąży, ale kto wie, co przyniesie przyszłość. Lepiej nie palić za sobą mostów, zwłaszcza że ten mężczyzna w żaden sposób nie mógł jej już skrzywdzić.

Wyrzuciła z głowy to spotkanie, spacerowała od butiku do butiku i buszowała między zabawkami dla maluchów. W końcu utknęła na dziecięcej konfekcji. Wybrała błękitne śpioszki z żółtym słonikiem w najmniejszym dostępnym rozmiarze i z trudem zmusiła się, by na tym poprzestać. Przypomniła sobie szaleństwo Majki, której zakupoholizm rozkwitł do imponujących rozmiarów, gdy Staś rósł w jej brzuchu. Zaprażyła pogawędzić z przyjaciółką, by oderwać się choć na parę minut

od tętniącej troskami Łodzi. Wepchnęła w uszy słuchawki i wybrała w komórce właściwy numer.

– O, mamuńciu, jak dobrze, że dzwonicz! – wyszczebiotała Majka z typową dla niej energią. – Akurat sama zostałam. Znaczy ze Stasiem oczywiście. Co ja tu przeżywam, to ludzkie pojęcie przechodzi. Ciesz się, Ada, że nie masz teściowej. A może będziesz mieć? Nigdy nie słyszałam nic o matce Bartka.

– Mieszka w Holandii.

– I bardzo dobrze. Niech tam zostanie. Najlepiej niech zapomni, że urodziła syna. Kiedyś skazywano ludzi na banicję. Musieli wymiatać z kraju i trzymać się od niego z daleka. To jest idealny układ dla patologicznych teściowych. Nie pchaj się do kontaktu, a już na pewno unikaj spoufalania.

Ada pomyślała, że spoufalanie z rodziną Pilchów raczej jej nie grozi, zważywszy, że nawet pogrzeb Borysa oglądała z dystansu, bo brat zmarłego skupiał się na wdowie i bratanku wczepionych w niego ramionami. Słuchając paplania przyjaciółki, podreptała do wyjścia z galerii. W progu uderzyła w nią fala gorącego suchego gazu, który trudno było nazwać powietrzem, bo zdawało się, że nie zawiera tlenu. Popołudniowy ukrop nie odpuszczał i dziewczyna zapagnęła ponownie skryć się w klimatyzowanym wnętrzu. Do marszu w kierunku przystanku zmusiło ją jednak nieprzemienne pragnienie, by wziąć chłodny prysznic, a potem usiąść z panią Ludmiłą przy lodach grejpfrutowych, które wyszperała poprzedniego dnia w markecie. Wzywały ją coraz natarczywiej z wnętrza zamrażalnika niemal tak głośno jak te pomarańczowe, które wykończyła o poranku.

Powoli dochodziła do wniosku, że tego lata mogłaby się żywić niemal wyłącznie na słodko. Córnka będzie, wróżyła Gołębiwska, i Adzie całkiem podobała się ta perspektywa.

– To co ci zrobiła ta biedna niewiasta? – Zmusiła się do zainteresowania dramataми Lipskiej.

– Męża mi ukradła!

– Tak na amen?

– Na „nie wódz nas na pokuszenie”, bo nie mam przez to szans na wakacyjny seks.

– Kobieto, skup się i gadaj po ludzku!

– Oj, dobra. Nie nosiła nic na łbie, a tu słońce nie zna umiaru i jej zagotowało czaszkę. Gorączki dostała, oblewały ją zimne poty, dopadły jakieś dziwne drgawki i skurcze mięśni. Leciwała przez ręce.



- Udar ciepły.
  - No.
  - Byliście u lekarza?
  - Tia. Znaczą oni byli. Kazał unikać ekspozycji słonecznej, wypocząć i obserwować. Synek obserwuje ze wzmożoną siłą, bo nawet śpi w jej pokoju.
  - Aaa... i ty się czujesz niedopieczona?
  - Żebyś wiedziała!
  - Daj spokój, Majka. To nie jej wina. A że twój pantograf nad nią skacze, to bardzo dobrze o nim świadczy. Nad tobą by też skakał. Wrzuć na luz. Za kilka dni wszystko wróci do normy.
  - Za kilka dni wrócimy do Polski i skończy się bałkańska przygoda. Ja ci mówię, ona symuluje. Podejrzałam ją, gdy Tomasz poszedł się myć. Zerwała się z wyrka i szukała czegoś w walizce. Podrygiwała, że mało jej się kuper nie urwał, bo w radiu leciały chorwackie hity lata. Wywijiała jak przechodzona baletnica.
  - Trzeba było dołączyć i potaćować razem, zamiast pozwalać narastać uprzedzeniom – wypaliła Ada, wtarabaniwszy się do dziesiątki. Klimatyzacja w tramwaju działała, odetchnęła więc z ulgą i opadła na najbliższe wolne siedzenie, czule głaszcząc się po brzuchu.
  - Niedoczekanie. Za to gdy wrócę, umówimy się na świętowanie, bo Stasiowi wyrznął się ząb.
  - Balangowałyśmy, gdy wpadłaś do mnie przed wyjazdem. Wytrąbiłyśmy wino we trzy z panią Ludmiłą, choć krzywiła się, że to nie pod jej smak, bo woli wódeczkę.
  - Marudziła, ale ciągnęła zdrowo – pochwaliła Lipska. – Wtedy chodziło o pierwszą jedynekę na dole. Teraz wylazła pierwsza na górze.
  - A, to przepraszam. Celebrować się godzi. Poza tym muszę ci coś powiedzieć i to nie jest sprawa na telefon.
  - O twoim romeo? Nie sprawdza się w pościeli? Spokojnie, powoli, wyszkolisz go. Ciężko przestawić się w tych sprawach na nowego ogiera.
  - Jezu, ty tylko o jednym. Nie o Bartku.
  - Czyli o Jacku? No nie gadaj! Widziałaś się z nim?
- Majka nie знаła najbardziej bolesnych szczegółów narzeczęstwa przyjaciółki i zamiast czerwonej lampki w jej głowie zapaliła się wyłącznie ciekawość.

– Tak – odparła z rezygnacją Walicka, bo poczuła, że z tą wariatką zdalnie się nie porozumie. W rozmowie twarzą w twarz łatwiej nad nią zapanować i zmusić ją do uwagi. – Właśnie wracam ze spotkania.

– I co? Niech zgadnę. Kocha cię, wybacz ci i chce, żebyś do niego wróciła?

– Skąd wiesz?

– Ha! Jestem geniuszem. Adula, ty nie daj sobie zrobić wody z mózgu. Porządnie się zastanów, którego z nich wolisz. Najlepiej spisz w tabelce wszystkie za i przeciw względem każdego z nich, dopóki masz jeszcze czas. Kiedy któryś cię zapyli, będzie po herbacie.

– Dlaczego?

– Bo dziecko musi mieć ojca. Uwierz, mnie to codziennie stoi przed oczami. Nawet jeśli mój mąż chwilowo skupia się na własnej matce kosztem seksu i romantycznych wieczorów, to o synu nie zapomina. Bez Tomasza macierzyństwo byłoby do luftu.

– Aha. Czuję się gruntownie uświadomiona. A teraz kończę, bo dojechałam do Piasków i wysiadam. Pa. Już nie mogę się doczekać tego świętowania po twoim powrocie.

Osiedle wydawało się jeszcze bardziej nagrzane niż centrum miasta. Ada przemykała pospiesznie między blokami, by jak najszybciej dotrzeć do domu. Marzyły jej się lody grejpfrutowe, rosyjska muzyka i towarzystwo pani Ludmiły. Majka uderzyła w czułe, lecz niewygodne struny, Walicka wolała więc skazać tę rozmowę na zapomnienie.

## 19.

Uhlik wygrzewał się w promieniach słońca liżących kuchenny parapet. Futerko lśniło niemal nadnaturalnie, jak czarny aksamit miejscami zaróżowiony na tle wieczornego nieba. Dzięki temu kot roztaczał wokół siebie jeszcze intensywniejszą aurę rezerwy i tajemniczości niż zazwyczaj. Gapił się na Helenę z miną, która pozornie nie wyrażała absolutnie niczego. Co jakiś czas łypał za okno na siedzącego przy płocie psa i zde gustowany poruszał wąsami. Następnie obracał łebek, zerkał na mężczyznę przy stole i krzywił się z wyraźną pogardą. Na koniec wracał do kontemplacji kobiety, dzięki czemu pyszczek mu łagodniał, a ciało się odprężało. To zwykłe oszczerstwo, że zwierzęta nie dysponują bogatą mimiką. Ów łapszański ekscentryk był tego najlepszym przykładem.

Gospodyni tarła ziemniaki z tak wielkim zaangażowaniem, jakby od jej wysiłku zależało życie mieszkańców całego Spiszu. Zebrała włosy w ciasny kok, by nie przeszkadzały jej przy gotowaniu, i przewięzała je zieloną opaską z cienkiej bawełny.

Wygląda bardzo kobieco, pomyślał Stefan, jednak szybko się poprawił: raczej wyglądałaby, gdyby zdjęła ten okropny poplamiony fartuch i chociaż trochę się uśmiechnęła. Mogłaby też zadbać o dłonie. Krótkie paznokcie były wprawdzie równo przycięte i czyste, ale skóra tak wysuszona, jakby nigdy nie widziała się z kremem nawilżającym ani balsamem. Niszczyła się od nadmiaru środków czyszczących, przy użyciu których Hela nieustannie doprowadzała obejście do błysku. Walicki zastanawiał się, czy aby nie chce tym sposobem wywabić plam niewidocznych, niematerialnych, choć wżartych głęboko w historię tego domu. Na to nie poradzą mleczka, wybielacze ani nieustanna modlitwa. Zło z przeszłości na zawsze zostanie w tych murach i ludzkich duszach. Kobieta jednak nie chciała słuchać, gdy jej to raz po raz wyłuszczał. Przerywała i proponowała, że i u niego wysprząta, byleby ją kiedyś zaprosił. Odmawiał, a gdy zaczynała się bocyć, przytulał ją i całował. Ledwo ich usta się stykały, zapominali o dzielących ich przepaściach. Ciała rozumiały się doskonale i nie potrzebowały słów. Dlatego częściej oddawali się miłości niż rozmowie, choć mężczyzna zaczynał podejrzewać, że nie da się tak żyć w nieskończoność.

Helcia nie przestawała kalkulować. Gdyby jej kochanek był wdowcem, wymogłaby na nim deklarację, bez wahania zaciągnęła go przed oblicze Boga i nadała ich relacji sakramentalną wartość. Wówczas skończyłyby się rozterki. Walicki przeniósłby się do niej na stałe, choćby nawet z tym

kundlem, który ostatnio zaczął nieco lepiej wyglądać. Postawiliby dla psa budę w ogrodzie i wszystko by się ułożyło w spokojną, szczęśliwą codzienność. Niestety Gabriela żyła, choć bardziej obecna ciałem niż duchem, przez co Helena pogrążała się w grzechu, bo wyrzec się Stefana nie potrafiła. Kochała go i już, a serce nie sługa. Robiła, co mogła, wbrew sumieniu. Dbała o niego poprzez karmienie i uleganie rozkosznym pokusom, a zarazem zaprzepaszczała szansę na zbawienie. Dawne występki przeciw szóstemu przykazaniu Bóg zdążył jej już przebaczyć, tego była pewna. Ale jak się oczyścić z obecnego cudzołożenia, które z dnia na dzień stawało się zasadniczym punktem jej egzystencji? Jak w tych warunkach śmiać się beztrosko, żartować i obnosić się ze swoją radością po wsi? Czuła się szczęśliwsza niż kiedykolwiek, a jednak gorzkniała, szarzała i gasła w oczach zarówno swoich, jak i ukochanego, bo niszczyła ją wojna toczona przez dwie drogie sercu sprzeczności.

Walicki wciąż nie oswoił się z wolnością. Dużo spacerował, jeszcze więcej milczał i te ciche odwiedziny u Helci, pełne domowych smaków i uniesień, były dla niego portem, do którego zawijał poobijaną krypą, by ogrzać się po sztormowych wiatrach i uzupełnić zapasy paliwa. Tylko czy to naprawdę była miłość? Czy za tym tęsknił latami, o tym marzył w długie noce wypełnione dusznym powietrzem celi i odgłosami śpiących współwięźniów? Czy to z powodu tego właśnie uczucia rozpętało się piekło, które ukradło mu wielki kawał młodości? A może miłość była wtedy inna? Może nie zawsze oznacza to samo? Bo przecież kocha Helenę, czuje, że ją kocha, nawet teraz, gdy patrzy na jej dłoń śmigającą z werwą nad miską. Tak jej pilno do obiadu czy może czas samoistnie przyspieszył, by prędzej doprowadzić ich do tego, co stanie się po posiłku?

– Skaleczysz się. Zwolnij – poprosił w obawie, że kobieta zedrze sobie naskórek z palców na metalowych oczkach tarki.

– A po co mam zwlekać? Nie głodnyś?

– Głodny.

– Placków kartoflanych nie lubisz?

– Lubię.

– To nie labiedź.

– Może pomogę ci chociaż? Coś obrać, pokroić?

Fuknęła, jakby ją obraził tą propozycją, i rzuciła okiem za okno wzorem Uhlika, który wciąż nie opuścił stanowiska na parapecie.

– A co ja sobie nie radzę w kuchni, jak jakaś łamaga? Jak ci się ze mną przykrzy, to wyjrzyj do tego oberwańca. Siedzi na chodniku i ślepi się na dom, jakby cię moje drzwi ze szczętem pożarły.

– Pójdę. – Zgodził się ochoczo i wstał od stołu.

– Tylko nie przepadnij gdzie. Zawołam, jak będzie gotowe.

Pokiwał głową i ruszył na podwórko. Pies ledwo usłyszał skrzypnięcie drzwi, chwycił w zęby suchy badyl i zaczął podskakiwać w miejscu, merdając ogonem.

– Dawaj patola, Dżoczi – zawołał pan, a zwierzak odwrócił się i jał gnać na tyły budynku, sadząc susy w trawie i ciesząc się tym bardziej, im więcej słyszał wyrzaskiwanych pod jego adresem inwektyw.

– Ladaco, psiajucho, darmożjadzie!

Odszczeknął, odkładając na moment skarb na trawę, po czym znów zatkał sobie nim paszczę i powrócił do biegów przelajowych. Pozwolił się dopaść wtedy, kiedy sam zechciał, choć nie wypuścił ulubionej zabawki z pyska. Stefan złapał obiema rękami dwa końce kijka i szarpał za nie, warcząc nie gorzej niż rottweiler, lecz dając zwierzakowi fory, bo ten nie był wszak owczarkiem niemieckim, tylko jego alternatywną wersją: trzy razy mniejszą, dwa razy chudszą i w oczach Walickiego o niebo bardziej uroczą. Na koniec obaj zwalili się w zielsko, czworonóg przeturlał się na plecy i zachęcał, by go wydrapać po brzuchu, boczkach i zadzie.

– A widzisz, mongolski urwipolciu, diable dardanelski... Po kiego grzyba tak przede mną pryskałeś?

Dżoczi ział z wywieszonym językiem i nie posiadał się z ukontentowania, że spadła nań fala pieśzcot. Pełnię szczęścia osiągnął, gdy człowiek wyjął z kieszeni kilka smaczków i wtykał je wprost między psie zęby. Niebiańska rozkosz rozlała się po podniebieniu. No łapy lizać...

Sielankę przerwało wołanie z otwartego okna:

– Placki nakładam. Tylko ręce umyj po tym pchlarzu!

– Trudno, stary. – Mężczyzna podniósł się z trawy. – Ty miałeś swoje pięć minut, teraz dostarczę uciech mojej damie.

Jedzenie mu smakowało, kobieta tym bardziej. Tego dnia wyjątkowo rozczulała go jej uległość i niegasnący entuzjazm, z jakim reagowała na jego dotyk. Każdym oddechem, jękiem, ruchem odpowiadała wprost na jego potrzeby, dopasowując się jak doskonale skrojone rękawiczki, idealnie dobrane buty. Seks z nią nie był wyrefinowany ani dziki, ale czy Stefan kiedykolwiek potrzebował ekstrawagancji w tym zakresie? Dawała mu

spokój, akceptację i zrozumienie. Nie skupiała się na sobie, nie biadoliła, nie opowiadała godzinami, przez co musiała przejść. Nie robiła z siebie cierpiénicy ani nie oczekiwała za nic wdziéczności. Nie zmuszała do niczego, nie wypytywała natrétnie o krépujące, intymne szczegóły więziennego życia. A do tego na każdym kroku podkreślała, że warto było czekać, czyniąc tym samym wbrew własnej pobożności.

O bogowie! O Afrodyto, Wenero, Isztar i Bastet! O Kupidynie, doktorze Freudzie i Michalino Wisłocka! Helena czekała na swego kochanka bite dwadzieścia lat, odrzucając wszystkich mężczyzn, którzy oferowali jej zarówno fizyczny, jak i duchowy wymiar miłości. Czy wolno było Stefanowi tak po prostu tego nie przyjąć?

Rozbierała się dla niego wyłącznie w sypialni, jakby ich seksualność zamykała się na tym jednym pomieszczeniu. Kochali się za każdym razem w łózk, pod lekką letnią kołdrą. Niby banalnie, ale tego właśnie banału brakowało mu przez dwie dekady, gdy kobiety widywał głównie w telewizji, a seks oznaczał konieczność wysłuchiwania, jak facet na sąsiednim kójo się brandzluje lub namawia do wspólnych igraszek któregoś z kumpli.

Gdy wieczorem zbierał się do wyjścia, zaskoczył go jej słuźalczy, niemal błagalny ton:

– Dobrze ci było, Stefciu?

– Dobrze – odparł i wciągał koszulkę przez głowę.

Nie mijał się z prawdą. Zawsze wychodził od niej ze słodkawym uczuciem jednoczesnej lekkości i niemocy. W drodze do domu zdawało mu się, że mógłby góry przenosić, a gdy przysiadł na kanapie w pokoju, momentalnie zamykały mu się oczy. Czuł się zmęczony, syty i tak zrelaksowany, że żadne zmartwienia nie miały do niego przystępu.

– To nie chodź do niej.

– Do kogo?

– Do dziennikarki. Tej, co się pobudowała pod lasem. Nie kuś diabła.

Świat jednak się nie zmienia. Na wsi niczego się nie ukryje. Walicki zazgrzytał zębami i starannie zasznurował buty. Wreszcie spytał:

– Która ci napytlowała? Ciotka Zawilcowa czy Tatarniukowa?

– Tereźka – przyznała z zażenowaniem.

– Oj klekotki, pleciugi. Nie bój nic. – Pochylił się i musnął wargami jej czoło. – Nie sądzę, żeby ta kobieta zamierzała się do mnie przystawiać.

– Akurat. Postawny chłop, która baba by się nie obejrzała?

– Co ty gładzisz? Widziałaś ją kiedy?

– Zdarzało się w sklepie. A ostatnio do kościoła przyszła. Na samą sumę.  
– Zauważyłaś, że to majątna, wykształcona osoba? W dodatku miastowa.  
Na co jej prostak, gołodupiec i kajdaniarz?  
– Jaki prostak? Maturę masz.  
– I co z tego? Szkoła jeść mi nigdy nie dała. Zawsze utrzymywałem się z pracy rąk. Mogę być dla tej kobiety ciekawostką przyrodniczą, a nie wybrankiem.  
– A co ona, księżna czy inna wielka pani?  
– Zarabia pisaniem, sama nazwałaś ją dziennikarką. Całe życie mieszkała w Krakowie.  
– To czemu już nie mieszka?  
Wzruszył ramionami i przycupnął na brzegu łóżka, wietrząc dłuższą wymianę zdań.  
– Nie zwierzała mi się. Pytała o moje doświadczenia z zakładu karnego i o to, jak sobie radzę z powrotem do społeczeństwa.  
– Po co?  
– Helcia, nie wnikałem. Po prostu starałem się zachowywać uprzejmie. Oliczko sugerował, bym jak najwięcej rozmawiał z ludźmi, nawiązywał relacje, a ona jest sympatyczna, nie patrzy na mnie krzywo jak co najmniej połowa Łapszanki, więc czemu miałbym się od niej opędzać?  
– Wsiadłeś do jej samochodu.  
– A ciebie nikt z sąsiadów nigdy nie podwiózł do kościoła albo do sklepu?  
– Ale ona jest bardzo ładna!  
No jasne, pomyślał. Czyli to cię najbardziej boli.  
– Tobie też niczego nie brakuje – rzekł ugodowo i przygarnął ją do siebie, by poprzez zapewnienie pocałunkiem. – Nie masz powodu do strachu. Zaszedłem do niej obejrzeć dom. To nie zdrada.  
– Odwiedziłeś ją?  
– Tak. Wspomniałem, że przed wyrokiem zajmowałem się remontami i wykończeniówką na budowach, sama wiesz, więc zapytała, czy bym nie zerknął na jej strych, całkiem nieurządzony.  
– I co dalej?  
Helena siedziała sztywno i aż dostała rumieńców, nie wiadomo, czy z niepokoju, czy z przejęcia. Kołdra zsunęła się nieco, ukazując wzgórki piersi. Stefana zaczęło kusić przerwanie tej niewygodnej rozmowy czymś bardziej konstruktywnym, a na pewno przyjemniejszym. Wyciągnął dłoń, by pogłaskać ramię kobiety, lecz tylko zmarszczyła czoło, zatem zeznawał

dalej, oprawiając opowieść w jak najwięcej szczegółów, by zwiększyć swoją wiarygodność.

– Zaproponowała kawę. Ekspres ma nowoczesny, taki wielki kloc. Zaparzyła czarną smołę w maciupkich filiżankach, dosłownie na dwa łyki. Wypiłem na raz i o mało nie dostałem palpacji. Upiornie mocna siekiera, mówię ci, prawie mnie ścięło z nóg. Jednak nic nie mówiłem, bo głupio tak u obcych wybrzydzać. Popiłem wodą. Na szczęście też ją podała w szklance. Już ja chyba wolę, jak ty mi neskę z mlekiem przyrządzasz. Bezpieczniej dla serca.

– To pewnie espresso było.

– Skąd wiesz?

– Z telewizji. Seriale oglądam i widzę, jak się ludzie stołują. Czyli ci się nie podobało? – upewniała się, pilnując, by nie brzmiało to zbyt błagalnie.

– Zależy co. Ten strych przyjemny, tylko całkiem surowy. I tu się zaczyna najlepsze. Zaproponowała mi pracę. Od jutra zaczynam i jej to piéterko wyrzuchuję.

Helena zbladła.

– Czyli będziesz u niej przesiadywał całe dni?

– A jak inaczej? Głupi bym był, gdybym odmówił. Ona potrzebuje dodatkowej przestrzeni od września, więc muszę się sprężyć. Ktoś wtedy przyjedzie, pewnie jej mąż, bo mówiła o nim „Misiaczek”. Skoro ma „Misiaczka”, to ty nie musisz panikować, nie?

– Zobaczymy – burknęła Hela, nie w pełni przekonana, i splotła ręce na piersi.

– Oliczko aż zaklaskał z uciechy. W kółko mnie dręczył o pracę. Musi sprawdzać, czy z czymś nie zawalam. Doniosłem mu od razu, żeby sobie zaznaczył i żeby się mnie nikt nie czepiał. Nie zamierzam wracać za kraty. Wolę się z tobą kochać. – Uniósł kąciki ust i zanurkował dłonią pod kołdrę, by pogłaskać szczupłe gładkie udo. – Powinnaś się cieszyć. Resocjalizuję się. Twój chłop będzie zarabiał. Kwiatki ci kupię albo wisiorek, zamiast przychodzić na krzywy ryj i cię objadać.

Zapał do powrotu pod kołdrę jakimś cudem z niego wyparował, zatem na chwilę jeszcze dorwał się do ust kochanki, by pozostawić po sobie jak najlepsze wrażenie, a potem wyszedł, zagwizdał na psa i razem wrócili do domu. Dżoczi runął pod biurko na koszulę Mrocza i zachrapał. Stefan siedział do późna przy stole i rozwiązywał krzyżówki. Wyjątkowo nie zbierało mu się na sen. Jego myśli krążyły wokół pierwszego zlecenia, które



otrzymał jako wolny człowiek. Nie mógł się już doczekać chwili, gdy weźmie się do roboty i poczuje, że ciągle jeszcze coś potrafi, że jest czegoś wart.

## 20.

Walicka od rozmowy z Jackiem czuła się niemal uskrzydłona. Roznosiła ją duma, że to zdarzenie, choć wyczerpujące psychicznie, nie wywołało w niej ataku paniki. Panowała nad sytuacją, a on musiał się podporządkować. Z pewnością planował to spotkanie zupełnie inaczej. Nie podejrzewał, że niegdyś tłamszona przezeń kobieta potrafi być stanowcza i doskonale sobie radzi bez niego. Może to dobrze, że chwilowo Bartek nie ma czasu, myślała. Może to mnie uratowało. Jeszcze kilka tygodni poruszania się po mieście wyłącznie pod jego opieką, a całkiem bym zdziczała. Złożenie w czyjeś ręce odpowiedzialności za swój los to kusząca, lecz ślepa uliczka, bo pozwala zdziocinnić, zniedołąźnić, zmaleć nawet we własnych oczach. Jacek także troszczył się o narzeczoną. Aż za bardzo, poza wszelkie granice rozsądku. Jak o swoją własność, którą można deptać lub hołubić, zależnie od kaprysu, którą się chce rozporządzać, a nie wspierać.

Bartek nie zachowywał się obsesyjnie zaborczo, za to wciąż izolował Adę od własnych problemów. Wpadał do niej o zaskakujących porach na kwadrans, na kilka gorących pocałunków i głębokich spojrzeń w oczy.

Jacek dzwonił kilkakrotnie i w kółko wysyłał esemesy z pytaniem, czy namyśliła się w sprawie zeznań w sądzie. Odpisała mu, by nie naciskał, bo ją tylko zniechęca, a potem cierpliwie usuwała kolejne wiadomości od niego.

Jej samopoczucie utrzymywało się na niezłym poziomie, brzuch zaokrąglił się tylko odrobinę, a ją samą wypełniała chęć działania. Pragnęła robić coś sensownego, co zagospodarowałyby jej czas, a przy okazji przyniosło jakąś korzyść. Postanowiła zatem zakończyć okres byczenia się na zwolnieniu lekarskim i na kilka miesięcy wrócić do pracy.

Rankiem kolejny raz obudziło ją natarczywe pukanie do drzwi. Gość zjawił się tuż po wschodzie słońca, niemal już tradycyjnie, i oznajmił wymownym szeptem:

– Hej, przyniosłem pomarańcze. Reflektujesz na cytrusowy nektar bogów?

– Dlaczego znów nie dotarliście do nas na kolację? – zaatakowała zamiast przywitania, ignorując czułe słówka. – Obiecywałeś.

– Przepraszam. Magdalena wróciła wcześniej...

– Trzeba było ją zabrać ze sobą. Przecież byśmy jej nie pogryzły. Co najwyżej Zoja dziobnęłaby ją w ucho do spótki z Czajkowskim.

– Musieliśmy omówić kilka rodzinnych spraw.

– A, rozumiem. Rodzinnych.

Bartek nie pokusił się o dodatkowe wyjaśnienia, więc i ona przełknęła kipiący w niej sarkazm. Nie chciała się kłócić ani niczego wymuszać na tym facecie, który pomógł jej wygrzebać się z bagna i jak się zdawało, na wyrost wyskoczył z deklaracją wspólnego życia.

Wyciskarka do soku narobiła tyle hałasu, że wyrwała ze snu papugę i starszą panią. Zapanował rozgardiasz wzmożony ptasią awanturą o smakołyki i muzykę. Po półgodzinie, na odchodnym mężczyzna pogłaskał brzuch dziewczyny, przeczesał palcami jej włosy i przywarł do jej ust, szepcząc:

– Dziś wieczorem nie nawalę. Przyjdę sam. Usiądziemy we dwoje i porozmawiamy. Muszę trochę przetasować nasze plany. Śmierć Borysa postawiła wszystko na głowie.

– Co masz na myśli? – spytała z niepokojem, bo wyobraźnia podpowiadała jej tylko dwa wyjaśnienia obecności dzikich lokatorów w mieszkaniu grafika. – Twoja bratowa choruje czy po prostu nie może się pozbierać i nie radzi sobie sama z dzieckiem?

– To całkiem inna kwestia. Opowiem ci na spokojnie, bo teraz czas mnie goni. I nie miej takiej miny. – Zaśmiał się i przejechał kciukiem wzdłuż jej podbródka. – Wypij sok, który ci przygotowałem. To najlepsza rzecz, jaką możesz dziś dla siebie zrobić, mała.

– Nie jestem mała! – warknęła, nagle rozzłoszczona, i pierwszy raz od tygodni nie pozwoliła się przytulić na pożegnanie.

Dosyć tego! Skoro musi, niech ją trzyma z dala od swoich rodzinnych spraw, ale nie będzie nią dyrygował! Może i ona powinna złapać dystans? Nie ma sensu wnosić do wspólnej przyszłości niewypranych brudów. Lepiej najpierw wszystko oczyścić, odplamić i wyklarować! Schowała sok do lodówki, bo nagle straciła na niego ochotę, i zjadła z panią Ludmiłą owsiankę na mleku. Po śniadaniu wskoczyła w ulubioną letnią sukienkę, pokusiła się o staranny makijaż i pod pretekstem spaceru wybrała do fundacji, by porozmawiać z szefową.

Prezes Danuta Marudowicz, zwana przez wszystkich Marudą, była niską, drobną i niezwykle energiczną kobietą w wieku zaawansowanym średnim. Sprawiała wrażenie, jakby nie istniały dla niej przeszkody i ograniczenia. Kochała wszystkich małych podopiecznych bez wyjątku, wolontariuszy i pracowników obdarzała szczerą sympatią, zaś raka, który na każdym kroku towarzyszył przyszpitalnej fundacji i należącej do niej szkole, zdawała się traktować jak wyzwanie, przejściowy kłopot do pokonania. Gościa przyjęła

niemal owacyjnie, częstując wszelkimi możliwymi napojami z wyjątkiem wyskokowych. Następnie wypytała o samopoczucie, zdradziła kilka najnowszych szpitalnych ploteczek, ale na chęć powrotu nauczycielki do pracy zareagowała rezerwą i ewidentnym zaskoczeniem.

– Zgrywasz się? Bo Bartek parę dni temu nie wyglądał, jakby walił bekę.

– A co zrobił?

– Generalnie mnie w bambuko.

– Czyli?

– Wydyszłował, oszwabił, wydymał... – Zagalopowała się i dopiero uniesione brwi Walickiej doprowadziły ją do sedna. – Zahaczył o mój gabinet po zajęciach z dziećmi i oznajmił, że przyszedł na autopodpierdolkę.

– Co to niby znaczy?

– Termosić na samego siebie.

– Zlituj się, Danko...

– No już, już – oświadczyła ugodowo Maruda. – Postanowił naskarżyć, no. Wiem, trącam żulernią. To wina Ludwiczka. W hospicjum miejsce Maćka zajął taki brawurowy nastolatek. Zaliczył kilka odsiadek w poprawczaku za juchty i nawet za dziesionę – wyjaśniała Danuta, a widząc, że Ada podejrzenie przewraca oczami, szybko dodała: – Kradł i pobił jakiegoś kolesia. Biedny dzieciak. Matkę ma zapitą, ojca zapchlonego wyrokowca... Ups, sorry. Nie bierz tego do siebie.

– Nie biorę. Mów dalej.

– I Ludwiczek całe życie samopas latał. W złe kręgi wpadł, jak w piosence. Do tego przyplątała się białaczką. Kiepsko z nim, ale wciąż chojrakuje. Polubiłam go, siedzę u niego, ile mogę, bo moje uszy zniosą wszystko, a co wrażliwsi wolontariusze wymiękają.

– Agresywny taki?

– Absolutnie nie, za to bluzgaty. Mnie to nawet bawi. Uczę się od niego slangu ulicy, potem trenuję, na kim się da. Dziś jesteś moją trzecią ofiarą.

– Super. Zawsze mnie zaskakujesz. A co z tym bambukiem?

– Bartek cię nie oświecił w temacie? Oj, nieładnie. Rzucił nas.

– Mnie i ciebie?

– Tereferę. Fundację. Chociaż nie, przesadzam. Stałą pracę w fundacji. Tę umowę na zastępstwo, co ją podpisał w styczniu za Majkę. Powiedział, że brakuje mu czasu i wraca do układu sprzed narodzin Stasia Lipskiego. Będzie odwiedzał dzieciaki raz w tygodniu jako wolontariusz. Potem dowalił, że ty nie zjawisz się w robocie znacznie dłużej niż Majka, a na

deser dosłodził, że już skołował chętne osoby na wasze miejsca. Przyniósł ich *curriculum vitae*. To się nazywa kompleksowe rozwiązanie problemów.

– Danka, ale ja właśnie chcę pracować! Choćby od jutra. Po to przyszedłam.

– Przecież to teraz bez sensu!

– Powiedział ci o dziecku? – Walicka osunęła się na oparcie krzesła, czując, że całkiem schodzi z niej powietrze. A tak się zapaliła do pomysłu...

– Do grudnia mogłabym uczyć. – Podjęła próbę walki. – Majka też przychodziła z wielkim bebzonem i uczniom to się nawet podobało.

– Kochana, przede wszystkim ci gratuluje. – Szefowa zerwała się i wyściskała Adę. – Wam! Wam gratuluje! O rany, jak cudownie! Tylko znalazłam się w kropce. Mam kosmiczny dylemat. Niby ciąża to nie choroba, a L4 to nie oblige, ale wczoraj spotkałam się z tymi jego kandydatkami i z marszu je zatrudniłam, bo całkiem kławe. Sama wiesz, że dobrego belfra do przyszpitalnej szkoły nie jest łatwo upolować, szczególnie przy tym, ile hajsowa mogą zapłacić. Oczywiście ty masz pierwszeństwo, więc jeśli się uprzesz, to jedną odprawię, ale nie sądzę, by czekała w gotowości do grudnia, więc...

– Rozumiem. Wycofuję ofertę – mruknęła Walicka. W nagłym pośpiechu wstała i zawiesiła torebkę na ramię, zbierając się do wyjścia.

– No weź się nie obrażaj. One popracują tu tylko przez moment. Za jakiś czas stawicie się na warcie razem z Majką i wszystko będzie po staremu. Bo ta ciąża to nie zgrywy?

– No przecież Bartek cię uświadomił...

– Skąd?! Nic mi nie pucnął. Znaczą farby nie puścił. To ty sama przed chwilą... Nawijał, że wciąż nie wróciłaś do stanu wyjściowego i że to potrwa. Namieszał jak w skisłym bigosie.

– W gruncie rzeczy nie nałgał. Skoro przyjechałaś już te dziewczyny, to niech zostaną. Wymyślę sobie inne rozrywki.

– Wpadajcie razem na wolontariat. Ludwiczek chętnie cię pozna.

– Naprawdę ma na imię Ludwik?

– Jak bonie dydy.

– Tęskniłam za tobą, Danko. I dalej będę tęskniła – podsumowała udobruchana Walicka. – A jak ci się układa z Łutkiewiczem? – zagadnęła na koniec, gdy przypomniawszy sobie aspiranta, który wiosną z ramienia policji rozpracowywał szajkę Korneckiego i przy tej okazji poderwał Marudę.

– Cudownie. Może nawet się z nim ohajtam na starość. Jeśli miałabym wskazać największy motywator życia, stawiałabym na miłość. Ale o czym ja

ględzę, ty to przecież wiesz.

– No... raczej – zgodziła się Ada i najserdeczniej, jak potrafiła, przytuliła szefową na pożegnanie.

Sama nie wiedziała, czemu ta oczywista sentencja o miłości wprawiła ją w niezły humor i uruchomiła pokłady optymizmu. Cała złość na Pilcha wyparowała. Przyznała uczciwie, że rozdzielał swoją uwagę, tak jak mógł, i nawet jeśli obecnie jej trafiały się wyłącznie ochłapy z jego stołu, smakowały wybornie i wciąż dawały nadzieję na cytrusowy gaj. Kiedy jechała zapchanym tramwajem, postanowiła utrwalić w sobie tę pozytywną postawę. W drodze przez osiedle zajrzała do sklepu obok bloku i wypatrzyła w przepastnej zamrażarce lody cytrynowe. Mam prawo do cytrusów, tłumaczyła się w duchu.

Pokonywała ocieniony drzewami chodnik, rozważając, jak bardzo prawdopodobne jest to, że pani Ludmiła zechce zaprawić swoją porcję zimnej słodyczy ulubioną wkładką. Nie potrafiła się nie uśmiechać na myśl o czterdziestoprocentowej słabości starszej pani. Nie ma sensu pozować na ideał. Inteligentny człowiek pozwala sobie na nieszkodliwe wady, z którymi nie walczy, bo wie, że dodają mu uroku.

Gdy szła wzdłuż bloku, na parking podjechała czerwona rozdeptana żaba i zatrzymała się w kącie przy śmietniku. Z wnętrza wyłonili się Tymek i jego matka. Otworzyła bagażnik, Bartek też wysiadł i sięgnął po torbę z zakupami. Na kostkę brukową wypadła paczka żelków. Walicka rozpoznała z daleka drobne czerwone serduszka i poczuła irracjonalne ukłucie zazdrości. Przecież to tylko słodycze. Zapewne należą do małego. Wszystkie dzieciaki lubią gumowe cukierki i większość rodziców temu ulega, choć zdrowsza byłaby garść suszonych owoców lub czekolada z orzechami.

Chłopiec oparł się plecami o karoserię nissana i pukał kciukami w ekran smartfona, nie zwracając uwagi na to, co się wokół niego dzieje. Magdalena schyliła się i podniosła opakowanie słodyczy. Następnie sięgnęła ręką w głąb auta i wydobyła butelkę wina, sałatę oraz spory pojemnik borówek. Bartek obserwował ją z rozchyłoną reklamówką, dzierżąc w każdej dłoni po jednym uchu. Kobieta włożyła doń zakupy i obdarzyła mężczyznę uśmiechem. Oparła się dłonią o męski tors, zgięła nogę w kolanie i zsunęła z niej sandał na wysokim koturnie, wypinając obleczony kremową sukienką tyłek. Wytrząsnęła drobny kamyczek i, wciąż wisząc na szwagrze, założyła but. Jakby nie mogła przytrzymać się samochodu, pomyślała z oburzeniem

Ada. Na koniec Magdalena zatrzasnęła bagażnik i wyjęła z zaciśniętych palców objuczonego Pilcha kluczyki. Zamknęła żabę, zawołała dziecko i ruszyli we troje do klatki schodowej. Zatopieni w głośnej rozmowie o tym, jak to dopiero co zakupione trampki już są na Tymka za małe, nie dostrzegli stojącej nieopodal postaci.

– Cudny widok – burknęła Ada pod nosem. – Rodzinka jak z obrazka.

Przebiegło jej przez głowę, że gdyby Borys żył, także nie zachwyciłby się tą idylliczną sceną, która nijak nie pasowała do rzeczywistości. Starszy z braci zniknął tak niedawno, że pamięć o nim nie zdążyła jeszcze porosnąć choćby odrobiną kurzu, zaś jej samej ani razu nie przyszło do głowy, by zwątpić w to, co łączyło ją z Bartkiem. Skoro pisał się na wychowywanie jej dziecka, musiała być jedyną kobietą, która go interesuje.

Noszą to samo nazwisko, mają prawo być sobie bliscy, a nawet się kochać, przekonywał ją głos rozsądku. To nie musi oznaczać niczego, o czym nie chciałyby słyszeć. Potrząsnęła głową i przetarła mokre od potu czoło. Trzeba się spieszyć, bo lody miękną. Hysteryczne reakcje i obsesyjne myśli to typowy efekt burzy hormonalnej. Nie wolno dać się zwariować. Może by pójść do nich i poczęstować lodami? Wyciągnie rękę, podzieli się, zjedzą wszyscy razem i rozpędzą demony. To doskonały pomysł. Kupiła tak wielkie pudło, że jeśli je wchłonie wyłącznie z pomocą pani Ludmiły, zawarty w nich cukier złośliwie pójdzie w tyłek, a nie w cycki.

## 21.

Magdalena uśmiechnęła się szeroko, odrzuciła do tyłu włosy i uniosła głowę znad leżącej na stole teczki z dokumentami.

– Zawieszenie władzy rodzicielskiej i ustanowienie opiekuna – oznajmiła z triumfem. – Pozwala na to któryś tam przepis kodeksu rodzinnego i opiekuńczego. Sto dziesiąty czy jakoś tak. Wymaga decyzji sądu, ale udało mi się załatwić termin w tempie turbo na jutro rano.

– Jakim cudem? – Bartek nie wiedział, czy mu ulżyło, czy zapobiegliwość i determinacja bratowej jeszcze bardziej go zdołowały.

– Po kumotersku. Nagłe osierocenie dziecka posłużyło jako dodatkowy argument. *Not relevant.*

– Cholera, nie wiedziałem, że to się da ograć w taki prosty sposób.

– Mnóstwo osób wyjeżdża za granicę do pracy, chorują albo odsiadują wyroki. Normalka, że prawo to reguluje. Nie jestem lekkomyślna. Gdyby się nie udało tak szybko, przebukowałabym bilet jeszcze raz. Nie zostawiłabym dziecka bez zabezpieczenia prawnego. Musisz mieć możliwość decydowania o jego sprawach w razie potrzeby w szkole czy u lekarza. Rok to nie tydzień.

– Liczyłem po cichu, że to cię zablokuje, nie będziesz miała wyboru i olejesz kangury.

– Wolałbyś, żebym została? Wzięłaś moje umizgi na poważnie? – spytała, znacząco poruszając brwiami i kusząco wypinając piersi. – Czy chcesz się wykręcić od opieki nad małym?

– Wykręciłbym się, gdyby cię to powstrzymało od zostawienia syna na tak długo.

– Nie dramatyzuj. Nie porzucam go na pastwę losu. Wiedziałam, że mi ulegniesz – mruknęła dwuznacznie, wstała i podeszła do otwartych drzwi balkonowych. Potoczyła wzrokiem po panoramie osiedla. Zielono, to fakt, ale blokowisko nadal zostanie tylko blokowiskiem. Żadne cudo. – W razie oporu zrobiłabym testy genetyczne. Własne dziecko głupio wystawić rufą do wiatru.

Bartek zamarł. Odłożył do zlewu talerze i podszedł do Magdaleny. Stał naprzeciwko niej i pozwolił, by ich oczy się spotkały.

– Jesteś pewna wyniku?

Wzruszyła ramionami, nie odwracając spojrzenia.

– Nie, ale sam pomyśl. Do kogo Tymek jest najbardziej podobny? Osobowość, rysy twarzy, w zasadzie wszystko...



– Do seniora Pilcha. Po tym, jak dziadek zjawił się na pogrzebie, nie mam wątpliwości. Skóra zdarta z niego.

– Nie żartuj. Wrócę w kolejne wakacje. – Spoważniała i wyszła na balkon, by zyskać trochę przestrzeni. – Alternatywnie ty go do mnie przywieziesz. Nie chciałbyś zwiedzić Australii? Do tego czasu zorganizuję jakieś godne lokum. Teraz czeka na mnie mikroskopijny pokoik w hoteliku pracowniczym przy klinice. Zero warunków dla dziesięciolatka. Nie znam tam nikogo, nie wiem, gdzie jest najbliższa szkoła, już pomijam to, że Tymek nie poradziłby sobie językowo. Załatwiłam mu od września konwersacje ze znajomym anglistą. Zadzwoń do ciebie. Tobie też zapisałam zamiary na niego. Są w teczce. – Machnęła ręką w stronę stołu. – Masz w niej wszystko. Kontakt do szkoły, lekarza, książeczkę szczepień, wypis ze szpitala, login i hasło do Librusa i tak dalej. Zresztą, będziemy w kontakcie. Kupiłam laptop dla Tymona, żeby nie dobierał się do twojego, ma też Skype’a w komórce. Nie jestem idiotką, Bartek. Nie odważyłabym się na ten krok, gdybym nie była pewna, że dacie sobie radę. Staniesz na wysokości zadania w znacznie lepszym stylu, niż zrobiłby to twój brat.

– Nie mów tak!

– Dlaczego? Przecież to prawda. I nie myśl o mnie jak o wyrodnej matce. Decydowałam się na wyjazd w zupełnie innej rzeczywistości. Postanowiłam zadbać o przyszłość zawodową, a przy okazji odetchnąć od martwego związku. Nadal czuję się po nim zmęczona. Muszę wziąć urlop od zobowiązań i znowu poczuć się sobą. Powinieneś to rozumieć, sam zawsze unikałeś układow, z których ciężko się wymiksować.

– Nie rozumiem – odparł rysownik szczerze. – Nie brać worka na plecy, a porzucić go w połowie drogi to nie to samo. Szkoda, że w swoich planach nie uwzględniłaś potrzeb syna...

– Uwzględniłam – weszła mu w słowo. – Zaopiekuje się nim ukochany stryjek.

– Ani moich.

– Przeszkodziłam ci w swobodnym posuwaniu laski z sąsiedztwa?

– Jesteś bezczelna.

– Nie możesz z tym trochę poczekać? Chociaż tyle, by Tymek oswoił się z sytuacją?

– Stop! Nic już nie mów, bo się zagalopujesz. Idę do łazienki, a potem do Ady. Dziś wieczorem zostajesz w domu. Wypadł ci dyżur przy dziecku.

Magdalena dumnie uniosła brodę, a gdy szwagier zniknął w przedpokoju, z lekką irytacją odkryła, że trzęsą jej się ręce. Zaczęła sprzątać kuchnię, pociągając nosem. Jej uwadze umknęło, że obok pojawił się syn. Drgnęła, gdy się odezwał:

– Mamo...

– Hm? Pewnie chciałbyś dostać ten laptop, o którym mówiłam stryjkowi?

– Jaki laptop?

– Nieważne. O co chodzi?

– Gdy byłaś młoda, to kochałaś się w tacie czy w stryjkę?

– Naoglądałaś się jakichś głupkowatych kreskówek?

– Nie. Po prostu mnie ciekawi, jak to możliwe, że nie wiesz, który z nich jest naprawdę moim tatą. – Temat należało zaliczyć do gatunku wybitnie niewygodnych i Magdalena zaczęła rozważać, jak by od niego uciec, dziesięć lat jednak nie odpuszczał. – Bo ja zgaduję, tylko nie wiem, czy dobrze.

– Czyli?

– Nie lubiałaś taty. Klóciliście się i spaliście w osobnych łóżkach. Jak tata Marcela spał w osobnym łóżku, to potem jego rodzice się rozwiedli. I wiesz co?

– No?

– Moim zdaniem ty wolisz stryjka. Gdyby nie było tej... Ady – machnął ręką w stronę drzwi – zostałaś w Polsce? Dla mnie nie, bo jestem tylko dzieckiem, ale dla niego...

– Ależ to zupełnie nie tak! – Osłupiałą matkę z opresji wyratował dzwonek do drzwi. Tylko jedna osoba mogła zjawić się tak niespodziewanie i bez użycia domofonu. Magdalena nie miała ochoty z nią rozmawiać choćby dlatego, że swoim istnieniem wywołała tę koszmarną wymianę zdań z łapiącym się brzytwy dzieckiem, któremu zdawało się, że tonie, bo rodzicielka kocha swój zawód i pragnie się w nim rozwijać. – Otwórz. Muszę się przebrać – poprosiła najśłodszym z możliwych tonów, po czym zamknęła się w sypialni.

Chłopiec posłusznie poszedł do drzwi, rozżalony, że umknęła mu okazja, by wypytać o wszystko do końca i może... może coś ugrać albo przynajmniej zrozumieć. Bał się, że jeśli matka faktycznie wyjedzie, świat zawali się całkowicie i nie zostanie na nim nic poza smutkiem. Odsunął rygiel i nieco zbyt energicznie szarpnął drzwi, by spalić podczas tej czynności choć odrobinę swojego gniewu. Na progu stała ta baba, jak

ostatnio zwykł myśleć o Adzie. Zmarszczył czoło i momentalnie skierował niechęć na nią. To jej wina. Bez niej udałoby się zatrzymać mamę, bo skoro podoba jej się stryjek... A musi się jej podobać. Dorośli myślą, że chłopcy w jego wieku są jeszcze całkiem dziecinni, ale Tymek rozumie doskonale, co to oznacza, że nie wiadomo, kto naprawdę jest jego tatą. Obaj Pilchowie musieli robić z mamą to, co jest całkiem obrzydliwe, ale – tu nie miał wątpliwości – konieczne, by urodził się nowy człowiek. Nie mieściło mu się w głowie, że mama z jednym i drugim... Brrr...

– Dzień dobry. Chciałabym zaprosić was na lody – powiedziała ta baba. – Zawołasz stryjka?

– Nie – odparł hardo. – On teraz nie chce z panią rozmawiać.

– Skąd wiesz? Poza tym nie musisz mówić do mnie „pani”. Znasz moje imię.

Chłopiec postanowił zlekceważyć tę kwestię i skupić się na próbie wendety.

– Zamknęli się w łazience. Rozmawiają o tym, że mają z panią kłopot. Puścili wodę, żebym nie słyszał. Sprytnie, nie?

Walicka wytrzeszczyła oczy i oparła się dłonią o framugę. Tymek trzymał lekko uchylone drzwi, a minę miał tak zaciętą, jakby był gotów do walki wręcz, gdyby niechciany gość zdecydował się na niego zaszarżować, by wtargnąć do mieszkania.

– A cóż ja takiego zrobiłam?

Wzruszył ramionami, żeby sobie nie myślała, że go obchodzi ona i jej sprawy. Odpowiedział jednak chętnie, bo dostrzegł szansę na zatrzymanie mamy w kraju. Zostały ostatnie dni do odlotu i nie zamierzał składać broni. Jego prośby, szloch i szantaże nie dawały niczego poza ciężką atmosferą. Od kiedy zbudził się którejs nocy i zobaczył, jak mama w kuchni pocałowała stryjka, uczepił się myśli o uczuciach między nimi. Stryjek co prawda nie wyglądał na zadowolonego, ale Tymek swoje wiedział. Te testy, którym poddał się z tatą, nie wzięły się znikąd. Przypomniawszy sobie o kopercie, która ostatnie dni przeleżała zapomniana w jego plecaku, zanotował w pamięci, by wreszcie się z nią zapoznać, i zmobilizował się do wygłoszenia możliwie wiarygodnej historii, choć tylko szcątkowo opartej na faktach.

– To pani nie wie, że oni byli parą? Nie mam pojęcia, jak to się stało, że to tata się z mamą ożenił, a nie stryjek. To jest całkiem, całkiem porypane. –

Teatralnie złapał się za głowę i pokręcił nią na wszystkie strony, by podkreślić, do jakiego stopnia nie pojmuje decyzji dorosłych.

– Tak się zdarza...

– No. Niedawno zrobiliśmy badania. W całym ciele jest taki kwas. Coś z rybami. Zaraz pani powiem. – Wyciągnął komórkę, przez chwilę w niej grzebał i wreszcie przesyłabizował z wysiłkiem: – De-zo-ksy-ry-bo-nu-kle-i-no-wy.

– DNA – odpowiedziała z nauczycielskiego przyzwyczajenia. Kilka tygodni zwolnienia lekarskiego nie wytłumiło odruchów. – Materiał genetyczny.

– Tak. Zawsze mi mówili, że wyglądam jak stryjek, ale zdziwiłem się, że tak naprawdę to on jest moim tatą. Całkiem nie wiem, co o tym myśleć.

– Jesteś synem Bartka?

– No. W życiu na pierwszym miejscu trzeba stawiać rodzinę. Przeczytałem o tym w *Skrzydłach*. Wszyscy Pilchowie tak uważają. I tak naprawdę pani nam tylko przeszkadza. Przykro mi, że tata umarł, ale stryjek jest dla mnie dobry. Marzę o tym, żeby mieć dwoje rodziców razem. W dodatku takich, co się kochają, a nie jak dotąd.

Do tej baby chyba wreszcie dotarła chaotyczna treść, bo stała bez słowa, jakby w nią miotnął zaklęciem zamrażającym. Zza pleców Tymka wyłoniła się mama, wiążąc na sobie w pośpiechu pasek kusego szlafroka.

– Bartek bierze prysznic. Powiem mu, że nas odwiedziłaś – oznajmiła, kładąc szczególny nacisk na przedostatnie słowo. – Wzburzyła palcami włosy i dodała: – Przepraszam, ale nie chcę stać półnaga w drzwiach, bo jeszcze zobaczy mnie ktoś niepowołany. – Zachichotała sztucznie. – Tymon, zamknij.

Gość już się nie odezwał. Odszedł, zanim zadowolony chłopiec zdążył zasunąć rygiel.

## 22.

W głowie Ady kłębiło się niedowierzenie i tak silny wewnętrzny sprzeciw, że musiała go z siebie wytrząsnąć, wytrześć, choćby siłą, gdyby zamierzał stawiać opór. Wpadła do mieszkania pani Ludmiły, chwyciła torebkę, wrzuciła do niej klucze oraz komórkę, i ulotniła się, zanim staruszka zauważyła jej obecność. Ruszyła na spacer wzdłuż Maratońskiej, licząc po drodze mijające ją auta, byle tylko zatrzeć w głowie obrazy rodziny wracającej z zakupów, chłopca o smutnych, zagubionych oczach, niezwykle podobnego do Bartka, i ten trzeci, którego nie widziała, a który wyobraźnia podsuwała jej najbardziej natrętnie: z Magdaleną całującą byłego kochanka. Czy na pewno byłego? Dzieciak walczy o uwagę stryjka i gada bzdury, próbowała dojść do głosu ta część jej duszy, która ponad wszystko ufała Pilchowi. A ta kobieta... Przeżywa żałobę, cierpi, nawet jeśli pozornie tego nie widać. Ma prawo zachowywać się irracjonalnie. Ale czy aż tak?

Minęła Centrum Handlowe Retkinia, szereg bloków i parkingów, przecięła ulicę Armii Krajowej i zbliżała się do Popiełuszki, wciąż nie zwalnając kroku. Nie potrafiła wykrzesać z siebie żadnej logicznej konkluzji. Co robić i jak z nim rozmawiać? Obrazić się, unieść honorem, zatrzasnąć mu drzwi przed nosem czy udawać, że nic się nie stało? A może walczyć?

Tymek powiedział niezwykle dojrzałą rzecz, która coraz wyraźniej wybijała się Walickiej na pierwszy plan: „W życiu na pierwszym miejscu trzeba stawiać rodzinę”. A ona nie odwiedziła matki od niemal trzech miesięcy. Od kiedy poznała prawdę o łapszańskiej zbrodni, obiecywała też sobie nawiązać kontakt z ojcem. Nie było szans, by wyłuskała z pamięci stosowny adres, choć podjęła kilka nieskutecznych prób. Istnieją jednak inne sposoby. Może pojechać do Heleny Zawadowicz i wydębić potrzebne dane. Przez telefon byłoby niezręcznie, skoro tygodniami odrzucała od niej połączenia. Twarzą w twarz jakoś wyjaśni zerwanie zaręczyn, by zaledwie nie ranić kobiety. Ona niczemu nie zawiniła. Tak. To najlepsze rozwiązanie. Wybierze się do Krakowa, a potem zajrzy w rodzinne strony. Złapie dystans, uspokoi się, a Bartkowi da luz, by opanował chaos w swoim życiu. Albo spełnił marzenie Tymka i związał się z jego matką... Nie zamierzała go prosić ani przekonywać do siebie. Nie da się zmusić nikogo do miłości, a poniżania doświadczyła już w życiu dość. Lepiej zdobyć się na cierpliwość

i spokojnie poczekać. Niczego nie wiadomo na sto procent, zatem głupotą byłoby ferować w ciemno wyroki. Rozsądek ponad wszystko.

Decyzja umocniła się w Adzie, gdy zza kępy krzaków wyrzął budynek komisum samochodowego. W oczach wyświlił jej się przelew od Jacka, który zasilił jej konto i gniół ją jak uciążliwy balast. Wzdrygnęła się na myśl o trudach podróży w upale przez pół Polski komunikacją publiczną. Sobie mogłaby zafundować ten horror, ale dziecku?

Pogłaskała się po brzuchu, zajrzała do torebki i sprawdziła na smartfonie, czy saldo konta jej się nie przywidziało. Przy okazji dostrzegła trzy esemesy od Zawadowicza. Usunęła je bez czytania. W saszetce z dokumentami znalazła rzadko używane prawo jazdy. Może była niedzielnym kierowcą, ale nie bała się ruchu na drodze i wierzyła w swoje umiejętności. Bez wahania pokonała zapełniony autami parking i pchnęła szklane drzwi komisum. Zimny powiew z wnętrza przyniósł jej taką ulgę, że ostatnie wątpliwości zniknęły. Rubikon przekroczone. Odjedzie stąd jakimś przyjemnym i niedrogim wehikułem z klimatyzacją i pięciorgiem drzwi, by w przyszłości wygodnie umieszczać w środku fotelik dla dziecka.

Mężczyzna, który ją obsługiwał, wydał jej się nadmiernie uprzejmy i wygadany, co niespecjalnie dziwiło. Poza tym młody i bardzo przystojny mimo widocznej diastemy. Postanowiła nie zwracać na ten detal uwagi, bo to nie jej problem, tylko tego człowieka i ewentualnie jego dentysty. Wysłuchał oczekiwań klientki, podumał i oprowadził ją po rozległym parkingu, prezentując corsę, clio oraz golfa, wszystkie w kolorze zgniłej zieleni. Z marszu poczuła się ogłupiona nadmiarem i już się łamała, czy by nie zadzwonić po wsparcie i radę, lecz szybko się zreflektowała. Bartek zajęty rodziną, Tomasz Lipski na Bałkanach, a ona jest przecież dorosła. Podoła wyzwaniu!

Wybór nie przychodził łatwo i facet ze szparą między zębami zaczął się już niecierpliwić. Nagle serce Ady zabiło mocniej, gdy dostrzegła kątem oka małe wiśniowe чудо. Zwróciła nań uwagę wyłącznie przez barwę karoserii, identyczną z nissanem Bartka. Zlekceważyła irracjonalność własnych motoryzacyjnych preferencji, obejrzała samochód ze wszystkich stron, posiedziała za kierownicą i uśmiechnęła się do naklejki nad tylnym zderzakiem niosącej filozoficzne motto: „Samochodu nie można traktować jak żyjącej istoty. Samochód potrzebuje miłości”.

– Dobrze – skomentowała z uciechą. – Ciekawe, kto to wymyślił: cynik czy pasjonat.

- Walter Röhrl – odparł sprzedawca.
- Nie znam.
- Rajdowy mistrz świata z Ratzbony.
- Sporo pan wie. Brawo. Podoba mi się ten tekst. Auto też.
- Ale ono ma tylko troje drzwi. – Próbował ostudzić jej zapał.
- Sprawne jest?
- Tak.
- Da radę zawieźć mnie jutro do Krakowa, a potem w góry?
- Do Zakopanego?
- Niekoniecznie. Od Białki Tatrzańskiej, na wschód.
- Da – potwierdził, błyskając diastemą.
- A do Zakopca nie? – Zdziwiła się, przenosząc wzrok z karoserii na rozmówcę.
- Tam też. Spytałem, bo mam rodzinę w Falsztynie.
- To my prawie krajanie! – Zachwyciła się szczerze. – W takim razie ufam, że mi pan uczciwie doradzi i uwzględni godny rabacik. Zakochałam się w tym maleństwie, ale pan powie: warto go brać?
- Warto. Silnik żyłeta. Niemiec płakał...
- Ten argument trąca myszką, może pan sobie darować. Proszę elegancko zapakować i obwiązać wstążeczką.

Mężczyzna zamarł skonsternowany. Chwilę mu zajęło, zanim się zorientował, że kobieta żartuje. Była podekscytowana, to rozumiał. Wielu klientów przeżywało zakup samochodu, zwłaszcza tak spontaniczny. Pod skórą jednak wyczuwał u niej silne napięcie, jakby zdenerwowanie i dziwny smutek. Nie pytał dlaczego, nie wnikał w szczegóły. Z czystej sympatii dla ziemi przodków spuścił jej z ceny maksymalnie, ile mógł, i dołożył komplet zimowych opon. Na koniec rzucił przyjaźnie:

- Proszę jechać ostrożnie i pozdrowić ode mnie spiskie krajobrazy.

Terminal przyjął płatność, sprzedawca wsunął dokumenty w elegancką teczkę i pół godziny później wiśniowy mini cooper wytoczył się na Maratońską. Ada bez problemu włączyła się do ruchu i pokonała drogę powrotną. Nieco więcej czasu zajęło jej znalezienie miejsca postojowego pod blokiem, ale i z tym sobie poradziła. Rozpierała ją duma i nagle wykwitła pewność siebie. Pierwszy raz w życiu samodzielnie dokonała zakupu na kwotę swoich półrocznych zarobków w fundacji i zaplanowała samotny wjazd. Uwierzyła, że sprosta wszelkim wyzwaniom.

Bała się konfrontacji z Bartkiem, lecz wiedziała, że bez niej nie wyjedzie. To byłoby zwyczajną szczeniacką rejteradą. Liczyła, że zdąży przedtem ochłonać, zjeść lody i spakować walizkę, ale nie było jej to dane. W mieszkaniu panowała cisza, jeśli nie liczyć łopotu ptasich skrzydeł, który przywitał ją w przedpokoju.

– *Brrrodjaga! Brrrodjaga!* – zaanonsowała ją Zoja.

Czajkowski musiał dostać wychodne. Zamiast Ludmiły w progu salonu zmaterializował się rysownik. Oparł dłoń o framugę, po czym zapytał ciepłym głosem:

– Ma rację. Gdzieś była, powsinogo?

– Na zakupach.

Zza pleców Pilcha wyrzała staruszka i poklepała go po ramieniu.

– Chyba zlegnę, bo coś mi się w głowie kręci.

– Źle się pani czuje? – zaniepokoiła się Walicka.

– Dokuczają mi poważny niedosyt. Ten twój absztyfikant nie chce się ze mną napić. Naciskałabym mocniej, ale sztywny i ponury jak przepisy w ciemnych czasach prohibicji.

Ada zakłęta w duchu i umknęła do toalety, by się choć trochę odświeżyć po galopadzie na rozgrzanej patelni. Zbyt nie mogła jednak zwlekać, bo czuła, że wybuchnie, jeśli nie weźmie byka za rogi. Bartka znalazła w swojej sypialni, przy oknie. Trzymał dwie szklanki z sokiem pomarańczowym. Jedną od razu jej podał.

– Tymek to jeszcze dzieciak. Nie umie trzymać języka za zębami. Wyśpiewał mi wszystko, co ci nagadał – oznajmił bez ogródek.

– To bez znaczenia. – Przysiadła na łóżku i upiła łyk ze szklanki. – Liczy się prawda i to, co ty masz do powiedzenia, o ile to w miarę zbieżne opowiadki.

– Nie będę cię okłamywał.

– Czy twój bratanek jest *de facto* twoim synem? – zaatakowała z grubej rury i natychmiast dodała z ironią: – Rany, brzmi jak telenowela.

– Nie wiem, ale nie mogę tego wykluczyć.

– Twierdzi, że wykonaliście testy genetyczne.

– Pierwsze słyszę. Nie brałem w tym udziału. Historia między jego matką a mną należy do cyklu „dawno i nieprawda”.

– Podobno cię całowała i on to widział.

– Próbowała, ale raczej nie z miłości.

– To po co?



– Może dla hecy? Nie korci mnie zgłębianie jej aberracji umysłowych. Mamy ważniejsze sprawy do omówienia. – Podeszedł i przysiadł obok niej.

– Jak choćby?

– Tuż przed śmiercią Borysa Magdalena podpisała umowę na roczny staż w klinice w Melbourne. Zamierzała zostawić syna pod opieką ojca.

Ada z zaskoczeniem uniosła brwi, nie chciała jednak komentować decyzji innej matki. W końcu sama o macierzyństwie wiedziała jeszcze niewiele.

– To chyba nieaktualne?

– W tym problem, że nie. Wyjedzie. Wygadywała różne bzdury, że zawiezie małego do swojego ojca, kombinowała, jak mogła, próbowała mnie brać na litość i na moje poczucie obowiązku wobec Tymka.

– I?

– Podjąłem decyzję z gatunku takich, które niekoniecznie się człowiekowi podobają, ale które nie podlegają dyskusji. Uznałem, że chłopak najlepiej zniesie rozstanie z matką, zostając na ten rok ze mną. Co ja mówię... Z nami, bo przecież się do mnie wprowadzisz. Potem znów przejmie go Magdalena. Wiem, obiecywałem ci co innego, ale to nas nie złamie, nie? Jeśli na starcie wpada pod nasze skrzydła naraz dwoje dzieci, potem przetrwamy wszystko.

Walicka strząsnęła z siebie zdumienie. Nie zamierzała odpuszczać. Wyciągnęła na wierzch to, co ją najbardziej zabolalo w tej sprawie.

– Czyli zdecydowałeś sam, ale mieszkać chciałbyś we troje?

Bartek na moment zbaraniał i spojrzał na nią z popłochem w oczach.

– Cholera – mruknął. – Zrozum, ja kocham Tymka. On jest w moim życiu i już. Przepraszam.

– Za co?

– Za brak uwagi i czasu... – zaczął niepewnie.

– Przecież nie o to chodzi.

– Za ten pocałunek Magdaleny? Za to, że nie spytałem cię o zgodę? – strzelał.

– Pudło.

– Przysługuje mi koło ratunkowe?

– Bartek, zrobiłeś to bez uzgodnienia ze mną. Nie widzisz, że to nie fair? Nie mogłam spytać cię o zdanie w sprawie ciąży, bo sama też nie miałam nic do powiedzenia, ale twoja sytuacja była bardziej komfortowa. Wybrałeś rozwiązanie, które uznałeś za najwłaściwsze. Wybrałeś! Rozumiesz? Ja nie dostąpiłam tego zaszczytu.

Pilch zerwał się na nogi, dopadł do okna i zerknął na czerwieniejące na zachodzie niebo.

– Jak tak to teraz przedstawiasz... Nie pomyślałem.

– Brawo ty – syknęła z wyraźnym jadem w głosie.

Wrócił do kanapy i kucnął przy dziewczynie, biorąc ją za rękę.

– Dotąd zawsze działałem w pojedynkę, pomijając *Skrzydła*. Nie wyrobiłem w sobie nawyku... Obiecuję nad tym popracować. Nie gniewaj się, mała.

– Nie jestem mała! – Spojrzała na niego bykiem.

– Chociaż raz mogłabyś ustąpić – zamruczał przymilnie i zniecka ją pocałował.

Ależ jej się to podobało. Rozpływała się pod byle dotykiem jego dłoni. Jeśli tak wygląda miłość, to to, co czuła niegdyś przy Jacku, było tylko karykaturą, podstępny szwindlem losu. Najchętniej poddałaby się uczuciom i zwyczajnie zaufała instynktowi, lecz rozum jej podpowiadał, że jeśli teraz ustąpi, jutro nic się nie zmieni.

– Ona naprawdę leci bez syna? Kiedy? – Zdecydowanym głosem przerwała dalsze umizgi i zmusiła rysownika, by się odsunął. Poddał się niemal potulnie i przysiadł w foteliku naprzeciwko niej.

– Pojutrze, dziesiątego sierpnia. On bardzo to przeżywa. Wyczerpałem wszystkie sposoby, by ją zatrzymać, z wyjątkiem podrywu. Tego się nie podejmę nawet dla Tymka.

Życie zafundowało mu pata, pomyślała, wnikliwie przyglądając się twarzy Bartka. Nie zdołałby wypiąć się na dziecko, które niemal jednocześnie straciło oparcie w dwojgu rodzicach. To cały on i właśnie za to go pokochała.

– Dlaczego się wymiksowałeś z pracy w fundacji?

– Maruda doniosła? – Zacmokał, udając oburzenie. – Płociuch. Nie zdążyłem ci powiedzieć. Zwyczajnie nie wyrabiałem. Nie mam kiedy spać. W dzień dziecko, nocą kończę komiks, a spadła na mnie podwójna robota, moja i Borysa. Na jakimś froncie musiałem odpuścić. Żałuję, że tak długo zwlekałem.

– Dobra, złapałam *clou*. Teraz ja ci coś wyznam. Energiczne działanie dobrze mi robi. – Podniosła się i złapała pod boki. – Uaktywniłam się, nabrałam sił i podjęłam parę decyzji. Uczciwie ci powiem, że ostatnie dni to nie był stracony czas.

– Czyli nie brakowało ci mnie?

– To nie tak. Pomocna dłoń to coś bezcennego, ale stanąć na nogach i tak trzeba samemu. Nikt tego za człowieka nie robi. Musimy iść w tym kierunku. Zajmij się swoimi sprawami, poukładaj je, połataj, odpocznij. Nie będę ci przeszkadzać i zrobię mniej więcej to samo.

Pilch wyprostował plecy i stanął naprzeciwko niej, by zajrzeć w zielone oczy dziewczyny.

– Nie chcesz mnie widzieć, mam się odwalić, tak? – spytał z obawą.

– Nie – zaprzeczyła gwałtownie. – Odwiedzę mamę, a potem zajrzę do Łapszanki. Mam tam do załatwienia niezamkniętą sprawę.

– Z Jackiem?

– Z jego matką. Szukam dojścia do ojca, a ona może mi w tym pomóc. Myślę, że to właściwy czas.

– Zaczekaj kilka dni. Pojedziemy z Tymkiem we troje.

– Nie. Potrzebuję dystansu. Muszę uspokoić się od środka. A ty spróbuj go przekonać, że nie jestem jego wrogiem i nic przeze mnie nie traci.

Pilch zacisnął zęby. Szlag! Jeszcze to!

– Przekonam, gdy Magdalena zniknie. Teraz niewiele do niego dociera.

– Rozumiem – przyznała, uśmiechając się lekko.

– To nie jest zakończenie czegoś, co się na dobre nie zaczęło? Nie rozstajemy się, tylko na trochę dajesz nogę? – upewniał się, otaczając dłońmi jej policzki.

– No jasne. Żadnych rozstań. Przecież mi obiecałeś cytrusowy gaj.

– I tylko tym trzymam cię w szachu?

– Się wydało. – Wzruszyła ramionami, wyswobodziła się z jego rąk, wstała i wywlekła zza łóżka wielką walizkę. – Spakuję się migiem. Kupiłam dziś mini coopera.

– Naprawdę?

– Ehe. Urzekł mnie, bo ma identyczny kolor jak twoja żaba. Jestem nieuleczalnie zabujaną wariatką.

Bartek poczuł, jak nieznośne, niemal bolesne napięcie nagle z niego ulatuje, jakby słowa Ady przekłuły wypełniający go balon. Dopadł do niej, objął ją i zanurzył twarz w jej włosach, przeczesując je palcami.

– Kiedy wrócisz?

– Za kilka dni. Dłużej bez ciebie nie wytrzymam.

– Dostaniesz te swoje cytrusy, przysięgam – wyszeptał prosto w jej usta.

Potem długo ją całował, choć nie pozwolił na to, by brała w nim górę namiętność. Nie próbował jej zatrzymać, skupiając się na tym, by

pragnęła jak najszybciej wrócić. Jakiś czas później uchylili drzwi pokoju. Gołębiewska odskoczyła jak oparzona od dziurki od klucza, próbując mydląc im oczy czyszczeniem wiszącego obok lustra.

– Nałóży nam pani lodów, wypijemy po kielonku i zapomnimy, że pani znowu nas podglądała – zaproponował Pilch, a Walicka skwapliwie przytaknęła.

– *Kucha debilov!* – skomentowała Zoja, dalej spacerując po podłodze i stukając pazurkami w panele.

## 23.

Na strych prowadziły wąskie, strome schody. Oplatały z trzech stron komin na środku salonu, pozostawiając czwartą dla celów reprezentacyjnych i grzewczych. Stefan bez trudu potrafił sobie wyobrazić, jak w jesienne i zimowe wieczory ogień przyjemnie trzeszczy tu w kominku i pozwala cieszyć sobą oczy przez panoramiczną szybę.

– No chodź – nawoływała z góry Julia Stanik. – Co się tak guzdrzesz?

Zacmokał na psa i powoli wspiał się po stopniach zachwycony jakością ich wykonania. Cieszył się pierwszym dniem pracy, a jednocześnie nie potrafił pozbyć obaw, czy nie zawiedzie. Przez dwadzieścia lat zmieniły się materiały, narzędzia i moda. Dom, w którym się znajdował, nie zdążył jeszcze zgubić zapachu nowości i onieśmielał nawet nie tyle przepychem, co luksusową skromnością. Minimalistycznie urządzone wnętrza nie miały w sobie nic zbędnego, a wszystko, co się w nich znalazło, wyglądało na produkty z najwyższej półki. Jak się wpisać w ten klimat i niczego w nim nie spartolić?

Strych zajmował znacznie mniejszą powierzchnię niż parter. Był wąski, o proporcjach przerośniętego tramwaju. Składał się z niewielkiego korytarza, pomieszczenia przeznaczonego na łazienkę i dwóch pokoi w amfiladzie. Prowadziły z nich oszklone drzwi na wspólny taras tak obszerny, że na upartego można by na nim tańczyć, nawet w kilka par. Doprowadzono na górę prąd i wodę, lecz wnętrza ziały pustką, gołe ściany krzyczały o farbę, a powierzchnia pod stopami o parkiet lub terakotę.

– Zastanawiałaś się, jak to urządzić? – spytał mężczyzna niepewnie, stając obok dziennikarki w większym z pokoi.

– Jasne. Mam szczegółowy projekt zagospodarowania od zawodowego dekoratora. Niestety skończyło się na wykończeniu parteru. Przez ostatnie dwa lata mi to nie przeszkadzało, bo mieszkałam tu sama, teraz jednak robi się za ciasno. Na dole jest tylko jedna sypialnia, idealna dla Misiaczka. Ja się zaszyję tutaj.

Walickiego zaciekało, kim jest ów Misiaczek, skoro ona nie zamierza dzielić z nim łoża. Dotąd zakładał, najwyraźniej naiwnie, że to mąż. Źle. Postać przynależnego do Julii faceta ucięłaby niepotrzebne dyskusje z Helą i ewentualne plotki we wsi na temat tego, jakich usług potrzebuje dziennikarka od kryminalisty na warunkowym zwolnieniu. Ludzie nie mają litości. Już teraz patrzą na niego krzywo. Zdarzyło się parę razy, że chłopcy się narąbały i przyszły szturmem pod dom wyrzaskiwać pijackie obelgi

oraz sugerować mieszaniną gwary z wulgaryzmami, by Stefan wyniósł się, gdzie pieprz rośnie. Najlepiej na niziny, bo i w Rabce byłoby dla nich za blisko. Wciąż huczało mu w uszach zasłyszane poprzedniego wieczoru: „Spierdalaj, weredo, zbóju, kajsik prec i nie waz się wracać. Nie kcemy cię we wsi, duso zatracono. Tfu!”. Siedział w kuchni przy stole i próbował skupić się na rozwiązywaniu krzyżówek, byle tylko nie reagować na zaczepki ani nie dać się sprowokować. Dżoczi najpierw ujadał zaciekle przy drzwiach, ale w końcu machnął łapą na agresorów, szczególnie że pomstowali z drogi i nie pchali się na podwórko. Przysiadł obok Walickiego i z rezygnacją położył mu pysk na kolanie, aby choć w ten sposób dodać mu otuchy. Zadziałało. Mężczyzna kolejny raz musiał przyznać, że na przygarnięciu przybłądy skorzystał nie mniej niż samo zwierzę.

– Od czego zaczniemy? – zagadnął.

Zacmokał. Dżoczi natychmiast znalazł się obok i łąsił do nóg. Gospodyni nie miała nic przeciwko, by zabierał z sobą pupila do pracy, byle sprzątał po nim ślady ewentualnych defekacji w ogródku.

– Od tego, że twój pomocnik jest wyjątkowo poczciwy. – Uśmiechnęła się szeroko, kucnęła i podrapała mieszańca za uchem. Stefan mimowolnie zafilował w dekolt jej bluzki kuszący czarną koronką biustonosza. –

Przygarnę sobie podobnego kumpla. Zrobię Misiaczkowi niespodziankę. Najbliższe schronisko jest w Nowym Targu. Pojechałbyś ze mną?

– Czemu nie? Dziś?

– Dopiero gdy skończymy ze strychem. Teraz mamy ważniejsze sprawy. Przyniosłeś miarkę?

– Tak. I starą skrzynkę roboczą. Ale w kwestii wyposażenia na pewno nie mogę się równać z profesjonalną ekipą remontową.

– Tym się nie przejmuj. Zejdziemy na kawę i pokażę ci plany. Zrobię cappuccino, bo chyba poprzednia ci nie smakowała – dodała, a on poczuł się przyłapany, jakby dopuścił się czegoś wstydliwego. – Opowiem ci, jak to sobie wyobrażam, pomogę wymierzyć i na nowo przeliczyć materiały, bo odrobinę zmieniła mi się pierwotna koncepcja, a potem pojedziemy do marketu budowlanego na zakupy.

– Razem?

– No. Myślę, że tak będzie najlepiej. Ja wiem, czego chcę, a ty wiesz, co mi jest potrzebne. Poza tym tylko ja mam samochód.

Poczuł się głupio, chociaż nie miał powodu. Zdawała sobie sprawę z tego, że jej oferta stanowi dla niego pierwszy skok na trampolinie

postpenitencjarnej kariery zawodowej i nie dorobił się jeszcze auta, a raczej nie wchodziło w grę wożenie autobusem dziesiątek kilogramów materiałów. Powinien przestać patrzeć na nią jak na kogoś lepszego od siebie. Stanowczo, szczególnie że ona traktowała go po partnersku, jak znajomego albo nawet kolegę. Powtarzał to sobie raz za razem, schodząc za nią po schodach i obserwując, jak kasztanowe kosmyki podskakują rażno na jej plecach.

Kawa tym razem smakowała wybornie. Pili ją przy okrągłym stole w salonie, pochylając się nad dokumentami. Kilkakrotnie przypadkiem zetknęły się ich palce, raz na jego dłoń zsunęły się jej włosy, które co chwilę odrzucała na plecy, jakby zapomniała, że da się je zwyczajnie związać. Szeroką fiołkową frotkę miała naciągniętą na nadgarstek i w każdej chwili mogła z niej skorzystać. Wzdłuż kręgosłupa mężczyzny przebiegał przyjemny dreszcz za każdym razem, gdy go dotykała. Płoszyło go to i zarazem rozaniało.

Odprowadził Dżoczego na swoje podwórko i usiłował przekupić wędzoną kością. Nie zadziało. Wsiadł do škody kamią przy akompaniamencie rozpaczliwego szczekania i skomlenia. Wycieczka do Mrówki w Bukowinie okazała się niemal przygodą. Stefan skusił się na zakup miniaturowego drzewka mandarynkowego w ozdobnej doniczce. Zaczynało właśnie owocować kilkoma pomarańczowymi kulkami i przyjemnie skojarzyło mu się z Adą, która od najmłodszych lat przejawiała słabość do cytrusów.

Na wózek z zakupami Julii zerkał w osłupieniu. Nie przypominał sobie, by kiedykolwiek w życiu nabył naraz tak wiele rzeczy i wydał tyle tysięcy. Tymczasem na niej zdawało się to nie robić wielkiego wrażenia. Ciekawe, czy dorobiła się majątku własną pracą, czy może odziedziczyła go po przodkach? Niby to żadna różnica, a pieniądze nie determinują wartości człowieka, lecz z pewnością wpływają na kształtowanie się osobowości i postaw. Dziennikarka wydawała mu się niemal doskonała, do tego zabawna, otwarta, zadowolona z życia. Wątpił, by doświadczyła biedy, trudów ciężkiego dzieciństwa lub innych poważnych nieszczęść czy rozczarowań. Jej wewnętrzna radość przyciągała go jak magnes, nęciła, czarowała. Wychodziła na pierwszy plan przed urodą, kobiecością i niewątpliwym seksapilem, choć i w tym zakresie niczego Julce nie brakowało.

Po zakupach zaprosiła go na obiad do góralskiej knajpy. Siedzieli nad polędwicą nadziewaną oscypkiem z sosem żurawinowym. Walicki nie mógł pozbyć się bolesnej świadomości, że kobieta zapłaci rachunek za jego posiłek.

– Daj spokój, człowieku. – Machnęła ręką, widząc, czym się tak szczypie, i o mało nie przewróciła szklanek z napojami. Stefan złapał je w ostatniej chwili w obie ręce. – Ups, gapa ze mnie. Widzisz, gdybyś tu ze mną nie przyszedł, narobiłabym sobie obciachu, a to mi nie w smak, bo bardzo lubię tutejsze menu.

– Codziennie stołujesz się w restauracji? – zapytał z autentyczną ciekawością, bo intrygowały go zwyczaje szczęściarzy, którzy nie obracają w dłoniach każdej złotówki, zanim zdecydują się ją wydać.

– Bez przesady. Umiem gotować, tylko dla mnie samej nie bardzo mi się chce. Zwykle szykuję w poniedziałek gar zupy i męcę się z nim do piątku, a w weekend odbijam sobie tutaj lub w Jaworzynie Tatrzańskiej. Dzisiaj poniedziałek, ale zrobiłam wyjątek, by uczcić początek naszej współpracy. Liczę na to, że dopóki nie wykończysz strychu, pozwolisz się częstować obiadem także w domu.

– Nie zamierzam cię objadać.

– Stołujesz się u kulawej Heli, prawda?

– Nie mów tak na nią! – Z oburzeniem podniósł głos, aż przechodzący obok kelner łypnął na niego krytycznie.

– Nie denerwuj się. Przecież cała wieś tak ją nazywa. Nie wiedziałeś?

– Nie.

– Nawet proboszcz tak się wyraził, gdy grzmiał na sumie, by lokalsi się was nie czepiali.

Walicki nie wiedział, czy te słowa powinny go uspokoić, czy wręcz przeciwnie.

– Co dokładnie powiedział?

– Że to, co zdarzyło się lata temu z jej mężem, i to, co łączy was teraz, to jest wyłącznie wasza sprawa i Boga, a ludzie nie powinni się do tego mieszać.

– Słusznie.

– Mhm. Całkiem sympatyczny duchowny, z otwartą głową. Powinszować parafii.

– Nie wyglądasz na szczególnie religijną.

– I taka nie jestem. Poproszę o rachunek, co? Robi się późno.



Walicki przyznał jej rację, bo niepokoił się o psa, którego nie zostawiał jeszcze na tak długo samego, od kiedy zamieszkali razem. Wrócił do rozmowy w samochodzie, gdy z Zakopianki odbili w drogę na Rzepiska.

– To co robiłaś na mszy?

Uśmiechnęła się bez spuszczenia wzroku z drogi.

– Ciekawski z ciebie typ. Ale to dobrze. Lubię rozmawiać z ludźmi, którzy nie boją się pytać. Jestem dziennikarką, to wiesz, ale również socjologiem. Piszę głównie reportaże. Mam też na koncie kilka książek. Fascynuje mnie wpływ sytuacji ekstremalnych, takich jak choćby wyizolowanie czy zagrożenie życia, na funkcjonowanie grup i jednostek.

– Na przykład w gettach w czasie wojny, na stacjach polarnych, w bazie pod ośmiotysięcznikiem czy na Międzynarodowej Stacji Kosmicznej? – podpowiedział.

– Bingo. Albo w więzieniu. Aktualnie mam na tapecie projekt o pensjonariuszach zakładów penitencjarnych. Wyjdzie z tego zbiór kilkunastu reportaży o osadzonych, którzy wyszli na wolność i odnaleźli się w społeczeństwie. Mam nadzieję, że trochę odczaruję mit, że każdy karany jest na wskroś zły i nigdy się nie zmieni. To, co spotyka cię obecnie ze strony części miejscowych, ogromnie mnie mierzi i jeszcze bardziej motywuje do pisania.

– To dlatego zaproponowałaś mi robotę? Chcesz wyciągnąć ze mnie zwierzenia i je opisać? – rzekł z przekonaniem i coś go nieprzyjemnie zakłuło, bo poczuł się wykorzystany. Sądził, że zatrudniła go, bo uwierzyła, że sprosta zadaniu. A ona zwyczajnie chciała go urobić. Stąd kawki, obiadki, tworzenie intymnej atmosfery i błyskanie zębami w uśmiechach przy byle okazji.

Auto wjechało nagle w dziurę i oboje podskoczyli na wyboju.

– Kurka – syknęła Stanik i spojrzała bykiem na pasażera. – Nie dorabiają ideologii tam, gdzie jej nie ma. Zgromadziłam tyle materiału, że jeśli się uprę, starczy mi na dwie książki, a nie jedną. A ty za krótko cieszysz się wolnością, by cię tam wkomponować. Jeszcze nie wiadomo, czy wyjdiesz na prostą. Zechcesz mi o sobie opowiedzieć, to fajnie, chętnie posłucham, bo mnie to zwyczajnie ciekawi, ale przede wszystkim zależy mi na tym, by wyszykować strych, zanim przyjedzie Misiaczek, i aby mieć z kim pogadać przy posiłku. Przerwa na lunch ci się należy jak każdemu pracującemu człowiekowi. Zrobisz mi przyjemność, jedząc ze mną. Sądzę, że bez problemu pochłoniesz zarówno moją zupę, jak i to, co przygotowuje ci na

kolację kul... – ugryzła się w język – Hela, więc wszystkim w to graj. Ale jeżeli ci nie pasuje, okej. Przynosz z domu kanapki z pasztetem czy co tam lubicie ty i twój pies.

– Przepraszam. Źle cię zrozumiałem. Niech będzie tak, jak wymyśliłaś. To rozsądne. Nie obrażaj się.

– Nie mam zwyczaju się obrażać.

– Słusznie. Obrażają się tylko ludzie małostkowi. A z moją historią to nie takie proste. Nie powinienem jej ujawniać, bo dotyczy nie tylko mnie.

– Trudno mi uwierzyć, że kogoś skrzywdziłeś. Nie wpisujesz się w schemat.

– Dziękuję – bąknął niewyraźnie. – Ale pamiętaj, że schematy opierają się na statystyce, a nie na konkretnych ludziach.

Dziennikarka podwiozła go pod dom, wysiadła i pałac L&M-a, oparta o drzwi škody, obejrzała ekspresyjną scenę powitania. Dżoczi zdawał się materializować w kilku miejscach jednocześnie i zachodziła obawa, że w końcu urwie sobie ogon, bo to niemożliwe, by majtać nim z aż taką zaciekłością. Człowiek bez wahania kucnął przy psie i po chwili obaj leżeli na trawie. Potrzeba było kilku minut, by szaleństwo opadło i mężczyzna stanął na nogi. Ze zdziwieniem zauważył, że Julka nie odjechała i wygląda na zbitą z tropu. Podszedł do niej, a pies pognał jego śladem, żeby teraz ją obdarzyć radością. Pogłaskała go, poklepała po boku i spytała:

– Widziałeś tę wiadomość na płocie?

Walicki dostrzegł, że coś wisi na kawałku szpagatu. Na wyrwanej z zeszytu kartce w kratkę ktoś wykaligrował drukowanymi literami, siląc się na pismo techniczne: „Obserwuję cię. Pożałujesz, jeśli zrobisz coś głupiego. Ona też”.

– Znowu – mruknął, zerwał papier i zgniótł w kulkę.

– Nie wyrzucaj! Cholera, nie zaskoczyło cię to.

– Pojawiają się, od kiedy spotkałem w sklepie Pawła Kulebiaka. Już wtedy dał mi do zrozumienia, że nie jestem tu mile widziany. Kilka razy przychodził też z kumplami pod dom i wydierał się pod oknami.

– Wspomina tu o kimś jeszcze. Pewnie o kula... o Helenie.

– Tak mi się zdaje, chyba że ma na myśli moją córkę. Ale to bez sensu. Ona tu nie mieszka, nie utrzymujemy kontaktów, więc nie mogłem jej powiadomić, że wyszedłem.

– I nie chciałbyś się z nią spotkać?

– Bardzo bym chciał. Tylko jak? Wiem jedynie, że mieszka w Łodzi, jest nauczycielką i dotąd nie wyszła za mąż. Ostrzegę Helcię, żeby uważała. Z tymi pogroźkami niczego więcej nie wymyślę.

– Zgłoś je policji.

– Bez przesady. Nie jest tak źle. Nie zaczepiają mnie, tylko krzyczą z daleka i wieszają karteluszeki. Byle się nie zagalopowali. Dzięki za miły dzień i za pracę – uciał temat. – Do jutra.

Wsiadła do škody, gasząc papierosa w samochodowej popielniczce. Włączyła silnik i ruszyła z podjazdu, lecz nagle zawołała, opuszczając szybę:

– Stefan!

Natychmiast zawrócił, gdy usłyszał jej głos.

– No?

– Masz internet w komórce?

– Mam.

– To go użyj. Każdy korzysta z Fejsa, Instagrama czy chociaż LinkedIna. Powinieneś tą drogą dotrzeć do córki. Jeśli sobie nie poradzisz, jutro poszukamy razem.

Pokiwał głową zdumiony, że to może być takie proste, i odprowadził wzrokiem odjeżdżające auto. Dopiero gdy zniknęło za zakrętem, uświadomił sobie, że zostawił Julię samą z bagażnikiem wypchanym ciężkimi zakupami.

– To nie mięso. Do jutra nie zaśmierdnie – stwierdził i zagwizdał na psa.

## 24.

Mini cooper toczył się po drodze, przyjaźnie pomrukując. Każdy pokonany kilometr sprawiał Adzie coraz większą przyjemność. Jacek niechętnie pozwalał jej na prowadzenie w przekonaniu, że za chwilę uszkodzi, zarysuje lub rozbije jego nowiutką škodę octavię, a on będzie zmuszony do ciągłego zwracania uwagi babie za kierownicą. Wychodził z założenia, że układ, w którym mężczyzna wozi kobietę, przynosi same korzyści, bo ona jest otoczona niezbędną troską, a jej opiekun minimalizuje zagrożenie na jezdni. Zmieniał zdanie, gdy nabierał ochoty na alkohol podczas wypadów do restauracji. Wówczas na Walicką spadał zaszczyt odtransportowania zawianego chemika do miejsca spoczynku. Nigdy więcej takich sytuacji! Może być wożona lub wozić, byle nie pod przymusem, bez prawa negocjacji i choć minimalnego wpływu na to, co dotyczy jej samej.

Słońce stało wysoko na niebie i wyciskało z atmosfery resztki tlenu. Upał zdawał się zbliżać do punktu krytycznego, po którym ziemia pęknie, rozpuści się i skona. Jedyłą nadzieję na ratunek stanowiło kilka nieśmiało wpływających na niebo cumulusów, które jeśli nie liczyć rys czynionych przez samoloty, jako pierwsze od tygodni ośmieliły się naruszyć doskonałą taflę błękitu. Walicka przyglądała się im przez przednią szybę i dochodziła do wniosku, że obrzędy i gusła, jakimi nieskażone cywilizacją plemiona zwykły przywoływać deszcz, nie są pozbawione sensu. Gdyby wiedziała, że to pomoże, sama wyskoczyłaby z auta na środku drogi i odtańczyła dziki taniec na chwałę wichrom i ulewom.

Cieszyła ją perspektywa ujrzenia matki oraz rodzinnych stron, choć nieustannie oglądała się przez ramię. Co rusz dochodziła do sprzecznych wniosków. W jednej chwili wybijał jej się na pierwszy plan żal do Bartka, w następnej zaś gotowa była przyznać, że rozumie jego postępowanie. Przed oczami wciąż miała smutną twarz żegnającej ją Gołębiewskiej i papugę wydzierającą się wniebogłosy:

– *Žestokaja krrrasavica! Ne uchadi!*

Krajobraz za oknem zaczął się z wolna zmieniać. Płaska powierzchnia pól pofalowała się, jakby Zoja potarłosiła dziobem brzeg kolorowego obrusa i nieco go zmierzwiła. Skupiska drzew obiecywały cień i wytchnienie. Jasne łany zbóż i żółte pasy gorczycy odcinały się od przytłumionej suszą zieleni i zachęcały, by cieszyć nimi oczy. Za Olkuszem co jakiś czas ukazywały się wśród nich także jasnoszare plamy nagrzanego wapienia, przypominając, że to Jura. Coraz bliżej domu.

Kraków przywitał Walicką duchotą i koszmarnym korkiem, który powstał w wyniku kolizji tramwaju z samochodem osobowym. Nie wyglądało to na tragedię, nikomu nic poważnego się nie stało, ale minęła dobra godzina, zanim Adzie udało się dotrzeć pod klinikę psychiatryczną, w której od czterech lat przebywała jej matka. W każdej minucie podróży gratulowała sobie w duchu wyboru auta z klimatyzacją, zaś opuszczenie pojazdu na szpitalnym parkingu tylko utwierdziło ją w słuszności tej decyzji. Do budynku gnała niemal pędem głęboko przekonana, że każda minuta na słońcu wysysa z niej co najmniej litr wody. Bez trudu wspięła się na właściwe piętro i zajrzała do znajomej sali. Zastała w niej pustkę, przeszła więc do świetlicy, w której część pacjentów oglądała telewizję, grała w gry lub uczestniczyła w terapii grupowej. Może jej się polepszyło, pomyślała córka z nadzieją, zaczęła współpracować, wchodzić w interakcje albo nawet mówić. Dotąd matka rzadko dobrowolnie opuszczała swój pokój. W świetlicy jej jednak nie było. Dziewczyna automatycznie skierowała się do gabinetu lekarskiego. Zapukała, po czym śmiało weszła do środka.

– Dzień dobry – zagadnęła uprzejmie na widok starszawego psychiatry z obfitymi wąsami, z którym wielokrotnie już rozmawiała.

– Dzień dobry, pani do kogo? – spytał z roztargnieniem, ledwo unosząc głowę znad papierów i zsuwając okulary na czubek nosa. – Aaa... poznaję – odpowiedział sam sobie. – Do naszej Gabrysi. Dawno się nie widzieliśmy. Próbowałem się z panią skontaktować telefonicznie. Niestety poległem. Zmieniła pani numer?

– O Boże, tak. Co się stało?

– Szkoda, że nie podała nam pani nowego, byłaby pani na bieżąco. W ostatnim czasie Gabrysia zrezygnowała z wszelkich aktywności. Przestała wstawać do toalety, pojawiły się trudności z żywieniem. Podjęliśmy kilka prób zmniejszania dawek leków, które ją wyciszają... Niestety kończyło się to za każdym razem tak samo – nasileniem objawów psychotycznych i nagłym wzrostem agresji oraz autoagresji. Stanowiła dla siebie i innych zbyt duże zagrożenie, byśmy mogli ryzykować, a próby nawiązania komunikacji, choćby pozawerbalnej, spełzały na niczym. W zasadzie doszliśmy do wniosku, że nie jesteśmy w stanie jej pomóc.

– Co to znaczy?

– Pacjentka nie rokuje poprawy. Spędziła u nas dużo czasu i sama pani wie, że jeśli coś się zmieniało, to na gorsze. Uznaliśmy, że lepiej jej będzie w ośrodku opieki długoterminowej.

– Dlaczego bez mojej zgody?

– Nie miała ustanowionego prawnego opiekuna po zachorowaniu, zatem zgodę wyraził sąd. Nie musieliśmy pytać pani o zdanie. Tu jest adres. – Przesunął po blacie biurka białą wizytówkę. – To niedaleko Krakowa. Może pani obecność na nią wpłynie, ale szczerze... za bardzo bym się na to nie nastawiał.

– Czyli już nie wyzdrowieje – skwitowała Walicka, czując, że cała krew odpływa jej z twarzy.

– Mózg ludzki to fenomenalne urządzenie. Zdarzają się cuda. Proszę ją odwiedzić w nowym miejscu. Odnajdzie pani spokój, gdy nabierze pewności, że nie dzieje się jej krzywda.

Ada opuściła szpital na miękkich nogach i z mętlikiem w głowie. Uważała za pewnik, że zobaczy matkę, opowie jej o wszystkim, co ją ostatnio spotkało, zada kilka dręczących od tygodni pytań i choć nie otrzyma na nie odpowiedzi, przynajmniej je z siebie wyrzuci. Przed budynkiem odblokowała telefon, by odnaleźć na mapie adres ośrodka. Zauważyła nieodebrane połączenia od Jacka oraz esemesa o treści:

*Zacznij współpracować albo przestanę być miły!*

Oddzwoniła zaniepokojona, co nowego wymyślił.

– Czego chcesz? – rzuciła bez wstępów.

– Będziesz zeznawać na moją korzyść?

– Już mówiłam. Zastanowię się. Gdy przemyślę, dam ci znać.

– To posłuchaj, złotko. Nie pojawiaasz się w pracy w fundacji, ale sobie poradziłem. Nasze spotkanie skończyło się zgodnie z moim planem. Pojechałem za tobą i wiem już, gdzie mieszkasz. Zauważyłem, że nie układa ci się z twoim pazurem. Zadomowiłaś się u staruszki z papugą, za to on przygarnął całkiem niezłą dupę z dzieciakiem. Tymonem, zdaje się. Wyglądają na zgraną rodzinę. Myślę, że ją posuwa każdej nocy, więc możesz przestać unosić się honorem i do mnie wrócić.

– Nie planuję.

– Głupio robisz. Ja cię nigdy nie zdradziłem. Kiedy to wreszcie do ciebie dotrze, sama do mnie przyjdiesz, bo nie dasz sobie rady bez pomocy. Jesteś słaba, Ada. Nie pociągniesz długo, jeśli się na kimś nie uwieszysz. Gdyby nie łysiejący rysownik, w ogóle byś ode mnie nie odeszła, bo to by cię przerosło.

– Przestań pieprzyć!

– Pamiętaj, ja czekam. Ale robię się coraz bardziej niecierpliwy. Uspokoić mogą mnie twój powrót i obietnica zeznań na moją korzyść. W przeciwnym razie zacznę regularnie bywać na Florecistów i wymyślę, jak cię przekonać. A teraz pa, słonko. Myśl o mnie i naszym domu, bo strasznie w nim pusto bez ciebie...

Czując, że traci ostrość wzroku, rozejrzała się za mini cooperem. Czekał dzielnie tam, gdzie go zostawiła, i przyjaźnie błyskał w słońcu wiśniowym lakierem. Wsiadła, włączyła silnik, oparła głowę o kierownicę i czekała, aż klimatyzacja schłodzi wnętrze. Starła się oczyścić głowę i nie myśleć o Jacku. Najlepiej nie myśleć o niczym. Po paru minutach ustawiła w telefonie nawigację według wytycznych od psychiatry. Zorientowała się, że musi jechać aż za Bochnię, ponad sześćdziesiąt kilometrów. Dobrą godzinę, o ile nie zatrzymają jej znów krakowskie korki, bo dawno minęło południe, w związku z czym ruch się nasilił. Czowała się zmęczona. Najchętniej zawróciłaby do Łodzi, dopadła do drzwi Pilcha, wałąc w nie choćby pięściami z głośną i zapewne zapłakaną prośbą, by ją przytulił, pocałował, a potem ochronił przed złem. Nie mogła się jednak poddać. Tak niedawno, jeszcze dziś rano, tłumaczyła samej sobie, że jest silna i podoła wszystkim wyzwaniom. Chciała być taka dla siebie i dla Bartka, by nie stanowić dla niego dodatkowego balastu. By dawać i jednocześnie czerpać od niego zdrowe partnerskie wsparcie.

– Mama jest pierwszym i jednym z najważniejszych punktów programu w tej rajzie – oznajmiła głośno, ocierając dłońmi twarz. – Nie zwinę flagi, nie skuszę się na dezercję.

Ze schowka wyjęła butelkę z sokiem pomarańczowym. Upiła łyk i poczuła się wzmocniona. Powoli wycofała się z miejsca postoju i ruszyła na wschód. Do celu dotarła w porze kolacji. Po ośrodku rozchodził się przyjemny zapach jedzenia i poczuła, że skręca ją z głodu. Pogłaskała brzuch i bezgłośnie przeprosiła rosnące w nim dziecko za to, że przetrzymuje je cały dzień bez porządnego posiłku. Znalazła dyżurkę, wypytała o nową pensjonariuszkę i po chwili trafiła do niewielkiego pokoiku z dwoma łózkami i kilkoma landszaftami na ścianach. Matka wydała jej się chudsza i bledsza od czasu ich ostatniego widzenia. Leżała bez ruchu z rękami splecionymi na jasnej pościeli i wbijała wzrok w sufit.

– Ona tak cały czas? – Ada zagadnęła pielęgniarkę.

– Z rana sadzamy ją na wózku i zawozimy do świetlicy. Tam zwykle gra telewizor, słyhać rozmowy, jakieś śmiechy, wie pani... odgłosy normalnego

życia. Nie wszyscy nasi podopieczni są w takim stanie. Obecnie jest całodobowo pieluchowana. Udaje się ją poić i karmić zmiksowanymi papkami. Odrzuca wszystko inne. Nie mówi, nie nawiązuje kontaktu wzrokowego. Zwykle ignoruje bodźce dźwiękowe czy słuchowe, ale widzi i słyszy. Czasem zaczyna krzyczeć bez powodu.

– Myśli pani, że mogłabym jej poczytać książkę?

– Jasne, ale proszę nie robić sobie nadziei, że zareaguje. Jeśli nie ma pani niczego ze sobą, zapraszam do biblioteczki w świetlicy. Coś pani wybierze.

Walicka nie spakowała lektur na drogę poza egzemplarzem *Skrzydeł* dopchniętym do walizki głównie z sentymentu. Chętnie skorzystała zatem z oferty i przez ponad godzinę czytała powieść, z której nie rozumiała ani słowa. Nie mogła się skupić na treści, myśląc głównie o tym, by jak najszybciej uciec. Gabriela przez ten czas w zasadzie nie drgnęła poza tym, że raz podrapała się po nosie bez odwracania wzroku utkwionego w suficie. Córka na odchodnym pocałowała ją w chłodne czoło, choć dawne czułość i serdeczność gdzieś z niej wyparowały, pozostawiając wyłącznie poczucie obowiązku. Nawet jeśli ta kobieta dopuściła się zbrodni i pozbawiła życia Edmunda Zawadowicza, nadal była jej matką. Córka potrafiła to zrozumieć i wybaczyć, lecz jak zdra tkwił w niej żal, że Gabriela pozwoliła, by zamiast niej w więzieniu osadzono niewinnego człowieka.

Niebo rozplywało się w płomiennych wieczornych barwach, gdy dziewczyna ponownie znalazła się w aucie. Była potwornie zmęczona i głodna. Próba dotarcia tego dnia do Łapszanki wydała jej się absurdalna i wręcz niewskazana. Nie wahając się, skorzystała z odpowiedniej aplikacji w telefonie, by wyszukać w okolicy w miarę niedrogi nocleg. Po drodze zahaczyła o sklep spożywczy i zaopatrzona w wiktuały zameldowała się w niewielkim motelu przy drodze. Pod prysznicem zmyła z siebie ciężar całego dnia, przy kolacji odbyła krótką pogawędkę telefoniczną z panią Ludmiłą i na koniec, już w piżamie, delektując się porcją lodów grejpfrutowych wyjadanych wprost z pojemnika, postanowiła zadzwonić do Bartka. Potrzebowała jego ciepłych zapewnień, że w każdej chwili może wrócić, bo on kocha, tęskni i trzyma dla niej wolne miejsce u swojego boku, nawet jeśli nie zawsze jest tak cytrusowo, jak by sobie wymarzyła. Obawiała się, że bez tego nie zapadnie w sen, a jeśli nawet zdoła, przyśni jej się Jacek lub to koszmarnie morderstwo sprzed lat.

– Cześć – rzuciła luźno na powitanie, podciągając nogi, by usiąść po turecku na drewnianym krześle. Wyższa ekwilibrystyka, a jej się udało.



Mistrzostwo. – Przyznaj, że czegoś brakuje w Łodzi, odkąd wyjechałam.

– Brakuje. Nawet bardzo. – Usłyszała w odpowiedzi i serce zabiło jej mocniej. – Ale przepraszam cię, mała. Mam sytuację kryzysową. Nie mogę teraz rozmawiać, odezwę się jutro. Pa.

– Nie jestem mała – warknęła, lecz już jej nie słyszał, bo połączenie zostało przerwane.

Wróciła do konsumpcji mrożonej słodyczy. Oddychała głęboko i tłumaczyła sobie, że to nic. Żaden dramat. Widocznie naprawdę mu coś wypadło. Nie chciała się mazać. Nie ma mowy. Przypomniła sobie stary sposób, jakiego uczył ją w dzieciństwie tata. W razie stresu kazał jej liczyć w głowie tatrzańskie szczyty widoczne z Przełęczy nad Łapszanką.

– Szalony Wierch, Płaczliwa Skała, Hawrań – mamrotała, wpychając do ust łyżeczkę lodów. – Nowy Wierch, Cyrhla, Murań...

Powoli pomagało, jak zawsze. Szukała w pamięci twarzy ojca, lecz nie potrafiła wygrzebać z niej niczego poza zielonymi oczami i ogromnymi dłońmi, które brały ją pod pachy i unosiły. To niesamowite. Minęło ponad dwadzieścia lat, a ona nigdy nie przestała za nim tęsknić.

## 25.

Tymek Pilch siedział ze stryjkiem przy biurku w gabinecie i oglądał na laptopie ukończony komiks. Nieustannie mrużył oczy, bo przez okno wpadało przedwieczne słońce, a oni nie pokusili się o opuszczenie rolet. Powiększał i zmniejszał obraz, przekrzywiał głowę, przeskakiwał między plikami i cmokał zabawnie, jakby z pełną powagą podszedł do prośby rysownika o ocenę jego pracy.

– Niezłe – stwierdził po dość długiej chwili ciszy, celowo przeciąganej dla zwiększenia napięcia. – Tata wymyślił świetną przygodę, a ty się, wujek, całkiem postarałeś.

– Zawsze się staram, łobuzie. Jeśli jeszcze raz powiesz na mnie „wujek”, zrobię na jutrzejszy obiad wypieczoną wątróbkę z warzywami.

– Wtedy będziesz wredniak.

– Trudno. Jakoś to zniosę. Gdybym był mianowany, jak się należy, dostałbyś struclę serową i sernik. A do tego smażony ser. Wszystko smaczne na „es”.

– Z frytkami ten ser czy z grzanką?

– Bo co?

– Bo nie wiem, czy mówić „stryjek frajer”, czy „stryjek gapa”.

Bartek zakrył dłońmi twarz, jakby zamierzał zapłakać nad swym ciężkim losem, długo jednak nie wytrzymał i po paru sekundach wybuchnął głośnym rechotem. Gdy po chwili zdołał się opanować, odparował złośliwie:

– Ratujcie, ludzie! Skąd wziął się w tym domu taki pyskаты szczeniak?

– Ze spadku – odparł chłopiec, poważniejąc.

– Z jakiego znowu spadku?

– Sprawdzalem w internecie i specjalnie zadzwoniłem do Adriana. On jest bardzo doświadczony i wszystko mi wyjaśnił.

– No, mów, bo zaczynam być naprawdę ciekaw. – Pilch rozsiadł się wygodnie na krześle, wbił plecy w oparcie i splótł ramiona na piersi.

Dzieciak westchnął, poczochnął się po ciemnej czuprynie i zerknął na niego spođe łba:

– To się nazywa: dziedziczenie. Adrianowi umarli dziadkowie. Obaj naraz.

– Obaj? Miał dwóch dziadków, tak?

– Nie. Dziadek i babcia. Ale mówi się „dziadkowie”, prawda? Ten dziadek chorował, a babcia nie. Ale jak on zmarł, to ona zaraz potem. Mama

Adriana twierdzi, że ze zgrzyoty i tęsknoty. Dlatego powiedziałem, że obaj naraz.

– W takim razie oboje.

– Jakie oboje? Tata Adriana umie grać na akordeonie i wyciąga go na rodzinnych imprezach, po piwie czy coś. O obojach nic nie wiem. O klarnetach też nie. Ja się na tym znam, bo mamy w klasie dmuchawca.

– Kogo? – Pytanie wypłynęło z ust, zanim Bartek zdążył ugryźć się w język. Rozmowy z dziesięciolatkiem niekiedy prowadziły na nader pocieszne manowce.

– Takiego, co dmucha. On akurat uczy się na puzonie, ale pani go kiedyś poprosiła, żeby nam zrobił pogadankę dętą, i on przygotował fajną prezentację o instrumentach. Dlatego jestem pewien tego oboja.

– Oboju.

– Co?

– Już nieważne, Tymek. Odklej się od muzyki i wróć do spadku. Tylko zapamiętaj, że dwóch mężczyzn to „obaj”, a kobieta i mężczyzna to „oboje”.

– Mama Marcela twierdzi, że kobieta i mężczyzna to zawsze potencjalne kłopoty – chlapanął dzieciak, ale szybko przywołał się do porządku na widok stryjka przewracającego oczami. – Tata Adriana miał sprawę spadkową po tych dziadkach, bo jak ktoś umiera, to wszystkim, co ma, rodzina musi się podzielić. Czasem nawet się o to kłóć. To jest dziedziczenie i można dostać w spadku nieruchomości i ruchomości. Nie wiem dokładnie, co to są te nieruchomości, ale ty dostałeś mnie, bo mama mnie nie chce. A ja to ruchomość, bo jestem raczej ruchliwy. Więc pyskаты szczeniak wziął się w twoim domu ze spadku po twoim bracie. I nic na to nie poradzisz, chyba że szybko znajdziesz sposób, żeby mama nie wyjechała. Masz czas do jutra.

Bartka dopadło jednocześnie kilka gwałtownych emocji: złość, smutek, irytacja, rozbawienie i rozczulenie nad tym dzieciakiem, który mimo zagubienia i strachu nie tracił poczucia humoru ani żywiołowości. Odczuwał dumę na myśl o tym, że chłopiec tak dzielnie znosi nową sytuację. Zdarzało mu się płakać, bywał drażliwy, chwilami opryskliwy lub wręcz impertynencki, szczególnie w stosunku do Ady, lecz w gruncie rzeczy dawało się nad nim zapanować i dotrzeć do drzemających w nim pokładów logiki przy użyciu rozsądnych argumentów. Pilch postanowił powiedzieć o tym chłopcu, by miał świadomość, że dorośli widzą i doceniają jego dojrzałość, ale zanim się odezwał, gabinet wypełniły dźwięki melodii z *Shiny Happy People* zespołu R.E.M.

– Sorówka, młody – mruknął, dostrzegłszy, że dzwoni wydawca. – Muszę odebrać. Przy okazji sprawdzę, czy nasza kolacja już się upiekła. Obejrzyj do końca *Skrzydła* i zapraszam na popas.

Gdy wyszedł, chłopiec poklikał myszą, przerzucając na ekranie kolejne pliki, ale bez przekonania. Stracił zapał do roli krytyka. Zerknął na zegarek. Jeśli samolot wystartuje o czasie, za dwadzieścia pięć godzin i trzynaście minut mama odleci. Tymek nie zostanie całkiem sam, jednak bez rodziców. Czuł w sobie ogromny sprzeciw i chęć wykrzyczenia, że nie zgadza się na to rozwiązanie, lecz przecież krzyczał i prosił już nie jeden raz. Bez skutku. Kochał stryjka ogromnie, ale to niczego nie ułatwiało, bo przez to dodatkowo dręczyły go wyrzuty sumienia. Pamiętał, że w dawnych czasach, gdy miał jeszcze dwoje rodziców, często przemykało mu przez głowę, że stryjek jest od nich lepszy, że wolałby mieszkać u niego, że tylko on potrafi się bawić i przekomarzać, rozmawiać całkiem serio albo bzdurnie wygłupiać. Myślał tak, a czasem nawet mówił głośno, by mama i tata słyszeli. I żeby było im przykro... A teraz bardzo nie chciał zostać ze stryjkiem. Nie dlatego, że nie lubił z nim być. Nic z tych rzeczy. Ale stryjkowie nie są od tego, by wychowywać bratanków. Mają swoje życie i swoje dziewczyny, jak choćby tę babę, przez którą poprzedniego dnia spadła na chłopca niezła bura. Teraz na szczęście baba wyjechała, ale przecież za parę dni wróci i, o zgrozo, może nawet z nimi zamieszka! Tymek będzie musiał być dla niej bardzo miły, chociaż nie ma na to ochoty. Ten ochrzan z wczoraj to pierwszy raz, kiedy stryjek podniósł na niego głos. Mama próbowała bronić syna, ale usłyszała, że ma się nie wtrącać, chyba że zrezygnuje z kangurów, i rozpętała się wielka awantura. Prawie taka jak przed wypadkiem w domu Tymka. A on nie chciał stać się dodatkiem, piątym kołem u wozu, kłopotem. Bał się, że bez rodziców zacznie przypominać latawiec, który się zerwał ze sznurka. Nic go nie trzyma, nic nim nie steruje. Leci po niebie i to jest nawet przyjemne, bo każdemu smakuje swoboda, ale ma świadomość, że kiedyś spadnie i zostanie na ziemi całkiem sam. Jak można żyć bez rodziców? No jak? Tego nie umiał sobie wyobrazić.

Kilka zdradzieckich łez zdążyło spłynąć mu po twarzy, gdy nagle uświadomił sobie, że przecież nie wszystko stracone, bo w wygniecionej i naddartej kopercie leży szansa na odmianę losu. Jeśli wynik okaże się dla niego pozytywny, ulubiony stryjek zmieni się w tatę. A wtedy, choćby nawet i ta baba wróciła, pozycja Tymka pozostanie niezagrożona.

Podreptał do sypialni i pogrzebał ręką w kącie za łóżkiem. Nic nie znalazł, więc wystraszony przykucnął, a potem opadł na kolana. Zajrzał pod łóżko i z ulgą wyciągnął swój plecak. Ktoś musiał go tam przypadkiem wkopać, bo przecież nie przewędrował sam. Rozejrzał się po pokoju. Mama gdzieś wyszła. Jedyнным dowodem na to, że jeszcze nie wyjechała, były dwie sukienki rzucone niedbale na równo poskładaną pościel, jakby odpadły w konkursie na kreację wieczoru. Chłopiec wyjął z plecaka kopertę i trzymając ją za plecami, udał się do kuchni, którą wypełniał zapach stopionego sera i brokułów.

– No nareszcie – zawołał rysownik pochylony nad parującym naczyniem żaroodpornym. – Już zaczynałem podejrzewać, że wessał cię ekran laptopa. Wyszoruj ręce, a ja nakładam. – Przeniósł wzrok z posiłku na dziecko. –

Co to? Smutki cię dopadły, kolego? – zapytał, widząc ślady łez. – To tym bardziej czas się pożywić i pogadać. Polecam ci do towarzystwa najfajniejszego stryjka na świecie.

– Wczoraj nie byłeś zbyt miły.

– A nie miałem racji? Zachowałeś się... nie powiem, że nieuprzejmie, bo to za słabe słowo. Po prostu po szczeniacku. Ale już to sobie wyjaśniliśmy i nie ma co się dłużej bocyć. Wciąż się przyjaźnimy, prawda?

– Tak, tylko daj jeść, bo umrę z głodu – zastrzegł chłopiec i wycofał się rakiem z kuchni, by umyć ręce i zabunkrować kopertę na czas posiłku. Nie widziało mu się analizowanie jej zawartości przy brokułach z serem. Za duże ryzyko, że to pyszne, mięciutkie i ciągnące się jedzenie stanie mu kością w gardle.

Dopiero po godzinie, z pełnym brzuchem, bohatercko wrócił do sprawy rozpoczętej, zdawałoby się, gdzieś w mrokach przeszłości, bo niemal miesiąc temu, od naplucia do małego pojemniczka.

– Poczekaj – poprosił wyjątkowo przymilnym głosem. – Nigdzie nie wstawaj. Zaraz przyjdę.

Zerwał się, zniknął w sypialni, a gdy wrócił, opadł ciężko na krzesło i położył na stole między nimi zmaltretowaną przesyłkę. Ręce trzęsły mu się przy tym tak wyraźnie, że Bartek natychmiast to zauważył.

– Co to za papierzyśko? Za wcześnie na list z Hogwartu.

– Bardzo śmieszne. To jest koperta, przez którą pokłóciłem się z tatą przed wypadkiem. Pamiętasz? Opowiadałem ci. Wtedy, gdy jechaliśmy autem.

– Cały czas ją chomikowałeś? Sądziłem, że została w samochodzie albo przepadła. Zresztą, co ja ci będę ściemniać. Po prostu o niej zapomniałem. Coś nam chyba przerwało rozmowę i się rozeszła po kościach.

– Mama wtedy wróciła – odpowiedział chłopiec.

– O! Chyba tak. Od kogo to? Dlaczego wyglądasz, jakbyś się bał?

– Wcale się nie boję! Tylko trochę denerwuję – oświadczył, zaciskając pięści, nie bacząc na to, że zdradzieckie zęby mu zadzwoniły i całą postawą zadaje kłam własnym słowom.

– Chcesz, żebym ja ją otworzył? – zgadywał Bartek, bo nie wiedział, jak dotrzeć do chłopca. Łypał na papier, lecz nie był w stanie niczego wywnioskować, bo nie widział żadnego napisu. – Wiesz, co w niej jest?

– Otwórz. Wiem wszystko... Znaczy, nie wiem nic... Znaczy, jak ją otworzysz, to się wreszcie dowiemy.

Stryjek sięgnął zdecydowanym ruchem na środek stołu i zgarnął kopertę. Była dość cienka. Na odwrocie miała nadruk z nazwą firmy, która niczego mu nie mówiła poza tym, że brzmiała medycznie. To spowodowało, że i on się zaniepokoił. Narożnik, naddarty przez chłopca przed kraksą, dał się pokonać jednym ruchem. W środku znajdował się kilkustronicowy dokument, w który rysownik zagłębił się w milczeniu, otwierając coraz szerzej oczy i odnosząc wrażenie, że serce zaczyna mu nie tylko łomotać, ale wirować coraz szybciej, miotać się raz w jedną, raz w drugą stronę, jakby targana nim siła odśrodkowa. Nabierał obaw, że za chwilę się urwie i rozszarpie kości oraz skórę, by całkowicie opuścić jego ciało. Jeśli Tymek miał świadomość, czego za chwilę się dowie, niewątpliwie czuł dokładnie to samo. Albo nawet jeszcze więcej, bo to przecież dziecko, a sytuacja, przed którą postawiło je życie, z pewnością nie należała do łatwych. W Pilchu zagrały wyrzuty sumienia. Troje najbliższych ludzi zrzuciło na chłopca zbyt duży ciężar i on był jednym z nich. Zaprzagnął przyciągnąć dziecko do siebie, przytulić i zapewnić, że je kocha i nic nie może tego zmienić. Mały siedział jednak sztywno, dziwnie obcy, oficjalny i z trudem zachowywał równowagę między zwątpieniem a nadzieją.

Które z rozwiązań bardziej by go ucieszyło, zdążyło przemknąć przez głowę Bartka, gdy kątem oka zerknął na bratanka ponad kartką, a potem coś zakleiło mu gardło i zadrukowany suchy formularz dziwnie się rozmazał. Cholera! A jednak! Co za przeklęty los! *Clava curva!* A nawet kurwa mać!

– Już wiesz – skonstatował chłopiec, widząc, że po twarzy stryjka przebiegło mnóstwo kontrastowych uczuć, które nie do końca potrafił

nazwać.

– Chcesz sam przeczytać? – Rysownik wyciągnął do niego dłoń z dokumentem.

– Ty mi powiedz. Jestem twój czy nie?

Słaby głos dziecka i to, jak sformułował pytanie, dało Bartkowi do myślenia. Dotąd był przekonany, że Tymkowi najtrudniej byłoby zaakceptować fakt, iż przez lata żył w świecie zbudowanym na kłamstwie i głupocie dorosłych. Teraz nabrał pewności, że małemu chodzi nie tyle o przywrócenie dawnego ładu, co o namiastkę poczucia bezpieczeństwa, którym ostatnie tygodnie zachwiały z mocą letniej nawałnicy.

– Mój – potwierdził zdecydowanym głosem, a twarz chłopca pojaśniała. – Zawsze byłeś moim jedynym i ukochanym bratankiem.

– Bratankiem? – Spojrzenie dziecka momentalnie zgasło. – Czyli całe zamieszanie zrobiliśmy niepotrzebnie, tak? To badanie, podkradanie próbek od ciebie i mamy było bez sensu, bo i tak nic się nie zmieniło?

– Zmieniło się wszystko.

– Bo?

– Bo teraz nie masz wątpliwości.

Mały się podniósł, dosunął krzesło, okrążył stół i stanął tuż obok mężczyzny. Piuwe oczy w identycznej ciemnej oprawie spotkały się w długim, niemal bolesnym spojrzeniu.

– Myślisz, że tata by się ucieszył z tych wyników?

– Sądzę, że tak.

– Niepotrzebnie się wkurzał i bał. A ciebie to nie ciekawiło? Nie martwiłeś się, że być może masz syna i o tym nie wiesz?

– Oczywiście, że tak, ale przecież wciąż kręciłem się przy tobie. – Bartek westchnął, przygarnął chłopca i spróbował posadzić go sobie na kolanach. Ten jednak stanowczo mu się wywinął i odsunął o krok. – Nie powiesz chyba, że cię kiedyś zawiodłem?

Dzieciak zacisnął dłonie w pięści i wycedził przez zęby:

– Zawiodłeś. Liczyłem na to, że zmienisz się ze stryjka w tatę. Mama mnie olała. Zostanę całkiem bezrodzicowy, jak jakiś przybłęda. – Głos mu się załamał. Nie panował już nad emocjami. Chwycił wyniki z laboratorium, przedał je na pół, a potem, z trudem powstrzymując krzyk, obrócił się na pięcie i uciekł.

W sypialni dopadł do okna i opuścił rolety, a potem rzucił się na podłogę, próbując wczołgać pod łóżko, gdzie jeszcze niedawno krył się jego plecak.

Nie udało mu się ta sztuka, bo było zbyt nisko. Zwinął się zatem w kłębek, wcisnął sobie do ust jedną z pięści i oddał bezgranicznej rozpacz.

Bartek zebrał strzępki korespondencji, jeszcze raz rzucił okiem na fragment, w którym stało jak byk, że ojcem Tymona Pilcha jest Borys, upchnął papiery w pierwszej z brzegu szufladzie, wychodząc z założenia, iż nigdy nie wiadomo, czy się kiedyś nie przydadzą, po czym pognął do dziecka. Zastawszy go w stanie kompletnej rozsypki, próbował nakłonić małego, by podniósł się z parkietu. Ten jednak nie reagował na prośby. Dygotał, zanosił się szlochem, wrzeszczał, wył i zaczynał wierzgać jak przerażony żredek za każdym razem, gdy stryjek się do niego zbliżał.

– W porządku. Leż, krzycz i płacz. Poczekam. Daj znać, gdy się zmęczysz i będziesz gotów normalnie rozmawiać – oznajmił Pilch, przerzucił na krzesło sukienki Magdaleny i położył się na łóżku, tuż przy krawędzi, nie spuszczać dzieciaka z oczu. Po kilku minutach nie wytrzymał i dodał: – Jeszcze trochę i zrobisz sobie jakąś krzywdę. Zacznieś wymiotować albo się krztusić i będę zmuszony wezwać pogotowie. Chyba się nie stęskniłeś za szpitalem?

Odrobinę podziałało, bo hałas ucichł i Tymek z wolna się uspokajał. Bartek odetchnął. Był gotów dla tego dziecka na bardzo wiele, lecz nie mógł mu pozwolić na histeryczne uzalanie się nad sobą. To utrudniłoby powrót do równowagi i wypracowanie rozsądnych zasad wspólnego życia.

Zadzwoiła komórka. Dostrzegł na wyświetlaczu, że dobija się Ada, i odruchowo odebrał. Gdy usłyszał jej głos, wypełniło go przyjemne, niemal słodkie ciepło. Dźwięk smartfona wyrwał chłopca z dna rozpacz i podniósł do pionu. Stał teraz oparty plecami o parapet i patrzył na stryjka bykiem. Twarz miał zalaną łzami i zasmarkaną, a na knykciach wyraźnie odznaczały się ślady zębów. Pilch urwał pospiesznie rozmowę z dziewczyną i schował telefon do kieszeni.

– Idź do łazienki – poprosił, starając się, by brzmiało to spokojnie, choć był nieźle roztrzęsiony. Powtarzał sobie w duchu, że to nie czas na cackanie się. – Umyj buzię i porządnie się wysmarkaj, a potem wróć.

– Nie chcę rozmawiać!

– Spoko. Nie rozmawiaj. Wysłuchasz tego, co mam do powiedzenia, i dam ci spokój.

Tymek z wahaniem pokiwał głową i wykonał polecenie. Po chwili wrócił z zachlapaną koszulką i spodniami. Nawet włosy miał mokre.

– No? – mruknął ponaglająco.



– Usiądź. – Stryjek poklepał zachęcająco kołdrę i dopiero gdy prośba została spełniona, zaczął mówić: – Rozumiem cię. Naprawdę. Twój tata też by rozumiał. Opowiadałem ci, że zostawaliśmy na całe miesiące z dziadkiem i babcią. Wtedy czuliśmy się podobnie: oszukani, porzuceni, niechciani. Ale dziadkowie nas kochali. Teraz to wiem. I byli dla nas bardzo dobrzy. Ja też cię Kocham i nigdy tego nie kryłem. Nie wiem, czy kochałbym cię mocniej, gdyby ten wynik wyszedł inny. Zastanów się. Zostalibyśmy razem na ten rok niezależnie od wszystkiego. Mama i tak by wyjechała.

– Bo nie chcesz jej pokochać!

– Ona też mnie nie kocha. Miłość nie działa na pstryknięcie palcem i tego nie zmienimy. Pogódź się z faktem, że to rozwiązanie nie istnieje.

– Bo wolisz tę ba... Adę!

– Zdecydowanie wolę. A mama być może kiedyś też pozna kogoś, kto stanie się dla niej ważny. To naturalne w życiu i nie ma związku z uczuciami do ciebie.

– Porządna matka nie wyjeżdża bez dziecka!

– Tak może się wydawać na pierwszy rzut oka, ale żaden z nas nie siedzi w jej głowie ani nie powinien jej oceniać.

– Zajmujesz się mną, bo musisz!

– Bzdura. Nikt mi nie bronił odmówić, ale uznałem, że to dla ciebie najlepsze wyjście, a ja zrobię to z przyjemnością. Tymek, jesteś rozsądnym facetem, więc zbierzmy fakty. Masz mnie i możesz na mnie liczyć w każdej kwestii. Na najbliższy rok stanę się dla ciebie jak tata i mama razem wzięci. Jeśli dasz szansę Adzie, ona z pewnością bardzo cię polubi. Nie będziesz samotny ani... jak to nazwałś? Bezrodzicowy? Wierzysz mi?

– Nie wiem. Dlaczego nie widzisz się z dziadkiem? Niby cię kochał, a teraz ma cię w dupie?

– Hola! – Bartek pogroził dziecku palcem. – Pokłóciliśmy się, a potem ja i twój tata nie umieliśmy dziadka przeprosić. Nie przypuszczam jednak, by żałował, że dołożył kilka swoich cegiełek do naszego wychowania.

– Skąd wiesz?

– Tak mi się zdaje. Przyjechał na pogrzeb i zachowywał się bardzo przyjaźnie.

– To na co czekasz?

Rysownik uniósł z zaskoczeniem brwi.

– Z czym?

– Z telefonem do niego. Masz numer. Widziałem, jak zapisywałeś na cmentarzu. Dzwoń i już. Niech się z nami spotka i wtedy już ja go sam wypytam, czy się cieszył, że w kółko miał was na głowie.

W oczach chłopca miejsce rozpaczony zajęła determinacja. Bartek odetchnął z ulgą i pod czujnym spojrzeniem bratanka wybrał numer seniora Pilcha.

## 26.

Adzie nie udało się zasnąć w wynajętym pokoju. W myślach obracała sceny z całego dnia: pożegnanie z Bartkiem i panią Ludmiłą, zaskoczenie w krakowskim szpitalu i trudną wizytę u Gabrieli, która nie dość, że wciąż pozostawała całkowicie oderwana od świata, to nie budziła już dawnej tkliwości. Córka nie potrafiła wykrzesać z siebie niczego poza współczuciem, bo gdzieś z tyłu głowy pulsował jej rozogniony żal o to, że ta kobieta pozbawiła ją ojca. Tyle lat chowała ukryte w pamięci obrazy płonących w kuchennym piecu listów od niego. Za każdym razem czuła się okradana z miłości, jakby przemocą odrywano ją od ukochanego taty, jakby kolejny raz dla niej umierał. „On już nie żyje! Nie żyje” – słyszała echo dawnych słów i nie mogła się ich pozbyć w ciemności nocy.

Matka w końcu dopięła swego. Córka poddała się natarczywie wpajającym rezolucjom, że ojciec nie wróci, a nawet jeśli kiedyś go wypuszczą, nie będzie już taki sam. Uwierzyła w jego absolutną niedostępność, dlatego wieść o tym, że Helena Zawadowicz pisze do niego listy, potężnie Adą wstrząsnęła. Dopadły ją wyrzuty sumienia, że dotąd nie zrobiła niczego, by go odszukać i nawiązać z nim kontakt.

Rankiem jeszcze raz odwiedziła matkę z nadzieją, że tym razem wykrzesze z siebie nieco więcej uczuć, poniosła jednak kolejną porażkę. Poczytała na głos książkę, którą otworzyła na pierwszej lepszej stronie, wypytała personel ośrodka, czy niczego chorej nie potrzeba, zobowiązała się do regularnych wizyt i z duszą na ramieniu ruszyła w drogę na Spisz.

Stresowała ją perspektywa spotkania z Heleną Zawadowicz. Nigdy nie złapała z nią wspólnego języka, ograniczając relację do uprzejmej sympatii. Łączyli je tylko Jacek i Stefan.

Mknęła przez skąpany w słońcu kraj, obserwując coraz liczniejsze obłoki płynące dostojnie po błękitnej scenie nieba i ciesząc się, że odległość ponad stu kilometrów pozwoli jej przestawić się z jednego trudnego tematu na drugi. Dopiero za Krościenkiem oderwała myśli od matki i zdołała oczyścić umysł. Skupiła się na serpentynach pośród pienińskich krajobrazów i pasła oczy feerią zieleni oraz malowniczymi ruinami dwóch zamków rozsiadłych dumnie nad lśniąca taflą jeziora.

W Niedzicy serce jej przyspieszyło i zaczęło tłuc się niespokojnie, czym wywołało niechciane wizje tego, jak niedoszła teściowa zatrzaskuje jej drzwi przed nosem, obrzuca wyzwiskami i na dokładkę grozi ekskomuniką, odbierając szanse na uzyskanie upragnionych informacji. Resztką rozsądku

Walicka zdołała się pocieszyć, że jeśli tak się stanie, to trudno. Skorzysta z drogi oficjalnej i choć pewnie potrwa to dłużej, jakoś zdobędzie namiary na miejsce pobytu ojca. W efekcie podjechała pod dom Zawadowiczów spięta, lecz bez paniki.

– Przecież mnie nie ugryzie. – Usiłowała się podbudować. Poklepała kierownicę mini coopera w podziękowaniu za udaną podróż i wreszcie wysiadła, czując, że lekka sukienka w drobne kwiatki przykleiła jej się do pośladków. – Taka ona w stu procentach z bawełny jak ja hrabianka – mruknęła pod nosem i ruszyła do furtki.

Drzwi uchyliły się, zanim zdążyła zapukać.

– Rychło w czas. – Usłyszała zamiast powitania.

– Przepraszam, że nie odbierałam od pani telefonów – bąknęła, by tę sprawę mieć jak najszybciej z głowy.

– Sumienie pewnikiem cię gryzło, ale wstyd i honor trzymały za gardło. Ludzka rzecz. Wejdz, wejdz. – Helena cofnęła się, by wpuścić gościa. –

Wiedziałam, że zdecydujesz się ze mną porozmawiać. Podobnież się opamiętałaś. To bardzo dobrze, dziecko.

Podreptała do kuchni, podpierając się na nieodłącznej kuli. Osłupiała dziewczyna ruszyła za nią i kiedy gospodyni wykonała wymowny gest ręką, posłusznie usiadła przy stole. Uhlik otarł się o jej nogi i pozwolił poczochnąć puszysty zadek. Lubiła go. Zawsze się do niej łąsił, chociaż przed Jackiem umykał, gdzie pieprz rośnie.

– Pani syn mnie tu zapowiedział? – wydusiła z siebie przez ściśnięte gardło.

– Gdzie tam! – Kobieta odwróciła się od zlewu, przy którym napełniała czajnik. – Tyle wiem, że odeszłaś od tego twojego konkubenta i że wam się zbiera na pojednanie.

– Komu?

– No, tobie i Jacusiowi. Tom pomyślała, że na pewno się odezwiesz, tylko sądziłam, że raczej zadzwonisz, a nie tak bez uprzedzenia w gošcinę.

– Nie zajmę pani dużo czasu. Chwilę porozmawiamy i pojedę do domu.

– Znaczy do Łodzi? Nic nie wiesz?

– O czym?

– A, takie tam... wsiowe sprawy. – Zbagatelizowała z ulgą swoje słowa gospodyni i postawiła przed Adą kubek kawy rozpuszczalnej z mlekiem. – Pij. Posmakuje ci, on taką lubi – dodała i zakryła sobie usta dłonią.

– Jacek?

– Mhm. – Helena przeżegnała się ukradkiem, nie zważając na zdziwienie gościa. Nie będzie się tłumaczyć, że nie w smak jej grzeszyć kłamstwem. W dodatku dla własnych korzyści.

– Przecież on tylko z ekspresu.

– Ostatnio przestał być taki wybredny. Nieszczęśliwy człowiek nie zwraca uwagi na niedogodności. – Postawiła drugi kubek z herbatą dla siebie i z wysiłkiem przysiadła na krześle, opierając kulę o drzwi lodówki. – On cię kocha jak nikogo na świecie. Takie uczucie zdarza się rzadko i grzech je lekceważyć. To dar od Boga. Bluźnisz przeciw Niemu, gdy po nim depczesz.

Matko, jaka ona patetyczna, pomyślała Walicka. Za chwilę zacznie układać wiersze o synalku – chamie, brutalu, gwałcicielu, a ostatnio jeszcze szantażyście.

– Niczego nie depczę. – Zbuntowała się i aby pohamować nadmierną szczerłość, zanurzyła usta w kawie.

Za słaba i za dużo mleka, skwitowała w duchu.

– Jakby mnie kto pytał, powinniście jak najszybciej się zejść i na nowo ustalić datę ślubu. Tylko na ten rok już się pewnie nie uda... Zaraz jesień, a potem Adwent. W karnawale byłoby pięknie. Dobrze wejść w sakrament małżeństwa, gdy świat się raduje z narodzin Jezusa.

Ada przewróciła oczami i postanowiła zakończyć tę bezsensowną gadkę. Stłumiony przejściami z matką bojowy duch nagle do niej powrócił. Przepelniły ją ożywcza siła i niezachwiana pewność siebie.

– Żadnego ślubu nie będzie.

– Jak to nie? Chcecie dalej żyć na kocią łapę? Dziecko! To nie uchodzi. Ja wiem, że nie każdej miłości pisane jest błogosławieństwo Boże, czasem życie płacze się koślawo i nijak nie wiadomo, jak je rozprostować. – Głos jej się lekko załamał i otarła kąciki oczu opuszkami palców. – Wam szczęście sprzyja. Nic nie stoi na przeszkodzie, byście byli razem tak, jak Bóg przykazał.

– Stoi i jest to przeszkoda zasadnicza.

– No? Mówże, do jasnej anielki!

Ada nie zamierzała wywlekać faktów, w które gospodyni i tak by nie uwierzyła.

– Ja go po prostu nie kocham – oznajmiła tylko i korzystając ze spolegliwości Uhlika, schyliła się i wciągnęła go na kolana, by zająć czymś ręce. Zanurzyła palce w czarne futerko i ogarnęła ją błogość, gdy kuchnię

wypełniło rozkoszne mruczenie. – Pani powinna mnie rozumieć lepiej niż ktokolwiek.

– Oddałaś serce temu drugiemu. – Hela pokiwała głową, mnąc w rękach skrawek kuchennego fartuszka, który miała przewiązany w pasie. – Ale jakże to sobie wyobrażasz? On przecież mieszka teraz z jakąś dzieciątą babą!

Walicka zazgrzytała zębami i na dłuższą chwilę skupiła się na kocie. Niech to szlag! Nie dość, że zwyrodnialec ją szpieguje, to jeszcze donosi o wszystkim matce! Pieprzony desperat!

– To nie do końca tak. – Zdecydowała się odkryć kilka najbardziej niewinnych kart. – W lipcu zmarł jego brat, a on chwilowo przygarnął bratową z bratankiem. To dobry człowiek, nie zostawia nikogo w potrzebie. Zwłaszcza najbliższych.

Helenie zrzędała mina. Oburzenie zacisnęło jej usta w wąski sznurek. Uczucia Ady przeniosły się na innego i Bóg powinien ją za to ukarać, tak jak przed laty jej ojca i jego kochankę, a tu zapowiada się na pełnię szczęścia. niesprawiedliwe! Jakież okrutnie niesprawiedliwe. Zawisać jest zła, grzeszna, tymczasem z nagłą doszła do głosu i nie szło się jej pozbyć. To wina tej dziewczuchy, która złamała serce Jackowi.

– Po coś się tu przypętała? – warknęła, podnosząc się z krzesła i aby całą swoją postawą zasugerować, że nie zamierza poświęcić gościowi więcej uwagi, niż to konieczne, zabrała się za skrobanie marchwi na obiad.

– Rozumiem pani rozczarowanie – przyznała Walicka ugodowo. – W zasadzie przyjechałam w sprawie taty. Pani podobno z nim koresponduje. Chciałabym do niego napisać. Poda mi pani nazwę właściwego zakładu?

– Nie – odpowiedź padła natychmiast, choć głowa gospodyni nie uniosła się znad obieranej włoszczyzny. Jeszcze czego! Dopiero odzyskała Stefka, musiała mieć baczenie na tę miastową łajzę o bieliźnianym nazwisku i jeszcze jej potrzebna konkurencja w postaci córki?! Po pierwszej fali sprzeciwu przyszło jednak zastanowienie, że skoro ta dziewczucha przebyła taki szmat drogi, łatwo nie odpuści. Wyrzucona za próg, zacznie się kręcić po wsi i byle plotkara raz-dwa ją uświadomi, że skazany odzyskał wolność. Ciotka Zawilcowa pierwsza. Ona mu nawet szczerze przychylna. Inne baby też, bo się boją proboszczowi sprzeciwić. Tylko chłopcy cięte na biedaka. Lepiej dać Stefanowej córce, czego chce, i niech czym prędzej wyjeżdża. Zanim napisze listy, zanim wszystko powyjaśnia, minie trochę czasu. On przywyknie do nowego życia i zrozumie, że najlepiej mu przy Helci.

Wtedy niech się dzieje wola nieba. Może Bóg stanie po stronie ich doświadczonej cierpieniem miłości i Ada w niczym im nie zaszkodzi? –

Znaczy nie dam ci nazwy zakładu – poprawiła się, gdy poczuła na sobie pytające spojrzenie. – Tylko cały adres. Po co masz szukać?

Wytarła ręce w fartuch, sięgnęła po kulę i pokuśtykała do pokoju. Po chwili wróciła z zapisaną równym, niemal szkolnym pismem kartką.

– Dziękuję. – Walicka zestawiała Uhlika na podłogę, chwyciła papier i starannie złożyła, a potem wsunęła do torebki.

– Tylko cierpliwa bądź, bo on niezbyt wyrywny do listów. Kto wie, jak szybko ci odpisze i czy w ogóle. A teraz już jedź. Południe dawno minęło. Na obiad cię nie zapraszam, bo nic nie jest gotowe, a jeśli zmitręzysz jeszcze trochę czasu, przed nocą do Łodzi nie zajedziesz.

Ada z grzeczności duszkiem dopiła kawę i pospiesznie opuściła rodzinny dom Jacka, zapomniawszy nawet skorzystać z toalety. Wróciła do samochodu i bez zwłoki udała się prosto do swego matecznika. Do Łodzi nie zamierzała jeszcze wracać. Nadal potrzebowała odpoczynku, oddechu, a po tym, jak poprzedniego wieczoru Bartek ją zbył przez telefon – także dystansu i ostudzenia głowy. Uznała, że skleci list do ojca w miejscu, w którym ostatni raz się widzieli, zanim jej dzieciństwo rozbiło się na bezużyteczne skorupy.

Na płocie dostrzegła niedużą kartkę z napisem: „Pilnuj się. Wszyscy mają na ciebie oko”. Wzruszyła ramionami. Zostawiła w spokoju przekaz, uznawszy, że to pewnie jakaś nowa zabawa miejscowych dzieciaków, coś jak dawne podchody. Zdecydowanie pchnęła furtkę. Zaskoczyło ją, że obejście wygląda na dość zadbane. Trawa wprawdzie pięła się wysoko, natrętnie błagając o kosiarkę, a pokrzywy zdawały się grać w dawnym ogródku pierwsze skrzypce, ale okna lśniły czystością i wisiały w nich firanki. Obeszła dookoła budynek, nie spiesząc się. Gdy zajrzała przez jedną z szyb, dostrzegła na parapecie doniczkę z owocującym mandarynkowym drzewkiem wysokim na dobry metr. Błogi uśmiech pojawił się na jej twarzy. Wzruszyła się, przekręcając klucz w zamku.

Za drzwiami mina jej zrzęda i zwyczajnie trafił ją szlag. Ktoś tu mieszkał! Pomieszczenia były wysprzątane, choć bez pedantyzmu. Pod zlewem stały dwie miski, jedna z resztką wody. Na kuchennym stole dostrzegła brudny kubek z woreczkiem od herbaty w środku. Obok niego leżały gazetki z krzyżówkami, a na nich długopis. Na jej dawnym łóżku wałała się niezbyt starannie zaścielona kołdra, a na biurku piętrzyło się kilka

książek. Na podłogę ktoś rzucił niedbale koszulę w kratę. Ogarnięta furią Walicka otworzyła z impetem szafę i odkryła w niej skromny stos obcych, męskich ubrań.

Pęcherz nie pozwalał na dłuższą zwłokę, wpadła więc do łazienki, gdzie odkryła wilgotny ręcznik i kilka podstawowych kosmetyków wskazujących na obecność mężczyzny. To jakiś żart! Rzuciła się do samochodu, łypiąc w przelocie na gęstniejącą warstwę chmur. Może wreszcie niebo zdecyduje się ulżyć ziemi i zwilży ją deszczem? Niechby przelotną mżawką, choć raczej należało spodziewać się burzy, bo tego popołudnia duchota osiągnęła apogeum. Po kilku minutach Ada ponownie zajechała pod dom Zawadowiczów i zaczęła walić z impetem w drzwi, aż zabolą ją pięść. Nicco potrwało, zanim Helena otworzyła.

– Jezusie słodki! Co się stało? Czegoś tak zbladła?

– Co pani wyprawia?! – Zdenerwowany głos poniósł się po podwórku i spłoszył dwa wróble.

– Ale co? – Kobieta złapała się za serce i główkowała, skąd ta dziewczyna wie, że ona właśnie rozmawiała z Jackiem, opisując niespodziewaną wizytę.

– Dlaczego wpuściła pani kogoś do naszego domu?

– Do waszego? Czyli gdzie?

– Niech pani nie udaje! Od lat trzyma pani zapasowe klucze. Kiedyś to było, nie powiem, wygodne, bo jakby coś się działo... Wynajmuje pani moją własność letnikom?

– Nie. Wejdz do środka, nie będziesz mi tu wrzeszczeć na całą wieś. Zaraz się ludzie zlecą.

– Niech się zlatują! Mnie to nie przeszkadza. Nie mam nic do ukrycia. Poproszę moje klucze.

– Nie oddam.

– Jak to pani nie odda? Skończmy tę szopkę albo dzwonię po policję. Ciekawe, jak się pani wytłumaczy z lewych dochodów z cudzej własności.

– Nie mam.

– Dochodów czy kluczy?

– Jednego ani drugiego – zeznawała Helena słabym głosem, bo poczuła, że przegrała i nie zdoła się wykaraskać z tej niezręcznej sytuacji. Kłamstwo ma krótkie nogi. I na co znów jej przyszło? Bóg się wreszcie zniecierpliwi. Do modlitw został już chyba jedynie Święty Juda Tadeusz, patron spraw beznadziejnych.



– To kto ma te klucze? – drażyła Ada, nagle sprawiając wrażenie, jakby opadła z sił, bo oparła się ręką o framugę i chwyciła za brzuch.

– Ja. – Padło zza jej pleców tak nagle, że aż podskoczyła.

Odwróciła się na pięcie, a wtedy niemal wpadła na mężczyznę tylko trochę od niej wyższego, za to szerokiego w barach niczym kulturysta. Dostrzegła, jak na ramionach drgają napięte mięśnie, i uniosła wzrok na jego twarz. Gdy trafiła na zielone oczy, odkryła w nich mieszaninę zaskoczenia, niedowierzania i tak głębokiego smutku, że odebrała go niemal jak fizyczny ból. Po chwili ogarnęła ją dziwna drętwota, obraz przed oczami zafalował i zastąpiły go czarne wirujące płatki. Straciła kontrolę nad nogami i osunęła się w ciemność. Ostatnie, co zapamiętała, to silne ręce chroniące ją przed upadkiem.

## 27.

– O mamuńciu, ale mnie zrobiła na szaro! – pytlowała Majka Lipska, rozglądając się z zainteresowaniem po salonie i aneksie kuchennym w mieszkaniu Pilcha.

Ciemne włosy związała w koński ogon. Wyglądała fantastycznie, opalona, tryskająca energią, w sukience dresowej z dekoltem w serek idealnie podkreślającym jej największy atut – kształtny, obfity biust. Na biodrze usadziła okrakiem pyzate, niemal półroczne niemowlę wystrojone w błękitną bluzeczkę z kołnierzykiem i białe porteczki odprasowane w kancik. Wydawało z siebie gulgotliwe dźwięki i wytrwale pchało do buzi szeleszczącego, pstrokatego hipopotama.

– Jakim sposobem? – zaciekawił się Bartek.

– Specjalnie do niej nie dzwoniłam po powrocie, bo postanowiłam zrobić jej ze Stasiem niespodziankę. A tu mi przez domofon ta wasza staruszka nawija, że trafiłam jak kulą w płot, bo moja przyjaciółka pognąła w siną dal. Mam dla niej prezenty. Winko i oczywiście licitar. Wiesz, co to?

– Nie kojarzę.

– Taki piernik miódowy w kształcie serca. Cudnie zdobiony białoczerwonym lukrem. Wybrałam dla niej najładniejszy. Do tego hit programu: *Paška čipka*. Słyszałeś o czymś takim?

– A powinienem?

– Nie wiem. Ale przewracasz oczami, więc nabrałeś nieobyczajnych skojarzeń, lubieżniku. *Pag* to wyspa, a *čipka* to koronka, taka dziergana na szydełku. Śmieszny chochlik językowy, nie? Może mało to pożyteczny podarek, ale nazywa się ślicznie, poza tym ręczna robota. Nie mogłam się powstrzymać. Na pewno będzie zachwycona, tylko mi powiedz, gdzie ją znajdę – pytlowała nieustannie, nie zostawiając rozmówcy pauz na dłuższą wypowiedź. – Ładnie się urządziłeś. Niby kawalerska chawira, a czysto, ze smakiem.

Pilch westchnął z rezygnacją i wyciągnął z kuchennej szafki dwa kubki.

– Kawy?

– Poproszę, ale tylko dla mnie. Stasiulek ma swój soczek. – Zachichotała i schyliła się, by podnieść dziecku zabawkę, która wypadła z małych rączek. – Powiem ci, że odkąd zaczęły mu iść ząbki, coraz chętniej próbuje nowych smaków. Nawet się zastanawiam, czy już mu nie wprowadzać słoiczków z indykiem. Niby można, bo są od szóstego miesiąca, ale moja teściowa tak naciska na karmienie go mięsem, że z samej przekory nie mam ochoty.

Białko zwierzęce i białko zwierzęce. „Chłop od małości musi dobrze zjeść, bo na neptka wyrośnie”. Tak gada. Tyle że ona jest wrogiem kupnych obiadków. Uważa, że powinnam sama pichcić, ucierać, miksować, a do tego najlepiej sadzić własne warzywa. Nie wiem gdzie, chyba w doniczkach na balkonie. Indyka też powinnam pewnie wyhodować własnego, bo kupne na hormonach pędzone. Tłumaczę, że te słoiczkowe gotowce są maksymalnie ekologiczne, ale jak grochem o ścianę. Bo ona ze swoimi dziećmi tak nie postępowała. A ja według niej gonię za wygodą, byle jak najwięcej czasu mieć na malowanie paznokci i pindrzenie się. Rozumiesz? Co za zołza, mówię ci. Mam nadzieję, że twoja matka taka nie jest. Chociaż nie, ona podobno mieszka w Holandii. Istnieje szansa, że nie zacznie się wam wtrącać. Ada mi wspominała. No właśnie, to powiesz w końcu, gdzie ona?

– Ze spienionym mlekiem?

– Oczywiście. Moja teściowa pija wyłącznie czarną. Wyobrażasz sobie? Okropieństwo.

– Koszmar.

– Ja też się napiję – wtrąciła się do rozmowy Magdalena, wkraczając do pokoju wraz z intensywnym zapachem balsamu do ciała i perfum. Ubrana była jak do wyjścia: w cienką, zwiewną sukienkę z szyfonu w kwiatowy wzór, kończącą się nad kolanami, oraz kremowy satynowy żakiecik z krótkim rękawem. Na nogi włożyła łososiowe szpilki współgrające kolorystycznie z resztą kreacji. – Tymonowi zrób kakao.

– Dzień dobry – mruknęła lekko zmieszana Lipska. – Bartek, przedstawisz nas?

Omiótł wzrokiem obie kobiety, niemowlę i starsze dziecko, które zjawilo się tuż za matką, mamrocząc coś na kształt powitania.

– Moja bratowa, Magdalena, i jej syn, Tymek. – Dokonał kurtuazyjnej prezentacji, czyniąc szeroki gest ręką zza kuchennego bufetu. – A to Majka, przyjaciółka Ady, i Staś.

Lipskiej nie zachwyciło nagłe zagęszczenie wokół stołu. Liczyła na to, że wydusi z gospodarza nie tylko miejsce pobytu Walickiej. Interesowały ją szczegóły ich związku oraz plany na przyszłość, bo wieści, które podczas urlopu spływały do niej w formie telefonicznych pogaduszek, wydawały się co najmniej skąpe. Nie brała pod uwagę faktu, że rzadko dopuszczała przyjaciółkę do głosu.

Magdalena podeszła do szwagra, stanęła tuż za nim i opierając mu dłoń z nienagannym manicure'em na plecach, oznajmiła głosem, który Majce

wydał się wyjątkowo drapieżny:

- Nie zapomnij, że dla mnie w filizance.
- A dla mnie z dupą – dodał jej syn bez skrepowania.

Kolejny kwadrans upłynął na sztywnej rozmowie skupiającej się przede wszystkim na tym, czy zbierające się chmury zwiastują burzę i jaka jest szansa, że po niej nastąpi ochłodzenie. Mały Pilch wysupłał z kieszeni spodni komórkę, poklepał w nią i oznajmił ze wzrokiem przyklejonym do ekranu:

– Front burzowy wędruje z zachodniej Europy i wkrótce obejmie całą Polskę. Tak tu napisali. Nie wiem, czemu front, bo to nie wojna. Potem ma znowu być gorąco i co jakiś czas będą przelotne burze. Na ochłodzenie i zwyczajne deszcze można liczyć dopiero na początku września.

– Pewnie pogoda zamierza opłakiwać zakończenie wakacji – uzupełnił stryjek.

– Każdy by opłakiwał – zgodził się chłopiec. – Może ten front opóźni odloty samolotów...

– Wypluj to słowo – włączyła się do dyskusji matka chłopca.

– Z moich doświadczeń wynika, że nie potrzeba nawałnic, by coś nawaliło. Wróciliśmy wczoraj z Chorwacji. Lądowaliśmy trzy godziny po czasie, chociaż pogoda była jak dzwon.

– Na Lublinku? – Chciał wiedzieć Tymek.

– Na Chopina.

– A jakim samolotem pani leciała?

– W sensie?

– No, jakim modelem?

– Nie mam pojęcia.

– Nie sprawdziła pani takiej ważnej informacji przed startem? – Tego mały wielbiciel lotnictwa nie potrafił zrozumieć.

– A po co?

– Z ciekawości.

– Powiem ci, że nie. Skupiłam się na tym, by jakoś przetrwać marudzenie teściowej, która nie mogła przeboleć, że ja siedzę przy oknie, a nie ona.

Rysownik uniósł kąciki ust. Szybko jednak popsuł mu się humor, gdy wtrąciła się Magdalena:

– Bartek, mój drogi, czas żegnać gościa, bo za pół godziny powinniśmy wychodzić. Trzeba zanieść rzeczy do samochodu, wolałabym nie działać na łapu-capu. Pani wybaczy, ale goni nas czas – dodała uprzejmie, kiwając

głową w stronę Lipskiej, po czym wstała, wstawiła filiżankę po kawie do zmywarki i zniknęła w przedpokoju.

– Sorry. Faktycznie musimy się zbierać. Odprowadzę cię na dół, chcesz? Staś urósł niesamowicie. A dopiero się urodził. Pamiętam jak dziś. Tomasz miał starcie z pijanym pasażerem i Ada asystowała ci na porodówce w jego zastępstwie. Potem wybrałem się razem z nią do Zarzęcina po twoich rodziców.

I całkiem niewykluczone, że wtedy się zakochałem, dopowiedział w myślach, chyba że stało się to jeszcze wcześniej, tylko zwyczajnie nie zauważyłem. Jedno jest pewne: od tego dnia żywiołowo nie znosił Zawadowicza, a jego mózg zaczął produkować podejrzenie sentymentalne wizje.

– Tia. Niezła była zadyma – zgodziła się Majka i posłusznie ruszyła do wyjścia. Nie podobała jej się familiarna atmosfera tego domu i niepokoila ją postawa wysztafirowanego babska, które patrzyło na szwagra jak na swoją własność. O co tu, kurde, kaman, miała ochotę wykrzyknąć. Na szczęście się powstrzymała i przystąpiła do sondowania dopiero w windzie. – Wymieniłeś moją przyjaciółkę na to-to? Serio?

– Oszalałaś?

– To gdzie ona, wyparowała?

– Wyjechała na kilka dni. Najpierw do matki, potem planowała zajrzeć do Łapszanki.

– Dlaczego?

– Korzysta, bo wreszcie poczuła się lepiej. Potrzebowała odpocząć.

– Po gipsie i bolesnym gojeniu ran? – Lipska strzelała pytaniami, by drażnić sprawę z mocą świdra ziemnego.

– Też. I po mdłościach pierwszego trymestru.

Drzwi windy otworzyły się na parterze. Wyszli z budynku i odruchowo zerknęli na zachód. Coraz obfitsza reprezentacja chmur wydawała się jeszcze niewinna i cieszyła kojącą bielą.

– Nie kitujesz?

– Serioza i poważka.

– Czyli będę ciotką. – Majka przystanąła przy swoim samochodzie. – No ładnie. Uważaj na to, o czym marzysz, bo może się spełnić. Ada całą moją ciążę mi zazdrościła, to teraz ma. I co? Rozstaliście się?

– Dlaczego? – Pilch spojrzał na nią z niepokojem, unosząc brwi.

– Weź, nie pajacuj. Oboje wiemy, że to nie twoje dzieło, a ona zdaje sobie sprawę, że dziecko powinno wychowywać się z ojcem. Własny deficyt poukładał jej priorytety. Na początku lipca Jacek wyjozczał ode mnie jej nowy numer telefonu. Kilka dni temu się widzieli. Nie muszę już zgadywać po co. Oznajmiła mu dobrą nowinę. Skoro pojechała do Łapszanki, z pewnością są tam razem, by osobiście uświadomić przyszłą babcię. Dobrze kombinuję? Od wstępu wydajesz mi się dziwnie sztywny, niepocieszony i bęc... się wyjaśniło. Planowałam ci zostawić te prezenty dla niej, ale w tej sytuacji chyba po prostu jej wręczę, gdy wrócą do Łodzi.

– Co ty wygadujesz, kobieto?

– Nieważne. Nie słuchaj. Rozumiem już wszystko. Przykro mi, Bartek. Kurde, fajny z ciebie człowiek i ona przy tobie wydawała się taka... odprężona, ale rodzinne więzi to magia. Powiem ci, że nie wyobrażam sobie wychowywania Stasia z kimś innym niż Tomasz – zakończyła z emfazą, zapinając syna w foteliku.

– Ada widuje się z Zawadowiczem?! – Do Bartka zaczął z wolna docierać sens Majkowego słowotoku.

– Ehe. Zaskoczony? – mruknęła, gdy siadała za kierownicą. Nagle zasłoniła sobie usta dłonią i dodała: – O mamuńciu, jeszcze ci się nie przyznała? Sorry! Rany, oberwie mi się. Ona mnie zwyczajnie zatłucze jak zuczka gnojowego na ścianie latryny. Spadam i nie miej do mnie żalu. –

Zapięła pasy i wyjechała z parkingu, odbiwszy się niezgrabnie oponą od wysokiego krawężnika.

Pilch najchętniej zabunkrowałby się bezzwłocznie w cichym kącie i zadzwonił do Ady z wszystko wyrażającym pytaniem: co ona odpiernicza? Niestety czas naglił. Należało upchnąć bagaże Magdaleny w nissanie, odwieźć ją na warszawskie lotnisko, by wreszcie się oddaliła w diabły, i zadbać, by w całym tym zamieszaniu jej syn nie oszalał z rozpaczy. Początkowo Bartek rozważał przeforsowanie pożegnania w domu, by chłopiec nie musiał przechodzić gehenny machania matce podczas odlotu. Pomysł spalił jednak na panewce, bo Tymek postawił ostre weto, zwłaszcza że niespodziewanie zapowiedziało się wsparcie. Poprzedniego dnia, zgodnie z życzeniem chłopca, zadzwonili do seniora Pilcha. Ten, usłyszawszy, że wdowa wybiera się za ocean, postanowił umilić dziecku trudne chwile własnym towarzystwem. Zjawił się w Łodzi koło południa i został przywitany owacyjnie, bo akurat wnuk stał w otwartych drzwiach sąsiedniego mieszkania, wypytując Gołębiewską, czy aby nie dzwoniła do

niej Ada. Zoja na widok obcego człowieka mocno posuniętego w latach, który bezceremonialnie klepnął po plecach jej ulubieńca, nie omieszkała zakomunikować:

– *Starrryj chrrricz! Starrryj chrrricz! Szto ty chcesz?*

Staruszka spłonila się ze wstydu przekonana, że ten elegancki mężczyzna w jasnym lnianym garniturze, który mimo wieku, znacznych ubytków w owłosieniu na głowie i zbyt obfitej tuszy wciąż trzyma się prosto, a do tego strzela we wszystkie strony tak jej znajomym i lubianym u Bartka figlem w oczach, zaraz się oburzy albo co najmniej poczuje zniesmaczony bezczelnymi okrzykami papugi. Ten jednak roześmiał się pobłaźliwie, ucałował po szarmancku dłoń kobiety i mrugnął do wnuka, po czym odezwał się niskim, tubalnym głosem:

– Musisz mi koniecznie zdradzić, czym ją sobie zjednać.

Spędzili razem w korytarzu zaledwie kilka minut, a Ludmiła przez całe popołudnie nie mogła uwolnić się od rozważań, czy ów dżentelmen przedstawiony jej jako Cezary Pilch zamierza zjednywać sobie amazonkę, czy jej właścicielkę.

Po lekkim obiedzie dziadek zaległ na kanapie w gabinecie, by choć przez godzinę zdrzemnąć się i zebrać siły na kolejną tego dnia podróż, tym razem do stolicy. Dzięki temu umknęła mu wizyta Majki. Wnuk postawił go na nogi dopiero w ostatniej chwili i Cezary, lekko sapiąc, załadował się na tylne siedzenie nissana obok Tymka. Całą drogę zagadywał chłopca, lecz ten pozostawał milczący, z twarzą niczym maska, bez śladów emocji, jakby ze wszystkich sił próbował zachowywać się dojrzałe. Nieco przy tym przesadzał.

Burza ciągle nie nadchodziła. Aplikacja w telefonie Tymka wskazywała, że front nie biegnie równo wzdłuż południków i zdążył objąć we władanie południowo-zachodnie połacie kraju, gnając na wschód. Magdalena tuż przed bramką lotniska stała się dziwnie nerwowa i wylewna. Obejmowała syna, głaskała go po włosach i usiłowała zajrzeć mu w oczy, choć chłopiec nie miękł zacięty w teatralnej sztywności i uciekał spojrzeniem na boki. W ostatniej chwili dał się jednak przytulić i wyszeptał ledwo słyszalne:

– Szczęśliwego lotu.

Rozmiar stresu, jaki przeżywał, nie pozwolił mu nawet na zainteresowanie się, jakim modelem samolotu jego matka opuści własne dziecko.

Rozpłakał się dopiero w drodze powrotnej. Samochód wypełniała cisza maćona szumem gnającego po asfalcie nissana. Staruszek chwycił jego dłoń i zerknął ponad pustym siedzeniem przed sobą na umykającą spod kół autostradę. Łzy spływały po dziecięcej buzi równym strumykiem. Nikt nie próbował go pocieszać ani hamować jego żalu. Mimo to czuł wyraźną obecność dwóch mężczyzn, ich sympatię i troskę. Nie zostałem sam, powtarzał w kółko jak mantrę. Trzech Pilchów to przecież rodzina. Jesteśmy razem. Nie zostałem sam. Nie zostałem sam...

Kierowca kontrolował w lusterku, co się dzieje za nim, i cieszył się, że ma wsparcie w seniorze. Pluł sobie w brodę, że zwlekał tyle lat z odnowieniem kontaktu. Dziadek musiał czekać na pojednanie od dawna, skoro przyszło mu ono tak naturalnie. Bywał surowy, zasadniczy, nie owijał w bawełnę i wymagał bezwzględnego posłuszeństwa, ale to dzięki niemu i babci Bartek z Borysem nie doświadczyli w dzieciństwie deficytu miłości. Fakt, że Magdalena wreszcie wyjechała, przyniósł Pilchowi ulgę. Wierzył, że ze smutkiem Tymka zdoła sobie poradzić. Świat wyglądałby optymistycznie, gdyby nie obawa, że Ada spędza wieczór z Jackiem. Trzeba jak najszybciej do niej zadzwonić. Próbował dwukrotnie, schowawszy się w lotniskowej toalecie, lecz nie odebrała. Co się u diaska dzieje? Naprawdę wróciła do tego popaprańca?! Sakramencki nonsens!

Gdy w szarości zmroku podjeżdżali pod blok, nad Łodzią przetaczały się pierwsze odległe grzmoty. Front nadchodził.



## 28.

Bodźce dźwiękowe docierały do Ady dziwnie wytłumione, jakby ktoś wepchnął jej do uszu kłębki waty. Nie mogła jednak się zmobilizować, by otworzyć oczy i sprawdzić, co się dzieje. Czowała, że leży na czymś miękkim, a nogi ma ułożone nieco wyżej niż reszta ciała, na poduszce albo wałku. Ktoś pocierał jej czoło i policzki miękkim materiałem nasączonym zimną ciecżą. Pojedyncze krople spływały z twarzy, omijały uszy, a potem ginęły we włosach lub zabawnie łaskotały szyję.

– Pić – wyszeptała i niemal natychmiast przytknięto jej do ust rant kubka, a czyjeś ramię uniosło nieco jej głowę i plecy, by mogła bezpiecznie przełykać. Woda. Jak cudownie.

– Nabiera kolorów. Będzie dobrze. – Usłyszała uspokajający damski głos. – Mówiłam, że nie trza się wyrywać z pogotowiem. Duchota dzisiaj, ona zdrożona. Doszły emocje i masz babo placek.

Rozpoznała Helenę Zawadowicz i przypomniała sobie, że odwiedziła ją prosto z podróży, po porannej wizycie u matki. Co mi się stało, próbowała odtworzyć chronologię zdarzeń. Klocki wskakiwały na swoje miejsca chaotycznie. Pod zamkniętymi powiekami błyskały kadry z ostatnich godzin. Kartka z adresem, zamki w Niedzicy i Czorsztynie skąpane w słońcu, ślady niechcianej bytności w rodzinnym domu i złość, jaka ją ogarnęła w związku z tym. Poleciała do Heli z awanturą. W drzwiach nagle poczuła się niewyraźnie. Faktycznie duchota jej dopiekle. Zarejestrowała obecność jeszcze kogoś, a potem nic, czarna dziura. Kto mógł się zjawić tuż za nią w drzwiach? Czy to Jacek? Miałby czelność przyjeżdżać za nią do Łapszanki? I czemu zemdląca na jego widok? Zemdląca?! Rany boskie, dziecko! Wystraszyła się i w panice pomacała brzuch. Odepchnęła rękę z kubkiem, poderwała się do pozycji siedzącej, przejechała dłonią między udami i wreszcie otworzyła oczy. Wszystko okej, nie ma krwi, nic ją nie boli. Takie zasłabnięcia w ciąży się zdarzają, zwłaszcza przy niskim ciśnieniu i lekkiej anemii, jaką wykazały ostatnie badania. Trzeba odpocząć i wszystko wróci do normy. Uniosła głowę i spojrzała na babkę swego dziecka.

– Lepiej ci? – zapytała kobieta z troską w głosie.

Szczerza ta troska czy to pozory? Przed kim miałyby udawać życzliwość?

– Tak, przepraszam. Nie wiem, jak to się stało. Zaraz sobie pójdę, pani była zajęta gotowaniem, a ja tak nagle wtargnęłam.

Obie wizyty u Zawadowiczowej zlały jej się w jedną. Nie opuszczało jej wrażenie, że zaszło coś niezręcznego. Pokłóciły się? O Jacka? O dziecko? Chyba nie wygadała się na temat ciąży! O klucz! Tak, o klucz i dzikiego lokatora.

– Nie tak szparko. Przyniosę chleba z miodem. Cukier postawi cię na nogi. Poczekajcie razem, skoro już po ptokach...

Gospodyni machnęła ręką, wstała niezgrabnie i oparłszy się na kuli, zniknęła za drzwiami pokoju. Walicka rozejrzała się i odkryła, że jest w sypialni, którą matka Jacka zawsze im odstępowała, gdy przyjeżdżali z wizytą. Leżała na łóżku, w którym mnóstwo razy się kochali. Nie zachwyciło jej to odkrycie, zmobilizowała się więc do wysiłku, opuściła nogi na podłogę i spróbowała wstać. Zatoczyła się lekko i chwyciła oszklonego regału. Tuż za nią momentalnie zmaterializował się człowiek, który unosił jej głowę, gdy piła. Przytrzymał ją za łokcie, by nie upadła, a po chwili objął ramionami, jakby chciał się przytulić do jej pleców. Odskoczyła jak oparzona, obracając się w miejscu, i oparła plecami o witrynę, aż zadzwoniła kolekcja dzwoneczków. Hela gromadziła je od lat, gliniane, metalowe, drewniane, a nawet dmuchane ze szkła z sercem na srebrnym łańcuszku. Kupowali je dla niej z Jackiem przy każdej okazji.

– Nie bój się. – Usłyszała Walicka, po czym podniosła wzrok na stojącego przed nią mężczyznę.

Zmienił się. Wyglądał inaczej niż na kilku zdjęciach, które zostały z jej najmłodszych lat. Postarzał się, dojrzał, posmutniał. Jego twarz się wyostrzyła, ubrana w kilka głębokich bruzd. Wydawał się jakby niższy, mniejszy, choć wysportowana sylwetka sugerowała, że to złudzenie. To Ada znacznie urosła od dnia, gdy ostatni raz stali tak naprzeciwko siebie i patrzyli sobie w oczy. Poznała go od razu, lecz jej mózg nie przyjmował do wiadomości informacji spływających od zmysłów. Ten sam głos, identyczne spojrzenie, nawet pachniał tak, jak zapamiętała, ale to przecież niemożliwe. Za dużo o nim myślała w ostatnim czasie i oto efekt. Omam. Psikus gigantycznego upału. Przecież dopiero co dostała kartkę z adresem otwierającym drogę do ojca.

– Co tu robisz? – wymamrotała niewyraźnie i otarła wierzchem dłoni nagle spocone czoło.

– Usiądź. – Tym razem stanowczo ujął ją pod ramię i podprowadził do łóżka. Całe szczęście, bo znów zrobiło jej się słabo. Sam przyklęknął przy niej, zachłannie chwycił jej dłonie i przyłożył sobie do ust. Nagle

zwilgotniałe tęczęwki załśniły głęboką zielenią. Patrzyła na nie w osłupieniu. – Nie wiedziałem, jak cię szukać. Nie umiałem. Kwiatuszk, dziecko moje...

– A ona? – Ada wykonała nieokreślony gest ręką w stronę drzwi. Nie dawała tak łatwo ponieść się emocjom. Wciąż nie wierzyła w to, co się dzieje.

– Ma tylko stary numer. Jej syn twierdzi, że go rzuciłaś dla innego, ale coś mi tu nie gra... Na pewno miałaś powody. Jest w nim tyle jadu, agresji. Matka tego nie widzi, bo zaślepiona, ale ze mną rozmawiał jak ze śmieciem. Odmówił pomocy i zwyczajnie kazał spier... – Ugryzł się w język. Nieustannie wodził po niej wzrokiem, bo nie mógł się napatrzeć na kobietę, która wyrosła z jego małej córeczki. Raz po raz całował jej knykcie i gładził je opuszkami kciuków. Oddychał niespokojnie, urywanie, wkładając ogrom wysiłku w to, by panować nad wzruszeniem i dopuszczać do głosu przede wszystkim rozsądek. – Jestem taki zacofany. Przepraszam, kochana moja. Próbowałem, nie szło ni w ząb. Poprosiłem o pomoc Julię. Pracuję u niej. Strych remontuję, wiesz? Nie będziesz miała wstydu przeze mnie. Przysięgam, córuchna. Nie musisz się obawiać. Może nie pamiętasz, malutka byłaś, ale ja się znam na robotach wykończeniowych. W zakładzie też pracowałem, tylko... No nieważne – mówił szybko i chaotycznie, jakby chciał jej przekazać naraz jak najwięcej informacji w obawie, że ona straci cierpliwość i wyjdzie albo przynajmniej przestanie go słuchać. – I właśnie dzisiaj... A niech mnie, gdybym się spodziewał... Przycinałem panele, a Julka szperała. Siedziała z laptopem po turecku na podłodze, patrzyła, jak pracuję, i zdawała mi relację. Na Facebooku nic, na Instagramie nic, na Twitterze nic. Nie masz konta albo używasz pseudonimu. Na takim Linkecośtam też się nie udało. W końcu podeszła do sprawy inaczej, nie pytaj mnie jak, bo ja z internetem dopiero zaczynam wchodzić w komitywę, i trafiła na zdjęcie, na którym byłaś z mnóstwem dzieci. Zrobiono je w maju na imprezie charytatywnej. To wiem z podpisu. Znaleźliśmy organizatora i numer telefonu. Pasowało, bo się okazało, że to fundacja, co prowadzi przyszpitalną szkołę. A wiedziałem, że uczysz. – Na chwilę puścił jej dłoń i pogłaskał ją po policzku. – Jestem z ciebie taki dumny, kwiatuszk. Moja córuchna nauczycielką.

– To nic wielkiego – zdołała wtrącić. – Robię to, co zawsze chciałam i co kocham.

– Nie mów tak. To właśnie bardzo dużo. Ilu ludzi może powiedzieć, że łączy pracę z pasją? A tobie się udało. – Znów przyciągnął jej dłonie do ust. Desperacko szukał sposobów, by jej okazać miłość, która wyrwała się z niego nie tylko przez usta, lecz każdą możliwą drogą. Dawniej wzięby ją na kolana i przytulił. Teraz nie była już małą dziewczynką, a dorosłą kobietą. Nie znał jej, nie wiedział, na ile może sobie pozwolić, by jej nie spłoszyć, a jednocześnie nie chciał już tracić ani chwili. Za długo na to czekał i zbyt bolała go ta rozłąka. – Julia od razu zadzwoniła. U niej to krótka piłka, zero bezsensownych deliberacji. Powiedziała, że ma do ciebie sprawę rodzinną, nie uzyskała niczego, bo RODO, ale ją trudno zbyć. Ta osoba po drugiej stronie, chyba prezeska, pozwoliła, bym napisał maila do fundacji, i obiecała ci go przekazać. Przybiegłem do Helci wcześniej niż zwykle, bo strasznie się boczy, gdy choć na godzinę nie zajdę. Zamierowałem jak najprędzej wrócić do domu i sklecić tego maila, chociaż sam nie wiem jak, bo pisanie na telefonie idzie mi bardzo powoli, a komputera nie mam. Byłem cały w nerwach, myślałem, czy mi od razu odpowiesz, czy zechcesz się spotkać. A ty tu jesteś, kwiatuszku najdroższy, prawdziwa. Córuchno moja... Tylko na mnie spojrziałaś i nogi się pod tobą ugięły.

– Tato... – szepnęła Ada, gdy zamilkł. – To nie sen, bo wyglądasz inaczej niż kiedyś. Nic nie piłam, nie biorę żadnych leków, więc nie ma mowy o zwidach. Jak to się stało?

– Miesiąc temu wyszedłem na zwolnienie warunkowe. Serce od początku rwało się do ciebie, tylko chciałem trochę stanąć na nogi, żebyś się nie obawiała, że zamierzam na tobie żerować, wymuszać pomoc. I bałem się, rozumiesz? Twoja matka nie chciała, żebyś mnie pamiętała. Helcia cię zawsze chwaliła. – Wskazał spojrzeniem na kobietę, która z talerzem pełnym kanapek zjawiała się w drzwiach. – Że sobie świetnie radzisz. Latami mi o tobie pisała. Gdyby nie ona, nic bym nie wiedział. Pomogła mi zachować z tobą chociaż taką więź.

– Doprawdy? – Walicka poczuła, że krew coraz żywiej krąży jej w żyłach, przywraca logiczne myślenie i budzi gniew. – To czemu nigdy o tym nie wspomniała i czemu, do stu czortów, pozwoliła się dziś uprosić o adres zakładu karnego, bym mogła wysłać do ciebie list?!

Helenie zadrżała ręka, jedna z kanapek zsunęła się i pacnęła o podłogę posmarowaną stroną do dołu. Na twarz Stefana wypłynęło bezbrzeżne zdumienie. Zerwał się, podniósł chleb i niedbale rzucił na pozostałe kromki.

– No dlaczego? – spytał, lecz kobieta milczała. Powoli obróciła się na pięcie i oddaliła do kuchni.

Ada poklepała się po podejrzenie palących policzkach. Nie mogła wyjść ze zdumienia, że ma ojca na wyciągnięcie ręki. Nie umiała nazwać tego, co czuje, lecz pragnęła iść z tym człowiekiem hen, na łąkę, usiąść na trawie z widokiem na Tatry i pytać, pytać bez końca, patrzeć mu w oczy, a potem zwierzyć się ze wszystkich rozterek. I mówić: tato, tatusiu, tatku. Przypomniała sobie, jak jej w dzieciństwie tłumaczył, że życie jest proste i dobre, bo składa się z małych radości unoszących się nad ziemią jak włoski dmuchawca. Głupotą jest cierpieć dlatego, że nie można schwytać tych wielkich. Szczęście nosi się w sobie. Nie trzeba za nim gonić, wystarczy porządnie poszukać.

Podeszła do okna i łypnęła na chmury. Niebo ciemniało, a znad Tatr dochodziło echo burzowych pomruków. Spacer musiał poczekać.

– Pojedziesz ze mną do domu? Mieszkasz tam, prawda?

– Tak. Z przyjacielem. Pojadę.

– Z jakim przyjacielem? – Zaniepokoiła się, bo nie miała ochoty na żadne dodatkowe towarzystwo.

Podszedł do parapetu, pogładził ją po plecach i wskazał palcem siedzącego za furtką mieszańca z nosem skierowanym na drzwi wejściowe. Po drugiej stronie ogrodzenia tkwił Uhlik strzegący domostwa przed intruzem.

– Dżoczi. Sierota po Mroczku.

– Mroczek zmarł? To stąd miski pod zlewem. Zabieramy go, bez dwóch zdań. A po drodze zajrzemy do sklepu.

– Po co? – Walicki lekko się odprężył i uniósł kąciki ust.

– Zamierzam ci streścić ostatnie dwadzieścia lat mojego życia i liczę na rewanż. Na moje oko to będzie co najmniej litr lodów cytrynowych i ze dwa soku pomarańczowego. Kocham cytrusy.

Nic się nie zmieniła, pomyślał z rozczeniem i bez wahania ruszył za córką do wyjścia. Był w pełni świadom, że Helena odprowadza go wzrokiem zza kuchennej firanki i raz po raz ociera łzy. Godzinę później siedzieli na kanapie i próbowali przekrzyczeć nawalnicę. W pokoju zrobiło się niemal ciemno, lecz nie palili światła. Dżoczi wlaźł Stefanowi na kolana, schował pysk pod jego pachą i dygotał wystraszony grzmotami. Walicki głąskał go i coś mrucał uspokajająco wprost do psiego ucha. Ada siedziała obok i opowiadała, zajadając się lodami. Przebijała się przez dramaty

ostatnich miesięcy, nie ukrywając drastycznych szczegółów. Ojciec słuchał z takim przejęciem, jak chyba nigdy nikt poza Bartkiem, lecz jego tu teraz nie było. Zresztą już od tygodni nie miewała go na wyłączność.

– To zakłamana menda! – warknął, gdy umilkła. – Mnie i Helci przedstawił wasze rozstanie zupełnie inaczej. Jakbyś go po prostu zdradziła i olała.

– Moim zdaniem on w to faktycznie wierzy.

– Oni oboje nie wiedzą o dziecku?

– Nie. I nie zdradź się, proszę. Nie mam pojęcia, jak się wszystko poukłada, ale nie wrócę do Jacka, choćby mi obiecywał mannę z nieba.

– Bo wolisz cytrusowy gaj?

– Czy to źle?

– Nie, córuchna. Ale pamiętaj, że rzadko dostajemy od życia dokładnie to, o czym marzymy. Zobacz, kupiłem ci mandarynkowe drzewko. Czekają tu, aż się zobaczymy. – Z uśmiechem zerknął na parapet za ich plecami. –

Potraktuj je jak zaczątek. Życie buduje się z drobnych cegiełek, jak gaj z pojedynczych sadzonek, które kiedyś zakwitną małymi lub większymi szczęściami.

– Przyjechałam, by dać Bartkowi luz, ale też po to, by dotrzeć do ciebie. Gdybym wiedziała, że tu jesteś, gnałabym jak na skrzydłach.

Stefan znów poddał się wzruszeniu. Wyciągnął ramię i przygarnął córkę. Przez dłuższy czas oboje milczeli, zgodnie głaszcząc psa. Burza się oddalała. Ulewa zmieniła się w delikatne kropienie, ale i ono po chwili ucichło, niebo zaczęło się wypogadzać, granatowiejąc wilgotnym wieczorem.

– Pięknie wyrosłaś – wyznał Walicki, całując córkę w skroń. – Zastanawiałem się, co pocuję na twój widok. Czy ta miłość do dorosłego dziecka będzie inna. Ale nie. Jest naturalna i oczywista jak kiedyś.

Zza okien, zamiast szumu deszczu, zaczęły dobiegać coraz głośniejsze nawoływania i pokrzykiwania pijanych mężczyzn. Dawało się rozpoznać pojedyncze słowa, które sprawiły, że dziewczyna zeszywniała.

– A do pani Heleny? – spytała z niepokojem, rozważając, jak bardzo byłby rozdarti, gdyby doszło do poważnego konfliktu o Jacka.

Westchnął i długo zwlekał z odpowiedzią, nasłuchując bandy Kulebiaka.

– To bardziej złożone – rzekł w końcu zdecydowanym głosem. – Nigdy nie kochałem tak mocno żadnej kobiety, ale i doświadczenie w tej materii mam mizerne. W moim życiu były tylko one dwie: twoja matka i Helcia,

a oprócz nich wiele lat pustki. Nie wiem, co będzie dalej. Ludzie we wsi nie akceptują mojego powrotu, a jej obrywa się przy okazji.

– Ta kartka na płocie to nie był żart ani zabawa smarkaterii?

– Zauważyłaś? Myślałem, że udało mi się ją zdjąć dyskretnie, gdy zamykałaś auto. U Heli na płocie też się pojawiają. Pokazała mi dwie. Zwykle paszkwile. Chłopy przyłazą co wieczór i drą gęby pod oknami. Nie zachowują się agresywnie, nie są groźni, po prostu wylewają swoją niechęć.

Na dowód tych słów przez zamknięte okna przebiło się odliczanie od trzech do jednego, po czym z kilku gardeł wyrwała się głośna śpiewka, co i rusz przerywana wybuchami śmiechu:

*Ona kulawa, a on morderca,  
A dyć przypadli sobie do serca.  
W hareszcie siedział, ona cekała,  
Od inksych chłopów się odwracała.  
Odkąd on wrócił, Hela rumiana,  
Kraśniej scynściem, bo wyruchana.  
Jak to się skońcy, pan Bucek wie,  
Będą żyć długo... Cheba ze nie!*

– Poeci od siedmiu boleści – podsumowała Ada. – Co zamierzasz z tym zrobić?

– Ignorować – odparł Stefan, przecierając palcami oczy. – Tak radzi Oliczko, mój kurator. Rozsądny gość.

– A jeśli tego nie wytrzymasz albo przegną pałę?

– Zobaczmy. Wolę niczego nie planować. – Zsunął psa z kolan, wstał i skrzywił się, rozprostowując kark. – Wszystko mi ścierpło – mruknął i dodał z czułością: – Chodź, córuchna. Będiesz mamą, nie możesz się żywić wyłącznie lodami. Pomożesz staremu ojcu zrobić kolację.

– Tato – powiedziała, także się podnosząc. – Znam prawdę o tamtej zbrodni. Jesteś niewinny.

Odetchnął głęboko, jakby potężny kamień spadł mu z serca. Nie chciał z nią o tym rozmawiać tak od razu, a jednocześnie ogromnie mu ulżyło, że nie musi jej przekonywać.

– Mam swoje za uszami, Helcia też, a i Edward nie był aniołem. Ale to prawda, żaden ze mnie morderca. Za oknem śpiewają bzdury.

Podeszła do niego i objęła go w pasie, przytulając się z całej siły.

– Dobrze, że wróciłeś.

Telefon w jej torebce co chwilę rozbłyskał połączeniami na zmianę od Jacka i Bartka. Nie zdawała sobie z tego sprawy, bo wyciszyła urządzenie, gdy szła w odwiedziny do matki, a potem o tym zapomniała. Żaden z nich nie miał szans na rozmowę. Ten wieczór należał do Stefana.



## 29.

– Ja rozumiem, że twórczość Czajkowskiego jest wartościowa, można słuchać jej na okrągło i odnajdować za każdym razem coś nowego, jednak proszę wziąć pod uwagę, szanowna pani, że muzyka nie kończy się na rosyjskich kompozytorach – przemawiał władczy, niskim głosem Cezary Pilch, gdy stał przy regale w salonie Gołębiewskiej i przeglądał jej kolekcję płyt. – Mieszka pani w Łodzi, czemu więc nie ma pani na półce Artura Rubinsteina? Ba! Nie widzę tu nawet Chopina, Beethovena czy Bacha. Całkiem nieźle słyszę mimo wieku i dociera do mnie piękno *Dziadka do orzechów*, którego mi pani zaserwowała od progu, ale czy to aby nie przesada puszczać ten sam krążek od nowa już trzeci raz? Proszę wybaczyć, czy jest pani rusofilką?

– *Ignorrrant! Ignorrrant! Ignorrrant!* – wtrąciła z oburzeniem Zoja i usiadła na ramieniu Bartka, by podskubywać dziobem jego ucho. Ten bez odrywania wzroku od staruszków wyciągnął z kieszeni orzech i podał amazonce.

– Ależ skąd! – zaprzeczyła Ludmiła i uniosła dłonie, by sprawdzić, czy jej obcięte na pazia białe włosy aby się nie rozczochrały. – Ta zielona gangrena mnie terroryzuje. Ona faktycznie jest rusofilką. Może nawet dziadkofilką, i nie piję tu do pana, tylko do baletu. Proszę wybaczyć jej słownictwo. Latami towarzyszyła przy pracy rusycyście i tak jej zostało.

– Ma pani na myśli nieodżałowanego małżonka?

– Tak jest. To już dwa lata. Pan także wdowiec?

– Owszem. Żona mi obumarła jeszcze w poprzedniej dekadzie, gdy temu tu – wskazał dłonią wnuka – dopiero wąs się sypał. Lata mijają, a jakby to było wczoraj. Wracając do tematu, jeśli zafiksowanie na Czajkowskim to obsesja papugi, wszystko staje się zrozumiałe. Trudno podejrzewać o rozsądek kogoś z ptasim mózdzkiem.

– *Prrridurrrak!*

– Zoja! – Starsza pani dziarsko rzuciła się na niepokorne zwierzę, by je przegonić. Amazonka zwinnie jej się wywinęła i wleciała pod żyrandol bez straty choćby piórka, więc kobieta tylko pogroziła jej z dołu pięścią, oblewając się rumieńcem zażenowania.

Bartek z zaskoczeniem stwierdził, że odmłodziło ją to o dobre dziesięć lat. Senior wybuchnął śmiechem i klepał się po wydatnym brzuchu.

– Jest urzekająca...

– Ta pstrokata grubianka? – Kobieta markowała niezrozumienie. – Wiele można o niej powiedzieć, ale żeby kogoś kiedyś urzekła...

– Podobnie jak jej właścicielka – dokończył, nie pozwalając sobie przerwać na dobre. – Zachwyciłyście mnie i oczarowałyście od pierwszego wejrzenia. A nie dowierzałem tym dwóm huncwotom, gdy przed wizytą zapewniali, że nie oprę się waszemu urokowi.

– O niczym nie zapewnialiśmy. Co jest grane? – szepnął Tymek, wyciągając szyję, by sięgnąć do ucha stryjka.

Siedzieli przy stole, raczyli się plackiem z owocami i obserwowali starszych państwa. Czerpali czystą przyjemność z ich rozmowy.

– Coś ci nie pasi?

– On ją zwyczajnie podrywa. Znaczy dziadek. A ona mu na to pozwala. Znaczy pani Ludmiła.

– E, to za mocne słowo. Chyba tylko ją kokietuje – sprostował Bartek, szczerząc się do chłopca.

– Czyli?

– Zachowuje się tak, by myślała, że jest fajnym gościem.

– O to mi chodzi. Kokietuje, żeby ją poderwać. Chyba są na to za starzy.

– Bo co? Jest jakiś przepis, do ilu lat wolno?

– Ja tam się nie znam. Tylko pytam.

– To nie krytykuj. Patrz i jedz. Takie sceny, zwłaszcza na żywo, ogląda się nader rzadko.

Cezary dopadł do damy i jął całować jej rączki. Płonila się jak piwonia, lecz nie próbowała umykać.

– A gdybym zaprosił panią na koncert, poszłaby pani? – Zaatakował z grubej rury, zaglądając kobiecie w oczy. Zza szkielek w czerwonych oprawkach błyskało bystre spojrzenie mówiące, że ostrość wzroku może już nie ta, za to umysł – żyła i towarzyszy mu mnóstwo chęci do życia.

– Zależy, kto by grał, bo jeśli jakieś współczesne szarpidruty...

– Boże broń. Przeglądnałem o świcie lokalną gazetę, bo wie pani, do mnie internet jakoś nie przemawia. Wnuk nabył mi zatem dokładnie tę samą prasę, którą kupuje dla pani. I w życiu pani nie zgadnie, co tam znalazłem.

– Zapowiedź koncertu plenerowego Akademii Muzycznej na najbliższą sobotę w Parku Źródłiska? – spytała z przewrotnym uśmiechem, błyskając zębami i dziękując w duchu własnej odwadze i determinacji oraz rencie po mężu, bo dzięki nim cieszyła się doskonale wyremontowaną szczęką i mogła się szczerzyć do woli.

– Niełatwo panią zaskoczyć. Poprosimy mojego wnuka, by służył nam za szofera, a jeśli odmówi, pojedziemy taksówką. Niestety przybyłem tu pociągiem, własny wóz zostawiłem w Dęblinie.

– Zgadzam się – odparła miękko Ludmiła i zatrzepotała rzęsami, a chłopiec z radości o mało nie udławił się ciastem.

Stryjek klepnął go w plecy i podsunął mu szklankę z sokiem jabłkowym.

– Dyskretniej rechocz, bo tu się randka szykuje, widzisz przecież. Będziemy musieli przed tym koncertem zaprowadzić dziadka do kwiaciarni, a pani Ludmiła pewnie sobie zażyczy kosmetyczki i fryzjera.

Dobry nastrój towarzyszył im od śniadania, na które Gołębowska zaprosiła wszystkich trzech Pilchów. Bartek i Tymek zdołali wreszcie nieco się odprężyć i choć na moment zapomnieć o problemach. Chłopiec, wypłakawszy w drodze z lotniska wszystkie łzy, popadł poprzedniego wieczora w apatię i nie dawało się z nim normalnie rozmawiać. Za oknami grzmiała nawałnica, huczał wiatr, deszcz walił o szyby, a dom pozostawał boleśnie milczący. Stryjek, by przełamać marazm, włączył na laptopie playlistę z kreskówką *Dastardly i Muttley*. Oglądali ją we trzech, wykrzykując co chwilę „*Lap gołębia*”, dopóki dzieciak nie zasnął. Wówczas obaj mężczyźni zasiedli przy stole w salonie. Młodszy zaprezentował antologię *Skrzydeł*, po czym zdumiał się na wieść, że senior ma je w swojej biblioteczce i każdą część czytał co najmniej kilka razy. Poruszony uderzył w przepaszający ton, lecz Cezary stanowczo mu przerwał i stwierdził, że skoro otwierają nowy rozdział, nie ma sensu babrać się w przeszłości.

– Żałuję tylko, że nie zdążyłem porozmawiać z drugim wnukiem – dodał.

– Na szczęście został mi na pociechę jego syn, *nota bene* kropka w kropkę podobny do ciebie. Nawet po nosie drapiecie się tak samo. Borys nie był zazdrosny?

– Był – przyznał rysownik, nie wdając się w szczegóły.

– Od pędraka porównywał swoje osiągnięcia z twoimi i nie potrafił zdzierżyć, gdy w czymś go wyprzedzałeś. Mądry, wrażliwy człowiek, a o wszystko się wiecznie zadreślał, całkiem jak wasz ojciec. Cieszy mnie, że chłopak wdał się w ciebie i, jak tuszę, we mnie.

– A ja się cieszę, że przyjechałeś. Obaj z Tymkiem się cieszymy.

– Byle nie próbował mówić do mnie „pradziadku”, bo poczuję się naprawdę staro.

Po przebudzeniu chłopcu nadal nie dopisywał humor, dopóki nie brzdęknęła w komórce wiadomość przesłana na komunikatorze:

*Dotarłam na miejsce. Jestem wykończona i idę spać. Całuję. Mama.*

Nie odpisał, ale zdecydowanie mu ulżyło. Potem było już tylko lepiej i zabawniej. Tymkowi nie przeszło nawet przez myśl, by się martwić, rozmyślać czy płakać. Działo się. Dziadek startował do staruszki zza ściany, a papuga dogadywała, nie zostawiając na nich suchej nitki.

– *Rromantycznyj starrryj!* – skrzeczała znad rozłupanego orzecha. – *Dzieduszka całujet babuszkę!*

– Stul dziób – warknął Bartek i postanowił aktywnie wystąpić jako obrońca kielkującej miłości poprzez zamknięcie ptaka w klatce. – Spadamy stąd – zwrócił się do bratanka. – Co powiesz na park trampolin? Poskaczemy? Skończyłem rysować komiks, zasłużyłem na labę. Zostawimy staruszków pod opieką Zoi. Może ich upilnuje, żeby zachowywali się przyzwoicie.

– Myślisz, że faktycznie zaczną się całować? – spytał Tymek, gdy wstawali od stołu.

– Niewykluczone. Ludzie w ich wieku nie marnują czasu na powolne zaloty. Zakochują się szybciej niż tacy młodzi jak ty czy ja.

– Chyba coś ci się, wujek, porypało.

– Znowu zaczynasz? Jestem stryjek. Niby co? – rzucił Pilch już na klatce schodowej.

– Nie porównuj się z dziesięciolatkiem. Lada moment wyłysiejesz lub osiwiejesz i zmarszczysz się jak rodzynek. Wujek – stary zbójek.

– Przeginasz!

– Okej. Stryjek – stary ryjek.

Bartek gonił dzieciaka przez cały parking, pozując na zagniewanego, i z ogromną ulgą wsłuchiwał się w jego śmiech. W sobie także szukał radości, a zasadnicze kwestie odkładał na popołudnie.

– Zostanę u was jeszcze parę dni, co? – zagadnął Cezary, gdy kilka godzin później lekko zasapany pomagał Bartkowi sprzątać po kolacji.

– Może się położysz? Albo idź posiedzieć z Tymkiem. Opróżniłem mu kilka półek i parkuje na nich swoją kolekcję modeli samolotów. Ostatnio załapał fazę na lotnictwo wojskowe, poopowiadaj mu o myśliwcach.

– Za chwilę.

– To chociaż klapnij na krzesło i odpocznij.

– A co ja, zmęczony? To, że człek czasem stęknie, nie znaczy, że stał się wrakiem. Jeszcze dałbym radę, że ho, ho...

– Co, że ho, ho? – Wnuk przerwał układanie naczyń w zmywarce i łypnął na seniora.

– No tego... Co ja ci będę farmazonami dupę zawracał. Obaj dorośli jesteście. Całkiem nie zdziecinniałem. To pozwolisz mi zostać czy nie? Trochę tu ciasno, ale jakoś się pomieścimy. Pomogę ci przy małym, skoroś stary kawaler. Dzisiaj się mówi singiel.

Bartka kusilo, by uświadomić seniora, że w jego życiu jest kobieta, która lada chwila wróci do Łodzi i wówczas z pewnością zrobi się niewygodnie w trzech pokojach. Czekał tylko na właściwy moment.

– Przed rozpoczęciem roku szkolnego muszę wywlec z gabinetu moje graty i urządzić tam lokum dla Tymka. Trudno, żeby przez rok koczował na walizkach. Nie mogę się zdecydować, czy kąć do pracy upchnąć w sypialni, czy w salonie.

– W sypialni chyba poręczniej. A co z mieszkaniem Borysa?

– Nic. Stoi puste. Magdalena planowała je wynająć, ale nie zdążyła. Klucze mam, więc gdybyś miał ochotę się tam rozgościć, nie widzę przeszkód.

– Czyli jednak będę ci przeszkadzał bardziej niż dzieciak. Przyznaj, kręci się wokół ciebie stado sikorek czy zagiąłeś parol na jedną ślicznotkę?

– A ty na serio uderzasz w konkury do mojej sąsiadki? Uważaj, ona słabo widzi, może jej umknąć, że się naigrywasz – odparował wnuk, a senior wypiął dumnie pierś i skrzyżował ręce na piersi.

– Szczerłość za szczerłość – zaproponował. – Ty masz z pewnością więcej do opowiadania, zatem idziesz na pierwszy ogień. Spraw dziadziowi frajdę i nie szcędź pikantnych szczegółów.

Bartek zaskoczył Cezarego historią bardziej ckliwą i dramatyczną niż pieprzną. Zwierzenia przyniosły mu nieco ulgi i zmobilizowały do działania. Usłyszawszy w rewanżu zapewnienie, że Cezary nie oszalał na starość ani nie zamierza łamać serca Ludmiły, uznał, że kontrolowanie geriatrycznych romansów nie należy do jego obowiązków. Co innego, gdyby Tymek wyrwał małolatę... Na szczęście chłopiec, niczym stryjek w jego wieku, przedkładał metalowe ptaki nad jakiegokolwiek dziewczyny.

Porzuciwszy obu Pilchów pogrążonych w dyskusji o pierwszych radzieckich MIG-ach z czasów wojny, rysownik zszedł na parking do samochodu, by skryć się w jego wnętrzu i bez świadków zadzwonić do Ady. Pod powiekami wciąż miał jej obraz. Nigdy nie tęsknił za nikim tak jak za nią. Wyjechała zaledwie dwa dni temu, a miał wrażenie, jakby minęły wieki.

Od tego czasu ani razu nie udało im się porozmawiać, poza krótkim epizodem pierwszego wieczoru, kiedy to musiał ją zbyć, by postawić na nogi roztrzęsionego i zawiedzionego bratanka. Potem strzelali pustakami, wzajemnie się do siebie dobijając, bez odbioru. Teraz przezornie wysłał uprzejmego esemesa z pytaniem, czy jest dostępna i czy zechce z nim wymienić kilka zdań. Niemal od razu otrzymał suche: „tak”, co z jednej strony go zaniepokoiło, a z drugiej obudziło w nim nadzieję.

Usiadł za kierownicą, napił się wody mineralnej i zerknął kontrolnie w lusterko, jakby to, jak w tej chwili wygląda, miało jakiegokolwiek znaczenie. Odbicia szalowym by nie nazwał, ale przecież nie uroda dawała mu miażdżącą przewagę nad chemikiem.

Pospieszenie wybrał wbity w pamięć telefonu numer i przyłożył aparat do ucha.

– Cześć. – Padło niemal natychmiast, z czego wywnioskował, że czekała z komórką w ręce. Dobra wróżba.

– Co słyszeć?

– W porządku. A u ciebie? – odparła sztywno.

Zrozumiał, że na grzecznościowych frazesach daleko nie zajadą. Nie mógł jej zająrzeć w oczy, przytulić ani pocałować, na gładkie słówka była dość odporna, bo tamten dzban obficie nimi szafował między kolejnymi aktami przemocy, zatem w rozmowie na odległość pozostawała jedynie szczerość.

– Dotarłaś bezpiecznie do Łapszanki?

– Tak, już wczoraj.

– Razem z Zawadowiczem?

– Słucham? – W jej głosie zabrzmiało coś ostrego. Oburzenie, że ją podejrzewa, czy złość, że się domyślił?

– Wiem, że się widujecie. Powiedziałaś mu o ciąży?

– O czym ty mówisz?

– Jestem zaniepokojony i sam nie wiem, czy bardziej tym, że się z nim spotykasz, czy tym, że to przede mną ukryłaś.

– Oszalałaś? Czy ja cię kiedyś okłamałam? – Teraz chyba naprawdę podniósł jej ciśnienie.

– Celowe przemilczenie prawdy to też rodzaj oszustwa – wypalił. Przerzątał go fakt, że bez sensu wymieniają zdania, które do niczego nie prowadzą, ale nie wiedział, jak to przełamać.

– Tak? To ty mnie odsuwasz i niczego nie chcesz wyjaśniać, bo sprawy twojej rodziny według ciebie nie dotyczą mnie! To ty nie przyznałaś się, że

być może masz syna, i lekceważyłeś mnie całkowicie tuż po wypadku brata! Nawet nie wpadłeś na to, by zadzwonić i powiedzieć, co się stało.

– Już ci to tłumaczyłem.

– A ja nie skumałam. Co ty we mnie widzisz, Bartek? Puch marny, który trzeba trzymać pod kloszem? A może ofiarę losu, którą w szlachetnym odruchu pozbierałeś do kupy? Powinnam tylko być wdzięczna i nie oczekiwać równorzędnego traktowania? Uwielbiasz czuć się przydatny i niezastąpiony. Bardzo chwalebne, ale tym sposobem stawiasz siebie wyżej tych, którym pomagasz. To cię nakręca? Postawiłeś mnie na nogi, a teraz znalazłeś ludzi w większej potrzebie i według ciebie mnie to nie powinno obchodzić? Możesz dowolnie mnie zbywać, gdy wybuchają ci pod nogami kolejne pożary?

– Oceniasz mnie zbyt surowo. Przepraszam, że przedwczoraj się rozłączyłem, to była wyjątkowa sytuacja...

– Nie zostawiłeś mi prawa do niczego. Nawet do tego, bym się o ciebie martwiła lub czuła się zazdrosna o to wampowate babsko.

– Rany, Ada, przestań się o nią bez sensu czepiać. Wyjaśniałem ci.

– Jasne. Należy do twojej rodziny i musisz ją wspierać, a przy tym łączy was syn! To twoja kochanka, była czy obecna – wszystko jedno.

– Jeżeli wszystko jedno, to chyba nie mamy o czym gadać. – Bartek spuścił z tonu, mówił ciszej, z trudem przepychał słowa przez krtań. – Nie jestem ojcem Tymka. Ta sprawa zdążyła się wyjaśnić. Nie jestem też ojcem twojego dziecka. Sądziłem, że to nie ma dla ciebie znaczenia, dopóki Majka mnie nie odwiedziła... Odpowiedz mi tylko na jedno pytanie: widziałaś się z Zawadowiczem? To nie są jej wymysły?

– Nie są. Wypaplałaś Majce o ciąży. W kółko nawijała, jak to dobrze, że Jacek wrócił do łask, bo u ciebie też się układa i spijacie sobie z Magdaleną z dzióbków. – Głos jej się załamał i Bartek dałby sobie głowę uciąć, że się rozplakała. Zaciśnął ręce na kierownicy, z trudem panował nad poruszeniem. Miał ochotę wykrzyknąć, że kocha Adę ponad wszystko, ale mówił to już nie jeden raz. Uporczywym powtarzaniem nie skłoni jej, by mu uwierzyła.

– To androny! Powiedz, że jesteś tam sama, a zaraz do ciebie przyjadę. No nie, dzisiaj już nie, ale jutro jakoś się zorganizuję. Przez telefon tylko się pograżamy.

– Nie kłopotcz się – odpowiedziała stanowczo, odzyskując opanowanie. – Samotność mi nie grozi. Mam kogoś, kto mi pomoże wyhodować

cytrusowy gaj, a nie tylko obieca, że kiedyś da go w prezencie. Rozumiesz różnicę? To zdrowszy układ, nie musisz się czuć zobowiązany.

– On znowu cię skrzywdzi...

– Mylisz się. To człowiek, który zawsze miał na uwadze moje dobro.

Nawet jeśli zdarzało mi się przez niego płakać.

– Nie rezygnuj ze mnie – apelował niemal szeptem, czując, że przegrał.

– To ty przedłożyłaś rodzinę nad obcą kobietę z cudzym dzieckiem.

Nawet rozsądnie.

– Jesteś niesprawiedliwa i zaślepiona, ale chyba ci wygodnie tak na to patrzeć. Będę o tobie myślał, mała.

Rozłączył się z wrażeniem bezsensowności. W całym ciele czuł narastający ból. Nie spodziewał się tego. Gdy wybierał jej numer, nawet nie przyszło mu do głowy, że wykopie przepaść, zamiast zbudować most.



# ROZDZIAŁ 3

## 30.

Praca szła szybko i gładko. Sprawiała Stefanowi tyle satysfakcji, że trzeba go było siłą przekonywać, by nie poświęcał jej całego dnia. Dla Heleny znajdował zaledwie godzinę lub dwie dziennie. Pytanie, dlaczego okłamała Adę, utonęło w potokach łez, uznał to więc za wynik chwilowej bezmyślności. Nadal zjadał podstawiony pod nos obiad, a potem obdarzał Helcię pospieszną, lecz czułą namiętnością. Tymczasem myśli wyprzedzały ciało, by gnać do własnego domu i nie marnować czasu, który mógł spędzić z córką.

Strychową łazienkę pokrywały już kafelki w kolorze jasnego brązu, a nowiutka armatura lśniła bielą i zachęcała do ablucji. Gdy dziennikarka zarządziła przerwę na posiłek, Stefan zainaugurował korzystanie z obszernej kabiny prysznicowej i przebrany w czyste ciuchy, zbiegł po schodach.

– O – skomentowała jego wilgotne włosy. – Podstawowe luksusy już działają. Trzeba było powiedzieć, że eksperymentujesz, dołączyłabym – zażartowała, a gdy dostrzegła, że pytająco unosi brwi, dodała: – Albo przynajmniej przyniosłabym ci ręcznik. Nalałam ogórkową. Lubisz?

– Bardzo – przyznał szczerze i z lubością złowił w nozdrza unoszący się nad talerzami zapach.

Dżoczi wpadł do salonu przez taras, by zademonstrować nieposkromioną radość. Uspokoił się dopiero, otrzymawszy solidną porcję pieszczot i garść suchej karmy w misce, która pojawiła się w tym domu specjalnie dla niego.

– Od kiedy twoja córka przyjechała, zapewne spożywasz potrójne obiady – zagaiła rozmowę gospodyni, po czym usiadła nad swoją porcją.

Odrzuciła włosy do tyłu i błysnęła przyjaźnie zębami. Ubrała się w legginsy i zwykły biały T-shirt. Cały poranek spędziła na pisaniu, a do tego nie zwykła się stroić. Nieumalowana twarz nie tuszowała wieku, lecz wyregulowane brwi, zdrowa cera i pociągnięte jasnym lakierem paznokcie podkreślały, że ta kobieta o sobie dba i jeśli tylko ma ochotę, potrafi wyglądać oszałamiająco.

– Nic z tych rzeczy.

– Katuje się dietami?

– Troski odbierają jej apetyt na wszystko poza lodami. Pilnuję, by jadła normalnie, ale mam dwie lewe ręce do pichcenia.

– I co? Hela pakuje ci trojaki?

– Zapomnij. Chyba jest o nią zazdrosna. Poza tym matki nie odpuszczają, gdy ktoś skrzywdzi im dziecko, nawet jeśli to krzywda urojona, a Ada

zerwała zaręczyny z jej synem.

– Tobie to nie przeszkadza?

– Nawet jeśli, co mogę zrobić? Też się obrazić?

– Strzelanie fochów nie jest w twoim stylu. – Julia, nie patrząc rozmówcy w oczy, dmuchnęła na zawartość łyżki. – Może weźmiesz słoik ogórkowej dla córki? Jak raz się nie zmarnuje.

– Chętnie, jeśli to nie problem. Smakuje znacznie lepiej niż moje breje jadłopodobne. – Zgodził się kurtuazyjnie. Z ulgą porzucił temat Helci. – Po co używasz takiego wielkiego gara?

– Z przyzwyczajenia. Jakoś nie umiem się pozbyć dawnych nawyków. Mogę ci opowiedzieć przy kawie.

– Zamierzałem skończyć montaż umywalki...

– Zwalniam cię z tej powinności. Od czasu do czasu potrzebuję, żeby ktoś ze mną po ludzku pogadał, i to jest bardziej palące niż najelegantsza bateria łazienkowa. Kupiłam dla nas po bajaderce. Uległam pokusie jak zwykła smarkula. Kojarzą mi się z dzieciństwem. Uzależniłam się od nich w podstawówce. Jeszcze na studiach pochłaniałam je bez opamiętania.

Walicki podniósł się z krzesła i posprzątał ze stołu. Z dnia na dzień czuł się w tym domu coraz lepiej, choć do śmiałości Dżocziego jeszcze sporo mu brakowało.

– Ja miałem zawsze słabość do zwykłych pączków. Mama wyczarowywała najlepsze. Domowe. Nadziewała je czymkolwiek: konfiturami, budyniem albo kremem czekoladowym. Niezbyt zdrowo, ale nikt się tym wtedy nie przejmował. Potem żona też piekła według tego samego przepisu.

– I smakowały identycznie?

– Już nie. Pewnie byłem zbyt dorosły, by się tak zachwycać. Nasza córka się domagała, by wkładać w nie pomarańczowy dżem. Dla niej liczyło się tylko to, co cytrusowe. Do dziś się w tym względzie nie zmieniła.

Dziennikarka przerzuciła włosy na jedno ramię, potarła dłonią kark i pokręciła głową, by rozluźnić mięśnie zmęczone długim unieruchomieniem przy laptopie. Odczekała, aż ekspres przestanie strzelać ostatnimi kropelkami espresso. Ustawiła na tacy miniaturową filiżankę i kubek cappuccino, dołożyła widelczyki oraz talerzyki z ciastkami, po czym zwróciła się do gościa:

– Zaniesiesz na taras? Zjemy na powietrzu. Wezmę jeszcze wodę i cukier.

Po chwili siedzieli w cieniu pod markizą w wygodnych ratanowych fotelach i śledzili wzrokiem psa, który bawił się piłką tenisową.

– Nie powinnaś mieszkać sama – rzucił Stefan. Nie wiedział, jak nawiązać do nawyku gotowania w balii.

– Albowiem zadupie, bezdroża i słaba płeć sobie nie poradzi?

– Nie. Raczej miałem na myśli atrakcyjną kobietę o radosnym usposobieniu, z umiejętnością serwowania pysznych zup. Strata dla wszystkich, których tu nie ma.

– Powiedz to Sebie.

– To twój mąż, Misiaczek czy obaj naraz? – podchwycił temat i wbił widelczyk w bajaderkę. Po chwili podniósł głowę, by przyłapać Julię na zlizywaniu z warg czekoladowych okruszków.

A niech to! Nawet w takich momentach wydawała mu się damą z wyższych sfer, choć zachowywała się swobodnie i zwyczajnie. Nie potrafił przełamać w sobie wrażenia, że przy niej uchodzi za ubogiego prostaka bez perspektyw. Nawet sztuce trzymała w dłoniach bardziej dystygowanie niż on. Wyglądała na doskonałą kobietę z perfekcyjnym życiorysem. Kim zatem był ów Seba?

– Żaden z nich – odparła po krótkim wahaniu. – Poznaliśmy się... –

Udawała, że liczy na palcach, a jej twarz straciła wyraz, jakby starła z niej wszystkie emocje. – Dwadzieścia jeden lat temu.

– Oczko.

– Owszem. Szmata czasu. Szybko zamieszkaliśmy razem, lecz nigdy nie pokusiliśmy się o ślub. Dziewiętnaście lat temu urodziłam syna.

– Misiaczka?

– Mhm. Po prostu Michała, ale dla rodzica dziecko zawsze zostaje maleństwem. Seba też jest dziennikarzem. Sporo wyjeżdżaliśmy służbowo, każde w swoją stronę. Małym zajmowaliśmy się wymiennie, wspieraliśmy się opiekunką. Dbaliśmy, by zawsze jedno z nas było w Krakowie. Pasjonował się piłką nożną. Trenował od zerówki. Podczas ferii zimowych w drugiej klasie gimnazjum pojechał ze swoim klubem na obóz do Zakopanego. Rozgrywali mecze, jeździli na nartach, spacerowali po dolinkach, w planach mieli wjazd na Kasprowy. Niestety nie wszystkich to rajcowało. Chcieli więcej. Trener ich nie upilnował. Michał z dwoma kolegami wymknęli się przed świtem z ośrodka. Wyskoczyli przez parterowe okno i wyruszyli na szlak, planując atak na Giewont.

– Bez przygotowania?

– Mieli niezłe buty, kondycję i potrafili korzystać z mapy, a pogoda była jak dzwon. Słonko, ledwo kilka chmurek, lekki mróz. Wszyscy trzej spędzili niejedne wakacje w Tatrach i wydawało im się, że są nieśmiertelni i niepokonani.

– Co się stało?

– Lawina. Ruszyła niemal spod ich stóp, gdy już wracali ze szczytu. Potrafisz sobie wyobrazić piętnastolatków pijanych sukcesem i pewnością siebie? Zniosło ich dobre pięćset metrów w dół. Cudem przeżyli, w zasadzie tylko dzięki temu, że dwóch turystów schodziło za nimi i widziało całe zajście. Od razu wezwali pomoc i byli w stanie mniej więcej określić, gdzie szukać dzieciaków. Koledzy Michała skończyli mocno poturbowani, ale bez większych uszczerbków na zdrowiu.

– A twój syn?

– Złamał kręgosłup. Jeździ na wózku i aktualnie nie widać szans, by stanął na nogi. Najgorzej odbiło się to na jego psychice. Ma za sobą próbę samobójczą i długie leczenie. Dopiero w ostatnich dwóch latach mu się poprawiło. Wiosną zdał maturę i dostał się na studia zaoczne na Jagiellonkę. Zgodził się zamieszkać ze mną i mam nadzieję, że tu odzyska spokój, bo w mieście jakoś nie potrafi się odnaleźć.

– A co z Sebą?

Zmarszczyła nos, odkładając pusty talerz na stolik. Przyniosła z salonu zapalniczkę oraz papierosa, po czym zaczęła opowiadać rzeczowo, ze spokojem, jak o czymś bolesnym, ale już wypłakany w przeszłości. Stefan patrzył na nią z podziwem, konstatuując, że to nie tylko piękna i mądra kobieta, lecz również silna.

– No właśnie. Po wypadku wiecznie się kłóciliśmy, bo chciał wyciągać konsekwencje wobec trenera, a dla mnie było oczywiste, że ten człowiek nie dopuścił się zaniedbania. Niemal rok nam zajęły przepychanki. Seba wreszcie dał sobie spokój i przyznał, że naszym zadaniem jest przede wszystkim wspierać syna. Kupiliśmy tę działkę i zbudowaliśmy dom. Misiaczek potrzebował ciszy, możliwości samodzielnego wychodzenia na zewnątrz i odcięcia od gimnazjalnych kolegów. Jedni okazywali mu litość, inni pogardę, jakoś brakowało chętnych, którzy widzieliby w nim kumpla jak przed wypadkiem, a jego to zwyczajnie niszczyło. Zauważyłeś, że na parterze nie ma barier architektonicznych?

– Nie zwróciłem uwagi.

– Nie szkodzi. Niestety nie zamieszkaliśmy tu we troje. Zrezygnowałam z podróży służbowych, skupiłam się na pisaniu książek, by jak najwięcej być przy Misiaczku i dać Sebie zielone światło na wyjazdy. On nie chciał zmieniać charakteru pracy. Zdążyliśmy urządzić dół, gdy przyłapałam Sebę na chędożeniu dekoratorki wnętrz, którą sama znalazłam, zatrudniłam i której zapłaciłam niezłe pieniądze za to, by mi rozbiła rodzinę.

– Julia... – Walicki wyciągnął rękę, by ją jakoś pocieszyć, okazać wsparcie, ale wyszło mu dość kulawo. Zamiast na jej dłoń trafił na kolano i pogłaskał ją po nim odruchowo. Po chwili wycofał się jak oparzony i zaczął mamrotać niewyraźne przeprosiny.

– Spokojnie. – Uśmiechnęła się smutno. – Już przebolełam. Chyba faktycznie się zakochał, bo do dziś są razem, a ona na dniach urodzi dziecko. Po tamtej akcji natychmiast wyprowadziłam się z naszego mieszkania w Krakowie i zabunkrowałam tutaj. Michał mieszkał u ojca aż do matury. Ze mną widywał się w każdy weekend. Taką podjął decyzję i nie zdołałam go od niej odwieść. Przez dłuższy czas miał żal, obwinił mnie, że nie walczyłam o Sebę. Dopiero rosnący brzuch macochy mu uświadomił, że to sprawa zamknięta, i postanowił przenieść się do mnie. Po egzaminach na studia wyjechał na turnus rehabilitacyjny, a na początku września zjawi się tutaj. Coraz lepiej sobie radzi, zrobił nawet prawo jazdy, kupiliśmy mu auto dostosowane do jego niepełnosprawności i jest dość samodzielny. Wciąż jednak miewa spadki nastroju i łyka antydepresanty. Dlatego cieszę się, że będę mieć go na oku.

– Patrz, jaki człowiek jest głupi. – Walicki westchnął. – Byłem pewien, że wiedziesz życie jak z bajki, bez poważniejszych perturbacji.

Stanik zaśmiała się, wstając i rozprostowując ścierpnięte nogi.

– Serio znasz ludzi wiodących życie jak z bajki? Mnie się zdaje, że to zawsze pozory. Każdy dostaje od losu swoją porcję goryczy. Dlatego musimy dosładzać codzienność bajaderkami.

Dopili kawę, Stefan zagwizdał na drzemiącego w słońcu psa, po czym Julia odprowadziła ich do bramy. Przy furtce wpadła im w oczy kartka z wykaligrafowanym napisem: „Uważaj, z kim się zadajesz. Ludzie to widzą”.

– Niech to szlag – warknął Walicki i szarpnął papier, zrywając go ze sznurka. – Kulebiak przeciąga strunę. Śle te liściki do mnie, do Heleny, a teraz nastaje na ciebie. Pewnie liczy na to, że się wystraszysz i mnie zwolnisz z roboty.

– To cienias. Już ze mną przegrał – odparła beztrosko, wzruszając ramionami.

Rozejrzała się, stanęła na palcach, splotła dłonie na karku Stefana i wpiła się w niego wargami. Poczłł smak kawy, słodkiego ciastka, L&M-a i czegoś jeszcze, co musiało być po prostu Julią, bo sprawiło, że wszystkie komórki ciała zaczęły bić w nim na alarm i domagać się trwania tej przyjemności w nieskończoność. Jej dłonie miękko, lecz zdecydowane błądziły w jego włosach. Do jego ust śmiało wdarł się jej język, a zaraz za nim cichy jęk, który wydała, gdy objął ją w pasie i przyciągnął do siebie. Po chwili, która minęła stanowczo zbyt szybko, dziennikarka się odsunęła i znów rozejrzała.

– Co to było? – zapytał zachrypniętym głosem.

– Demonstracja. Obwieszczenie dla tych popieprzonych bubków, że nie dam się otumanić i twardo stoję po twojej stronie.

– Aha – mruknął. Był zły na siebie, bo niespodziewanie poczuł się rozczarowany tym wyjaśnieniem. – Dzięki za wszystko. Do jutra.

– Do jutra – odparła lekko i odprowadziła wzrokiem odchodzącego mężczyznę i płaczącego się przy nim psa.

Oboje zapomnieli o słoiku z zupą dla Ady.

## 31.

Wibrowanie telefonu wyrwało Adę z głębokiego snu. Zmrużyła powieki, bo słońce stało wysoko i bezlitośnie atakowało jej oczy, przeciskając promienie przez drobne oczka w koronce firanki. Musiało minąć południe, a ona nadal gniła w łóżku. Wychyliła się, by sięgnąć po komórkę z biurka, i poczuła silny ucisk w pęcherzu. Wstała i w drodze do łazienki odczytała na wyświetlaczu imię przyjaciółki. Niech będzie. Z nią była gotowa zamienić kilka zdań. Byłe nie atakował jej żaden samiec. Wśród nich tolerowała ostatnio jedynie ojca. A nie. Jeszcze Dżoziego. Psa nie należy się czepiać. To poczciwe stworzenie i niezdolne do ranienia innych. W przeciwieństwie do Bartka, o Jacku nie wspominając.

Nim odebrała połączenie, smartfon ucichł, bez przeszkód więc skorzystała z toalety i umyła ręce. Zdażyła wrócić na tapczan i zakopać się pod kołdrą, gdy Majka zaatakowała ponownie.

– No? – stęknęła i odchrząknęła prosto w głośnik.

– Jakaś infekcja cię dopadła? – zaniepokoiła się Lipska. – Nie lekceważ objawów. Przy upałach to się zdarza. Koniecznie musisz pokazać się lądoduchowi. Jeśli to angina, ni hu, hu nie obejdzie się bez antybiotyku. Na szczęście pierwszy trymestr masz za sobą i da się dobrać bezpieczne leki. Pamiętasz, mnie dopadło w ciąży koszmarnie zapalenie ucha i też łykałam. Nie ma dramatu. Tylko nie czekaj, aż ci się pogorszy, bo najbardziej szkodliwa jest gorączka. Mierzyłaś?

– Nie.

– To zmierz od razu. Ja poczekam. Mogę ci w tym czasie poopowiadać, co się u nas wyprawia. Stasio nauczył się siedzieć bez podparcia i tak zabawnie się kiwa, że pękamy ze śmiechu. Kiedy się mocno zaangażuje w obślinitanie zabawki, traci czujność, przechyla się na bok i leci jak wańka-wstańka. Trochę mu zajmuje, zanim się skapnie, że coś jest nie halo, i wreszcie włącza syrenę, bo absolutnie nie lubi leżeć. To dla niego zbyt dzieciuchowate. Mówię ci: istny kabaret.

– Nagraj filmik i mi przyślij. Chętnie zobaczę.

– O, już brzmisz lepiej. Zmierzyłaś tę gorączkę?

– Nic mi nie dolega.

– Nie boli cię gardło?

– Nie.

– To po kiego porosta mnie wkręcasz?



– Bo jestem ekstraordinaryjnie dowcipna – zaburczała Ada, a w jej głosie próżno by szukać choćby homeopatycznej dawki humoru.

– Skwaszona, a nie dowcipna – oznajmiła odkrywczu Lipska. – Żle ci z Jackiem? Powinien cię nosić na rękach. Dziecko mu urodzisz.

– Majka, daj spokój z tymi bredniami i zejdź na ziemię.

Walicka nagle pożałowała, że nigdy nie zwierzyła się przyjaciółce z prawdziwej przyczyny zerwania narzeczeństwa. Lipska pierwszy raz zobaczyła ją sponiewieraną, posiniaczoną i wystraszoną dopiero po napadzie goryli Korneckiego. Nie poznała historii o zaborczości, wymuszonych zbliżeniach i brutalnych zagrywkach Zawadowicza, bo Ada obawiała się, że Majka nawet poproszona o dyskrecję z pewnością coś chlapnie. Ponadto uznała za nieetyczne obciążanie brudną stroną życia kogoś, kto największego zła doświadczył podczas czytania baśni braci Grimm i obcowania z nieco zbyt apodyktyczną teściową.

– Ale że co? Nie chcesz ze mną rozmawiać?

– Chcę. Tylko nie o nim.

– To o kim? O rysowniku? Jego już chyba włożyłaś między bajki, co? Niech się buja z wesołą wdówką.

W Walickiej obudził się nagły sprzeciw. Od kilku dni doświadczała tak silnego rozchwiania emocji, że powoli traciła cierpliwość do samej siebie. Miotła się między rozpaczą, wściekłością a desperacką nadzieją, przy czym ów trzeci stan przyjmował formę znacznie krótszych epizodów. Słowa przyjaciółki niespodziewanie jej uświadomiły, że o ile Bartek nie łął, jego bratowa już się oddaliła na drugą półkulę. Może on myśli o Adzie, tęskni, żałuje niepotrzebnie wypowiedzianych słów? Może ciągle ją kocha i tak jak ona nie potrafi się pozbierać, nie rozumie, co weszło między nich, że zdołało zatruć to fantastyczne uczucie, które ich połączyło? Może przez to, że został sam z Tymkiem, nie ma warunków, by podjąć próbę pojednania?

Jasne, podszeptywała pesymistyczna strona jej duszy, i z tej wielkiej miłości w ostatnim czasie stawiał ukochaną na szarym końcu swoich obowiązków. Nie, to nieprawda, chciało wierzyć naiwne serce, starał się, jak mógł. A rozum natychmiast dopowiadał, że to ona zawiodła, a nie on. Zrzuciła na niego wieść o dziecku, nie sprawdziła się jako kochanka, nieustannie wychodziła na ledwo dychającą mimozę, od której nie można oczekiwać niczego poza niemrawymi przejawami istnienia. Żalosne!

Od konkluzji głowa zdawała się puchnąć i pękać na kawałki. Zmęczona wewnętrznymi sprzecznościami uciekała w sen, w którym niezmiennie

królował rysownik. Czuła na wargach jego usta, jego dłonie sunęły po jej skórze i słuchała tych wszystkich bzdur o miłości, które wydają się kiczowate i banalne, lecz gdy zaczyna ich brakować, zostawiają dotkliwą pustkę. Resztę czasu spędzała na próbach wyparcia z myśli tych sennych widziadeł. W tym celu rzucała się w wir porządkowania domu i odchwaszczania ogródka po latach jego swobodnego dziczenia. Wieczorami siadała z ojcem przy stole i słuchała opowieści z jego i jej dzieciństwa. Chłoneła je, uciekając od tęsknoty i strachu.

Rozmowa z Majką też mogła posłużyć za odskocznię, byle nią dobrze pokierować.

– Mów mi o Stasiu.

Młoda matka z łatwością dała się podpuścić.

– Staś czeka niecierpliwie, kiedy ciotka wróci do Łodzi. My do ciebie nie przyjedziemy. Boję się zostawić Tomasza bez kontroli, bo zidiociał. A że wrócił do roboty, nie mam jak go zaciągnąć w te twoje góry.

– Cóż takiego nawywijał twój doskonały mąż? – Walicka westchnęła i postanowiła porzucić gnienie w pościeli na rzecz napicia się herbaty.

Od czasu kłótni z Bartkiem znów dokuczały jej mdłości, choć przyczyny upatrywała we własnej psychice, a nie w ciąży. Nawet pomarańcze jej nie wchodziły, bo boleśnie przypominały świeże soki i mrzonkę o cytrusowym gaju. Żywiła się głównie lodami. Każdy przelatujący nad Łapszanką samolot kojarzył się jej ze *Skrzydłami* i własną obietnicą, że odważy się na skok ze spadochronem. Dawno temu Maciek zastanawiał się, czy to lepsze niż zakochanie, i na szczęście przed śmiercią zdołał rozwiązać tę zagadkę. W głowie Ady swobodne opadanie w chmurach osiągnęło niemal rangę symbolu, było tak samo niedostępne jak miłość.

Starła się nie zauważać rosnącego z wolna obwodu talii i przestała śledzić w sieci opisy kolejnych tygodni ciąży. Kilka razy przyłapała się na konkluzji, że wolałaby, aby życie z jej brzucha zniknęło. Ogromnie ją to zawstydzalo i wywoływało wyrzuty sumienia. Nie potrafiła jednak uwolnić się od myśli, że gdyby nie dziecko, być może wszystko potoczyłoby się inaczej.

– Nie on, tylko jego matka – nadawała Majka uskrzydłona faktem, że dostała zielone światło na zrzędenie. – Otóż wpadła na genialny pomysł, że skoro nie pracuje, wprowadzi się do nas i zajmie wnukiem, gdy skończy mi się urlop macierzyński.

– Macie tylko dwa pokoje.

– Jej to nie przeszkadza i Tomaszowi najwyraźniej też nie, bo wczoraj napomknął, żebym rozważyła tę propozycję jako rozsądną zarówno z punktu widzenia domowego budżetu, jak i dobra naszego syna. Rozumiesz?! Sprzeda mnie, do czubków wyśle, narazi na pomieszanie zmysłów, byle zaoszczędzić kilka stówek. Posraniec.

– I co zamierzasz?

– Zniechęcę go do tego apokaliptycznego planu albo się z nim zwyczajnie rozwiodę i zwięję ze Stasiem do mieszkania moich rodziców. Oni i tak w kółko siedzą na działce w Zarzęcinie.

– Chrzanisz.

– Nie. Prawie się na nią przeprowadzili. Kupili kożę i twierdzą, że nawet zima im nie straszna.

– W sensie żywą?

– W sensie na drewno.

– Zostawmy to. Stwierdziłam, że chrzanisz w sprawie rozwodu. Jesteście idealną parą.

– Idealną! – Lipska nerwowo prychnęła. – Trio jesteśmy, a nie parą. Nie zapominaj o Jadwidze Lipskiej, ekspertce od urządzania mi życia.

Walicka jeszcze przez kilkanaście minut wysłuchiwała cierpliwie wynurzeń przyjaciółki, starając się krzesać z siebie uprzejme zainteresowanie, po czym z ulgą odłożyła telefon na biurko.

– Samotne macierzyństwo ma swoje zalety – podsumowała na głos, gdy skończyły pogawędkę. – Nie grożą mi koszmarnie dramaty, z jakimi zмага się Majka. – Ta refleksja tak ją rozbawiła, że zaczęła chichotać. Pogłaskała się po brzuchu. Wydał jej się obcy i twardy, jakby nie stanowił części jej ciała. – Pchasz się na świat, więc musimy się jakoś dogadać – mruknęła pod adresem dziecka, po czym postanowiła zaatakować ogródek sekatorem, by pracą fizyczną przegonić z głowy destrukcyjne myśli.

Zanim przystąpiła do czynu, pod furtkę Walickich podjechał chudy wyrostek, mniej więcej czternastoletni, na poobijanym rowerze. Ominął dziurę w asfalcie, gibnął się niebezpiecznie, zatoczył i oparł stopę obutą w zakurzony trampek na kępie trawy. Zeskoczył z jednoślada, wygrzebał z kieszeni spodni sfatygowaną kartkę i wyćwiczonym ruchem zawiesił ją na płocie, korzystając z doczepionego sznurka. Pstryknął świstkowi zdjęcie telefonem, następnie odbił się od drogi, wykręcił i pognął do centrum wsi, jakby go gonił jego belfer od fizyki, zapomniawszy, że trwają wakacje. Nastolatek dotarł do sklepu, wpadł do środka jak po ogień, nabył puszkę coli

z lodówki i opadł na plastikowe krzesło w kącie, by wypić w spokoju, udając wycieńczenie, a przy okazji dokładnie zlustrować biust ekspedientki.

– W piórka obrosłeś? – zapytała, bo tkwienie od rana do wieczora za ladą ją nudziło, a gówniarz stanowił nie lada rozrywkę. – Po kilka razy dziennie zachodzisz. A to cola, a to lody, a to drożdżówka. Dobrze, że piwa sobie nie życzysz.

– Ja sobie mogę życzyć, ale ty nie chcesz sprzedać. Pracuję, to chyba mi wolno robić zakupy – odparł hardo i wyprostował się jak struna, napinając mięśnie na kościstych ramionach.

– Nie za młody jesteś na zarobkowanie?

– Swoje lata mam.

W progę stanęła Terezka Taterniukowa z zaciekawieniem przysłuchująca się rozmowie.

– A co tobie, Wiola, do tego? Płaci? To nie marudź – stanęła w obronie chłopaka. – Wiesz, że u niego w domu bieda. Ludzie go wynajmują do pomocy, a Romuś robotny i zawsze na wszystko się zgadza. Jak za te parę złotych kupi sobie cosik lepszego do jedzenia, co inne dzieciaki mają na co dzień, to nie trza się go od razu czepiać.

– Ale on mi się wiecznie w cycki wlampia i bezczelnie się oblizuje – broniła się dziewczyna, splatając ręce na piersi. – O, pani popatrzy. Czerwony jak burak.

– Bo gorąco – podsunęła Taterniukowa.

Nastolatek faktycznie pokraśniał jak dziewczyna, zerwał się z krzesła i potknąwszy się o nie, zgniótł w dłoni pustą puszkę.

– Tylko wyrzucić do właściwego kosza, bo nogi z dupy powyrywam – krzyknęła za nim ekspedientka czuła nie tyle na ekologię, co na opłaty za wywóz śmieci i ewentualne kary, jakie mogą spaść na sklep, jeśli nie dopilnuje wymogów segregacji.

– Cicho, nie krzycz. Zakochał się, chuć mu portki rozsadza, a ty nie masz za grosz taktu. Trzech młodszych braci w domu i nie możesz się zdobyć na wyrozumiałość?

– Właśnie dlatego, że mam trzech braci, nie daruję gówniarzowi. Już ja doskonale słyszę, o czym ci zboczeńcy wieczorem gadają i co im się wiecznie roi. Nie zamierzam być bohaterką mokrych snów takiego szczyła.

– Łupnęła dłonią o ladę i zerknęła spode łba na klientkę.

– Aż taka piękna nie jesteś, żeby się zachowywać jak rozwydrzona paniusia. A teraz pół kilo mielonego mi zważ, tylko żeby nie było zaśmierdłe

jak ostatnio. Psom musiałam oddać.

Romuś nie słuchał dalszej rozmowy obu kobiet – wskoczył na rower i pognął przed siebie. Usiłował nie zwracać uwagi na niewygodne podniecenie, które – odkąd poczuł, że staje się mężczyzną – nieustannie wprawiało go w zakłopotanie i stwarzało okazje do kompromitacji. Wiola naprawdę mu się podobała, zwłaszcza od kiedy udało mu się ją podejrzeć, gdy figlowała z jednym takim letnikiem. Okna nie zamknęła, bo duchota, a firanka się rozchyliła... Niestety miała serce z kamienia. Nie dostrzegła zalet Romusia, choć jej amant wyjechał. W efekcie zasypiała sama z ręką pod kołdrą i zawsze przy tym ciężko dyszała. To też chłopak zdołał już podejrzeć. Idiotka z niej.

Rozmyślając o tym, co mógłby jej zrobić, gdyby traktowała go poważnie, dotarł pod właściwy dom, dyskretnie obszedł go dookoła i zapukał do jednego z okien na tyłach posesji. Uchyliło się niemal natychmiast. Wyrostek wyciągnął komórkę, pokazując zleceniodawcy kilka zdjęć. W zamian zgarnął banknot dwudziestozłotowy, chuchnął na niego, schował do kieszeni, zasalutował do pustej głowy, jak zdarzało mu się widywać na amerykańskich filmach, i ponownie wskoczył na swój rower, by pokręcić się po okolicy.

## 32.

Cezary Pilch zachwycał się nadzwyczajną soczystością zieleni parku Źródliśka, odurzającym zapachem kwiatów na rabatach oraz bezkresnym lazurem nieba przystrojonego drobnymi kopczykami bitej śmietany. A może to były chmury? Gdyby pokusił się o kontemplację, z pewnością zdziwiłoby go nagle wyostrenie własnych zmysłów na walory przyrody, lecz nie miał czasu na takie krotchwile. Zajmowała go inna aktywność. Dreptał wzdłuż parkowych alejek pod rękę z Ludmiłą Gołębiowską. W kremowym lnianym garniturze idealnie pasował do kreacji swej towarzyszki. Założyła jasną, niemal dziewczęcą sukienkę w drobne kwiatki i dziurkowane czółenka na niewielkim koturnie. Zadbala także o makijaż i chociaż tusz przy lewym oku nieco jej się rozmazał, w oczach mężczyzny wyglądała uroczo i świeżo. Był oczarowany. Nasycony muzyczną ucztą podczas koncertu w wykonaniu wirtuozów Akademii Muzycznej w Łodzi ciągle nie miał ochoty wracać do domu. Spacerowali w tempie żółwia, bo od samego ruchu bardziej zajmowała ich rozmowa.

– To niezwykle, pani przyzna, że przyszliśmy na świat w tym samym roku.

– A jednak w innym świecie – uzupełniła kobieta z istic refleksyjną miną, która zdarzała jej się nad wyraz rzadko. – Pan jeszcze w wolnym kraju, a ja pod okupacją.

– Łódź bardzo nie ucierpiała w trakcie działań zbrojnych, więc chyba nie żyło się aż tak źle, pani przyzna?

– Naloty nas z ziemią nie zrównały, co nie znaczy, że nie rozgrywały się tu wielkie tragedie. Ja w każdym razie mogę uważać się za szczęściarę. Wojna mnie mocno nie doświadczyła. Nie pozbawiono mnie opieki, nie wyrzucono z domu, nikt nie zginął na moich oczach, tyle tylko, że żyłyśmy z mamusią bardzo ubogo. Pamiętam niewiele. Podobno panicznie bałam się ludzi w mundurach. Tatuś odnalazł się dopiero po wyzwoleniu. Na jego widok odstawiłam ze strachu szopkę z histerią i szlochem, bo wydawał mi się strasznie ponury i obcy. Od klęski wrześniowej siedział w jenieckim obozie. Mamusia powtarzała w kółko, że wrócił odmieniony. Chyba nie umieli być już szczęśliwi, mimo że po paru latach sprawili mi brata, urwipółcia takiego, psotnika. Jako nastolatka ustawicznie wlokłam za sobą uczepiony smarkaty ogon. Rodzice obarczali mnie opieką nad braciszkiem zawsze wtedy, gdy zamierowałam wybrać się na randkę.

– I co? Chodziła pani z nim?

– A jakże. Zygmus, mój przyszły mąż, Henia rozpieszczał. Cukierki mu przynosił, na barana brał, a raz sprezentował mu łuk i kilka strzał z metalowymi grotami. Mały jedną z nich wybił okno w piwnicy sąsiadom. Skórę mu mamusia złoila, aż się od płaczu zanosił, ale nie wygadał, od kogo ta zabawka. Sztamę z nami trzymał i za każdym razem grzecznie odwracał głowę, udając, że ogląda chmury, gdy tylko Zygmus mnie całował.

– Romantycznie.

– Bardzo. Śmialiśmy się, że amor wszędzie za nami łązi, bo miał ten łuk, a do tego włosy takie loczkowate, jasne, jakby złotawe. Śliczny dzieciak.

– Gdzie jest teraz?

– Nie żyje. Mieszkał i pracował w Toruniu. Zginął w osiemdziesiątym roku w katastrofie kolejowej. Jechał do nas, do Łodzi, na dwudziestą rocznicę ślubu.

– Przykro mi – powiedział Cezary, gładząc ją przyjaźnie po ramieniu. – Zostawił dzieci?

– Nie. Obojgu nam się w tym względzie nie poszczęściło. A pan spędził wojnę w Dęblinie?

Mężczyzna potoczył wzrokiem po konarach drzew i pociągnął damę w stronę kafejki ulokowanej w budynku Palmiarni.

– Zapraszam na ciastko i coś do picia.

– Próbuje się pan wywinąć od zwierzeń?

– Nie ośmieliłbym się – oznajmił szarmanckim głosem i ucałował koniuszki jej palców. – Tylko suponuję, by połączyć je z odpoczynkiem – zapewnił i dotrzymał słowa, gdy zapadli się w wygodnych szarych fotelikach nad filiżankami herbaty z cytryną i wuzetkami. – Podobnie jak pani zapamiętałem z wojny niewiele, tyle co z maminych opowieści. Przyszedłem na świat w stolicy. Ojciec zginął w kampanii wrześniowej. Z ostatnich warszawskich tygodni w czterdziestym czwartym pamiętam ogień, smród i strach, ale nie głód, więc albo moja matula była bardzo zaradna, albo ja w czepku rodzony. Po powstaniu zdołała ze mną uciec. Nie wiem, jakim sposobem, nigdy nie chciała wracać do tych wspomnień. W głowie mam obraz wielkiego placu i tłumu z wózkami, plecakami, tłumokami. A potem nagle skądś wzięły się leśne ścieżki, pola i chałupa z dala od ludzkich oczu. Przygarnęli nas krewni spod Grójca i mieszkaliśmy u nich niemal rok. Przyjechał tam po nas wuj z kolegą. Zaprzyjaźnili się na robotach pod Getyngą. Ów człowiek pochodził z Lublina, a że z marszu się z moją matulą w sobie zakochali, sprawa stała się przesądzona. Potem do

Dęblina droga była prosta, bo od szkraba pasjonowałem się lotnictwem. Ot i cała historia. Jak na wojenne dziecko też całkiem fartownie. Rzec by można, żeśmy się dobrali jak w korcu maku – podsumował, znów ucałował dłonie Gołębiewskiej, aż wreszcie nie wytrzymał, wychylił się ze swojego siedziska i siarczyście cmoknął ją w policzek.

– Panie Czarku! – Udawała oburzoną, rozglądając się w lekkim popłochu.

– Tak przy ludziach? Młodzież zaraz zacznie się gapić, komórkami filmować i na twarzowego zboka wrzucać.

– Na co?

– Na Facebooka.

– A niechby. Ja się nie wstydzę. Małżonek przy Heniu mógł się zalecać, a teraz się pani internetu boi? Proszę się nie wykręcać udawaniem pruderyjnej.

– Ale ja wtedy byłam młoda!

– O przepraszam. – Pilch podźwignął się ze stęknięciem, zapiął marynarkę, położył na stoliku banknot i wyciągnął rękę do Ludmiły, by jej także pomóc wstać. Uległa bez wahania. – Ja nadal jestem młody, jakby pani nie zauważyła. Tylko ta moja młodość jest nieco bardziej ugruntowana niż, nie przymierzając, u mego wnuka. A w pani widzę piękną, interesującą damę, do której mam nieodpartą chęć uderzać w koperczaki. Budzi to w pani sprzeciw?

– W żadnym wypadku, a skoro tak, panie Czarusiu... och, to brzmi dwuznacznie... panie Czarku, zapraszam na kolejną filiżankę herbaty już do mnie. Też mam w domu ciasto, lepsze niż kawiarniane. Tylko niech pan wezwie taksówkę, zamiast dzwonić po Bartka, bo zacznie się naigrywać i jeszcze zechce pilnować.

– Pani czci? – Zaśmiał się staruszek, unosząc brwi z identyczną miną, z jaką zwykli czynić to młodszy Pilchowie.

W Gołębiewskiej wywołało to salwę przyjemnych skojarzeń, a do tego dziwne kołatanie serca, które nie było z pewnością zapowiedzią migotania przedsionków, a stanem wybitnie korelującym z rzewnymi wspomnieniami pierwszych randek z Zygmysiem. Czuła się atrakcyjna, adorowana i godna męskiej uwagi, a do tego pełna życia. Do diabła, tak! Wbrew PESEL-owi, zwiotczalej skórze i postępującej jaskrze.

– Mojej trzeźwości. Zamierzam wypić z panem brudzia i nie jest mi przy tym potrzebny ciekawski nochal jakiegoś małolata, nawet jeśli ma on zaszczyt być moim ulubionym sąsiadem, a pana wnukiem.



Dwie godziny później policzki paliły ją żywym ogniem, wycmokane bez umiaru przy okazji wychylania kolejnych kieliszków. Starszy pan, mając już nieco w czubie, roznamiętnił się tak bardzo, że jął całować także usta i obłapiać kobiecą talię, grawitując dłońmi ku pośladkom. Zaiste, młodość to stan duszy, powtarzał w myślach, rozanielony i coraz dogłębniej przekonany, że dopadło go zauroczenie. Taki miły prezent na ostatniej prostej, idealne uzupełnienie radości, jaką przyniosło mu pojednanie z młodszym wnukiem i poznanie prawnika. Gdyby tak jeszcze żył Borys... Ale nie wolno poddawać się smutkom, liczyć strat, marnować cennych dni na wyrzucanie sobie, innym ludziom czy nawet opatrności, że coś poszło inaczej, niż można by sobie wymarzyć. Rozsądek nakazuje pielęgnować pogodę ducha i wdzięczność za to, co się ma, za bliskich, za wspólne chwile i za tę wspaniałą kobietę, która pozwoliła się porwać, zatracić, zakochać.

Jako tło dźwiękowe energicznych zalotów grzmiał *Dziadek do orzechów* puszczony głównie po to, by przekupiona muzyką papuga kiwała się grzecznie na swojej huśtawce w otwartej klatce i nie komentowała tego, co widzi. Gdy półlitrowka finlandii wyschła do cna, a z głośników huknął *Walc kwiatów*, Cezary nie wytrzymał i porwał kobietę na parkiet.

– Ludka, oj, Ludka, dziewczyno moja milotka – zamruczał z twarzą wtuloną w jej twarz. Starał się czułością zatuszować fakt, że ni w ząb nie potrafi tańczyć.

– Czaruj mnie, Czarus, czaaaruuuuj! I jeszcze raz mnie pocaaahuuuuj! – odpowiedziała Ludmiła nieco bełkotliwie, bo ilość wypitego alkoholu stanowczo wykroczyła poza jej zwyczajowe dwa kielonki.

Rozochocona przedstawieniem Zoja ukradkiem dorwała się do regulacji głośności, zwiększając liczbę decybeli ponad wszelką rozsądną granicę. Czajkowski poniósł się na cały blok, lecz zakochani tego nie zauważyli.

– „I ty, właśnie ty, będziesz moją daaamą” – wyrwało się z piersi Pilcha. Fałszował okrutnie, gdy usiłował przekrzyczeć orkiestrę.

– Lubisz romantycznych bardów? – wrzasnęła Gołębiewska ujęta nie tyle jakością wykonania, co treścią kierowanej do niej pieśni.

– Niezmiernie. A tego wyjątkowo. „Będę z tobą tańczył, bajki opowiadał... I ty, właśnie ty...”

Trwało to dosyć długo. Walc przeminął, ale oni zdawali się nie zwracać na to uwagi, tańcząc i śpiewając w duecie, bez jakiegokolwiek muzycznego związku z Czajkowskim, za to przy pełnej synchronizacji obu serc. Cezary prowadził damę do kolejnych obrotów, nie dając odsapnąć jej ani sobie.

Cudem nazwać by można fakt, że nie zmiądzzył jej stóp, bo co rusz się o nie potykał. To jednak nie miało żadnego znaczenia, gdy coraz głębiej zaglądał Ludce w oczy i coraz śmielej ją dotykał, czując się tak, jakby nagle zostali na świecie tylko we dwoje i nie liczyło się nic poza nimi. Pał sześc, że organizm szwankuje i pamięć chwilami nawala. Miłość się nie starzeje i w każdym wieku może smakować słodko, zwłaszcza gdy ma ogromną szansę stać się czyjąś ostatnią.

Za którymś razem skołowany od nieustannych obrotów, pijany kobiecym ciałem i zapachem oraz niewątpliwie zawiany wódką Cezary zatoczył się, stracił równowagę i runął jak długi na kanapę, a Ludmiłę pociągnął wprost na siebie, bo instynkt nie pozwolił mu wypuścić skarbu z ramion. Zlustrował jej twarz w poszukiwaniu śladów oburzenia, a gdy ich nie dostrzegł, uniósł kąciki ust i wydukał, by zbagatelizować porażkę:

– Ups, błagam pardonu.

– Wybaczam – odparła kurtuazyjnie, bo nie miała zamiaru podnosić się ani rezygnować z przyjemności męskiego uścisku.

Oboje wybuchnęli śmiechem. Nie zważali przy tym na niezbyt fortunną pozycję, bo doskonale się bawili.

Tymczasem Bartek, zaniepokojony hałasem płynącym z sąsiedniego mieszkania, użył odziedziczonego po profesorze klucza i ruszył na przeszpiegi, na wszelki wypadek nie zabierając z sobą Tymka. Zastał obrazek nad wyraz malowniczy. Czajkowski dawał czadu, na stole stały dwa kieliszki i pusta półlitrówka, zachwycona papuga przechadzała się po parapecie, a dwoje osiemdziesięciolatków leżało na kanapie w ewidentnie romantycznej pozie, na zmianę całując się i chichocząc. Na szczęście byli przyzwoicie odziani.

– Rany boskie – jęknął. – Mam haluny.

– O, Bartuś. – Ucieszył się senior. – Za późno, butelka już wyschła.

– Dziadku, upiłeś panią Ludmiłę?

– Ludkę, Ludeńkę, Luduuuchnę – zaćwierkał Cezary, czknął i ryknął: – „Będą ci grały nocą sierpniową... Będą śpiewały, śpiewały bez końca...”

– Czemu zaraz upił? – obruszyła się Gołębiewska. Podparła się dłonią na szerokiej klacie amanta i łypnęła groźnie na intruza. – To jest prawdziwy macho. Do bitki i do wypitki! Albo nie. Wolę *peace and love*. Do amorów i do wypitki! Ucz się od dziadka, szczeniaku. Może zmądrzejesz i porządnie zakręcisz się wokół Ady.

– O tak. Zmą... drzejesz – poparł ją starszy Pilch. – A teraz znikaj, a kysz, bo my tu mamy *rendez-vous* i psujesz klimat. Inaczej ci pogrechutam... pogrucham... pog... ruchotam kości i zobaczysz, że stary, ale jary!

– *Suka bliat!* – wrzasnęła Zoja, przysiadając na oparciu kanapy. Przekrzywiła łebek, wymownie zerknęła na staruszków, a ironia niemal skapywała jej z dzioba. – *Starrryje durrraki! Starrryje durrraki!*

– To ja faktycznie pójdę – podsumował nieco zszokowany rysownik. Korzystając z resztek rozsądku, zajrzał do lodówki i z ulgą odkrył, że nie chłodzi się w niej kolejna wódka, więc ruszył do drzwi. Zamierzał jeszcze zapytać, czy dziadek wróci na noc, lecz gdy pokój wypełniło głośne wokalizowanie w dwugłosie: „I tyyy, właśnie tyyy...”, machnął ręką i pognął do bratanka.

### 33.

Dwoje ludzi i podpalany mieszaniec wędrowali wąską leśną ścieżką na południe w stronę słowackiej Osturni. Stefan nie krył zadowolenia, że udało mu się namówić córkę na przechadzkę. W tygodniu, gdy zostawała sama, nieustannie przewracała się w pościeli, zapadając w płytkie drzemki, lub rzucała się w wir domowej roboty, nie zważając na swój odmienny stan. W niedzielę nie miała na to szans, bo ojciec nie poszedł do pracy i bardzo uprzejmie namawiał na spacer.

Dzoczi całym ciałem manifestował niezwykle podekscytowanie. Człowiek, którego nie obawiał się już uważać za swojego przyjaciela, szedł obok i to wystarczało mu do szczęścia. Na dodatek między leśną gęstwiną udało się znaleźć spory, poręczny badyl, który idealnie leżał w pysku i powinien polecieć daleko, jeśli ktoś raczyłby go rzucić. Psiak biegał wokół ludzi, zaczepiał końcem kija o kolana, lecz rozmowa zajęła ich do tego stopnia, że nieszczęśliwie zwracali uwagę na subtelne sugestie. Zdesperowany odbiegł wreszcie kawałek do przodu, zatrzymał się na środku ścieżki, ułożył swój skarb przed sobą, po czym opadł na zadek, ziajał i czekał. Gdy pana dzieliło od niego kilka kroków, poderwał się energicznie, zamachał ogonem i zaczął zachęcająco ujadać.

– Cwaniaczek – skomentował jego wysiłki Walicki.

– Czego chce? – zaciekawiała się Ada.

– Popatrz. – Schylił się, złapał badyl i cisnął nim daleko przed siebie. Dzoczi pomknął jak strzała upojony pędem i własnymi umiejętnościami perswazji.

Tak skutecznie wytresować sobie człowieka, by rzucał patyk wtedy, gdy pies sobie tego zażyczy, to wielka sztuka. Nie każdy potrafi. Nie trzeba do tego metryki, rodowodu ani wyglądu zgodnego z wzorcem jakiegokolwiek rasy. Wystarczy odrobina sprytu, inteligencji odziedziczonej po najbardziej udanych antenatach oraz oczywiście fartu. Dzoczi go miał, bo trafił na Stefana. O Mroczkę powoli zapominał, o czasach ponieważ również. Był kochanym, otoczonym opieką psem.

Ludzie ponownie dotarli do tkwiącego im na drodze zwierzaka, Stefan chwycił obśliniony drąg i wyduślił z siebie najsilniejszy zamach. Ogon zakręcił kilka młynków, podpalana sierść załśniła w słońcu, a uszy zabawnie podskoczyły, inicjując pęd.

– Pocieszny jest. Nie da się go nie lubić – skomentowała szczerze dziewczyna, bo pupil ojca rozczulał ją czystą radością życia, spolegliwością

i wdzięcznością, z jaką przyjmował każdą, choćby najdrobniejszą pieszczotę.

– Prawda? Kupił mnie od pierwszego wejrzenia. A podobno taka miłość zdarza się rzadko, a jeszcze rzadziej bywa wieczna.

– O ile miłość po grób w ogóle istnieje.

– Istnieje, kwiatuszku. Zapewniam. Nie każdemu jest pisana, ale się trafia.

Spowaźnieli i choć co kilkadziesiąt kroków Walicki przystawał, by ponownie spełnić życzenie Dżociego, nastrój stał się cięższy, a rozmowa o wiele bardziej zasadnicza. Niepostrzeżenie wykroczyła poza opowieść o wiejskim mieszańcu, którego życie stało się lepsze, odkąd spotkał kryminalistę na warunkowym zwolnieniu.

– Mówisz o sobie i pani Helenie? To niezwykle, że tyle lat na ciebie czekała.

– Naprawdę tak sądzisz? Nie przepadacie za sobą.

Ada zwinęła włosy w węzeł i upchnęła je pod słomkowym kapeluszem z szerokim rondem, bo nie chciała, by grzały jej kark. W lesie było gorąco i parno. Rześkość zieleni, której się spodziewała, okazała się tylko złudzeniem, a przez spore przerwy między drzewami do ścieżki docierało rozzuchwalone tego lata słońce.

– Jestem nieobiektywna, bo ciągle widzę w niej przede wszystkim matkę Jacka. Nie przejmuj się tym. Może z czasem zdołam się przełamać.

– Nie masz do mnie żalu, że przestałem kochać Gabrielę?

– Nie – przyznała bez wahania, bo tę kwestię zdołała już przemyśleć i odnaleźć w sobie szczerą odpowiedź. – Może gdybym się dowiedziała o wszystkim jako dziecko, patrzyłabym na to inaczej. Teraz rozumiem, że to się po prostu stało. Zresztą, minęło tyle lat... Masz prawo cieszyć się życiem.

– Jednak wolałbym przy tym nikogo nie ranić.

– To się nie zawsze udaje. Na mamę nie musisz się już oglądać. Zadośćuczyniłeś jej z nawiązką. Powinieneś ją jednak odwiedzić. Może pojedziemy razem? Nie zapowiada się na to, że szybko wrócę do Łodzi.

Ojciec objął ją na moment i uściśnął jej ramię, po czym kolejny raz schylił się po patyk.

– Musi ci się poukładać. Ja mam już spaprany życiorys, ktoś powinien przerwać to ponure fatum w rodzinie.

– Jakie znowu fatum?

– Co najmniej stuletnie, jeśli dobrze liczę.

– Chcesz powiedzieć, że kolejne pokolenia cierpiały z braku miłości? – Przystanęła. Niewiele wiedziała o przodkach ojca. Matka o nich nie opowiadała, wyrzucając ich z pamięci w ślad za mężem.

– Nie z braku. Wręcz przeciwnie. Wielkie uczucia ich nie omijały, ale zawsze kończyły się przedwcześnie, skutkiem czego zostawiały po sobie pustkę. Tobie nie może się to przytrafić.

– Już mi się przytrafiło.

– Z Jackiem? – spytał i natychmiast się poprawił. – Głupio gadam. Pod poduszką chowasz komiks o lotnikach.

– W głowie chowam jeszcze więcej. – Urwała temat Bartka, żeby się całkiem nie rozkleić. – A jak było z twoimi rodzicami?

Ścieżka wyprowadziła ich na skraj lasu i Walicki skręcił w bezdroża na zachód. Córka i pies podążyli za nim.

– Bardzo się kochali. Tak opowiadała mama. Tata ją rozpieszczał, nosił na rękach, budził pocałunkami i w ogóle miał niezwykle romantyczną duszę, co w tamtych czasach nie było ani modne, ani częste. Dostali od losu cztery wspólne lata. Potem zmarł na dyfteryt. Moja matka, Marianna, rodziła mnie jako wdowa.

– To straszne. Nie wyszła za mąż po raz drugi?

– Nie. Twierdziła, że nie potrzebuje nędznych namiastek tego, co straciła.

– Rozumiem ją – przyznała dziewczyna ze ściśniętym gardłem. –

W zasadzie czuję to samo. Ten jedyny albo nikt. Nie chcę żyć z byle kim tylko po to, by zagłuszyć samotność.

– Córuchna, ciebie i Bartka nie rozdzieliła ani śmierć, ani nic choćby w połowie ostatecznego. Poza tym jesteś bardzo młoda. Ciągłe możesz zawalczyć o was razem lub po prostu o siebie.

Westchnęła, bo nie wiedziała, co odpowiedzieć. Los na kartach jej życia przewidział dwa marginesy: pierwszy z nadzieją na uśmiech i drugi mokry od łez. Latami pozwalała bezkarnie bazgrać po nich innym. Pilch zostawił po obu stronach ciągle żywe szkice, ale – psiakość – jej też wolno wziąć w garść ołówki i postawić kilka kresek. Tylko co narysować? Dziecko? Nie. Wolałaby wymienić ciężę na Bartka i czuła, że przez to ma ochotę sama sobą potrząsnąć. A po niego bała się sięgnąć, by nie stracić resztek nadziei.

– Nie chcę rozmawiać o mnie – oznajmiła stanowczo i zmusiła się do pogłaskania brzucha. – Podsumujmy: ty i twoja mama nie stworzycie stuletniego fatum. Co z twoimi dziadkami?

Stefan wyciągnął z plecaka dwie butelki mineralnej i miskę dla Dżociego. Pili chętnie, zmęczeni upałem. Pies także dopadł do swojej porcji. Rozchlapywał rozgrzane krople, mlaskając z zadowoleniem. Na koniec tak się skupił na merdaniu ogonem i wpatrywaniu w swego pana, że wlaź łapą w wodę, rozlewając resztkę na trawę.

– Fajtłapa – skomentował Walicki, podrapał zwierzaka za uchem i z nową energią podjął marsz oraz rozmowę. – Moja babcia Adela, matka Marianny, także przeżyła tragedię. Urodziła się w latach dwudziestych w Bukowinie. Jeszcze wtedy nie używano drugiego członu, czyli Tatrzańska. Z ośmiorga rodzeństwa z wczesnego dzieciństwa wyrosła tylko ona, najmłodsza. Kolejne dzieci przychodziły na świat martwe lub zapadały na nieuleczalne choroby. Z każdą kolejną śmiercią rodzice gorzknieli i dla jedynej uchowanej córki byli niezwykle surowi. Nie okazywali jej ciepła ani wyrozumiałości, a oczekiwali bezwzględного posłuszeństwa. Podobno matka Adeli, moja prababka, zakochała się bez pamięci w poecie z Warszawy. Zjawił się w górach w lecie, rozkochał ją w sobie, uwiódł, zniknął, a krótko potem rodzice wydali ją za innego. Oczywiście jej zdanie się tu nie liczyło.

– Biedna dziewczyna...

– Mhm. Tym bardziej, że szła do ołtarza z bękartem w brzuchu. Sprawa się wydała, dziecko nie przeżyło nawet roku, a pradziadek tę i kolejne maleńkie mogiły traktował jako karę za rozwiązłość żony. Jak widzisz i ona wpisuje się w schemat nieszczęśliwej miłości.

– A co z Adelą?

– Ano właśnie. Jej młodość przypadła na lata wojny. Pracowała u jakiejś bogatej rodziny: sprzątała, prała im ubrania i pomagała w kuchni. Chodziła do nich codziennie przez pola i przy którejś wędrownicy natknęła się na Antka.

– Tego kuriera od zięby?

– Skąd o nim wiesz? – Zaskoczony Stefan przystanął z patykiem w rękę. Nie zważał na to, że Dżoczi trąca go nosem i się niecierpliwi.

– Opowiadałeś mi na łące, gdy byłam mała – odparła Ada, jakby to była oczywista rzecz.

– Córuchna, minęło dwadzieścia lat!

– Co z tego? Nie zapomniałam i nigdy nie przestałam tęsknić.

Walicki zamachnął się i rzucił kijek, by pozbyć się choć na chwilę psa, po czym przyciągnął córkę do siebie. Obejmował ją, walcząc z falą wzruszenia

i czując się tym nieco zawstydzony. Ileż można wylewać łez? Dorosły facet, który przetrwał koszmar więzienia, a oczy mu wilgotnieją, gdy rozmawia z córką? I to nie z dzieckiem, nie słodką dziewczynką, a dorosłą kobietą, którą dopiero poznaje na nowo. Był nią bezkrytycznie zachwycony, czuł się dobrze, niemal idyllicznie, gdy miał ją na wyciągnięcie ręki.

– Ja też pamiętam tamten spacer. Po prostu nie sądziłem, że ty... Zostawmy to – mruknął, wypuszczając ją z ramion. – Chodźmy jeszcze kawałek, pokażę ci miejsce związane właśnie z nimi.

– Z Antkiem i Adelą?

– Tak. Twoje imię wybrałem niejako na jej cześć.

Adę ścisnęło w gardle, gdy zakwitły w niej smutek i nagła, niespodziewana sympatia dla tej dziewczyny z przeszłości. Pamiętała, że kurier Antek zginął w górach przed końcem wojny.

– Ona się w nim zakochała?

Dotarli do szczytu niewielkiego wzgórza obficie obrośniętego gęstymi krzewami i chojakami, które wprawdzie zasłaniały widok na Tatry, lecz nadawały zakątkowi niemal intymny charakter. Na środku, pośród bujnej roślinności, stały resztki drewnianej, jednoizbowej chatki, niewiele większej od szałas. Dach częściowo się zawalił i pokrył mchem. Brakowało jednej ze ścian, w której pierwotnie musiało znajdować się wejście. Dawne klepisko porosła trawa, pośród której barwiły się polne kwiaty. W kącie zostały resztki komina i paleniska. Walicki rozłożył w cieniu koc, wypakował z plecaka kanapki oraz pojemniczki pełne malin i borówek. Pies grzecznie usiadł u jego stóp w nadziei na poczęstunek.

– Dostaniesz, żarłoku. Córuchna, jedz, to opowiem. Nie ma nic za darmo.

Obojgu sprawiało radość, gdy ją nazywał w ten sposób. Przychodziło mu to tak naturalnie, jakby się nie rozstawali, jakby codziennie tak się do niej zwracał. Wszak robił to nieustannie, w myślach albo półszepem, ledwo poruszając ustami. Wierzył, że słowa to posłańcy duszy. Są wolne jak ptaki, dopóki człowiek nie zadusi ich tchórzostwem lub nie osaczy rozumem. Zaś te o miłości, niczym najwytrwalsze gołębie, potrafią dotrzeć do ukochanej osoby choćby na kraniec świata.

– Bez lodów?

– Bez. Do lodów nie potrzebujesz mojej zachęty.

Przewróciła teatralnie oczami, lecz posłuchała i wygodnie usadowiła się na kocu. Wrzuciła do ust kilka owoców i chrząknęła wymownie.



– Oboje się w sobie zakochali. Nie wiem, kto postawił tę chałupkę, ale Antek w niej pomieszkiwał. – Usłyszała w ramach nagrody. – Był obszarpańcem, biedakiem, nie wiadomo skąd, bez metryki i rodziny. Gdy spółdzili Mariannę, ojciec Adeli wpadł w szal. Ubodło go to na honorze. Nie dość, że sam przejął po innym zbrzuchaconą kobietę, to jedyne dziecko przyniosło mu kolejną sromotę. Wyrzucił dziewczynę z domu, nie bacząc, że trwa wojna. Antek sprowadził ją tutaj. Spędzili razem kilka szczęśliwych tygodni, po czym zginął. Adela została sama. Ruszyła do ludzi dopiero tuż przed porodem, z obawy nie tyle o siebie, co o dziecko. W Łapszance przygarnęła ją starsza wdowa, która podczas wojny straciła męża i synów. Moja matka przyszła na świat w jej domu, tym samym, w którym ty wyrosłaś, a ta kobieta stała się jej ukochaną babcią. Mieszkały we trzy, dopóki staruszka nie umarła.

Ada zamrugła, próbując strząsnąć z siebie poruszenie.

– Faktycznie stulecie pełne rodzinnych strat, ale wiesz co? – powiedziała, chwytając dłoń ojca. – Ta wdowa z Łapszanki daje mi do myślenia. Nie była z Adelą spokrewniona, a stała się babcią Marianny. Czyli da się posklejać rodzinę czymś innym niż geny.

– Tego się trzymaj, kwiatuszk. Na siłę szczęścia nie zbudujesz, ale warto próbować.

Wracali do domu zmęczeni, lecz w znacznie lepszych nastrojach, przepełnieni wrażeniem, że każdy kolejny dzień ich do siebie przybliżył. Zmęczony pies włókł się łapa za łapą, przymykając oczy i marząc o tym, by runąć pod biurkiem na starą koszulę Mroczka i zapaść w sen. Pewnie dlatego nie zwiertzył intruza, a jeśli nawet poczuł jego woń, nie chciało mu się gonić za ludzkim szczeniakiem.

Romuś zawiesił na furtce kolejną kartkę i właśnie ją fotografował, gdy w oddali usłyszał głosy. Pospiesznie chwycił rower, by ukryć się z nim za narożnikiem ogrodzenia. Dwoje ludzi i pies zbliżali się od strony granicy. Wyrostek otworzył usta ze zdziwienia, bo pierwszy raz dostrzegł Walickiego, o którym krążyły po wsi niestworzone i krwawe historie, w innym towarzystwie niż kulawa Hela lub dziennikarka. Obok niego szła dziewczyna w luźnej pomarańczowej tunice i słomkowym kapeluszu z szerokim rondem. Włosy mieniące się w słońcu różnymi odcieniami, od złota po jasny brąz, oplatały jej smukłe ramiona. W oczach chłopaka wyglądała zjawiskowo, ładniej niż jakakolwiek dziewczyna we wsi, i mianował ją w myślach Słomkową Damą. Ciało nastolatka natychmiast

zareagowało, spragnione endorfin, oksytocyny i przede wszystkim ekstazy, jakiej nie miało jeszcze okazji zaznać w kontakcie z kobietą. Mózg zalała fala lubieżnych wizji. Romuś bez żalu strząsnął z siebie wspomnienie Wioli ze sklepu oraz jej dłoni bezwstydnie błędzącej pod kołdrą. Zakochał się, przepadł, stracił głowę. Słomkowa Dama w jednej chwili zmieniła się w obiekt jego najśmielszych erotycznych fantazji.

## 34.

Na parapecie przeżyły się dwa miniaturowe drzewka, które ożywiały skromne wyposażenie pokoju. To drugie ojciec ustawił wczesnym rankiem i opatrzył krótkim liścikiem: „Mandarynkowe – ode mnie, cytrynowe – od mojego wnuka. O trzecie postaraj się sama”.

Ada, obudziwszy się koło popołudnia, jak ostatnio miała w zwyczaju, natychmiast dostrzegła prezent. Długo mu się przyglądała, pocierała palcami liście i uwalniała cytrusowy aromat, zagłuszając wyrzuty sumienia, że nie cieszy się dzieckiem tak, jak powinna. A przecież po pierwszych chwilach wewnętrznego sprzeciwu bardzo szybko zrodziła się w niej czułość dla tej kruszyny. Wystarczyło, że gabinet lekarski wypełniło miarowe bicie małego serduszka. I gdzie to przepadło? Bezskutecznie próbowała przywoływać tamte emocje. Nie mogła się pozbyć z głowy bolesnego równania, w którym Bartek i ciąża wzajemnie się wykluczają, choć wiedziała, że to bez sensu, bo nie o nią się pokłócili, nawet jeśli od niej zaczęły się pierwsze pęknięcia na ich wspólnej wizji przyszłości.

Okrutnie brakowało Adzie jeszcze jednego drzewka. Wdychała cytrynową woń, a jej myśli uciekały w stronę Pilcha i spalały ją od środka. Od ich ostatniej rozmowy minął tydzień. Czas, by przestać zbroić się w siłę ducha i zawalczyć lub odpuścić, skupić się na tacie oraz przekonywaniu samej siebie, że to nie dziecko jest winne temu, iż straciła coś, czego w pełni nie zdążyła posmakować. Wyciągnęła z torebki złożoną na pół kartkę ze zdjęciem USG wykonanym podczas pierwszej wizyty u ginekologa. Nie zdążyła pokazać jej Bartkowi. Zajmował ich pogrzeb Maćka, potem rysownik potrzebował kilku dni, by się odnaleźć w nowej sytuacji, następnie ona odwaliła histerię w momencie, w którym bardziej stosowne byłoby niekontrolowane westchnienie, a na koniec rodzinna tragedia Pilchów wyszła na pierwszy plan i zepchnęła Adę na margines.

Niby rozumiała, niby nie miała o to żalu, a ciągle bolało. Planowała być silna, zdecydowana i samodzielna, a nade wszystko rozsądna. I co? Unosi się dumą, ucieka od konfrontacji i chowa głowę w piasek? Tata słusznie motywował ją do działania. Ludmiła też miała rację, gdy cytowała Brodskiego i kazała Adzie kreować rzeczywistość. Cholera! Od paru dni nie rozmawiała z Gołębiewską. Komórkę wyciszyła na stałe i starała się jej używać jak najmniej, bo drażniła ją namolność Jacka.

Wepchnęła na miejsce zadrukowaną kartkę i sięgnęła po smartfon. W oczy zakłuły cztery nieodebrane połączenia od staruszki. Wstyd. Bez

wahania wybrała numer w nadziei, że jakoś zdoła się wytłumaczyć.

– Adulka, kochana moja – zaszczębiotała Ludmiła z podejrzaną ekscytacją. Nie brzmiała na urażoną. – Dlaczego ty jeszcze nie wróciłaś? Czekamy tu i czekamy. Czarek pragnie cię poznać, a i temu szczeniakowi dobrze zrobi, gdy wreszcie weźmiesz go w obroty. Przestanie szpiegować i wymownie łąpać, zazdrośnik jeden.

– O czym pani mówi?

– O kim, nie o czym, złotko. O Bartku, oczywiście.

– Magdalena wyjechała?

– A co ona ma do rzeczy? Weźże się, dziewczyno, ogarnij. Pokłóciliście się czy jak?

– Może trochę...

– Dyrzymały, tyle ci powiem. Życie jest jak pomidorówka. Pożywna, swojska. A miłość jest jak bukiet ziół. Potrafi zmienić zwykłą zupę w niebo w gębie, rozumiesz?

– Kolejna mądrość któregoś z rosyjskich kompozytorów?

– Nie. Jeśli notujesz, tym razem podpisz ten cytat moim nazwiskiem. Dwa razy sprawdziłam empirycznie, że to święta prawda.

Zachichotała, a w tle rozbrzmiały dźwięki walca. Ada pospiesznie zakończyła rozmowę z podejrzeniem, że mimo środka dnia starsza pani golnęła sobie o jeden kieliszek za dużo.

– No i super – oznajmiła nagle ożywiona najważniejszą dla niej informacją. – Magdalena z wozu, koniom lżej. Tylko kim, do pioruna, jest Czarek?

Nastrój zmienił jej się diametralnie z refleksyjnego w bojowy, a na policzki wystąpiły rumieńce. Pomyślała w przelocie, że te koszarne hormony ją wykończą, jeśli wciąż będą jej fundować takie huśtawki. Postanowiła wziąć byka za rogi i iść za ciosem. Dokonała pospiesznej kalkulacji i odrzuciła połączenie telefoniczne na rzecz wymownych symboli. Nie będzie poganiać ani naciskać. Da wyraźny, choć nienachalny sygnał i zostawi Bartkowi pole do manewru. Zrobiła zdjęcie cytrusowym drzewkom w doniczkach i dopisała do niego wiadomość:

*Wciąż śnię o spadochronie. Pewnie dlatego, że trzymam pod poduszką Skrzydła.*

Wysłała i natychmiast się stropiła, że może nie należało tak pompatycznie, a wprost w stylu „kocham, tęsknię” lub bardziej stonowanie: „przepraszam, porozmawiajmy”. Było już jednak za późno i mogła jedynie czekać.

Pogapiła się w ekran przez kilka minut i wreszcie, zniechęcona oczekiwaniem, jęła przemawiać do własnego rozsądku, że Bartek potrzebuje namysłu czy choćby chwili samotności, by sklecić odpowiedź. Aby nie odliczać minut ani nie zadręczać się bezsensownie, skupiła się na banalnych, codziennych czynnościach. Z trudem zrezygnowała z lodów i przygotowała kanapkę z twarożkiem. Żuła ją, wpatrując się na rozłożony na stole komiks. Po posiłku posprzątała dom i umyła okna, mimo że nie zdążyły się jeszcze zabrudzić. Walczyła ze sobą, by raz po raz nie zerkać na komórkę. Ciągłe czuła w sobie niecierpliwość i nadmiar energii, zatem natchniona rozmową z Gołębiowską uznała, że upichci pomidorówkę. W tym celu należało udać się do sklepu, skorzystała więc z prysznic, uczesała się, ubrała w luźną bluzkę i szorty z gumką w pasie, które jako jedyne jeszcze na nią pasowały, wsunęła nogi w sandały, zawiesiła na ramieniu torebkę, związała włosy w kok i wyszła na dwór.

Zamknęła drzwi, bo Stefan wraz z Dżoczim spędzali większość dnia na posesji dziennikarki. Kiedy chowała klucz do torebki, usłyszała sygnał esemesa. Słońce ją oślepiało, lecz znalazła odrobinę cienia i puknęła w ikonę wiadomości. Ujrzała plik, od którego momentalnie zaszkliły jej się oczy, chociaż ni w ząb nie rozumiała przekazu słownego popełnionego cyrylicą. Przeklęła braki we własnej edukacji i uznała rozsądnie, że bukwy nie zając, a obiad powinien być gotów na czas. Postanowiła powalczyć z tłumaczeniem, gdy wróci z zakupami i zupa wesolo zabulgotuje w garnku, nie wymagając jej stałej uwagi.

Pogłaskała brzuch i poczuła niemal zapomnianą tkliwość, jakby ta jedna wiadomość odmroziła jej serce. Niemal uskrzydłona pokonała drogę do furtki, zdarła z niej kolejną kartkę adresowaną do ojca, po czym pstryknęła pilotem. Uchyliła drzwi mini coopera i w twarz uderzyła ją gorąca, pozbawiona tlenu fala, zatem poruszała nimi z werwą, by choć odrobinę pozbyć się zaduchu, zanim wsiądzie. Nie zauważyła, że ktoś się zbliża. Drgnęła spłoszona, gdy tuż za plecami usłyszała znajomy męski głos:

– Dzień dobry, kochanie. Pięknie wyglądasz.

Zaklęła w duchu zła na siebie, że zaczyna się bać. Potoczyła wzrokiem dookoła. Jak okiem sięgnąć – pusto. Ani śladu człowieka. Postanowiła wsiąść do samochodu i odjechać, ale silniejsza od niej ręka chwyciła jej ramię i odciągnęła od auta.

– Nie dotykaj mnie! – wrzasnęła z narastającą paniką.

– Coś ty taka nerwowa? Nic ci nie zrobię. Wejdźmy do domu i porozmawiajmy.

– Nie ma mowy. Czego znowu chcesz?

– Nieustannie tego samego – wyjaśniał Jacek. Zauważyła, że jest dość spokojny i trzeźwy, lecz nie przyniosło jej to ulgi. Pamiętała, że potrafił w mgnieniu oka zmieniać się z dystyngowanego naukowca w brutalnego prostaka mieszającego ludzi z błotem. – Rozprawa jest za dwa tygodnie, a ty ani nie wróciłaś do naszego domu, ani nie zadeklarowałaś pomocy. W dodatku nie odbierasz moich telefonów, a tego tolerować nie zamierzam.

– W ten sposób mnie nie przekonasz.

Szarpnął ją, zmuszając, by weszła z nim za furtkę na teren posesji. Rozglądała się, licząc, że ktoś pojawi się na drodze, zauważy, co się dzieje, i jej pomoże. Wyrywała się i szarpała, lecz nie była dość silna, by poradzić sobie z żelaznym uściskiem. Pamiętała, że dłonie Zawadowicza potrafiły być niczym imadło zostawiające po sobie na wiele dni sine ślady. Zerwana z ramienia torebka upadła, a jej zawartość rozsypała się na trawie. Ada nie wiedziała, czego się spodziewać, spróbowała więc krzyku, ale Zawadowicz pchnął ją na płot i nakrył jej wargi swoimi. Ich zęby zderzyły się gwałtownie, więc syknął z bólu i odsunął twarz. Rzucił okiem za siebie i dostrzegł wśród rozrzuconych szpargałów lnianą siatkę na zakupy. Podniósł ją w ułamku sekundy i wepchnął dziewczynie do ust, nim ta zdołała podjąć próbę ucieczki. Ukróciwszy wołanie o pomoc, które przeszło w niegroźne jęki, obrócił ją tyłem do siebie, czym zakleszczył dziewczynę między sztachetami a własnym ciałem.

– Znam mnóstwo sposobów, by do ciebie dotrzeć, kochanie. Teraz grzecznie posłuchasz, bo kiedy mówię po dobroci, uporzyciwie mnie ignorujesz.

Próbowała się szarpać i odpychać go rękami, lecz nie dawało to skutku. Męskie kolana obejmowały jej nogi i dociskały do płotu. Tuż przy kręgosłupie czuła ciężki, nierówny łomot. Nie wiedziała, czy to jej, czy jego serce, a może oba naraz, choć nie potrafiły zgrać się w jednym rytmie. Nie miała szans, by się wywinąć, ale nie zaniechała walki. Powtarzała sobie w myślach, że się nie podda, że ani na moment nie pozostanie bierna, cokolwiek miałyby się stać. Jego wrzaski nie robiły na niej wrażenia, za to panicznie się bała chwili, gdy zacznie się do niej dobierać. Zawsze powtarzał, że seks to słabość, coś, co nadaje mu cechy niemal zwierzęce, i nie godził się z tą stroną własnej natury. Tymczasem agresja

i niepoohamowana wściekłość wywoływały w nim gwałtowny popęd. Nie panował nad nim i wstydział się go, dlatego po każdej kłótni zakończonej w łóżku zachowywał się niemal słodko, nienaturalnie przymilnie, jak gdyby próbował zatrzeć złe wrażenie, nie tyle nawet w oczach dziewczyny, co w swoich.

– Odeszłaś od swojego pazia, więc nie będę się na nim mścił. Na nikim nie muszę się mścić, o ile zachowasz się rozsądnie. Wrócił twój stary i znów dyma moją matkę. To dość, bym miał ochotę go zabić, ale tego nie zrobię. Mam lepszy pomysł. Jeśli nadal będziesz mi stawać okoniem, dopadnę go, sprowokuję do bójkii, załatwię świadków, o co nietrudno, i jak sądzisz, komu uwierzy policja? Garownikowi na warunkowym czy mnie, zwłaszcza gdy stanie za mną Kulebiak i co najmniej dziesięciu innych chłopów we wsi? Walicki wróci, gdzie jego miejsce. – Szarpnęła się, charcząc coś niezrozumiale, więc dodał: – No, śmiało, wyobraź to sobie, kotku, masz przecież niezłą fantazję, skoro liczyłaś na sielską przyszłość z łysiejącym kmiotem.

Nagle jej ciało zmiękło, jakby przestała walczyć. Mięśnie się rozluźniły, a głośne jęki, przez które przebijał się twardym głosem, umilkły. Zluzował ucisk na jej kręgosłup, odrobinę się odsuwając. Ze zdumieniem spostrzegł, że dziewczyna osuwa się na ziemię. W ostatniej chwili złapał ją pod ramiona i zamortyzował upadek. Odwrócił ją na plecy i wyrwał z ust knebel. Leżała z zamkniętymi oczami, blada jak ściana, a na jej czole perliły się krople potu. Chwycił się za głowę, jakby zamierzał rwać z niej włosy, potem runął na kolana obok Ady, pochylił się nad nią i delikatnie ją pocałował.

– Kochanie, otwórz oczy – zaskomlał. – Co ty wyprawiasz? Po co wciąż się buntujesz, skoro oboje wiemy, że mam rację?

Przyłożył do jej piersi dłoń, a potem ucho. Rzucił się na rozsypane wokół drobiazgi, przeglądając je wnikliwie w pozycji grzybiarza. Zahaczył nogą o ucho torebki, runął jak długi i obił przy tym niedawno zrosnięty nos. Zobaczył wszystkie gwiazdy i przez chwilę się obawiał, że także straci przytomność. Zaklął, niemal na oślep macał w poszukiwaniu przedmiotu, który musiał gdzieś tu leżeć, bo zawsze go z sobą nosiła. Oczy zalały mu łzy z bólu i ze strachu. Wreszcie trafił na małe, okrągłe lusterko. Rzucił się do leżącej bez ruchu Ady. Przyłożył je do ust dziewczyny, po czym z ulgą przymknął powieki, gdy zaparowało. Żyła. Poglądził ją po policzku i zasypał jej twarz pocałunkami. Rozsądek podpowiadał, by wstać, anonimowo wezwać pogotowie i uciec, ale nie mógł się od niej oderwać,

gdy stała się taka bezradna, cicha i spolegliwa. Dostarczyła mu tylu rozczarowań, a jednak nie potrafił ani nie chciał wyrzucić jej z serca.

Gładził ją po związanych włosach, gdy nagle ktoś z ogromną siłą postawił go do pionu, aż zawirowało mu w głowie. Obrócił się na pięcie i spojrzał prosto w roziskrzzone złością oczy:

– Kruca fuks, to syn Edka! Cheba mu przypierdole! – Usłyszał Jacek, po czym otrzymał silny cios w sam środek twarzy. Z nozdrzy buchnęła mu krew i runął jak długi obok swojej ofiary.



## 35.

Magdalena nie mogła pozbyć się wrażenia, że wciągnął ją obcy, nierealny świat, który dotąd obserwowała z boku i nie musiała się weń szczególnie angażować. Znalazła się w centrum surrealistycznych wydarzeń, targają nią emocje, których nie uwzględniła w swoich planach. Nie podobało jej się to zjawisko, bo nie wiedziała, jak sobie z nim poradzić.

Borys był dla niej ważnym elementem codzienności. Robił zakupy, sprzątał i pilnował, by brudne ubrania nie zalegały w łazience. Dbał o dziecko i panował nad kontaktami ze szkołą. Niezbyt mu szło gotowanie, ale taki drobiazg wybaczała bez trudu, zważywszy na jego zalety, z elastycznym czasem pracy na czele. Dzięki temu mogła dowolnie dysponować sobą, oddawać się pracy, nie zaniechać życia towarzyskiego i nadal czuć się wolnym człowiekiem, mimo iż została matką.

Kiedyś nawet go kochała... Dawno. Miłość to uczucie ulotne i głupotą jest deklarowanie jej niezmienności. Teraz to wiedziała. Jako dwudziestoletnia sikska miała jednak inne poglądy. Nie marzyła o wspólnym wzdychaniu do księżycy ani górnolotnych wyznaniach, za to wierzyła, że stabilny związek zapewni jej bezpieczne i wygodne życie. Poza tym ślub miał utrzyć nosa Bartkowi, który przedkładał samoloty nad najbardziej napalone panny. Nie nadawał się do relacji z młodą, pewną siebie kobietą wolącą podporządkować sobie mężczyznę, niż nad nim skakać. Wybrała brata bardziej podatnego na perswazję i pewnie byłoby im razem dobrze, gdyby ten nie wmawiał jej, że rodzina to epicentrum egzystencji.

Namiętność szybko wyparowała, zastąpiły ją znużenie, irytacja i wrażenie kamienia u szyi, a mimo wszystko zabolowało, gdy Borys umarł. Przede wszystkim dlatego, że swoją śmiercią namieszał w planach żony, lecz poza tą pragmatyczną stroną zwyczajnie brakowało Magdalenie jego marudzenia, psiego oddania w oczach, nieudolnych prób uwodzenia i zwyczajnej obecności. Fakt, że udało jej się opanować sytuację i zlecić pieczę nad Tymkiem szwagrowi, nie spowodował lepszego samopoczucia. Nieznośny ciężar wciąż uciskał. Nie odbierał możliwości oddechu, ale położył się cieniem na pierwszych samotnych dniach w Australii, kiedy mogła liczyć tylko na siebie, a po pracy wracała do pustego pokoju, bo nie poznała jeszcze nikogo, kto by zabiegał o jej towarzystwo.

Gdyby chociaż mieć obok dziecko... Nie mogła go zabrać i wybitnie ją drażniło, że nie dla wszystkich jest to oczywiste. Wyjechała zawalczyć o pozycję zawodową, karierę i dobrobyt materialny. Głupotą byłoby

marnować energię i cenne godziny na tak banalne sprawy, jak zagłębienie w zeszyty, prasowanie chłopięcych ciuszków czy leczenie katarów i bólów brzucha. Męczyła ją histeria, która raz po raz wybuchała w Tymku przed rozstaniem. To tylko rok. Nic wielkiego. Zapewniła mu opiekę człowieka, za którym mały przepadał, internet zaś gwarantował utrzymanie regularnych, zdrowych kontaktów. W jej odczuciu chłopiec zachowywał się niedojrzale i zwyczajnie się nad sobą rozczułał, co rodziło obawę, że wyrośnie na tak samo miękkie kluchy jak ojciec. A jednak tęskniła. Każdego dnia, gdy wychodziła rano do kliniki i wracała do pustego pokoju, czuła, że brakuje jej dziecka, które od dziesięciu lat nieustannie się wokół niej kręciło i wyczekiwało chwil, jakie mu ofiaruje.

Dzwoniła do syna przez Skype'a w środku nocy, uwzględniając ośmiogodzinną różnicę czasu, lecz gdy odbierał połączenie, wciąż ją rozczarowywał. Zachowywał chłodny dystans graniczący z bezczelnością i niewiele mówił. Zaczynała od tych samych, niemal mechanicznych słów:

– Cześć. Włącz kamerę.

– Po co?

– Chcę widzieć twoją twarz.

– Ustawiłem zdjęcie profilowe.

– Wołałabym cię zobaczyć na żywo.

– Musiałabyś przylecieć do Polski, a to oznacza dwadzieścia godzin podróży i kilka tysi na bilety.

Minął niemal tydzień od jej wyjazdu, gdy posłuchał pierwszy raz. Ustawił jednak laptop w taki sposób, że widziała jedynie jego brodę i koszulkę z logo Centrum Nauki Kopernik w Warszawie.

– Skąd masz ten T-shirt?

– Z wycieczki.

– O, wybraliście się do Warszawy? I jak było?

– Spoko.

– Stryjek często cię gdzieś zabiera?

– Tak.

– A dzisiaj?

– Premiera.

– Komiksu? Tego, co ostatnio rysował?

– Nie.

– To którego?

– Poprzedniego.

– No i?

– Jak zawsze.

– Czyli? – Magdalenę męczyła konieczność wyduszania z syna każdej odpowiedzi.

– Spotkania, nagrania, wywiady. Normalka.

– Siedziałeś w domu sam?

– Nie.

Zazgrzytała zębami i jednym haustem opróżniła filiżankę kawy.

– Możesz przestać z tą demonstracją? Nie podoba ci się, że pracuję? Wolałbyś matkę na zasiłku? – spytała z przekąsem, lecz w odpowiedzi Tymek jedynie wzruszył ramionami. – Zachowujesz się jak dzieciuch. Myślałam, że jesteś dojrzały. Masz dziesięć lat.

– Skończę nawet jedenaście, zanim się znów zobaczymy.

– Zamierzasz przez cały rok mnie za to karać?

– Jeszcze nie wiem.

– To może nie rozmawiajmy, dopóki się nie dowiesz – rzuciła bezmyślnie, bo nie zapanowała nad irytacją.

– Okej – odparł obojętnie i zamknął klapę laptopa.

Próbowała jeszcze kilka razy się dodzwonić, ale nie odebrał. Dobijała się też do Bartka, lecz chyba nie miał czasu rozmawiać, bo odpisał lakoniczne „później”. Zniechęcona, z poczuciem niezasłużonej krzywdy wbiła się w służbowy uniform i poszła do szpitala w nadziei, że jeśli zacznie pracę sporo przed czasem, zapunktuje i poprawi sobie nastrój. Samotność jest totalnie do luftu. Postanowiła zadbać o to, by jak najszybciej zgromadzić wokół siebie ludzi, z którymi mogłaby wyskoczyć do baru lub na spacer po plaży.

Tymczasem Tymek wytarł oczy skrawkiem koszulki i z trudem powstrzymał się od wysmarkania w nią nosa. Skoczył po ręcznik papierowy do kuchni. Przy stole wpadł na stryjka, który przyglądał się czarno-białemu rysunkowi na luźnej kartce. Obok leżało kilka ołówków. Chłopiec zajrzał mu przez ramię i dostrzegł zabawne kłębowisko. Pękaty człowiek, łudząco podobny do dziadka, obłapiał staruszkę w okularach, całując ją w policzek. Obok stali sam rysownik oraz Tymek. Na jego ramieniu przycupnęła znajoma papuga, z której dzioba unosił się dymek z napisem *вернись к нам*, dzieciak jednak nie potrafił go odczytać.

– Co to znaczy? – Wskazał na tekst.

– „Wróć do nas” – odparł stryjek i wnikliwe zlustrował twarz bratanka. – Mama dzwoniła?

– Tak, ale postanowiłem, że już nie będę się mazał. Co to za dziwne krzaczki?

– Rosyjski alfabet. Przecież Zoja nie mówi po polsku.

– Coś jeszcze tu będzie?

– Nie. Przed chwilą postawiłem ostatnią kreskę. Wymyśliłem taki komiksowy list.

– Do tej ba... do Ady? – odgadł chłopiec i jego zainteresowanie momentalnie zgasło.

– Mhm. Natchnęła mnie premiera *Skrzydeł* – potwierdził Bartek, wstał i pochyliwszy się nad blatem, sfotografował rysunek. Odrobinę wykadrował zdjęcie i wysłał esemesem.

– Przecież od ciebie uciekła, tak jak mama ode mnie, a ty się w kółko martwisz i całe noce łazisz po domu. Nie warto.

– Nie, Tymek. Ada nie uciekła i też do mnie dzisiaj napisała.

– Mam nadzieję, że nie rozumie po rosyjsku i nie posłucha.

– Nie możesz skończyć z tą nagonką?

– Nie zmusisz mnie – odparł chłopiec po krótkim namyśle. – Idziemy? Pani Ludmiła zaprosiła nas na kolację. – Rysownik z rezygnacją pokiwał głową i wstał od stołu.

Gdy wczesnym popołudniem dostał wiadomość od Ady, momentalnie wybuchła w nim nadzieja. Miał wrażenie, jakby od paru dni się dusił i nagle dopadł ustnika koncentratora tlenu. Najchętniej natychmiast wsiadłby w auto i pognął na południe. Cóż z tego, skoro pachnący farbą drukarską komiks wymagał właściwej oprawy w dniu, w którym trafił do księgarni? Spotkania były trudne, bo Bartek pierwszy raz występował bez Borysa. Starał się brzmieć pewnie, mówić lekko i nie zanudzać, dzielnie stawiał czoła pytaniom o śmierć brata, lecz wciąż wahał się przed deklaracjami na temat przyszłości *Skrzydeł*. Czuł się zmęczony bez tego sielskiego, niemal euforycznego wrażenia szczęścia, jakie towarzyszyło mu przy wcześniejszych premierach. W pionie trzymała go świadomość, że Tymek z dziadkiem wspierają go z boku – nieustannie unoszą w górę kciuki – oraz że Ada przerwała to bezsensowne milczenie między nimi. Wróciwszy do domu, postanowił skorzystać ze sposobu ekspresji, w którym radził sobie najlepiej, i zamiast sklecać koślawe zdania lub dzwonić, zaczął rysować

w nadziei, że dziewczyna doceni te starania. Gdy oboje uchylą dzielące ich drzwi, zdołają bez obaw wyciągnąć do siebie ręce.

Wykonawszy krok w kierunku pojednania, Bartek udał się za ścianę, gdzie rozradowany i nieustannie nucący pod nosem dziadek podawał do stołu, jakby był gospodarzem. Co chwilę strzelał do Ludmiły rozanielonym spojrzeniem i błyskał garniturem nieźle utrzymanych zębów, nieco zażółconych, za to własnych. Gołębowska kwitła, odmłodzona duserami, i nieustannie podrygiwała, jakby nogi same rwały jej się do tańca. Tymek wydawał się tym rozbawiony, choć chwilami krzywił twarz zniesmaczony, gdy senior pochylał się, by pocałować kobietę w usta, lub łapał ją za kolano. Zaczynała wówczas chichotać i z udawanym oburzeniem strącała jego dłoń.

Na miłość zawsze jest miejsce i czas, przemknęło Bartkowi przez myśl. Ukłuła go gwałtowna tęsknota. Nie można czekać ani odkładać jej na później. Tych dwoje nie marnuje ani chwili i cieszą się każdym dniem. Są w tym cudownie autentyczni, niemal wzorowi.

– Przepraszam, zostawię was na chwilę – oznajmił, podnosząc się znad pustego talerza po sałatce z kurczakiem. – Muszę zadzwonić.

– Ach, sława wzywa – zaszcebiotał dziadek nienaturalnie wysokim głosem. – Mam wnuka celebrytę. Wypijmy za zdrowie bohaterów *Skrzydła*.

– Poczekajcie, aż wrócę – zastrzegł rysownik. – Tymek was nie upilnuje, a w temacie toastów dobraliście się idealnie.

– We wszystkich tematach dobraliśmy się idealnie – zaznaczyła Ludmiła i zaintonowała: – „Powiedz, kto mógł zasiać to dzikie wino”. – Po czym natychmiast dołączył do niej Cezary i fałszowali w duecie: – „Może to zrobiłaś ty, ej, dziewczyno”.

– Wytrzymasz z nimi sam? – szepnął stryjek do chłopaka.

– Jasne. Są lepsi niż telewizja. Ale wróć szybko.

– *Job twoju mać* – skomentowała papuga oburzona faktem, że od kilku dni obcy jej ptasiej wrażliwości Grechuta coraz skuteczniej wypiera Czajkowskiego. W dodatku bezczelnie śpiewa po polsku.

Bartek schował się w gabinecie profesora i ignorując przyspieszone bicie serca, wybrał znajomy numer.

– Dzień dobry. – Usłyszał lekko zachrypnięty męski głos. – Niestety Ady nie ma, nie zabrała ze sobą telefonu, ale proszę się nie rozłączać. Bardzo chętnie z panem porozmawiam.

To nie był Zawadowicz, lecz mimo wszystko Pilch poczuł, jak spowija go przejmujący strach.



## 36.

Romuś uznał się za szczęściarza, gdy spadła nań fucha zawieszania na płotach kartek ze sznurkiem. Ich treść wydawała mu się idiotyczna, ale skoro kasował za to każdego wieczoru dwie dychy, nie zamierzał protestować. Jako gratis do forsy dostał możliwość podglądania Słomkowej Damy. Od kiedy wpadła mu w oko, gdy spacerowała w towarzystwie ojca, bez reszty zawładnęła jego myślami. Widywał ją w oknach domu lub na zewnątrz, gdy z wypiętymi pośladkami odchwaszczała ogródek. Potem siadała w cieniu na leżaku, przeglądając w kółko ten sam komiks. Chłopak znał tę serię i chętnie czytywał, więc z pewnością by się polubili. Stara nie była, na pewno nie skończyła trzydziestu lat. Idealnie.

Od kiedy pamiętał, bardziej od koleżanek z klasy podobały mu się dorosłe kobiety. Gdy rozważał, jakie musiały mieć obycie w wiadomych sprawach, robiło mu się gorąco, potniały dłonie, a nieznośny ucisk w dole brzucha przypominał, że prawdziwa inicjacja jeszcze przed nim. Samodzielne zabawy przy pornolach puszcanych na komórce uważał jedynie za namiastkę prawdziwych cielesnych rozkoszy. Marzył, by w ten świat wprowadziła go doświadczona bogini seksu, która świetnie zna zarówno własne ciało, jak i męskie potrzeby.

Rozmyślając o tym, ileż przyjdzie mu jeszcze czekać na to epokowe zdarzenie, podjechał na rowerze pod płot, zawiesił kartkę, a następnie przycupnął w bezpiecznym miejscu, jak zwykle za narożnikiem ogrodzenia. Po chwili spostrzegł w progu Słomkową Damę z torebką i kapeluszem. Podnieciło go to i zarazem zaniepokoiło. Pójdzie na spacer czy wsiądzie do samochodu? Jeśli odjedzie, przepadło. W życiu jej nie dogoni na rowerze. Otworzyła auto i nastolatek o mało nie udusił się z emocji, bo do dziewczyny dołączył obcy wymuskany koleś, w sztywniackim garniturze, z paskudnymi liszajami na gębie. Pewnikiem letnik, bo Romuś go nie znał. Ale Słomkowej Damy też nie kojarzył, dopóki nie wydedukował, że jest córką Walickiego. Zapewne widywał ją już lata temu, lecz jako szczył nie zwracał uwagi na piękne kobiety.

Pokrzyczeli, chyba niezadowoleni, nagle męczyzna eksplodował agresją i pociągnął Słomkową Damę na podwórko. Szarpała się i wrzeszczała. Wyrostek struchlał, na moment zagrała w nim rycerska chęć wystąpienia w obronie niewiasty. Kiedy jednak przeliczył w myślach, o ile jest lżejszy i niższy od bliźnowatego, stracił zapał. W to miejsce wyciągnął z kieszeni komórkę, pstryknął kilka fotek, a potem nakręcił filmik, na którym przyparta

do płotu kobieta zostaje obdarzona brutalnym pocałunkiem i zakneblowana. Rany, może to tylko gra i odstawia tu takie przedstawienie, że schowają się wszystkie brudne bajki ze związanymi laskami w roli głównej?

Jednak nie. Gdy Słomkowa Dama osunęła się bez życia na trawę, dotarło do niego, że do jęków rozkoszy jej daleko, a całość wygląda na zwykły napad. Zdenerwowany schował telefon do kieszeni, rozejrzył się i postanowił działać. Wspiął się na siodełko, zazgrzytał pedałami i popruł do centrum wsi po ratunek. Pod sklepem wypatrzył Kulebiaka z piwem w garści i gawędzącą z nim ciotkę Zawilcową. Nie zastanawiał się, dopadł do nich i zdał pospieszną relację, popierając ją plikami ze smartfona. Przez twarz Kulebiaka przebiegła gama niekoniecznie chwalebnych emocji, ale nerwowe gesty wyrostka i dramatyzm sceny zarejestrowanej na nagraniu poruszyły w nim właściwe, ludzkie struny. Wepchnął w ręce chłopaka piwo, wskoczył na jego rower i pognął na odsiecz, wołając przez ramię:

– Ryftek, pędź do dziennikarki po Walickiego.

Ciotka Zawilcowa, mimo słusznego wieku dysponująca własnym jednośladem, bez wahania popedałowała za nim. Romuś poczuł ulgę, że uratował kobietę w opałach, bo Kulebiak to kawał chłopca i z tym sakramenckim bandytą bez trudu sobie poradzi. Ojca Słomkowej Damy, owszem, powiadomić trzeba, najpierw jednak należało skorzystać z okazji, która sama wpadła w ręce. Z namaszczeniem opróżnił butelkę, zachwycając się orzeźwiającym posmakiem chmielu. Wyrzucił szkło do właściwego kosza, żeby Wiola się nie czepiała, i powędrował do Julii Stanik.

Walickiego nie ujrzał na oczy. Zarysował temat dziennikarce, mimowolnie zerkając przy tym na jej biust. Musiał przyznać, że choć okropnie stara, ma godne podziwu cycki, większe niż Słomkowa Dama. Zainkasował stówę za fatygę, zgodził się przekazać na podany mu mail nagranie i z ulgą przyjął zapewnienie, że resztą zajmie się ona. Syty wrażeń i niespodziewanie bogaty uznał, że najpierw odbierze główną nagrodę, a potem resztę: rower oraz dwie dychy za wywieszenie kolejnych karteczek. Pobiegnął do domu, by we własnym pokoju, dzięki Wi-Fi i nieobecności rodziców, oddać się fantazjowaniu oraz ofiarować ulgę lędzwiom, które już dłużej nie potrafiły znieść napięcia.

Tymczasem Julka wbiegła na strych, gdzie zastała Stefana na mocowaniu listew przypadłogowych.

– Zbieraj się, tylko migiem – zarządziła, pociągając go za rękaw. – Ktoś napadł na twoją córkę.



Wypuścił z rąk wszystko, tak jak trzymał, i bez zbędnych pytań rzucił się do schodów, wyświetlając sobie w głowie dziesiątki scenariuszy, w których niechętni mu miejscowi przekraczają granice słownej manifestacji i krzywdzą jego dziecko. Na miejscu znalazł się w ciągu paru minut, nieświadomy, że dziennikarka biegnie za nim. Kątem oka dostrzegł ginący w oddali radiowóz i wybuchł w nim paniczny strach.

– Ada! – wrzasnął, chwytając się sztchet płotu i ciężko dysząc.

Rozejrzał się i zamarł na widok Kulebiaka. Stał na chodniku prowadzącym do domu z rękami skrzyżowanymi na piersi i bezczelnie patrzył mu w oczy. Walicki poczuł, że miarka się przebrała. Pchnął furtkę i w kilku krokach znalazł się przy intruzie. Gniew wymalowany na jego twarzy i zaciśnięte pięści nie wróżyły niczego dobrego.

– Cóż się tak zeźlił, rezunie? Tero bedzies mnie ślachtował? – warknął Paweł i zmarszczył czoło. Cofnął się o krok.

– Co jej zrobiłeś?!

– Nie ryc. – Usłyszał i z domu wytarabaniła się ciotka Zawilcowa. Weszła między obu mężczyzn i tak energicznie wzięła się pod boki, że zafalował jej biust. Ileż ona mogła mieć lat, mimowolnie przebiegło Stefanowi przez głowę. Pewnie dobiega do dziewięćdziesięciu. Już gdy był dzieckiem, wydawała mu się stara. – Dyc to swój, nie wróg.

– Co też ciotka Zawilcowa wygaduje? Nachodzi mnie, szopki urządza pod oknami, wygraża, poniża. A teraz jeszcze... – Znow podniósł głos: – Po coś tu przylazł, draniu? Gdzie ona jest?!

– Syćko, co jej wypadło z torebki, zebrałam do kupy i do izby zanieślam. Teraz ty się tu nie wydzieroj, ino za nią jedź.

– Dokąd?

– Do szpitala – wyjaśniła. – Ten kierpcok kulawej Heli ją poharatał, aze zemdlą, biedacyna. Pawełek się wnerwił i prasnął go w pysk.

– To prawda? – spytał zdumiony Stefan.

Zorientował się, że Julia stoi obok niego i w dziwny sposób go to uspokoiło. Jeszcze nie wiedział, co się stało, ale już sama świadomość, że ma wsparcie, przyniosła mu ulgę.

– Jo. – Kulebiak sztywno pokiwał głową. – Od ciotki Zawilcowej tyz oberwoł. Jak hipnęła na niego, jak w kufę go prasła, to się kicarami nakrył. Nie wiedziołek, że łon taki zbój. Moze ty nie łgorz i łociec jego tyz z diabłym w paze tańcowoł.

– A dyc – poparła ciotka Zawilcowa. – Babe proł.

– Dziękuję – wydusił z trudem Walicki i zmusił się, by wyciągnąć rękę na zgodę. Paweł, mimo że nie do końca przekonany, odpowiedział na ten gest i uścisnęli sobie dłonie. – Nie chcę z nikim wojny. Nie musicie mnie lubić ani chodzić ze mną na wódkę. Wystarczy, jeśli dacie mi spokojnie żyć – zapewnił Stefan w nadziei na trwalsze pojednanie.

– Ja z Edkiem jak z bratem, od bajtla.

– Pamiętam, żeście się przyjaźnili. Możemy o tym pogadać, Paweł, nawet chętnie, ale teraz muszę do córki.

– A juści ze tak – potwierdziła kobieta, pociągnęła Kulebiaka za rękaw i odeszli, co chwilę oglądając się za siebie z niepokojem. Rowery poprowadzili między sobą.

Walicki westchnął głęboko, przymknął oczy i oparł się plecami o ścianę domu.

– Ona jest w ciąży – powiedział. – Jeśli ten gnój zrobił jej coś poważnego, to jak nic wrócę za kratki, bo nie wytrzymam i go zatłukę.

– Przebierz się, bo śmierdzisz lakierem do drewna. Spakuj to, co się jej przyda w szpitalu. Ręcznik, piżamę, kosmetyki. Takie rzeczy. A potem zamknij drzwi – zarządziła dziennikarka trzeźwo, by nie pozwolić mu ulec emocjom. – Przyprawdzą samochód i Dżoziego, bo został w moim ogródku, a pewnie wolałby czekać na ciebie tutaj.

– Mam prawo jazdy. Mogę wziąć auto Ady.

– Nie puszcę cię samego – zdecydowała. Cmoknęła go w policzek i pognała po škodę.

Każdy kilometr wydawał się Walickiemu katogą. Zaciskał zęby, wbijał wzrok w asfalt i z trudem powstrzymywał się od ponaglania Julii, choć rozwijała na krętych drogach maksymalną rozsądną prędkość. Nie próbowała go zagadywać, bo pamiętała własne emocje, gdy Misiaczka poniosła lawina. Zaklinała jedynie rzeczywistość, powtarzając w duchu, że ten sympatyczny, wrażliwy człowiek na siedzeniu obok doświadczył dość cierpienia i jeśli na świecie jest sprawiedliwość, dopust boży powinien go omijać.

Znaleźli Adę przytomną, jednak pobladłą i słabą. Leżała w pościeli. Uśmiechnęła się na ich widok.

– Córuchna... – Stefan westchnął, po czym dopadł do szpitalnego łóżka i przyciskał do ust drobne kostki jej dłoni. – Jak z dzieckiem?

– Wszystko pod kontrolą, tatku. Nie bój nic. – Pogłaskała brzuch, a w oczach zagrały jej ciepłe ogniki. – Sprawdzili na USG. Lekarz mówił, że

bardzo ruchliwe i psotnik rośnie. Czekam na wynik morfologii. Pewnie znowu wyjdzie anemia jak poprzednio, ale to nic wielkiego.

Przełknął ślinę i zakręciło mu się w głowie. Ulga, po stokroć ulga.

– Co ten drań zrobił? Ciotka Zawilcowa twierdziła, że cię poharatał. Spodziewałem się jakiegoś koszmaru... – jęknął, łapiąc się za głowę, jakby próbował przegnać z niej makabryczne wizje.

Dziennikarka dyskretnie wyszła na korytarz, by zostawić ich samych.

– Niewiele, bo nie zdążył. Wystraszył mnie, zakneblował i nie wiem, co dalej, bo straciłam przytomność. Zabrakło mi pewnie tlenu. Nie dość, że duszno i gorąco, to stres zrobił swoje. Zemdlałam tak samo jak przy tobie i Helenie. Gdy się ocknęłam, leżał obok mnie, z nosa ciekła mu krew, a ciotka Zawilcowa okładała go po głowie moją torebką. – Ada zachichotała na wspomnienie tego obrazka. – Kulebiak próbował ją odciągnąć, ale gdzie tam. Wywrzaskiwała takie kalumnie, że nawet nie umiem tego powtórzyć. Aż się spociła z wysiłku. Gdybym miała dość sił, zerwałabym się, żeby jej pomóc.

– Czego chciał?

– Próbował wymusić zeznawanie na jego korzyść w sądzie. Do tego, drań pieprzony, uważał, że do niego wrócę, bo jest dla mnie najlepszą partią.

– Gdybym go tylko dorwał...

– Nie, tato. Żadne: „gdybym go tylko dorwał”. On już przegrał i to podwójnie. Przede wszystkim ostatecznie uciał moje dylematy, czy powinnam poinformować go o ciąży. A do tego... – Uśmiechnęła się szeroko. – Gliniarze zabrali go na dołek. Jakiś nastolatek nagrał całe zajście, a potem pognął po pomoc. Trafił na Kulebiaka. Chętnie podziękuję jednemu i drugiemu, gdy mnie wypuszczą. Mam dowód i świadków. Sytuacja jak marzenie. Dowalę Jacusiowi w tym sądzie tak, że już się nie wybieli, i mnie nie powstrzymasz, choćby Hela płakała. Będzie spalony, bo przy okazji obsmaruję go na wszystkich uczelniach. Przywiozłeś mi może komórkę? Mam na niej ważną wiadomość.

– Została na stole – przyznał ojciec ze wstydem, stawiając obok łóżka niedużą reklamówkę. – Zabrałem tylko dokumenty i zwykłe drobiazgi.

– Jak mogłeś? Telefon to pierwsze *must have* na liście.

– Przepraszam. Nie pomyślałem.

– Żartuję. Nie przejmuj się. Jutro mnie chyba wypiszą, a teraz czuję się wykończona, więc zaraz zasnę.

– W takim razie nie będę przeszkadzał. Przyjadę z rana. Julia pozwoli. Zresztą na tym jej strychu została mi kosmetyka.

Ucałował ją w czoło i wyszedł z sali. Zanim zniknął, posłała mu szeroki uśmiech. Nie wiedział, skąd w niej tyle spokoju. Zaskoczyła go lekkość, z jaką podeszła do starcia z Jackiem. Nie wiedział, że tym, co rozjaśniło jej myśli, był rysunek od Bartka. Znów pogłaskała brzuch i uniosła kąciki ust z rozmarzeniem. Jeszcze nie wszystko stracone, pomyślała, nim zapadła w głęboki sen.

Stefan podjechał z Julią pod jej dom, lecz oboje zwlekali z rozstaniem.

– Dziękuję za wsparcie. Powinienem oddać ci za paliwo...

– Daj spokój. Miło, że mogłam pomóc. Fajna ta twoja Ada. Życie jej się poplątało, a mimo to nie straciła hartu ducha.

– Tak, chociaż czasem o nim zapomina. Ale może to kwestia hormonów. Miewa takie huśtawki...

– Jeszcze pamiętam... W ciąży byłam koszmarna. Nie wiem, jak Seba to znosił.

– Ciągle boli?

– Nie, tylko trochę szkoda, że się skończyło. Wejdiesz na kawę? – zmieniła temat, uchylając furtkę.

– Lepiej pójdę.

– No tak, Hela czeka... Pewnie już wie, że jej syn narozrabiał.

Stefan spiał się na myśl o niej, bo całkiem wyleciała mu z głowy. Plotki we wsi roznoszą się błyskawicznie. Na pewno ktoś jej doniósł o przyjeździe Jacka. A może sama go na Adę napuściła? Nie, to niemożliwe, nie ma sensu popadać w paranoję. Po plecach Walickiego przebiegł zimny dreszcz. Zdecydował, że dziś na pewno Heleny nie odwiedzi. Nie znajdował w sobie na to dość sił.

– Dżoczi czeka, a ja jestem... ciągle roztrzęsiony. Głupie i niemęskie, ale potwornie się bałem.

– Nie musisz się wstydzic uczuć – zapewniła. – Powodem do wstydu byłby raczej ich brak.

Wyciągnęła rękę i pogłaskała go po policzku. Po chwili uległa pokusie i obrysowała kciukiem zarys jego warg.

– Czy ty próbujesz mnie sobą oczarować? – wymamrotał, złapał ją za nadgarstek i zajrzał jej w oczy.

– W życiu. Na takie gierki jesteśmy za dorośli. Nie o to chodzi. Po pierwsze: konsekwentnie nie dam się zastraszyć, a przed tym całym

zajściem z twoją córką znalazłam nową kartkę na płocie... Chociaż teraz pewnie Kulebiak odpuści.

– A po drugie?

– Po drugie: bardzo cię lubię i nie znajduję powodu, dla którego nie miałabym cię pocałować.

– Helena? – Podsunął niepewnie.

– Mnie nie powstrzyma, ale jeśli ciebie tak, jestem gotowa odpuścić.

Przez chwilę stali w milczeniu, mierząc się wzrokiem. Między nimi iskrzyło, jakby zbierało się na burzę. Wreszcie Walicki nie wytrzymał, wsunął dłoń we włosy Julii i z westchnieniem ulgi nakrył jej usta swoimi.

Kilka minut później wracał do domu, uśmiechając się pod nosem, rozluźniony i spokojniejszy. Dziwił go tylko fakt, że w ogóle nie czuł się winny. Przeczekał falę psiego powitania, wygrzebał z kredensu książkę kucharską po matce i postanowił potrenować gotowanie. Zdążył zagnieść ciasto na pierogi, gdy rozdzwonił się smartfon Ady, błyskając imieniem człowieka, który był dla niej całym światem. Przeciw relacji tych dwojga sprzyścił się szereg przypadków i zwyczajny pech, lekko tylko podkrecony głupotą lub złą wolą innych ludzi. Stefan nie wierzył w Boga, lecz nie chciał popełnić grzechu zaniechania. Pomyślał, że jeśli nie odbierze, tamten uzna, że ona go nie chce. Brudną od ciasta ręką puknął w zieloną słuchawkę i oznajmił:

– Dzień dobry. Niestety Ady nie ma, nie zabrała ze sobą telefonu, ale proszę się nie rozłączać. Bardzo chętnie z panem porozmawiam.

## 37.

Stary Pilch siedział rozparty w fotelu i obserwował zabawę toczącą się przy okrągłym stoliku przykrytym szydełkowym obrusem. Papuga spacerowała po blacie i z irytacją potrzasała nóżkami, gdy pazurki wplątywały jej się w oczka rękodzieła. Popychała dziobem plastikową piłeczkę, by ją zrzucić na ziemię, a Bartek z bramkarską wprawą wychylał się na krześle i chwycił zabawkę w dłoń. Zoja wydawała się uradowana rozrywką, mina jej ulubieńca wskazywała zaś, że duchem jest nieobecny i kieruje na amazonkę jedynie szczątki uwagi.

– Zabierz tę dekorację, bo podrze i nie wiem, kto to potem naprawi – oznajmił Cezary, wrywając rysownika z zamyślenia. – Ludka twierdzi, że wolałaby ćwiczyć się w łucznictwie niż w dzierganiu, mimo jaskry.

– A ciebie to kręci.

– Nie przeczę. – Dziadek puścił do wnuka oko, podparł się o podłokietniki i wstał z lekkim stęknieniem. Złożył obrus na czworo i schował do szuflady komódki, a następnie podszedł do okna, odsunął firankę i westchnął. – Prawie jak w Solinie.

– Ładny zalew. – Bartek stanął obok seniora. – Zapowiadają się tu bajeczne zachody słońca. Ruiny zamków robią świetną robotę. Będziecie mieć korzyść turystyczną z tego, że was wkopałem w pomoc przy Tymku.

– Zrobimy to z przyjemnością. Wiemy, co to znaczy być zakochanym.

– Aha, właśnie ostatnio widzę... Mam wrażenie, jakbym stąpał po kruchym lodzie – zwierzał się seniorowi. – Muszę działać bardzo ostrożnie.

– *Tupaja baszka! Tupaja baszka! Chuj тебе w lob!* – palnęła Zoja i rysownik bezceremonialnie przegonił ją z parapetu.

– Obawiasz się, że się nie dogadacie? – spytał Cezary, nie zważając na przepychanki z pierzastym uosobieniem nietaktu.

– Nie chcę żadnego z nich skrzywdzić. Przeżyli już dość.

Młodszy Pilch zapatrzył się w taflę Jeziora Czorsztyńskiego. Od kiedy dostał wiadomość od Ady, a potem odbył rozmowę z jej ojcem, rwał się do wyjazdu. Stefan Walicki brzmiał przyjaźnie. Podał mu właściwy adres w Łapszance, zalecał jednak rozsądek oraz tonował zapalczywość rozmówcy argumentem, że kilka godzin czy dni niczego nie zmieni, jeśli stawką jest całe życie.

– Nie przywoź całego cytrusowego gaju – podkreślił. – Wystarczy skrawek, o ile przeznacysz go tylko dla niej.

Bartek nie zastanawiał się, jakim cudem ojciec znalazł się przy córce. Uznał, że tę zagadkę zgłębi na miejscu. Skupił się na rozważaniu, jak wybrać się do Ady, by nie narażać bratanka na stres. Wspólny wojaż z parą staruszków, choćby upojonych miłością, rozwiązywał problem, a jednocześnie zapewniał dziecku kilkudniowy pobyt poza miastem w ostatnich dniach wakacji.

Tymek nadrabiał miną, lecz nie czuł się pewnie. Borysa nie wspominał wcale, jakby celowo unikał tego tematu. Wobec matki zachowywał się nieuprzejmie, wręcz opryskliwe, ale obsesyjnie pilnował ustalonych godzin kontaktu i gdy spóźniała się z połączeniem na Skypie, z trudem panował nad emocjami. Bał się, że o nim zapomni i całkowicie odda się życiu na drugiej półkuli. Te wirtualne rozmowy działały z mocą kontynentalnego dryfu, który zamiast ich zbliżać, nieubłaganie oddala Europę od Australii.

Towarzystwo starszych państwa chłopiec przyjmował bez zastrzeżeń, a wobec Bartka prezentował postawę otwartą, choć od czasu do czasu wyrywało mu się prosto z serca:

– Cieszysz się, że nie jestem twoim synem, co? Nie musisz się mną przejmować.

Trzeba było zalewać te zwątpienia wiadrami zapewnień o nieustannej trosce, sympatii i radości stryjka z tego, że ma bratanka pod własnym dachem. Najgorzej przedstawiała się kwestia Ady. W tym zakresie dziesięciolatek zaparł się jak osioł i nie pomagał fakt, że układ Pilcha z dziewczyną zmienił się z rokującego na niejasny.

Cezary oderwał spojrzenie od widoku za oknem i z szelmowskim uśmiechem oświadczył, że idzie sprawdzić do drugiego pokoju, czy Ludka wciąż drzemie po podróży. Bartek zszedł na podwórko w poszukiwaniu bratanka. Znalazł go na huśtawce w sporym ogrodzie przynależnym do pensjonatu. Tymek z ponurą miną przyglądał się rówieśnikowi, który wspólnie z jakimś mężczyzną strzelał gole do pustej bramki. W paradę wchodził im spory pies, płacząc się pod nogami i biegając za piłką, ale obaj zaśmiewali się z tego i czule klepali zwierzę po bokach.

– Idziemy na rekonesans? – zagadnął Bartek.

Oczy dziecka rozbłyły radością i bez żalu porzucił obserwację. Zwiedzili zapórę, znaleźli najbliższą bacznię oferującą świeże oscypki i przespacerowali się po lesie. Na koniec wstąpili do cukierni ulokowanej tuż przy przystani. Nad pucharkami bitej śmietany z owocami i czekoladą rysownik wyłuszczył swój plan na wieczór.

– Kumam – mruknął mały z obrażoną miną, usłyszawszy, że stryjek zniknie mu z oczu. – To nie są wakacje ze mną, tylko odwiedziny u tej... – zawahał się – u niej, no. Zabrałeś mnie tylko na doczepkę, bo nie masz co ze mną zrobić.

Pilch westchnął i zanurzył usta w truskawkowym smoothie.

– To bzdura. Dziadkowie, bo chyba tak powinniśmy zacząć ich nazywać, z przyjemnością zostaliby z tobą w Łodzi. Porozmawiajmy otwarcie. Zaparłeś się przeciwko niej i tak naprawdę ani przez chwilę nie dałeś jej szansy.

– A ty jesteś o to zły...

– Nie. Ale mi przykro. Jeśli zamierzasz skakać jej do gardła, dokuczysz tym przede wszystkim mnie.

– Nieprawda. – Bronił się chłopiec, coraz obficie wymazany czekoladą.

Stryjek dałby sobie głowę uciąć, że dzieciak w ogóle nie słucha argumentów, więc spróbował go podejść z innej strony.

– Tymon, czy ty rozumiesz, co to znaczy, że kobieta i mężczyzna się kochają?

– No jasne. Kładą się na golasa do łóżka i robią seks. Muszą się dotykać w takich miejscach, że tego... i on jej wkłada w pochwę prądnicę.

– Co?! – Bartek parsknął, ochlapując się smoothie.

– Starszy brat Adriana nam opowiadał. Miał z tego sprawdzian z biologii.

– Wzruszył ramionami. – Bez tego nie ma dzieci, więc ja nie zostanę tatą, bo to obrzydliwe. Chociaż z Adrianem było inaczej. – Ożywił się i oblizał łyżeczkę.

– Czyli? – spytał z rozpędu lekko zbaraniały Pilch.

– Jego mamie lekarz wsadził coś tam do brzucha. To się tak śmiesznie nazywa, czekaj... O, wiem: in wiadro. Adrian jest dzieckiem z wiadra. Jak się chłopaki w szkole dowiedzieli, to mówili na niego wiadronur i się śmiali.

– Ty też?

– Skąd! Ja jestem jego kumplem. Potem Marcela tata się od niego wyprowadził i wszyscy zaczęli mu dokuczać, a Adrianowi dali spokój. Teraz się wezmą za mnie.

Rysownik nabrał przekonania, że kwestie do wyjaśniania zaczynają się lawinowo piętrzyć i nie da się już z nich wybrnąć. Dlatego przerwał Tymkowi i przejął kontrolę nad rozmową:

– Nie wezmą się, bo ja na to nie pozwolę, a co do kobiety i mężczyzny, to nie całkiem masz rację. Owszem, robią takie rzeczy i one są absolutnie



naturalne, ale miłość to znacznie więcej. Zakochani chcą spędzać ze sobą czas, razem gotować i jeść, spacerować, rozmawiać, oglądać filmy, śmiać się, spędzać wspólnie wakacje. Poza tym, że lubią się dotykać w szczególny sposób, mają dokładnie takie same potrzeby jak w stosunku do innych osób, które kochają.

– Na przykład do bratanka?

– Mhm. Przypominam, że Ada niczego ci nie odebrała ani w niczym ci nie zagraża. Ja mam pojemne serce. Mieściecie się wy oboje, dziadkowie i jeszcze zostaje sporo luzu. Kocham ją i z niej nie zrezygnuję, tak jak nie zrezygnuję z ciebie.

– Myślisz, że mama mnie nie kocha?

– Nie mówimy teraz o niej. Specjalnie mi utrudniasz, chociaż rozmawiam z tobą jak z poważnym człowiekiem, a nie jak z dzieciuchem.

– To co ty chcesz?

– Żebyś w razie czego był dla Ady uprzejmy. Mogę na to liczyć?

– Nie – burknął chłopiec i spojrzał z takim wyrzutem, z jakim zwykł patrzeć na matkę.

– Odprowadzę cię i pojedę – oświadczył stryjek. Chwilowo dał za wygraną. – Możesz wyciągnąć dziadków nad wodę albo dalej huśtać się na huśtawce, bylebyś się trochę rozchmurzył. Jutro chcę iść z tobą w góry i wolałbym uniknąć kwasów.

– Tylko we dwóch? – Mały się ożywił.

– Mhm. Staruszkom wystarczy spacer nad zaporą.

– Oni mi akurat nie przeszkadzają.

– To szczeniackie. Niczego nie ugrasz taką postawą. To, że spotkało cię nieszczęście, nie daje ci prawa do wyżywiania się na innych.

Bartek wstał od stolika, czym zamknął dyskusję. Wracali do pensjonatu z ciężkim brzemieniem milczenia i poczuciem krzywdy boleśnie drażniącym duszę. Obcy chłopiec z psem nadal bawił się piłką w ogródku i wesoło pomachał na ich widok. Pilch przyjął z ulgą decyzję Tymka, że do nich dołączy.

Nissan przecinał zielony krajobraz, mknąc wąską drogą wśród gór. Słońce już zachodziło, rodząc w rysowniku wątpliwości. Może na pojedynkową wizytę powinien wybrać wcześniejszą, rozsądniejszą porę? Martwił się tym, jak zostanie przyjęty. W ciągu dnia podjął kilka bezskutecznych prób dodzwonienia się do Ady. Dlaczego nie odbierała? Przecież to ona pierwsza wyciągnęła do niego rękę.

Podjechał pod niewielki dom. Rozejrzał się z zaciekawieniem. Pięknie, pomyślał. O takiej okolicy nie da się myśleć bez sentymentu. A może walorów dodawał jej fakt, że jest tak silnie związana z tą jedyną dziewczyną? Miłość ukazuje świat jak w obiektywie genialnego fotografa. Wydobywa głębię barw, wykorzystuje światło, używa właściwych filtrów, by wyeksponować to, co najpiękniejsze, a zarazem sprytnie ukrywa wszystko, co szpeci kompozycję. Bartka wciąż zdumiewało to, jak wiele uczucie zmienia w postrzeganiu rzeczywistości.

Wysiadł i zabrał z siedzenia obok miniaturowe limonkowe drzewko. Nabył je pod wpływem napomknienia Walickiego o skrawku gaju. Jeśli Ada zechce, dokupią kolejne i obstawią nimi wszystkie parapety w mieszkaniu. Byle tylko zgodziła się wrócić. Pchnął furtkę i wszedł na podwórko częściowo zarośnięte chaszczami. Zapukał, czując, że przyspiesza mu puls, a serce wariuje z niecierpliwości i podpuszcza usta do wołania: „Pospiesz się! Otwórz!”.

Po chwili drzwi uchyliły się lekko, a następnie szerzej, gdy ruchliwy, ciekawski psi pysk wcisnął się w szparę. Ciemny mieszaniec o niesymetrycznych uszach wypadł na próg, ostemplował spodnie przybysza mokrym nosem i jał bez wytchnienia kręcić młynki ogonem. Za psem ukazał się siwiejący człowiek średniego wzrostu o ostrych, zmęczonych życiem rysach i godnej zazdrości muskulaturze. Gdy zerknął na doniczkę i rozciągnął usta w uśmiechu, w jego oczach zalsniła identyczna zieleń jak u Ady.

– Bartek? – zapytał.

– Dzień dobry, tak, to ja.

– Nie ma jej, ale wchodzi. Opowiem ci. Dżoczi, nie skacz, łobuzie – zbeształ zwierzaka pogrążonego w eksplozji radości. – Nie wystrasz się. To taki typ, który w kółko oznajmia światu: „kocham wszystkich, a zwłaszcza ludzi”. Czekał, zamknę go w pokoju.

– Nie trzeba, lubię psy.

Drzewko stanęło na parapecie obok dwóch innych, Dżoczi się uspokoił i już po chwili gość siedział nad talerzem domowych pierogów z wiśniami.

– Pierwszy raz robiłem sam, więc ciasto za grube, wybacz.

– Są świetne – pochwalił Pilch, nie chcąc zawstydzić gospodarza. Smakowały nieźle, choć chętnie by je po swojemu podrasował. – Kiedy Ada wróci?

– Zatrzymali ją do jutra w szpitalu.

– W jakim szpitalu?! – Rysownik odłożył widelec i jednym haustem wypił wodę ze szklanki.

– Wczoraj nie wspomniałem. Twierdziła, że dzisiaj wyjdzie, i pomyślałem, że sama ci opowie.

Walicki dostrzegł, że gość momentalnie zmienił się w kłębek nerwów. Jego uczucia były widoczne jak na dłoni, co upewniło Stefana, że postępuje słusznie. Pozwolił sobie zatem na szczerość, opisując spotkanie córki z byłym narzeczonym i jej obecny stan.

– Ada ma z natury niskie ciśnienie – przyznał Pilch, skupiając się na konkretach. – Przez kilka tygodni głównie leżała lub kręciła się po mieszkaniu. Leczyła urazy, męczyły ją torsje, a potem niemal z dnia na dzień postanowiła wrócić do aktywnego życia. Upał, stres i ciąża, wszystko nałożyło się na siebie. Nie dziwię się, że zemdląca. Jak to zniosła psychicznie?

– Nad podziw dobrze. Roznosi ją energia. Dzisiaj wściekała się na lekarzy, że ją zatrzymali. Ja też zebrałem niezły ochrzan. Wiesz, że siedziałem w więzieniu?

– Znam całą tę historię, opowiedziała mi. Cieszę się, że to już za panem i że się odnaleźliście.

– Dziękuję, to dla mnie ważne. I mów mi po imieniu, skoro siedzimy przy jednym stole. – Wyciągnął dłoń, a Bartek pospiesznie ją uściskał, nie rozumiejąc, skąd ta zmiana tematu. – Wczoraj nie pomyślałem, by zabrać jej z domu telefon. Dzisiaj tak samo, bo byłem pewien, że ją odbiorę. Nie może mi wejść do głowy, że aparat się nosi przy sobie. Brak mi tego nawyku. Wkurzała się, bo chciała do ciebie dzwonić, a nie zna numeru na pamięć. Dziś już późno, ale rano możesz po nią jechać. Wypis dostanie przed południem.

Rysownik pokiwał głową. Stres wyparował. Wróciły spokój i coraz dotkliwsza tęsknota. Zerknął w zapadający za oknem mrok. Jakby to było pięknie, wręcz hollywoodzko, gdyby odebrał Adę ze szpitala. Jeszcze w budynku, a na pewno w samochodzie przyciągnąłby ją do siebie i całował całą jej twarz, oczy, policzki i usta, nie pozwoliłby, by znów wkradły się między nich jakieś bezsensowne niedomówienia. Wiedział jednak, że tego nie zrobi. Obiecał Tymkowi wyprawę w góry. Nie podsunie mu kolejnym zawodem argumentów przeciwko niej. Niech to szlag!

– Wynająłem na tydzień kwaterę przy zamku w Niedzicy. Przyjechałem z dziadkami i bratankiem. Na jutro po śniadaniu zapowiedziałem mu

zdobywanie pienińskich szczytów – oznajmił bezradnie.

– Ciężko lawirować między młotem a kowadłem. – Stefan zrozumiał, w czym rzecz. – Drzewko zostaw. Pomoże mi cię zaanonsować. I wpadnij, gdy wrócisz ze szlaku. Może to nawet lepiej. Moja córka nam nie zarzuci, że decydujemy za jej plecami. Chyba jest na tym punkcie przeczulona. Zbyt długo poddawała się woli matki, a potem Jacka, nieco na przekór naturze. Zdaje mi się, że to taki typ, który lubi przejmować inicjatywę.

– Dawniej w fundacji wszystkich rozstawiała po kątach, zwłaszcza mnie, chociaż w domu ten bubek ją tłamsił. W takiej Adzie się zakochałem i bardzo mi jej brakowało. Dobrze, że wraca do siebie.

## 38.

Helena siedziała jak na szpilkach, przesuwając między palcami paciorki różańca. Stefan zapowiedział wizytę przez telefon, więc z pewnością wkrótce się zjawi. Poprzedniego dnia nie dał znaku życia. Chodziła od okna do okna, łudząc się, że nic się między nimi nie zmieniło, lecz nie desperowała zbyt, bo przede wszystkim martwiła się o syna.

Mało nie odeszła od zmysłów, gdy ciotka Zawilcowa opowiadała pod sklepem, co się stało. Kto by przypuszczał, że ona taka podła? Zdarzył się dramat i nawet jeśli Jacusia odrobinę poniosło, czy to powód, by go odsądzać od czci i wiary na oczach tylu ciekawskich? Ledwo chwilę zajęło, a baby, rzuciwszy, co miały w rękach, gnały posłuchać. Plotkary zatracone. Helcia dreptała z wolna, bo bieganie nie dla niej, i oczywiście dotarła za późno. Wszyscy wiedzieli już wszystko i tylko ona została zielona i nierozumiejąca, dlaczego gapią się na nią jak na jakiego zbrodniarza. Ki diabeł? Szczęściem Terezka stanęła na wysokości zadania. Odprowadziła przyjaciółkę do domu i zdała relację. Dobra z niej kobieta, nie ma co, chociaż na koniec plotła trzy po trzy i mocno zirytowała Helę. Naiwna i wierzy we wszystko.

– Biedna jesteś, Heluchna, oj, biedna. Mąż pijus był i bijący, potem Stefek tyle lat za kratami, a teraz syn...

– Co syn? – warknęła ze złością.

– Niby taki grzeczny, uczony i pieniądze ma, a wyszło z niego to samo co z ojca. Damski bokser, tfu!

– Jakie „to samo co z ojca”?! Co ty pleciesz? Byłaś przy tym? Wiesz na pewno, co się tam wydarzyło? Może go sprowokowała, może się na niego rzuciła? Jest do wszystkiego zdolna. Zostawiła go tuż przed ślubem, zraniła głębiej, niż można znieść.

– A on się o to wściekł tak jak Edek. Nie widzisz, że historia się powtarza? Dobrze, że nie było tam Stefana albo tego kochanka, co to Ada do niego uciekła, bo znowu by się skończyło w kryminale lub na cmentarzu.

– A daj już spokój. Zostaw mnie.

Terezka pogłaskała Uhlika i poszła do siebie bez unoszenia się gniewem. Rozumiała, że Helę targają rozpacz i strach o przyszłość własną i syna. Wróciła na drugi dzień po południu, zastawszy przyjaciółkę na kolanach przed obrazem Matki Boskiej.

– Kartofli z gulaszem przyniosłam, bo pewnieś nie miała głowy do gotowania i o pustym żołądku się zamartwiasz. Na głodniaka nic dobrego się

nie wymyśli. Mój Piotrek zna się z Ernestem.

– A kto to?

– Policjant z posterunku w Łapszach Niżnych. Porozmawiali i się dowiedział, że twój synalek ma już jakąś sprawę w sądzie.

– Bo go napadli.

– I dlatego postawiono mu zarzuty?

– Mówił, że go wrobili. Ja mu wierzę. Co to ma wspólnego z tym, co zaszło dzisiaj?

– Trza jego pytać. Wiem tyle, że naraił sobie adwokata, a córka Walickiego ostro obsmarowała Jacka w zeznaniach, ale szczegółów Ernest nie chciał zdradzić. Może Stefan ci powie, przed chwilą widziałam go w aucie dziennikarki, pewnie ze szpitala wracali.

O święci patroni, znowu ta dziennikarka! Helci się zdawało, że tej kobiety jest wszędzie pełno. Ma czelność rozmawiać z ludźmi, jakby była tutejsza, zachodzić do kościoła, do sklepu i kręcić się po wsi. I po co? Po to tylko, żeby cudzym chłopom w głowach mącić? Dała Stefkowi pracę... Może i dała, ale czy to nie dziwne? Upatrzyła sobie fachowca, co przez dwie dekady nie kładł glazury i ścian nie malował. Każdy głupi odgadnie, że nie o remont idzie. Jaki inny mężczyzna trzyma się równie prosto mimo wieku, ma piękne, umięśnione ciało, ciepło w oczach, a gdy weźmie kobietę do łóżka, dzieją się takie cuda, że... Ech, już samo wspomnianie wydaje się grzechem.

– Jedzenie postaw w kuchni – burknęła, czując, że całkiem opadła z sił.

Swoją drogą, co ta Ada wyprawia? Mało to nieszczęść? Serce Jacusiowi złamała i jeszcze go próbuje skopać na do widzenia?

Terezka, dostrzegłszy, że Hela mamrocze pod nosem, uznała, że to pacierz. Machnęła ręką na pożegnanie i zniknęła. Chwilę potem zadzwonił Stefan i zameldował, że wpadnie, więc z modlitwy niewiele zostało. Tylko tyle, że dłonie bez skupienia międliły różaniec. Kiedyż on przyjdzie? Święta Panienko, dajże cierpliwość!

Zapukał po zmroku i wszedł, nie czekając, aż mu otworzy. Obserwowała go z duszą na ramieniu, a on spokojnie zzuł buty, by nie nanieść piasku na dywan, podszedł i podniósł ją z klęczek. Miał twarz bez wyrazu, sztywną jak maska i nagle przeszło jej przez myśl, że ją za chwilę uderzy. Z otchłani przeszłości wyłoniły się dawne obrazy, w których Edek, wracając po wódce, okładał Helenę pięściami i wrzeszczał: „ty zdraдлиwa dziwko!”.

Stefan milczał, z pewnością był trzeźwy, a jednak się go bała. Gdy uniósł rękę, skuliła się w sobie, lecz on tylko przygarnął ją do siebie i stali zamknięci w mocnym uścisku. Potem ją pocałował. Gładził jej plecy i ramiona, błędził palcami po jej policzkach i skroniach, niemal nie odrywał od niej ust. Była w tym jakaś dziwna zachłanność, desperacja, może nawet zwątpienie. Jakby ogarniał go lęk na myśl o tym, co za chwilę nastąpi albo co już się stało, choć pozornie tego nie widać.

– Nie musisz się obwiniać – wyszeptał wreszcie zachrypniętym, jakby przemocą wydobywanym głosem.

– O co? – spytała zaskoczona.

Nie miała chęci rozmawiać. Po tak intensywnych pocałunkach stanowczo wolałaby leżeć z nim w pościeli i pozwalać, by z niej zdejmował kolejne ubrania. Nie zamierzała jednak sama się z tym wyrywać. Wierzyła, że grzech jest lżejszy, gdy ulega mężczyźnie, niż gdy sama go prowokuje do zbliżeń.

– O to, jaki jest twój syn i co zrobił Adzie. Jemu nie umiem darować, ale do ciebie nie chowam żalu. Nie musisz się o to troskać.

Zesztywniała i natychmiast się odsunęła, sięgając po kulę.

– A cóż on winny? To on ją odepchnął, zdeptał uczucia?

– Nie udawaj – mruknął, poprawił na sobie koszulkę i oparł się ramieniem o framugę. – Napadł na nią wczoraj, zaatakował ją. Straciła przytomność i zabrało ją pogotowie.

– A ja słyszałam, że to Kulebiak i ciotka Zawilcowa wespół go pobili i cały pokrwawiony odjechał radiowozem – odparowała zaczepnym tonem.

– A twoja córka co? Taka niby pobita, a dała radę złożyć zeznania?

– Nie jest pobita.

– To o co ci chodzi, do jasnej ciasnej?!

– Usiądź – poprosił i sam zajął miejsce przy stole, a gdy ani drgnęła, powtórzył: – Siadaj, to ci wyjaśnię, dlaczego od niego odeszła. Krzywdził ją miesiącami.

Helena złapała się za serce i w milczeniu słuchała. Walicki nie wdawał się w szczegóły, lecz sucho, bo tylko tak był w stanie zachować spokój, odwołał się do najważniejszych faktów. Przemilczał jedynie kwestię dziecka. Tej niedyskrecji Ada mogłaby mu nie darować, zresztą ciąża nie miała znaczenia w kontekście przyczyny rozpadu narzeczeństwa.

– Jak to go skatowały bandziory? – Kobieta przetarła oczy, które zniecka jej się załzawiły.

– Ich skatowały. Ich! Jego kumple z roboty. Jedna sitwa.  
– O czym ty mówisz? Miał wypadek, wjechał w niego pijany kierowca. Zresztą nic poważnego się nie stało.  
– Tak ci powiedział?  
– Tak było! – krzyknęła i uderzyła otwartą dłońią w stół. – Mój syn nie ma powodu, by mnie okłamywać.  
– Podobno nosi blizny po oparzeniach. Odwiedził cię wczoraj, zanim przyszedł do Ady?  
– Stefan, jak oni mogli? – Załamała ręce. – Mój Boże, mój synek... Taki przystojny, delikatny, tyle już przeszedł i jeszcze to...  
Walicki westchnął, zamrugał i wyrecytował w głowie listę tatrzańskich szczytów. Kusilo go, by wrzasnąć, potrząsnąć nią, nawet strzelić w policzek, byle się opamiętała i zaczęła logicznie myśleć.  
– Czy ty słyszałaś, co powiedziałem? Jacek świadomie brał udział w testowaniu dopalaczy na chorych onkologicznie dzieciach! A teraz, pomijając wszystko inne, co wcześniej zrobił mojej córce, szantażował ją, by zmusić do zeznawania na jego korzyść. Dociera to do ciebie?  
– Nie wierzę! – Wstała, wyprostowała się jak struna i zacisnęła usta w wąską kreskę.  
– Domyślam się, że to ty mu chlapnęłaś, że znajdzie Adę w Łapszance, ale nie mówię ci tego, byś czuła się winna. Nie mam do ciebie pretensji.  
– Bo i o co? – jęknęła, a z oczu popłynęły jej łzy.  
– No właśnie. O co? Nie mogłaś tego przewidzieć ani temu zapobiec.  
Przytulił Helcię i przez dłuższą chwilę słychać było tylko jej szloch. Sądził, że w pełni rozumie jej emocje, że przepelnia ją mieszanina strachu i wstydu, że nie wie, jak zadośćuczynić złu, obawia się boskiej kary. Całował jej skronie i pozwalał płakać, uznawszy, że na wszystko inne przyjdzie czas. Czuł ciężar na sercu, lecz nie było w nim zagubienia. Wierzył, że to trudne, lecz wykonalne, by zachować równowagę i nie zranić córki ani kobiety, która przez tyle lat pozostała mu oddana i wierna. Nie chciał przyczynić się do łez żadnej z nich ani wybierać między nimi. Uspokajał się myślą, że znajduje się w lepszej sytuacji niż przed laty, bo tym razem nie zrobił nic złego i jego sumienie jest czyste. Prawie. Jeśli nie liczyć pocałunków z Julią Stanik.  
Wreszcie Helena się odsunęła. Wytarła oczy rękawem i spojrzała hardo na Stefana.



– Musisz ją jakoś przekonać – oznajmiła. – Powiedz jej, powiedz twojej córce, żeby przestała kłamać.

– Chyba żartujesz? – Zszokowała go stanowczością w głosie. Dziwny chłód przebiegł mu po krzyżu, jakby dosięgnął go pierwszy jesienny wiatr.

– Jesteś zaślepiony jak dziecko. Owinęła cię wokół palca. Zrobi wszystko, żeby nas poróżnić. Zastanów się, po której stronie stajesz, kogo znasz lepiej, kto więcej dla ciebie zrobił, komu naprawdę możesz ufać.

Na moment się zawahał. Zajrzał jej w oczy i dostrzegł w nich determinację, nienawiść, a zarazem nieme błaganie. Ta kobieta wierzyła w to, co mówiła, albo bardzo chciała uwierzyć.

– Nie stawiaj mnie przed takim wyborem. Ada to moje dziecko. Dla mnie jest oczywiste, że bronisz syna, niezależnie od tego, kim jest. – Próbował ostatni raz zaapelować do jej rozsądku, lecz wówczas sięgnęła po argument, po którym ostatecznie zamilkł.

– Ona jest córką morderczyni, psychopatki, a taki obłęd się dziedziczy. Może to ona napadła na Jacka, może nawet chciała go zabić. Kto wie, czy i mnie by nie zabiła, gdy przyjechała, gdybyś nie przyszedł z odsieczą? Wrzeszczała jak obłąkana. Doniosę o tym Ernestowi i ty mnie nie powstrzymasz, bo w przeciwieństwie do niej jesteś normalny. Chociaż wyparłeś się Boga, potrafisz odróżnić dobro od zła.

Walicki odwrócił się na pięcie, założył pospiesznie buty i wyszedł, delikatnie zamknawszy drzwi, by nie łupnęły. Nie zniósłby tego dnia między nimi już ani jednego słowa, dźwięku, dotyku, spojrzenia. Po stokroć wolałby całkowicie wyrwać z pamięci tę rozmowę, niż ją rozpamiętywać, rozkładać na miliony znaczeń i wyciągać z niej wnioski. Czuł się nie tyle rozzłoszczony, co okradziony i bezsilny, jakby go nagle pozbawiono najsilniejszej podpory, w którą nigdy dotąd nie zwątpił. Biegł przez zawiniętą w ciemność wieś, a Dżoczi wiernie dreptał za nim. Linia Tatr rysowała się na horyzoncie czarną postrzępioną plamą, ponad którą rozpląwały się w szarości resztki zachodu. Zwolnił pod swoim obejściem, gdy dostrzegł majaczący kształt mini coopera. Dom był jednak pusty, Ada leżała w szpitalu, a Stefan ponad wszystko nie chciał zostawać teraz sam. Ominął furtkę i pognął dalej, aż dotarł pod bramę dziennikarki.

– Przeszedłeś na nadgodziny? – zapytała wesoło, gdy spotkali się w progu, po czym przykucnęła, by przywitać się z psem.

– Jeśli ci nie przeszkadza, chciałbym odrobić oba wyjazdy do szpitala. Chyba że już się kładziesz?

Spojrzała na niego z przewrotnym uśmiechem.

– Nawet jeśli, to przecież... – Szybko jednak dotarło do niej, że Stefan jest nie w humorze, więc spoważniała. – Jasne, wejdz. Dużo roboty nie masz. Meble przywiozą dopiero jutro, trzeba będzie poskręcać. Zostało zamontowanie gniazdek i może napijemy się czegoś dobrego, co?

– Dla uczczenia końca remontu?

– To też. I dla rozluźnienia. Czyżby ci Hela dopiekła?

– Daj spokój – mruknął i bez wahania wspiał się na schody. Dżoczi pomaszzerował w ślad za nim, na odchodne oblizując dłoń Julii.

Dopiero po godzinie przyszła na strych. Walicki w mniejszym z pokoi przykręcał ostatnie gniazdko. Postawiła na parapecie dwie lampki wina i wyjrzała przez otwarte okno w czerń zmaconą światłami sąsiednich domostw.

– Powąchaj – poprosiła, przerywając ciszę.

– Co? – Odłożył śrubokręt i zbliżył się, stając za plecami kobiety. Wskazał na alkohol. – Nie jestem koneserem takich trunków, ale dzisiaj ci nie odmówię.

– Nie o to chodzi. – Zerknęła na niego, odwracając głowę. – Za oknem pachnie już inaczej. Dojrzałą zielenią, perspektywą wilgoci, zmianami. Sama nie wiem... Chyba po prostu końcem lata. W dzień nadal ukrop, a wieczory jak z innej bajki. Rześko.

– Ja czuję przede wszystkim kwiatowe perfumy i nieco tytoniu. Typowa mieszanka w twoim towarzystwie.

– Wepchnęłam się między ciebie a świat i odbieram ci przyjemność zanurzenia nosa w późnosierpniowej nocy.

– Nie żałuję – zapewnił, wychylił się i przymknął okno, zostawiając tylko wąską szparę. – Zmarzniesz. Dostałaś gęsiej skórki. – Przejechał palcem po jej odkrytym ramieniu i oboje poczuli dreszcz niemający nic wspólnego z temperaturą na zewnątrz.

Chwyciła kieliszki i obróciła się w miejscu. Podała jeden Stefanowi. Nie odsunął się, mimo że stali bardzo blisko. Uniósł szkło i wygłosił, nieco zbyt pompatycznie, ale w tym momencie uznała to za urocze:

– Za szczęśliwe chwile, skoro na szczęśliwe życie nie bardzo można liczyć.

Upiła łyk, lekko przekrzywiła głowę i zapytała:

– Czy teraz ty próbujesz mnie sobą oczarować?

– Żartujesz. – Zaśmiał się gardłowo. – Sama twierdzisz, że jesteśmy za dorośli na takie gierki.

– A gdybym zaczęła cię rozbierać, uciekłbyś z krzykiem?

Ledwo dostrzegalnie uniósł brwi i pochylił się tak, że niemal stykali się ustami. Jego dłonie powędrowały na jej talię i płynnie wślizgnęły się pod bluzkę.

– Nie dałbym rady – odparł z bezbronną szczerością i ciągnąc Julię za sobą, uciekł przed światem w pocałunki.

Pies gdzieś zniknął. Nie zauważyli, jak zbiegł na parter, by opróżnić miskę z suchej karmy i poszukać sobie miejsca na drzemkę, przez co nieświadomie wykazał się dyskrecją. Kochali się dziko, z nieznaną dotąd Stefanowi energią i śmiałością. Dawał sobą kierować, przejmując kontrolę tylko wtedy, gdy kobieta mu na to pozwalała. Badał jej wszystkie zakamarki, smakował jej ciało i oglądał je w zachwycie, cudownie bezwstydnym, zalane nastrojowym światłem kinkietów, które osobiście montował ostatniego ranka. Świeżo położone panele podłogowe wydawały się idealnie wygodne, doskonale dopasowane do potrzeb kochanków. Na zewnątrz cykały świerszcze i lekko szumiał wiatr, ale dźwięki nocy topiły się w ich oddechach całkowicie niezauważone. Potem wspólnie weszli pod prysznic. Nieustannie się dotykali i szukali swoich ust, jakby ciągle było im mało przyjemności. Na koniec zawinięci w ręczniki usiedli na kanapie w salonie, leniwie dopijali wino i rozmawiali o niczym. Gdy minęła północ, Julka oznajmiła:

– Zostań do rana. Nie ma sensu, byś wracał do pustego domu.

– Nie będę ci przeszkadzał?

Walickiego ukłuło dziwne zażenowanie konkurujące z rozkosznie podniecającym rozanieleniem. Błądził wzrokiem po skórze kobiety, dostrzegał drobne niedoskonałości, które nie odbierały jej atrakcyjności, a potwierdzały realność całej tej sytuacji. Nie była perfekcyjna, nieskalana, lecz prawdziwa i nad wyraz pozytywna mimo rodzinnej tragedii, która ją poraniła od środka. Gdyby jego serce nie było zajęte, bez trudu mógłby się w niej zakochać.

– Zrobisz mi wielką przyjemność, jeśli zapewnisz mi towarzystwo tuż po przebudzeniu.

Pokiwał głową, tłumacząc sobie, że to faktycznie rozsądne. Wychylił się i podrapał za uchem drzemiącego na dywanie psa.

– Przekonałaś mnie. Mogę ci nawet zafundować pełne spektrum luksusu i zanieść na rękach do łóżka, pod warunkiem że sypiasz nago.  
Zsunęła z siebie ręcznik i wyciągnęła do niego ramiona.

## 39.

Ada wpatrywała się w trzy drzewka na parapecie i nie wiedziała, co powiedzieć. W ręce ścisnęła teczkę z dokumentacją ze szpitala. Wolną dłoń mechanicznie zanurzała w sierści Dżoziego, który nie posiadał się z radości, że wróciła do domu. Do pokoju wszedł Stefan, odebrał jej papiery, odłożył na biurko, a na ich miejsce wsunął córce w garść szklankę z sokiem.

– Naprawdę tu był? – spytała wreszcie i ogarnęła ją tak szeroka gama uczuć, że nawet nie próbowała ich kontrolować ani rozumieć. Na pierwszy plan wybijała się świadomość, że „był” to czas przeszły. Teraz go nie ma, za to dotkliwie skubało w serce rozczarowanie.

– Nawet poczęstowałem go kolacją.

– Wczoraj, tak? Mówiłam, żebyś mi przywiózł telefon, może by się udało... – Głos jej zadrżał, jakby zamierzała się rozplakać, lecz szybko wzięła się w garść. – Kurczę, tato! Gdzie moja komórka?

– Leży na biurku. Nie dzwoń teraz, bo nie odbierze.

– Dlaczego? – Usiadła na kanapie, do cna opadła z sił.

– Bo poszedł z bratankiem na szlak, a musi postępować ostrożnie, by oswoić dziecko z nieuniknionym i nieodwracalnym.

– Czyli z czym?

– Z tym, że cię kocha. Mam na myśli Bartka, nie Tymka. Powiedziałbym, że jak wariat, ale to byłoby niedomówienie. Odniosłem wrażenie, że to dojrzałe, ugruntowane uczucie, choć niepozbawione pierwiastka szaleństwa. Dokładnie takie, jak trzeba.

Walicki ulokował się przy córce i szczegółowo streścił rozmowy z rysownikiem, uderzając w przeprasające tony, bo nieco się obawiał, czy mu nie wygarnie za samowolkę. Nic takiego nie nastąpiło.

– Czyli mam czekać cierpliwie? – spytała rzeczowo.

– O ile jesteś zdolna do cierpliwości, to tak. Podgrzeję ci pierogi. Własnoręcznie lepiłem, z wiśniami. Bartek chwalił, więc i ty nie powinnaś narzekać. Zejdzie z gór, zostawi małego z dziadkami i się tu zamelduje. Wyluzujże, córuchna, przecież nie zostawił tego drzewka bez powodu. Świetnie razem wyglądają, nie uważasz?

Ada pokiwała głową i na długo zamknęła się w łazience, oglądając krytycznie w lustrze bladą twarz, podkrążone oczy i brzuch, który choć ciągle jeszcze niewielki, z wolna zmieniał kształt i pod żadnym względem nie mógł być już uznany za płaski. Znów była na bieżąco z tym, co działo się w jej wnętrzu. Zaczął się piętnasty tydzień ciąży. Macica osiągnęła

rozmiar dojrzałego grejpfruta. Dziecko ważyło sześćdziesiąt gramów i mierzyło dziesięć centymetrów. Oglądała je podczas badania. Z niewielką pomocą lekarza dostrzegła poszczególne części niemal przezroczystego ciała. Maleństwo ssało kciuk i matkę to ogromnie rozczuliło. Potem nieustannie dotykała brzucha, przepraszając za chłód, jakim je obdarzała w ostatnim czasie. Głośno obiecywała, że to się więcej nie powtórzy, chociaż dziecko jeszcze nie mogło jej słyszeć. Lęk, który przeżyła po przyjeździe do szpitala, zanim uspokojono ją, że ciąży nic nie zagraża, ogromnie nią wstrząsnął, a ulga po nim była niebotyczna.

Ciekawe, czy Bartek zauważy, że się zaokrągliła. Posłusznie opróżniła talerz, chwając popis kulinarny ojca, i uległa jego namowom, by się na chwilę położyć. Źle spała w szpitalu, dlatego nawet nie zauważyła, gdy jej powieki opadły. Obudziła ją cisza w domu. Pod jej policzkiem tkwiło coś, co z pewnością nie nadawało się na poduszkę. Pomacała dłonią i natrafiła na sfatygowany komiks. Czyżby kolejny raz bezwiednie tuliła go do siebie? W pokoju panował półmrok zwiastujący wieczór. Pospiesznie spojrzała na okno, by się upewnić, że parapet wciąż okupują trzy drzewka, a tego ostatniego wcale sobie nie wymyśliła. Były. A pod nimi na kanapie usadowił się Bartek i wwiercał w nią piwne oczy w pięknej ciemnej oprawie. Sen czy nie sen?

Poderwała się gwałtownie, usiadła i natychmiast zakręciło jej się w głowie. Machinalnie uniosła rękę i pomasowała skroń. Obraz mężczyzny nie zniknął. Niech to szlag! Znów mu się prezentuje jak rachityczna, zwiędła mimoza, w betach, z odcisniętymi na policzku *Skrzydłami* i śpiochami w kącikach oczu?! A do tego z przepełnionym pęcherzem. No bez jaj!

– Poczekaj tu – zarządziła władczo. – Nigdzie się nie ruszaj, zaraz wrócę.  
– Wstała zbyt szybko, poplątały jej się nogi, gdy wsuwała je w kapcie. Na szczęście zdążyła się oprzeć dłonią o ścianę. Pilch momentalnie do niej doskoczył i spróbował ująć pod ramię. Stanowczo mu się wywinęła. – Nie trzeba. Wszystko pod kontrolą. Muszę tylko, wiesz... siku...

Na twarz wypłynęły jej rumieńce, nie wiadomo czemu, bo przecież jeszcze w czerwcu, w mieszkaniu Ludmiły, zdarzało się, że prowadzał ją ledwo żywą do łazienki. Tyle że teraz chciała mu się pokazać z zupełnie innej strony. Piękniejszej, silniejszej, ciekawszej i – cholera jasna – prawdziwszej!

Gość na szczęście ustąpił i cierpliwie przeczekał jej pospieszną, chaotyczną aktywność. Nie mogła się przebrać, bo wszystkie kreacje zostały

w szafie. Miała na sobie legginsy do kolan i luźny T-shirt z aplikacją kota. No, słodko. Wolałaby ponętnie, ale niech tam. Pogratulowała sobie, że wzięła prysznic przed drzemką. Istniała szansa, że nie śmierdzi szpitalem. Umyła zęby, rozczesała włosy, umalowała się, choć bez przesady. Brała pod uwagę ryzyko, że może się popłakać, a wtedy wszystko się rozmaże i zacznie przypominać nieboszczkę przed ekshumacją. Na koniec pokazała tej dziewczynie w lustrze dwa wyciągnięte w górę kciuki i wróciła do pokoju. Oparła się plecami o ścianę tuż przy drzwiach, bo w głowie kręciło jej się nieziemsko, a nie zamierzała fiknąć.

– Już się bałem, że cię wciągnął Wodnik Szuwarek – zażartował Pilch, kiedy do niej podchodził.

– Przygotowywałam się, bo muszę ci powiedzieć coś ważnego.

Wystraszyła go poważna mina dziewczyny, więc aby to ukryć, podał jej lśniący nowością komiks z informacją:

– Przedwczorajsza premiera.

– *Chile?* – Z zainteresowaniem wyciągnęła rękę.

– Nie tak szybko. Dopiero kilka dni temu skończyłem go rysować. Tu masz *Okinawę*.

– Brzmi intrygująco. Dziękuję. – Na moment zajrzała mu w oczy i przekartkowała *Skrzydła*, a potem, nie wiedząc, jak ukryć napięcie, zaczęła się nimi wachlować. – *Sachalin* znam już na pamięć.

– Nie dziwię się, skoro sypiacie razem. – Rysownik także silił się na lekkość i zastanawiał, jak przejść od banałów do ważnych rzeczy i jak nie spalić tego spotkania jakąś niepotrzebną, ryzykowaną uwagą.

Niby oczywiste było to, że im na sobie zależy, a jednak wyłożenie kart na stół szło opornie.

– Jak Tymek? – zmieniła temat, oddychając szybko, by opanować emocje.  
– Nadal mnie nie lubi?

– Nadal. – Rozłożył bezradnie ręce. – Ale nie kryję, co sędzę o takiej postawie, i liczę, że w końcu to do niego dotrze.

Pokiwała głową ze zrozumieniem.

– Podobno pogodziłeś się z dziadkiem.

– Tak! – Bartek się ożywił. – Nie masz pojęcia, jak wiele to dla mnie znaczy. Chociaż pewnie doskonale to rozumiesz. Cieszę się, że odzyskałaś ojca. To przemiły człowiek.

– Moja krew.

– Najwyraźniej. I mam dla ciebie plotkę stulecia: dziadek poderwał Ludmiłę. Romans jak z harlequina. Obściskują się, śpiewają, a gdy popłyną z toastami, zaczyna się epokowy kabaret. Wolę nie wnikać w to, co wyprawiają, gdy zostają tylko we dwoje, ale w Niedzicy mieszkają we wspólnym pokoju. Nasza staruszka wygląda, jakby ubył jej pół wieku.

– Okropnie się za nią stęskniłam. – Zaśmiali się oboje i ich spojrzenia znowu się spotkały. – Bartek, muszę ci coś powiedzieć...

– Co z dzieckiem? – przerwał jej, jakby wystraszył się tym, co ma za chwilę usłyszeć.

– Waży tyle, co obrana mandarynka. Wyobraź sobie, jak rozczuliła mnie ta informacja.

Pilch nie zdołał się powstrzymać i pogładził Adę po policzku.

– Co ten bydlak chciał zrobić?

– Nie mam pojęcia, ale mu na złość zemdlałam, a potem oberwał po łbie od babinki starszej niż Ludmiła. Czujesz klimat? Nawet dobrze, że tak się stało, bo ukróca się jego chore gierki, a ja nabrałam odwagi, by go udupić w sądzie. Przy okazji dowiedziałam się czegoś ciekawego.

– O sobie czy o nim?

– O mandarynce. To dziewczynka. Zrobili mi USG i lekarz nie miał wątpliwości. Chciałabym nazwać ją Marianna, po mojej babci. Co ty na to?

– Pytasz mnie o zdanie?

– A nie powinnam? – W głosie Walickiej zabrzmiało wahanie, jakby do niej dotarło, że trochę się zagalopowała.

Dotknął jej brzucha przez materiał bluzki i delikatnie pogłaskał. Uniósł brwi, pacnął włącznik światła tuż nad głową Ady i przyjrzał się wnikliwie jej figurze. Na koniec wyszczerzył się z zadowoleniem i oznajmił:

– Powinnaś. Wzruszyłem się. Kurczę, serio. Marianna bardzo mi się podoba. Urosłyście obie. – Omiótł ją wzrokiem, wymownie marszcząc czoło i drapiąc się po brodzie, jakby oceniał to, co widzi.

– Naprawdę muszę ci coś powiedzieć... – zaczęła znowu, ale jej przerwał. Sprawiał wrażenie, jakby się bał i próbował uciekać przed tym strachem.

– Coś z nią nie tak? Nie jest zdrowa? Może powinnaś się pokazać jeszcze innemu ginekologowi? Znam paru lekarzy, może kogoś polecą...

– Mała jest zdrowa. Możesz się uspokoić? Jeszcze nie wiesz, w czym rzecz, a już wypisujesz receptę. Brakowało mi ciebie, przemądrzalcu.

– I patałachu? – podłapał.



– Błaźnie oraz gburze. Kocham cię. Dasz to sobie wreszcie porządnie i wprost wyznać? Bo chyba wcześniej zaniedbałam tę kwestię.

W pierwszej chwili pomyślał, że się przesłyszał albo że jego rozszalała wyobraźnia przeinaczyła słowa. Potem poczuł, jak gwałtownie przyspiesza mu puls i krew żywo krąży, dotleniając wszystkie komórki ciała, jakby w każdy, najodleglejszy nawet zakamarek chciała jak najszybciej zanieść ten fantastyczny pewnik, którego dotąd mu brakowało. Potem wolnym, płynnym ruchem przysunął się do Ady tak, że jej plecy mocniej przylgnęły do ściany. Nie pojawiły się niepokój ani lęk. Jej mózgu nie zalała fala skojarzeń z ostatniego spotkania z Jackiem. W zaokrąglonym brzuchu zerwało się stado motyli, lecz wiedziała, że to nie ruchy dziecka. Rozchyliła wargi i przyglądała się twarzy Bartka zaskoczona, że te oczywiste słowa tak głęboko go poruszyły. Zatopił w niej spojrzenie, które mówiło znacznie więcej, niż gdyby zalał ją falą banalnych frazesów. Następnie obrysował palcami kształt jej twarzy, nosa i brwi. Nie spieszył się. Robił to dokładnie i w skupieniu, jakby bał się ominąć jakikolwiek szczegół, jakby dotarli właśnie do punktu, w którym jest to naturalne, nie trzeba się więc z niczego tłumaczyć. Potem oparł swoje czoło tuż nad linią jej brwi, wciągnął powoli powietrze i powiedział niemal bezgłośnie:

– Dam. Wyznaj porządnie i wprost. Jeszcze raz, mała.

Próbowała zachować powagę, lecz kąciaki ust same rwały się do góry. Ale przecież można mówić o rzeczach zasadniczych bez zadęcia. Uśmiech oznacza także radość, nie tylko błazenadę, a Ada w tym momencie czuła się bezgranicznie szczęśliwa.

– Kocham cię. Życie bez ciebie jest kompletnie do kitu. I nie jestem mała – skończyła dobitnie.

– Kamień z serca. Bałem się, że tego nie dodasz. Grunt już za nami. Możemy przejść do detali?

– Potem. Teraz będziemy się całować. Tylko z umiarem, tata może wrócić w każdej chwili.

Bartek przylgnął do jej warg i przez dłuższy czas odrywał się od nich na ułamki sekund tylko po to, by wyrzucać z siebie nieskładne i chaotyczne słowa o miłości. Zagubili się w sobie, balansując tuż przy granicy, za którą rozum śpi i istnieje czysta namiętność. Przenieśli się spod ściany na tapczan, a ukryty za płótem Romuś, zobaczywszy to, jęknął przeciągle, niemal boleśnie i desperacko potarł dłonią krocze. Słomiana Dama jest dla niego stracona, uznał z żalem. Przyjechał koleś z zakolami i przyparł ją do ściany

jak swoją. Nie wyrywała się, jak to było w przypadku bliźnowatego. Bezwstydy nie zapalili światła. Nie wiedzą, że wszystko widać przez firankę, skoro na dworze ciemno? Może ją zdrowo przeleci i zafundują widzowi kino na żywca? Niechby spotkała go chociaż taka korzyść...

Chłopak podkraść się bliżej. Korzystając z tego, że Walicki zabrał psa, bez wahania przesadził płot i ulokował się tuż przy oknie. Chwaścivo na parapecie trochę zasłaniało widok, ale i tak najważniejsze dało się podpatrzeć. Facet Romusia rozczarował. Położył się obok Słomianej Damy, wpychał jej łapy pod bluzkę, ale jej nie rozebrał do rosołu i generalnie przede wszystkim całował, choć trzeba przyznać, że wystarczająco ogniście, by wyrostkowi zagotowało się w portkach. Poza tym dużo gadali i to było strasznie nudne. Marzył pośród sierpniowej nocy i niecierpliwił się, uparcie nie tracąc nadziei, że wreszcie przejdą do rzeczy. Tuż przed północą facet wsiadł do samochodu i odjechał. Nastolatek chwycił się myśli, że nie ma bata, ona teraz sama zrobi sobie dobrze jak Wiola i głupio byłoby to przegapić. Ale nie. Siedziała w fotelu i przeglądała komiks, a przy tym – co dziwne – najwyraźniej płakała. Wyobraźnia Romusia długo karmiła się sceną, w której on sam wpada do pokoju, bierze Słomianą Damę w ramiona i przenosi ją ze świata łez do obezwładniającej rozkoszy, jaka najwidoczniej nie jest dostępna dla faceta z nissana. Tymczasem cielesna powłoka nastolatka, poganiana resztką rozumu, kazała mu wrócić na drogę, uwiesić na płocie kartkę, pstryknąć zdjęcie z użyciem lampy błyskowej, wskoczyć na rower i pognać w rodzinne pielesze.

## 40.

– Nie rozumiem, nad czym się zastanawiasz. Nie powinieneś rezygnować pod żadnym pozorem. Za dużo włożyliście w to serca i wysiłku – oznajmił dziadek i potoczył spojrzeniem po okolicy. – Patrz, jaka magia. Jestem tu pierwszy raz, a czuję się jak u siebie. Szczęśliwie nie namawiasz mnie do chodzenia po górach i mogę siedzieć w tym kawiarnianym ogródku cały dzień. Urlop marzeń.

Tafla jeziora połyskiwała w słońcu. Snuły się po niej niemrawo stateczki wycieczkowe oraz rowerki wodne i przeglądały sylwetki obu zamków wraz z zielonymi wzgórzami.

– Nigdy nie wtrącałem się do fabuły. Nie potrafię pisać – bronił się rysownik, ignorując uwagę o walorach estetycznych okolicy. Też mu się podobało na zaporze, lecz miał zbyt rozproszone myśli, by skupić się na krajobrazie.

– Takie tam wymówki. Borys zostawił szczegółowe plany czterech kolejnych komiksów. Wystarczy je rozwinąć. Pomogę ci, jeśli chcesz. Nie spieszy mi się do Dębłina. Popracujemy razem, a wycofać się zawsze zdążysz, gdyby się okazało, że nie sięgamy twojemu bratu do pięt i *Skrzydła* obniżyły loty. Ale najpierw skup się na życiu prywatnym, bo to ważniejsze.

Kelnerka przyniosła dwa talerzyki z deserem. Starszy pan zachłannie wbił widelczyk w miękką masę i wepchnął kawał szarlotki do ust.

– Zamierzasz pomieszkiwać u pani Ludmiły? – Bartek zaryzykował bezpośrednie pytanie.

– A ty co? Mój spowiednik? Uważasz, że to śmieszne? Nie dla ciebie, stary, poważne zamiary? – zaperzył się senior i jednym haustem dopił filiżankę kawy.

– No gdzieżby? Obaj z młodym jesteście zachwyceni. I zgadzam się na twoją propozycję. Spróbujmy pohołować *Skrzydła* razem. Może i Tymka wciągniemy w rodzinny interes. Coś musiał odziedziczyć po ojcu. Czemu nie miałby to być talent do pisania?

Wymienili się uśmiechami, gdy poczuli, że zawarli kolejne przymierze. Rozejrzeli się wokół, by wypatrzyć wśród gęstej ciżby staruszkę oraz chłopca, i wreszcie uspokojeni ich obecnością w zasięgu wzroku skupili się na konsumpcji ciasta.

Gołębowska kręciła się przy straganach pod niedzickim zamkiem z zamiarem wybrania najpiękniejszej góralskiej chusty, a potem zadawania szyku podczas spacerów z Cezarym. Raz po raz zerkała kontrolnie na

siedzących nieopodal przy kawiarnianym stoliku dwóch Pilchów pogrążonych w rozmowie. Trzeci zniknął jej z oczu, nie miała jednak wątpliwości, że śledzą go czujne oczy stryjka. Nie musiała się o niego martwić. Nie dalej jak pół godziny temu, gdy zakończyli maraton zwiedzania zamku, wozowni i spichlerza, spotkali pod lodziarnią rodzinę zamieszkałą w ich pensjonacie. Był pośród nich chłopiec, z którym Tymek kilka razy się bawił. Pewnie biegali teraz we dwóch po zaporze w tę i we w tę albo przysiedli na ławce i licytowali się, który ma bardziej odjazdowe gierki w komórce.

Tłum kłębił się dookoła i dawniej nieco by starszą panią drażnił, ale ostatnio odnajdowała w sobie nieprzebrane pokłady wyrozumiałości. Na myśl o Cezarym łagodną falą przyływały do niej błogość i wrażenie dawno zapomnianej ekscytacji, a serce zaczynało trzepotać, wywołując delikatne łaskotanie w brzuchu. Reagowała jak jakaś siksa i chociaż nie zamierzała przyznawać się do tego głośno, to zjawisko, pozornie zarezerwowane dla młodości, zachwycało ją niepomiernie, jeszcze bardziej chyba niż sam obiekt tego szaleństwa. Nie uważała się za stetryczałą wariatkę i doskonale zdawała sobie sprawę z tego, jak zabawnie wygląda jej zachowanie. Miała to jednak gdzieś. Prawdę mówiąc, wszystko miała gdzieś. Zadurzyła się w tym starym, przyciężkawym pryku, który nawet pół wieku temu nie miał prawa uchodzić za adonisa. Ale jakież to miało znaczenie? Był uroczy, szarmancki, zabawny i strzelał do niej takim ogniem spod rzęs, że te jego nadmierne kilogramy, podwójny podbródek, przerzedzone kłaki i powleczone żyłkami łydki traciły na znaczeniu. Zresztą jej jaskra stanowiła doskonały pretekst, by ucinać wszelkie rozważania o urodzie absztyfikanta. Czego niedowidziała, to ją w oczy nie kłuło. Jakby ktoś o to pytał, to by mu odpowiedziała, żeby się odpierniczył. Albo jak Zoja warknęłaby: *otvali*, i wzmocniła przekaz środkowym palcem, by wykorzystać jednocześnie wzorce kultury ze wschodu i z zachodu.

Nikt jednak się nie czepiał. Bartek wprawdzie nadal sprawiał wrażenie ogłuszonego, lecz w gruncie rzeczy chyba pochwalał ów romans. O matko, co to za określenie? Ludmiła zdołała sama siebie skonfundować pchającą jej się na myśl nomenklaturą, ale jakże inaczej to nazwać? Banalne słowo, a oddawało istotę rzeczy. Przynajmniej na razie, chociaż Cezary już się odgrażał, by spodziewała się pierścionka. Tempo godne podziwu, ale co z tego? W normalnych układach rozsądna kobieta szuka starszego epuzera lub zwleka, by jej faworyt choć trochę dojrzał. Wiadomo, że płci nie dość

pięknej zajmuje to więcej lat niż damom. W wypadku seniora Pilcha, co miało dojrzeć, już dojrzało, a co przejrzeć, przejrzało. Czekać nie było na co, bo po skończeniu ośmiu dych zmiany oznaczały jedynie regres.

Za diabła nie wiedziała, w której chuście będzie wyglądać bardziej kobieco: turkusowej czy czerwonej. Przymierzała jedną i drugą, przeglądała się w lustrze i kokieteryjnie zagadywała sprzedawcę w nadziei, że jej pomoże. Dziad jednak udawał, że nie słyszy, od kiedy jego uwagę pochłonęły dwie gówniary opierające mu się o ladę wyeksponowanymi biustami. Nie miały więcej niż po czterdzieści lat i były nieźle wysztafirowane, więc może to nie dziwota. Świat opiera się na prostych schematach, a już zakres męskich odruchów z całą pewnością jest przewidywalny.

Ostatni raz rzuciła powłóczytym spojrzeniem na Czarka. Zdawało jej się, że pomachał w jej stronę, ale dzieliła ich zbyt duża odległość, by nabrała pewności. Mruknęła pod nosem, że od przybytku głowa nie boli, i kupiła obie chusty. Pieniądzy do grobu nie zabierze. Trzeba korzystać z życia, póki ma urok i smak. Turkusowy kwiecisty nabytek wepchnęła do uwieszanej na ramieniu torby, a czerwonym okryła ramiona. Tak wystrojona ruszyła nieco chwiejnym krokiem do kawiarnianego ogródka.

– Popatrz, Bartuś – ryknął starszy pan tak głośno, że echo poniosło się na wody jeziora. – Oszalamiająca dziewczyna. No, palce lizać. Podzielimy się zadaniami. Weźże poszukaj Tymka, a ja ją padoruję, bo tak mi się zdaje, że ty nie masz u niej szans.

Rysownik zachichotał. Zanim upłynął się, by zamówić im po szklance wody oraz porcję szarlotki dla staruszki, usłyszał odgłos siarczystego całusa w policzek. Ukłuła go zazdrość, bo sam oddałby wiele, by mieć w tej chwili Adę przy sobie. Spędził w jej rodzinnym domu niezwykle emocjonalne dwa wieczory i najchętniej w ogóle by stamtąd nie wychodził, rozsądek jednak sugerował nieuleganie pokusom i dołożenie wszelkich starań, by stworzyć podwaliny w miarę normalnego życia we troje, a potem we czworo, kiedy Marianka już się urodzi.

Myśl o tej małej istotce niespodziewanie go rozczuliła, jakby fakt, że wiadomo już, kim ona jest, wystarczył, by się na nią otworzyć. Ada wyglądała na zmotywowaną, znacznie spokojniejszą i mniej pogubioną niż jeszcze miesiąc temu oraz pewną tego, czego chce. Ta świadomość krzepiła i pozwalała spoglądać z mniejszą rezerwą w przyszłość. Obecnie największym wyzwaniem wydawała się postawa bratanka.

Znalazł chłopca na samym końcu zapory, przy tablicy przedstawiającej walory przyrodnicze okolicy. Obok niego kręcił się dzieciak z pensjonatu. Trzymał na smyczy bokserkę o żółtej maści i najwyraźniej pogodnym usposobieniu, bo nieustannie machała ogonem i bez oporów wykonywała rozmaite polecenia opiekuna. W nagrodę otrzymywała psie smaczki, które pożerała, oblizując się z takim zapałem, że musiała przymykać powieki, by nie chlasnąć się językiem w oko. Mały Pilch pękał ze śmiechu zachwycony tym przedstawieniem.

– Tymek, powoli się zbieramy – oznajmił stryjek.

– Musimy? Ona potrafi takie genialne sztuczki.

– Sam nalegałeś, byśmy jeszcze dziś obejrżeli także zamek w Czorsztynie. Wieczorem się pobawicie, jeśli rodzice twojego kolegi pozwolą.

– Jasne, że tak. Mnie też wołają – zapewnił jasnowłosy chłopiec i wskazał niższą od niego o głowę dziewczynkę. Szła w ich stronę i trzymała się pod boki z mocno nasrożoną miną. Jej kręcone rude loki podskakiwały z każdym krokiem.

– Grzesiek! – krzyknęła. – Ile można czekać? Ciocia mówi, że jak zaraz nie przyjdiesz, to nici z toru saneczkowego, a ja tego nie-prze-ży-ję! Ogarniasz? No już!

– Gdzie tu jest tor saneczkowy? – spytał z zainteresowaniem rysownik. – Może i my byśmy się wybrali.

– Gdzieś tam. – Machnęła ręką, zataczając niemal pełne koło.

– Rany, Zuzka. – Grzesiek westchnął. – Niech jej pan nie słucha. Jeden w Kluszkowcach, po drugiej stronie jeziora, a drugi na Palenicy. Trzeba jechać przez Krościenko aż do Szczawnicy. Tylko z psem nie wpuszczają i Kufa się o to obraża. Tymon, widzimy się wieczorem. – Przybił z kolegą piątkę i grzecznie rzucił na odchodnym: – Do widzenia.

– Sympatyczny gość – skomentował rysownik, gdy został z bratankiem sam. Przysiadł na pustej ławce, by podjąć kolejną próbę poważnej rozmowy.

– Ehe. Ta Zuzka to jego kuzynka i mieszka w Łodzi. A on gdzieś nad morzem. Stryjek, serio pojedziemy na te saneczki? Grzesiek opowiadał, że to bajerancka zabawa.

– W takim razie nie możemy tego przepuścić.

– Ma strasznie fajnych rodziców, w ogóle to ekstra rodzina. Ta Zuzka jest nawet zabawna, chociaż dziewczyna i ma dopiero siedem lat. Wczoraj kopała z nami piłkę, potem przyszli dorośli. Jej tata i tata Grześka strzelali

z nami karne, a jego mama razem z psem stanęła na bramce. Mówię ci, stryjek, rzucała się na murawę jak Neuer. Zazdroścę im.

– Tego, że są ekstra? – zauważył Bartek i zmierzwił chłopcu włosy.

– Tego, że lubią być razem i w ogóle. Nie to, co u nas. Zwyczajna beznadzieja.

– Nad tą kwestią możemy popracować. Uważam, że jest w nas potencjał.

– A po co nam potencja? To zboczone słowo, Adriana brat opowiadał przy okazji tego sprawdzianu z seksu. To obrzydliwe, że takich rzeczy trzeba się uczyć w szkole. Już wolę matematykę i dyktanda.

– Tymek, stop! – Stryjek, któremu wyjątkowo nie było do śmiechu, zdołał tym razem przerwać na czas wylewając się z chłopca opowiastką. –

Potencjał. „Ł” na końcu. To oznacza czyjeś możliwości, jakby szansę na osiągnięcie czegoś. Mamy potencjał do tego, by stać się wspaniałą rodziną.

– Ty i ja?

– Nie tylko. Podobno nazwałeś wczoraj panią Ludmiłę babcią.

– Dziadek mnie podpuścił. Ona się wtedy popłakała i strasznie mnie ścisnęła. Już chyba wolę, żeby się kleiła do niego.

– Czyli to nie było przyjemne? – Bartek czuł w sobie narastające zdenerwowanie. Nabierał nadziei, że ta rozmowa może okazać się zasadnicza i doprowadzi ich do jakiegoś przełomu.

– Było, ale Grzesiek to widział, więc trochę siara.

– Śmiał się z ciebie?

– Nie. Powiedział tylko, że jego dziadkowie nie żyją.

– Wychodzi na to, że i on ma ci czego zazdrościć.

– Nie porównuj nas! – Chłopiec zerwał się z ławki i zacisnął dłonie w pięści. – On ma rodziców, ciocię, wujka, Zuzkę i tam się jeszcze koło nich kręca jakies całkiem małe dzieci. Kuzyni albo rodzeństwo. A ja mam tylko ciebie i mamę, która mnie porzuciła! – wykrzyczał i dodał nieco ciszej: – No i dziadków, ale od bardzo niedawna.

Pilch starał się ignorować odwracające się ku nim głowy spacerowiczów. Kuł żelazo, które wydało mu się gorące jak nigdy dotąd.

– Mama wyjechała na rok. Potem z pewnością cię zabierze i nie będzie łatwo mi cię oddać, bo lubię z tobą mieszkać.

– Naprawdę?

– Zdecydowanie. Ale chciałbym też, by zamieszkała z nami Ada. Możemy stworzyć rodzinę taką jak ta Grześka. Będiesz miał dorosłych, którzy cię kochają, i kuzynkę.

– Jaką znowu kuzynkę? – Głos Tymka zabrzmiał podejrzliwie, jakby sądził, że jest wpuszczany w kanał.

– Ada jest w ciąży. Zimą urodzi Mariankę, która będzie twoją kuzynką.

Chłopiec pobladł. Wyglądał jak ktoś owładnięty strachem, przed którym nie ma ucieczki.

– Wiedziałem! Wiedziałem, że jak do niej pojedziesz, to narobisz okropnych głupstw. I po co, stryjek? Po co? Nie chcę tej baby ani jej dziecka! Niech idą do diabła!

Zerwał się do biegu i pognał przez zaporę. Łokciami torował sobie drogę, przepychając się wśród oburzonych turystów. Łzy zalewały mu twarz, lecz nie zwracał na to uwagi. W głowie pulsowała mu myśl, że dla mamy był zbędnym kłopotem, a teraz zacznie zawadzać stryjkowi, który przecież zajął się nim, bo musiał. Stanie się wszystkim niepotrzebny. Nawet pani Ludmiła zgodziła się być jego babcią tylko dlatego, że zabujała się w dziadku. Nikt Tymka nie chce, nikogo nie obchodzi, może nawet nie zauważą, jeśli zgubi się, zniknie albo w ogóle przestanie żyć tak jak tata. Szkoda, że tak się nie stało. Wspomnienie ojca ostatecznie go załamało. Dopadł do barierki, wychylił się i zastygł bez ruchu. Jedyne trzęsące się ramiona sugerowały, że ciągle płacze.

Bartek dobiegł do niego i objął od tyłu ramionami. Po chwili unieruchomił ręce bratanka, bo ten zaczął walczyć ze wszystkich sił, gotów go nawet uderzyć, by się oswobodzić.

– Wiesz, co oznacza miłość? – Starał się mówić wprost do ucha dziecka, by nie wywoływać większej sensacji, niż to konieczne. – To troszczyć się, dbać, dawać radość i chronić, ale przede wszystkim nie ranić. Nie ranić, słyszysz? Ja cię kocham, Tymek, i staram się, jak mogę, by ci ułatwić życie, a ty? Tym, że się tak uparłeś, potwornie mnie krzywdzisz. Ją też i przy okazji siebie, ale to ja jestem w najgorszej sytuacji, bo chcesz, żebym z niej zrezygnował. To jest nieludzkie, człowieku! Tak się po prostu nie robi, jeśli się kogoś kocha.

Chłopiec zamarł w bezruchu, oddychając szybko, płytko, spazmatycznie, szukając uspokojenia w odległych punktach, daleko poza taflą wody. Wreszcie odwrócił się, otarł oczy i głośno pociągnął nosem. Przebiegł spłoszonym spojrzeniem po gapiących się na niego ludziach i z ulgą stwierdził, że nie ma wśród nich Grześka ani nikogo z jego rodziny. Jest szansa, że nie widzieli przedstawienia. Chybotliwym truchtem nadbiegł dziadkowie. Gdyby Tymkowi dopisywał humor, pewnie parsknąłby



śmiechem, bo starszemu panu zabawnie podskakiwał brzuch, a Gołębiowska wachlowała się czerwoną chustą.

– Co się dzieje? – wysapał senior.

– Nic. – Chłopiec wzruszył ramionami. Broda wciąż jeszcze trochę mu się trzęsła. – Stryjek chce na siłę skleić klocki z różnych układanek, a to się po prostu nie uda.

## 41.

Pachnące nowością meble zapełniły strych i stworzyły wygodne, funkcjonalne gniazdko. Gdyby Stefan miał ocenić te wnętrza przez pryzmat własnego gustu, uznałby, że są nieco zbyt surowe, sterylne, pozbawione indywidualnego pierwiastka. Wyglądały tak jak na wystawie sklepu, ale może lada dzień to się zmieni? Wnieśli po schodach tony rzeczy należących do Julii: dokumenty, kosmetyki, ubrania, wszystko jednak zniknęło w szafach, szufladach i komodach, a na wierzchu nie zostało nic, żadnej ramki ze zdjęciem, rzuconego niedbale peniuaru czy chociażby książek.

– Nie lubisz czytać? – zapytał, bo dopiero teraz się zorientował, że w całym tym domu najbardziej brakuje mu otwartych półek, które można by zmienić w biblioteczkę lub zapełnić bibelotami jak choćby te kiczowate dzwoneczki, które od lat kolekcjonowała Helena.

Pamiętał je jeszcze z czasów przed wyrokiem. Jeśli się mocno uderzało piętami w podłogę, w całym pokoju rozlegało się ciche dzwonenie. Gdy się wyjątkowo energicznie kochali, także się to zdarzało. Ten delikatny dźwięk przyjemnie kojarzył mu się z miłością.

Od paru dni nie widział się z Helą. Uciekał od rozważań, czy to już ostateczne, czy faktycznie skreśla ją obsesyjna i bezkrytyczna miłość do syna. I to, że jest tak zaślepiona i bezmyślna... Czekał, aż w nim opadnie złość na nią. Nie dawała mu spokoju myśl, że wprawdzie ona nie jest sprawiedliwa i broni się przed logiką, ale to on opluł uczucie, które przed laty ich połączyło, pozbawiając sensu cierpienie, które spadło na nich oboje oraz na ich dzieci. Czy można tak po prostu wejść do łóżka innej kobiety, nie licząc się z konsekwencjami? Czy zachowanie Heleny go usprawiedliwia? Nie, chyba jednak nie. Jej mózg zarzucił przede wszystkim głupotę, a sobie – zdradę.

– Bardzo lubię, ale korzystam z e-booków. Papierowe książki zajmują miejsce, zbierają kurz i są niewygodne. Na czytniku noszę ze sobą naraz setki tytułów, no i lasy powinny być mi wdzięczne – wyjaśniła Julia, stając obok Walickiego. Podrapała się po brodzie i zmrużyła oczy. – Jak dla mnie jest prawie doskonale. Dokupię jeszcze ze dwa storczyki na parapet.

Pogłaskała Dżoziego, który uwaliał się na plecach w centralnym punkcie podłogi i drzemał wygięty w rogalik, jakby w miejscu kręgosłupa tkwił w nim skórzany rzemyk. Pod wpływem jej dotyku tylko westchnął i zmarszczył nos. Podeszła do łóżka i wyprężona jak struna opadła plecami

na miękki materac. Nie rozległ się żaden dźwięk. Ani skrzypienia, ani dzwoneczków. Nic.

– Wygodne? – spytał Stefan, po czym przełknął ślinę, jakby mu coś zawadzało w gardle.

– Mmm... – zamruczała. – Wygląda na to, że tak, ale warto się upewnić. – Oparła się na łokciach i wbiła w niego wzrok z wymownym uśmiechem. – Nie spieszysz się, co?

Nawet gdyby się spieszył, nie potrafiłby się oprzeć, zwłaszcza gdy zdjęła bluzkę i biustonosz, a potem leżała półnaga na świeżej satynowej pościeli. Kasztanowe włosy rozsypały się wokół jej twarzy, jakby zapraszały, by zanurzyć w nich dłonie. Ciekawski sierpniowy wiatr zakręcił się w otwartym oknie i wprawiał w delikatny ruch szare zasłony panelowe. Promienie słońca skorzystały z okazji i zatańczyły na piersiach kobiety tak samo, jak od tygodni swawoliły na zielonych zamagurskich wzgórzach. Stefan wysnuł tezę, że pewność siebie to jeden z zasadniczych elementów urody i seksapilu, bo dodaje kobiecie niezwykłego blasku. Po chwili położył się obok niej i nie myślał o niczym, a już najmniej o Helenie.

Planował zostać u Julki do późna, tak jak przez ostatnie dni, dając tym samym córce szansę na sam na sam z rysownikiem, który mógł ofiarować jej jedynie wieczory. Nie zazdrościł im tej niewygodnej sytuacji ani nie dziwił się łzom Ady, która wciąż rozważała, czy wrócić do Łodzi, czy może poczekać i nie dokładać Tymkowi stresów. Tymczasem dziennikarka, zmitrężywszy nieco czasu na cielesne igraszki, nim zapadł zmrok podniosła z podłogi koszulkę Walickiego i mu ją podała. Sama owinęła się miękkim szlafrokiem i oznajmiła bez skrępowania:

– Dziś nie zatrzymam cię dłużej.

– Zrobiłem coś nie tak?

– Nie. – Poglaskała go po plecach, a potem bezceremonialnie klepnęła w pośladek. – Wyglądałam na nieusatysfakcjonowaną? Po prostu muszę popracować. Książka się sama nie napisze.

– Zobaczymy się jutro?

– Raczej nie. Czeka mnie niezłe zamieszanie. Misiaczek zjawi się za trzy dni, a on stroni od ludzi. Nie chcę go zmuszać.

– Nie będę mu się narzucać.

– Nie chodzi o ciebie. Obiecałam, że urządzę stryszkową parapetówkę, dopóki Michała nie ma. Wpadnie paru przyjaciół i znajomych z pracy.

Od rana muszę coś upichcić albo skołować catering i oczywiście napoje, bo obawiam się, że samo wino nie wystarczy.

– Rozumiem. Znajomi, przyjaciele... To nie towarzystwo dla mnie.

– Daj spokój. Nie rób scen. Bardzo cię lubię, serio, doskonale wypełniasz mi wolny czas, zwłaszcza ostatnio. – Uniosła wymownie brwi i sięgnęła po paczkę papierosów. Zapaliła, zaciągnęła się i wydmuchała dym prosto w świeżo umalowany sufit. – Ale nie zaproszę cię na tę imprezę. Przyjadą ludzie sukcesu, medialni wyjadacze, bezpruderyjni, bezpośredni, przy forsie. Jeżdżą po całym świecie, obracają się wyłącznie wśród takich jak oni. O czym chcesz z nimi rozmawiać? Może gdybym cię przedstawiła jako byłego pensjonariusza zakładu karnego, przykułbyś na chwilę ich uwagę, tylko pomyśl, jak byś się czuł.

– Masz rację. Nie przejmuj się. Idę.

Ruszył do schodów. Dżoczi podskoczył i ślizgając się na panelach, popędził za nim. Julia zeszła ostatnia.

– Zapłacę ci od razu, co? Praca skończona, zastrzeżeń brak, wyrobiłeś się przed czasem i jeszcze bez szemrania zgodziłeś się na dodatkowe usługi, więc dołożyłam pięć stówek premii. – Podała mu kopertę z szuflady w przedpokoju.

– Masz na myśli tych kilka orgazmów? – Jego spojrzenie było chłodne i puste, jakby nie tyle go rozgniewała, co zawiodła.

– Nie świruj. W tym temacie świadczyliśmy usługi wzajemne i mam nadzieję, że to nie koniec. Z ochotą utrzymam ten układ. Podobasz mi się. Nie mam zwyczaju udawać w takich sprawach. Nasza umowa nie obejmowała skręcania mebli. Poza tym nie zostawiłeś po sobie chlewu, a ja cenię porządek. Czy teraz wszystko jasne?

– Chyba tak – mruknął.

Gdy odprowadziła go do furtki, w oczy rzuciła im się kartka pokryta pismem technicznym: „Zastanów się, z kim się szmacisz. W tej wsi nie ma miejsca dla cichodajek”.

– Kurka! Straciłam cierpliwość – syknęła dziennikarka, zdjęła świstek z płotu i wepchnęła Walickiemu w dłoń. – Idź do Kulebiaka i zapytaj wprost, o co mu chodzi. To oszołom. Na moich oczach ściskaliście sobie dłonie. Zazdrosny jest czy jak? Jeśli z tobą nie będzie chciał rozmawiać, to ja się do niego wybiorę i powiem mu, że nie ma u mnie szans, bo dysponuje zbyt parchatą gębą i śmierdzi od niego zwyczajnym ćwokiem. – Nie bawiła się

w demonstracyjne macanki. Odwróciła się na pięcie, wróciła do domu i ze złością trzasnęła drzwiami.

Stefan szedł sprężystym krokiem do centrum wsi, a uradowany perspektywą spaceru Dżoczi pędził tuż obok, zahaczając o pobocze raz z jednej, raz z drugiej strony, by znaczyć swoją obecność. Wsadził nos w kępkę ostów i kichnął z oburzeniem, po czym zaplątał się w ludzkie nogi, bo usiłował zameldować o krzywdzie, która go spotkała. Stefan potknął się o psa i odruchowo zaklął pod nosem, z trudem zachowując równowagę. Bez szczególnej stanowczości w głosie skarcił pupila, podrapał go za uchem i wrócił do marszu.

Kiedy mijał swój dom, zauważył nissana stojącego obok mini coopera. Uderzył go fakt, że lakier na obu samochodach był niemal identyczny. Dopasowali się młodzi, bez dwóch zdań. Pozazdrościł im tej miłości, ciągle świeżej, a jednak niezachwianej, mimo że los wystawił ją na próby. Czy za dwadzieścia lat będą nadal się nią cieszyć? Czy to możliwe, by uczucie, które niegdyś rozsadzało serce, zmieniło się po prostu w zlepek wspomnień oraz poczucie obowiązku przyprawione rozczarowaniem? Dlaczego między nim a Helcią nie może być zwyczajnie? Winni są oni czy może czas, ten przeklęty łajdak, który okradł ich ze wspólnych lat, nie pozwalając, by rok po roku obserwowali zmiany, jakie nieuchronnie zachodziły w każdym z nich? Wtedy łatwiej byłoby je zaakceptować i oswoić. Odebrano im to i stanęli przed piekielnie trudnym wyzwaniem, by odszukać kochaną osobę w całkiem obcym człowieku. To ona słała listy, gdy on milczał. Zawdzięczał jej najjaśniejsze chwile, jakich doświadczył w więzieniu. Jakim draniem by był, gdyby teraz nie zdobył się na wyrozumiałość dla jej słabości? Tak, słabości i to całkiem naturalnej, bo miała źródło w lojalności wobec syna. Skądś nieustannie płynął podszept, że nie Helena skrzywdziła jego córkę, i ta myśl niezwykle go męczyła.

W krzakach przy płocie leżał porzucony poobijany rower. Walicki od razu go skojarzył. Przyjechał na nim Paweł, by przyjść Adzie z odsieczą. Należał do wyrostka, który wezwał pomoc. Ostatnio wszędzie było pełno tego dzieciaka. Snuł się bez celu po wiosce, zabijając czas. Nieważne. Krzywdy nikomu nie robił, a okazał się nad wyraz pożyteczny.

Walicki dotarł pod właściwy dom i nakazał psu grzecznie czekać. Kulebiaka zastał na podwórku przy rąbaniu drewna. Z siekierą wyglądał niepokojąco i rozsądek nakazywał, by spasować, ale wyrozumiałość Stefana już się wyczerpała i postanowił raz na zawsze uciąć idiotyczną

epistolografię. Jeśli nie zdoła osobiście przemówić Pawłowi do rozumu, zgłosi sprawę na policję. Uzbierał cały stos liścików. Powinny zainteresować mundurowych.

– Można? – zapytał. Grzecznie, zbyt grzecznie, niech to szlag. Trzeba wykrzesać z siebie stanowczość i nieco brutalnej szorstkości, której wyuczył się przecież w więzieniu, nawet jeśli za nią nie przepadał: – Kawa na ławę, Paweł. – Pchnął furtkę i ryknął, zaciskając dłonie w pięści. – Mów, czego chcesz, albo się od nas odpiardol, bo mam cię już, kurwa, dość.

– Kruca, coś ty zdurniał? Dyc zabocyłeś, ześ się ze mną pojednoł? Na łeb ci padło, zaprzańcu?

W oczach Kulebiaka błysnęła panika. Zrzucił z pieńka polano, ustawił na nim stopę, a siekierę uniósł w górę tak, jakby był gotów w każdej chwili posłużyć się nią w obronie własnej. Nieproszony gość podszedł odważnie i stanął nie więcej niż trzy metry od gospodarza. Dżoczi za płotem zaczął zawzięcie ujadać.

– Opuść broń i nie rób ze mnie kretyna, bo jednym ruchem mogę ci tak zajebać w rzyć, że ci gówno między zębami wypłynie. Tego ziajoka Zawadowicza wzięłeś z zaskoczenia, ale ze mną nawet z siekierą nie wygrasz. W pierdłu pięciu takich rozkładałem kilkoma ruchami.

– Cyganisz.

– Tak? – Stefan w ułamku sekundy schylił się, podniósł szczapę drewna i rzucił nią celnie, a przy tym na tyle mocno, że grzmotnęła w drewniany trzonek, rozbijając zaskoczony Pawła. Narzędzie poleciało do tyłu i wbiło się ostrzem w kępę trawy.

– Rany boskie... – jęknął mężczyzna, a pies ucichł, jedynie powarkując.

– Nie waż się jej podnosić i ciesz się, że nie waliłem w nadgarstek, bo bez trudu złamałbym ci grabę.

– Czego ty chcesz, Stefan? – Kulebiak ze strachu porzucił gwarę i płynnie przeszedł na nienaganną polszczyznę z lekkim tylko śladem góralskiego akcentu w nadziei, że tym sposobem łatwiej dotrze do tego niebezpiecznego garownika, który znieacka pokazał pazury. Zawsze, nawet jako dziecko, gadał jak ceper, więc lepiej go nie drażnić normalną ludzką mową. –

Pomogłem twojej córce, przyjąłem do wiadomości, że z Edka był kawał skur...

– ...wiele – odpowiedział usłużnie Walicki.

– No. Przyjąłem, chociaż się z nim od bajtla... – Splunął i przetarł ramieniem nagle spotniałe czoło. – Nie chodzę już pod twój dom, innych

chłopów odwołałem. I co?

W tym ostatnim pytaniu zawarł szczere niezrozumienie dla zagrożenia, przed którym stanął, po czym zamilkł i wpatrywał się w przybyłego, który niespodziewanie wydał mu się znacznie wyższy i silniejszy niż dotąd, jakby go diabli podmienili. Stefan bez wahania wyciągnął z kieszeni kartkę świeżo zdjętą z płotu Julii i podszedł, by położyć ją na pieńku. Paweł w panice odskoczył krok do tyłu.

– Nie histeryzuj, tylko zeznawaj. Po jaką cholere, malarię i galopującą sraczkę uwiesiłeś to przy domu dziennikarki? W jakim celu codziennie umieszczasz te idiotyczne epistoły na ogrodzeniach u mnie, Heleny i Julii?! Mów, zawszony patafianie, bo się naprawdę wkurwię.

Kulebiak wbrew grozie sytuacji, w jakiej się znalazł, mimowolnie zachichotał.

– Galopującą sraczkę? – powtórzył i złapał się za brzuch.

– Stul pysk i ani jednego zbędnego słowa. Masz minutę na wyjaśnienia, potem ja się pobawię siekierą!

Dżoczi szczerknął, choć bez większego zaangażowania, bo doskonale wyczuł, że to jego pan ma przewagę, po czym przysiadł w trawie i zastrzygł uszami.

Paweł spoważniał, pochylił się nad kartką, wziął ją do rąk i obejrzał ze wszystkich stron, jakby liczył na to, że znajdzie podpis nadawcy. Wreszcie wybąkał:

– To nie ja.

– Tak to każdy może powiedzieć. Pod moim domem też nie darłeś mordy ani nie wyśpiewywałeś jak potłuczony?

– Pod domem ja i sprawa zamknięta, ale do tego się nie przyznaję. Ja bym wydrukował. Nie umiem tak równo pisać. Zresztą nie mam powodu.

– A kto ma?

– Czort wie. Ktoś ci zazdrości. Dwie baby naraz, każda po swojemu przyjemna na gębie i ciele... Sodoma. Żonę Edka niejeden chciał przez lata przygarnąć, a od kiedy dziennikarka tu mieszka, chwili spokoju nie ma.

– Czyli?

– Serio ją posuwasz? Takiś wyposzczony, że wdówka ci nie wystarcza? Lubisz kontrasty?

– Bo co?

– Bo kulawa Hela prawie święta, nic ino się modli, a ta krakowska lafirynda żadnemu, kruca, nie przepuści. Nie zliczę, ilu ją już obracało, baby

z daleka spluwają na jej widok, nawet wikarego zbałamuciła, a młodszy od niej o dobre dziesięć lat. Afera była i wstyd na pół powiatu, w końcu go gdzieś przenieśli, w lubuskie chyba. Liściki mógł wieszać każdy, więc albo daruj sobie dymanie na dwa fronty, albo po prostu to olej.

– A ty co? Impotent, żeś taki na nią odporny? Udowodnij, że to nie ty – zaatakował Walicki, by ukryć konsternację i fakt, że zwyczajnie zrobiło mu się przykro, po czym przeczesał palcami włosy. Rozejrzał się w popłochu, czy aby nikt ich nie podsłuchuje. Pies pogawędkę miał w zadzie i niuchał coś na skraju asfaltu. W progu domu Kulebiaka dostrzegł ładną i zadbaną kobietę około pięćdziesiątki, odzianą w zwykłe dżinsy i cienką sportową bluzę. Przyglądała im się z zaciekawieniem, splótłszy ramiona na piersiach. Poczował, że oblewa go rumieniec wstydu.

– Pozwolisz, że ci przedstawię: Aleksandra. Uczy w szkole polskiego. Nie znacie się, dorastała w Gdańsku. Piętnaście lat temu wyszła za mnie za męża. Możesz mi wierzyć lub nie, ale przy niej dziennikarka jest szara i nijaka. Pytaj we wsi, kogo chcesz, każdy ci powie, że szaleję za Olką i jestem ślepy na obce dziewczuchy.

Kobieta uśmiechnęła się, przytakując, pogroziła mężowi palcem i wycofała się z pola bitwy do wnętrza budynku.

– Przepraszam – mruknął zdębiały Walicki, kapitulując. – Nie narobiłem ci kłopotów?

– Nie przypuszczam. Za łożenie pod twój dom zebrałem od niej nieźle po głowie. To jak, zgoda? – Kulebiak wyciągnął rękę i uścisnęli sobie dłonie. –

Szukaj winnego albo odpuść, ale licz się z tym, że dziennikarka szybko się tobą znudzi, a z samą Helką sprawa przycichnie, bo u niej nikt poza tobą nie miał szans.

– Chyba faktycznie...

– Powiem ci, żeś mi zaimponował. Takiś był milusi od przyjazdu, słodki, jakby cię w ciupie zdrowo przecwelili, a okazuje się, żeś chłop, jaja masz i zdeptać się nie pozwolisz. Zestrachiałem się, mało w portki nie narobiłem. Podlejmy rozejm. Łobaczys, syćkie problemy pójdą prec. Przyniosłem dziś od Wioli kilka flasecek piwa, pójdomy do izby – dokończył swojsko i szerokim gestem wskazał drzwi.

Stefan uchylił furtkę, przywołał psa, zgniótł w dłoni liścik wraz ze sznurkiem i bez wahania przyjął gościny.



## 42.

Tymek od zawsze przyjaźnił się z Marcelem i Adrianem. Trzymali się we trzech jeszcze w przedszkolu, a potem ogromnym fartem trafili do jednej klasy w podstawówce. Doskonale się rozumieli i nie dopuszczali do kumpelskich relacji innych chłopców. Wprawdzie zimą nastąpił dramat, mama Marcela rozstała się z jego tatą, zabrała chłopca do dziadków do Sieradza i jej syn był zmuszony zmienić szkołę, ale nadal utrzymywali kontakt przez internet, zwłaszcza podczas drużynowych gier online. Mogło ich dzielić siedemdziesiąt, a nawet siedemset kilometrów, co nie znaczyło, że musieli przestać się lubić.

Z mamą to inna sprawa. Oddaliła się z własnej woli, nikt jej nie przymuszał i ciężko było to po prostu wybaczyć. Jak zwykle zadzwoniła punktualnie o osiemnastej. Zaspianym głosem poinformowała, że wykańcza ją zrywanie się o drugiej w nocy tylko po to, by porozmawiać z synem. Tymka to z miejsca rozzłościło. Jeśli woli spać, to jej wybór. On ma co robić, chociaż stryjek znowu pojechał do „tej baby”.

– To nie gadajmy – burknął, wruszając ramionami.

Siedział bokiem do ustawionego na stoliku laptopa z uruchomioną kamerą i gmerał w smartfonie.

– Nie bądź opryskliwy.

– Bo co? Wyjedziesz jeszcze dalej czy nie zabierzesz mnie na szlak ani na tor saneczkowy?

– Na jaki znowu tor?

– Szybki. Podobało mi się. Każdego dnia tutaj mam więcej atrakcji niż na wszystkich nudnych wakacjach z tobą. – Zdecydował się spojrzeć na matkę głównie po to, by zobaczyć jej minę. – Zdobyłem najwyższy szczyt Pienin. Rozumiesz? Najwyższy! Pływałem statkiem po jeziorze i pontonem po rzece, zwiedziłem dwa zamki, muzea i taki wielki stary klasztor po słowackiej stronie. Wszystko tu jest ciekawe, a najlepsze to, że ciebie tu nie ma.

Przełknęła gorzkie słowa, choć zaboląły bardziej, niż była skłonna przyznać. Wiedziała, że dzieciak wyolbrzymia, specjalnie podkreśla różnice między nią a Bartkiem, by samego siebie przekonać, że z nim mu lepiej. Wszystko jednak miało swoje granice. W Melbourne powoli się zadomawiała, poznawała ludzi, a nawet zaczęła flirtować z takim jednym Harrym, mężczyzną nie tylko seksownym, lecz także nad wyraz inteligentnym. Nie zamierzała psuć sobie humoru fochami dziesięciolatka.

– Zawołaj stryjka, chcę z nim porozmawiać.

– Nie. – Usłyszała twardą odpowiedź.

– Dlaczego? Nie widzę go w kadrze. Jesteś sam w pokoju?

– Nie jestem sam, ale go nie poproszę.

– Jasna cholera, Tymon! Nie dyskutuj! Jeszcze jedna taka odzywka i w ogóle przestanę dzwonić – wrzasnęła, na co chłopiec momentalnie podniósł się z krzesła i bez słowa zniknął jej z oczu.

Wystraszyła się. Do diabła, autentycznie wybuchł w niej strach, po pierwsze o to, czy on nie robi sobie w gniewie jakiejś krzywdy, a po drugie, że utną się te ich spotkania, przez które ziewała pół dnia, ale bez których przysłoby jej oszaleć z niepokoju o syna. Może nie wygrałaby konkursu na matkę roku, ale coś tam się w niej tliło matczynego, co nie pozwalało bez spoglądania wstecz cieszyć się australijską przygodą. Usłyszała hałas, jakby ciężki przedmiot z hukiem runął na podłogę, i ogarnęła ją panika. – Tymon! – wrzasnęła. – Tymek, pokaż się natychmiast! Odezwij się!

Przed ekranem mignął najpierw wydatny brzuch w koszuli w krzykliwą kratkę, a potem sędziwa okrągła twarz. Przysadzista postać seniora Pilcha zajęła miejsce, na którym jeszcze przed chwilą siedział chłopiec.

– Nie pruj się tak, nic mu się nie stało. Tylko wywrócił stołek – oznajmił beznamyślnie, a jego tubalny głos oplótł Magdalenę wraz z falą niebotycznej ulgi.

– Gdzie Bartek? – syknęła zaczepnie.

– Nie twoja sprawa. Może w sklepie, może na spacerze, a może w sraczu. Nie zostawił dziecka bez odpowiedniej opieki.

– Ja też nie.

– Ty też nie, więc nie baw się teraz w kontrolera.

– Chcę rozmawiać z synem!

Cezary podrapał się po głowie, po czym przyglądał na niej resztki rzadkich włosów. Wreszcie zapytał, wychylając się poza oko kamery.

– Co ty na to?

Nie widziała chłopca, lecz znała go dostatecznie dobrze, by wyobrazić sobie, jak stoi w kącie pokoju ze splecionymi na piersiach rękami i z nabzdyczoną miną zaprzecza ruchem głowy. Pilch milczał, jakby się namyślał, więc po chwili nie wytrzymała i go ponagliła:

– No i?

– Przykro mi. Chyba znalazł sobie inne zajęcie, więc jeśli mogę ci coś doradzić, spróbuj jutro. Do widzenia.

Okno rozmowy wygasło. Magdalena zerknęła na zegarek i z ciężkim westchnieniem położyła się na łóżku. Dobrze byłoby pomilczeć demonstracyjnie przez kilka dni, by dać sobie oddech, a jednocześnie pokazać gówniarzowi, że nie ma prawa traktować jej w ten sposób. Wiedziała jednak, że choćby cały dzień się zarzekała, przed pójściem spać nastawi budzik, a potem zerwie się w środku nocy, by włączyć Skype'a. Nie mogła wiedzieć, że Tymek nie stał z nabzdyczoną miną. Wręcz przeciwnie. Przez okno dostrzegł na podwórku Grzeska z Kufą. Rozpromienił się, zerknął na dziadka i oznajmił z werwą w głosie:

– Idę na dwór.

Cezary zmierzwił chłopcu czuprynę, wepchnął mu w garść bluzę, bo wieczory zrobiły się chłodne, po czym pospiesznie poprawił pasek, upchnął koszulę w spodniach i udał się do sąsiedniego pokoju:

– I co tam, serdeńko? Tańczymy do *Walca kwiatów* czy śpiewamy Grechutę?

W odpowiedzi usłyszał przyjemny, choć niezbyt czysty głos Gołębiewskiej:

– „Nie dowodź, miły, nie dowodź, przecież nie jest z ciebie znowu taki cud...” Jedno drugiemu nie przeszkadza. Bez Czajkowskiego Zoja byłaby niepokieszona...

– *Žizn slizskom korrrotka, szto by trrrratit jejo na diety, žadnych muszin i plachoję nastrajenje\*\** – wyrecytowała skrzekliwie papuga.

\*\* „Życie jest zbyt krótkie, by marnować je na diety, skąpych mężczyzn i złe nastroje” – słowa Fajny Raniewskiej (1896–1984), rosyjskiej aktorki teatralnej i filmowej.

– Otóż to. Używaj świata, póki służą lata – zgodził się Pilch i wziął Ludmiłę w ramiona.

W tym czasie dwaj chłopcy obiegli pensjonat dookoła i przycupnęli na odwróconych do góry nogami taczkach. Bokserka pognąła za nimi, ułożyła im się na stopach i chwyciła w pysk kępkę trawy.

– Patrz, je. – Tymek z niepokojem przyglądał się suce.

– Tata czasem mówi na nią: koza. Kufa w ogóle lubi wszystko: paprykę, sałatę, surową kapustę, a najbardziej kiszzone ogórki.

– Myślałem, że psom się daje specjalną suchą karmę albo puszki jak kotom.

– Bo się daje, a co ona oprócz tego wyżebrze albo ukradnie, kiedy nikt nie widzi, to już jej zysk. – Zaśmiał się Grzesiek i westchnął, ocierając czoło, które nie miało kiedy się spocić. – Chyba się udało i Zuzka nas nie znajdzie.

– Nie lubisz jej?

– Jasne, że lubię. Jak na dziewczynę jest całkiem znośna, ale wtrącałyby się, doradzała, a na końcu przekablowałyby wszystko cioci i wujkowi. Taka z niej mądralińska. Mówię ci. Horror.

– A wygląda niewinnie.

– No właśnie. I każdy się na to nabiera. Odpalaj.

Wyciągnęli z kieszeni smartfony i czekali cierpliwie, aż gra powstała na bazie *Skrzydeł* się uruchomi i pozwoli im stoczyć ze sobą wirtualną bitwę powietrzną. Stworzona przez dwóch studentów w ramach pracy dyplomowej okazała się wodą na młyn braci Pilchów i znacznie przyczyniła do popularności ich komiksu. Wciąż udoskonalana wciągała zarówno dzieciaki w wieku Tymka, jak i nastolatków, a powiązanie jej poszczególnych epizodów z kolejnymi odsłonami przygód lotników zachęcało nie tylko do lektury, lecz także do samodzielnego poszukiwania informacji z zakresu historii awiacji, by wypełniać misje specjalne i zdobywać punkty.

– *Madagaskar*?

– Nie, bo tego jeszcze nie czytałem. Dawaj *Narvik* – zdecydował Grzesiek.

– Mogę ci pożyczyć. Mam w pokoju. *Chile* też.

– Kiedy zdążyłeś kupić? *Chile* dopiero wyszło.

– Nie kupowałem – odparł beztrąsko Tymek przyzwyczajony do takich rozmów. – Nazywam się Pilch. Poznałeś mojego stryjka. To on je rysuje.

Jasnowłosy chłopiec zamarł, mechanicznie wychylił się, by pogłaskać psa, i wygasił ekran telefonu.

– Czad. Nie wiedziałem. Ale ich było dwóch. Bracia Pilchowie. Mój tata też lubi *Skrzydła* i jeszcze w lipcu mówił, że jeden z nich umarł na serce. Że człowiek młodszy od niego i w ogóle. To prawda?

Tymek się spał, przekonany, że ten nowy, sympatyczny kolega za chwilę zacznie się z niego śmiać, tak jak inni szydzili z Marcela, gdy jego rodzice się rozwodzili, albo z Adriana, że jest dzieckiem z wiadra. Kusiło go, by nakłamać, że Pilchów było trzech albo że stryjek jest jego ojcem, pomyślał jednak o tacie. Przed oczami stanęła mu jego twarz i zrozumiał, że nie chce się go wypierać. Mama to co innego. Sama od niego odeszła. Tata nie miał wyboru, w dodatku ochronił syna, by ucierpiał w wypadku jak najmniej.

– Mój tata dostał wylewu i umarł. Wiesz, co to znaczy wylew?

W oczach Grzeska pojawił się cień. Stracił zainteresowanie grą i spojrzał na kolegę poważnym, dojrzałym wzrokiem. Gdyby widział ich teraz ktoś

dorośli, byłby zaskoczony, że mają tylko po dziesięć lat. Ich twarze wyrażały bolesne doświadczenie życiem.

– Nie, ale wiem, co to znaczy rak. Moja mama umarła, gdy chodziłem do pierwszej klasy.

– Nie kłam! – Mały Pilch poczuł się oszukiwany. – Stała wczoraj na bramce. Nawet słyszałem, jak śmiesznie na nią mówisz: Mamut.

– No. – Grzesiek lekko się uśmiechnął. – Tak mówię, a ona się wścieka. Oczywiście w żartach, na niby. To moja druga mama. One się przyjaźniły. Pół roku mieszkałem w domu dziecka, zanim sędzia pozwolił jej i tacie mnie zabrać.

– Dlaczego musiałeś być w domu dziecka, skoro został ci tata?

– Wcześniej go nie miałem. On się zakochał w Mamucie i ją namówił, żebyśmy zostali rodziną.

– Chociaż nie w DNA? – dociekał Tymek obeznany ostatnio w tej tematyce.

Zza komórki wyłonił się bury kocur. Dostrzegł bokserkę, zatrzymał się nie więcej niż dwa metry od niej i zjeżył sierść. Kufa mlasnęła i niemrawo powachlowała ogonem. Z fafli zwisała jej trawa niczym długie zielone wąsy. Pograżeni w rozmowie chłopcy nie zwrócili na to uwagi.

– No. Tata powtarza, że miłość nie mieszka w genach, tylko w sercu. I to prawda, bo oni kiedyś też się nie znali, a teraz są mężem i żoną. Razem z tatą ją urabiałem, żeby zgodziła się na ślub. Wybieraliśmy wspólnie pierścioneł i takie tam.

Mały Pilch nie posiadał się ze zdumienia. Naprawdę? Po co? Może nowy kolega go wkręca?

Kot nadal trwał w bezruchu. Pies podniósł się do siadu i obserwował go z przekrzywionym łbem, jakby chciał mu powiedzieć: „Coś taki sztywniak? Wrzuć na luz”.

– A Zuzka ma rodziców zwyczajnie? Z urodzenia?

– Ehe. I co? Wczoraj przy piłce widziałeś jakąś różnicę?

– Nie.

– No właśnie. Nie rozumiem, co cię tak dziwi.

– Moja mama mnie zostawiła. Pojechała na rok do pracy w Australii. Dzwoni codziennie, ale tylko mnie złości i już sam nie wiem...

Grzesiek zeskoczył z taczki, schował telefon do kieszeni, schylił się po leżący obok patyk i rzucił go w stronę budynku pensjonatu. Suka pomknęła

za nim. Kot drgnął, korzystając z oczyszczonego pola, sam sobie nakazał w tył zwrot i zwał, gdzie pieprz rośnie, pewien, że cudem uszedł z życiem.

– Nie wiesz, czy wróci? – zainteresował się chłopiec i dodał pod adresem kota: – Dzikus. Kufa by go nie skrzywdziła.

– Nie wiem, czy tego chcę. Znaczący, niby tak, ale z nią nigdy nie robiliśmy nic razem. Nawet nie gadaliśmy za dużo. A ze stryjkiem tak. Dla niego jestem ważny. Próbowałem ich namówić, żeby byli parą, wtedy miałbym ich oboje, ale on woli taką jedną babę. Ta baba urodzi dziecko, moją kuzynkę.

– Super. Zuzka może przerażać, ale ogólnie dobrze jest mieć kuzynkę. Stryjka też mam. Mieszka w Norwegii ze stryjenką i czwórka dzieci. To też są moi kuzyni. Oczywiście nie genowi, ale to bez znaczenia. Świetnie się razem bawimy. A ty się nie cieszysz? Nie lubisz tej... baby?

– Czemu miałbym ją lubić? – Tymek się naburmuszył. Wyciągnął rękawy bluzy tak, by schować w nie zaciśnięte dłonie, i zmarszczył czoło. – Nic o niej nie wiem.

– Nie rozmawia z tobą?

– Ja z nią nie rozmawiam. Ona tu gdzieś blisko ma dom. Stryjek ją odwiedza wieczorami. Powiedział, że robię mu krzywdę tym, że nie chcę jej znać ani z nią mieszkać.

– Głupia sprawa.

– No. Chyba powinienem się dla niego poświęcić. On się dla mnie poświęcił, jak się mną zaopiekował, więc mu się należy, nie?

Po kocie zniknął wszelki ślad. Grzesiek kucnął przy Kufie i głaskał psa w nagrodę za odniesienie patyka.

– Kiedy mieszkałem w domu dziecka – powiedział przyciszonym głosem, czym wymusił na rozmówcy zwiększoną uwagę – marzyłem o tym, żeby oni wzięli ślub i zostali moimi rodzicami. Nadal tęsknię za pierwszą mamą, ale najgorzej, naprawdę najgorzej jest wtedy, kiedy zostajesz na świecie całkiem sam. Twój stryjek wygląda na fajnego i ekstraśnie rysuje komiksy. A dziadków masz rewelka, ciągle się śmieją.

– Dziadka – poprawił mały Pilch. – Dziadek poderwał panią Ludmiłę, została jego dziewczyną i teraz mówię do niej: „babciu”.

– Czyli już należy do rodziny. I co, żałujesz?

– Nie. Bardzo ją lubię.

– To może z tą babą... panią – poprawił się, bo wziął sobie za punkt honoru, by Tymka przekonać – byłoby tak samo? Z mamą też masz szansę się dogadać. Nieźle. Ja mojej już nigdy nie zobaczę tak jak ty taty.

– To co mam zrobić?

– To zależy. – Chłopiec pochylił się i z czułością poodklejał z psich fafli resztki trawy. – Chcesz mieszkać w domu, w którym wszyscy są szczęśliwi, czy nie?

– A jak nie będą?

– Kiedy Mamut eksperymentuje w kuchni, tata zawsze mówi, że kto nie ryzykuje, ten nie je.

– I co to ma wspólnego ze mną?

– Zaryzykujesz i spróbujesz albo nie, ale wtedy może cię ominąć coś dobrego. Te dziwaczne potrawy potrafią być lepsze niż pizza i Happy Meal.

Grzesiek zerknął na rozognione światłami zachodu chmury, a potem na zegarek na nadgarstku. Znów rzucił patyk psu, po czym ruszył w ślad za nim.

– Dokąd idziesz? – spytał zbity z tropu Tymek.

– Namówić ich na kolejny mecz, zanim się ściemni. Odechciało mi się bitew powietrznych. Jak się porządnie zastanowisz, to do nas dołącz. Moja rodzina cię polubiła.

Mały Pilch poczekał, aż zostanie sam, i zapatrzył się w pustą ścianę budynku. Dotąd nie wziął pod uwagę tego, że jeśli ustąpi, ma szansę coś zyskać. Czy to realne, by dorośli byli sobie bliscy i zachowali przy tym serce dla dziecka? Dotąd nie miał okazji się o tym przekonać. Rodzice się nigdy nie kochali, ale i jemu rzadko poświęcali czas. Stryjek był inny. Rodzina Grześka też. Cieplesza, lepsza... Czy Tymek potrafiłby żyć tak jak oni?

– Kto nie ryzykuje, ten nie je – wymruczał pod nosem i – nie czekając, aż dopadnie go zwątpienie – wystukał w telefonie esemesa:

*Wujek, zapytaj ją, czy pójdzie jutro z nami na szlak.*

Po chwili dostał odpowiedź:

*Stryjek – albo zawlecziemy Cię na najwyższą górę w okolicy.*

Uniósł kącik ust. Od kiedy przyjechali do Niedzicy, nie przekomarzali się w ten ulubiony sposób, od którego śmiała się dusza:

*Wujek, masz na imię Stryjek? Trzymam Cię za słowo.*

Z zadowoleniem wepchnął smartfon do kieszeni i pobiegł grać w piłkę z rodziną Grześka.

## 43.

Nie poznałby jej, gdyby mu nie wskazali palcem, nie powiedzieli wprost, że to ona. Jej twarz wydawała się stara, a przy tym szara, matowa, jakby przypadkiem uczepiona jeszcze życia, które dawno przestało ją zajmować. Oczy martwo wbite w sufit patrzyły, ale chyba nie chciały widzieć. Kościste palce leżały na białej pościeli jak suche patyki, nieruchome, pasywne. Usiadł obok na krześle i przyjął książkę, którą wepchnęła mu w ręce pielęgniarka.

– Pan jest mężem Gabrysi, tak? – spytała, a gdy pokiwał głową, dodała: – Jej córka była tu ostatnio dwa razy. Czytała jej tę książkę, więc pomyślałam, że może i pan zechce.

– Ona słucha?

– Słyszysz, ale czy słucha... W każdym razie to na pewno nie zaszkodzi.

Stefan pokiwał głową i przekartkował dość gruby tom. Rozpoznał tytuł i autora. Lubił prozę Bielika. Niby zwyczajny cykl wojennych powieści, przyjemny w odbiorze, chwilami nawet zabawny, a jednak miał w sobie coś z poetyki. Autora musiała cechować głęboka i mądra wrażliwość, a przy tym niezwykle zrozumienie dla emocji, jakie kierowały ludźmi w obliczu walącego się świata. Gdy pielęgniarka wyszła, odłożył jednak książkę na stolik i pokonując w sobie opór, delikatnie ujął dłoń żony.

– Dzień dobry, Gabrysiu – powiedział przyciszonym głosem. – Nie wiem, czy ucieszyłaby cię moja wizyta, gdybyś... nie wiem, czy się cieszysz, że przyszedłem. Nie zmieniłaś się – skłamał, lecz od czegoś przecież musiał zacząć. – Jesteś tak samo ładna jak podczas naszego ślubu. Kochałem cię wtedy. Dałbym sobie głowę uciąć, że cię kocham. Tylko co to jest miłość, powiedz sama? Namiętność czy może tkliwość, która jak wrośnie w serce i zapuści korzenie, powinna zostać na zawsze? Czy bywa lepsza i gorsza, bo ta pierwsza trwa wiecznie, a druga przez parę chwil? Niczego już nie rozumiem. Jeśli miłość wymaga, by wiecznie karmiono ją obecnością drugiej osoby, czemu się nam nie udało? Byłaś obok, kochałaś mnie, nawet nieco za bardzo, zaborczo, zachłannie. Z Heleną też nie jest tak, jak mógłbym sobie wymarzyć. Może zbyt wiele czasu minęło, kiedyśmy się nie widywali? Pisała do mnie i żałuję, że ja milczałem. Wielu rzeczy żałuję. Zdaje mi się, że nie mam prawa jej odrzucić, choćby nie wiem co plotła i robiła. A ciebie za nią przepraszam. Mam nadzieję, że Adzie uda się miłość. Gdybym wierzył w Boga, modliłbym się, by była szczęśliwa. Niestety zostaje mi tylko racjonalne wspieranie jej na tyle, na ile mi pozwoli. Jest wspaniała. Jest najlepszym, co mi się w życiu zdarzyło, i za to będę ci



zawsze wdzięczny. Ada obiecała cię regularnie odwiedzać. Ja też bym chciał. Mogę ci czytać. Będzie znacznie łatwiej, niż tak do ciebie mówić. Ale to, co stało między nami, musiało wreszcie zmienić się w słowa. Najważniejsze, co mi leżało na sercu, wybrzmiało: przepraszam za Helę i dziękuję za córkę.

Wstał, otarł oczy, bo niespodziewanie mu zawilgotniały. Przebiegł wzrokiem po nieruchomej postaci, która wciąż była jego żoną. Ani drgnęła. Jadąc tu, bał się, że zareaguje, odezwie się, zacznie krzyczeć lub spojrzy na niego z wyrzutem. Przeraziła go myśl, że jej stan obciąży jego sumienie, że te odwiedziny mogą mieć dla niej tak ogromne znaczenie, iż wyrwą ją ze stuporu i wywołają coś, czego nikt już się po niej nie spodziewa. Tymczasem nie dostrzegł żadnych śladów emocji, zrozumienia, nawet złości. Nic. Wyszedł zatem i chociaż był przygnębiony, odczuwał ogromną ulgę.

Z przyjemnością nawijał na koła kolejne kilometry, korzystając z samochodu Ady. Spotkał się z Marcinem Oliczką, którego okrągła twarz budziła w nim czystą sympatię. Kurator już od kilku dni tajemniczym tonem naciskał na spotkanie w Krakowie.

– Gdyby się pan zdecydował, to tu można nawet mieszkać na czas pracy – zachęcał, oprowadziwszy Walickiego po dużym piętrowym budynku wymagającym solidnego remontu.

– Z psem?

– A choćby z psem. Bo trochę za daleko, żeby codziennie jeździć. Będzie ponad sto kilometrów. Mam jeszcze drugiego chętnego do spółki. Żaden z niego bandzior, pan się nie boi. Spokojny człowiek i chce normalnie żyć po odsiadce. Polubicie się. Umowę zlecenie dostaniecie. Na oko ze trzy miesiące wam zejdą. Na górze pomieszczenia biurowe, a na dole teren, że tak powiem, roboczy i magazyny. No i garaż.

– Do kiedy muszę zdecydować?

– Najlepiej do końca tygodnia, panie Stefku, żebym wiedział, czy kogoś innego szukać. Właściciel to mój szwagier. Dobry szef, chociaż zamożny, nie powiem. Nie ma uprzedzeń, często zatrudnia moich podopiecznych, jeśli polecam ich jako rokujących, więc może uda się potem na dłużej zahaczyć, jakby pan zrobił na ten przykład uprawnienia na wózki widłowe. A jeśli nie, to rekomendacje panu wystawi i będzie łatwiej o kolejne zlecenia.

Stefan wypił z Oliczką kawę, podziękował za propozycję pracy i zamiast ruszyć w drogę powrotną do domu, wziął psa na smycz i zaproponował mu

obchód Krakowa. Dżoczi, który wizytę u Gabrieli i spotkanie z kuratorem przespał w samochodzie za uchylonymi oknami, w towarzystwie kraciastej koszuli po Mroczku i smakowitej prasowanej kości, eksplodował szczęściem, że pan wreszcie zabrał go na spacer.

Słońce zdążyło zająć, pograżając w półmroku kamienice Starego Miasta, Wawel zaś zatonął w żółtawym, nieco tajemniczym świetle odbijającym się w wodach Wisły, gdy mini cooper potoczył się Zakopianką na południe. Pies na tylnym siedzeniu kruszył krakowskimi obwarzankami, do których dobrał się nielegalnie i cichaczem. Walicki dumiał, bo wciąż nie udało mu się podjąć konkretnej decyzji. Mógł wrócić do Julii, która krótkim, acz przyjaznym esemesem zapraszała go na wieczór, pogodzić się z Helą wydzwanianą nieustannie, mimo że nie odbierał połączeń, albo machnąć ręką na obie i przyjąć pracę u szwagra Oliczki, a do rozważań wrócić za trzy miesiące. Żadna z tych opcji nie wydawała mu się wystarczająco dobra, zwłaszcza trzecia, bo choć wiązała się z zarobkowaniem, oznaczała pustkę, której się bał.

Do Łapszanki dotarł w całkowitej ciemności. Pod domem rozgościł się wiśniowy nissan, zatem Walicki zaparkował kawałek dalej. Nie chciał przeszkadzać młodemu, ale nie miał co ze sobą zrobić. Dżoczi zasnął pośród śmietnika, który stworzył wokół siebie na tylnych siedzeniach. Stefan zakodował w głowie, że musi z rana posprzątać, żeby Ada nie marudziła. Wyciągnął zwierzaka, biorąc go na ręce, po omacku dotarł do bramy i potknął się o leżący na poboczu rower.

– Noż w dupę – zasyczał, gdy poczuł, że obił sobie goleń.

Pies się rozbudził i zaczął wiercić, mężczyzna jednak nie wypuszczał go z ramion, wietrząc intruza. Bezszelestnie uchylił furtkę i pokonał odległość między nią a domem. Dżoczi popiskiwał, próbując się uwolnić, ale ani te dźwięki, ani odgłos kroków zdawały się nie robić żadnego wrażenia na postaci przycupniętej pod rozświetlonym oknem. Romuś przykleił nos do szyby, zapominając o bożym świecie. Walicki stanął tuż za nim, z trudem panując nad zwierzakiem, i podążył za wzrokiem chłopaka. Jego córka siedziała okrakiem na kolanach Bartka, plecami do nich i całkowicie zatraciła się w pocałunkach. Żadne z dwojga nie miało na sobie bluzy ani koszulki, biustonosz dziewczyny leżał obok na tapczanie, nie zdążyli jednak dać pełnego przedstawienia podglądaczowi, bo na dole odziani byli przyzwoicie. Palce rysownika przejechały po gładkich plecach Ady. Odchyliła się i nieco obróciła w bok, gdy całował jej dekolt. Obserwatorom

zza okna ukazała się jasna krągłość piersi. Stefan się speszył i odwrócił głowę. Romuś jęknął pożądlawie i w tej samej chwili poczuł na szyi gorący, wilgotny język.

– Aaaaa! – wrzasnął przerażony, obawiając się najgorszego: widm, strzyg, wampirów albo zombie-nimfomanki, która za chwilę wciągnie go do pierwszego lepszego grobowca i zapozna z urokami nekrofilii.

Za dużo horrorów i seriali grozy oglądanych w telewizji, a za mało seksu w realu, ot co, skonstatował nawet dość przytomnie i znowu zaczął krzyczeć. Poczł, że ktoś łapie go za wszarz i ciągnie w kierunku domu. Wpadł w drzwi, a w zasadzie je nim otworzono, zatoczył się w progu kuchni i runął pod zlew, lądując głową w misce pełnej wody. Zwierzak dopadł do niego, ponownie go oblizał i zanim chłopak zdołał odetchnąć z ulgą, że to pies, a nie strzyga, z drugiego pokoju wyskoczył koleś, który obracał Słomkową Damę.

Wróć! Nie zdążył poobrać, bo mu przeszkadzili. Ale zaszedł dalej niż w poprzednich dniach. Nastolatek nie spuszczał ich z oczu, więc wiedział na bank. Niech to diabli... Rozejrzał się nerwowo i dostrzegł Walickiego. Wystraszył się, aż go zemdliło. Zanim zdecydował się błagać o litość, do towarzystwa dołączyła Słomkowa Dama, niestety już ubrana, a jej ojciec rzucił ostrym i nad wyraz stanowczym głosem:

– Kolego, wytłumacz państwu, co robiłeś pod oknem. Nie tylko dziś. Wczoraj też, tylko zdążyłeś zwiąć. Podglądanie jest karalne. Jakby co, chętnie ci opowiem, jak się żyje w więzieniu.

Romuś zmienił się w kłębek zażenowania i lęku, po czym zwyczajnie się rozplakał, siedząc w rozkroku pod zlewem jak pryszczata karykatura małego dziecka. Dżoczi przywarował naprzeciwko i nie spuszczał go z oczu, zabawnie przekrzywiając łeb. Zapewne obawiał się o swoje miski, które przybysz już raz zaatakował. Szczęściem psi kałdun wypełniały nielegalnie spożyte obwarzanki z solą, makiem, a nawet serem, zatem chwilowo nie wszczywał alarmu. Wystarczyło zachować czujność, bo miska – rzecz święta.

Stefan, ignorując rozpacz wyrostka, sięgnął po karton mleka z lodówki, przycupnął na krześle, nalał sobie i zapytał z nadmierną kurtuazją:

– Wam też?

Młodzi przytaknęli, podali mu puste szklanki i także usiedli przy stole. Ada napiła się i odzyskała równowagę na tyle, by się odezwać. Sprawę należało rozwiązać, bo ten małolat nie mógł zalewać się łzami na kuchennej

podłódze do końca świata. Przeczesła palcami włosy potargane porywem namiętności i powiedziała:

– Wpadłam na niego jakieś dwa dni temu. Sprzątałam w aucie, bo mi się ziemia wysypała. Kupiłam specjalną, idealną dla cytrusów, w komplecie z trzema glinianymi donicami. Kuper mi wystawał przez uchylone drzwi, grzebałam w środku i gdy się wycofałam, trafiłam prosto w niego. Staranowałam biedaka, aż spadł z roweru, i jeszcze mnie przeproszał. Podziękowałam za wezwanie na pomoc Kulebiaka i dostarczenie dowodów, wyciągnęłam do niego rękę, a on wybełkotał coś tylko i uciekł.

Romuś zaczął zawodzić nieco ciszej, by nie uronić ani słowa. Policzki paliły go niemożliwie i zastanawiał się, czy określenie „spalić się ze wstydu” jest wyłącznie figurą retoryczną, czy też ma odbicie w rzeczywistości i może się przytrafić przy gigantycznym obciachu. Czyli teraz.

– Oj, córuchna, takaś inteligentna, a nic nie chwytasz. Chłopak dojrzewa, ciągnie go do kobiet, a śmiałości brak. Od kiedy się zjawiałaś, notorycznie na niego trafiam i wczoraj mnie oświeciło. Wracalem lekko na rauszu, bo Paweł na pojednanie zamiast piwa bimber domowej roboty polewał i dostrzegłem rower pod naszym płotem. Aż tak pijany nie byłem, żeby mnie to nie zaciekawiło. Skradałem się i zgadnij, gdzie szczyła dostrzegłem.

– No?

– W ogródku pod naszym oknem. Nie chciałem go zbyt zawstydząć, bo w końcu oddał ci przysługę, więc zagwizdałem głośno i zawołałem Dżoziego. Gówniarz zwiął za dom i gdzieś na tyłach przesadził płot. Dzisiaj już nie gwizdałem, bo mnie wzięła złość, i go dopadłem.

– Rany, tato, nic nie rozumiem. Po co on tam łąził?

– Nie łąził. Stał i się gapił przez szybę. Nawet mu współczuję. Wnioskuje, że się zwyczajnie zabujał. Ludzka rzecz.

Romuś chciał się zerwać i zaprzeczyć, lecz przygwoździło go do podłogi zdumienie w zachwycająco zielonych oczach Słomkowej Damy.

– Przecież jestem od niego dwa razy starsza!

– No i co? Nogi masz, piersi masz, ładna jesteś, a kobiety w ciąży emitują z siebie mnóstwo feromonów i takiego podrostka mogą zwyczajnie ogłupić. Prawda, Bartek?

– Mhm. Ja ci się, kolego, nie dziwię, że oczy za nią wypatrujesz. –

Rysownik wyglądał na bardziej rozbawionego niż oburzonego całym zajściem. – Ale może już sobie daruj, co? Nie potrzebujemy widowni.

Nastolatek nieznacznie pokiwał głową.

– To co? Wypuszczamy jeńca? Wystarczająco poszło mu w pięty – uznał Walicki, podszedł do podglądacza, chwycił go za ramię i jednym ruchem postawił do pionu, zanim ten zdążył choćby stęknąć. – Chyba że coś jeszcze macie do niego?

Pilch stanął naprzeciwko wyrostka i stanowczo zażądał:

– Pokaż telefon.

Romuś czerwieniał i bladł na przemian, w końcu zazgrzytał zębami i burknął, zbierając w sobie odwagę:

– Bo co?

– Bo chcę wiedzieć, czy nas nie nagrywałeś i nie wrzucisz za chwilę na YouTube'a. Z ciebie cwany leszcz, nie ma zmiłuj. Dawaj albo sam sięgnę, ale wtedy może zabołec. On ci nie przywali – wskazał na Stefana – bo to dusza człowiek, ale ja jestem gotów się poświęcić. No, już! Bez certolenia!

Zacięta twarz młodzika sugerowała, że jest gotów bronić komórki jak niepodległości, co wzmocniło w oprawcach przekonanie o słuszności tej walki. Bartek nie chciał angażować Walickiego w rękoczynny z uwagi na status więźnia na warunkowym. Nie zamierzał także zbyt sponiewierać szczeniaka, bo w gruncie rzeczy było mu go żal. Złapał go zatem od tyłu za ramiona, przytrzymał w żelaznym uścisku i zwrócił się do Ady:

– Przegrzeb mu kieszenie.

Podeszła, Romuś poczuł jej oddech, zapach perfum, te pieprzone feromony, o których była przed chwilą mowa, a potem delikatne, smukłe palce wsuwające się w kieszeń jego dżinsów. Zadrżały mu kolana i z trudem powstrzymał jęk. Zaciśnął wargi, by nie zacząć krzyczeć z rozpacz. Była tak blisko, a zarazem tak daleko. Czuł, że za chwilę zwariuje, oszaleje. Musi coś zrobić, by nie myślała o nim źle. Jak? Jak się z tego wykaraskać? I co oni robią, gdy się dowiedzą? Czy ten stary go zabije? Już kiedyś odebrał komuś życie. Poza tym siedział tyle lat, a w pierdłu, wiadomo, różne rzeczy się robi. A jeśli w ramach zemsty zechce zabawić się tak, jak z pewnością poczynał sobie pod celą z mniej wyrośniętymi, delikatniejszymi osadzonymi? To co wtedy? Co wtedy?! Przed śmiercią wyrostek by nie spanikował, nie czuł się jednak gotowy na figle z tym bykiem. Odruchowo zaciśnął pośladki i przypomniał sobie prawdę zaczerpniętą z filmów i seriali, głoszącą, że przyznanie się do winy daje szansę na złagodzenie kary. Gdy nadgryziony zębem czasu telefon LG znalazł się w rękach Ady, chłopak wrzasnął piskliwym głosem:

– Powiem! Wszystko powiem! Tylko niech on mnie nie dotyka. – Wskazał brodą kajdaniarza, a z oczu znów trysnęły mu łzy.

Bartek jednym szarpnięciem usadził go na krześle. Romuś otarł rękawem zasmarkany nos i nieco się uspokoił, gdy newralgiczną część ciała osłoniło drewniane siedzisko. Tymczasem Słomkowa Dama przejrzała galerię w jego telefonie. Znalazła kilka swoich zdjęć pstrykniętych podczas prac w ogródku lub spaceru i pewnie by jej ulżyło, gdyby nie fakt, że pośród nich rozplenily się obficie ujęcia paszkwili na płotach. Zdumiała się i uniosła brwi. Usiadła naprzeciwko Romusia i zaapelowała, siląc się na łagodny ton:

– Mów. To już poważna sprawa. Zastraszanie, nękanie, ponizanie. Z tym na serio możemy iść na policję. Po co to robiłeś?

– Dla hajsu.

– Słucham? – Nie zrozumiała. – Zamierzałeś szantażować mojego ojca?

– Nie! – zaprzeczył gwałtownie i łypnął na Walickiego, który stał oparty plecami o piec i milczał z rozchyłonymi ustami, jakby dopadła go stopklatka w chwili, gdy zamierzał się odezwać.

– To gadaj! – Ada straciła cierpliwość i łupnęła pięścią w stół. Pilch natychmiast stanął za nią i położył jej dłonie na ramionach. Romusiem miotnęła zazdrość, lecz zdusił ją w sobie, bo nie miała żadnego sensu. Słomkowa Dama idzie na straty. Trzeba wrócić do Wioli albo dokładnie przepatrzyć okolicę. Może trafi się inna, bardziej przystępna dżaga.

– Zarabiałem dwie dychy dziennie. Pani wie, ile moja matka dostaje zasiłku? Do tego oczywiście pięćset plus, ale ja z tego złamanego grosza nie uświadczę. A mam swoje potrzeby. Też jestem człowiekiem.

– Rozumiem – odpowiedziała, nie dała się jednak zbić z tropu i zmobilizowała do dalszej rozmowy podekscytowana tym, że oto tajemnica leży u jej stóp. Kij z małoletnim podglądaczem, najważniejsze to odkryć, kto życzy ojcu źle. – Nie bój się. Powiedz, kto za tym stoi.

– Zgłosicie mnie glinom?

– Nie wiem. To zależy, czy tego kogoś należy się bać. Najważniejsze jest bezpieczeństwo, nasze i twoje. No, śmiało!

– Nic nie zrobi. Gówno może. – Romuś nagle zhardział. – Pierdolnięta święta, najwyżej was przeklnie i już.

– Kto?

– Kulawa Hela. Wypisywała kartki i dawała mi po dychu za płot: tutaj i u dziennikarki.

– Przecież u niej też wisiały. – Ada starała się uporządkować fakty. – Tato, widziałeś je, prawda?

– Nie na ogrodzeniu – odparł sztywnym głosem Stefan. – Pokazywała mi je w domu. Mówiła, że znalazła zawieszane. To nie do uwierzenia...

– Nie kłamie! – zaskomlał wyrostek. – A teraz wszystko się utnie i znowu zostanę bez grosza.

– Wychodzę – oznajmił Walicki i odkleił się od pieca. Zagwizdał na psa i zapiał suwak bluzy.

– Do niej? – rzuciła Ada. – Może się najpierw uspokój.

– Nie, córuchna. – Podszedł i pocałował ją w czoło. – Pospaceruję. Do Heli nie zajdę, bez obaw. Dzieciaka wypuście. Wystarczająco najadł się strachu.

Gdy trzasnęły za nim drzwi, Słomkowa Dama wskazała gestem Romusiowi, by też się ulotnił. Zerwał się jak oparzony, chwycił komórkę, wepchnął do kieszeni i biegiem dopadł do furtki. Rozejrzał się z resztką obaw, czy garownik się gdzieś nie zaczął, by go nakarmić zemstą. Wokół panowały cisza i jednostajna czerń. Wskoczył na rower i oddalił się, niosąc po wsi nieprzyjemny zgrzyt pozbawionych smaru łożysk.

## 44.

Jasne niebo zapowiadało słoneczny dzień. Wciąż było ciepło, chociaż potężne, niemal paraliżujące upały zdążyły odpuścić, lekki wiaterek zaś przyjemnie orzeźwiał. Ada przestudiowała prognozę pogody na trzech różnych portalach i po zastanowieniu wciągnęła na siebie bawełnianą bluzkę z długim rękawem i dżinsy po mamie, bo własne nie dopinały się już w pasie. Ponadto wetknęła do plecaka polar, wiatrówkę, ciepłą apaszkę, czapkę i rękawiczki. Z boku upchnęła termos z gorącą herbatą, mieszankę studencką oraz opakowanie herbatników. Na koniec zaplotła włosy w warkocz, na wypadek sporego wiatru. Pogratulowała sobie w duchu zapobiegliwości i usiadła przy kuchennym stole.

Jajecznicza wyglądała na konkretną, solidnie podrasowana cebulą, kiełbasą i wszelkim możliwym zielskiem, jakie Walickiemu wpadło w ręce.

– Utuczysz mnie i dzisiejsze zabiegi pójdą psu na budę. Nie będę musiała przekonywać do siebie małego, bo duży się zniechęci – oznajmiła, po czym przystąpiła do jedzenia. – A niech tam. W najgorszym wypadku podstawię mu pod nos walory mojego charakteru i intelektu.

– Witaminy weź. – Stefan wskazał córce miskę pomidorów z sałatą i jogurtem naturalnym. – Z tego, co tu wczoraj widziałem, zniechęcenie nie wchodzi w grę. Jemu aż iskry z oczu idą.

– Romusiowi? – spytała z kokieterią i zatrzepotała rzęsami.

– Tia, jemu też. Powiedz mi lepiej, czy to, coś umyśliła na dziś, jest na pewno dla ciebie bezpieczne?

– Mhm – potwierdziła z pełnymi ustami. – Czuję się doskonale. Zamierzam Tymka zaskoczyć, zrobić na nim wrażenie i tym sposobem zmiękczyć mu serce. Skoro ustąpił odrobinę, ustąpi i więcej.

– Tylko mu się nie podlizuj. Nie możesz się stawiać na pozycji petenta, bo cię nie będzie szanował.

– Spokojna głowa. Mam plan i nie zawaham się go użyć.

– Bartkowi pewnie ulżyło?

– Pełno w nim podejrzliwej rezerwy. Obawia się, że mały coś knuje.

– A ty?

– A ja się cieszę. Zawsze to szansa. Poradziłam sobie z Jackiem, a miałabym się bać dziesięć latka? Takich jak on to ja w pracy codziennie zjadałam na śniadanie.

– Uhu, jak smoczyca jakaś. – Zaśmiał się Walicki i wsunął pod stół otwartą dłoń z plasterkiem kiełbasy. Ostre zęby momentalnie schwyciły



zdobycz, po której język jeszcze długo mlaskał.

– Żebrak – skomentowała Ada i upiła łyk kawy. – Ulegasz mu we wszystkim, nawet w tym, co dla niego niezdrowe.

– Nie mogę w każdej sprawie wykazywać się rozsądkiem, bo stałbym się zbyt nudny, żebyś chciała spędzać ze mną czas.

– Wątpię. Tato, to co teraz będzie? Nieładny ten trójkąt i coraz bardziej śmierdzi. Ty jeden, one dwie. Po wczorajszej zadymie już wiesz, którą wolisz?

Nie chciała ojcu nic sugerować, ale zabrzmiało to jednoznacznie.

– Wolę karmić Dżociego pod stołem – mruknął Stefan i ułożył na dłoni kolejny kawałek kiełbasy. – Specjalnie kupuję droższą, mniej przyprawioną i z lepszego mięsa, żeby mu nie zaszkodziła.

– Całkiem cię owinął wokół palca. Nie zmieniaj tematu.

– Ale co ja mam ci powiedzieć, córuchna?

– Zamierzasz w końcu wybrać, z którą chcesz żyć?

– Zamierzam – bąknął Walicki i podszedł do okna, filując przez firankę, byle tylko uciec od patrzenia córce w oczy.

– I to tyle?

– No. Obie założyły mi za skórę. Nie spodziewałem się takich dylematów, gdy wychodziłem na wolność.

– A którą kochasz? – Wstała, zbliżyła się do ojca i położyła mu dłoń na plecach.

– No dajże spokój i leć, bo przyjechali. – Objął ją i uścisnął. – Uważaj na siebie i nie szarżuj. Z górami nie ma żartów.

Pożegnała się z psem, chwyciła plecak i lekkim krokiem wyszła z domu. Bartek czekał oparty o karoserię nissana. Jego bratanek nie wysiadł, lecz specjalnie mu się nie dziwiła. Musiał się czuć skrępowany zarówno swoim wcześniejszym zachowaniem, jak i nagłą zmianą frontu. Cmoknęła rysownika w policzek i wtarabaniła się na miejsce za kierownicą.

– Cześć, Tymek – rzuciła, uśmiechając się do chłopca w lusterku. –

Od dawna marzyłam, by poprowadzić czerwoną rozdeptaną żabę. Pozwolisz? – Zerknęła na osłupiałego Pilcha.

– Czy to konieczne? – zapytał niezdolny do protestów.

– Absolutnie. Znam świetną trasę. Trochę naokoło, ale zaprezentuję wam niesamowity widok na Tatry. Zabraliście cieplejsze ciuchy? – Obrzuciła krytycznym wzrokiem ich krótkie rękawy. – Macie dokumenty?

– Mhm. Dowody osobiste wystarczą czy zamierzasz wywieźć nas poza strefę Schengen?

– Jeśli się dobrze rozbijam... – zażartowała, puściła do chłopca oko i przekręciła kluczyk w stacyjce.

Dzieciak milczał. Nie odezwał się, kiedy minęli granicę, mknęli niekończącymi się serpentynami i zagłębili w Słowację. Minęli Białą Spiską oraz Kieżmark i wreszcie w Popradzie odbili na północ. Wokół rozścielały się równe, niemal nizinne pola, tuż przed nimi zaś wyłaniał się monumentalny łańcuch górski, bliski, niemal na wyciągnięcie ręki, całkiem inny, jakby dzikszy, bardziej pierwotny niż od polskiej strony, bo pozbawiony przyjaznego bufora regli.

– No, powiem ci, bajka. – Rysownik nie krył, że jest pod wrażeniem.

– Warto było oddać mi kierownicę?

– To się okaże na końcu podróży, chociaż do stylu jazdy nie mam zastrzeżeń, a widoki, jakie zapewniasz, zniewalają. – Łypnął na jej profil i prześlizgnął się po całej sylwetce, co nie uszło uwadze dziewczyny. – Słabo znam Tatry, ale ta surowość ma w sobie coś pociągającego.

– Tak, pamiętam. Należysz do amatorów bieszczadzkich połonin i dzięki temu mam szansę sprawić ci frajdę. Prujemy wprost na Sławkowski Szczyt. Istnieje legenda, że kiedyś był bezapelacyjnym numerem jeden w Tatrach, ale w siedemnastym wieku sam jego wierzchołek rozpadł się i stracił dobre trzysta metrów. Brak na to dowodów, kto chce wierzyć, wierzy. Obecnie debeściakiem jest Gerlach. Dwa tysiące sześćset pięćdziesiąt pięć metrów nad poziomem morza.

– Na który z nich mam wejść? – odezwał się wreszcie Tymek z lekkim niepokojem w głosie. – Żartowałem z tą największą górą.

– Na żaden. Wyprawa na Gerlach wymaga przygotowania, specjalnego sprzętu i wsparcia doświadczonych wspinaczy oraz przewodników. Na Sławkowski prowadzi najwyżej położony ogólnodostępny szlak w Tatrach, jednak dzisiaj nie zdołalibyśmy tam dotrzeć.

– Dlaczego? – drążył mały.

– Taka droga wymaga niezłej kondycji.

– Kilka dni temu zdobyliśmy ze stryjkiem Trzy Korony.

– Świetnie. Ciekawy szlak, a panorama z platformy widokowej bajeczna. Na Sławkowski trzeba pokonać trzy razy większą różnicę wysokości. To jakbyś trzy razy pod rząd wdrapał się na Trzy Korony, ani razu nie schodząc podczas wyprawy.

– Czyli to nie dla dzieci, tak?

– Nie o to chodzi. Tobie pewnie najłatwiej by poszło, ale twój stryjek z pewnością by wymiękł. Ja chwilowo też nie jestem w pełnej formie. Ten pomysł musimy odłożyć na później. – Wyszczrzyła się, łypiąc w lusterko, i wyjaśniała dalej: – Kilka dni temu czytałam o dziewięciolatku, który razem z rodzicami zdobywa tego lata Wielką Koronę Tatr.

– A co to? – Słyszac o dziecku, Tymek od razu się zainteresował.

– Czternaście szczytów powyżej dwóch tysięcy czterystu trzydziestu ośmiu metrów, czyli ośmiu tysięcy stóp. Takie ośmiotysięczniki w lokalnym wydaniu.

– Grelach też? – upewniał się mały Pilch.

– Gerlach – poprawiła i puściła do chłopca oko. – Tak. A wiesz, że najmłodszy zdobywca Everestu miał zaledwie trzynaście lat?

– Everestu? To jeszcze wyżej, nie?

– Zdecydowanie. Dach świata.

– Ale zabierzecie mnie dzisiaj na jakąś górę? Większą niż Trzy Korony i mniejszą niż Everest?

– Ja was zabiorę. Stryjek nie ma pojęcia, jaką przygodę zaplanowałam.

Bartek milczał, żeby nie popsuć tej rozmowy. Od świtu zastanawiał się, jaką strategię przyjmie Ada podczas próby zjednania chłopca, i sam sobie nakazywał stonowanie euforii, bo wszystko mogło się zdarzyć. Za wcześnie na odtrąbienie sukcesu. Wakacje się kończyły i lada dzień zacznie się szkoła. Tymczasem nic nie było jeszcze jasne.

Walicka dotąd nie zapowiedziała wspólnego powrotu do Łodzi, chociaż Pilch krążył wokół tego tematu jak Zoja wokół ptasich biszkoptów. Do pewników mógł zaliczyć jedynie łączące ich uczucie oraz fakt, że Tymek stawał wobec niego okoniem. Dziewczyna od rana sprawiała wrażenie wyluzowanej, jakby nie traciła przekonania, że pokona tę trudność i że nie potrzebuje pomocy. Rysownik zatem nie przeszkadzał, dumał tylko nad tym, co też siedzi jej w głowie. Co z jej traumami? Czy nadal, gdy zamknie oczy, czuje na sobie brutalne ręce byłego narzeczonego i jego przyspieszony oddech? Wydawała się taka otwarta, sama szukała fizycznej bliskości, lecz poprzednio przecież działa się podobnie. Aż do chwili, gdy poszli o krok za daleko...

– Długo jeszcze? – zagadnął chłopiec, gdy w Starym Smokowcu odbili w prawo.

– Kilka minut.

– Coś ty wymyśliła? – wyrwało się Bartkowi. – Wzięłaś pod uwagę, że nie powinniśmy zagłębiać się w dzicz? Gdyby trzeba było lekarza...

– Nie marudź. Cały czas będziemy między ludźmi. Jeśli zasłabniesz, ktoś z pewnością przyjdzie ci z pomocą. Tymek chyba cieszy się dobrym zdrowiem, a ja czuję w sobie mnóstwo energii.

– Narzekasz na mnie, a teraz sama nawijasz jak przemądrzalec – ofuknął ją i delikatnie pociągnął za warkocz.

Jego bratanek niemal parsknął śmiechem, ale w ostatniej chwili się powstrzymał, żeby sobie za dużo nie myśleli. Jakiś czas później wysiedli ze sporej gondoli, która wywiozła ich do zupełnie innego świata. Chłopiec naciągnął podaną przez stryja bluzę i rozglądał się w oszołomieniu, zastanawiając, gdzie zniknęły drzewa i soczysta sierpniowa roślinność. Jak okiem sięgnąć, nie brakowało niskich kosodrzewin, zielonych połaci wysokogórskiej murawy o specyficznej, nieco wyblakłej i przechodzącej w beże barwie. Wszystko to jednak zdawało się nad wyraz nieprzystępne, jakby obce, przeplatane skalnymi rumowiskami i burymi piargami. Infrastruktura turystyczna była obecna, lecz nienachalna. Obejmowała stację kolejki, restaurację z tarasem, plac zabaw dla dzieci, obserwatorium astronomiczne, a w oddali trasy narciarskie, z których amatorzy białego szaleństwa z pewnością chętnie korzystali zimą. Powiał wiatr, niosąc z sobą zaskakujący chłód.

– Ponad tysiąc siedemset metrów nad poziomem morza – poinformowała Ada, zapinając polar. Przejdziemy się wokół stawu i kawałek dalej, bo mamy dwie godziny czekania.

– Na co? – Zdziwił się dzieciak, bo sądził, że niczego więcej nie można już się spodziewać. Widok zapierał dech.

– Na ten czerwony wagonik. – Wskazała palcem w górę na maleńki punkcik ledwo widoczny na szarym tle wielkiego masywu. – Zawiezie nas, zgodnie z twoim życzeniem, najwyżej, jak się da w Tatrach. Ponad szczyt Łomnicy wystaje już tylko Gerlach, ale niewiele. Ledwo dwadzieścia jeden metrów. Tyle musisz mi darować. To więcej niż zwykły blok na Retkini, ale mniej niż wieżowiec.

Oczy dziecka się rozszerzyły. Poczuł podekscytowanie i lekko podszytą lękiem niecierpliwość. Rany, to dopiero przygoda! Będzie co opowiadać Marcelowi i Adrianowi. A nawet Grześkowi i Zuzce, która nie omieszkała się pochwalić, że kilka dni temu odwiedzili Zakopane i dotarli kolejką prawie do nieba.

– To nie jest Kasprowy Wierch? – upewniał się na wszelki wypadek.

– Na Kasprowy wejdziemy na piechotę. Za rok albo za dwa, o ile oczywiście zechcecie ze stryjkiem. Jest znacznie niższy niż Łomnica. O ponad sześćset metrów.

Wagonik powoli rósł i nabierał kształtów, zbliżając się z każdą chwilą. To niesamowite, absolutnie wspaniałe, że oni niedługo w niego wsiądą i zrobi się jeszcze bardziej nierealnie niż tutaj. Ada chwyciła dłoń Bartka i pociągnęła go wzdłuż szerokiej ścieżki do mostka. Chłopiec dreptał za nimi, rozglądając się na boki. Dotarli nad nieduży, ciemnozielony, polodowcowy staw z kamienistym dnem. Obeszli go, pstryknęli parę zdjęć, wędrowali wąskim szlakiem na skraju zbocza i spoglądali na niemal płaski krajobraz Słowacji widoczny w oddali, odmienny, jakby wycięty z innej rzeczywistości. Dotarli do ogromnego usypiska kamieni i zawrócili. Przysiedli nad taflą wody, w której śmiało przeglądało się słońce, chrupali mieszankę studencką z herbatnikami, popijali herbatą z termosu i zerkali na zegarki.

Gdy wreszcie wsiedli do czerwonego wehikułu, Tymek nieco się rozczarował, wylądowawszy w samym środku. Wokół niego upchnięto jak sardynki kilkanaście osób i nie dało się zobaczyć nic. Na szczęście stryjek przekonał dorosłych, by nieco się przetasowali i dopuścili dziecko do okna. Szarpnęło, zazgrzytało i popłynęli w górę, a chłopiec postanowił odwołać się do swoich podniebnych doświadczeń.

– Samolotem leci się szybciej.

– To całkiem coś innego. Mnie się podoba – wyraził opinię rysownik.

– Mnie też – zapewnił mały i uściśnął dłoń stryjka.

Im wyżej, tym robiło się dziwniej. Wznosili się niemal pionowo, zostawiali za sobą zielen i ciepło letniego przedpołudnia. Mijali placki zlodowaciałego śniegu, półki skalne i zagłębienia. Górską ścianą, z daleka sprawiającą wrażenie gładkiej i absolutnie niedostępnej, odkrywała przed nimi swoją różnorodność, pozwalała uwierzyć, że z odpowiednim sprzętem da się tu dotrzeć na własnych nogach. Podróż trwała zaledwie dziesięć minut. Wysiedli wewnątrz piętrowego, murowanego budynku ze srebrnymi kopułami i dopiero pokonawszy jego przepastne wnętrza, wyszli na pierwszy z tarasów widokowych.

Świat ścielił się u ich stóp. Jak okiem sięgnąć ciągnęły się poszarpane granie i samotne szczyty gdzieniegdzie poprządkane kępami burej zieleni i kleksami zamarzonego śniegu. Chmur było niewiele, część z nich jednak

wędrowała w dole, pośród rozległych zboczy. Rozpadały się na drobniejsze białe wstęgi, gdy trafiały na ostre grzbiety. Wyglądało to tak, jakby paluchy skalnego olbrzyma łąpczywie rozrywały watę cukrową, by raczyć się nią w ten pogodny letni dzień i dzielić z innymi gigantami. Nic dziwnego, pomyślał Tymek, słodczyce smakują najlepiej, gdy się je zjada w dobrym towarzystwie.

Owiął go ostry, niemal zimowy podmuch wiatru. Założył kurtkę i zapiął się pod samą szyję. Przesunął dłonią wzdłuż metalowej barierki i poczuł, że palce kostnieją mu z zimna.

– Podziwiajcie – zarządziła Ada. – Mamy zaledwie pięćdziesiąt minut. Potem zwołają nas do powrotu. Zimno ci? – Zerknęła z niepokojem na chłopca. Nie zabraliście nic na głowę?

– Sądziłem, że to przesada. – Bartek bezradnie rozłożył ręce. – Założymy kaptury.

Uśmiechnęła się triumfalnie i podała dziecku czapkę oraz rękawiczki.

– W sierpniu nierzadko można tu trafić na śnieg. Idziemy na obchód terenu.

Tymek z ulgą osłonił głowę oraz dłonie. Poczuł się komfortowo i bezpiecznie. Wędrował wąskimi platformami dokoła budynku wkomponowanego w szczyt Łomnicy i przystawał w licznych punktach widokowych, by nacieszyć oczy szerokim krajobrazem na wszystkie strony świata. Ludzi nie kręciło się wokół zbyt wielu. Niewielka przepustowość wagonika sprawiała, że naraz nie mogły zjawić się tu tłumy, co mały Pilch z marszu uznał za zaletę. Uśmiechał się, robił zdjęcia, żartował ze stryjkiem i coraz przychylniej zerkał na „tę babę”, która wcale nie zachowywała się tak, jakby doczepiony do rysownika dzieciak był piątym kołem u wozu.

Wreszcie dotarli do punktu, który najsilniej przyciągał zbitych w kupki turystów. Metalowa, wąska, ażurowa kładka wystawała na kilka metrów wprost nad bezkresną przepaścią. Część osób tchórzyła, bo nie znajdowała w sobie dość werwy. Ale przecież nie prawnuk dęblińskiego lotnika, syn i bratanek twórców *Skrzydeł*, dziesięciolatek, który już dwukrotnie skakał ze spadochronem! Wmaszerował na platformę, omiół wzrokiem panoramę Tatr, zerknął pod nogi, zobaczył gdzieś tam, hen, w dole niższe szczyty i doliny, a potem uniósł wzrok i spojrzał na Walicką pytająco, jakby to miał być dla niej jakiś test:

– Zrobi sobie pani tu ze mną zdjęcie?

Rozpromieniła się, odgadując, że to wyzwanie. Weszła pewnie i objęła Tymka ramieniem.

– Możesz mi mówić po imieniu. – Ponowiła propozycję, której w Łodzi nie zechciał przyjąć. To jednak zostało za nimi. Dawno i daleko, w zwykłym świecie na poziomie morza, gdy nie dzielili żadnych wspólnych przeżyć, uśmiechów, rozmów. Nic. – Pstrykniesz? – spytała Pilcha.

– Nie boi się pani? – zagadnął chłopiec niepewnie, jakby spodziewał się czegoś innego i został zbity z pantałyku. Po chwili poprawił się, bo przecież widział, że ona nie pęka, więc należało jej się to drobne ustępstwo. – Nie boisz się?

– Nic a nic.

– Przecież nie skakałaś nigdy ze spadochronem.

– Jeszcze nie, ale mam nadzieję, że kiedyś skoczę z... którymś z was. Dorastałam w sąsiedztwie gór. Nie boję się ich, chociaż je szanuję i staram się być ostrożna. Dlatego nie zabrałam was dzisiaj na daleką pieszą wycieczkę, tylko tutaj.

Rysownik, czując, że wszystkie emocje skumulowały mu się naraz w gardle i w dole brzucha, fotografował ich jak szalony, z niedowierzaniem rejestrując, jak bojowe błyski w oczach bratanka jeden po drugim gasną, a w ich miejsce rodzi się coś, co nie jest jeszcze z pewnością przywiązaniem, lecz zaciekawieniem, akceptacją, może nawet zaczątkiem rodzącej się sympatii.

– Chodź, wujek – zawołał mały i przywołał go gestem ręki. – Strzelimy potrójne selfie.

– Stryjek – odparował i dołączył do nich na kładce.

– Wujek, masz na imię Stryjek?

– A może Strujek? – zaproponowała „ta baba” ze śmiechem. – Czasem, jak zaczyna truć, to nawet Struczna.

– Strrraszna struczna. – Z ochotą podchwycił dzieciak.

Bartkowi na moment odebrało mowę. Szybko jednak się pozbierał, choć spodobało mu się to, że wspólnie próbowali mu wleźć na głowę.

– Tymon to niezły ancymon – zaatakował, po czym szybko dodał: – A Ada bez sensu gada.

– Stryjek ma w tyłku kijek – palnęła, zanim zdążyła ugryźć się w język przy tym nieszczególnie wyrafinowanym zagranu.

Dziesięciolatek zarechotał całkowicie rozbrojony. Rysownik puścił do niej oko i na wzór dziadka siarczyście cmoknął ją w policzek. Może nie

zachowała się jak dama, za to idealnie trafiła w specyficzne poczucie humoru chłopców w wieku Tymka, których takie żarty bawią do łez. Przez lata pracy z dziećmi zebrała wystarczająco dużo doświadczenia, by posłużyć się nim teraz z pełną perfidią i wyrachowaniem. Dla dobra ich trojga i w imię szczęśliwej przyszłości.

Gdy wagonik wiózł ich w dół, mały Pilch wylądował z nosem przy szybie tuż obok Ady. Trzymała dłoń na brzuchu, jakby chciała nią chronić skarb, który skrywała w środku.

– Naprawdę masz tam dziewczynkę jak mandarynka? – zapytał, stanąwszy na palcach, by sięgnąć do jej ucha.

– Może już nawet jak pomarańcza i powiem ci szczerze, że trochę się boję, bo ci ludzie strasznie się pchają.

Przesunął się odrobinę, by zapewnić jej więcej miejsca, chociaż zbyt wiele nie dało się zdziałać.

– To tylko kilka minut – powiedział, po czym dodał nieco zawstydzony własną śmiałością i wpatrzony w zbliżający się Łomnicki Staw. – Razem jej popilnujemy.

Położył dłoń obok ręki kobiety i wyczuł przez ubranie lekkie zaokrąglenie. Ada nabrała ochoty, by chwycić swoimi palcami jego palce, ale się powstrzymała. Powoli. Na zaufanie, czułość i przyjaźń przyjdzie czas. Ważne, że wreszcie weszli na właściwy szlak i zgodnie ruszyli we wspólną drogę.



## 45.

Ostatnie sierpniowe popołudnie płynęło leniwie przez ziemię spiską, oferując mieszkańcom oraz gościom tych okolic przyjemne ciepło i spokój tym większy, że trwała sobota. Zawsze milej, pełniej się odpoczywa, jeśli w zanadru ma się jeszcze niedzielę, choćby niosła z sobą wrzesień.

Ada wędrowała leśną ścieżką i co rusz zaglądała w telefon, bo nie ufała własnej pamięci. Już rano kazała ojcu wbić szpilkę we właściwe miejsce na Mapach Google'a. Chwilę straciła na tłumaczenie, o co jej chodzi, bo Stefan wprawdzie czynił postępy, lecz nie poznał wszystkich możliwości smartfonów. Bartek szedł obok, trzymał dziewczynę za rękę i niósł plecak, który wręczyła mu na dzień dobry, informując, że czeka go przechadzka.

– Pięknie tu, tak spokojnie i sielsko, choć to tereny przygraniczne. Pewnie nieraz stawały w ogniu.

– Żebyś wiedział. Przynależność okolicy do Polski czy Słowacji nie jest oczywista. To przede wszystkim Zamagurze, część Spiszu, region, który w większości leży po drugiej stronie granicy. Nam trafił się jedynie skrawek. Tata może ci opowiedzieć więcej, już kiedy byłam mała, interesował się lokalną historią. Za to zdradzę ci jedną ciekawostkę. Wsie zamagurskie są ostatnimi na terenie Polski, w których funkcjonowała pańszczyzna, jako anachronizm prawa węgierskiego, a zatem i pokłosie rozbiorów. Nazywało się to żelarka. Chłopi odpracowywali u właścicieli dóbr dzierżawę domu i małych poletek. Niekiedy zabierało im to większość dni w roku, a dla siebie musieli tyrać nocami. Lwią część tych ziem trzymały w łapach dwa węgierskie rody: Salamonów z zamku w Niedzicy i Jungenföldów z Falsztyna. Zgadnij, do kiedy tak tu żyli.

– Do pierwszej wojny?

– Pudło, kochany. Do tysiąc dziewięćset trzydziestego pierwszego. Dopiero wtedy polski parlament ostatecznie się rozprawił z tym barbarzyństwem.

– Twoja rodzina tu wtedy mieszkała?

– Nie. Moją prababcie przywiało tutaj przez Antka od zięby. Pamiętasz?

– Jednak istniał naprawdę? – Pilch strząsnął z włosów Ady brzozy listek, który spadł na jej głowę.

– Tak! Smutna historia, ale warta zapamiętania. Antek to mój pradziadek. Zmalował prababci Adeli dziecko i ojciec wygnał ją za to z domu w Bukowinie. Masz pojęcie? W czasie wojny. O, patrz. – Wskazała ruinę drewnianej chałupki na środku polanki, do której właśnie dotarli. –

Zamieszkali tu i byli szczęśliwi, dopóki Antek nie zginął. Potem Adele przygarnęła samotna wdowa z Łapszanki, babcia Marianna urodziła się u niej, ale najważniejsze działo się w tym zakątku.

– Czyli?

– Miłość. Tu kwitła i dlatego przywlekłam cię na to pustkowie.

Rysownik rozejrzył się po gęstwinie dookoła. Przytulnie, zacisznie, a jednak spodziewał się czegoś innego.

– Myślałem, że mnie ciagniesz w wybitnie malownicze miejsce w celu zaszokowania powalającym widokiem. Nawet trochę się obawiałem, czy to nie wstęp do niemiłych dla mnie decyzji.

– Jak choćby? – spytała figlarnie, przekrzywiając głowę.

– Jak choćby, że ja wyjeżdżam, a ty zostajesz.

– Zobaczymy. – Lekko wzruszyła ramionami. – Powalające widoki mam w planach. Tylko rozpakuj ucztę i rozłóż koc, tu w cieniu, przy ścianie.

Pilch posłuchał zaintrygowany pomysłem. W plecaku znalazł dwa kartony soku pomarańczowego, dwa kieliszki do wina, starannie owinięte w ręczniki papierowe, łyżeczki i pojemnik termiczny z lodami cytrynowymi. Wyjmując go, mruknął pytająco.

– No co? Od lodów uzależniłam się na dobre. A sokiem wzniesiemy toast.

– Za co?

– Za te widoki, na które czekasz. – Zsunęła ramiączko sukienki, lecz przy drugim nie zdołała już zapanować nad emocjami, zbyt niecierpliwie szarpnęła, mocno i niezgrabnie. Cienki paseczek pękł i luźna tkanina opadła, ścieląc się dziewczynie u stóp. – Ups, miało być romantycznie i kusząco... No nic nie poradzę, nie umiem uwodzić.

– Ja pierniczę – jęknął Bartek, zdjął swoją koszulkę i przyciągnął Adę do siebie, oplatając ramionami jej talię. Zaokrąglony brzuch przyjemnie przylgnął do jego ciała. Nie przeszkadzał, choć przez ostatni tydzień stał się wyraźniejszy, a od pępka w dół biegła cienka ciemna linia. Wiedział, że się nazywa *linea negra*. Interesowało go wszystko, co wiązało się z tą kobietą i jej dzieckiem. – Ty nie umiesz uwodzić? Nie kryguj się, proszę. Wystarczy tej skromności.

– Zatem szlus – palnęła. Spoważniała, przesunęła dłoń z jego ramienia na klatkę piersiową, a potem coraz niżej i niżej, by dać mu jasno do zrozumienia, że to nie żarty.

Głęboko wciągnął powietrze i spytał na wydechu, półgłosem, jakby obawiał się, czy aby nie śni:

– Tutaj?

– Mmm – wymruczała. – To miejsce jest symboliczne. Po domu kręci się tata, a nawet jeśli wysłałabym go gdzieś w ważnej sprawie, trochę obawiam się Romusia. Pułę cierpliwości już wyczerpałam. Czekaliśmy dość, nie uważasz?

– Przekonałaś mnie – przerwał jej, doskonale rozumiejąc. – Położę cię teraz na kocu. Będiesz bezpieczna. Nie zrobię niczego, na co mi nie pozwolisz, okej?

– Nie. To ja cię położę na kocu i niczego nie musisz się bać. – Pogłaskała go po policzku. – Nic nam nie przeszkodzi. Jest tak, jak być powinno. Czuję setki motyli w brzuchu, uwielbiam twoje ręce na moim ciele, twoje piwne spojrzenie i kocham cię tak bardzo, aż brakuje mi tchu. Znow jestem sobą, a może nawet dopiero teraz jestem sobą. Będzie dobrze.

Rysownik poddał się, pozwolił, by kierowała jego dłońmi. Lekki wiatr chłodził rozgrzaną skórę, gdy znaczyły ją ślady wilgotnych języków. Jasny dzień nie pozwalał zapomnieć Adzie, kto przy niej jest, nawet gdy powolne smakowanie przerodziło się w gorączkową pasję. Oddechy przyspieszyły, ginąc w dźwiękach lasu. Gdzieś daleko zaśpiewał ptak, a na łące cykały świerszcze. Słońce zerkało z góry, płynęło nad polaną, niewzruszone, stoickie. Od dziesiątek tysiącleci bywało świadkiem takich scen. Ileż to już pokoleń, ileż par kochało się pod gołym niebem w jego obecności? Jakże mogłoby je to ekscytować?

W ludziach na kocu wzburzyło się wszystko, jakby każda komórka w ich ciałach, zmysły i od miesięcy wystawiane na próby emocje zgodnie poddały się jednemu rytmowi, tym szczęśliwsiemu, że nic go nie zmaçało. Leżeli potem zawinięci w koc, bo gdy napięcie opadło, oplótl ich przedwieczorny chłód. Lody przestały stanowić pokusę, zatem pili jedynie sok, całowali się i wymieniali słowne czułości, aż słoneczna tarcza opadła za kurtyne krzewów, sugerując, że powinni się zbierać. Bartek sięgnął wówczas po swoją bluzę i wyjął coś z jej kieszeni.

– Daj łapkę – zażądał.

– Znow prosisz mnie o rękę? – Ada wygrzebała się nieco spod okrycia.

– Zapomnij. Raz dostałem harbuza, więc teraz poczekam, aż ty mi się oświadczysz.

Zaśmiała się i odnotowała w pamięci, by mieć to na uwadze.

– To co to? Pająk, skarabeusz, boża krówka?

– Nie ufasz mi?

Tym ją przekonał. Odważnie wystawiła otwartą dłoń. Spoczął na niej miniaturowy model L-410 Turboleta, miejscami nieco podniszczony, bo zdarła się biała farba ukazująca srebrzysty metal.

– On należał do Maćka!

– Mhm. – Rysownik z uśmiechem pokiwał głową. – Dostał go od Tymka po tym, jak skoczył ze mną ze spadochronem, pamiętasz? Kilka dni przed śmiercią poprosił, bym ci przekazał tę zabawkę, gdy też się odważysz.

– Ale ja przecież nie skoczyłam!

– Nie szkodzi. Pokonaliśmy tyle przeszkód, że spadochron będzie jak bułka z masłem. Wrócimy do tematu na wiosnę. Daję ci go zamiast pierścionka. Oznacza to samo i jeszcze więcej, bo wierzę, że Maciek czuwa nad nami gdzieś tam z góry. W końcu wszystko się poukładało. Masz trzy cytrusowe drzewka, Tymek się stara, choć pewnie jeszcze nie jeden raz da nam w kość, dziadek i pani Ludmiła zaczynają przebąkiwać o ślubie, Marianka zdrowo rośnie, a ja cię kocham jak wariat. Po tym, co mi dziś zaszerwowałaś, nie ma szans, że się od ciebie odkleję. Nasze marzenia powoli się spełniają. Do tego twój tata. Kurczę, to taki świetny człowiek. Będzie nam go w Łodzi brakowało, nie? Bo wracasz jutro z nami? – upewniał się, nawijając sobie na palec kosmyk jej włosów.

– Nie! – Usiadła i zaczęła wyplątywać się z koca bez zważania na swoją nagość.

– Co?

– Nie wracam z wami. Mini cooper sam się nie poprowadzi. Jedziemy osobnymi autami, ale na ten sam parking pod blokiem – oświadczyła i ścisnęła samolocik jak talizman.

– I do jednego łóżka? Nie zamierzasz chyba przeszkadzać staruszkom w świntuszeniu? Mówię ci, co oni wyczyniają...

– Obowiązkowo. Znaczą do łóżka obowiązkowo. Przeszkadzać im nie zamierzam. A w drodze będę ci siedzieć na ogonie.

– Tak mi mów, mała. – Poderwał się i przywarł do niej ustami. Najchętniej powróciłby do aktywności sprzed kilku kwadransów, ale wieczorny chłód dawał się we znaki.

– Spadamy – zarządziła Ada, związując rozerwane ramiączko sukienki w zwyczajną pętelkę. Wyszperała bluzę na dnie plecaka, po czym wciągnęła ją przez głowę. – Od jutra zaczynamy życie w cytrusowym gaju. I zapamiętaj sobie raz na zawsze: nie jestem mała!

– Nie ośmieliłbym się o tym zapomnieć – odparł i oboje zaczęli się śmiać.



# Epilog

W niedzielne przedpołudnie niebo zaciągnęło się chmurami. Ada umieszczała trzy doniczki na tylnych siedzeniach samochodu, jednocześnie słuchając w telefonie paplaniny przyjaciółki i streszczając swoje plany na przyszłość, gdy Majka brała dłuższe oddechy. Walizki bez trudu zamknęła w bagażniku. Wreszcie zakończyła rozmowę i zamierzała wrócić na chwilę do kuchni, by porządnie pożegnać się z ojcem, kiedy stanął przy niej z wypchaną torbą oraz Dżoczim na smyczy.

– Zabierzesz nas ze sobą?

– Zdecydowałeś się na tę robotę w Krakowie? – Ucieszyła się, bo to rozwiązanie wydawało jej się dla ojca najlepsze.

Stefan zerknął na nią spod zmarszczonego czoła, nieco obawiał się jej reakcji.

– Nie. Rozmawiałem przed chwilą z Bartkiem. Pozwolił mi zatrzymać się na jakiś czas w mieszkaniu jego brata. Pomoże też znaleźć pierwsze zlecenia. Podobno w Łodzi jest duże zapotrzebowanie na fachowców od remontów.

Oparła się plecami o auto i potarła palcami oczy. Odwróciła głowę i potoczyła wzrokiem po panoramie Tatr. Serce zabiło jej w zdecydowanym i głośnym rytmie „tak-tak-tak”. Nie pozwoliła sobie jednak na euforię.

– Nie będzie ci żal?

– Gór?

– Ich nie stracisz. Ten dom jest doskonały na wakacyjną metę. Miałam na myśli miłość: Helenę lub Julię, już sama nie wiem.

Uśmiechnął się i lekko uszczypnął ją w policzek, jakby zbierało mu się na żarty. Minę jednak zachował poważną, nawet smutną.

– To nie jest miłość, córuchna.

– Do żadnej?

– Mhm. Nawet jeśli kiedyś była. Julki na szczęście nie zdążyłem pokochać. Popytałem we wsi i Kulebiak nie kłamał. Ona co rusz sobie upatruje nowego lokalnego amanta. Nawet nie poszedłem się z nią pożegnać. Jej syn już przyjechał, ma swoje sprawy...

– A co z Heleną?

– Wciąż czuję do niej pewien sentyment i... jakby to nazwać... zobowiązanie za lata czekania i listy. Ale chleba z tego nie będzie.

– Rozmawialiście?

Skrzywił się i przykucnął, by pogłaskać psa, który zaczynał się niecierpliwić bezruchem.

– Powiedzmy. Odwiedziłem ją wczoraj. Już w progu dowiedziałem się, że skrzywdziłem ją dwadzieścia lat temu, bo ją uwiodłem i rozbiłem jej rodzinę, a teraz zrobiłem to ponownie, kiedy stanąłem po twojej stronie, a nie po stronie jej biednego syna, który cierpi w areszcie przerażony zbliżającą się rozprawą. Kwestię kartek na płotach skwitowała wzruszeniem ramion. Stwierdziła, że chciała przemówić mi do rozumu i chronić przed tą dziennikarską lafiryndą, ale jestem niedomyślny, bo nie mam Boga w sercu. Zaczęła płakać, zapowiedziała, że będzie się modlić o moje nawrócenie i że kochać mnie nie przestanie aż do grobowej deski. Przeprosiłem za wszystko hurtowo i wyszedłem. Co mogłem więcej zrobić?

– Chyba nic – przyznała z zadumą.

– To jak? Mogę jechać? Dla mnie ty jesteś największą miłością. Chyba że nie chcesz mnie w Łodzi? – Wyprostował się, by zajrzeć córce w oczy.

– Chcę, tatku. – Objęła go w pasie i przytuliła się z całej siły. – Bardzo się cieszę, tylko trochę mnie zaskoczyłeś. Zabieram cytrusy i ciebie, rany, chyba naprawdę będę wreszcie szczęśliwa. Tobie też się ułoży. To przyjemne miasto, choć zakorkowane. Mnóstwo ludzi, mnóstwo możliwości, zobaczysz. I od razu cię wykorzystam. – Wcisnęła mu w rękę kluczyki. – Poprowadzisz, bo trochę kręci mi się w głowie. Nie spałam całą noc.

– Ze stresu?

– Nie. Raczej z nieziemskiego podekscytowania. A Dżociego posadzę sobie w nogach, żeby nie poobgryzał drzewek.

Gdy na zatłoczonej Zakopiance mijali Rabkę-Zdrój i uparcie siedzieli na ogonie wiśniowemu nissanowi z łódzką rejestracją, w kieszeni Ady rozdzwonił się telefon. Sądziła, że dobija się Bartek. Informacja na wyświetlaczu ją zdziwiła.

– Helena – poinformowała ojca. – Odebrać?

Wzruszył ramionami z obojętnością.

– Może dotarło do niej, że to koniec, i też chce mnie przeprosić.

– To dlaczego nie dzwoni na twój numer?

– Bo moja komórka leży na dnie torby w bagażniku. Ciągle zapominam, że trzyma się ją przy sobie.

Walicka przeczekwała niezdecydowana jeszcze pół minuty, aż wreszcie z rezygnacją stuknęła w zieloną słuchawkę.



– Dzień dobry. – Usłyszała sztywny, suchy głos, w którym próżno byłoby szukać śladów skruchy czy żalu.

– Dzień dobry – odparła grzecznie. – Chce pani rozmawiać z tatą?

– Z tobą. I nie rozmawiać, tylko coś ci przekazać.

– Tak? – Ada zwątpiła, czy powinna tego słuchać.

– Telefonował do mnie Jacek. Nie otrzymał pozwolenia, by skontaktować się bezpośrednio z tobą. W areszcie to wymaga zachodu i nie zawsze dostaje się zgodę, aby tak wydzwaniać do byle kogo. Matka to co innego. Prosił, by ci pogratulować.

– Czego?

– Wtedy, gdy ten zaprzaniec Kulebiak go pobił, upuściłaś torebkę i wypadła z niej cała zawartość. Między innymi wynik badania USG sprzed kilku tygodni. Jakby mnie kto pytał, to niczego nie przesądza, bo przecież miałaś tego swojego... kochanka – ostatnie słowo wypowiedziała z wyraźnym obrzydzeniem. – To jednak podłe, że nie wspomniałaś Jackowi o ciąży. Prosił, by ci powiedzieć, że gdy tylko pojawi się sposobność, wystąpi z wnioskiem o ustalenie ojcostwa i przyznanie mu praw rodzicielskich. Chyba że pójdiesz mu na rękę, zeznasz na rozprawie tak, jak od początku prosił, i oczywiście darujesz sobie te najnowsze fałszywe oskarżenia. Wtedy nie będzie ci bruździł i zajmie się karierą naukową, do której został stworzony.

Ada się rozłączyła, po czym wrzuciła smartfon do schowka w desce rozdzielczej, jakby zaczął ją parzyć. Wyrwany z drzemki Dżoczi polizał ją po dłoni. Mechanicznie odpowiedziała na pieśczętę i podrapała go za uchem.

– Co, córuchna? – Stefan zerknął na nią kątem oka i dostrzegłszy, że zbladła, wpadł w widoczny popłoch. – Zatrzymać się? Co ci nagadała?

– Nie stawaj, tatusiu – odparła z przekonaniem, choć głos jej drżał. – Wież mnie do Łodzi i nie zgub Bartka. Gadała absurdalne brednie. Nie będę się nimi przejmować.

– Czyli nic wam nie grozi?

– Grozi i jeszcze niedawno bym się tym nieźle przejęła.

– To co? – pytał bezradnie.

– To, że się nie dam zastraszyć. Cholerny Jacuś już jest skończony. Pograżę bydlaka. Niby tak długo się znamy, a jeszcze nie wie, do czego jestem zdolna.

Włożyła rękę do kieszeni i ścisnęła metalowy samolocik – spadek po Maćku, nagrodę za stawienie czoła trudnym wyzwaniom, nadzieję na dobre życie. Z tylnego siedzenia rozchodził się po wnętrzu wiśniowego mini przyjemny zapach cytrusów, a kilkanaście metrów przed nimi pędził nissan w identycznym kolorze. W tych dwóch samochodach mieściło się wszystko, co było dla niej ważne. Zdołała wywalczyć dla siebie już tak wiele. Nie wątpiła, że pokona wszystkie problemy.

Minęli Kraków, gdy rozpadał się drobny ciepły deszcz. Spragniona wody ziemia odetchnęła, łapczywie chłonąc kolejne krople.

*Katarzyna Kielecka*  
*Łódź, 21 marca 2021*

# Table of Contents

[Strona tytułowa](#)

[Strona redakcyjna](#)

[Dedykacja/motto](#)

[Prolog](#)

## [ROZDZIAŁ 1](#)

[1.](#)

[2.](#)

[3.](#)

[4.](#)

[5.](#)

[6.](#)

[7.](#)

[8.](#)

[9.](#)

[10.](#)

[11.](#)

[12.](#)

[13.](#)

[14.](#)

[15.](#)

## [ROZDZIAŁ 2](#)

[16.](#)

[17.](#)

[18.](#)

[19.](#)

[20.](#)

[21.](#)

[22.](#)

[23.](#)

[24.](#)

[25.](#)

[26.](#)

[27.](#)

[28.](#)

29.  
ROZDZIAŁ 3

- 30.
- 31.
- 32.
- 33.
- 34.
- 35.
- 36.
- 37.
- 38.
- 39.
- 40.
- 41.
- 42.
- 43.
- 44.
- 45.

Epilog

